

Charles Reade

KLASZTOR I MIŁOŚĆ

TOM I

ROZDZIAŁ I

Nie mija dzień ponad światem, by nikomu nie znani ludzie nie dokonywali wielkich czynów, nie wypowiadali słów ważkich, znosząc godnie cierpienie. Ci skromni bohaterowie, myśliciele i męczennicy pozostają nieznanymi aż do chwili, gdy wielu niegdyś wielkich karleje, a mali osiągają wielkość. Są jednak również bohaterowie zagubieni w sennej świadomości świata: ich życie i charaktery pogrzebano w dawnych annałach. Nie odcyfruje ich zwykły czytelnik - zapiski są zbyt zwarte i chłodne. Brak w nich życia, nie przemawiają do serca człowieka, lecz jak ziarna grochu odbijają się tylko od jego piersi, nie będzie ich mógł nawet pojąć; notatka nie jest bowiem gawędą, tak jak szkielet nie ma ludzkiego kształtu.

Te zapiski ważkich prawd pozostają martwą literą dla przeciętnych ludzi; skrybowie zostawili zbyt wiele pola dla wyobraźni, a wyobrażenia należy do rzadkich darów natury. Powieściopisarz może tu więc być pożyteczny ogółowi jako pośrednik i tłumacz.

W pewnej omszałej kronice spisanej nie najlepszą łaciną jest rozdział, w którym każde zdanie przynosi jakiś fakt. Opowiedziano tam beznamyślnie dziwną historię dwojga ludzi, których życiu nie towarzyszył dźwięk trąb, a śmierci - pieśń. Umarli czterysta lat temu; spoczywają teraz na tych surowych kartach - jak kryształy w skalach - nie budząc współczucia. Los skrzywdził ich za życia i krzywdzi jeszcze po zgonie. Jeśli tylko potrafię ukazać wam to, co się kryje za suchymi notatkami kronikarza, zechcecie chyba wynagrodzić im obojętność stuleci i przyjmiecie te dwie zbolące dusze - na jeden dzień - do serca.

W czasie gdy rozpoczyna się nasza opowieść, mijała właśnie połowa piętnastego stulecia. Ludwik XI był władcą Francji; Edward IV okrutnym królem Anglii, a Filip „Dobry”, złamawszy serce swej kuzynce Jacqueline, siłą i podstępem pozbawiwszy ją tronu, bez przeszkód panował długie lata w Holandii.

Eliasz wraz ze swą żoną Katarzyną mieszkał w małym miasteczku Tergou. W hurcie i detalu handlował suknem, jedwabiem, szarym płótnem, a zwłaszcza garbowaną skórą - materiałem wysoce cenionym przez klasy średnie, ponieważ noszony lat dwadzieścia, jeszcze odbijał ciosy noży, co w tym stuleciu, w którym ludzie tak szczerze używali oręża, było nie lada zaletą kaftana. Nawet podczas obiadu mężczyzna mógł przerwać na chwilę posiłek i zarznąć sąsiada z powodu drobnej różnicy zdań.

Stadło było zamożne i mogłoby żyć bez trosk doczesnych, gdyby nie dziewięcioro dzieci. Gdy przychodziły na świat, jedno per annum, witano je radośnie, a świętym szczerze składano dzięki. Póki rodzice byli młodzi, traktowali dzieci jak urocze zabaweczki, które

niebiosa wynalazły ku rozrywce, szczęściu i jako pociechę ludziom w wolne od handlu wieczory.

Lecz gdy młode latorośle wystrzeliły w górę, a rodzice się postarzel i na własne oczy widzieli los rodzin obarczonych potomstwem, obawy i troski zmąciły ich miłość. Byli to ludzie nader rozsądni i przezorni; w Holandii niedbali rodzice są taką samą rzadkością jak nieposłuszne dzieci. Gdy więc olbrzymi bochen wjeżdżał na tacy, wyglądający niczym opasana rowem forteca, i obszedłszy stół w krąg, zdawał się topnieć, Eliasza i Katarzyna spoglądali na siebie mówiąc:

- Kto im da chleba, gdy nas zabraknie?

Słyszając tę uwagę, młodsze latorośle musiały przywołać na pomoc cały synowski respekt, żeby nie stracić nic ze swej małej holenderskiej pewności siebie. Ich zdaniem obiad i wieczerza były rzeczą tak naturalną jak wschód i zachód słońca i jak długo to ciało niebieskie wędrować będzie wokół ziemi, tak długo brązowy bochen musi obchodzić krąg rodzinny i napępniać ich żołądki, a potem wyrastać na nowo w domowym piecu. Uwaga rodziców obudziła jednak narodową skłonność do rozważań u starszych chłopców, a często powtarzana, zrodziła dużo refleksji w rodzinnym gronie, u jednych dobre, u innych złe, zależnie od charakteru myślącego.

- Kasiu, dzieci tak rosną, ten stół będzie rychło za mały.

- Cóż możemy na to poradzić, Eliaszu? - rzekła Katarzyna, odpowiadając kobiecym zwyczajem nie na słowa męża, lecz na jego myśli.

Niepokój o przyszłość stał się z czasem nie tak dojmujący, lecz bardziej dokuczliwy. Wolni mieszczanie byli równie dumni jak szlachta. Ci dwoje nie mogli znieść myśli, że ktoś z ich krwi mógłby stracić pozycję w mieście po śmierci rodziców.

Tak więc z rozważą i samozaparciem starali się przyodziać wszystkie małe ciała, nakarmić wszystkie głodne gęby i jeszcze odłożyć niewielki fundusz na przyszłość; gdy oszczędności rosły, czuli przyjemność, której nie zna sknera odkładający dla siebie.

Pewnego dnia drugi z kolei syn, dziewiętnastoletni, z zewnętrznym opanowaniem, które tak wielu ludzi wprowadziło w błąd w ocenie prawdziwej natury holenderskiego narodu - przystąpił do matki i poprosił ją o wstawiennictwo u ojca, aby go wysłał do Amsterdamu i umieścił u kupca.

- Podoba mi się ten zawód: kupcy są bogaci - rzekł. - Jestem mocny w rachunkach. Proszę cię, kochana mamo, stań po mojej stronie, a będę zawsze, jak i teraz, twoim dłużnikiem.

Katarzyna w trwodze uniosła ręce i spytała z niedowierzaniem:

- Jak to? Chcesz porzucić Tergou!

- Cóż znaczy dla mnie ta czy inna ulica? Jeżeli mogę porzucić ludzi z Tergou, na pewno mogę porzucić kamienie.

- Jak to? Chcesz opuścić swego ojca teraz, gdy się postarzał?

- Matko, jeżeli mogę opuścić ciebie, mogę i jego.

- Chcesz zostawić biednych braci i siostry, którzy cię tak bardzo kochają?

- Jest ich dość w domu beze mnie.

- O czym myślisz, Ryszardzie? O kogo bardziej troszczymy się niż o ciebie? Czekał, czy może odezwałam się do ciebie zbyt ostro? Czy byłam dla ciebie niedobra?

- Nigdy, dokąd ma pamięć dosięga. A gdyby tak było, nigdy nie usłyszałybyś o tym ani słowa - rzekł Ryszard poważnie, lecz ze łzami w oczach. - Matko, wszystko zależy od twego słowa, a nic nie może zmienić mego postanowienia. Będziecie mieli o jednego mniej do żywienia.

- Ach, oto co narobiłam swoim językiem - wybuchnęła Katarzyna i po chwili zaczęła płakać, ujrzała bowiem swe pierwsze pisklę na brzegu gniazda, próbujące skrzydeł, aby odlecieć w świat. Ryszard był spokojny, miał silną wolę, i matka wiedziała, że nigdy nie rzucił słów na wiatr.

Rezultat rozmowy był zgodny z prawem natury; młody Ryszard pojechał do Amsterdamu z twarzą tak ponurą i smutną, jakiej nie widziano u niego nigdy przedtem, i z sercem ciężkim jak głaz.

Tego popołudnia było o jedną gębę mniej przy kolacji. Katarzyna spojrzała na krzesło Ryszarda i gorzko zapłakała. Eliasz krzyknął szorstko i gniewnie do dzieci: „Usiądźcie szerzej! Możecie przecież rozsunać się!” Odwrócił na chwilę głowę ku oparciu swego krzesła i zamilkł.

Ryszard wyruszył w świat i nie kosztował ich już nigdy ni grosza, ale na ekwipunek chłopca i zainstalowanie go w domu Vander Stegena kupiec wydał wszystkie swoje oszczędności, zostawiwszy sobie tylko jedną złotą koronę. Zaczęli na nowo. Minęły dwa lata: Ryszard znalazł miejsce w handlu dla brata i również Jakub opuścił Tergou tuż po obiedzie, który podano o jedenastej przed południem. Tego dnia przy kolacji Eliasz przypomniał sobie, co zaszło ostatnim razem, szepnął więc: „Usiądźcie szerzej, kochani!”

Do tego momentu Katarzyna nie chciała widzieć luki przy stole, bo córka, również Katarzyna, uprosiła ją, by nie smuciła się tego wieczora, przeto matka odpowiedziała:

- Nie, kochanie, obiecuję ci, że nie będę, skoro to sprawia przykrość moim dzieciom. - Ale gdy Eliasz szepnął:

- Usiądźcie szerzej! rzekła:

- Stół będzie wnet za duży dla dzieci, a myślałeś, że jest zbyt mały.

Wygłosiła to zdanie ze sztucznym spokojem, ale w ostatniej chwili przesłoniła twarz fartuchem i gorzko zapłakała.

- Najlepsi nas porzucają - łkała - to okrutne.

- Nie, nie! - rzekł Eliasz - nasze dzieci są dobrymi dziećmi i wszystkie są nam jednakowo drogie. Nie zwracajcie uwagi na matkę. Lepsze to, co Bóg nam zsyła, niż to, przed czym nas ochrania - i należy stwierdzić, że mężczyźni są z natury niewdzięczni, a kobiety nierozsądne.

- A ja wam powiadam, że Ryszard i Jakub byli ozdobą naszej gromadki - szlochała Katarzyna.

Mała szkatułka opróżniła się znowu i, by ją napęłnić, oszczędzali jak mrówki. W tych czasach spekulacja była jedynie czymś w rodzaju gry w karty i w kości. Eliasz znał tylko jedną drogę do bogactwa, powolną i pewną. „Do grosza grosz, a zbierze się trzos” - było jego skromną dewizą. Wszystko, czego nie musiał włożyć do interesu lub wydać na niezbędne potrzeby, wędrowało do małego kufereka ze stalowymi okuciami i ozdobnym kluczykiem. Odmawiali sobie najskromniejszych nawet wygód i, porozumiewając się wzrokiem, wymieniali uśmiechy z większą może radością, niż gdyby folgowali swym potrzebom. I tak po trzech latach uciułali dość, aby urządzić czwartego syna jako krojczego, a najstarszą córkę jako krawcową w Tergou. Było jeszcze dwoje nie zabezpieczonych: ich własny handel mógł dostarczyć pracy dla tej dwójki. Ale kuferek był opróżniony aż do dna, a równocześnie brakowało gotówki i towaru na półkach.

Niestety! pozostawało jeszcze na utrzymaniu rodziców dwoje niezdolnych do zarobienia na chleb i dwoje nie mających do tego ochoty. Wśród pierwszych Idzi - Idzi garbus, tyleż głupi co złośliwy, jakby składał się tylko z głowy, pazurów i głosu, przed którym uciekały psy i nie uprzedzone kobiety, trzymający się bez przerwy maminej spódnicy, i mała Kasia - biedne dziewczątko, poruszające się tylko o kulach. Cierpiała, lecz uśmiech rozjaśniał bladą twarzyczkę i fiołkowe oczy o długich jedwabistych rzęsach, a słowa gniewu lub skargi nigdy nie pojawiały się na jej ustach. Dwaj leniwi - to najmłodszy, Sybrandt - nicpoń zbyt lubiący zabawę, i Korneliusz - najstarszy, który miał własne plany (trzymał się domu) i czekał na spadek. Wyczerpani ciągłym wysiłkiem, a nade wszystko zniechęceni moralnym i fizycznym kalectwem będących im ciężarem dzieci, zmartwieni rodzice mawiali często: „Co je czeka, gdy my już nie będziemy mogli zapewnić im opieki?” Gdy już powtórzyli to wiele razy, rozjaśnił się nagle ich domowy horyzont. Mawiali dalej w ten

sposób, bo przyzwyczajenie jest drugą naturą, ale wyrażali to pełne troski zdanie już na pół mechanicznie, dodając pogodnie i wesoło: „Chwała świętemu Bawonowi i wszystkim świętym, mamy przecież Gerarda”.

Młody Gerard żył latami własnym życiem i na uboczu, nie budząc w rodzicach ani obaw, ani wielkich nadziei. Nie niepokoił się, bo miał zamiar obrać stan duchowny, a Kościół potrafił zawsze utrzymać swe dzieci, nie przebierając w środkach. Nie żywili także wielkich nadziei, ponieważ rodzina nie miała powiązań z możnymi tego świata, aby zapewnić mu prebendę, zaś obyczaje młodzieńca były lekkomyślne, niepoważne - nasz sukiennik mógłby tolerować je co najwyżej u przyszłego pomocnika w sklepie. Gerard zajmował się głupstwami: czytaniem i sztuką pisania, a tak był tym pochłonięty, że często z trudem odrywano go od ksiąg wezwaniem do posiłku. Dzień był dla niego zawsze zbyt krótki, nosił więc puszkę z hubką i krzesiwem oraz siarkowe zapalki, zebrał o ogarki świec u sąsiadów i zapalał je o najbardziej bezsensownych porach - tak, zimą nawet o ósmej w nocy, gdy sam burmistrz już spoczywał w łóżku. Do swych praktyk, w domu zaledwie tolerowanych, znajdował zachętę u mnichów z sąsiedniego klasztoru. Nauczyli go sztuki pięknego stawiania liter i kształcili dalej, póki pewnego dnia w środku lekcji nie zrobili odkrycia że uczeń przerósł mistrzów. Zwrócili mu na to żartobliwie uwagę. Chłopiec spuścił głowę i poczerwieniał. Sam to już podejrzewał, ale nie ufał swemu sądowi w materii tak delikatnej.

- Synu mój - rzekł stary mnich - jak to się dzieje, że będąc obdarzony przez Boga tak niezawodnym okiem, subtelną, a jednak mocną ręką i sercem miłującym ten piękny kunszt - jak to się dzieje, że nie zdobisz równie pięknie, jak piszesz? Zwój pergaminu wygląda ubogo, dopóki winieta z owoców i liści oraz bogate arabeski nie obrzeżą wzniosłych słów i nie zachwyca zmysłów tak, jak słowa duszę i rozum. Nie wspominam już o podobiznach zmarłych cnotliwych mężów i niewiast, którymi rozmaite rozdziały winny być ozdobione, by żywe i łagodnie zmieszane barwy nie tylko kołysy wzrok, ale i serce było pokrzepione przez wizerunki świętych w chwale. Odpowiedz mi, synu.

Gerard zmieszał się i wybąkał, że próbował parokrotnie sztuki iluminowania rękopisów, ale nie bardzo mu się to udawało. Na tym też stanęło.

Wkrótce potem zjawiał się pełen zapału przyjaciel - mecenas, nieoczekiwanie przybierając postać pewnej starszej damy. Małgorzata, siostra braci van Eycków, która ich przeżyła, porzuciła Flandrię i przyjechała doczekać końca swych dni w ojcystym kraju. Kupiła mały domek w pobliżu Tergou. Z czasem dowiedziała się o Gerardzie i obejrzała kilka jego prac. Podobały się jej tak bardzo, że posłała do niego swą służebną Reicht Heynes, aby zaprosić chłopca. Nawiązała się znajomość. Nie mogło być inaczej, skoro malutkie Tergou po

raz pierwszy posiadało aż dwoje miłośników sztuki. Początkowo starsza dama straszliwie przygasiła odwagę Gerarda. Podczas każdej wizyty wyciągała ze skrytek i kątów rysunki i malowidła. Wśród nich były jej własne dzieła, które wydawały się chłopcu doskonałością nie do osiągnięcia. Lecz podczas gdy jako artystka górowała nad nim, jako kobieta podnosiła jednak młodzieńca na duchu. Pani Małgorzata i Reieht rychło poznały go na wskroś niczym odwróconą wewnętrzną stroną na wierzch rękawiczkę. Między innymi posiadały tajemnicę, której nie udało się odgadnąć zacnym mnichom, poznały przyczynę, dla której nie próbował sztuki iluminowania.

Chłopca po prostu nie było stać na złoto, błękit ani purpurę. Mógł sobie pozwolić tylko na tanie barwniki w proszku. Bał się poprosić matkę o kupno wyszukanych farb, mając zresztą pewność, że prosiłby ją na próżno. Wtedy Małgorzata van Eyck dała mu odrobinę złota, trochę cynobru, ultramaryny i kawałek dobrego welinu, aby miał na czym malować. Niemal ją uwielbiał. Gdy wyszedł, dogoniła go Reicht ze świeczką i dwiema monetami - Gerard o mało jej nie ucałował. Ale cenniejsza nad złoto i lapislazuli była miniaturzyście sympatia, którą obdarzano samotnego entuzjastę. Sympatia już się zrodziła, a gdy chłopiec ją odwzajemnił, pomiędzy starą malarką i młodym kaligrafem rozgorzała serdeczna przyjaźń, charakterystyczna dla tamtych czasów. W owym stuleciu bowiem żadna wyraźna granica nie oddzielała sztuk pięknych od wysoko rozwiniętego kunsztu rzemieślniczego. Nie było różnic między tymi, którzy je uprawiali; w tej epoce artyści poszukiwali się wzajem i darzyli sympatią. Gdyby to ostatnie stwierdzenie zastanowiło malarzy lub pisarzy naszej doby, pozwalam sobie przypomnieć, że na samym początku nawet chrześcijanie kochali się wzajemnie.

W oparciu o tak czcigodną znajomość, pokrzepiony kobiecą sympatią, Gerard robił postępy w nauce i nabierał wprawy. Jego nastrój też poprawiał się w sposób widoczny. Odrywany do obiadu od pracy nad inicjałem „G”, oglądał się jeszcze za siebie, ale gdy już zajął miejsce przy stole, okazywał wielki talent towarzyski. Poczucie humoru, dotąd w nim ledwie kielkujące, nagle zabłysło i często rozśmieszał całe towarzystwo przy stole i podtrzymywał wesołość bądź własnym dowcipem, bądź anegdotami, olśniewająco nowymi dla kupieckiej rodziny, bo zaczerpniętymi ze starożytności.

Aby odwzajemnić się swym przyjaciom mnichom za wszystko, co im zawdzięczał, sporządził wyśmienite kopie dwóch najcenniejszych manuskryptów - żywotu założyciela zakonu i komedii Terencjusza - na dostarczonym przez klasztor welinie.

Znamienity i potężny książę Filip Dobry, książę Burgundii, Luksemburga i Brabancji, hrabia Holandii i Zelandii, pan Fryzji, hrabia Flandrii, Artois i Hainaut, władca Salins i Macklynu, był wszechstronnym człowiekiem.

Potrafił prowadzić wojny tak dobrze jak inni królowie, a w sztuce kłamstwa przewyższał go tylko król Francji. Był wyśmienitym myśliwym, umiał czytać i pisać. Jego zamiłowania były rozległe i żarliwe. Jak kobieta lubował się w klejnotach i okazałych strojach. Czule kochał panny z fraucymeru i zaiste malarstwo także, czego dowodem podniesienie do stanu szlacheckiego Jana van Eycka. Szaleńczo lubił również olbrzymów, karłów i Turków. Zawsze obok niego stali, jak wrośnięci w ziemię, lśniący od klejnotów Turcy w turbanach. Agenci królewscy zwabiali ich podstępnie ze Stambułu hojnymi obietnicami; ale gdy tylko władca miał ich w swej mocy, chrzcili brutalnie w wielkiej kadzi. Ale uczyniwszy to, pozwalał im potem kucać do woli z twarzami zwróconymi w stronę Mekki i wzywać Mahometa, ilekroć im się podobało, śmiejąc się w kułak z naiwnych, którym się zdawało, że są dalej niewiernymi. Trzymał w klatkach lwy i sforę lampartów przyuczonych przez ludzi Wschodu do polowania na zające i sarny. Słowem wielbił wszystko, co rzadkie, prócz zwykłych cnót. Był amatorem rzeczy osobliwie pięknych lub szatańsko brzydkich. Największą zaletę księcia stanowiła hojność dla biedaków, a na drugim miejscu to, że poważnie popierał sztuki. Właśnie teraz dał tego jaskrawy dowód. Wyzaczył nagrody za najświetniejsze dzieła sztuki złotniczej dwu rodzajów: religijnego i świeckiego; item za najlepsze obrazy malowane przy użyciu białka, oleju lub tempery - na desce, jedwabiu lub metalu wedle wyboru artysty; item za najlepszy witraż malowany na szkle; za najpiękniejsze iluminowanie i winiety na welinie; za najpiękniejsze, również na welinie, pismo. Burmistrzowie kilku miast otrzymali rozkaz udzielenia pomocy wszystkim uboższym współzawodnikom. Mieli przyjąć ich dzieła i przekazać je z należytą troską do Rotterdamu na koszt swoich kilku miast. Gdy wieść tę oznajmił herold na ulicach Tergou, tysiące ust otworzyło się z podziwu, a jedno serce uderzyło mocniej - serce Gerarda. Powiedział nieśmiało rodzinie, że będzie usiłował zdobyć dwie z tych nagród. Osłupieli w milczeniu, dech im zaparto jego zuchwalstwo, lecz wtem okropny chichot niczym petarda wybuchnął na podłodze. Gerard spojrzął w dół i ujrzał karła, który rozdziawiwszy usta od ucha do ucha i wyszczerzywszy kły, pękał ze śmiechu. Natura, pragnąc wynagrodzić Idziemu mały wzrost, obdarzyła go w zamian najbardziej gromkim głosem. Jego szept brzmiał jak fagot. Był jak skarłowaciałe, o szerokich lufach, moździerz na fortyfikacjach, bardziej przypominające donice niż działa, ale ryczące jak lwy.

Gerard poczerwieniał ze złości, tym bardziej że i inni zaczęli już chichotać. Bledziutka Kasia spostrzegła to i zaróżowiły się jej policzki. Powiedziała łagodnie:

- Dlaczego się śmiejecie? Czy dlatego, że to nasz brat, uważacie, że nie może być zdolny? Tak, Gerardzie, próbuj wraz z innymi.

Wiele ludzi mówi, żeś zręczny, a mama i ja będziemy prosić Przenajświętszą Dziewicę, by poprowadziła twą rękę.

- Dziękuję ci, Kasiu. Pomódl się do Matki Bożej, a mama kupi mi welin i farby do miniatur.

- Ile to będzie kosztowało, mój chłopcze?

- Dwie złote korony (około trzech szylingów i czterech pensów angielskich).

- Co? - jęknęła matka. - Za cztery pensy można mieć buszel żyta. Mam strwonić koszt miesięcznego utrzymania domu, jedzenia, mięsa i ognia na kominku na takie głupstwa! Piorun niebieski by we mnie uderzył, a moje dzieci poszłyby na żebrzy.

- Mamo! westchnęła błagalnie Kasia.

- Och, daj spokój, Kasiu - rzekł Gerard z westchnieniem. - Zrezygnuję albo poproszę panią van Eyck. Nie odmówi mi, ale wstydzę się ciągle brać.

- To nie jej sprawa - rzekła ostro Katarzyna. - Z jakiej racji ma się wtrącać do spraw moich i mego syna?

Wyszła z pokoju z silnymi rumieńcami. Mała Kasia uśmiechnęła się. Matka po chwili wróciła z łaskawą, wzruszoną twarzą i dwiema złotymi monetami w ręku.

- Masz, kochanie - powiedziała. - Nie będziesz fatygował pani ani panny służącej dla dwóch marnych koron.

Teraz jednak Gerard zaczął przemyśliwać, jak by oszczędzić matczynej sakiewki.

- Jedna korona starczy, mamu. Poproszę zacnych mnichów, aby pozwolili mi posłać moją kopię Terencjusza. Jest na śnieżnobiałym welinie i lepiej nie potrafię nic napisać. W ten sposób wystarczy mi tylko sześć arkuszy welinu na winiety i miniatury. Złoto na tło i najważniejsze farby - będzie to kosztowało jedną koronę.

- Nigdy nie ryzykuj okrętu żałując odrobiny smoły, Gerardzie - rzekła zmienna w nastrojach matka, ale zaraz dodała: - Dobrze zresztą, schowam tę koronę do kieszeni. To nie będzie to samo, jakbym włożyła ją z powrotem do skrzynki. Gdy mam podejść do skrzynki, aby z niej wyjąć pieniądze, zamiast je tam włożyć, czuję się, jakbym utoczyła nożem tyleż kropel krwi z serca. Będziesz jeszcze na pewno potrzebował tych pieniędzy, Gerardzie. Nie można nigdy postawić domu za mniejszą kwotę, niż budowniczy wyliczył na początku.

Gdy nadszedł czas, Gerard naturalnie pragnął pójść do Rotterdamu i tam ujrzeć księcia, a nade wszystko przypatrzeć się dziełom swych współzawodników i nauczyć się czegoś nawet w wypadku porażki. Toteż korona opuściła kieszeń matki bez oporów. Gerard w niedługim czasie zostanie księdzem. Powinien nacieszyć się trochę światem przed pożegnaniem jego uciech na resztę życia.

Ostatniego wieczora przed wyruszeniem w drogę Małgorzata van Eyck wezwała Gerarda do siebie i wręczyła mu list. Gdy rzucił nań okiem, ze zdziwieniem zobaczył, że był on adresowany do księżniczki Marii w pałacu wicekróla w Rotterdamie.

Dzień przed terminem przyznania nagród Gerard pomaszerował do Rotterdamu w swym świątecznym ubraniu - kubraczku z rękawami ze srebrzystego sukna i takiej samej kurcie wierzchniej bez rękawów: Od pasa do pięt odziany był w ciasno przylegające spodnie z kozłej skóry, przymocowane dzianą taśmą do kubraka, fiuty wdział spiczaste, lecz nie nad miarę, i umocowane paskiem pod stopą. Włosy spływały mu z głowy na kark, kapelusz przypiął wysoko (między łopatkami) na plecach. Z kolei Kasia przewiązała kapelusz purpurową jedwabną wstążką i opasawszy nią brata, końce związała zgrabnie na jego piersi. Poniżej kapelusza, do górnej krawędzi szerokiego pasa na biodrach, przymocował skórzaną sakiewkę.

O milę od Rotterdamu bardzo się już czuł zmęczony, ale natknął się na parę ludzi w o wiele gorszym stanie. Na skraju drogi siedział całkiem wyczerpany starzec, a młoda urodziwa niewiasta o zatroskanej twarzy trzymała go za rękę. Ludzie ze wsi przechodzili nie zauważając nic złego, ale Gerard wyciągnął wnioski. Nawet strój wiele mówi tym, którzy studiują go tak dokładnie jak mihiaturzysta. Starzec miał na sobie suknię, futrzaną opończę i welwetowy biret - jawne odznaki godności; ale jego trójkątna sakwa przy pasie była chuda, a opończa wyrudziała, futro zaś wytarte. Widać było, że jest biedny. Kobieta miała skromną szatę z grubego, wiejskiego sukna, ale śnieżnobiała chusteczka okrywała kark tam, gdzie sukienka nie dawała mu osłony, a końce jej lśniły w połowie szyi wąziutkim złotym haftem. Rodzaj jej uczesania był nie znany Gerardowi. Nie ukrywała włosów pod płótnem, lecz nosiła siateczkę ze srebrnego sznurka ze srebrnymi również ozdobami w pewnych odstępach. Lśniące kasztanowate włosy zwijały się na czole w dwie grube fale i, podtrzymane od tyłu, tworzyły bujną kształtną masę. Jednym szybkim rzutem oka zauważył to wszystko oraz bladość starca i łzy w oczach dziewczyny. Minąwszy ich, zastanowił się, po paru jardach zawrócił i przystąpił do nich nieśmiało.

- Proszę mi wybaczyć, ojcze, obawiam się, że jesteś zmęczony - rzekł.

- Tak, synu - odrzekł starzec - i omdleвам z głodu. Zachowanie Gerarda spotkało się z mniej miłym przyjęciem ze strony dziewczyny. Wydawała się zawstydzona i chłodno powiedziała, że to z jej winy - źle obliczyła odległość i nieroztropnie pozwoliła ojcu zbyt późno wyruszyć w drogę.

- Nie, nie! - powiedział mężczyzna. - To nie odległość, tylko brak pożywienia.

Dziewczyna czule i troskliwie objęła starca za szyję i skorzystała z tej okazji, aby szepnąć:

- Ojczce, to obcy młodzieniec!

Było już jednak za późno. Gerard z pełną naturalności prostotą zabrał się do zbierania chrustu. Po czym odpiął sakwę, wyjął z niej biały chleb, żelazną płaską flaszkę, którą mu dała na drogę matka, i niezniszczalną hubkę z krzesiwem, potarł zapalną, od niej zapalił ogarek świecy, wreszcie chrust i wstawił żelazne naczynie w ognisko. Położył się na brzuchu i począł rozdmuchiwać ogień. Podnosząc głowę ujrzał, że twarz dziewczyny pojaśniała. Patrzyła na jego wysiłki ze spokojnym uśmiechem. Gerard także z uśmiechem rzekł:

- Uważajcie na garnek, aby, broń Boże, nie wykopiało. Tam jest rozszczepiona gałązka, która go podtrzymuje.

Wstał i odbiegł kawałek w stronę pola, na którym rosło zboże.

Tymczasem na mule okrytym bogatym purpurowym czaprakiem nadjechał starszy, wyglądający na zamożnego, człowiek. Pękaty trzos wisiał mu u pasa, a na kołnierzu lśnił szeroki, nowy gronostaj.

Był to Ghysbrecht van Swieten, burmistrz miasta Tergou, niemłody mężczyzna o pooranej bruzdami twarzy. Notoryczny sknera, wyglądał zwykle na takiego, ale myśl o wieczery z księciem wprawiła go w nastrój oczywistego zadowolenia. Na widok wybladłego starca i jego promiennej córki przy ognisku z chrustu uśmiech zamarł mu na twarzy. Odmalowało się na niej zakłopotanie i przykrość. Zatrzymał muła.

- Piotrze! Małgorzato! - wykrzyknął niemal gniewnie. - Co to za komedia?

Piotr chciał odpowiedzieć, ale córka uprzedziła go spieszenie:

- Ojciec czuł się wyczerpany. Grzeję mu polewkę, aby nabrał sił przed dalszą drogą.

- Jakże, czy musicie się posilać przy drodze jak cyganie! - zaburczał Ghysbrecht i sięgnął ręką do trzosa. Ale ręka czuła się nieswojo. Grzebał niepewnie w sakiewce, bojąc się, aby za duża moneta nie przyłgnęła mu do palców i nie wy dostała się na wierzch.

W tej chwili nadbiegł Gerard, niosąc dwie słomki w ręku. Klęknął przy ogniu, zwalnając Małgorzatę z obowiązku gotowania; nagle, poznawszy burmistrza, splonął rumieńcem. Ghysbrecht van Swieten spojrzał na chłopca i wyjął rękę z sakiewki.

- Nie jestem tu potrzebny - rzekł gorzko i ruszył z wolna dalej, rzucając długie, podejrzliwe spojrzenie na Małgorzatę i wrogie na Gerarda. Było jednakże w tym coś, co zmusiło Małgorzatę do rumieńca i odwrócenia głowy. Tylko Gerard patrzył ze zdziwieniem.

- Na świętego Bawona, już myślałem, że stary sknera porwie naszą kwaterkę polewki - powiedział.

To wyjaśnienie dziwnego i znaczącego spojrzenia Ghysbrechta ogromnie uspokoiło Małgorzatę. Uśmiechnęła się wesoło do chłopca.

Tymczasem Ghysbrecht włókł się dalej, nędzniejszy mimo bogactwa niż tamci w ubóstwie. Najciekawsze, że muł, purpurowy czaprak i połowa złota w wypchanym trzosie należała nie do Ghysbrechta van Swieten, ale do wybladłego starca i uroczej dziewczyny, którzy siedzieli u przydrożnego ogniska żywieni przez obcego chłopca. Oni o tym nie wiedzieli, ale Ghysbrecht wiedział i nosił w sercu swego skorpiona. Ten skorpion to wyrzuty sumienia, a wyrzuty bez skruchy i pokuty są nie do uleczenia i skłaniają do nowych podłości przy świeżej pokusie.

Dwadzieścia lat temu, gdy Ghysbrecht van Swieten był surowym i uczciwym człowiekiem, zdarzyła się okazja, która stała się dla niego próbą. Popenił wówczas nikczemne łotrostwo. Sprawa wydawała się bezpieczna i dotychczas lata tego dowiodły, ale Ghysbrecht nigdy nie czuł się pewny. Dziś ujrzał młodość, przedsiębiorczość i nade wszystko wiedzę tuż przy ładnej Małgorzacie i jej ojcu, a gromadkę tę czułą zdawały się łączyć rodzinne więzy miłości. I złe duchy stały się znów jego doradcą.

ROZDZIAŁ II

- Polewka już gorąca - rzekł Gerard.

- Ale czym będziemy jedli? - zapytał pełen wątpliwości ojciec Małgorzaty.

- Młodzieniec przyniósł nam słomki - dziewczyna uśmiechnęła się filuternie.

- Och - rzekł starzec - moje biedne kości są zbyt sztywne, a żar zbyt wielki, by można klęknąć nad nim z krótką słomką. O święty Janie Chrzcicielu, ależ to zręczny młodzian! - wykrzyknął.

Ledwie starzec stwierdził tę trudność, Gerard natychmiast ją usunął. Rozplatał szybko węzeł na piersi, zdjął kapelusz, obciążył go w rogach kamieniami i owinąwszy rękę połą kurty, wyciągnął manierkę z ognia. Wcisnął ją między kamienie i z wesołym uśmiechem położył kapelusz przed nosem ojcu Małgorzaty. Starzec z drzeniem wsunął żytnią słomkę do flachy i począł ssać. Patrzcie i podziwiajcie! Jego błada, wychudła twarz zdawała się

rozjaśniać z każdą chwilą, aż całkiem rozbłysła. Wreszcie podniósł głowę i zaczerpnął powietrza.

- Na Hipokratesa i Galena!- zawołał. - Toż to soupe au vin - środek przywracający zdrowie i siły. Chwała narodowi, który ją wynalazł, niewieście, która przyrządziła tę polewkę, i młodzianowi, który przynosi ją wyczerpanym ludziom. Pociągnij łyk, córeczko, a ja tymczasem opowiem naszemu młodemu dobroczyńcy dzieje i przymioty soupe au vin. Starożytni, mój młody panie, nie znali tego wzmacniającego napoju. Nie znajdujemy o nim wzmianki ani w ich traktatach medycznych, ani w ludowych opowieściach, które odsłaniają tajemnice wielu leków znanych chirurgii i medycynie. Hektor w Iliadzie, jeżeli mnie pamięć nie myli...

- Niestety, zginął - wtrąciła Małgorzata.

- Hektor - ciągnął dalej starzec - był zaproszony przez jedną z bohaterek poematu na łyk wina; odmówił, usprawiedliwiając się, że nie może osłabiać swych sił tuż przed wyruszeniem do boju. A więc gdyby znano w Troi soupe au vin, to oczywista, że odmawiając z tego względu wypicia vinum merum, dodałby w następnym heksametrze: „Ale soupe au vin, o pani, wypiję z wdzięcznością”. Byłaby to nie tylko zwykła uprzejmość, zaleta, którą powinien posiadać każdy doskonały wódz; lecz gdyby postąpił inaczej, dowiódłby, że jest płochym i nieprzezornym człowiekiem, niegodnym, by mu poruczyć prowadzenie wojny. Albowiem ludzie idący w bój potrzebują jedzenia i wszelkiej możliwej podpory. Dowodem tego głupi wodzowie, którzy prowadząc głodnych żołnierzy do starcia z sytymi, bywali bici we wszystkich czasach przez mniej licznego przeciwnika.

Tylko przez tego rodzaju zaniedbanie legiony rzymskie przegrały wielką bitwę w północnej Italii z Kartagińczykiem Hannibalem. Ten boski eliksir w jednej chwili przywraca moc członkom i zapał duchowi. Wypity w porę przez Hektora, sprowadziłby niezawodnie z pomocą Feba, Wenus i błogosławionych świętych klęskę na Greków. Obaczcie, jak słaby, znużony i zrozpaczony byłem przed chwilą; wypilem ten boski kordiał i oto widzicie, żem dzielny jak Achilles i silny jak orzeł.

- Ojcze! Jak orzeł? Niestety!

- Rzucam, dziewczyno, wyzwanie tobie i całemu światu. Jestem gotów, powiadam, jak spieniony rumak pokonać odległość do Rotterdamu, gotowy do walki ze złem miasta; pokonam nawet ubóstwo i starość, którą niektórzy filozofowie nazwali summwn mahoń. Negatur, chyba że człek niegodnie przeżył swe lata, co mówiąc nawiasem, zdarza się nagminnie. Teraz, jeśli chodzi o nowożytnych...

- Ojcze! Kochany ojcze!

- Nie bój się, dziecko; rzeknę krótko: niesłusznie, jeszcze raz niesłusznie krótko. Soupe au vin nie występuje w nauce nowożytnej, ale jest to tylko jeszcze jednym dowodem - jeśli w ogóle potrzeba na to dowoduże przez ostatnie paręset lat lekarze stali się durniami, lecząc rosółkiem z kurcząt i wywarem ze złota, przyznając najwyższe wartości temu mięsu, które ma najmniej soków ze wszystkich mięsów, i metalowi posiadającemu najmniej zalet chemicznych ze wszystkich metali. Oszuści! Ciemięgi! Zabójcy! Skoro przeto światła mądrości u nich nie zaczerpniemy, przejdźmy do kronikarzy. Od razu stwierdzimy, że rycerz francuski Duguesclin tuż przed wyruszeniem na bój z Anglikami - w tym czasie panami połowy Francji - dzielnie walczącymi na lądzie i morzu wypił nie jedną, lecz trzy soupes au vin na cześć Trójcy Przenajświętszej. Po czym zaatakował wyspiarzy i, jak było do przewidzenia, wytłukł ich mnóstwo, a resztę zepchnął do morza. Ale był on dopiero pierwszy na długiej liście świątobliwych i walczących dzielnie mężów, których pokrzepił, wzmocnił i pocieszył ten boski trunek.

- Ojcie kochany, przyłącz się do tego czcigodnego towarzystwa, nim polewka wystygnie. - Małgorzata proszącym gestem podtrzymywała obiema dłońmi kapelusz, dopóki starzec znowu nie zanurzył słomki w naczyniu.

Uchroniło ich to od „nowożytnych przykładów” i Gerard mógł powiedzieć Małgorzacie, jak dumna byłaby jego matka wiedząc, że uczony pokrzepił się jej nalewką.

- Oj, chyba nie - odrzekła Małgorzata - zmartwiłaby się, że syn oddał wszystko, nawet nie skosztowawszy. Dlaczego przynieśliście, panie, tylko dwie słomki?

- O pani złotowłosa, miałem nadzieję, że pozwolisz mi dotknąć ustami twojej słomki, skoro są tylko dwie.

Małgorzata uśmiechnęła się i zarumieniła:

- Nigdy nie należy prosić o to, czego można zażądać - rzekła - nie moja to słomka; wyście ją, panie, ścięli na tamtym polu.

- Ściąłem ją i przez to stała się moją własnością, ale potem wasze, pani, dotknęły jej usta i przez to zmieniła posiadacza.

- Naprawdę? Pożycz ją zatem. Proszę - teraz jest znowu wasza, wasze dotknęły jej usta.

- Nie, teraz należy do nas obojga. Podzielimy ją.

- Bardzo chętnie. Czy macie, panie, nóż?

- Nie, nie przetnę jej. Mogłoby to nam przynieść nieszczęście. Przegryzę. Proszę. Zachowam moją połówkę; przypuszczam, że wy, pani, spalicie swoją po przyjeździe do domu.

- Nie znacie mnie, panie. Niczego nie marnuję. Zapewne zrobię sobie z niej szpilkę do włosów.

Odpowiedź, miast zachęcić do nowych wysiłków, przygasła nowicjusza i Gerard zamilkł. Teraz, gdy spożyto chleb i polewkę, stary uczony zaczął przygotowywać się do dalszej podróży. Trzeba było pokonać małą trudność: zręczny Gerard nie mógł zawiązać na nowo wstążki, tak jak to zrobiła Kasia. Małgorzata chytrze czas jakiś zerkając na jego wysiłki, zaofiarowała się z pomocą. Dziewczęta w jej wieku lubią być nieśmiałe i czułe, zuchwałe i łagodne na przemian, a widziała już, że jak dotąd, zbiła chłopca z tropu. Jasna główka w ciężkiej koronie kasztanowatych włosów, lśniących poprzez srebro siatki, pochyliła się ku niemu słodko, czarując oczy chłopaka, a dwie białe, giętkie rączki igrały z upartą wstążką, nadając jej należyty kształt zwiewnymi mięśniami. Boski dreszcz przebiegł ciałem niewinnego młodzieńca. W jego duszy zaświtał bladym blaskiem nowy świat uczuć i sentymentów. Małgorzata nieświadomie przedłużała działanie tych nowych i czarownych wrażeń. Byłoby nienaturalne dla jej płci, gdyby spieszyła się przy uświęconych zabiegach związanych z toaletą. Owszem, gdy cienkie paluszki ujarzmiły wreszcie końce węzła, dziewczeczka nie była jeszcze całkowicie zadowolona. Bardzo kobiecym ruchem, wygiąwszy wklęsło dłoń, przyłożyła ją, przyciskając delikatnie do środka supła. Był to słodki pocałunek rączki, jakby mówiącej: „Bądź grzeczny i trzymaj się”. Pocałunek dłoni został złożony na wstążce, ale serce chłopca zabiło radosnym odzewem.

- Teraz jest tak, jak było - rzekła Małgorzata i cofnęła się, by po raz ostatni rzucić okiem na swe dzieło. Po czym oczekując tylko uznania dla swej zręczności, napotkała spojrzenie płonące takim uwielbieniem, że musiała spuścić oczy i zarumienić się gwałtownie. Nieopisane drzenie wstrząsnęło jej ciałem; z opuszczonymi w dół rzęsami, ze zdradziecko płonącymi policzkami podeszła do ojca z drugiej strony i ujęła go pod ramię. Gerard zawstydzony, unikając jej oczu, wziął go pod drugie ramię. Dwie młode istoty, przygnębione i świadome czegoś niezwykłego, podpierały „orła” w milczeniu.

Weszli do Rotterdamu przez Schiedamzee Poort. Gerard nie znał miasta i Piotr wskazał mu drogę do Hooch Straet, gdzie znajdował się ratusz. Uczony i Małgorzata szli do kuzyna na OosterWaagen Straet, a więc już prawie od bram miasta rozchodziły się ich drogi. Pożegnali go życzliwie i Gerard pograżył się w wielkim mieście. Był teraz przeraźliwie samotny na zatłoczonych ulicach. Pożałował poniewczasie, że przez delikatność nie zapytał swych towarzyszy podróży, kim są i gdzie zamieszkają.

„Przeklęta nieśmiałość!” - pomyślał. „Mowa i wychowanie stawiają ich o wiele wyżej niż ich zasoby. Coś mi mówiło, że woleliby pozostać nie znani. Nie ujrzę jej już nigdy! Och,

świecie niedobry; Nienawidzę ciebie i twych obyczajów! Pomyśleć, że napotkałem, piękno, dobro i wiedzę - trzy kosztowne klejnoty - i nie zobaczę ich nigdy więcej!”

Popadłszy w smutne marzenia, szedł, gdzie go nogi niosły. Zabłądził, ale natknąwszy się na ludzi idących tłumnie w jednym kierunku, zmieszał się z nimi, sądząc, że zdążają do Pałacu Książęcego. Rychło jednak hałaśliwa grupa, która zagarnęła chmurnego Gerarda, dotarła nie do ratusza, lecz na szerokie błonia nad brzegiem Mozy i wyszło na jaw, co ją tam ściąga. Wszelakie gry, zapasy, szermierka, gra w piłkę, zonglowanie, ćwiczenia z kopią, kuglarstwo, łucznictwo, sztuczki akrobatyczne, w których popisywały się - wstyd mi wyznać - kobiety równie jak mężczyźni ku wielkiej ucieście zebranych. Był tam również tresowany niedźwiedź, który stawał na głowie, chodził na tylnych łapach i kłaniał się z ogromną powagą swemu panu. Był zajęty w bęben bijący i kogut, który kroczył pełen powagi i pogardy na szczudłach. Gerard uśmiechał się czasem, przyglądając się temu, ale wesoła scena nie mogła rozweselić jego serca. Gdy usłyszał, jak jakiś młodzieniec mówi do towarzysza, że książę był na błoniach, ale odszedł do pałacu, aby gościć burmistrzów, rajców oraz ubiegających się o nagrody artystów i ich przyjaciół - przypomniał sobie nagle, że jest głodny i chciałby wieczerzać z księciem. Odszedł znad rzeki i tym razem trafił już na Hooch Straet, która zaprowadziła go wnet do ratusza. Gdy dotarł do pałacu, odprawiono go najpierw przy jednych drzwiach, potem przy drugich, dopóki nie dojrzał do wielkiej bramy dziedzińca. Strzegli jej żołnierze, a pieczę nad nimi miał nadęty majordomus lśniący haftami kołnierza i złotym łańcuchem swego urzędu. W dłoni dzierżył białą laskę ze złotą gałką. Tłum ludzi przy bramie starał się zmiękczyć tę urzędową skałę. Nadchodzili kolejno jak fale i tak samo odpływali. Gerard przepchał się z trudem w poblizze majordoma i gdy był o krok od bramy, zobaczył coś, co przyspieszyło rytm jego serca. Był tam Piotr podtrzymywany przez Małgorzatę i prosił pokornie o wpuszczenie.

- Mój kuzyn, radny miejski, jest podobno tutaj. Nie ma go w domu.

- Co mnie to obchodzi, starcze - odparł odźwierny.

- Jeżeli, panie, nie pozwolicie nam wejść, proszę, podajcie mu chociaż tę tabliczkę. Patrzcie, wypisałem tu jego nazwisko; wyjdzie do nas.

- Za kogo mnie uważacie? Nie jestem na posyłki. Strzegę bramy. - Po czym nieubłagany zagrzmiał stentorowym głosem:

- Obcym wstęp wzbroniony, oprócz zawodników i ich kompanii.

- Ruszaj, stary - krzyknął głos w tłumie. - Dostałeś odpowiedź i zrób nam przejście.

Małgorzata odwróciła się, mówiąc błagalnie:

- Dobrzy ludzie, przyszlismy z daleka, ojciec jest starym człowiekiem, a mój krewny ma nowego służącego, który nas nie zna i nie chce wpuścić do domu krewniaka.

Ochryply śmiech był odpowiedzią tłumowi. Dziewczyna drgnęła jak uderzona. W tej chwili objęło ją czyjeś ramię - czarodziejski był to uścisk - jak spotkanie dwóch serc lub magnes. Odwróciła się szybko i ujrzała Gerarda. Okrzyk radości wyrwał się jej z głębi serca i zaczęła wdzięcznie zawodzić.

Była wystraszona, popychana przez tłum - niepamięć krewnego, który nawet nie uprzedził służącego o ich przybyciu, sprawiła jej głęboką przykrość, a ostrożność sługi, choć rozsądna i świadcząca o wierności panu, była niezmiernie przykra dla ojca i dla niej. Upokorzona, niespokojna i odepchnięta napotkała nagle to przyjazne ramię i twarz. *Hinc illae lacrimae.*

- Wszystko już w porządku - zauważył rubaszny dowcipniś. - Spotkała swego kawalera.

- Cha! cha! cha! - rozległo się w tłumie.

Chwyciła mocno dłoń Gerarda i odwróciła się z oczami lśnącymi od łez, mówiąc:

- Nie mam kawalera, niedobry człowieku. Ale nie mam życzliwych w waszym grubiańskim mieście, a to mój przyjaciel; ktoś, kto wie to, czego wy nie wiecie; jak traktuje się starych i słabych.

. Zapadło śmiertelne milczenie. Ludzie w tłumie byli po prostu bezmyślni, a teraz czuli, że nauczka, choć surowa, jest słuszna. Cisza umożliwiła Gerardowi pertraktację z odźwiernym. - Jestem artystą - oznajmił. Wasze nazwisko? - przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Gerard, syn Eliasza.

Odźwierny rzucił okiem na trzymany w ręku pergamin.

- Gerard Eliassen może wejść - rzekł.

- Z towarzyszącą kompanią - dwiema osobami - dodał Gerard.

- Nie, oni nie są w waszej kompanii. Przyszli wcześniej.

- Co za różnica. To są moi przyjaciele, nie wejdę bez nich.

- Zostaw ich.

- Nie zrobię tego.

- Zobaczymy.

- Zobaczymy, i to zaraz! - Gerard dobył z siebie zdumiewająco donośny głos i krzyknął na całą ulicę: - Hej! Filipie, księżę Holandii!

- Czyś szalony? - wrzasnął odźwierny.

- Oto twój sługa cię obraża!

- Cicho! Cicho!

- Nie pozwala wejść twym gościom!

- Zamilcz, zbrodniarzu, księżę jest tuż obok. Zabijesz mnie! - skamlał, trzęsąc się, odzwierny.

Starając się przekrzyknąć gromki głos Gerarda, wrzasnął nagle z całej siły:

- Rozewrzyć bramę, pachołkowie! Puśćcie Gerarda Eliassoena i jego kompanię... (Niech go diabli porwą! - dodał cicho).

Brama otworzyła się jak na skinienie czarodziejskiej różdżki, ośmiu żołnierzy do połowy opuściło dzidy, tworząc sklepienie, pod którym trójka zwycięzców tryumfalnie przemaszerowała. Gdy tylko przeszli, dzidy zwarły się w poziomym szyku, aby zatarasować bramę i przeszkodzić grubemu mieszczaninowi, który starał się wepchnąć za nimi.

Po przejściu strzeżonego portalu już tylko parę kroków dzieliło naszą trójkę od sceny pełnej wschodniego przepychu. Dziedziniec był zastawiony stołami uginającymi się pod ciężarem obfitości mięsiwa i stosów wspaniałych naczyń. Goście w bogatych i różnorodnych ubiorach zasiadali pod liściastym baldachimem ze świeżo ściętych gałęzi, przeplecionych ze smakiem złotymi, srebrnymi i niebieskimi sznurami z jedwabiu. Mieniące się barwami owoce, niektóre z nich sztuczne, ze złota, srebra i wosku, zwisały i połyskiwały jak jasne oczy pomiędzy zielonym listowiem platanów i lip. Minstrele księżęcy przygrywali co jakiś czas na lutniach, a fontanna czerwonego burgunda biła w górę sześcioma strumieniami, które splatały się i igrały z sobą w powietrzu. Wieczne słońce rzucało blask poprzez świetliste i purpurowe bicze wina, tworząc z nich strumienie i kaskady płynących rubinów, z kolei, przenikając przez nie, ubarwione krwistą czerwienią winogronowych kiści kładło szkarłatną poświatę na jasne twarze, śnieżne brody, welwety, atłasy, wysadzone klejnotami rękojeści broni, lśniące złoto, polerowane srebro, migocące szkło. Gerard i jego przyjaciele stanęli olśnieni, oczarowani. Nagle dokoła nich zaszemrał szept: „Pokłon księciu panu, pokłon księciu panu”. Rozejrzeli się: wysoko na podium stał władca witający ich uprzejmym skinieniem ręki. Mężczyźni pochyliłi się w niskim ukłonie, Małgorzata dygnęła z wdziękiem i unізieniem. Księżę odwrócił się, nie opuszczając ręki, i wskazał nowo przybyłych służbie. Siedmiu ludzi poderwało się natychmiast. Podeszli spieszenie do naszych przyjaciół, posadzili ich za stołem i ustawili przed nimi w srebrnych czarkach piętnaście różnokolorowych polewek i tyleż win w kryształowych wazach.

- O nie, ojczcie, nie zaczynajmy jeść, dopóki nie podziękujemy naszemu zacnemu przyjacielowi - rzekła Małgorzata. Ona pierwsza oprzytomniała po całym tym zamieszaniu.

- Dziewczyno, to nasz anioł stróż. Gerard ukrył twarz w dłoniach.

- Powiedźcie, jak skończycie - rzekł - wtedy będę mógł odsłonić twarz i zacząć wieczerzać, bom głodny. Dobrze wiem, kto z nas trojga jest najszczęśliwszy z powodu ponownego spotkania.

- Ja? - spytała Małgorzata.

- Nie. Proszę, zgadujcie dalej.

- Ojciec?

- Nie.

- Więc nie zgaduję, kto to może być - leciutko pisnęła ze szczęścia i radości.

Skosztowali polewki. Zniknęła uprzątnięta przez skrzętne ruchy czterestu rąk i podano na stół tuzin ryb przeróżnie przyrządzonych, z pasztecikami z homarów z migdałami lub z migdałami i śmietaną. Podano rozmaite brouets, znane u nas jako rissoles. Na trzecie danie było pieczone z dzika o boskim zapachu. Czemuż tedy Małgorzata znowu zaczęła pisać ze strachu i szczytać swego przyjaciela Gerarda? Jako że cukiernik księcia wielce był biegły, przygotował to wysmienite danie tak, by równą rozkosz sprawiało oczom jak i podniebieniu. Za pomocą palonego cukru i innych jadalnych barwników swą sztuką przywrócił zwierzowi szczęć, której go pozbawił przedtem w ogniu i w wodzie. Dla większej ponęty umieszczono starannie ogromne kły w szczęce zwierza, co nadało paszczy odyńca wyraz zachęcającego uśmiechu, w jaki odsłonięte kły przyoblekają twarz człowieka i zwierza. Oczy z barwionego cukru błyszczały w głowie zwierza. Święty Argusie! I jakie oczy! Tak lśniące, tak krwią nabiegłe i groźne, że śledziły człowieka przy każdym ruchu noża i łyżki. Ale zaiste, trzeba by pędzla Granville'a lub Tenniela, aby odmalować tę scenę: dwóch w złotych ubiorach pacholców, którzy z drugiej strony stołu kładą potwora przed naszymi przyjaciółmi z uśmiechem, zadowoleni z siebie, z usługą unizonością. Ten straszny bowiem potwór był ozdobą wszystkich dań. Stary Piotr splótł dłonie z pobożnym podziwem, Małgorzata toczyła w krąg przerażonymi oczami i, oparłszy dłoń na ramieniu chłopca, piszczała i szczypała Gerarda w ramię. Twarz chłopca promieniała naiwną rozkoszą pod dotknięciem palców dziewczyny. Bura bestia patrzyła ponuro na wszystkich, a goście śmiali się od ucha do ucha.

- Co się tam dzieje? - krzyknął książę, słysząc odgłosy niewieściego strapienia.

Siedmiu służących podbiegło gorliwie i wyjaśniło rzecz. Władca roześmiał się i rzekł:

- Dajcie jej przeto nadzienie wołowe, a mnie przynieście pana Odyńca.

Łaskawy monarcha! Nadzienie wołowe było jego ulubionym, własnym, książęcym daniem. Przy tego rodzaju wielkich okazjach pieczono całego wołu jako posiłek dla ubogich. Ale książę, równie rozsądny jak dobroczynny, wykrył, że każda dziczyzna: zając, jagnięta,

drób, wrzucona do wypatroszonej tuszy wołu, gotuje się wspaniale, zachowując własne soki i przyjmując dodatkowo soki piekącego się wołu. To właśnie nazwał wołowym nadzieniem i rozkoszował się nim jak obecnie nasza trójka. Na jego rozkaz bowiem siedmiu służących podbiegło do parującej otchłani i, zanurzwszy na chybił trafił srebrne trójzęby, wyłowiło koźlę, młodego łabędzia i pęk dzikiego ptactwa. Przysmaki te dymiły teraz parą przed Gerardem i jego kompanią. A twarz Piotra posmutniała i z lekka zasepiona po utracie dzikiego wieprza, rozpogodziła się i promieniała. Następnie podano dwadzieścia rozmaitych tortów, owoców i ziół i wreszcie w gigantycznych rozmiarach wety: katedry z cukru, wyłożone wewnątrz, malowane i pokryte płaskorzeźbą; zamki otoczone fosami i rowami naśladowane wiernie; słonie, wielbłądy, ropuchy; konnych rycerzy walczących na kopie, królów i księżniczki im się przyglądających; trębaczy dmących fanfary. Wszystkie te osobliwości były znakomite w smaku. Ich arterie wypełniono słodkowonnymi sokami - były to arcydzieła sztuki wykonane po to, by uległy zniszczeniu. Biesiadnicy łamali bastiony, schrupali rycerza krzyżowca wraz z koniem i lancą; pokruszyli biskupa, jego kapę, ornat, pastorał i wszystko bez najmniejszych wyrzutów sumienia jak kandyzowany owoc z kminkiem. Jednocześnie pociągali wina i innych trunków zaprawionych korzeniami, win greckich i korynckich. Mali Turczyńkowie w turbanach, obwieszani świecidłami, klejnotami i złotem, przemykali się tu i ówdzie, ofiarując gościom, klękawszy na jedno kolano, złote wanienki z różaną i pomarańczową wodą dla ochłody rąk i miłego ich zapachu.

Ale zanim nasze towarzystwo dojrzało do wetów, przygasły apetyty i Gerard nagle przypomniał sobie, że miał list do księżnej Marii. Cicho zapytał sługę, czy mógłby mu pomóc ten list doręczyć. Sługa przyjął pismo z głębokim ukłonem: „Nie mogę go doręczyć osobiście, ale oddam natychmiast komuś ze świty księżnej pani. Kilku jej ludzi jest gdzieś w pobliżu”.

Należy przypomnieć, że Małgorzata i Piotr przyszli tu nie na ucztę, lecz by odwiedzić krewnego. Stary szlachcic jadł z takim zapalem, że zasnął zmęczony, zapomniawszy zupełnie o krewniaku. Małgorzata mu nie przypominała - zaraz się dowiemy, dlaczego.

Tymczasem krewny siedział za ich plecami o parę ledwie stóp dalej i rozpoznał ich, gdy Małgorzata odwróciła się piszcząc ze strachu przed dzikiem. Nie odezwał się jednak do nich z zasadniczych powodów. Małgorzata była skromnie ubrana, Piotr w wyszarzałym odzieniu. Radny pomyślał: „Zawsze zdążę do nich podejść, gdy słońce zajdzie i kompania ucztę się rozproszy. Wtedy zabiorę ubogich krewnych do domu i tak będzie najrozsądniej”.

Połowa dań była stracona dla Gerarda i Małgorzaty. Oboje nie należeli do żarłoków, a teraz żywili się słodkimi myślami, co nigdy nie wpływa dodatnio na apetyt. Istnieją jednakże specjalnego rodzaju podniety, na które para młodych była może najbardziej w całym tym

zgromadzeniu wrażliwa: czar, rozkosze barwy, muzyki i woni, tak zachęcająco tutaj w jedno zespolone.

Małgorzata pochyliła się i przymknawszy oczy, szeptała do Gerarda:

- Co za cudna scena! Ciepło słońka, cień zielony, szaty bogate, wesoła muzyka lutni i chłodny szmer fontanny. Te wszystkie wesołe, szczęśliwe oblicza! I wam to, panie, zawdzięczamy!

Gerard milczał, tylko jego oczy mówiły. Widząc to Małgorzata rzekła w rozmarzeniu:

- Proszę, nie mówcie nic. Pozwólcie mi słuchać fontanny. W jakiej sztuce współzawodniczycie, panie?

Opowiedział jej.

- Znakomicie! Otrzymacie co najmniej jedną nagrodę.

- Którą? Którą? Czy widzieliście, pani, którąś z mych prac?

- Ja? Nie. Ale zdobędziecie nagrodę.

- Mam nadzieję. Ale dlaczego myślicie tak, pani?

- Ponieważ byliście tak dobrzy dla mego ojca.

Gerard uśmiechnął się wobec tej kobiecej logiki, spuścił głowę zawstydzony słodką pochwałą i zamilkł.

- Proszę, nie mówcie nic - szepnęła Małgorzata. - Powiadają, że świat jest pełen grzechu i nędzy. Czy to możliwe? Co o tym myślicie, panie?

- Nie! To stara, niemądra śpiewka - orzekł Gerard. - Poniekąd to porzekadło, które starsi powtarzają z przyzwyczajenia. To nieprawda.

- Skąd wiecie? Jesteście jeszcze dzieckiem - rzekła Małgorzata poważnie zamyślona.

- Proszę, rozejrzcie się jeno dokoła! Już myślałem, że na zawsze utraciłem cię, o pani, a oto jesteś przy mnie. Minstrele znowu zaczynają grać. Grzech i nędza? Bzdury i brednie!

Rozbrzmiały lutnie. Dziedziniec wypełnił się znowu ich delikatnymi dźwiękami.

- Co wielbisz najbardziej ze wszystkich tych piękności, Gerardzie?

- Znasz moje imię? Skąd?

- Biała magia. Jestem czarownicą.

- Anioły nigdy nie bywają czarownicami. Ale nie rozumiem, skąd...

- Głuptasie! przecież było wywołane przy bramie tak głośno, że można było ogłuchnąć.

- Zaiste. Gdzie moja głowa? Co najbardziej uwielbiam? Jeżeli usiądziecie, pani, bardziej w ten sposób, o tak, powiem ci.

- W ten sposób?

- Tak. Żeby światło padało na ciebie. O tak. Wiele tu widzę pięknych rzeczy, piękniejszych, niż mogłem sobie wyobrazić, ale dla mnie najpiękniejsze są twe śliczne włosy w srebrnym obramieniu i zachodzące słońce, co je całuje. Przypominają mi pochwałę piękności z Wulgaty: „złote jabłko w srebrnej siatce”. Jaka szkoda, że nie znałem cię, pani, przedtem, nim wysłałem moje skromne próby iluminowania. Mógłbym teraz malować o tyleż lepiej! Teraz jest już pełny blask słońca na twych włosach, niczym aureola. Tak wyglądała Matka Boska i nikt po niej aż do dziś.

- Och, nie godzi się tak mówić. Porównywać taką biedną, zwyczajną dziewczynę jak ja z Królową Niebios! Gerardzie! A ja myślałam, żeś zacnym młodzieńcem. - Małgorzata była wyraźnie wstrząśnięta.

Gerard próbował się tłumaczyć.

- Nie jestem gorszy niż inni, ale nie mogę nic na to poradzić, że mam oczy i serce, Małgorzato!

- Gerardzie!

- Nie gniewaj się!

- Czy to możliwe?

- Kocham cię.

- Och, wstydz się! Nie wolno tak mówić do mnie. - Małgorzata płonęła rumieńcem wobec tak nagłego ataku.

- Nic nie poradzę. Kocham cię. Kocham.

- Cicho! Zlituj się! Nie wolno mi słuchać takich słów od obcego człowieka. Jestem niewdzięczna nazywając cię obcym. Och, jak można się pomylić! Gdybym wiedziała, że jesteś tak zuchwały...

Piers Małgorzaty zaczęła falować, policzki pokryły się rumieńcem, zaczęła zerkać w stronę śpiącego ojca jak nieśmiałe stworzenie przemyśliwujące o ucieczce.

Teraz Gerard się przestraszył.

- Przebacz mi - powiedział błagalnie. - Jak można cię nie kochać?

- Dobrze, panie, postaram się przebaczyć ci, jesteś tak dobry w innych sprawach. Ale musisz mi obiecać, że nigdy już nie powiesz, nie powtórzysz tego.

- Daj mi rękę, jeżeli mi przebaczasz.

Zawahała się, ale w końcu powoli, z wyraźnym oporem, podała rękę. Wziął jej dłoń i zatrzymał. Gdy dziewczyna uznała, że już dość, próbowała łagodnie ją wyswobodzić. Trzymał mocno. Ustąpiła cierpliwie przed siłą. Go za sens sprzeciwiać się przemocy. Odwróciła główkę i opuściła słodko długie rzęsy. Gerard nic nie stracił przez swą obietnicę.

Słowa przestały być potrzebne, milczenie było bardziej wymowne. Natura ludzka nie zmieniła się od tamtych czasów. Jedynie obyczaje były wówczas swobodniejsze. Wtedy, jak i dziś, dziewice cofały się trwożnie przed pierwszymi słowami miłości, ale mało było pruderii i sztucznej kokieterii. Młodzi szybko czytali prawdę w swych sercach. Wszystko było pomocne Gerardowi: jego uroda, wrażliwość Małgorzaty, przekonanie o jego dobroci. W letni łagodny wieczór księżęcego bankietu wszystko dokoła skłaniało niewieścią naturę do czułości. Otwarta była droga do serca, zmysły łagodniały i poddawały się czarowi barw, wdzięcznych tonów, delikatnych zapachów. Wszystko było pomocne Gerardowi: zachodzące słońce, ciepłe powietrze, zielony baldachim, spokojna muzyka i fioletowa już teraz fontanna.

Gerard i Małgorzata siedzieli w milczeniu trzymając się za ręce. Oczy chłopca szukały z miłością jej oczu. Ona spoglądała na niego od czasu do czasu nieśmiało i błagalnie. Dwie słodkie nierozsądne łezki spływały jej po policzkach. Dziewczę uśmiechało się czarująco, gdy wysychały. Uśmiechała się często, bo schły szybko.

Słońce zaszło, zrobiło się chłodno, fontanna pluskała ciszej, młodym serca były w ciszy jednym rytmem i świat wydawał się im niebem.

ROZDZIAŁ III

Poważny siwowłosy majordomus podszedł do stołu i zapytał dwornie, czy Gerard Eliassoen jest w tym towarzystwie. Otrzymałszy odpowiedź, oświadczył:

- Księżniczka Maria chce mówić z wami, młody panie. Mam zaprowadzić was przed jej oblicze.

Wszystkie twarze natychmiast odwróciły się i pochyliły ku nim z ciekawością i zazdrością, gdy usłyszano, że młodzieniec ma pójść do księżny.

Gerard wstał posłusznie.

- Założyłabym się, że już się nie zobaczymy - rzekła Małgorzata spokojnie, lecz rumieniąc się lekko.

- Czy chcesz pani tego?- odpowiedział i szepnął jej do ucha: - To moja czcigodna księżna, ale tyś moją królową. - Potem dodał na głos: - Bardzo proszę, czekajcie na mnie, zaraz wracam.

Po odejściu Gerarda para skromnie przyodzianych gości stała się ośrodkiem zainteresowania otaczających biesiadników, gdyż byli przecież w towarzystwie młodzieńca, po którego przysłała księżna. Co widząc, Wilhelm Johnson podszedł do nich, udał, że jest zaskoczony, i zwrócił się do krewnych.

- I pomyśleć, że siedziałem tuż za wami i nie widzieliście mnie.

- Ach, nie, kuzynie, widziałam was od dawna - rzekła chłodno Małgorzata.

- Widzieliście mnie i nie odezwaliście się?

- Waszą to sprawą, kuzynie, jest podejmować nas w Rotterdamie, tak jak naszym obowiązkiem jest przyjąć was w Sevenbergen. Wasz sługa nie wpuścił nas do domu.

- Głupiec!

- Myślałam „jaki pan, taki sługa”, jako że przysłowia prawdę mówią.

Wilhelm Johnson spłonął rumieńcem. Pojął, że sprytna Małgorzata go przejrzała. Postąpił najmądrzej, jak mógł w tych okolicznościach - postanowił działać, a nie mówić. Nalegał, żeby poszli z nim natychmiast do domu, a tam okaże się, czy będą gościnnie przyjęci w Rotterdamie, czy nie.

- Któż w to wąpi, kuzynie? Któż w to wąpi? - rzekł uczony.

Małgorzata podziękowała wdzięcznie, ale wykręciła się od natychmiastowego wyjścia, twierdząc, że chce jeszcze raz posłuchać minstreli. Po kwadransie Johnson ponowił propozycję i zwrócił jej uwagę, że wielu gości już opuściło przyjęcie. Wtedy wyszła na jaw prawdziwa przyczyna.

- Postąpilibyśmy niegrzecznie wobec naszego przyjaciela. Nie będzie mógł nas znaleźć. Nie wie, gdzie zamieszkamy w Rotterdamie, a to wielkie miasto i raz już się zgubiliśmy.

- O, znajdziemy na to radę - rzekł Johnson. - Mój chłopak, hm... To znaczy mój sekretarz usiądzie tu, poczeka i przyprowadzi go do mego domu. Zamieszka u mnie, nigdzie indziej.

- Kuzynie, będziemy ci zbyt wielkim ciężarem.

- O nie, nie! Muszę was przekonać, czy jesteście gościnnie przyjmowani, czy też nie. Wy i wasi przyjaciele, i przyjaciele waszych przyjaciół, jeżeli zajdzie potrzeba. A ja dowiem się, czego księżna chciała od tego młodego człowieka.

Małgorzata uczuła dreszcz radości na myśl, że Gerard zamieszka z nią pod jednym dachem, ale żywiła lekką obawę.

- A jeżeli wasz sekretarz będzie tak lekkomyślny, że pójdzie się bawić i Gerard go nie spotka?

- Bawić się? Opuścić miejsce, gdzie mu rozkażę pozostać? Hej, Hans Cloterman, do mnie!

Ukazała się postać przyodziana w czarne grube sukno i ciemnofioletowe spodnie, postąpiła dwa kroki w przód i zastygła bez ruchu przed nimi. Namaszczony, uważny młody

człowiek stał jak posąg sztywnej poprawności. Na ten widok uszczęśliwiona Małgorzata z trudem zachowując powagę szepnęła Johnsonowi:

- Mogłabym za niego ręczyć głową. Jesteśmy na wasze rozkazy, kuzynie, gdy tylko wydacie mu polecenia.

Rozkazano Hansowi, by siedział przy stole, czekał na Gerarda i przyprowadził go na Ooster Waagen Straet. Odpowiedział nie słowem, lecz czynem, zasiadając spokojnie na wskazanym miejscu.

Małgorzata, Piotr i Wilhelm Johnson wyruszyli razem w drogę.

- Rzeczywiście, czas już, żebyś wypoczął w łóżku, ojcze, po podróży - rzekła Małgorzata, która od dawna już o tym myślała.

Hans Cloterman poważny i urzędowy siedział, czekając na Gerarda. Płynęły minuty, nie budząc jednak niecierpliwości w doskonałym młodzianie. Johnson oddał mu należną sprawiedliwość, wybuchając pogardliwym śmiechem na myśl, że jego sekretarz mógłby opuścić stanowisko, zaniedbać obowiązek dla gier i zabaw, powodowany młodzieńczą wesołością i płochością.

Gerard jednak nie wracał długo. Cierpliwy Hans, skoro nie spoczywało już na nim oko pana, zaczął sobie umilać czas wychylając uroczyście, cichaczem, w krótkich, lecz systematycznie odmierzonych odstępach po pucharze korsykańskiego wina. Wino było mocne i mocną głowę miał Cloterman. Dopiero po godzinie nieobecności Gerarda wzorowy sekretarz pojął nagle, że Opatrzność oczekuje od Clotermana wypicia za zdrowie wszystkich dobrych kompanów i nommement za obecnego księcia Burgundii. W tym zamiarze napełnił dziewiątą szklanicę, począł wstawać wielce ostrożnie, uroczyście i powoli. Wyprostował się i w tym momencie runął nagle na trawę z pucharem w rękę, opryskując chłodnym winem kilka sąsiednich nóg, których posiadacze podskoczyli. Ani jeden muskuł nie drgnął jednak na długiej twarzy Hansa, która mimo kompletnej utraty świadomości zachowała wyraz powagi, ważności i nieomyślności.

Majordomus powiódł Gerarda przez kilka korytarzy do drzwi pałacowego skrzydła, gdzie na warcie, strzegąc prawowitej następczyni tronu, siedziało kilku młodych szlachciców, strojnych w hafty i pióra. Grali w karty przy czerwonym blasku trzymany przez służbę pochodni. Słyszając szept majordomusa, jeden z nich wstał niechętnie, popatrzał na Gerarda z wyniosłym, zdumieniem i wszedł do budynku. Wrócił wkrótce i skinąwszy na przybyszów, poprowadził ich przez pasaż do przedsionka, gdzie siedziało znowu trzech młodzieńców przybranych w pióra, futra i hafty, jakby prezentując galanteryjne towary. Pograżeni byli w studiowaniu kształcącej i budującej gałęzi wiedzy; grali w kości.

- Nie można już wejść do księżniczki. Jest za późno - odezwał się jeden.

Inny potwierdził.

- Przeszła tędy ze swą opiekunką. Poszła już spać; do diaska! Znowu dwa oczka.

Gerard chciał już wracać, ale majordomus z niedowierzającym uśmiechem odpowiedział:

- Ten młody człowiek przybył na rozkaz księżny. Bądźcie łaskawi zaprowadzić go do jej fraucymeru.

Na te słowa wspaniały Adonis podniósł się z obrażoną miną i wpuścił Gerarda do pokoju, gdzie siedziało lub ospale poruszało się jedenaście dam, trajkocząc jak sroczki. Dwie, pracowitsze od innych, bawiły się w cat'scradle - przerzucanie skomplikowanych figur ze sznurka z rąk jednej osoby na ręce drugiej. Paluszki miały równie zwinne jak jęczyczki. Na widok obcego wszystkie jednocześnie umilkły jak kółeczko skomplikowanej maszyny, wszystkie zwróciły oczy w stronę Gerarda, jakby to samo pociągnięcie sznurka, które zahamowało ich języki, uruchomiło źrenice. Gerard, już przedtem onieśmielony, napotkawszy tę baterię oczu, wbił wzrok w ziemię. Wtedy dworki - jak zajęczek, który biegnąc przez most wypłoszył żaby czmychające w wodę i spostrzegł, że istnieje stworzenie, które on może przestraszyć - zachichotały i odzyskały odwagę. Ale ochmistrzyni powiedziała surowo Mesdcones!- i przygasły wszystkie naraz, jakby pociągnięto za sznurek skromności. Ta sama ochmistrzyni zabrała Gerarda i ruszyła przodem, milcząc uroczyście. Młodzieniec szedł za nią z ciężkim sercem i miał prawie ochotę uciec stamtąd. - Jacy muszą być książęta - myślał - jeśli dworzanie są tak onieśmielający? Na pewno nauczyli się tego od panów.

Ochmistrzyni przerwała te rozmyślania wprowadzając go do komnaty, w której siedziały trzy damy z robótką i śliczna dziewczynka grająca na lutni. Damy były ubrane bogato, ale bez ostentacji. Ochmistrzyni podeszła do jednej, która obrębiała chusteczkę, i powiedziała cicho parę słów. Dama odwróciła się z uśmiechem ku Gerardowi i skinęła, aby się zbliżył. Nie wstała z miejsca, ale odłożyła robótkę, a jej lekkie ruchy były pełne wdzięku, swobody i dworności.

- Małgorzata van Eyck jest moją dawną przyjaciółką. Bardzo ucieszył mnie jej list i wdzięczna ci jestem, panie, za doręczenie. - Mario, kochanie, to ten młodzieniec przywiózł ci tę piękną miniaturę.

- Dziękuję ci, panie, stokrotnie - rzekła dziewczynka.

- Jestem rada, że uważasz się za dłużniczkę naszego przyjaciela, najmilsza. Powinnyśmy odwzajemnić się mu jakąś małą przysługą

- Zrobię dla niego wszystko.

- Wszystko to znaczy nic - rzekła spokojnie hrabina Charolais.

- Tak, ale ja chcę... Co mogę zrobić dla ciebie, panie? Gerard zrozumiał, w jak wysokim znalazł się towarzystwie.

- Miłościwa księżniczko - rzekł łagodnym i trochę drżącym głosem - tak mały trud nie zasługuje na nagrodę.

- Ale trzeba słuchać mamusi. Wszyscy na świecie muszą słuchać mamusi.

- To prawda. Wynagrodź mnie zatem, miłościwa panienko, jeśli wola, śpiewając stancę, którą przerwałem moim wejściem.

- Kochasz muzykę, panie?

- Uwielbiam.

Mała księżniczka spojrzała pytająco na matkę, która przyzwoliła uśmiechem. Dziewczę ujęło lutnię i zaśpiewało modną romancę. Mimo swych dwunastu lat była wykształconą i sumienną artystką. Jej mała łapka uderzała w struny odważnie, z precyzją i wydawała tony arpeggio czyste i jasne jak migotliwe gwiazdy. Najbardziej czarujący był jednak jej głos. Niezbyt silny, ale miękki, czysty, pełny i dźwięczny jak dzwoneczek. Śpiewała skromnie, lecz śmiało, nie znała jeszcze żadnych efektownych sztuczek. Była za młoda na teatralne efekty, nawet na sentymentalizm, nie było w niej nic wymuszonego. Przez jej maleńkie usta przemawiała natura. I piosenka była równie czysta jak jej wykonanie. Nie było w niej żadnych sztucznych przerw ani tych jęklowych tonów, które obecnie tak drogo sprzedają italscy śpiewacy, choć każdy szakal w Indiach dostarcza ich co noc gratis swym słuchaczom, czasem otrzymując w zamian zasłużoną kulę z ich ręki. Nie było w pieśni księżniczki kadencyj ani fiorituri - wyświechtanych, napszonych, marnych dodatków dzisiejszych pień, owego wodnistego mleka, którym nierozumni muzycy i bezmyślni poeci gaszą ogień, wypłukują barwę, zabijają melodię i myśl.

Czyste i łagodne tony płynęły z dźwięcznej młodej krtani i oczy Gerarda nappełniły się łzami. Księżna obserwowała go bacznie, bo jeśli zwykłą rzeczą były głośnie komplementy dla księżniczki, rzadko chwaliły ją oczy i twarze. Gdy głos zamilkł i przestały dźwięczeć struny, pani zapytała poważnie:

- Gzy podobało ci się, młodzieńcze?

Gerard drgnął, słowa spłoszyły czar i ściągnęły go z powrotem na ziemię.

- O pani - zawołał - zaprawdę tak śpiewają cherubiny i serafiny, czarując świętych w niebiosach.

- Podzielam w części twą opinię, młody, przyjacielu - rzekła wzruszona księżna. Spojrzała z miłością i szlachetną dumą na córkę. Było to niebiańskie spojrzenie, właściwe

oczom ludzi niedługo żyjących, gdy spoglądają na innych, którzy również długo nie pozostaną wśród żywych.

Księżna podjęła rozmowę:

- Moja stara przyjaciółka prosi mnie o zajęcie się wami, młodzieńcze. Pierwszy to raz zrobiła nam zaszczyt zwracając się z prośbą i jej życzenie jest dla mnie święte. Macie, panie, święcenia kapłańskie?

Gerard skłonił się.

- Chyba nie jesteście jeszcze księdzem, wyglądacie tak młodo.

- O nie, pani! Nie jestem nawet subdiakonem. Zaledwie lektorem. Ale za miesiąc zostanę egzorcystą, a w niedługim czasie akolitą.

- Dobrze, monsieur Gerard, przy waszych zdolnościach łatwo będzie wam uzyskać niższe święcenia. I proszę to uczynić. Zaraz po odprawieniu pierwszej mszy postaram się wam o prebendę.

- O pani!

- Mario, pamiętaj, że obiecałam to równie w twoim imieniu, jak i w moim.

- Bądź spokojna, mamusiu, nie zapomnę. Ale jeśli on zechce posłuchać mojej rady, powinien zostać biskupem Liège. Biskup Liège to piękny biskup. Jak to, nie pamiętasz go, mamusiu, gdy byliśmy w Liège? Był wspanialszy niż mój dziadek. Miał wysoką koronę, rozciętą przez środek - pełna była najcudowniejszych klejnotów. Szata i płaszcz z, szerokim malowanym szlakiem sztywne były od złota. Ale najpiękniejsze miał rękawiczki. Ty nie masz takich rękawiczek, mamusiu. Haftowane i usiane klejnotami, woniały cudnym pachnidłem. Cały czas wahałam je w czasie błogosławieństwa, gdy trzymał mi ręce nad głową. Kochany staruszek! Myślę, że prędko umrze - większość starych ludzi umiera - i wtedy, panie, możecie zostać biskupem i nosie..

- Powoli, Mario, powoli; biskupstwa są dla starszych panów, a ten pan jest młody.

- Nie jest bardzo młody, mamusiu.

- Zwłaszcza w porównaniu z tobą, Mario?

- Mamuś kochana, on jest bardzo dobry. Jestem pewna, że jest dość dobry na biskupa.

- Niestety, księżniczko, myli się pani - wtrącił Gerard.

- Tego nie wiem, monsieur Gerard, ciekawa jestem tylko, na jakiej podstawie księżniczka tak śmiało określa wasz charakter.

- Mamusiu, nie przyjrzałaś się jego twarzy - księżniczka uniosła - brwi zdziwiona brakiem spostrzegawczości matki.

- Przepraszam cię - rzekła księżna - przyjrzałam się. Tak więc, panie, jeżeli nie działałam tak szybko jak moja córka, proszę, przypiszcie to memu wiekowi, a nie brakowi zainteresowania waszą pomyślnością. Prebenda będzie początkiem nowej drogi życia.

Muszę się postarać, aby nie leżała zbyt daleko od... Jak się nazywa ta miejscowość?

- Tergou, pani.

- Ksiądz wielu rzeczy musi się wyrzec - mówiła dalej księżna - obawiam się, że wielu dowiaduje się o tym za późno, bardzo wielu.

Spojrzała na Gerarda z łagodnym współczuciem, nieco zdziwiona, że zrezygnował z niebiańskiego szczęścia, które mogła mu dać kobieta, i z radości ojcostwa.

- Będziesz, panie, blisko swych przyjaciół. Czy masz matkę?

- Tak, pani. Bogu niech będą dzięki.

- Dobrze. Otrzymasz kościół blisko Tergou. Twoja matka będzie mi za to wdzięczna.

A teraz, panie, nie chcemy zbyt długo pozbawiać twego towarzystwa tych, którzy mają do tego większe od nas prawo. Księżno, bądź łaskawa polecić jednemu z paziów, by odprowadzili naszego gościa z powrotem do sali, gdzie uczują. Trudno tam trafić.

Gerard skłonił się hrabinie i księżniczce i zawrócił ku wyjściu.

- Mam nadzieję, że będzie to piękne probostwo - powiedziała księżniczka ze ślicznym uśmiechem do odchodzącego chłopca. Zaraz jednak potrząsnęła główką z wyrazem poważnej wątpliwości. - Ale lepiej byłoby, żebyście zostali, panie, biskupem Liège.

Gerard szedł za nowym przewodnikiem z sercem przepelnionym wdzięcznością. Zanim jednak powrócił na ucztę, ogarnęło go przygnębienie. Umysł człowieka, który prowadził dotąd spokojny, monotony tryb życia, niełatwo może zachować równowagę w natłoku sprzecznych wrażeń i ulega raczej każdemu z nich po kolei. Gdy Gerard był u księżny, opanowało go bez reszty podniecenie z powodu nowej sytuacji, nieoczekiwanej obietnicy, myślał o zaszczycie i radości, którą przyniesie do domu. Teraz odezwała się z kolei namiętność. Jakże! Miałby się wyrzec Małgorzaty, której delikatną rączkę czuł jeszcze w swojej dłoni, a głębokie spojrzenie w sercu? Zrezygnować z niej i z całego ofiarowanego mu dziś przez nią świata miłości i szczęścia?

Ale gdy zmiana uczuć nastąpiła, tak była gwałtowna, że natychmiast postanowił nie mówić w domu o przyobiecanej prebendzie. „Księżna jest taka dobra - myślał - ma sto sposobów, gdy zechce dopomóc fortunie młodego człowieka. Nie będzie mnie zmuszała, bym został księdzem, gdy się dowie, że kocham dziewczynę. Można by sądzić, że już wie o tym. Tak dziwnie na mnie spojrzała, gdy rzekła, że ksiądz wielu, bardzo wielu rzeczy się wyrzeka. Śmiem sądzić, że znalazłaby dla mnie miejsce w pałacu”. Uspokoiwszy umysł tą pełną

nadziei refleksją, podziękował przewodnikowi przy wejściu na salę bankietową i pobiegł chyżo ze lśnącymi oczami do Małgorzaty. Zbliżył się do stołu i spostrzegł, że odeszła, a z nią Piotr. Nie było w ogóle nikogo przy stole. Jedyne jakiś skromnie przyodziany jegomość pijany jak bela stoczył się właśnie pod stół. Parę osób próbowało go podnieść i odciągnąć gdzieś dalej.

Gerard nigdy by nie odgadł, jak ważny był dla niego ten pijanica o poważnej twarzy. Szukał „piękności”, znalazł „bestię”. Przebiegł jak szalony dokoła całej sali, prawie już próżnej. Dziewczyny nie było. Wyszedł z pałacu. Na zewnątrz tłum gapiów obserwował dwa ogromne półkoliste okna, co dopiero oświetlone ponad wejściem. Zapytał ludzi, czy nie widzieli starego człowieka w todzie w towarzystwie ślicznej dziewczyny. Wybuchnęli śmiechem. Patrzyli na te nowe światła, które noc zamieniały w dzień. Nie zwracali sobie głowy starcami i młodymi dziewczuchami, które można oglądać co dzień. Od innej grupy dowiedział się, że niedaleko stąd, pod namiotem, grają misterium i wszyscy poszli je podziwiać. Napełniło go to nową nadzieją. Poszedł obejrzyć misterium.

W tym przedstawieniu Boskie osobistości, zbyt święte, bym odważył się tu je wymienić, złączyły niezdarnie z niebios na ziemię, aby prowadzić sofistyczne dyskusje z Cnotami Głównymi, dziewięcioma Muzami i siedmioma Grzechami Śmiertelnymi, które przybrawszy ludzkie kształty, były dość podobne jedne do drugich. Aby ożywić tę nudną gadaninę, Księżę Piekieł galopował po scenie, a za nim diablik, który mu bez przerwy dokuczał i okładał go pęcherzem. Przy każdym takim trzepnięciu tłum szalał. Gdy Grzechy zaprezentowały już sporo sprośności, a Cnoty odglądziły swoje, niebianie wraz z dziewięcioma Muzami ostrożnie, po jednym, poczęli wracać do Niebios. Albowiem mieli tylko jedną chmurę, którą dwaj cieśle taszczyli do góry wraz z jej nadnaturalnym ciężarem i ściągali potem w dół za pomocą kołowrotu na oczach publiczności. Gdy postacie zniknęły, otworzyła się pośrodku sceny bezdenna, ziejąca płomieniami jama. Cieśle z pomocą Cnót pospychali Grzechy do jamy. Potem Cnoty, Belzebub i jego dręczyciele płasali wesoło dokoła miejsca wiecznej kaźni w takt piszczalki i baskijskiego bębenka.

Widowisko to zostało napisane przez biskupa gandawskiego. Miało szerzyć uczucia religijne, oddziałując na zmysły, i było zwykłym rodzajem przedstawienia teatralnego tak długo, póki teatr był w rękę kleru. Z czasem osoby świeckie zajęły się wystawianiem sztuk i w ten sposób teatr - jak pouczono mnie z katedry - stał się bezbożny.

Nigdzie w tłumie nie było Małgorzaty, więc Gerard nie był w stanie cieszyć się przedstawieniem. Wyszedł pośrodku najbardziej podziwianej części dialogu, w którym Sprawiedliwość przechytrzyła Szatana. Przewędrował wiele ulic, ale nie mógł odnaleźć tej,

której szukał. Wreszcie, śmiertelnie znużony, poszedł do gospody i spał aż do świtu. Cały następny dzień szukał jej smutny i zrozpaczony, ale nie mógł odnaleźć ani dziewczyny, ani jej ojca, ani nawet najmniejszego śladu. Pomyślał, że Małgorzata zwodziła go lub rozmyśliła się. Teraz ogarnął go prócz smutku - gniew. Znowu los okpił go: przyjął to prawie z nienawiścią. Wreszcie trzeciego dnia, przebiegłszy raz jeszcze wszystkie ulice miasta, postanowił: nie ma jej w mieście, nie zobaczę jej już nigdy. Pójdę do domu. Udał się w drogę do Tergou z obietnicą łaski królewskiej, piętnastoma sztukami złota w sakiewce, złotym medalem na piersi i z sercem ciężkim jak bryła ołowiu.

ROZDZIAŁ IV

Dochodziła czwarta po południu. Eliasz siedział w sklepie. Jego najstarsi i najmłodszy synowie byli poza domem. Katarzyna z małą, ułomną córeczką niepokoiły się już od dawna o Gerarda i teraz wyszły kawałek drogą, licząc, że może szczęśliwym trafem dojrzą go z daleka. Idzi został sam w jadalni, którą opiszę wraz z meblami i karłem.

Holendrzy byli zawsze twórczym i przodującym narodem. Przypisują sobie wynalazek druku (czcionek drewnianych), olejnego malarstwa, wolności, bankierstwa, ogrodnictwa itd. Ale ponad wszystko, na lata jeszcze przed moją opowieścią, wynaleźli czystość. Tak więc w czasach gdy angielska szlachta w welwetowych kaftanach i śpiczastych butach wędrowała po klepiskach zasłanych gnijącym sitowiem, po plugawym śmietniku kości, psujących się resztek, płwocin, psich odchodów i wszelakich obrzydliwości - podłoga w tej kupieckiej jadalni w Tergou była wyłożona holenderskimi kaszlami, tak wymytmymi i lśniącymi, że można by na nich jeść. W jadalni było jedno wielkie okno, masywne; kamienna framuga, pokryta płaskorzeźbą, dzieląca je przez środek, przypominała krzyż i była jak krzyż traktowana przez mieszkańców domu, którzy zwracali ku niej oczy w czasie modłów. Wąskie blaszki ołowiane spajały maleńkie szybki w kształcie rombów (można jeszcze zobaczyć podobne w angielskich chatkach wiejskich). Stołki - proste i niezgrabne z wyjątkiem krzesła, którego oparcie prostopadle do siedzenia było tak wysokie, że sterczało pół jarda ponad głową siedzącego. Krzesło było dębowe, rzeźbione u góry. Miedziane wiaderko za święconą wodą ulokowano pod poręczą wraz z kropidełkiem do pryskania nią na wsze strony. Obrazu dopełniał długi, wąski stół dębowy i karzeł o zębach wbitych w jego brzeg i szponach wzniesionych w górę jak u czatującego wampira. Natura, jak się zdaje, stworzyła Idziego karłem bez premedytacji. Głowę i tors wykonała ze zwykłą starannością. Później jednak

popadła w roztargnienie i resztę pozostawiła przypadkowi. W rezultacie powstał klin podobny do człowieka, odwrócony stożek. Mógł słusznie słowami Horacego czynić naturze wyrzuty:

Amphora coepit

Institui; currente rota cur urceus exit?

Środek jego ciała był wszystkim, tylko nie środkiem jego ciężkości. Gdyby go rozciąć na dwoje, część górna ważyłaby trzy razy tyle co dolna. Ale właśnie te dysproporcje umożliwiały mu czyny, którymi mógłby zadziwić Milona. Krzepkie ramiona nie miały co dźwigać, potrafił wspiąć się na pionowy słup jak wiewiórka lub wisieć godzinami na konarze drzewa jak wiśnia na łądźce. Gdyby miał na dłoniach przyssawki, jakie mają podobno jaszczurki na łapkach, mógłby chodzić po suficie. Ten kieszonkowy atleta odczuwał obłąkańczą radość ujmując obiema rękami stół i balansując w tej pozycji, po czym szczytem rozkoszy było dlań, gdy chwytając zębami krawędź blatu i wznosząc w górę ręce, trzymał się go swymi olbrzymimi kłami jak ponura śmierć.

Ale wszystkie ludzkie radości, nawet najbardziej wzniosłe, napotykają przeszkody. Mała Kasia zaskoczyła Samsonka w tej pozycji i zdębiała. Była nieodrodną córką swej matki i serce kazało jej stanąć w obronie mebla, a przeciw dwunastoletniemu gimnastykowi.

- Idzi! Co ty wyrabiasz? Mama jest obok. Niszczysz stół.

- Idź i donieś, mała skarżypytowarkną! - Umiesz poważnie!

- Ja, poważnie? - spokojnie spytała Kasia. - A to ci nowina!

- Najlepiej w całym Tergou - zrzędził Idzi, wczepiając się znowu w krawędź stołu.

- Czyżby? - rzekła Kasia sucho. - Spostrzegła, że ironia jej nie obeszła brata. Usiadła więc cichutko i rozplakała się.

Właśnie w tym momencie pojawiła się matka. Idzi szurnął pod stół i zerknął stamtąd.

- Co się dzieje? - spytała ostro. Przenosząc doświadczone spojrzenie z Kasi na Idziego, widząc pozę, którą przyjął, i potulną minę chłopca, miała ochotę wytargać go za uszy.

- Nic, mamó - rzekła dziewczynka. - Tylko Idzi plótł głupstwa. Nie baczyłabym na to innym razem, ale byłam zmęczona i niespokojna o Gerarda.

- Niech nikt się o mnie nie martwi - rozległ się słaby głos od drzwi.

Chwiejnym krokiem wszedł Gerard błądy, zakurzony i opadł wyczerpany na najbliższe krzesło.

Rodzina witała go podniesionymi w górę rękoma i okrzykami, w których radość mieszała się z niepokojem i ciekawością.

Bieganie po Rotterdamie w poszukiwaniu Małgorzaty i długa wędrówka powrotna porządnie zmęczyły Gerarda. Ale silny młodzieniec, będąc ośrodkiem gorącego zainteresowania, szybko przyszedł do siebie: Przede wszystkim chcieli usłyszeć o nagrodach, więc Gerard opowiedział im, że pozwolono mu obejrzeć wszystkie prace wystawione na pokaz w olbrzymiej hali, nim zapadł wyrok sędziów.

- Matko! Kasiu! gdy zobaczyłem dzieła złotników, o mało nie padłem na podłogę z wrażenia. Myślałem, że wszyscy złotnicy na całym świecie nie mają tyle złota, srebra i klejnotów, takiej biegłości w rysunku i rzeźbie: Ach, zaprawdę, wszystkie sztuki są darem boskim.

Aby sprawić przyjemność niewiastom, opisał im relikwiarze, feretrony, kielichy, pastorały, krzyże, cyboria, monstrancje i inne cuda kościelne, a także kielichy, szkatułki, zegarki i zegary, łańcuchy, agrafy etc.

Słuchały, aż ślinka im do ust ciekła.

- Kasiu! Kiedy zobaczyłem miniatury z Gandawy i Brugii, straciłem nadzieję. Moje wyglądały przy tamtych jak brudne. W pierwszej chwili omal się nie rozplakałem. Potem pomodliłem się o odzyskanie ducha i byłem zdolny zachwycać się nimi, dziękować Bogu za te cudowności i modlić się za tych zręcznych, cierpliwych rzemieślników, którym zawdzięczam swoich mistrzów. Barwne prace tak były piękne, że całkiem zapomniałem o czarnobiałych. Ale nazajutrz, gdy już rozdano wszystkie inne nagrody, przyszła kolej na pismo. Jak myślicie, czyje nazwisko wywołano pierwsze?

- Twoje - rzekła Kasia.

Inni roześmieli się wzgardliwie.

- Możecie się śmiać do woli - rzekł Gerard - ale pierwszym wywołanym przez herolda nazwiskiem było imię Gerarda Eliassoena z Tergou. Stałem jak głupi. Wypchnięto mnie do przodu. Wszystko tańczyło mi przed oczyma. Klęczałem na poduszce u stóp księcia. Powiedział coś do mnie, ale tak drżałem, że nie mogłem odpowiedzieć. A on sięgnął ręką do boku, ale nie wyciągnął miecza, aby ściąć moją tępą głowę, tylko wręczył złoty medal. Oto on.

Rodzina tłoczyła się z wrzaskiem.

- I potem dał mi piętnaście wielkich, lśniących sztuk złota. Widziałem kiedyś taką jedną, ale nigdy nie dotykałem.

- Gerardzie! Gerardzie!

- Jedna dla ciebie - jesteś najstarszy. Jedna dla Sybrandta - dzieli! radośnie. Jedna dla ciebie, mały; złośliwce. Dwie dla lilijki, którą Bóg doświadczył. Jedna dla mnie na farby i

welin. Dziewięć dla tej, która nas wykarmiła i ryzykowała, by dać dwie korony biednemu Gerardowi.

Złoto ujawniło ich; charaktery. Korneliusz i Sybrandt chwycili swe monety łączywie i z zazdrością spoglądali na Kasię, która dostała dwie. Idzi toczył swoją po podłodze i kuśtykał za nią. Kasia odłożyła kule i wyciągnęła do Gerarda rączki z czułością i miłością. „Matka początkowo zupełnie osłupiała na widok stosu złota na swym fartuchu.

- Nie całuj go, Kasiu!- wykrzyknęła nagle. - To mój syn, nie twój. Gerardzie, mój chłopcze! Nie kochałam cię tak, jak na to zasługujesz.

Wtedy Gerard klęknął przed nią, a ona objęła go ramieniem i płakała z radości i dumy.

- Dobry chłopak! Dobry chłopak! - krzyknął przejęty kupiec - muszę iść i opowiedzieć sąsiadom. Gerardzie, pożycz mi medal. Pokażę go memu dobremu przyjacielowi. Piotr Buyskens stale mnie częstuje opowiadaniem, jak jego syn Jorian wygrał cynowy kubek strzelając do tarczy.

- Tak, powiedz mu, mój drogi - rzekła matka. - I pokaż jedną z tych złotych monet. Powiedz mu, że mamy jeszcze czternaście takich i skąd pochodzą. Oczywiście pamiętaj przynieść mi ją z powrotem.

- Poczekaj chwilę, ojcze. Mam jeszcze lepszą nowinę - rzekł Gerard, ciesząc się radością, którą sprawił rodzinie.

- Lepsza niż tamta? - spytał Elias.

Wtedy Gerard opowiedział swą rozmowę z księżną i rodzina nie posiadała się ze szczęścia.

- Boże, błogosław dobrą księżnę. Miej w opiece panią van Eyck! Prebenda? Nasz syn! Oto koniec trosk... Eliaszu, dobry mój mężu i przyjacielu, możemy umrzeć spokojnie, gdy nadejdzie czas. Drogi chłopiec zajmie nasze miejsce i nikt z rodziny nie będzie pozbawiony domu ani przyjaciela - rzekła wzruszona matka.

Od tego czasu uważano Gerarda za podporę rodziny. Traktowano go odrębnie, ale w innym sensie. Zawsze miał rację i nic nie było dla niego za dobre. Korneliusz i Sybrandt stawali się coraz bardziej zazdrośni i tęsknili do dnia, gdy odejdzie na swe probostwo. Wówczas pozbędą się faworyta i zaczną czerpać z kiesy księdza.

Gerard pragnął tego samego. Rana, którą mu zadała miłość, czyniła go coraz posępniejszym. Odniesiony sukces, miłość i podziw rodziców nappełniły go większą pewnością siebie i odczuwał coraz głębszą urazę z powodu niewdzięczności i nieuprzejmości Małgorzaty Ochłódł z tego powodu w ogóle dla płci pięknej i teraz ze wszystkich już powodów chciałby, przejść pośrednie święcenia i zostać księdzem. Znał już Wulgatę lepiej

niż większość kleru i studiował przepisy liturgiczne oraz dogmaty Kościoła pod kierunkiem swych przyjaciół mnichów. Podczas pierwszej lepszej sposobności, gdy biskup przejeżdżał tamtędy, poprosił o dopuszczenie do godności egzorcysty, co było święceniem trzeciego stopnia. Biskup go przepytął i natychmiast postanowił wyświęcić. Gerard musiał uklęknąć i po krótkiej modlitwie biskup wręczył mu mały manuskrypt pełen egzorcyzmów i rzekł:

- Weź to, Gerardzie, i bądź władny położyć ręce na opętanych - ochrzczonych czy katechumenach!

Młodzieniec przyjął nominację z uszanowaniem i szedł do domu obdarzony przez Kościół władzą wypędzania demonów. Wracając z kościoła do domu, spotkał Kasię o kulach.

- Gerardzie, zgadnij, kto cię szukał i posyłał po ciebie do domu? Sam burmistrz.

- Ghysbrecht van Swieten? Czego może chcieć ode mnie?

- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że ma pilną sprawę. Masz iść do niego natychmiast.

- Dobrze, jest przecież burmistrzem. Pójdę, choć mi się to nie podoba. Wiesz, Kasiu, burmistrz spojrzał raz na mnie bardzo nieprzyjazytnym okiem. Mniejsza o to, choć taki wzrok jest ostrzeżeniem dla mądrego. On na pewno wie...

- Co wie, Gerardzie?

- Nic.

- Nic?

- Pójdę już, Kasiu.

ROZDZIAŁ V

Ghysbrecht van Swieten był człowiekiem przebiegłym. Rozpoczął z nowicjuszem rozmowę na temat bardzo daleki od interesującej go sprawy.

- Kroniki miejskie - rzekł - są nagryzmołone, a inkaust zrudział od starości.

Zaproponował Gerardowi zaszczytne zadanie przepisania ich na czysto.

Gerard zapytał o wynagrodzenie.

Ghysbrecht: zaofiarował kwotę, która wystarczyłaby akurat na pióra, inkaust i pergamin.

- A mój trud, burmistrzu? - To praca na rok.. - Twój trud? Nazywasz trudem robienie znaków na pergaminie. Niewiele się przy tym napocisz, jak sądzę.

- To trud wielkiej wymagający zręczności, lepiej jest płatny we wszystkich cechach rzemieślniczych niż ciężka praca, z potem czy bez. A poza tym chodzi o mój czas.

- Twój czas? Co wart jest czas dwudziestodwulatka? - spyta! utkwivszy w Gerardzie przenikliwy wzrok, aby zauważyć efekt swych słów, dodał: - Powiedz raczej, że wyrosłeś na leniucha. Kochasz się. Ciałem jesteś wśród śpiewających mnichów, ale sercem tam, gdzie Piotr Brandt i jego rudowłosa córka.

- Nie znam Piotra' Brandta.

To zaprzeczenie utwierdziło Ghysbrechta w podejrzeniu, że pogromca demonów prowadzi podwójną grę..

- Łżesz! - krzyknął. - Czyż nie spotkałem cię przy jej boku na drodze do Rotterdamu?

- Ach tak...

- Właśnie tak! I widziano cię. któregoś dnia w Sevenbergen. - Mnie?

- Tak. W domu Piotra Brandta;

- W Sevenbergeh?.

- Tak, w Sevenbergen.

Była to próba zwana w naszych czasach „pociągnięciem za język”. Domysł podano beczelnie jako fakt, aby móc wywnioskować z odpowiedzi młodzieńca, czy był tam ostatnio, czy nie.

Rezultat podstępu zadziwił przebiegłego burmistrza. Gerard zaczął mówić drżącym głosem, z dziwnym nerwowym podnieceniem.

- Burmistrzu, nie byłem w Sevenbergen od trzech lat. Nie znałem nazwiska ludzi, z którymi mnie spotkałeś, ani nie wiedziałem, gdzie mieszkają. Czas mój jest drogi, choć wy go, panie burmistrzu, nie cenicie. Kłaniam się wam, żegnam.

Gerard wybiegł z pałającymi oczyma.

Ghysbrecht zerwał się w szalonym gniewie, lecz opadł z powrotem na krzesło.

- Nie boi się mnie. Wie zapewne coś, jeżeli nie wszystko. Zawołał w pośpiechu zaufanego sługę i powlókł go prawie do okna.

- Widzisz tego młokosa? - krzyknął. - Nie trać czasu! Śledź jego kroki! Nie pozwól, by cię spostrzegł. Jest młody wiekiem, ale stary chytrnością. Nie spuszcza go z oka dzień cały. Donoś mi, dokąd chodzi i co robi.

Sługa powrócił nocą.

- No? no? - krzyknął niecierpliwie van Swieten.

- Młodzieniec poszedł, panie, wprost stąd do Sevenbergen. Ghysbrecht jęknął.

- Do domu, w którym mieszka Piotrczarodziej...

Rozdział VI

„Zajrzyj w głąb swego serca i pisz” powiedział Herr Kant.

Kukułki na całym świecie odpowiedziały echem. Patrz w najgłębszą toń Renu, w najmętniejsze wody Tamizy i odmaluj dno. Zanurz wiadro w studnię samoułudy i to, co wyciągniesz, będzie nieśmiertelną prawdą, czy tak? Po pierwsze, żaden syn Adama nigdy w ogóle nie potrafi wszystkiego odczytać we własnym sercu - chyba dopiero po wieloletnim doświadczeniu, płynącym z umiejętności czytania w sercach bliźnich. Lecz nawet wtedy, zdobywszy roztropność i rozwagę, może ledwie z trudem odcyfrować i przesyłabizować treść swego serca. Nigdy nie czyta w nim biegle.

W połowie drogi do Sevenbergen Gerard zaglądnął do swego serca i spytał je, czemu tam właśnie idzie. Serce odpowiedziało bez chwili wahania: „Idziemy tam z ciekawości, aby dowiedzieć się, czemu nas zwiodła, pokazać jej, że nie złamała nam serca, że oboje jesteśmy zadowoleni z zaszczytów i prebendy in prospectu, że nie pragniemy ani jej, ani żadnej innej z jej płci płoczej.

Znalazł od razu dom Piotra Brandta. Dziewczyna siedziała na progu, bawiąc się igielką. Rozmawiał z nią krzepki mężczyzna, wsparty na długim łuku. Gerard na jego widok odczuł nieopisany ból w sercu. Ale człowiek odwrócił się i Gerard poznał starego, przeszło pięćdziesięcioletniego żołnierza, wyśmienitego i zręcznego strzelca, znanego w okolicy z niezwyklej siły i zręczności. Po chwili młodzieniec stanął przed nimi. Małgorzata podniosła oczy i robótka wypadła jej z rąk. Krzyknęła z lekka, poczęła na przemian błędąc i oblewać się rumieńcem. Szybko jednak opanowała te oznaki wzruszenia. Zachowała się o wiele chłodniej i obojętniej, aby pokryć okazane podniecenie.

- Jak to? Tyżeś to, panie Gerardzie? Ciekawa jestem, co też was tu sprowadza, panie?

- Przechodziłem obok i spostrzegłem was, panienko. Pomyślałem więc sobie, że przywitam się i zapytam o zdrowie ojca.

- Ojciec mój czuje się dobrze. Nadejdzie niebawem.

- Czy mógłbym pozostać, póki nie wróci?

- Wedle woli... Drogi Marcinie - zwróciła się do łucznika - wstąp do miasteczka i powiedz ojcu, że przyszedł jego przyjaciel.

- Nie twój, pani? - spytał Gerard.

- Przyjaciele mojego ojca są moimi przyjaciółmi.

- Nie jestem o tym przekonany. Przyjaciel, który obiecuje na mnie zaczekać, nie ucieka zaraz po moim wyjściu. Okrutna Małgorzato! Nie wiesz, ilekroć przebiegłem całe miasto szukając cię, i jak mnie nic nie cieszyło z tęsknoty za tobą!

- Próżne to słowa. Gdyby ci zależało, panie, na towarzystwie mego ojca lub moim, powróciłbyś. Przygotowaliśmy łoże dla ciebie, panie, w domu mego kuzyna, który bardzo cię oczekiwał. Kto wie, może i dla mnie wiele to wtedy znaczyło? Byłam w takim nastroju owego dnia. Drugi raz mnie, panie, nie usidlisz. Ani ty, ani żaden inny młodzieniec. Zapewniam cię.

- Małgorzato, wróciłem natychmiast, gdy księżna pozwoliła mi odejść, ale ciebie już tam nie było.

- Nie, nie wróciłeś, bo musiałbyś zobaczyć Hansa Clotermana przy naszym stole. Zostawiliśmy go tam, by cię przyprowadził.

- Nikogo nie widziałem prócz pijaka, który właśnie stoczył się pod stół.

- Przy naszym stole? Jak był odziany?

- Nie przyglądałem mu się. Był w ciemnych szatach... Twarz Małgorzaty stopniowo rozjaśniała się, ale zachowując jeszcze nieufność i surowość, przepytowała chłopca bystro. Gerard odpowiedział lojalnie na wszystkie pytania. Wreszcie rozeszły się chmury i zrozumieli, jak powstało nieporozumienie. Nastąpiła zmiana uczuć - wielka czułość, tym gorętsza, że przedtem zrobili sobie wzajemną krzywdę. A później, co bardziej niebezpieczne, nastąpiły wzajemne zwierzenia. Byli oboje nieszczęśliwi od tamtego czasu i nie mogliby być już w ogóle szczęśliwi, gdyby nie to cudowne spotkanie.

Gerard zauważył na stole otwarty manuskrypt Wulgaty i rzucił się nań jak jastrząb. Uwielbiał manuskrypty. Zanim jednak pochwycił książkę, dwie białe dłonie szybko zakryły stronicę i pochyliła się nad nim zarumieniona twarzyczka.

- Zabierz ręce, Małgorzato, bym mógł zobaczyć, co czytasz, bo chcę czytać to samo w domu. Niechaj spotkają się nasze dusze na świętej karcie. Nie chcesz? W takim razie muszę je stąd odpędzić pocałunkami.

Całował jej dłonie tylekroć, aż zawstydzone musiały się cofnąć. Święta księga była otwarta na wersecie: „Złote jabłko w srebrnej sieci”.

- Tak długo szukałam tego - rzekła - i wreszcie znalazłam po to, by mnie schwycono!

Z widocznym brakiem konsekwencji wskazała wiersz Gerardowi białym paluszkiem.

- Ale dziś - powiedział - wszystko jest schowane pod tym wielkim czepek.

- To zgrabny czepek, jak mi mówiono.

- Być może, ale to, co ukrywa, jest piękne.

- Nieprawda: wstrętne.
- Było piękne w Rotterdamie.
- Tak, wszystko było piękne tego dnia - rzekła z lekkim westchnieniem.

Nadszedł Piotr, serdecznie powitał Gerarda i chciał go zatrzymać na wieczerzy. Małgorzata zniknęła. Gerard wdał się w miłą uczoną pogawędkę z jej ojcem. Małgorzata zjawiała się znowu w srebrnej siatce na włosach; rzucając spojrzenia na pół filuterne, na pół nieśmiało, przemykała obok nich podając wieczerzę, promienna radością i szczęściem.

Podczas chłodnego wieczoru Gerard namawiał ją na spacer. Wymawiała się, lecz wyszła. Powiódł ją na drogę do Tergou. Oponowała, lecz poszła. Spacerowali tam i z powrotem, trzymając się za ręce; a gdy musiał odejść, przyrzekli sobie, że nigdy nie będą się już kłócić i nie dopuszczą do żadnego nieporozumienia. Przypieczętowali obietnicę długim, miłosnym pocałunkiem. Gerard pobiegł do domu jak na skrzydłach.

Od tego czasu Gerard spędzał większość wieczorów z Małgorzatą. Obustronne przywiązanie rosło i pogłębiało się. Żyli naprawdę tylko w godzinach wzajemnych spotkań. Przez resztę czasu liczyli minuty i odtrącali je od siebie.

Na początku tego głębokiego przywiązania wszystko szło gładko. Przeszkody istniały, ale wydawały się odległe i nieważkie, gdy spoglądali na nie oczyma wiary, nadziei i miłości.

Uczucia i namiętności wielu osób, które już wkrótce oburzy to przywiązanie, jeszcze się nie objawiły, ostrzegawczy dym nie zwiastował ich wulkanicznej natury i potęgi. Rzeka prawdziwej miłości płynęła równo, spokojnie, dopóki nie pogrążyła tych dwóch młodych serc w swych toniach na zawsze. A wtedy...

ROZDZIAŁ VII

Pewnego słonecznego ranka załśniły niezwyklej piękności aksamity, powiały rzadkiej wspaniałości pióra, podkowy końskie skrzeszały iskry i zadźwięczały na ulicach Tergou, a wszystkie okna i balkony były pełne podziwiających orszak twarzy. Poseł Francji jechał na łowy do pobliskiego lasu.

Poza własną świtą towarzyszyło mu kilku ludzi diuka Burgundii dla przydania gościowi splendoru i umilenia zabawy. Błazen książęcy jechał przed posłem z taką powagą i majestatyczną godnością, że towarzysząca mu szlachta wydawała się w porównaniu z nim osobami nikczemniejszego stanu. Od czasu do czasu, gdy szacunek i obawa widzów poczynały mu ciążyć, błazen staczał się z konia w taki prostacki i zabawny sposób, że nawet

poseł nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Wesołek zaś wdrapywał się z powrotem po ogonie, wywołując ogólną wesołość.

Na końcu orszaku jechał, zwracając większą jeszcze uwagę, książęcy lampart. Łowczy na flamandzkim koniu potężnych rozmiarów i siły wiózł długie pudło przymocowane do siodła wymyślnie splecionymi pasami. W tym pudle siedział skulony lśniący lampart, przykuty łańcuchem. Tłum podziwiał połyskującą sierść i cętki i tłoczył się coraz bliżej, a jeden czy dwóch dotknęło zwierza i pociągnęło go za ogon. Wtedy łowczy ryknął potężnym głosem:

- Uwaga! W Antwerpii znalazł się taki, co rzucił w niego garść prochu, a łaskawy książę obrócił w proch śmiałka.

- Olaboga!

- Mówię delikatnie. Dobry książę wtrącił go bowiem do więzienia. W podziemnym lochu szczury przez noc oczyściły kości śmiałka z ciała. Dobrze mu tak za dokuczanie biedactwu.

Rozległ się szmer grozy i mieszkańcy Tergou nie wazyli się już zaczepiać lamparta swego władcy.

Ale inne zdarzenie rozweseliło ich znowu. Oto olbrzym księcia, Węgier, mający sześć stóp i cztery cale wzrostu, uniósł się gniewem. Ogromny potwór miał, jak to bywa u olbrzymów, głos wysoki niczym ton fletu i słaby. Był próżny i nieświadomy ani tej, ani innych swych ułomności. Gdy zauważył, że Idzi siedzi wysoko na balkonie, przystanął i zaczął się z niego wyśmiewać.

- Hejże, bratku! - zapiszczał osilek - mało brakowało, żeby cię nie dojrzał, przechodząc mimo.

- Ty zaś jesteś dość paskudny na to, żeby cię zauważyć! - ryknął Idzi basem.

- Wleż mi na barki, bratku - pisał dalej tytan i wyciągnął potężne ramię, aby pomóc mu zejść.

- Chyba po to, żeby ci natrzeć uszu - ryczał karzeł. Olbrzym spostrzegł, że mały człowieczek jest popędliwy, więc drażnił go okrzykami i śmiechem. Nie rozumiał, że ludzie śmieli się nie z jego dowcipów, lecz z komicznej niewspółmierności dwóch głosów - słabego flecika giganta i głębokiego, donośnego basu karła. Góra wydawała z siebie pisk, a kretowisko grzmiało.

Ten dziwaczny duet równie dziwacznie się zakończył. Idzi stracił resztę cierpliwości i opanowania, a nie znając strachu, wskoczył rozwścieczony na kark olbrzyma, chwycił go

jedną ręką za włosy, a walił po łbie drugą. Węgier początkowo zaczął się śmiać, ale siła i gwałtowność ciosów szybko odmieniły jego nastrój.

- Cha, cha! Ach! Cha! Aj! Och! Och! Jezus Maria! Ratunku! Bo uduszę to póldiablę! Nie wytrzymam! Rozwalę ci łeb...

Skoczył dziko z powrotem pod dom z balkonem. Idzi spostrzegł niebezpieczeństwo, chwycił się na czas obiema rękami za balustradę i wdrapał się na nią właśnie w tej chwili, gdy głowa olbrzyma rąbnęła z hukiem o balkon. Tłum ryknął śmiechem, zachwycony zręcznością małego zapaśnika. Oburzony olbrzym chwycił dwóch śmieszków, zgniótł ich o siebie jak orzechy, potrząsnął i rzucił na ziemię... Katarzyna pisnęła i osłoniła Idziego, zarzucając nań fartuch, Węgier zaś gniewny pomaszerował za orszakami.

Zdarzenie pociągnęło za sobą skutki, których nie przewidywał nikt z obecnych. Miłe skutki. Mieszczanie Tergou byli dumni z Idziego i wysłuchiwali łaskawiej jego próśb o pergamin. Karzeł prowadził bowiem regularny handel tym artykułem ze swym bratem Gerardem. Zebrząc otrzymywał pergamin za darmo, a Gerard płacił mu zań miedziakami.

Tego samego dnia po południu Katarzyna gwarzyła z córką na ulubiony temat: o Gerardzie, jego dobroci, prebendzie i pięknych widokach na przyszłość dla całej rodziny.

Szczęście spadło na nich w wymarzonym kształcie. Oprócz nadziei na korzyści płynące z prebendy, i to takiej, jakiej nie powstydzą się ofiarować hrabina Charolais, grała tu jeszcze rolę kobieca radość na myśl o tym, że będą posiadać księdza, człowieka świętego w rodzinie.

- On udzieli ślubu Korneliuszowi i Sybrandtowi, mogą już pojąć, jeżeli chcą, dobre gospodynię za żony. Gerard zaopiekuje się tobą i Idzim, gdy nas nie stanie.

- Tak, mam i będziemy mogli spowiadać się u niego zamiast u obcego księdza - rzekła Kasia.

- Tak, córuś! Będzie mógł namaścić świętymi olejami mnie i ojca i zamknąć nam oczy, gdy nadejdzie godzina.

- Och, mam! Gdy upłynie wiele jeszcze, wiele lat, o to proszę niebios. Błagam cię, nie mów o tym, tak smutno mi zawsze tego słuchać. Mam nadzieję, że odejdę przed tobą, matuś kochana. Bądźmy dziś wesołe. Nie mam dziś żadnych zmartwień, żadnych. Wydaje mi się to aż dziwne, czuję się tak pogodna i szczęśliwa, że... Mam, czy potrafisz zachować tajemnicę?

- Jak nikt inny, dziecko. Dlaczego pytasz? Przecie wiesz.

- Pokażę ci coś przepięknego. Myślę, że nigdy nie widziałaś nic, co byłoby do tego podobne. Ale Gerard nigdy nie może się dowiedzieć... Chce nam na pewno zrobić niespodziankę. Ukrywa to, a czasami zabiera z sobą...

Kasia wzięła swe kule i pokuśtykała. Matka czekała podniecona i zaciekawiona. Dziewczynka wróciła rychło, niosąc coś owiniętego szmatką. Zdjęła ją i pokazała matce prześliczny obraz Dziewicy z wszystkimi insygniami, z tiarą na bogatych i pięknych włosach spływających jej na ramiona. Katarzyna patrzyła na obrazek przejęta trwogą.

- To ona! - krzyknęła - Królowa Niebios. Nie widziałam jeszcze nigdy tak prawdziwej.

- A jej oczy, matuś! Wzniesione ku niebiosom, jakby do nich tylko należały, a nie do żadnej śmiertelnej istoty. A te precudne-włosy, płonące jak złoto!

- Pomyśleć, że to mój syn potrafi na kawałku drewna przywracać, życie świętym!

- Bo on sam jest młodym świętym, mamó. Jest za dobry dla tego świata. Zeszedł tu, by odtworzyć błogosławione postacie, a potem złączyć się z nimi na zawsze.

Nie wypowiedziały jeszcze połowy zachwytów, gdy od drzwi dał się słyszeć obcy głos. Niewieściom kierowane instynktem zarzuciły.. szybko zasłonę na obraz, choć nie było widocznej po temu potrzeby. W następnym momencie, zerkając skrycie dokoła, wszedł do ich domu - po raz pierwszy od lat dziesięciu - Ghysbrecht van Swieten. Obie kobiety były tak tym zaskoczone, że spoglądanie to na niego, to na siebie wzajemnie, wyrzekły jedynie: „Burmistrz!” Wyrzekły to, tak znacząco, że Ghysbrecht był zmuszony wyjaśnić:

- Tak! Przyznaję, że ostatni raz byłem tu w nieprzyjaznych zamiarach. Mężczyźni muszą dbać o swe interesy i Eliasza były ze sobą sprzeczne. Niechaj dzisiejsze odwiedziny zatrą wrazenie ostatnich. Dziś przychodzę w waszej sprawie, nie w mojej.

Katarzyna wymieniła z córką szybkie spojrzenie pełne wzgardliwej nieufności. Znały Ghysbrechta lepiej, niż przypuszczała.. - Chodzi o waszego syna Gerarda - rzekł.

- Ach, wiem. Chcieliście, burmistrzu, żeby pracował dla miasta za darmo. Mówi! nam.

- Nie z tego przychodzę powodu. Chcę was zawiadomić, że chłopak wpadł w złe ręce.

- Broń, Panie Boże i wszyscy święci! Człowieku, nie dręcz matki! Mów szybko. Mów, dopóki nie zdążysz skłamać. Znamy cię - powiedziała Katarzyna.

Ghysbrecht pobladł, słysząc taką obelgę, i do złości, która go tu przywiodła, dołączyły się jeszcze i inne pobudki.

- A więc - szybko zaczął, zgrzytając zębami. - Wasz syn Gerard bardziej nadaje się na ojca rodziny niż na księdza. Związał się na zawsze z Małgorzatą, rudowłosą córką Piotra Brandta. Kocha ją jak krowa swe cielę.

Matka i córka wybuchnęły śmiechem. Ghysbrecht spojrział na nie.

- Wiedziałyście o tym? - spytał.

- Opowiedz tę bajkę tym, którzy nie znają mego Gerarda. Niewiasty nie istnieją dla niego - rzekła matka.

- Inne niewiasty być może. Ale ta jest lub będzie żrenicą jego oka, jeżeli ich szybko nie rozdzielicie. Nie. każcie mi niepotrzebnie tracić czasu na przyjacielskie rady. Mój sługa: po wielekroć widział ich trzymających się za ręce i wpatrzonych czule w oczy jak... Wiecie jak, pani, gdyż i ty - byłaś niegdyś młoda.

- Córku, zaczynam się niepokoić. Tak, byłam młoda i wiem, jak ślepa i szalona jest młodość. O moje serce! Słabo mi się zrobiło na chwilę. Kasiu, jeśli to prawda...

- Nie, nie! - zawołała porywczo Kasia. - Gerard mógłby pokochać dziewczynę, wszyscy młodzieńcy to czynią. Nie rozumiem co prawda, co w nich widzą... Ale gdyby Gerard pokochał, na pewno byłby nam o tym powiedział. Nie oszukiwałby nas. Matuś droga, nie patrzcie tak smutno! Gerard jest zbyt dobry na to, by mógł pokochać ziemskie stworzenie. On wielbi Matkę Bożą i świętych. O przewrotny człowieku! Pokażę ci obraz... Proszę, czy mógłby tak namalować Królową Niebios, gdyby miał ziemskie serce? Patrzcie! patrzcie! - podniosła triumfalnie obraz i w tym porywie uczucia piękniejsza, bardziej promienna, niż było lub będzie jakiegokolwiek malowidło, miażdżyła burmistrza swą wymową i kobiecym dowodem czystości Gerarda.

Burmistrz otworzył szeroko oczy i rozdziawił usta; obracał się jak chorągiewka na wietrze, od obrazu do kobiet i od kobiet do obrazu.

- No właśnie, przecież to ona! - wyrzekł sapiąc,

- Prawda? - krzyknęła Kasia i jej wrogość zmalęła. - Podziwiasz ją, panie? Wybaczam ci więc, żeś nas przestraszył.

- Czy to dom szalonych?- spytał Ghysbrecht van Swieten całkiem zbałamucony - Pokazujecie mi wizerunek dziewczyny. Powiadacie, że to on malował, i to ma być dowód, że nie może jej kochać. Dlaczego? Wszyscy artyści malują swoje ukochane.

- Wizerunek dziewczyny? - wykrzyknęła Kasia. - Wstydźcie się! To nie dziewczyna, to Matka Boska.

- Nie. To Małgorzata Brandt.

- Ślepy człowieku! To Królowa Niebios!

- Nie. Mieszczka z Sevenbergen.

- Błóżnierco, spójrz na jej koronę!

- Głupie dziecko! Przyjrzyj się jej rudym włosom! Czy kto widział czerwonowłosą świętą Dziewicę? Ona mogła sobie przecie wybrać każdą barwę dziesięć tysięcy lat przed początkiem świata.

W tym momencie zza półotwartych drzwi zajrzała czyjaś zaniepokojna twarz. Był to sąsiad, Piotr Buyskens.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał szeptem. - Słyszać was na całej ulicy. Co się tu dzieje u licha?

- Co się dzieje, sąsiedzie? Burmistrz oczernia naszego Gerarda - wyjaśniła Katarzyna.

- Czekaście! - krzyknął van Swieten. - Piotr Buyskens przychodzi w samą porę. Zna ojca i córkę. Rzucili na niego swe uroki.

- Co! Więc jest także czarownicą?

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Dlaczego nazywają jej ojca czarodziejem? Mówię wam, że tego tu człeka zauroczyli. Rzucili na niego bezbożne czary i wyleczyli go z kolek... No, Piotrze, popatrz i rzeknij mi, kto to jest? A wy, niewiasty, bądźcie cicho przez chwilę, jeśli potraficie. Kto to jest, Piotrze?

- Jakżeby - rzekł Buyskens w odpowiedzi. Wydawał się urzeczony obrazem.

- Kto to jest? - powtórzył porywczo Ghysbrecht. Piotr Buyskens uśmiechnął się.

- Sami wiecie równie dobrze jako i ja. Ale dlaczego jej włożyli koronę na głowę? Jeśli o mnie chodzi, to nigdy jej nie widział w koronie.

- Człowieku! Czyż nie możesz otworzyć gęby i wyrzec imienia dziewczuchy, zyskując wdzięczność trzech osób?

- Zrobiłbym o wiele więcej - odparł sąsiad - nawet gdyby miała mi być wdzięczna tylko jedna osoba, burmistrz. Jasne jak słońce!

- Przeklęte chłopisko! Nie może wykrztusić. Niech go licho porwie!

- Dlaczego? Cóż znów złego zrobiłem?

- Panie - odezwała się Kasia. - Zlitujcie się nad nami: czy to są rysy żyjącej kobiety, Małgorzaty Brandt?

- Zwierciadło nie może być wierniejsze, dziewczeczko. - Ale to jest ona, panie, na pewno ona?

- A któż inny mógłby to być?

- Czemuś tak nie rzekł od razu? - warknął Ghysbrecht.

- Powiedziałem tak wyraźnie, jak jeno umiałem - mruknął Piotr.

Tak się zapamiętali w tym błahym sporze, że nie zauważyli, jak Katarzyna i jej córka zarzuciły fartuchy na głowę i poczęły kiwać się w głębokiej rozpacz. Za chwilę wrócił ze sklepu Eliasz i stanął przerażony. Katarzyna mimo zakrytej twarzy rozpoznała kroki.

- Jest mój biedny mąż - zaszlochała. - Powiedzcie mu, zacny Piotrze Buyskens, bo ja nie mam odwagi.

Eliasz zbladł. Przybycie burmistrza do jego domu po tylu latach chłodnych stosunków, rozpacz żony i córki napęliły go strachem przed jakimś wielkim nieszczęściem.

- Ryszard! Jakub! - szepnął.

- Nie! Nie! - rzekł burmistrz. - Szukajcie bliżej domu. Nikt nie umarł ani nie kona, stary przyjacielu.

- Niech Bóg cię ma w swej opiece, burmistrzu. Jakieś złe przeczucie ścisnęło mi gardło. O co więc chodzi?

Ghysbrecht powtórzył mu to samo, co przedtem powiedział kobietom, i pokazał obraz na dowód.

- To wszystko? - spytał Eliasz z ogromną ulgą. - A wy tak ryczycie i zawodzicie? Dokuczliwe, przykre, ale to nie śmierć ani nawet choroba. Chłopak to chłopak. Wyrośnie z tej choroby. To nie sięga głębiej niż pod skórę.

Gdy jednak Ghysbrecht powiedział, że Małgorzata jest przyzwoitą dziewczyną, że nie sądzi, aby się zbliżyła do chłopca bez obietnicy małżeństwa, ojciec zmarszczył brwi.

- Małżeństwo? Nigdy! - rzekł stanowczo. - Nie dopuszczę do tego, choćbym miał użyć siły. Tak postąpię, jak niegdyś uczynił stary Jan Koestein.

- Co uczynił? na litość boską... - spytała matka, opuszczając nagle swój fartuch.

Burmistrz odpowiedział:

- Kazał mi zamknąć młodego Albrechta Koesteina w więzieniu na ratuszu, póki chłopak nie zmięknie. Niedługo to trwało. Czterdzieści osiem godzin w samotności o chlebie i wodzie ostudziło gorące serce. „Powiedz memu ojcu - rzekł - że jestem jego powolnym sługą, i pozwól mi wyjść na słońce jeszcze raz. Słońce jest więcej warte niż wszystkie dziewczki na całym świecie”.

- Och, okrutni mężczyźni! - westchnęła Katarzyna.

- W takiej sprawie burmistrz nie ma wyboru; takie jest prawo. Jeśli ojciec powiada: „Burmistrzu, zamknij mego syna”, burmistrz musi słuchać. Ładnie by świat wyglądał, gdyby ojciec nie mógł zamknąć własnego syna.

- Dobrze, dobrze, nie dojdzie do tego w moim i mego syna przypadku - rzekł Eliasz. - Odkąd żyje, nie był mi nieposłuszny i nigdy nie będzie. Gdzie się podziewa? Już dawno minął czas wieczerzy. Gdzie on jest, Kasiu?

- Niestety, nie wiem, ojcze.

- Ja wiem - rzekł Ghysbrecht. - Jest w Sevenbergen. Sługa spotkał go na drodze.

Ponure milczenie panowało przy kolacji. Zapadł wieczór, a Gerarda nie było, minęła ósma, a Gerarda nie było. Wtedy ojciec wysłał do łóżek całą rodzinę prócz Katarzyny.

- Pójdziemy za miasto i porozmawiamy o tej nowej trosce.

- Za miasto? O tej porze? Dokąd?

- Ano, drogą do Sevenbergen.

- Och, nie krzycz na niego, ojcze. Biedny Gerard! Nie rozgniewał cię nigdy dotąd.

- Nie obawiaj się. Ale trzeba z tym skończyć. A ja nie lubię odkładać na jutro, co mam zrobić dzisiaj.

Para starych ludzi powędrowała, trzymając się za ręce. Może się to wydać dziwne niektórym moim czytelnikom, ale chodzenie pod ramię przywędrowało do Europy dopiero parę wieków później. Małżonkowie przechadzali się długi czas w milczeniu. Noc była jasna i miała balsamiczny zapach. Takie ciche, spokojne noce wskrzeszają przeszłość.

- Wiele już lat nie przechadzaliśmy się o tej porze we dwoje - rzekła Katarzyna.

- Tak, kochanie. Więcej, niż mamy jeszcze przed sobą... Czy ten chłopak nigdy nie przyjdzie? - odparł Eliasz.

- Od czasu kiedyś się o mnie starał.

- Tak. Byłaś wtedy hożą dziewczyną.

- A ty najurodziwszym chłopakiem, na którego kiedykolwiek padło oko dziewczyny... Pewno Gerard jest teraz dla niej tym, kim ty byłeś dla mnie. Natura jest mocna i taka sama w każdym pokoleniu.

- Mam nadzieję, że już się z nią pożegnał, bo jak nie, będziemy tu czekać noc całą.

- Eliasz!

- Co, Katarzyno?

- Byłam z tobą szczęśliwa, kochany, mimo wszystkich naszych kłopotów. O wiele szczęśliwsza, przyznaję, niż gdybym... niż gdybym... była mniszką. Nie będziesz chyba surowy dla biednego dziecka. Można postępować stanowczo, ale nie surowo.

- Oczywiście.

- Czy byłeś ze mną szczęśliwy, drogi Eli?

- Przecie wiesz, że tak. Miałem wielu przyjaciół, ale w nikim takiego przyjaciela jak w tobie. Daj całusa, Katarzyno.

- Serce, z którym można dzielić radości i smutki, to wielka pociecha dla niewiasty i mężczyzny. Prawda, Eliaszu?

- O tak, moja dziewczyno. - „Radość podwójna i smutku połowa” - mówi przysłowie. I ja tak myślę, kochanie. No, idzie wreszcie głupi młodzik!

Katarzyna zadrżała i mocniej ujęła rękę męża. Księżyc świecił jasno, ale oni ukryci byli w cieniu drzew i syn ich nie widział. Szedł śpiewając i miał promienną twarz w świetle księżyca.

ROZDZIAŁ VIII

Gdy burmistrz demaskował Gerarda w Tergou, Małgorzata miała własne troski w Sevenbergen. Było to zmartwienie gospodyni, głębsze jednak, niż możemy sobie wyobrazić. Przyszła do starego żołnierza, Marcina Wittenhaagena, ze łzami w oczach.

- Marcinie, nic nie mam w domu, a Gerard przychodzi, on jest taki beztroski. Zapomina wieczerzać w domu. Ledwie skończy pracę, biegnie biedak prosto do mnie i przychodzi czasem prawie omdlały. Pomyśleć, że nie mam co podać przyjacielowi, który kocha mnie tak czule.

Marcin poskrobał się w głowę.

- A co ja mogę zrobić?

- Dziś czwartek, twój dzień strzelecki. Prawdę mówiąc, liczyłam dziś na ciebie.

- Nie - rzekł żołnierz - nie wolno mi strzelać, gdy księżę lub jego przyjaciele polują.

Przeczytaj zresztą sama, ja tam nie uczony.

Wyciągnął z torby myśliwskiej pergamin z wielką pieczęcią. Dokument potwierdzał przyznanie pensji oraz przywilej dany przez Filipa, diuka Burgundii, łucznikowi księżęcemu, Marcinowi Wittenhaagenowi, w nagrodę za usługi oddane na wojnach i za ranę odniesioną u boku księcia. Pensja wynosi cztery dukaty rocznie, wypłacane przez jałmużnika księżęcego. Przywilej pozwalał wypuścić trzy strzały raz w tygodniu, nie innego dnia niż we czwartek, w każdym lesie księcia na terenie; Holandii, do wszelkiego zwierza oprócz siedmioletniego kozła lub kornej łani; z tym zastrzeżeniem, że tego dnia ani księżę, ani nikt z jego przyjaciół polował nie będzie. W przeciwnym przypadku Marcin Wittenhaagen nie wejdzie do lasu i nie będzie przeszkadzał pod karą utraty pensji, głowy albo grzywny pieniężnej.

Małgorzata westchnęła i umilkła.

- Rozchmurcie się, panienko - rzeki - dla ciebie chętnie narażę i życie. Robiłem to dla wielu, którzy nie byli warci twego paluszka. Ryzyko zresztą nie jest takie wielkie. Pójdę jeno skrajem lasu. Bardzo być może, iż myśliwi przygonią zająca lub jelenia na odległość rażenia mej strzały.

- Dobrze, pozwolę ci pójść, jeżeli mi obiecasz, że nie zapuścisz się daleko i nie dasz się podpatrzeć; Lepiej, by Gerard został bez wieczerzy, niżby miało ci się stać coś złego, mój wierny Marcinie.

Udzieliwszy żądanej obietnicy, Marcin wziął łuk, trzy strzały i zakradł się ostrożnie do lasu. Zaledwie o staję słycać było ginący w oddali dźwięk rogów - polowanie właśnie się rozpoczynało.

„Szybko napełnię garnek - pomyślał Marcin. - Nikt mnie nie przechytry”

Zajął stanowisko za potężnym dębem zamykającym drogę do otwartej polany i założył cięciwę na swój prawdziwie groźny łuk. Była, to broń sporządzona z angielskiego, cisu, wysoka na sześć stóp i dwa cale i odpowiednio gruba.. Marcin, mężczyzna o potężnej piersi, o ramionach jak z żelaza, ćwiczony od dzieciństwa w posługiwaniu się łukiem, mógł przyciągnąć trzystopowej długości strzałę do policzka. Gdy ją wypuścił, z trudem można było dogonić pocisk wzrokiem, a cięciwa drgała jak struna harfy. Łuk ten zwałił wielu krzepkich żołnierzy w wojnach „Hoeks” i „Cobbeljaws”. W owych czasach pole bitwy nie było chmurą dymu. Niewielu było walczących, ale wielu zabitych. Widzieli swe pozycje i mniej niecelnych strzał przesywało powietrze niż teraz kul..

Podbieg! skokami zając, zrobił słupek i nastawił słuchy. Marcin zniżył ku niemu swą straszliwą broń. Śmignęła strzała, jęknęła cięciwa, ale łucznik celował zbyt pośpiesznie i chybił o cal. Zdawało się, że strzała trafiła zwierzątko, ale uderzyła o ziemię tuż obok, przeszła pod brzuszkiem jak błyskawica, świsnęła, rozdzierając niską trawę, i zniknęła. Zajączek podskoczył trzy stopy w górę i zniknął, jak umiał najszybciej.

- Partacz - mruknął do siebie Marcin.

Najlepszy dowód, że zwykłym partaczem nie był, bo ów miałby pretensję do zająca.

Ledwie założył drugą strzałę, gdy gołąb leśny siadł na wysokim drzewie, pod którym stał myśliwy. „Aha! - pomyślał - małyś, lecz smakowity”. Tym razem więcej się przyłożył, naciągnął starannie strzałę, wypuścił ją łagodnie i dojrzał z całą pewnością, jak przeszła ptaka, rozrzucając pióra jak pył po niebie. Ptak z piersią rozdartą, ale nie przebitą na wskroś, zatrzepotał słabo skrzydłami, z wielkim wysiłkiem wznosił się ponad drzewa, przeleciał około pięćdziesięciu jardów i upadł wreszcie bez życia w gęste krzaki, w których myśliwy nie mógł go dojrzeć..

„Nie mam dziś szczęścia” - stwierdził zgnębiony.

Przygotował jednak następną strzałę i przepatrywał bystro polanę. Nagle usłyszał szmer za sobą i odwrócił się na czas, aby ujrzeć wspaniałego jelenia na otwartej przestrzeni, za późno jednak, by do niego strzelić. Opuścił łuk i zaklął. W tym momencie smukłe cętkowane zwierzę przemknęło zręcznym śladem jelenia, zdając się w biegu dotykać brzuchem ziemi. Marcin poderwał łuk i rozpoznał książęcego lamparta. „Myśliwi muszą być niedaleko za nimpomyślał. Muszę uważać, by mnie nie dostrzeżono. Gerard musi odejść dziś wieczór bez wieczerzy”.

Dał susa w ślad za jeleniem i lampartem, bo tamtędy wiodła droga do domu. Niedaleko uszedł, gdy usłyszał niezwykle hałas przed sobą - szeleściły liście, dudniła ziemia. Podbiegł z pośpiechem w tę stronę. Ujrzał lamparta na grzbiecie jelenia, szarpiącego zębami i pazurami. Jeleń biegał w koło dzikimi susami, bok jego spływał krwią. Marcin powziął wtedy rozpaczliwą decyzję zdobycia dziczyzny dla Małgorzaty. Dociągnął strzałę do policzka i wypuścił strzałę w jelenia, który z drapieżką na grzbiecie skoczył wysoko w powietrze i padł martwy. Lampart szarpał go dalej, jak gdyby nigdy nic.

Marcin miał nadzieję, że bestia nażłapie się krwi i pozwoli mu zabrać mięso. Poczekał kilka minut, po czym podszedł zdecydowanym krokiem i położył rękę na nodze jelenia. Lampart ryknął straszliwie i przestał wysysać krew. Zrozumiał zamiar człowieka: był czujny i podrażniony.

Cóż począć? Marcin słyszał, że dzikie zwierzęta nie mogą wytrzymać spojrzenia człowieka. Wobec tego stanął wyprężony i utkwiał wzrok w ślepiach zwierza. Lampart obrócił nań dzikie wejrzenie i nie spuszczał ani na chwilę oka z łucznika. Gdy Marcin nie przestawał przeszywać go wzrokiem, lampart brutalnie lekceważąc prawa przyrody skoczył nań ze strasliwym rykiem, płonącymi ślepiami, rozdziawiwszy paszczę i wysuwając pazury. Łucznik ledwie miał czas uchwycić go za gardło, nim kły zwierza dosięgły jego twarzy. Pazur jednej łapy rozdarł ramię myśliwego, druga wymierzona w policzek była bardziej niebezpieczna. Marcin jednak trzymał się dawnej mody i nie nosił kapelusza, lecz nakrycie głowy z tego samego materiału co kaftan i zakładał je na głowę jak kaptur. Pazur bestii zaczepił luźną skórę. Marcin z wielkim trudem powstrzymał pazury zwierza z dala od swej twarzy i z całej siły zaciskał gardło drapieżcy, który szarpał jego bark. Jakby tępy sierp darł i miażdżył ciało. Ból był potworny, lecz nie tylko nie załamał starego myśliwego, ale wzburzył w nim krew. Marcin zgrzytał zębami z taką samą wściekłością jak dziki zwierz i dławił szyję lamparta z żelazną siłą. Dwie pary oczu płonęły utkwivszy spojrzenie w przeciwniku; Oczy człowieka były tak wściekłe jak ślepie bestii. Drapieżca poczuł, że człowiek go dusi. Dzikim

wysiłkiem próbował się uwolnić, ściągnął kaptur na twarz człowieka, oślepił go, wyrwał pazury z barku Marcina wraz z ciałem, ale łucznik nie przestał dusić zwierza żelaznymi rękami.

Długi ogon lamparta wzniesiony dotąd w górę opadł nagle.

- Aha! - wrzasnął radośnie Marcin i wzmógł śmiertelny uścisk. Ciało lamparta straciło prężność. Myśliwy trzymał już tylko zdławione i bezsilne stworzenie. Dusił je jeszcze, dopóki nie ustały drgania, rzucił cielsko zwierza na ziemię i dopiero wtedy, ciężko dysząc, zesunął kaptur.

Lampart leżał nieruchomy u jego stóp, wywalił jęzor, łapę miał skrwawioną. Po raz pierwszy groza zdjęła starego żołnierza: „Przepadłem: zabiłem księżęcego lamparta” - pomyślał. Szybko nazbierał listowia i przyrzucił nim zwierza. Potem wziął jelenia na ramię i pokuśtykał, zostawiając na drodze ślady krwi własnej i jelenia.

Wpadł do domu Piotra Brandta w okropnym stanie: krwawiący i krwią splamiony, i rzucił zabitego jelenia na ziemię.

- O nic nie pytaj - powiedział. - Upiecz mi stek, bo omdleвам.

Małgorzata nie dostrzegła, że był ranny; sądziła, że to farba jelenia.

Zakrzętnęła się przy ogniu, a krzepki żołnierz zatamował krew, skrycie opatrzył swe rany i rychło wraz z Gerardem i dziewczyną zjedli królewską kolację z pieczonej na ruszcie dziczyzny.

Bardzo byli weseli. Gerard jakby cudownie przewidział wszystko i przyniósł flaszkę schiedam. Marcin odżył pod wpływem wina i opowiedział im, jak zdobył dziczyznę. Weselili się wspólnie, podziwiając bohaterski czyn.

Lecz ich radość została nagle zakłócona. Małgorzata utkwiała w oknie przerażone oczy i policzki jej zbladły. Z trudem chwytała oddech i, nie mogąc przemówić, wskazywała drżącym palcem okno... Oczy mężczyzn skierowały się w tę stronę. Majaczył tam w półmroku ciemny kształt o ślepiach lśniących jak świętojańskie robaczki.

Był to lampart.

Podczas gdy stali nieruchomo urzeczeni zielonym płomieniem oczu, z lasu dobiegło głębokie pojedyncze ujadanie. Marcin zadrżał. - Zgubili ślad i puścili tropem ogary - rzekł. - Znajdą tu lamparta i dziczyznę. Żegnajcie, przyjaciele! Nadszedł kres dni Marcina Wittenhaagena.

Gerard chwycił łuk i złożył go w ręce żołnierza.

- Bądź mężczyzną! - krzyknął. - Zastrzel go i ciśnij w lesie, nim tu nadejdą. Kto się o tym dowie?

Ujadanie ogarów było coraz gęstsze i bliższe. - Przeklęta bestia! - krzyknął Marcin. - Raz darowałem mu życie, ale teraz musi zginąć, on lub ja, czy raczej my obaj

Podniósł łuk i przyciągnął strzałę do policzka.

- Nie, nie! - krzyknęła Małgorzata i chwyciła strzałę. Dziewczę złamało ją wpół, kawałki upadły po obu stronach łuku. Ujadanie psów gończych znowu wypełniło powietrze; były już blisko natro pie.

Cóżeś zrobiła, dziewczyno? Zacisnęłaś mi stryczek na gardle.

- Nie! - zawołała Małgorzata. - Uratowałam cię. Odejdźcie obydwaj od okna! Dajcie nóż prędko!

Chwyciła myśliwski kordelas o długim ostrzu, prawie go Marcinowi wydarła zza pasa, i wybiegła z izby. Dom był otoczony ujadającymi psami i krzyczącymi ludźmi.

Oczy płonące jak świetliki trwały na miejscu.

ROZDZIAŁ IX

Małgorzata odcięła ogromny połec dżiczyzny, podbiegła do okna i rzuciła go w zielone ogniki oczu. Zwierz chwycił mięso z dzikim warknięciem, począł miażdżyć je i rozdzierać. Gończy, ujadał już tak blisko i głośno, że dom cały, drzewo i okno odpowiadały echem. Troje ludzi przy oknie wzdrygnęło się. Wtedy lampart przestraszył się ó swą wieczrę wyslizgnął się szybko ukradkiem w stronę lasu.

Za chwilę cienie koni, ludzi i psów pędzących na łeb, na szyję, przemknęły przed oknami i z krzykiem pognały za zwierzem.

Marcin i jego towarzysze odetchnęli. Lampart gnał pędem i pościg nie mógł go dognać bliżej niż o milę od domu. Chwycili się za ręce. Małgorzata skorzystała z okazji i popłakała trochę. Gerard scałowywał jej łzy.

Zasiedli znów przy stole i Gerard wzniosł toast za rozum niewieści.

- Mocniejszy bowiem jest niż siła męża - rzekł.

- Tak - odpowiedziała Małgorzata - ale tylko wtedy, gdy niebezpieczeństwo grozi tym, których kochamy, nie inaczej.

Tego wieczora Gerard pozostał z nią dłużej niż zazwyczaj i wracał do domu szczęśliwy jak król, bardziej niż kiedykolwiek dumny ze swej dziewczyny. Niedaleko od domu w Tergou, w cieniu drzew, rozróżnił dwie postacie; zastąpiły mu niemal drogę.

Byli to jego rodzice.

Tak późno poza domem? Z jakiej przyczyny?

Przebiegł go dreszcz.

Przystanął i spojrzął na nich. Stali ponurzy i milczący. Chłopak wybąkał parę pytających słów.

- Po cóż pytać? - rzekł ojciec. - Dobrze wiesz, dlaczego tu jesteśmy.

- Gerardzie... - wyrzekła matka głosem pełnym wyrzutu, lecz nie mniej wzruszonym.

Gerardowi mocniej zabiło serce, lecz milczał.

Ojcu zrobiło się żal zmieszanego chłopca, rzekł przeto:

- No nie, nie potrzebujesz spuszczać głowy. Nie jesteś pierwszym głupcem, który dał się złapać na lep rumianej buzi i niebieskich oczu.

- Nie, nie - wtrąciła Katarzyna. - To czary. Piotr Brandt dobrze jest z tego znany.

- Nuże, przewielebny księżepodjął ojciecwiesz przecie, że nie wolno ci biegać za spódniczkami. Obiecuj nam, że nie pójdiesz więcej do Sevenbergen, i na tym koniec.

- Nie mogę tego obiecać, ojcze.

- Nie przyrzekasz, młody obłudniku!

- Ojcze, nie nazywaj mnie tak. Nie miałem odwagi się przyznać, wiedząc, że cię rozniewam; szczerze jestem wdzięczny temu zacnemu przyjacielowi, kimkolwiek jest, że was uwiadomił. Ciężar spadł mi z serca. Tak, ojcze, kocham Małgorzatę. Nie nazywaj mnie księdzem, bo nigdy nim nie będę. Raczej śmierć.

- To się obaczy, młodzieńcze. Chodź, nie sprzeciwiaj mi się więcej. Ja cię nauczę, co to znaczy nie szanować ojca.

Gerard nie odpowiedział i szli wszyscy troje do domu w ponurym milczeniu, przerywanym tylko głębokimi westchnieniami Katarzyny.

Od tej godziny domek w Tergou przestał być spokojnym gniazdem. Następnego dnia zmyto Gerardowi głowę w obecności całej rodziny i wszyscy opowiedzieli się przeciw niemu prócz małej Kasi i Idziego, który chętnie szedł za przykładem dziewczynki, nie wiedząc nawet, dlaczego. Korneliusz i Sybrandt byli bardziej zawzięci od ojca. Przeraziła Gerarda tak wielka liczba przeciwników. Spoglądał z rozczeniem w twarz dziewczynki. Jej oczy były pełne łez, gdy zasypywano ostrymi wymówkami tego, który wczoraj jeszcze był ulubieńcem wszystkich. Ale nie podtrzymywała go i mówiła, odwracając głowę:

- Kochany, kochany Gerardzie. Proś, by cię Nieba wyleczyły z tego szaleństwa.

- I ty także jesteś przeciw mnie? - rzekł Gerard ze smutkiem. Wstał z głębokim westchnieniem, wyszedł z domu i skierował się do Sevenbergen.

Początek sporu, gdy obie strony są związane uczuciem, a dzielą je tylko sprzeczne sentymenty i dążenia, jest stosunkowo niewinny. Jedni i drudzy mają być może rację na

samym początku, a wtedy spokojny przyjaciel, umiejący zrozumieć racje obu stron, jest darem Niebios. Im dłużej bowiem trwa rozdzwitek, tym bardziej rozszerza się i pogłębia wobec niedoskonałości i pobudliwości ludzkiej natury. Podlegają tym prawom obydwie strony i dochodzi niezmiennie do jedyne go rozwiązania - krzywdzącego dla obydwu.

Przeciwnicy niejednako byli usposobieni: Elias z - gniewny, Korneliusz i Sybrandt - złośliwi; Gerard, bardziej od nich wykształcony i mający szersze horyzonty, dostrzegał oba punkty widzenia tam, gdzie oni upierali się tylko przy jednym. Nie mógł więc powziąć decyzji i czuł się nie tyle rozgniewany, co nieszczęśliwy. Poza tym czuł się w tej walce samotny. Nie mógł przed nikim otworzyć serca. Małgorzata była szlachetną dziewczyną. Nie śmiał jej opowiedzieć o tym, co cierpiał w domu. Mogłaby poprzeć jego rodzinę i wyrzec się go, choćby za cenę własnego szczęścia.

Małgorzata van Eyck pomogła mu niegdyś wiele przy innej okazji, ale teraz nie miał odwagi się jej zwierzyć. Historia jej życia znana była ogólnie. Miała w młodości wiele propozycji małżeństwa, ale wyrzekła się ich dla sztuki, wiedząc, jak trudno pogodzić z jej wymaganiami obowiązki żony i matki. Pozostała więc samotna i malowała wraz z braćmi. Jakżeż mógł wyznać jej, że wyrzeka się prebendy, o którą ona się postarała; że rezygnuje dla miłości, którą ona w jego wieku tak łatwo wzgardziła.

Gerard był w tym okresie bliski załamania. Ale strona przeciwna miała niebezpiecznego sprzymierzeńca w starszej Katarzynie. Ta dobroduszna, lecz niewykształcona kobieta nie mogła postępować spokojnie i stanowczo jak jej córka, a co dopiero z rozmysłem działać. Rozdrażniła w swoim czasie Gerarda i tym mu dopomogła, gniew bowiem wielce pobudza odwagę. W innych przypadkach zaskakiwała nagle wszystkich atakami na siły własnego obozu. Oto pierwszy z brzegu przykład, wybrany spośród wielu.

Gdy pewnego dnia wszyscy byli w domu, Korneliusz zapytał:

- Nasz Gerard żeni się z Małgorzatą Brandt? Połączą biedę z nędzą.

- A co będzie, jak ty się ożenisz? - krzyknęła Katarzyna. - Gerard umie malować, umie pisać, a ty, co umiesz, leniwy hultaju? W jaki sposób utrzymasz niewiastę? Potrafisz jeno czekać na zgon ojca. O, wiemy, dlaczego ani ty, ani Sybrandt nie chcecie, by biedak się ożenił. Boicie się, że przyjdzie do nas po swój dział majątku. Przypuśćmy, że tak zrobi, przypuśćmy, że go wyposażymy, to damy mu część nie z waszego. A może zresztą nigdy i nic nie będzie wasze.

Podczas takich okazji Gerard czuł się lepiej, uśmiechał się nieśmiało, a nieszczęsnych sprzymierzeńców Katarzyny ogarniała chwilowa kontuzja.

W końcu jednak, po sześciu przeszło miesiącach rozdrażnienia, nastąpił kryzys. Ojciec zawiadomił syna wobec całej rodziny, że polecił burmistrzowi uwięzić go raczej na ratuszu, niżby miał zezwolić mu na poślubienie Małgorzaty. Gerard zbladł z rozpaczy, lecz całą siłą woli zapanował nad sobą.

- I nim rok minie, zostaniesz księdzem, czy ci się to podoba, czy nie.

- A więc to tak? - zawołał Gerard. - Słuchajcie w takim razie: przysięgam na Boga i świętego Bawona, że nie zostanę księdzem, póki Małgorzata żyje. Jeżeli ma rozstrzygać siła, nie zaś miłość i obowiązek, użyjcie siły, ojcze, ale siła nie zwycięży, bo tego dnia, gdy przyjdzie po mnie burmistrz, opuszczę na zawsze Tergou, Holandię i dom mego ojca, w którym, jak mi się zdaje, byłem ceniony przez wszystkie te lata nie z miłości dla mnie, lecz dla korzyści, które będę mógł przynieść.

Wybiegł z komnaty blady z gniewu i rozpaczy.

- Oto są skutki - krzyknęła Katarzyna - gdy się zbyt krótko chce trzymać młodych. Ale mężczyźni okrutniejsi są niż tygrysy nawet wobec swej własnej krwi. Niech Bóg broni, żeby Gerard miał kiedykolwiek nas opuścić jako żonaty czy kawaler.

A tymczasem Gerard, wyszedłszy z domu z sercem tłukącym się w piersi i pobladłymi licami, spotkał pannę Reicht Heynes. Miała dlań polecenie: Małgorzata van Eyck pragnęła go widzieć.

Ujrzał starą damę ponurą jak sędzia. Nie tracąc czasu na wstępne wyjaśnienia, zapytała go chłodno, czemu nie odwiedził jej od tak dawna. Nim zdążył odpowiedzieć, rzekła sarkastycznie:

- Myślałam, że byliśmy przyjaciółmi, młody panie. Gerard wyglądał jak obraz zwątpienia i rozpaczy.

- To dlatego, iż nie powiedziałeś pani, że jesteś zakochany - rzekła Reicht Heynes, litując się nad zmieszonym.

- Zamilcz, dziewczyno! Czemuż by miał nam mówić o swych sprawach? Nie jesteśmy jego przyjaciółkami, nie zasłużyłyśmy na zaufanie.

- Niestety, moja przybrana matko - rzekł Gerard - nie śmiałem wam, pani, opowiedzieć o mym szaleństwie.

- O jakim szaleństwie? Czyż miłość jest szaleństwem?

- Mówią mi o tym co dzień.

- Nie powinienes się był obawiać zwierzeń wobec mojej pani. Jest zawsze wyrozumiała dla wiernych kochanków - wtrąciła Reicht.

- Madame... Panno Reicht... Bałem się, bo powiedziano mi...

- Co ci powiedziano?

- Że pani w młodości wzgardziłaś uczuciem, nad nie przekładając sztukę.

- Tak uczyniłam, chłopcze; i czym to się skończyło? Widzisz mnie oto teraz niczym uschłą gałąź, a moje rówieśniczki żyją z gromadką dzieci u boku, z wnukami u swych kolan. Poświęciłam słodczye kobiecości i macierzyństwa dla czego? Dla mych ukochanych braci. Dawno już pomarli i zostawili mnie samą przed wielu laty. Dla sztuki? Była dla mnie wszystkim, ale i ona mnie opuściła. Mam jeszcze wiedzę, ale cóż ona znaczy, gdy drży ręka. Gerardzie! Patrząc na ciebie tak, jakbym patrzyła na syna: jesteś dobry, jesteś urodziwy, jesteś malarzem, choć nie takim, jakich znałam dawniej. Nie pozwolę ci zmarnować twej młodości, jak ja zmarnowałam swoją. Poślubisz tę Małgorzatę. Dowiadywałam się o nią. Jest dobrą dziewczyną. Reicht znosi mi plotki i opowiedziała mi wszystko o niej. Co nie znaczy jednak, żebym ciebie nie zachęcała do zwierzeń.

Biedny Gerard był uszczęśliwiony zezwoleniem na głośne zachwyty ukochaną, i to przed kimś, kto rozumie, za co pokochał Małgorzatę.

Wnet podczas tego opowiadania dwie pary oczu zalały się łzami, a gdy biedny chłopiec to spostrzegł, i jemu zwilgotniały źrenice.

Kobiety są pełne animuszu. Ich odwaga jednak jest całkiem inna od odwagi mężczyzn. I u licha! nigdy nie będzie taka sama. Musimy się poddać! Ich odwaga jest odwagą zastępczą. Kobiety na przykład nigdy za żadne skarby nie wzięłyby udziału w corridzie, ale wiemy, że asystują przy niej, żadna nie zadrży z trwogi i obawy o los walczących, jaką żywią tchórzliwi widzowie męskiego rodzaju. Nic nie dorówna determinacji, z jaką wysyłają mężczyzn do walki. Niektórzy dowcipnie twierdzą: Les femmes sont tres braves. avec la peau d'autrui. Skorzystał na tym Gerard. Małgorzata van Eyck i Reicht były obie całkowicie zgodne, że mężczyzna winien zawsze brać byka za rogi. Uważały, że jedynym wyjściem dla Gerarda jest natychmiastowy ślub z Małgorzatą Brandt Starsi pojmą to po pewnym czasie i skapitulują wobec faktów; Poza tym, im dłużej trwa obecny stan nieporozumienia, tym gorzej dla wszystkich, a w szczególności dla Gerarda.

- Popatrz, do czego go przywiedli! Jaki blady i chudy sta! się wśród nich.

- Prawdziwie, panie Gerardzie - rzekła Reicht. - Smutno patrzeć na młodego człowieka tak wymizerowanego i wyniszczonego. o pani, gdym spotkała go dziś na ulicy, o mało nie wybuchnęłam płaczem, taki był zmieniony.

- Założę się, że rodzina nie straciła rumieńców, co, Reicht?

- Ach, nie widzę u nich różnicy.

- Oczywiście. My malarze nie nadajemy się do gburów. Myśmy szkłem, oni kamieniem. Nie możemy znieść kłopotów, wielkich i małych, ludzi małego ducha i dla dobra ludzkości nie powinniśmy być na nie narażeni, Niebiosa świadkiem, że wystarczający to trud wymyślić i wymalować arcydzieło, a cóż dopiero znosić bąki i muchy tnące nas śmiertelnie w dodatku.

Gerard, zrozpaczony groźbą użycia siły przez ojca, słuchał teraz przyjaznych głosów doradzających mu bunt. Ale choć słuchał, nie był przekonany.

- Nie obawiam się gwałtu ze strony ojca - rzekł - lecz boję się jego gniewu. Gdyby do tego doszło, on mnie nie uwięzi. Jutro ożeniłbym się z Małgorzatą, gdyby to była moja jedyna obawa. Ale ojciec wydziedziczy mnie. Pojmę Małgorzatę za żonę i dam jej za męża nędzarza, który nigdy nie zdobędzie dobrobytu, klątwą ojcowską obciążony. Myślę czasem, o pani, że mógłbym poślubić ją tajemnie i zabrać do jakiegoś innego kraju, gdzie mój kunszt jest lepiej opłacany niż tutaj, a potem - po roku lub dwóch, gdy przeminie burza - wrócić z sakiewką pełną pieniędzy i rzec: „Kochani rodzice, nie prosimy was o majątek, lecz o to, byście nas znów pokochali jak wprzód, jak my zawsze i niezmiennie was kochamy”. Niestety, powiecie mi, pani, zapewne, że to marzenie niedoświadczonego młokosa.

Oczy starej damy zabłysnęły.

- Nie marzenie to, jeno głos zdrowego rozsądku, chłopcze. Pozostaje tylko stwierdzić, czy będziesz miał dość odwagi, by wy-pełnić twe zamysły. Gerardzie, istnieje kraj, gdzie czeka cię pewna fortuna. U nas sztuka zamiera, tam rozkwita, jak nigdy jeszcze nie kwitła w żadnym czasie ani kraju.

- To Italia! - krzyknął Gerard - Italia!

- Tak, Italia! Tam malarze żyją w takich honorach jak książęta, a skrybom płacą trzysta koron za skopiowanie jednego manuskryptu. Czy wiesz, że Ojciec Święty wezwał zręcznych skrybow ze wszelakich krajów, aby skopiowali setki bezcennych manuskryptów, które napłynęły do tego uprzywilejowanego kraju z Konstantynopola, skąd barbarzyńscy Turcy wygnali naukę i uczonych mężów?

- Nie wiedziałem o tym - rzekł Gerard - ale wyjazd do Italii, tej królowej sztuki, był marzeniem i nadzieją mego życia. Cóż z tego jednak? To daleka podróż, a my wszyscy jesteśmy tacy biedni.

- Znajdź odwagę, by odbyć tę drogę, a ja znajdę środki. Potrafię zdobyć dziesięć złotych dukatów. Zaprowadzą one do Rzymu ciebie i dziewczynę wraz z tobą, jeżeli kocha cię tak, jak powinna.

Dyskutowali nad tym do północy.

Od tego dnia Gerard odzyskał humor, jakby posiadał czarodziejski talizman przeciwko drwinom i przycinkom, którymi dręczono go w domu.

Oprócz pieniędzy, dostarczonych mu na drogę, Małgorzata van Eyck obdarzyła go słowami cenniejszymi od złota.

- Powierzę ci sekrety przekazane mi przez mistrzów, którzy pomarli przede mną i nie pozostawili następców - rzekła. - Nawet Italczyki nie znają owych tajemnic, i to, co powiem ci teraz w Tergou, drogo powinienes sprzedać we Florencji. Przyjrzyj się obrazom mego brata Jana: czas, który wszystkie inne malowidła przyciemnia, nie czyni zmian w jego dziełach. Barwy tak są jasne jak w dniu, w którym zdjęto je ze sztalug. A przyczyna w tym leży, iż nie robił niczego po omacku i nie spieszył się. Nie powierzał rozcierania farb płatnym pomocnikom, robił to sam lub dozorował prace swych uczniów. Płótna pod jego malowidła były wielokrotnie przygotowywane - pokażę ci, w jaki sposób - rok przedtem, nim położył na nich farby. Wielu artystów woli raczej zamykać się w sobie i stracić swe dzieła, niż się spieszyć. Ale malarze zawsze się spieszą. Ponad wszystko ostrzegam cię, Gerardzie, używaj niewiele oleju i nigdy go nie gotuj. Wrzenie roztopia w nim do cna roślinne zanieczyszczenia, a naszym zadaniem jest go oczyszczać, bo mętny olej kryje w sobie śmierć barwy. Winienes wlewać olej do butelki z wodą. Po jednym dniu lub dwóch woda się zamęci: to osad. Zlej ostrożnie olej z brudnej wody i dodaj świeżej. Gdy i tę odlejesz, wyda ci się, że jest czysty. Mylisz się. Reicht, podaj mi tamto! - Reicht przyniosła szklaną czaszę, szczelnie zamkniętą szklaną pokrywką. - Gdy przemyłeś już olej w butelce, przelej go do czaszy z wodą i wystaw na cały dzień na słońce. Rychło zobaczysz, że woda znowu zmętnieje. Uważaj jednak, byś nie przedobrzył w tym, bo słońce może zmienić olej w werniks. Gdy czysty jest już jak kryształ, a nie za gęsty, przesącz go ostrożnie i szczelnie zatkaj korkiem. Rozcieraj sam swoje farby gruntowe i kładź je łącznie z tym olejem, a będą żyły. Hubert chciał dosypywać piasku lub soli do wody, aby szybciej oczyszczać olej. Ale Jan zwykł był mówić: „Woda lepiej to zrobi; daj czas wodzie”. Jan van Eyck nigdy się nie spieszył i dlatego świat nieszybko o nim zapomni.

Te i inne jeszcze recepty, qua nunc perscribere longum est, przekazała Małgorzata van Eyck z błyszczącymi zapalem oczyma, a Gerard przyjął je jak dar Niebios, tak ciekawe są pewne rzeczy, które wydają się nudne w czytaniu.

Wyposażony w pieniądze i wiedzę, Gerard zdecydował się pojąć żonę i uciec z małżonką do Italii. Teraz pozostawało już tylko zawiadomić Małgorzatę Brandt o decyzji i możliwie najdyskretniej ogłosić zapowiedzi. Poszedł więc wcześniej niż zwykle do

Sevenbergen omówić obie te sprawy. Zaczął od Małgorzaty; powiedział jej o dobroci pani van Eyck, o postanowieniu, które powziął ostatnio, i poprosił ją o zgodę i pomoc.

Odmówiła stanowczo.

- Nie, Gerardzie, nie rozmawialiśmy nigdy z sobą o twej ro dzinie, lecz gdy myślisz o małżeństwie... - przerwała i podjęła znowu: - Sądzę, że twój ojciec nie gorzej jest przeciwko mnie usposobiony niż przeciwko jakiegokolwiek innej dziewczynie. Tak powiedział do Piotra Buyskensa, a on ni to powtórzył. Lecz jak długo chce, byś został księdzem (o czym ty powinienes być mi powiedzieć, a nie ja tobie), nie mogę cię poślubić mimo mej najczulszej miłości.

Gerard na próżno próbował obalić to postanowienie. Łatwo mu było doprowadzić ją do łez, lecz nie do uległości. Wreszcie Gerard stracił cierpliwość i stał się niesprawiedliwy.

- Jesteś przeto po ich stronie. Chcesz mnie wykierować na księdza, bo to się musi tak czy owak skończyć. Rodzice nienawidzą naprawdę, a moja miła kocha mnie na żarty.

Rzuciwszy te szalone i gorzkie słowa, wybiegł z domu zostawiając płaczącą Małgorzatę.

Gdy mężczyzna popełnia błędy, wpływa to w dziwny sposób na szczerze kochającą go dziewczynę. Zaczyna się nad nim litować, co zresztą niektórym przedstawicielom rodu męskiego wydaje się zupełnie nielogiczne. Błąd leży w naszym spojrzeniu - logika owa jest zbyt nieuchwytna dla nas. Dziewczyna rozumuje w ten sposób: „Jakże nieszczęśliwy i rozdrażniony musi być biedak, skoro właśnie on tak źle się zachował! Biedactwo!”

Ta słodka, kobieca litość przepelniała Małgorzatę, gdy ku wielkiemu jej zdziwieniu w półtorej godziny po rozstaniu przybiegł Gerard, trzymając strzępy obrazu w ręku i dysząc ciężko z żalu i gniewu.

- Patrz, Małgorzato! Spójrz. Co za łotry! Podziwiaj ich złość! Pocięli twój portret na kawałki.

Małgorzata spojrzała. Nie było wątpliwości; jakaś złośliwa ręka pocięła portret na pięć części. Była spokojną dziewczyną, ale nie z lodu: zaczerwieniła się aż po włosy.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem. Nie miałem odwagi zapytać, bo musiałbym zniechęcić tę rękę aż po kres mych dni. Biedna Małgorzato! Toż to gbury, rzeźnicy! Sześć miesięcy pracy, pół roku wyrwane z życia i ślad mego trudu zaginał. Spójrz, cięli przez twą twarz, słodkie oblicze, które kocha każdy, kto je ujrzął. O, mściwe żmije, bez serca!

- Mniejsza o to, Gerardzie - rzekła wzruszona Małgorzata. - Jeżeli tak traktują cię z mego powodu... Zrabowaliście mu mój portret? Dobrze, będzie więc miał mnie żywą.

- Małgorzato!

- Tak, Gerardzie, gdy oni tak są okrutni, ja będę łaskawsza.

Wybacz mi moją odmowę. Będę twoją żoną choćby jutro, jeśli chcesz tego.

Gerard całował w uniesieniu jej ręce i usta, a potem pełen radości pobiegł po ojca dziewczyny i Marcina. Nadeszli obaj i zostali świadkami zaręczyn - uroczystości wielkiej w owych czasach i wieki jeszcze później, dziś jednak zaniechanej.

ROZDZIAŁ X

Zapowiedzi ślubne musiały być odczytane trzykrotnie tak jak obecnie, z tą tylko różnicą, że ogłaszano je w dzień powszedni, więc młodzi bez trudu przekonali proboszcza, aby załatwił wszystko w ciągu doby. Ksiądz był niedawno w tamtej okolicy, a wygląd naszej pary budził zaufanie. Zapowiedzi wyszły w poniedziałek w czasie jutrzni i na nieszpórach, gdy ku zadowoleniu narzeczonych nie było nikogo z Tergou w kościele. Następnego ranka czekali w kościele oboje drżąc z niepokoju, gdy wtem, o zgrozo! ujrzeli obcego człowieka, który powstał i zgłosił sprzeciw, stwierdzając, że młodzi są niepełnoletni, a rodzice nie zgadzają się na ich związek.

Małgorzata i Gerard przystanęli przed drzwiami kościoła i drżąc naradzali się rozpaczliwie. Nim jednak zdążyli cokolwiek postanowić, zbliżył się człowiek, który przed chwilą tak źle im się przysłużył, i dał do zrozumienia, że działał z przykrością, byłby bowiem osobiście skłonny raczej dopomóc młodym do szczęścia, niemniej jednak jedynym jego źródłem dochodu jest zgłaszanie sprzeciwów w czasie zapowiedzi.

- Młodzi państwo zechcą dać mi koronę, a ja zgrabnie zniszczę me dzieło: zgłoszę proboszczowi, że mnie w błąd wprowadzono i wszystko pójdzie gładko.

- Koronę? Dam ci za to złotego dukata - rzekł Gerard z zapalem.

Obcy zgodził się z nie mniejszym zapalem, poszedł z Gerardem do proboszcza i stwierdził, że popełnił śmieszny omyłkę, którą, przyjrzawszy się osobom zainteresowanym, przychodzi sprostować. Wobec tego proboszcz wyraża zgodę na ślub młodej pary następnego dnia o dziesiątej, a człowiek zawodowo sprzeciwiający się szczęściu ruszył do domu z dukatem Gerarda. Jak większość tych przemądrzałych spryciarzy był durniem i przystąpił do przepijania swego dukata w pewnej gospodzie w Tergou, przy której była murawa, gdzie uprawiano łucznictwo i inne pospolite gry. Po pijanemu chełpił się swym świeżym sukcesem i naturalnie Sybrandt, nicpoń, który był tam stałym gościem, wysłuchał każdego słowa.

Pognał do domu, by donieść ojcu, nie było go jednak w domu, udał się do Rotterdamu po sukno do tamtejszych grosistów. Sybrandt mrugnął na starszego brata, aby wyszedł przed dom, i opowiedział mu, co słyszał.

Parszywe owce zdarzają się prawie w każdej licznej rodzinie; ci dwaj byli właśnie wyrodnymi braćmi Gerarda. Lenistwo i oczekiwanie śmierci tych, których powinniśmy darzyć uczuciem, deprawuje ludzi. Te dwie zaślepione jedną myślą hieny zdolne były rozedrzeć na strzępy każdego, kto by przeszkodził im objąć owo nieszczęsne dziedzictwo, o którym myśleli w dzień, a śnili nocą. Oszczędność rodziców była cnotą, gdyż towarzyszyła jej pracowitość, a kierowała nią miłość do potomstwa. W przewrotnych i samolubnych sercach obu młodzieńców ta skromna cnota zwyrodniała i przerodziła się w skąpstwo, które jest jednym z najobfitszych źródeł ludzkich zbrodni.

Po naradzie zdecydowali się nic nie mówić matce, tak zmiennej w uczuciach, lecz przede wszystkim iść do burmistrza. Połapali się chytrze, że był on przeciwny małżeństwu, choć nie mogli odgadnąć, dlaczego.

Ghysbrecht van Swieten przejrzał ich od razu i postarał się nie dopuścić, by pojęli jego zamysły. Wysłuchał opowieści i odpowiedział z godnością i chłodem dygnitarza:

- Skoro ojciec rodziny jest nieobecny, jego obowiązki spadają na mnie jako na głowę miasta. Znam mniemanie waszego rodziciela. Zostawcie mi całą sprawę. A przede wszystkim nie mówcie ni słowa żadnej niewieście, zwłaszcza niewiastom w waszym domu, bo plotkarskie języki zniweczą najmędrze postanowienia.

Odprawił ich trochę wyniośle, wstydził się bowiem swych współników.

Po powrocie do domu zastali Gerarda siedzącego na niskim zydelku u stóp matki. Gładziła go po włosach, przemawiając bardzo czule, i obiecywała wstawić się za nim u ojca, by już nie stał na zawadzie jego miłości. Powód tej zmiany zamysłów był bardzo kobiecy. To ona właśnie w chwili niewieściego gniewu pocięła portret Małgorzaty na strzępy. Trwożnie oczekiwała reakcji syna i ujrzała, że zbladł jak trup i usiadł nieruchomy z kawałkami obrazu w dłoniach, oczy utkwivszy w swe zniszczone dzieło, dopóki nie oślepiły go łzy. Wtedy matka przerażona zrozumiała, co uczyniła. Serce boleśnie poczęło bić w jej piersi i rozplakała się gorzko w kąciuku. Zgodnie ze swym usposobieniem, nie miała odwagi, by wyznać otwarcie swój czyn, ale postanowiła: „Nie powiem ani słowa, ale mu to wynagrodzę”. Ogarnęła ją litość dla syna, zmarł naturalną śmiercią słaby gniew i właśnie zdecydowała się ofiarować swe nieszczęsne przymierze Gerardowi, gdy te dwie parszywe owce weszły do izby. Gerard nic nie wiedział o bezpośredniej przyczynie owej zmiany. Przeciwnie, mało znając niewieściami naturę, zawstydził się teraz, że mógł być podejrzewać, iż ona była tym, kto dokonał

zniszczenia. Wielokroć ucałował Katarzynę i legł spać szczęśliwy jak król, z myślą, że matka okazała się znów matką w owym krytycznym momencie jego życia.

Następnego ranka o dziesiątej Gerard i Małgorzata byli w kościele w Sevenbergen - młodzieniec promieniejący 'radością, dziewczę splonione rumieńcem. Towarzyszyli im jedynie ojciec Małgorzaty i Marcin Wittenhaagen. Chodziło nade wszystko o zachowanie tajemnicy. Małgorzata nie zgodziła się na wyjazd do Italii. Nie mogła zostawić ojca, zbyt był uczony i zbyt bezbronny. Ustalili, że schronią się do Flandrii na parę tygodni, dopóki burza w Tergou nie ucichnie. Proboszcz nie dał im długo czekać, ale młodym czas ten wydał się wiekiem. Wreszcie stanął już przy ołtarzu i przywołał ich. Podeszli, trzymając się za ręce - najszczęśliwsza para w Holandii. Proboszcz otworzył księgę.

Ale nie wyrzekł jeszcze ani jednego słowa świętego obrzędu, gdy w świątyni zabrzmiał ostry głos:

- Wstrzymać się!

Pachołkowie miejscy z Tergou ruszyli w górę nawy i, występując w imieniu prawa, aresztowali Gerarda. Długi nóż Marcina błysnął w tym samym momencie.

- Zostawcie go!- krzyknął ksiądz. - Obnażacie broń w kościele! Przerywacie święty sakrament, bezbożnicy!

- To nie bezbożność, ojcze - rzekł z szacunkiem pachołek burmistrza. - Ten młodzian chce się żenić wbrew woli ojca, i właśnie ojciec jego poprosił burmistrza, aby postąpił z nim wedle prawa. Niech zaprzeczy, jeżeli może.

- Czy to prawda, młodzieńcze? Gerard spuścił głowę.

- Zabieramy go do Rotterdamu, aby tam czekał na wyrok księcia.

Słyszając to Małgorzata krzyknęła z rozpaczą i dwie biedne istoty, tak szczęśliwe przed chwilą, padły sobie w ramiona, szlochając tak żałośnie, że sprawcy nieszczęścia zawstydzeni cofnęli się o krok.

Jeden, który był życzliwszy od innych, podszedł do młodych, udając, że chce ich rozdzielić, i szepnął do Małgorzaty:

- Rotterdam? To kłamstwo. Bierzemy go jeno do naszego ratusza.

Zabrali go z sobą i ruszyli konno drogą ku Rotterdamowi, zaś po tuzinie postojów i chytrych objazdów zawrócili do Tergou. Zaraz za miastem czekała na nich ohydna buda kryta płótnem. Umieszczono tam Gerarda i około piątej wieczorem przywieziono cichcem do więzienia w ratuszu. Powiedli go wysoko krętymi schodami i pchnęli do izdebki oświetlonej tylko przez wąskie okno z pionową żelazną sztabą. Jedynym sprzętem była olbrzymia dębowa skrzynia.

Dla młodzieńca w owym stuleciu więzienie było jedną z prostych dróg ku śmierci. Okropne ono jest nawet w najłagodniejszej postaci, ale w tamtych czasach oznaczało chłód, nieprzerwaną samotność, tortury, głód, często truciznę. Gerard czuł, że wpadł w ręce wroga.

„Jak on spojrział na mnie na rotterdamskiej drodze. W tym kryje się więcej niż gniew mego ojca. Obawiam się, że nie ujrzę już światła dziennego” - pomyślał.

Ukląkł i polecił duszę Bogu.

Niebawem wstał, poskoczył do żelaznej sztaby w oknie i uczepił się jej kurczowo. Opierając się kolanami o ścianę, mógł wyrzeć przez okno. Nie trwało to dłużej niż mgnienie oka, ale ujrzał w tej chwili coś, co tylko więzień potrafi ocenić: plecy Marcina Wittenhaagena.

Marcin siedział spokojnie, łowiąc ryby w strumieniu tuż obok ratusza. Gerard skoczył znów ku oknu i zagwizdał. Marcin od razu okazał, że o wiele baczniej czuwał, niż łowił ryby. Odwrócił się spiesźnie, zobaczył Gerarda i dał mu znak, a potem zabierając swą wędkę i łuk, szybko się oddalił.

Gerard widząc to zrozumiał, że jego przyjaciele nie próżnują, wolałyby jednak, aby Marcin został. Sam jego widok był dlań pociechą. Trzymał się sztaby, patrząc za odchodzącym żołnierzem tak długo, jak tylko mógł, wreszcie opadając trochę ciężko w dół, wyrwał z kamiennego muru ten stary żelazny pręt, słabo trzymający się na przeżartych rdzą gwoździach. W tym właśnie momencie Ghysbrecht van Swieten otworzył ukradkiem drzwi za jego plecami. Wzrok burmistrza padł natychmiast na żelazo, potem Ghysbrecht spojrział na okno, ale nie wyrzekł ani słowa. Okno było sto stóp ponad ziemią i gdyby Gerard nawet miał zamiar popełnić głupstwo i wyskoczyć, czemuż by on miał temu przeszkadzać? Przyniósł bochen czarnego chleba i dzban wody i postawił na skrzyni w uroczystym milczeniu.

Gerard w pierwszym odruchu miał ochotę zdzielić go żelazną sztabą i zbiec po schodach; ale burmistrz widząc dziki błysk w oku młodzieńca, zakaszłał cicho i trzech barczystych zbrojnych pachołków stanęło zaraz w drzwiach.

- Mam rozkaz trzymać cię tutaj, dopóki nie zobowiąziesz się przysięgą opuścić Małgorzatę Brandt i powrócić na łono Kościoła, do którego należysz od kołyski.

- Śmierć raczej.

- Życzę ci jej z całego serca - rzekł odchodząc burmistrz.

Marcin pobiegł jak mógł najszybciej do Sevenbergen. Małgorzata była blada i podniecona, lecz zdecydowana na wszystko i pełna energii. Kończyła właśnie list do księżny Charolais, wzywając ją w sukurs przeciw przemocy i zdradzie Ghysbrechta.

- Odwagi! - zawołał wchodząc Marcin. - Znalazłem go. Jest w tej wieży, w której straszy, pod samym szczytem, na prawo. Znam to miejsce. Wielu już biedaków weszło tam na własnych nogach, ale z powrotem ich wyniesiono.

Opowiedział im potem, jak spojrział do góry i zobaczył twarz Gerarda w oknie wąskim jak strzelnica.

- Och, Marcinie, jak wyglądał?

- Jak to „jak”? Jak Gerard Eliassoen.

- Czy był blady?

- Trochę.

- Czy wyglądał na zmartwionego? Na skazańca?

- Ale skądże! wesolutki jak szczygieł.

- Kpisz sobie ze mnie. Czekaj! To znaczy że i on musiał cię widzieć. Liczy więc na nas. Co teraz zrobić? Marcinie, kochany przyjacielu, zanieś to natychmiast do Rotterdamu.

Marcin wyciągnął rękę po list.

Piotr zadumany milczał cały czas. Jednak wbrew swym zwykłym obyczajom słuchał uważnie.

- Nie ufajcie książętom - rzekł.

- Biada nam! Komuż tedy innemu możemy zaufać?

- Wiedzy.

- Niestety, ojczy, nic nam tu nie pomoże twoja uczyoność.

- Skąd wiesz? Aż do dziś rozum był potężniejszy od żelaznych sztab.

- Tak, ojczy, ale Natura mocniejsza niż rozum jest przeciwko nam. Pomyśl, jak to wysoko! w całej Holandii nie ma drabiny, która by tam dosięgła.

- Nie potrzebuję drabiny. Potrzebuję jeno złotego dukata.

- Pieniądze mam. Dziesięć dukatów. Gerard dał mi je do schowania. Ale na co się zdadzą? Przecie nie przekupimy burmistrza, żeby wypuścił Gerarda.

- Na co się zdadzą? Daj mi tylko koronę, a młodzian jeszcze dzisiaj wieczór będzie z nami wieszerał.

Piotr mówił tak żarliwie i z taką pewnością siebie, że przez chwilę wzbudził nadzieję w Małgorzacie. Spostrzegła jednak, że Marcin przymrużył oko z dobrodusznym lekceważeniem.

- Nic tu nie pomoże ludzka przebiegłość - rzekła z głębokim westchnieniem.

- Przebiegłość? - krzyknął starzec. - Figę o to dbam. Po co nam w naszych czasach przebiegłość? Co miało być o tym powiedziane, dawno już powiedziano, a co było do

uczynienia - uczyniono. Opowiem wam, jak pewien florencki rycerz został uwięziony wyżej niż Gerard, a przecie jego wierny giermek stanął u stóp wieży i uwolnił go, nie mając innego narzędzia jeno takie, jakie ty masz w ręku, Marcinie, i parę różnych błahostek, które kupię za koronę.

Marcin spojrzął i obrócił łuk w ręku, zdając się go o coś pytać. Ale to badanie w niczym nie umniejszyło jego nieufności.

Wtedy Piotr opowiedział im historię, jak to wierny giermek uwolnił rycerza z wysokiej wieży w Brescji. Ten sposób, jak wszystkie prawdziwe naukowe metody, był tak prosty, że teraz zaczęli się dziwić, jak mogli uważać za niemożliwe coś, co nawet nie było trudne.

List nie odszedł więc wcale do Rotterdamu. Zaufali wiedzy ojca i swej własnej zręczności.

Dochodziła dziesiąta godzina jasnej księżycowej nocy. Ojciec Gerarda dotąd nie powrócił. Reszta rodziny położyła już się spać do łóżek.

Cień jakiś stanął przy łóżku Karła. Biały był i oblany księżycowym światłem.

Nasz akrobata z nieludzkim krzykiem i ni to wyciem, ni to charkotem stoczył się pod łóżko i leżał tam bez ruchu. Słodki głos dotarł za nim do tej kryjówki.

- Dlaczegożeś się mnie przestraszył?

Słyszając te słowa karzeł zerknął ostrożnie i zobaczył, że była to jego siostrzyczka Kasia. Położyła palec na ustach.

- Cicho! Bo jeszcze nas usłyszą ci dwaj nikczemnicy, Korneliusz i Sybrandt.

Idzi uchwycił palcami brzeg łóżka i jednym podrzutem wrócił na swe miejsce.

Kasia opowiedziała mu, że usłyszała imię Gerarda w rozmowie, jaką wiedli z sobą Korneliusz i Sybrandt. Bardzo zaniepokojona całodzienną nieobecnością w domu ukochanego brata, podsłuchiwała pod ich drzwiami i dowiedziała się przerażającej rzeczy: Gerard był uwięziony w nawiedzanej przez duchy wieży ratuszowej. Był tam, jak się zdaje, z polecenia ojca. Ale musi w tym kryć się jakaś zdrada: jakże by mógł ojciec rozkazać coś równie okrutnego? Był zresztą w Rotterdamie. Kasia w końcu poprosiła, aby Idzi dotrzymał jej towarzystwa w wyprawie pod nawiedzaną wieżę, by pocieszyć biednego Gerarda, dać mu znać, że ojciec jest nieobecny i że uwolni go na pewno po powrocie.

- Kochany braciszku, poszłabym sama, ale boję się duchów, które podobno nawiedzają wieżę. Z tobą wcale się nie będę bała.

- Ani ja z tobą - odrzekł Idzi. - Nie wierzę w duchy. W Tergou nigdy nie widziałem żadnego. Ten ostatni, jaki mnie przestraszył, bardzo był miły; a poza tym byłaś nim tylko ty, Kasiu.

Nim minęło pół godziny, Idzi i Kasia otworzyli ostrożnie drzwi i wyszli z domu. Dziewczynka kazała mu zabrać latarnię, choć noc była jasna.

- Latarnia dodaje mi odwagi wobec złych duchów - rzekła.

Pierwszy dzień pozbawienia wolności jest ogniwą próbą, zwłaszcza jeśli do ciężaru zupełnej samotności dołącza się groza więzienia. Zauważam, że w naszych nawet czasach bardzo wielu ludzi popełnia samobójstwa w ciągu pierwszej doby w pojedynczej celi. Ciekawe, czemu to nasi prawodawcy tak starannie unikają nietaktownego śledzenia swych skromnych eksperymentów z duszą ludzką w tym właśnie szczególnym momencie.

W miarę jak gasło słońce, gasła i odwaga Gerarda. Wraz z zanikającym światłem znikał cień nadziei. Gerard osłabł też z głodu, bał się bowiem tknąć przyniesionej przez Ghysbrechta żywności. Nawet sam głód przygnębia ludzi. Siadł na skrzyni ze zwieszoną głową, opuściwszy ramiona w zupełnym upadku ducha. Nagle coś ostro uderzyło w ścianę przed nim i potoczyło się na kamienie u nóg więźnia. Była to strzała. - Chłopiec dojrzał białe pióra. Zimny dreszcz przebiegł jego ciałomają więc zamiar zamordować go z zewnątrz. Przykucnął. Więcej pocisków nie padło. Przesunął się na czworakach i podniósł strzałę. Krzyknął pełen nadziei. Czyżby przyjazna wystrzeliła ją dłoń?

Wyczuł to od razu, biorąc ją do ręki. Coś miękkiego było przywiązane do grotu. Przydało się wielce wówczas chłopcu jedno z jego dziwactw. Nieodłączne krzesiwo umożliwiło mu ujrzanie przy świetle dwóch rzeczy, które napęliły radością jego serce. Obie - choć nieco tajemnicze - niemniej jednak go podnieciły. Do strzały przywiązany był motek jedwabiu, a na jej drzewcu widniały jakieś słowa.

Z jakim bijącym sercem pożerał je oczami!

„Ukochany, przywiąż mocno jedwabny sznurek do twego noża i spuść go na dół. Trzymaj mocno twój koniec. Potem policz do stu i ciągnij do góry”.

Gerard chwycił dębową skrzynię i z niemal nadludzką siłą pchnął ją do okna. Jeszcze przed chwilą nie byłby jej nawet ruszył z miejsca. Gdy stanął na skrzyni i spojrzał w dół, ujrzął u stóp wieży postacie, tak jednak niewyraźne, że zlewały się w jeden wielki kształt. Pomachał ku nim czapką, ręka drgała mu ze wzruszenia. Potem szybko, lecz starannie rozwikłał motek jedwabiu, przywiązał mocno jeden koniec do noża i spuszczał go w dół tak długo, aż przestał opadać. Następnie policzył do stu i pociągnął nić ostrożnie do góry: szła

niecio ciężej. Wreszcie ukazał się węzeł mocnego grubego sznura i jedwabnej nici. Cóż to mogło znaczyć?

Gdy biedził się nad tym, usłyszał cichy, lecz wyraźny głos Małgorzaty:

- Ciągnij dalej, Gerardzie, aż ujrzysz wolność.

Gerard windował więc sznur coraz wyżej, aż trafił na następny węzeł. Teraz gruba lina zastąpiła sznur. Gdy począł wciągać znowu, wyczuł, że ma do czynienia z dużym ciężarem. Nagle zaświta! mu w głowie błysk zrozumienia. Wziął się do pracy tak, że pot spływał mu po plecach. Ciężar powiększał się, młodzieniec był już prawie zupełnie wyczerpany. Gdy spojrzął w dół, dostrzegł w księżycowym blasku krzepiący widok - jak gdyby ogromny wąż podpełzał ku niemu z głębokiego cienia wieży. Wydał okrzyk radości, podciągnął jeszcze parokrotnie z dziką energią i proszę! dotknął ręką grubej, nowiutkiej liny. Wciągnął jej koniec do celi i natychmiast przewiół przez oba uchwyty skrzyni, zaciskając mocno węzły. Przysiadł na chwilę, by chwycić oddech i zebrać odwagę. W pierwszym rzędzie należało się upewnić, czy skrzynia jest na tyle solidna, by mogła wytrzymać ciężar jego ciała wiszącego w powietrzu. Skoczył na nią z całej siły. Za trzecim razem odpadł cały bok skrzyni i stopy pergaminów rozsypały się po podłodze.

W pierwszej chwili zaniepokoiło to Gerarda i zbiło z tropu, ale potem zrozumiał, że skrzynia nie rozleciała się, lecz tylko otworzyła. Musiał być zapewne skoczyć na jakąś ukrytą sprężynę. Stracił jednak do pewnego stopnia zaufanie do jej wytrzymałości. Toteż dał jej pomoc. Do żelaznej sztaby biegnącej w poprzek okna przywiązał sznu retn grubą linę. Wszedł teraz na skrzynię, przełożył nogę poprzez parapet i usiadł okrakiem, trzymając się jedną ręką tej części liny, która została jeszcze wewnątrz. W ciszy nocnej słyszał bicie swego serca.

Świeży podmuch, owiał mu twarz i dodał odwagi, by za cenę wolności zaryzykować życie, które wszyscy musimy kiedyś utracić. Wiele groziło mu niebezpieczeństw, ale najtrudniej było uchwycić po raz pierwszy linę na zewnątrz. Gerard zastanowił się. Przyjął pozycję pływaka, nogi wysunawszy na zewnątrz, ciałem aż do pasa tkwił jeszcze w więzieniu. Trzymając się obiema rękami, stopami trwożnie wymacał linę i objął ją mocno. Zmówił krótką modlitwę. Niecio spokojniejszy oparł lewą rękę o parapet i stopniowo wysliznął się na zewnątrz. Następnie chwycił za żelazną sztabę i przeżył straszną chwilę, gdy zawisł trzymając się jej prawą ręką, a lewą szukając liny w okolicy kolan. Zbyt ciasno przywarł ciałem do muru, aby móc objąć ją palcami nieco wyżej. Gdy tylko uchwycił linę należycie, puścił sztabę i szybko przechwycił ją prawą ręką. W czasie tego manewru całe ciało obsunęło się prawie o jard. Stłumiony krzyk dotarł do niego z dołu. Gerard zawisł w powietrzu. Zaciął zęby, oplótł linę stopami i dłońmi i zsuwał się wolno, po kawałeczku, w

dół. Mijał jeden po drugim wielkie, grubo ciosane głązy. Na jednym z nich dostrzegł zielony mech. Spojrzał w górę i w dół. Księżyc oświetlał okno jego celi. Wydawało się bardzo bliskie, natomiast do niespokojnie biegających ludzkich postaci w dole było jeszcze ogromnie daleko. Głębia przyprawiała go o zawrót głowy, utkwił więc oczy w ścianie tuż przy sobie i z wolna zsuwał się w dół, coraz niżej i niżej...

Mijał oślizgłą, omszałą partię muru. Było tego około dziesięciu stóp. Boleśnie otarł dłonie. Zerknął raz jeszcze w górę. Okno celi ciemniało już bardzo daleko.

- W dół - w dół - w dół. Lina raniła mu ręce.

Spojrzał do góry. Okno pozostało już tak wysoko, że odważył się popatrzeć nisko. Małgorzata i Marcin byli o trzydzieści stóp pod nim, wyciągali wierne dłonie, by pochwycić go w razie upadku. Widział już ich oczy i zęby lśniące w księżycowym blasku, oddychali bowiem ciężko, otwartymi ustami.

- Uważaj, Gerardzie, uważaj! Nie patrz w dół.

- Nie bójcie się o mnie - zawoła! radośnie i skierował wzrok na ścianę, ale zsuwał się szybciej.

Za chwilę sięgnął stopami ich dłoni. Chwycili go, nim dotknął ziemi, i wszyscy troje padli sobie w objęcia.

- Tss!. Uciekajmy, najdroższy.

Milcząc skradali się w cieniu wieży.

Zanim jednak odeszli parę jardów, jaskrawe światło trysnęło zza węgła budynku i przecięło ich ścieżkę barierą ognia. Czyjeś kroki i szepty rozległy się tuż obok nich.

- Z powrotem! - syknął Marcin. - Trzymać się cienia.

Cofnęli się spieszenie, minęli rozkołysaną linę i ruszyli ku wysuniętemu narożnikowi wieży. Zaledwie zdolali go obejść, gdy promień światła trysnął za nimi i niepewnie począł migotać w oddali.

- Latarnia - jęknął Marcin. - Są na naszym tropie.

- Daj mi nóż - szepnęła Gerard. - Żywego mnie nie wezmą.

- Nie, nie! - westchnęła Małgorzata. - Czy nie ma żadnego sposobu, żeby się stąd wyniknąć?

- Żadnego.

- Ale ja noszę sześć dusz ludzkich na ramieniu... - z tymi słowy Marcin założył cięciwę i chwycił strzałę. - Nigdy nie czekaj w boju, aż wróg uderzy. Zabiję ze dwóch, nim pojną, skąd śmierć przychodzi. - Mówiąc to do swych towarzyszy, jednocześnie napinał łuk

i, zanim strzała doszła do policzka, wyrzał za róg, gotowy puścić cięciwę, gdy poruszy się nieprzyjaciel.

Gerard i Małgorzata wstrzymali oddech w okrutnym oczekiwaniu. Nigdy nie byli świadkami zabicia człowieka.

Teraz dzikie, na pół stłumione pragnienie wstrząsnęło nagle Gerardem - nadzieja, że owym czujnym wrogiem będzie burmistrz we własnej osobie. Wiedział dobrze, że żołnierz przeszyje swą strzałą zwykłego mieszczanina czy też burmistrza, tak jakby to był niedźwiedź w borze.

Ale któż z ludzi zdoła przewidzieć przyszłość, choćby niedaleką? Łuk zamiast wypuścić śmiertelny groń, począł chwiać się, opadł gwałtownie, a krzepki żołnierz powrócił zataczając się na drżących nogach z twarzą pobladłą ze strachu. Opuścił łuk i chwycił kurczowo ramię Gerarda.

- Mogę walczyć z wrogiem w ludzkim ciele - szepnął ostatkiem tchu. - W tej wieży straszy! W tej wieży straszy!

Groza zdjęła również Małgorzatę i Gerarda. Przerażonym szeptem, nie mogąc dobyć głosu, spytali o wyjaśnienie.

- Ciszej, bo „to” nas usłyszy. W górę po ścianie! Pnie się w górę po ścianie! Ogień bije mu z głowy. Idzie w górę po ścianie, tak jak ludzie śmiertelni chodzą po zielonej murawie. Mówcie pacierze, jeśli umiecie, bo piekło otwarło się tej nocy.

- Mam moc wypędzania złych duchów - rzeki drżący Gerard - spróbuję.

- Idź przeto sam! - rzekł Marcin. - Ja już raz to ujrzałem i żyję.

ROZDZIAŁ XI

Dziwne, nienawistne spojrzenie, którym burmistrz obrzucił niegdyś Gerarda, a zwłaszcza późniejsze uwięzienie wzbudziły w młodzieńcu przekonanie, że Ghysbrecht jest jego śmiertelnym wrogiem. Zaglądał więc za węgiel wieży, spodziewając się, że ujrzy nie nadprzyrodzoną zjawę, lecz jakiś okrutny i zdradziecki fortel złego człowieka, pragnącego wyrządzić mu krzywdę. O ucieczce więźnia burmistrz raczej nie mógł chyba jeszcze wiedzieć.

Gdy ruszył naprzód, uczył w swej dłoni miękką, lecz dzielną rączkę - Małgorzata stanęła u jego boku, aby podzielić to nowe niebezpieczeństwo.

Ledwie dojrzeli nawiedzaną przez duchy wieżę, stanęli bez ruchu sparaliżowani okropnym widokiem. W połowie wysokości wieży pięł się uparcie w górę potwór o

gorejącym łbie podobny do olbrzymiego świetlika. Ciało kryło się w mroku, zarys był jednak widoczny w blasku bijącym od głowy - całe stworzenie mierzyło zaledwie cztery stopy.

U stóp wieży kształt w bieli przypominał do złudzenia postać niewieścią. Gerard i Małgorzata dygotali ze zgrozy.

- Lina, lina! To wspina się po linie - szepnął Gerard.

Potworny świetlik tymczasem zniknął w dawnym więzieniu Gerarda. Jego światło rozjaśniło celę i oblało czerwienią okno. Biała postać stała bez ruchu na dole.

Jeśli człowiek wytrzyma pierwsze miazdzące wrażenie wywołane niezmierną zjawą, wtedy zdoła oprzeć się przerażeniu w najdziwniejszych jego odmianach - pragnie rzucić się na oślep na ową rzecz straszliwą. Urzeka go ona jak wąż ptaka. Wielki artysta tragic Marcready odtwarzał to wyśmienicie w Makbecie przy drugim pojawieniu się Bańka. Rzucił się, odwróciwszy twarz, na straszny cień. Ten dziwny impuls popchnął teraz Małgorzatę. Puściła łagodnie dłoń Gerarda, stanęła oszołomiona i nagle ruszyła z dzikim krzykiem na widmo. Gerard nie zdając sobie sprawy z naturalności impulsu, o którym mówiłem, nie wątpił, że to szatan porwał dziewczynę na zatracenie. Padł na kolana.

- Exorcisso vos. In nomine Beatae Mariae exorcisso vos. Gdy w największym przerażeniu egzorcysta wykrzykiwał zaklęcia, usłyszał nagle z niezmierną ulgą słaby krzyk trwogi ducha. Wielce go pokrzepiło odkrycie, że i piekło miewa chwile słabości. Wzmógł egzorcyzmy i ujrzał, że widmo klęczy u stóp Małgorzaty. Usłyszał, jak prosi żałośnie o litość.

Kasia i Idzi rychło dotarli do nawiedzanej przez duchy wieży. Możecie sobie wyobrazić, jak byli zaskoczeni, znalazłszy nowiutką linę zwisającą z okna więzienia aż do ziemi.

- Widzę, co się stałonijsza inteligencja realnie oceniła fakty. - Nasz Gerard zsunął się po tej linie. Uszedł. Wejdę na górę i obaczę.

- Nie, Idzi, nie! - zaprzeczyła wyższa inteligencja, zaślepiona przesądami. - Czy nie widzisz, że to czary? Ta lina to zasadzka, którą zostawił zły duch, aby cię przywieść do zguby. Szatan zna wszystkie ułomności naszych serc, dojrzał przeto, jak lubisz się wspinać. Skąd by nasz Gerard mógł zdobyć linę? Jak umocowałby ją w powietrzu? To nie w ludzkiej mocy. Wszyscy święci, weźcie nas w opiekę, bo rozwarły się bramy piekieł.

- Bzdury! - odrzekł karzeł. - Droga do piekła wiedzie w dół, a ta lina prowadzi w górę. Nigdy jeszcze nie udało mi się wspinać po tak długiej linie. Lata mogą przeminąć, nim znów trafi mi się taki długi, już gotowy dla mnie sznur. Lepiej raz oberwać po łbie, niż nigdy nie zaznać szczęścia.

Skoczył na linę z okrzykiem zachwytu, jak kot na stół pełen ryb. Płonął ochotą i jedynym ustępstwem na rzecz siostry była zgoda na przymocowanie latarni do karku.

- Światło przepędza złe duchy - rzekła dziewczynka.

Mocą swych atletycznych ramion i lekkich nóg Idzi wspiął się po linie szybciej, niż jego brat zsunął się w dół. Siostra obserwowała go drżąc z niepokoju. Nagle postać niewieścia wybiegła zza grubych murów i ruszyła na nią z nadprzyrodzoną gwałtownością.

Kasia wydała słaby okrzyk. To było wszystko, na co mogła się zdobyć, ponieważ język przyrósł jej do podniebienia ze zgrozy. Rzuciła szczudła i padła na kolana, kryjąc twarz w dłoniach:

- Bierz ciało, lecz oszczędź mą duszę. Małgorzata (dyszząc): - Więc to kobieta! Kasia (dygocąc): - Więc to kobieta! Małgorzata: - Jakże mnie przeraziłaś!

Kasia: - Sama jestem dość przerażona. Och, och, och!

- To dziwne. A stwór o ognistej głowie? Był jednak z tobą, lecz ty jesteś niegroźna. Co robisz tu w nocy?

- A ty?

- Być może przyszliśmy tu w tym samym celu? Ach, ty jesteś jego dobrą siostrą Kasią?

- A ty - Małgorzatą Brandt?

- Tak.

- Cudownie. Kochasz go i jesteś tutaj. Więc Idzi miał rację. Gerard uciekł na wolność.

Gerard podszedł do nich i dociekanie stało się bezprzedmiotowe. Dalsze wyjaśnienia przerwał straszliwy, nieludzki głos, jak gdyby brzuchomówcy z głębi grobu:

„Pergamin! Pergamin! Pergamin!”

Za każdym razem okrzyk był głośniejszy. Spojrzeli do góry. Karzeł stał w oknie dźwigając naręczą pergaminów, a jego twarz promieniała szatańską radością i lśniła diabelskim blaskiem. Mając latarnię zawieszoną na karku, mógł zadziwiać każde śmiertelne oczy piekielną „przezroczyością”. Okropny karzeł wrzeszcząc zrzucił na zdumione głowy stojących na dole stosy pergaminów. Dokumenty spadały jak zranione dzikie kaczki; niektóre zwały się jak kamień, inne trzepotały, jeszcze inne, rozpostarte szeroko, kołysały się z wolna, zataczając kręgi w powietrzu. Zaledwie wylądowały, gdy na nowo rozległ się grobowy ryk: „Pergamin! Pergamin!” - i znów pożeglowało w dół stadko dokumentów. Inne spadały za nimi, zasypując bielą trawę.

Wreszcie płomiennogłowy lekki karzeł zsunął się na swych zrogowaciałych rękach po linie jak spadająca gwiazda i, jako że stawiał interes poza sentymentem, zaproponował swemu uratowanemu bratu natychmiastowy zakup świeżo dostarczonego towaru.

- Cicho! - rzekł Gerard. - Mówisz za głośno. Pozbieraj to i chodź z nami w bezpieczniejsze miejsce.

- Gerardzie, nie pójdziesz ze mną do domu? - spytała Kasia.

- Nie mam domu.

- Nie powinieneś tak mówić. Któż po tak okrutnej krzywdzie mógłby być serdeczniej od ciebie przywitany w domu ojcowskim?

- Ojciec? Nie mam ojca - rzekł stanowczo Gerard. - Człowiek, który był moim ojcem, stał się więziennym dozorcą. Umknąłem z jego rąk. Nigdy już nie powrócę tam, gdzie mógłby mnie dosięgnąć.

- To dzieło wroga, nie naszego ojca.

Kasia opowiedziała treść podsłuchanej rozmowy Korneliusza i Sybrandta. Krzywda jednak była zbyt świeża, aby dała się złagodzić. Rozgoryczony i obrażony Gerard okazywał niezwykłą dotąd u niego zaciętość.

- Korneliusz i Sybrandt to dwa złe psy, od dawna już znam ich podłe serca i jadowite zęby, ale sami nic nie mogliby zrobić. To ojciec dał upoważnienie burmistrzowi, gdyż inaczej nie miałyby prawa pslcem mnie tknąć, bo jestem wolnym obywatelem tego miasta. Tak, byłem jego synem. Byłem jego więźniem. Odegrał swoją rolę. Teaz ja odegram moją. Żegnaj, grodzie, w którym się urodziłem, żyłem uczciwie i zostałem wtrącony do więzienia. Dopóki pozostanie choć jedno inne miasto na świecie, nie zmacę już więcej twego spokoju, o Tergou.

- Och, Gerardzie, Gerardzie! - zawołała Kasia. Małgorzata szepnęła dziewczynce:

- Nie przekonywaj teraz. Daj mu czas, aby ochłonął z gniewu. Kasia odwróciła się ku niej szybko.

- Pozwól mi popatrzeć na twą twarz. - Rezultat badania wypadł widać pomyślnie, bo szepnęła: - Miła to twarz i żadne zło nie jest na niej wyryte.

- Nie lękaj się mnie - rzekła równie cicho Małgorzata. - Twoja miłość jest mi tak samo potrzebna do szczęścia, jak miłość Gerarda.

- Miłe to słowa - zaszlochała Kasia. I spoglądając w górę, rzekła: - Nie myślałam, że cię tak polubię. Chciałabym z całego serca uścisnąć cię, ale nie pozwala mi na to me kalectwo.

Tak zachęcona Małgorzata objęła delikatnie siostrę Gerarda i ucałowała ją serdecznie.

- Gerard dużo mi opowiadał o tobie, Kasiu, i często tęskniłam do tej chwili.

- Teraz ty, Gerardzie - rzekła Kasia. - Pocałuj mnie przed odejściem. Z ciężkim bowiem sercem rozstaję się z tobą tej nocy.

Gerard ucałował ją i dziewczynka odeszła na swych kulach do domu. Usłyszeli jeszcze tylko ostatnie ciche westchnienie. Łzy zalały oczy Małgorzaty, ale Gerard był mężczyzną i nie zauważył westchnienia siostry.

Gdy skierowali się ku Sevenbergen, karzeł szturchnął Gerarda swym zwojem pergaminów i wyciągnął dłoń oczekując zapłaty.

Małgorzata starała się zniechęcić Gerarda:

- Po co brać cudzą własność?

- Trzeba niszczyć wroga, jak się da.

- Czy nie będzie to okazja do dalszych gwałtów?

- Do jakich? Czy myślisz, że zostanę w Tergou po tym wszystkim? Burmistrz ograbił mnie z wolności. Zabiłbym go, gdybym tylko mógł.

- Och, Gerardzie!

- Czemu wzdychasz? Czy sądzisz, że życie jest więcej warte niż wolność? Zresztą nie mogę zabrać mu życia, zabieram więc pierwszą rzecz, która wpada w me ręce.

Dał bratu garść drobnych monet. Urwis ucieszył się i poszedł w ślad za siostrą. Marcin spieszenie dogonił Małgorzatę i Gerarda. Ruszyli do Sevenbergen.

ROZDZIAŁ XII

Ghysbrecht van Swieten miał klucz od więzienia Gerarda w swojej sakiewce. Czekał dziesiątej, nim udał się do niego, rzekł bowiem sobie: „Żdziebko głodu czasem dobrze robi, zmiękczy go”. O dziesiątej wspiał się schodami, dźwigając bochenek chleba i dzban, za nim uzbrojony po zęby wierny pachołek. Ghysbrecht posłuchał pod drzwiami. Ani szmeru wewnątrz. Ponury uśmiech wypłynął na oblicze burmistrza. „O tej porze będzie już tak załamany jak Albert Koestein” - pomyślał i otworzył drzwi.

Gerarda nie było.

Ghysbrecht osłupiał.

Choć twarz burmistrza była niewidoczna, ciało jego znieruchomiało w dziwny sposób, za chwilę zaś zatrzęsła nim taka febra, że sługa stojący z tyłu zrozumiał, iż coś się niedobrego stało, przysunął się bliżej do swego pana i zerknął mu przez ramię. Na widok pustej celi, liny i żelazne sztaby krzyknął głośno ze zdumienia. Zdziwił się podwójnie, gdy ujrzał, że pan, nie

zwracając na nic uwagi, padł nagle na kolana przed pustą skrzynią i drżącymi rękami macał dokoła, jak gdyby nie dowierzając oczom w tak ważnej sprawie.

Pachołek patrzył na niego całkiem ogłupiały.

- Co to się stało, panie burmistrzu?

Wargi Ghysbrechta poruszyły się jakby w odpowiedzi, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ręce burmistrza opadły bezwładnie, nie spuszczał oczu z wnętrza skrzyni.

- Panie burmistrzu, co pomoże zagłądanie do pustego kufra? Nie ma chłopaka! Patrzcie tylko! Chytry szczeniak! Wyjął sztabę i...

- Przepadło, przepadło, przepadło!

- Przepadło? Co przepadło? Wszyscy święci, rozum mu odjęło!

- Trzymaj złodzieja! - wrzasnął Ghysbrecht. - Nagle odwrócił się do pachołka, chwycił go za kołnierz i począł trząść nim z furją. - Stoisz tu, drabie, i przyglądasz się swemu obrabowanemu panu? Pędź, leć! Sto koron temu, kto mi to odnajdzie. Nie, nie, przepadło! Och, dureń! Zostawić to w tej samej izbie. Ale nikt dotąd nie wykrył tajemnej sprężyny. Nikt nigdy, tylko właśnie on. Tak być musiało. Tak musi być. Stracone! Wszystko stracone! - Poczul ciężar swych lat i starcze niedołęstwo, opadło krótkotrwałe podniecenie. Osunął się na skrzynię mamrocząc: - Przepadło! Przepadło!...

- Co przepadło, panie? - spytał łagodnie pachołek.

- Dom, ziemia i dobre imię - wybełkotał Ghysbrecht, załamując ręce.

- Jak to? - krzyknął sługa.

Słowo to wypowiedziane z naciskiem i nie ukrywaną ciekawością uderzyło Ghysbrechta i wskrzesiło jego naturalną chytrą.

- Straciłem kroniki miejskie - wymamrotał, patrząc badawczo na pachołka jak lis schwycony tuż przed kurnikiem.

- Tylko o to chodzi?

- Czyż nie dość? Co powiedzą obywatele miejscy? Co pocznie miasto? - Nagle wybuchnął znowu gniewem. - Sto koron nagrody dla zucha, który by mi je odnalazł - wszystko oczywiście, wszystkie pergaminy, które były w skrzyni. Jeżeli choć jednego świstka braknie, nie zapłacę ani szeląga.

- Umowa stoi, panie burmistrzu. Mam już te sto koron w kieszeni. Czy to nie jasne, że tam gdzie jest Gerard Eliassoen, tam są te kawałki baraniej skóry, które mają dla was, panie, tak wysoką wartość?

- To prawda, święta prawda. Poczciwy Dirku! Zacny, wierny Dirku! Wszystko - rozumie się - wszystko, co było w skrzyni.

- Pójdę, panie, z pachołkami do domu Gerarda i aresztuję go za kradzież.

- Kradzież? Na Boga, wspaniale! Przecież to kradzież. Zapomniałem o tym! A skoro stał się złodziejem, wpakujemy go do lochu pełnego ropuch i szczurów. Dirk, temu człowiekowi nie wolno już ujrzeć świata Bożego. Sam sobie winien, widać jest wścibski. Szybko, szybko, zanimby miał czas do gadania. Rozumiesz mnie? Zanimby miał czas rozgadać cokolwiek.

Niecałe pół godziny później Dirk Brower z czterema pachołkami miejskimi wkroczył do domu sukiennika i zażądał od przerażonej Katarzyny wydania młodego Gerarda.

- Biada mi! Co znowu uczynił? - krzyknęła. - Ten chłopak złamie mi serce!

- Nic takiego, pani, to wybryk młodości! - rzekł Dirk. - Zabrał po prostu parę płachci pergaminu, dla psoty oczywiście, ale burmistrz jest odpowiedzialny przed miastem za przechowanie dokumentów i kłopotuje się o nie. Co do chłopaka, to najwyżej dostanie reprimendę.

Te łagodne słowa kompletnie uspokoiły Katarzynę, ale jej córka była bardziej podejrzliwa. Podejrzenia Kasi wzmożyły się jeszcze, gdy Dirk dowiedziawszy się, że Gerard nie nocował i dalej nie ma go w domu, okazał nieproporcjonalnie wielki gniew i rozczarowanie.

- Idziemy tedy - rzekł ostro. - Nie traćmy czasu. - I dorzucił gwałtownie: - Znajdę go, choćby się skrył pod ziemię.

Uczucie potęguje spryt i często sprawia, że niewinne dziewczę zdolne jest sprostać nikczemnikowi. Gdy Dirk zabierał się do odejścia, Kasia dała znak, że chce z nim pomówić na osobności. Odprawił więc ludzi i czekał pod drzwiami. Dziewczynka podeszła do niego.

- Pst! - rzekła. - Matka nie wie o niczym. Gerard opuścił Tergou;

- Co takiego?

- Widziałam go tej nocy.

- Gdzie? - krzyknął zaciekawiony Dirk.

- U stóp wieży, gdzie straszy.

- Skąd wziął linę?

- Nie wiem. Ale wiem jedno: pożegnał się ze mną i do tego czasu musi już być kilka mil za Tergou. Nigdy to miasto nie było go warte, a gdy wtrącony został do więzienia, poprzysiągł, że więcej jego noga nie postanie w tych murach. Burmistrz może być zadowolony. Uwięził go i wypędził z rodzinnego miasta i ziemi ojczystej. Czy chce jeszcze obrabować jego i nas z dobrego imienia?

Może w innej chwili Dirk przyznałby rację dziewczynce, ale obecnie zbyt był zgryziony ucieczką Gerarda i stratą stu koron.

- Dlaczego ukradł? - odparł cierpko.

- Gerard nie ukradł ani źdźbła, zabrał to tylko na złość burmistrzowi, który go obrabował z wolności i odpowie jeszcze za to przed księciem. A jeśli chodzi o owe świstki pergaminu, o które robicie tyle wrzawy, zajrzyjcie, panie, do najbliższego potoku lub może chlewa i znajdziecie tam te śmieci.

- Dziękuję ci, panienczko. Tak naprawdę myślisz? - Oczy Dirka rozbłysły. - A może wiesz, że tak właśnie jest?

- Wiem tylko, że Gerard jest za uczciwy, żeby kraść, a za mądry na to, żeby się obładowywać rupieciami na drogę.

- Do widzenia, więc - rzekł cierpko Dirk. - Te skóry baranie, którymi tak gardzisz, dla mnie więcej są warte niż czyjakolwiek skóra w całym Tergou.

I wybiegł szybko fałszywym śladem.

Kasia wróciła do domu i odciągnęła na bok swego brata.

- Idzi, mam złe przecucie. Nie piśnij nikomu słowa z tego, co ci powiem. Opowiedziałam Dirkowi Browerowi, że Gerard opuścił Holandię, a boję się, że nie odjechał nawet mili od Tergou.

- Dlaczego? A gdzie on jest?

- Gdzież mógłby być, jeśli nie ze swą ukochaną? Jeżeli jednak tak jest, nie wolno mu mitrzyć. Szukają go źli i przewrotni ludzie. To, co ujrzałam w oku Dirka Browera, napełniło mnie niepokojem. Czemu nie mogę pofrunąć do Sevenbergen i ostrzec go? Czemu nie jestem taka zdrowa i dzielna jak inne dziewczęta? Niech mi Bóg wybaczy, że buntuję się przeciw Jego woli, ale nigdy tak mocno jak dzisiaj nie czułam, jak ciężko być kulawą, słabą i bezużyteczną. Ale tyś silny, kochany braciszku - dodała przymilnie. - Tyś bardzo silny.

- Tak, ja jestem silny - zagrzmiął Perpusillus i zrozumiałwszy intencje siostry, dodał szybko - ale nie cierpię chodzenia pieszo.

- Biada mi, biada! Któż dopomoże, jeżeli nie ty? Idzi, drogi mój, czy nie kochasz Gerarda?

- O tak, lubię go najbardziej ze wszystkich. Pojadę do Sevenbergen na mule Piotra Buyskensa. Ty go poproś, bo mnie nie będzie chciał pożyczyć.

Kasia sprzeciwiła się. Całe miasto za nim pobiegnie. Dowiedzą się, dokąd pojechał, i Gerard będzie w większym niebezpieczeństwie niż przedtem.

Wobec tego Idzi obiecał wyjechać z miasta w przeciwnym kierunku i nie zawracać w stronę Sevenbergen aż do chwili, gdy pozbędzie się wszystkich gapiów.

Kasia wyraziła zgodę i pożyczyła muła. Przesłała przez Idziego krótkie, lecz wymowne ostrzeżenie i kazała bratu tak długo je powtarzać, aż umiał na pamięć słowo w słowo.

Idzi wyruszył na mule w drogę, a mała Kasia wróciła do domu i, ofiarowując ukochanemu bratu ostatnią, na jaką było ją stać, pomoc, uklękła do długich i gorących modłów o jego ocalenie.

ROZDZIAŁ XIII

Gerard i Małgorzata wesoło wędrowali do Sevenbergen w pierwszym uniesieniu z powodu odzyskanej wolności i szczęśliwej przygody. Szybko jednak nadpłynęły smutne myśli. Gerard był uciekinierem z więzienia, mogli go po raz drugi pojmać, może ukarać; młodzi będą więc musieli rozstać się na jakiś czas. Ponadto powziął nienawiść do swego ojczystego miasta. Małgorzata pragnęła, aby na krótko opuścił kraj, ale na myśl o wyjeździe ukochanego do Italii serce w niej omdlewało. Gerard odwrotnie - tylko Italia mogła go pogodzić z myślą o rozstaniu się z Małgorzatą; był przekonany, że tam potrafi zdobyć pieniądze i sławę, by pokonać przeszkody piętrzące się przed ich małżeństwem. Młodzieniec powtórzył już narzeczonej wszystko, co powiedziała mu panna van Eyck. Przypomniał, że dukaty dano mu tylko po to, by się tam udał, a podróż była oczywiście dla jego dobra. Był przecież rzemieślnikiem i artystą, przepadłby na tym odludziu. W Italii potrafią ocenić go należycie. Ta argumentacja przekonała naturalnie oddane mu dziewczę, ale wiele popłynęło łez, a Gerard, tak samo młody i kochający, płakał gorzko wraz z nią. Zastanawiali się oboje, co złego uczynili, że tak wielu mają nieprzyjaciół, którzy starają się ich rozłączyć.

Trzymając się za ręce, przesiedzieli aż do północy, to oplakując swój smutny los, to znów kreśląc radosne i pełne nadziei obrazy przyszłości, gdy nagle popłynęły łzy Małgorzaty; biedny Gerard przerywał opowiadanie wzdychając ciężko.

Rankiem byli już zdecydowani na rozstanie, ale nie mieli odwagi ustalić terminu i wątpię nawet, czy wybiłaby wreszcie godzina wyjazdu Gerarda.

Około trzeciej po południu nadjechał pod dom Idzi, zrobiwszy wielomilowe okrażenie, aby uniknąć podejrzeń. Oboje wybiegli do niego, płonąc ciekawością.

- Gerardzie! - krzyknął swym grzmiącym głosem - Kasia prosi cię, byś uciekał ratując życie. Oskarżają cię o kradzież. Dałeś im haczyk na siebie. Nie próbuj się wytłumaczyć. Nie

licz na sprawiedliwość w Tergou. Zabrane pergaminy są tylko pretekstem. Kasia widziała wyrok śmierci na ciebie w oczach pachołków: nałożono cenę na twą głowę. Uciekaj! Dla dobra Małgorzaty i wszystkich twoich bliskich nie narażaj życia zwlekając, uciekaj!

Jakby grom w nich uderzył. Oboje bladzi patrzyli to na siebie, to na strasznego posła.

- Wszyscy pachołkowie miejscy szukali cię u nas w domu, wraz z nimi Dirk Brower. Kasia jest mądrą dziewczyną, Gerardzie. Najlepiej będzie, jeśli posłuchasz jej rady i uciekniesz.

- Och tak, Gerardzie! - krzyknęła dziko Małgorzata. - Uciekaj natychmiast. Ach, te pergaminy! Rozum mnie ostrzegł przed nimi! Czemuż pozwoliłam ci je zabrać?

- To tylko wymówka, Małgorzatko. Idzi mówi to samo. Wszystko jedno, stary łotr już ich nie ujrzy. Nie odejdę, dopóki tak nie schowam jego skarbów, że nigdy ich nie odnajdzie.

Gerard podziękował gorąco bratu, pożegnał się z nim i posłał go do domu, aby doniósł Kasi, że odchodzi.

- Odejdę, zanim dotrzesz do domu - rzekł.

Zawołał potem Marcina, opowiedział mu, co zaszło, i poprosił, aby poszedł kawałek w stronę Tergou i baczył na drogę.

- Dobrze - rzekł Marcin - jeżeli ujrzę Dirka Browera lub kogoś z jego ludzi, moja strzała utkwi w dębie rosnącym w ogrodzie. Na ten znak musisz natychmiast biec do lasu i tam spotkamy się przy źródle zaczarowanego myśliwca. Stamtąd poprowadzę cię przez puszcę.

Gerard odetchnął swobodniej, nie obawiając się już zaskoczenia. Wyszedł wraz z Małgorzatą do ogrodu i podczas gdy dziewczyna drżąca obserwowała dąb, obawiając się, że każdej chwili ujrzy strzałę przesywającą gałęzie, Gerard wykopał głęboką jamę, aby ukryć w niej pergaminy.

Wrzucał je do dołu jeden po drugim. Były to prawie wyłącznie przywileje i sprawozdania miejskie, jeden z nich wydał mu się prywatną umową między Florisem Brandtem, ojcem Piotra, i Ghysbrechtem.

- Popatrz, ten należy tak samo do was jak do niego - rzekł Gerard. - Przeczytam, co tu jest napisane.

- Ach, nie teraz, Gerardzie, nie teraz - krzyknęła Małgorzata. Każda stracona chwila napędza moje oczy łzami. Chmury płyną tak nisko i deszcz zaczyna padać wielkimi kroplami.

Gerard posłuchał napomnienia. Schował umowę za pazuchę, zasypał ziemią resztkę dokumentów i przydeptał dokładnie miejsce. Tymczasem błyskawica przeszła powietrze, za

nią dobiegł huk odległego pioruna, wreszcie spadł ciężki deszcz. Małgorzata i Gerard pobiegli do domu. Tam dogonił ich zdyszany Marcin.

- Droga wolna - rzekł. - Nadchodzi gwałtowna burza.

Rzeczywiście, grzmoty zbliżały się coraz bardziej, pioruny trzaskały prawie nad ich głowami, błyskawice przecinały niebo jedna po drugiej niczym uderzenia bicia, deszcz lał jak z cebra. Małgorzata kryła twarz, aby nie widzieć błyskawic, Gerard zawarł więc grube okiennice i zapalił świeczkę. Kochankowie naradzali się dalej i Gerard błogosławił burzę, która podarowała mu jeszcze parę godzin z Małgorzatą.

Zachód słońca minął nie dostrzeżony, wciąż jeszcze były pioruny, lał deszcz. Podano wieczerzę, ale Gerard i Małgorzata nie mogli niczego przełknąć. Gnębiła ich myśl, że ostatni raz siadają razem do stołu. Burza nieco przycichła. Piotr udał się na spoczynek. Gerard miał wyruszyć o świcie. Ani on, ani Małgorzata nie chcieli stracić nawet godziny na sen. Marcin siedział też czas jakiś, bo dopasowywał nową cięciwę do łuku, a był wielce biegły w tego rodzaju zajęciach.

Narzeczeni poszeptowali przy nim o swych smutkach i miłości.

Nagle stary myśliwy gestem wzniesionej ręki nakazał im ciszę.

Umilkł, nasłuchiwali, lecz nic nie dosłyszeli. Ale za chwilę dobiegło ich ciche stąpanie po zeschniętych liściach zagarniętych z ogrodu pod kuchenne drzwi. Taki szelest nie zwróciłby uwagi ludzi, którzy nie mają powodów do obaw, ale dla tych, którzy mieli wrogów - był straszny. Był to bowiem szelest stóp człowieka usiłującego stąpać bezszelestnie.

Marcin założył strzałę na cięciwę i szybko zdmuchnął świecę. W tej samej chwili usłyszeli ze zgrozą kroki zbliżające się do drugich drzwi domu, nie tak bezszelestnie jak poprzednio, ale jednak ukradkiem. Po czym zapadła śmiertelna cisza.

Krew zamarła im w żyłach.

- O Kasiu, Kasiu! Mówiłaś: uciekaj natychmiast. - Jęknęła Małgorzata, załamując ręce zdjeta grozą i rozpaczą, dręczona ciężkimi wyrzutami sumienia z powodu zatrzymania Gerarda.

- Cicho, dziewczyno! - szepnął surowo Marcin. Ciężkie uderzenie rąbnęło w drzwi.

I w ich serca.

ROZDZIAŁ XIV

Za chwilę równie brutalnie załomotał ktoś do tylnych drzwi domu, jak gdyby na umówiony znak. Byli otoczeni. Wobec tych prze - rażających odgłosów Małgorzata odzyskała nieco panowanie nad sobą. Szepnęła:

- Powiedz, że był tu, ale poszedł.

Chwyciła Gerarda za rękę i prawie przemocą pociągnęła go na grubo ciosane schody, prowadzące do sypialni ojca. Sąsiedni pokój należał do niej.

Uderzenia w drzwi powtórzyły się.

- Kto puka o tej porze?

- Otwórz, a zobaczysz.

- Nie otwieram złodziejom, uczciwi ludzie wszyscy już teraz śpią.

- W imieniu prawa, otwieraj, Marcinie Wittenhaagenie, bo pożałujesz.

- Zdaje się, że to głos Dirka Browera. Co robisz tak daleko od Tergou?

- Otwórz, to się dowiesz!

Marcin odciągnął bardzo powoli zasuwę i Dirk z czterema pacholkami wtargnął do izby. Był z nimi i ten, który przedtem stał pod tylnymi drzwiami.

- Gdzie jest Gerard Eliassoen?

- Gerard Eliassoen? Był tu dopiero co.

- Był tutaj? - Dirk stracił pewność siebie. - A gdzie jest teraz?

- Podobno poszedł do Italii. A bo co? O co chodzi?

- Mniejsza o to. Kiedy wyszedł? Tylko mi nie mów, że wyruszył podczas takiej burzy!

- To tyle hałasu o Gerarda Eliassoena - rzekł powoli Marcin. Zapalił świeczkę i siadając przy ogniu, z zimną krwią zaczął owijać mocnym, cienutkim jedwabiem cięciwę, w miejscu gdzie opiera się o nią strzała.

- Powiem wam - rzekł od niechcenia. - Czy znacie jego brata Idziego? Tego bękartą - karła, co ma jeno głowę i ręce. Przygalopował tu na mule i coś nawrzeszczał. Byłem za daleko, aby zrozumieć, co ten stwór plecie, jeno hałas słyszałem. W każdym razie wyciągnął Gerarda. Jak tylko poszedł, zaczęły się płacze, czułości i wtedy Gerard odszedł. Powiedzieli mi, że wyruszył do Italii. Może wiecie, gdzie to jest, bo ja nie mam pojęcia.

Dirk w miarę opowiadania coraz bardziej tracił pewność siebie. Nie było w tym nic podejrzanego. Człowiek bardziej od Marcina przebiegły powiedziałby pewnie zbyt wiele kłamstw i wzbudziłby podejrzenia. Marcin jednak dobrze wykonał swe zadanie. Skłamał tylko raz, tam gdzie musiał. Sam niczego nie wymyślił.

- Chłopcy - rzeki Dirk. - Zdaje mi się, że on prawdę gada. Powiedziałem burmistrzowi, jak to będzie. Spotkał karła, jak wracał galopem z Sevenbergen na mule Piotra

Buyskensa. „Wysłali tego bękarta do Gerarda - powiedział - zatem Gerard jest w Sevenbergen”. „Oj panie - mówię - już za późno. Trzeba nam było wprzód pomyśleć o Sevenbergen, zamiast tracić czas na przetrząsanie wszystkich kątów w Tergou, aby odszukać te przeklęte pergaminy, których nigdy nie znajdziemy, póki nie będziemy mieć w ręku człowieka, co je zabrał. Jeśli był w Sevenbergen mówię burmistrzowi - i posłali do niego karła, to na pewno po to, aby ostrzec, że go szukamy. Teraz on za górami, za lasami - mówię. - Bierz lichy tę bladą jak giezło dziewczuchę! Przechytrzyła brodatych chłopów. Takem rzekł burmistrzowi, ale nie chciał słuchać głosu rozsądku. Mokry kaftan na grzbiecie to będzie cała nasza, chłopcy, nagroda za tę robotę.

Marcin uśmiechnął się drwiąco.

- Zresztą - dodał miejski pachoł - przeszukamy dom, żeby dogodzić burmistrzowi.

Marcin spoważniał.

Dirk zauważył zmianę w wyrazie jego twarzy. Zastanowił się chwilę.

- Dwóch pilnuje domu na zewnątrz z obydwu stron, aby nikt nie wyskoczył przez okna na piętrze. Reszta pójdzie za mną.

Wziął świecę i wszedł na schody, a za nim trzej towarzysze.

Marcin został sam.

Krzepki żołnierz zwiesił głowę. Tak wyśmienicie wszystko szło na początku; a teraz taki nieszczęsny zwrot! Nagle przyszło mu na myśl, że nie wszystko jeszcze stracone. Gerard musi być w pokoju Piotra Brandta lub Małgorzaty. Okna nie są zbyt wysoko od ziemi. Gerard powinien wyskoczyć Dirk zostawił pachołka na dole, ale cóż z tego! Przez pół minuty Gerard i Marcin będą we dwóch na jednego, a w tym krótkim czasie czegoż nie da się zrobić?

Marcin zostawił uchylone drzwi z tyłu domu i nadśluchiwał. Światło paliło się w pokoju Piotra. „Cóż u lichapomyślał żołnierz - dureń da się im wziąć jak baran?”

Światło przeniosło się do sypialni Małgorzaty. Okna pozostały zamknięte. Jeśli Gerard miał zamiar ratować się w ten sposób, nie mógłby czekać, aż pachołcy wejdą do izby. Marcin zrozumiał to nagle, odszedł od drzwi, stanął na klatce schodowej i słuchał. Pomyślał, że Gerard musiał uciec przez okno wtedy jeszcze, gdy wszyscy ludzie burmistrza byli w domu. Im dłużej trwało milczenie, tym mocniejsze było jego przeświadczenie. Zostało jednak nagle i brutalnie podważone.

Stłumione krzyki dobiegły z dalszej izbyalkowy Małgorzaty.

- Mają go - jęknął Marcin. - Złapali Gerarda.

Jak błyskawica przeleciała przez głowę Marcina myśl, że jeśli ujęto teraz Gerarda, życie chłopaka wisi na włosku, a gdyby stało się z nim coś złego - pęknie serce Małgorzaty.

Toczył groźnie oczyma w krąg jak dziki zwierz szukający ratunku i w ciągu sekundy powziął straszną, acz zwykłą dla osaczonego żołnierza w owych twardych czasach decyzję. Obszedł kolejno wszystkie drzwi domu i naśladując głos Dirka Browera, rzekł ostro:

- Bacz na okno!

Potem cichutko zamknął i zaryglował oboje drzwi. Chwycił swój łuk i sześć strzał. Jedną założył na cięciwę, resztę wsunął do kołczana. Nóż ulokował z tyłu na stołku, rękojeścią ku sobie, i czekał u stóp schodów zdecydowany zamordować tych czterech ludzi lub zginać z ich ręki. Wiedział, że dwóch ustrzeli z łuku, nim zdołają się zbliżyć, a później wraz z Gerardem muszą spróbować szczęścia w walce wręcz z dwoma pozostałymi. Widział zresztą nieraz ludzi przerażonych takim nagłym atakiem. Jeżeli Brower i jego ludzie zawahają się choć przez chwilę, zanim zmierzą się z nim, zdoła przesyć swymi strzałami nie dwóch, lecz trzech wrogów i wtedy zwycięstwo będzie po właściwej stronie.

Niedługo musiał czekać. Ciężkie kroki zadudniły w pokoju Małgorzaty i zbliżały się coraz bardziej.

Światło i głosy stawały się także coraz wyraźniejsze.

Serce mocno tłuło się w piersi Marcina, gdy czekał na ludzi, którzy szli na spotkanie śmierci, a może i jemu śmierć nieśli - co było nawet bardziej prawdopodobne. Marne miał szansę zwycięstwa na polu walki wielkości dziesięciu stóp kwadratowych, jeden przeciw czterem, a Gerard mógł być związany i niezdolny do pomocy. Ale Marcin, który - jak widzieliście, niedawno dygotał całym ciałem na widok karła z latarnią, nigdy nie zdrzął w strasliwej chwili prawdziwego niebezpieczeństwa. Stał więc sam naprężony, gotów do walki, z płonącym wzrokiem, jednakowo zdecydowany pozbawić innych życia, jak utracić swoje. Rozpaczliwa gra! W razie zwycięstwa - natychmiastowe i dożywotnie wygnanie, a w wypadku przegranej padłby trupem za chwilę na tym samym miejscu.

Dirk Brower i jego podwładni zastali Brandta pogrążonego w głębokim pierwszym śnie. Otworzyli komody, wbili noże w skórę ali gatora, którą Piotr rozpiął na ścianie, zajrzeli pod łóżko. Izba była obszerna, pełna schowków, ale nie znaleźli Gerarda.

Przeszli więc do izby Małgorzaty, ale tam już pierwszy rzut oka ich zniechęcił. Pokój był mały, pusty, bez szafy. Stał tam jedynie kominek z dużym paleniskiem. Dirk natychmiast spojrzął w tę stronę. Znalazł tam najpiękniejszą dziewczynę w Sevenbergen, śpiącą na starej skrzyni nie wyższej nad stopę. Nie starano się niczego ukryć. Pościel była biała jak śnieg i śnieżnobiała była także bielizna Małgorzaty. Leżała tam jak ścięta lilia.

Obudziła się, usiadła zdziwiona na łóżku. Spozrzegłszy mężczyzn, zaczęła skarżyć się omdlewająco i prosić o litość.

Dirk Brower zawstydził się swojej roli.

- To ci dopiero - rzekł zmieszany. - Nie chcemy cię obrazić, ślicznotko. - Leż spokojnie, zamknij oczy i myśl o swym weselu, a ja tylko obejrzę sobie kominek, żeby sprawdzić, czy nie ma tam panicza Gerarda.

- Gerarda? W mojej alkowie?

- Zaśby nie? Mówią, że on i panienka...

- Okrutniku! Dobrze wiesz, że wygnali go precz ode mnie. Wygnali go z miasta. To pozór. Złodzieje, nikczemnicy, widać, że nie jesteście z Sevenbergen, inaczej znalazlibyście lepiej Małgorzatę Brandt i szukalibyście jej ukochanego na całym świecie, a nigdy w jej alkowie. Wojacy! Czterech drabów uzbrojonych po zęby przychodzi obrażać biedną, pocziwą dziewczynę! Niewiele warte muszą być wasze żony i matki, jeśli tak mało je szanujecie, iż macie chelność obrażać pocziwą dziewicę.

- Chodźmy, nim usłyszemy coś gorszego - rzekł śpiesznie Dirk. - Nie ma go w kominku. Plaster zagoi ranę od pałki, ale niewieści język niczym obosieczny sztylet. Dziewczyna staje się niewiastą, ledwie ją od matczynej piersi odstawić - burczał wycofując się chyżo. - A mówiłem burmistrzowi, że tak będzie.

ROZDZIAŁ XV

Któraż kobieta nie potrafi zagrać na scenie? Czyż znajdzie się taka, która nie zechce tego uczynić, i to wyśmienicie, dla ocalenia ukochanego człowieka? W tak dramatycznej sytuacji Natura pomaga najmniej mądrej przedstawicielce płci pięknej i uczy ją, jak samemu Salomonowi oczy zamydlić.

Zaledwie drzwi zamknęły się za ludźmi Browera, gdy Małgorza ta zeskoczyła z łóżka i otworzyła długą skrzynię, na której leżała w spódniczce, halce i pończochach, naciągnawszy na to wszystko nocną koszulę. Oparła wieko wraz z pościelą o ścianę, po czym prześlizgnęła się ku drzwiom i nadśluchiwała. Kroki minęły pokój ojca i zamarły, schodząc w dół po schodach.

Skrzynia odznaczała się pewną osobliwością, prawie nie do wykrycia dla kogoś obcego. Podłoga w izbie była tu i ówdzie połamana i Gerard, chcąc upiększyć alkowę Małgorzaty, a mając niewiele materiału, zaoszczędził pomysłowo część desek, zostawiając miejsce wystarczające na soidisant łóżko dziewczyny i zdobytym w ten sposób drewnem wyreperował całą izbę. Łóżko, czy też raczej skrzynia opierała się wprost na krokwiach, o

stopę niżej poziomu podłogi. Liczyła ona więc dwie stopy głębokości, choć wyglądała na niziutką.

Było już zupełnie cicho. Małgorzata uklękła i podziękowała Niebiosom. Potem przemknęła cichutko z powrotem, pochyliła się nad skrzynią i szepnęła:

- Gerardzie! Nie odpowiedział.

- Szepnęła nieco głośniej:

- Gerardzie! Wszystko już dobrze, chwała Bogu! Możesz wstać, ale bądź ostrożny!

Gerard nie odpowiedział. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Gerardzie! Milczenie.

- Co się stało? - krzyknęła, dotykając rękami jego twarzy i piersi.

Chwyliła go za ramiona, potrząsnęła nim, podniosła, ale wysunął się z jej drżących rąk i upadł nie jak żywy człowiek, lecz jak trup. Ogarnęło ją straszliwe przerażenie. Wieko skrzyni było zamknięte. Leżała na nim. Pachołkowie byli jakiś czas w pokoju.

Z szaloną siłą wydarła go ze skrzyni. Zniosła na rękach do okna.

Jednym pchnięciem rozwarła je, wpuszczając łagodne, świeże powietrze. Położyła chłopca na parapecie w świetle księżyca. Twarz Gerarda była woskowo blada, ciało wiotkie i nieruchome. Dotknęła serca. O zgrozo! Nie wyczuła ani drgnienia. Potworność! Uduśliła go własnym ciałem...

Umysł ludzki nie może od razu objąć tak wielkiej, nagłej i dziwacznej klęski. Jakże to możliwe, aby chłopiec, który żywy wszedł do tej skrzyni zaledwie pięć minut temu, był martwy na zawsze?

Wzywała go najczulszymi imionami, jakie tylko zdoła wymyślić ludzkie serce i potrafią wypowiedzieć usta. Całowała go i pieściła, przymilała się i błagała, aby do niej przemówił.

Ani słowa odpowiedzi na miłosne zaklęcia, których przedtem nigdy mu nie powiedziała, ani nie pomyślała nawet, że mogłaby je wyrzec. Biedne stworzenie, drżąc na całym ciele, zaczęło lamentować nad tą woskową twarzą szaleńczymi słowy, budzącymi zarazem grozę i litość.

- Gerardzie, wybacz mi, jeśli umarłeś. Wybacz, że cię zabiła. Przebacz, że nie pozwoliła cię zabrać tym ludziom. Byłoby to o wiele lepiej. Gerardzie, tak bardzo, tak bardzo żałuję tego, co zrobiłam... - Nagle zaczęła szaleć: - Nie, nie, to niemożliwe! Boga nie byłoby na niebie... To potworne. Jak może nie żyć mój Gerard? Jakżeż mogłabym go zabić? Kocham! O Boże, ty wiesz, jak go kocham. On nie wie. Nigdy mu tego nie powiedziałam. Gdyby widział me serce, przemówiłby do mnie, nie mógłby być głuchy na słowa swej biednej

Małgorzaty. To jakaś sztuczka, żebym musiała płakać i wydała go. Ale nigdy, za bardzo go kocham. Wolę się sama udusić. - Chwyciła za gardło, aby stłumić dziką chęć wycia ze zgrozy i rozpacz.

- Gdyby wyrzekł choć słowo. Gerardzie, nie umieraj w milczeniu. Zmiłuj się nade mną, skrzycz mnie, ale przemów do mnie. Jeżeli się gniewasz na mnie, złajaj mnie, nawymyślaj! Zasluguję na to - głupia, która zabiła najdroższego, kochanego nad życie człowieka! Jestem morderczynią! Najgorszą na całym świecie! Ratunku, ratunku! Zamordowałam go! Aaaaaa...!

Rwała sobie włosy z głowy i krzyczała tak dziko i przenikliwie, że Dirk Brower i jego pachołkowie skoczyli na równe nogi i spojrzeli po sobie.

ROZDZIAŁ XVI

Marcin Wittenhaagen stał u stóp schodów z napiętym łukiem i przygotowanym nożem. Zdumiał się, zobaczywszy pachołków burmistrza schodzących na dół bez Gerarda. Opuścił łuk i patrzył na nich z otwartymi ustami. Oni byli ze swej strony równie zaskoczeni jego zachowaniem.

- No, chłopcy, zdaje się, że ten stary był gotów wystrzelać nas z łuku?

- Bzdury - rzekł Marcin, odzyskując swój zwykły spokój. - Wypróbowałem nową cięciwę. Ale jeśli takie przyszły wam myśli do głowy, mogę zdjąć cięciwę z łuku.

- No, no! - rzekł podejrzliwie Dirk. - Jest w tym coś, czego nie rozumiem. Dorzuć polano do ognia i pozwól nam się osuszyć nieco przed wyjściem.

Buchnął wnet płomień, ludzie zgromadzili się dokoła; ich przyodziewek i długie włosy zaczęły wnet parować przy jasnym ognisku. Wtedy właśnie dobiegły krzyki i jęki z pokoju Małgorzaty. Wszyscy poderwali się, jeden z pachołków miejskich wziął świecę i chciał biec schodami wiodącymi do izb sypialnych.

I Marcin wstał pospiesznie, a zmieszany nieoczekiwanymi krzykami i obawiając się niebezpieczeństwa wskutek ciekawości pachołka, próbował zagrozić mu drogę.

Wtedy Dirk złapał go wpół od tyłu i rozkazał swym ludziom przytrzymać żołnierza. Pachołek ze świecą uszedł, inni skoczyli na Marcina i po długiej, zaciętej walce, podczas której tarzali się niejeden raz po ziemi z łucznikiem pośrodku, udało im się poskromić starego Samsona, związać mu ręce i nogi sznurem przygotowanym dla Gerarda.

Marcin stękał głośno. Widział, jak w czasie walki pachołek poszedł do pokoju Małgorzaty, a on leżał bezsilny.

- Zgrzytaj zębami, stary łotrze - rzekł Dirk, dysząc jeszcze po walce. - Nie możesz już ugryźć.

- Tak mi się coś zdaje, chłopcy, żeśmy nie mogli być pewni życia, póki ten stary nie miał związanych gnatów.

- Widzę z tego, że ten Gerard musi być gdzieś niedalekorzekł inny.

- Hejże, chłopcy! - rzekł Dirk - Jorian Ketel coś długo siedzi w alkuwie tej dziewczyny. Niech no lepiej któryś z nas pójdzie po niego.

Jeszcze nie przebrzmiał rubaszny śmiech wywołany tą uwagą, gdy usłyszano szybkie kroki zbiegającego w dół pachołka.

- No, jest nareszcie. Jorian, co tam się dzieje na górze?

Rozdział XVII

Jorian Ketel wszedł prosto do izby Małgorzaty i tam z najwyższym zdumieniem natknął się na człowieka, którego szukał. Błady i nieruchomy leżał z głową na łonie dziewczyny, ona klęczała nad nim niema już i skamieniała z bólu. Jej szeroko rozwarte oczy jarzyły się, nie dojrzała świecy wchodzącego ani nie usłyszała jego kroków, nie dbała o nic na świecie poza białą twarzą na swym łonie.

Jorian stanął zdjęty zgrozą, świeca drżała mu w ręku.

- Ejże, gdzie był cały ten czas?

Małgorzata nie zwróciła na niego uwagi. Jorian podszedł do pustej skrzyni i obejrzał ją uważnie. Zaczynał rozumieć. Wzruszyła go tępa, lodowata rozpacz dziewczyny.

- Smutny to widok - rzekł. - Brudna robota... I to wszystko dla paru skór! Lepiej poszedłby z nami. Nawet mi nie odpowiada, biedna dziewczyna. Poczekaj, spróbujmy jeszcze, czy...

Wyjął małe okrągłe lusterko, nie większe od dłoni, przyłożył je do ust i nozdrzy Gerarda i przytrzymał chwilę. Gdy je podniósł, było matowe.

- Jeszcze w nim życie kołacze... - mruknął Jorian Ketel do siebie.

Małgorzata dosłyszała natychmiast te słowa, mimo że wymamrotał je tylko, i oto życie i namiętność szarpnęły skamieniałym posągami. Skoczyła i oplotła ramionami szyję Joriana.

- Boże, błogosław usta, które mi to mówią! - ścisnęła coraz goręcej, coraz bardziej szaleńczo ogromnego, niezdarnego chłopca.

- Zaraz, zaraz! Połóżmy go i ciepło okryjmy - rzekł Jorian. Uniósł z łatwością Gerarda i złożył na pościeli. Nalał z flaszki, którą miał przy sobie, pełną dłoń wódki schiedamze i chlapanął nią ostro dwa razy w twarz Gerarda. Mocny trunek pomógł młodzieńcowi odzyskać przytomność. Chłopiec westchnął w omdleniu. Nie było nigdy dźwięku równie radosnego dla ucha ludzkiego! Dziewczyna frunęła ku niemu, lecz zatrzymała się nagle, drżąc, aby nie wyrządzić mu krzywdy. Straciła zupełnie zaufanie do siebie.

- Masz rację, daj mu pokój - zauważył Jorian. - Nie ściskaj tak jak mnie przed chwilą, bo znowu dech z niego wypędzisz. Zostaw go w spokoju, na pewno przyjdzie do siebie. Co innego u starego człeka...

Gerard odetchnął głęboko i cień rumieńca ubarwił jego twarz i wargi. Jorian skierował się ku drzwiom. Nim do nich doszedł, ktoś chwycił go z tyłu za nogi.

Małgorzata oplotła jak wąż jego kolana, całowała po rękach i błagała przymilnie:

- Nic im nie powiesz? Ocaliłeś mu życie, nie będziesz przecie tak okrutny, aby go znów popchnąć do grobu i zniszczyć swój dobry uczynek?

- Nie, nie! Nie po raz pierwszy przecie oddałem wam obojgu przysługę. To ja powiedziałem ci w kościele, dokąd go zabieramy. Zresztą co mnie obchodzi Dirk Brower? Powiesz go, nim mu coś powiem. Ale mów, gdzie są pergaminy. Obiecano za nie sto koron. Byłaby to niezła gratka dla mojej Joanny i dzieci, sama wiesz.

- Ach! Będą miały te sto koron.

- Jakże! Masz te pergaminy w domu? - zapytał ciekawie Jorian.

- Nie, ale wiem, gdzie są, i przysięgam na Boga i świętego Bawona, że dostaniesz je jutro. Przyjdź do mnie po nie, kiedy chcesz, ale przyjdź sam.

- Przeciem nie oszalał. A jakże! Mam się dzielić stu koronami z Dirkiem Browerem? I niech mnie piorun trafi na miejscu, jeśli choć jedna dusza chrześcijańska dowie się ode mnie, że ten biedny chłopak tu jest.

Wybiegł, aby nie wzbudzić podejrzeń i nie ściągnąć ich wszystkich na górę. A Małgorzata padła na kolana, drżąc na całym ciele, i modliła się przy boku Gerarda i za Gerarda.

- Co się dzieje? - odrzekł Jorian na pytanie Dirka Browera. - Przestraszyliśmy dziewczynę do utraty zmysłów. Jakby ją szaleństwo napadło.

- Może lepiej pójdziemy na górę i zaopiekujemy się nią.

- Żeby ją zapędzić do grobu? Ma ojca doktora, obudziłem go i kazałem mu się nią zająć. Puść mnie lepiej do ognia!

Jego naturalne zachowanie rozbroiło wszelkie podejrzenia. Rychło całe towarzystwo doszło zgodnie do wniosku, że gospoda „Pod Trzema Królami” o wiele cieplejsza niż dom Piotra Brandta, i wyruszyło, rozwiązawszy uprzednio Marcina.

- Widzisz, chłopie, ja miałem rację, a nie burmistrz - powiedział Dirk Brower ode drzwi. - Powiedziałem, że za późno, żeby go złapać, i było za późno.

Tak to Gerard w ciągu jednej strasznej nocy bliski był więzienia i grobu.

I w jaki sposób wreszcie wygrzebał się z kłopotów? Nie ocalił go chytrze przygotowany schowek ani spryt Małgorzaty, ale dobry odruch serca jednego z prześladowców, odrobina ludzkości w sercu nieco lekkomyślnego człowieka, który kierował się nadto chęcią zysku. Tak to skomplikowane i pozornie sprzeczne są ludzkie pobudki, tak krótkowzroczne nasze najrozumiejsze rady.

Ci, których łaskawy los lub umiarkowane usposobienie chronią na drodze życia od krańcowych uniesień radości lub udręki, do jakich zdolna jest natura ludzka, są prawdopodobnie najlepszymi, a na pewno najszczęśliwszymi z całego rodzaju ludzkiego. Takim jednak Czytelnikom na próżno usiłowałbym odmalować niewysłowione szczęście, jakie ogarnęło teraz prześladowanych kochanków. Nawet tym, którzy przeżyli wielkie radości i dotkliwe cierpienia, nieudolna moja sztuka przekaże jedynie błady odbłask radosnych uniesień Małgorzaty i Gerarda.

Siedzieć i patrzeć, jak ukochana twarz wraca powoli od śmierci do życia, jak szybko coraz więcej nabiera zdrowia i piękna; jak rumieńce ożywiają policzki, miłosne spojrzenie lśni znów w najdroższych oczach, a słowa rozbrzmiewają z kochanych ust - to było szczęście Małgorzaty; radość, która może wynagrodzić całe lata smutku. A Gerard obudził się z omdlenia z głową na ramieniu ukochanej, słyszał z ust uwielbianej kobiety szept nie znanych dotąd, wymownych słów miłości. Oblewały go strumienie łez, obsypywał grad pocałunków i pieszczot. Nie wiedział, aż do tej słodkiej chwili, jak gorąco, jak czule kochała go Małgorzata. Był wdzięczny swym wrogom. Opletli się czule ramionami, zmartwienie i niebezpieczeństwo wydało im się poza światem, oddalone o stulecia. Nazywali się już mężem i żoną. Czyż nie byli uroczyście zaręczeni? Czyż nie stali razem przed ołtarzem? Czyż nie błogosławił święty Kościół ich związku i nie groził karą tym wszystkim, którzy chcieliby ich rozdzielić?

Ale jako że nerwy kobiety nie mogą bezkarnie wytrzymać tak straszego napięcia, nagle Małgorzata stała się bliska omdlenia i osunęła się na ramię Gerarda, uśmiechając się blado, zupełnie wytrącona z równowagi. Teraz Gerard był niespokojny i zamyślał szukać pomocy. Ale dziewczyna przytrzymała go delikatnie uściskiem i błagała, aby nie opuszczał jej ani na chwilę.

- Gdy mogę cię dotknąć, czuję, żeś bezpieczny. Gerardzie, niemądry mój chłopcze! Nic mi nie dolega. Jestem słaba, najdroższy, ale szczęśliwa, bardzo szczęśliwa!

Teraz Gerard z kolei podtrzymywał ukochaną główkę, a włosy dziewczyny ciężką falą spływały nań; tulił i uspakajał drżącą na jego piersi czułymi słowami, dodając odwagi miłosnym szeptem i delikatną pieśczętą. Słabość niewieścia ma nieodparty czar dla męskiego serca.

Biedactwa! Tak bardzo byli szczęśliwi, a następnego dnia musieli się rozstać. Ale teraz to już dla nich nie miało znaczenia. Spojrzeli w oczy śmierci i wszystkie inne troski zdały się lekkie jak piórko.

Tam gdzie jest życie, jest i nadzieja; a gdzie nadzieja - tam radość. Cóż znaczy rozstanie na rok lub dwa dla ludzi młodych, którzy zajrzeli śmierci w oczy. Przyszłość była jasna, terazniejszość boska; tak przeminęły czarowne godziny.

Niestety! Niewinności tych dwojga dzieci groziło niebezpieczeństwo inne prócz więzienia i grobu. Teraz, gdy przestało czyhać na nich widoczne niebezpieczeństwo, zagrażały im własne serca i niedoświadczenie.

ROZDZIAŁ XVIII

Ghysbrecht van Swieten nie mógł całą noc zmrużyć oka. Gdyby nie strach przed grzmotami i błyskawicami, byłby poszedł wraz z pachółkami przeszukać dom Brandta. Gdy burza ucichła, poczłapał w dół po schodach, osiodłał muła i pojechał do karczmy „Pod Trzema Królami” w Sevenbergen. Tam odnalazł swych ludzi śpiących gdzie popadło: na stołkach, na stołach, na podłodze. Wściekły poderwał pachółków na równe nogi i wysłuchał ich opowiadania o bezskutecznych poszukiwaniach, okraszonego gęsto pochwałami na cześć ich niezwyklej gorliwości.

- Dureń ze mnie, zem was puścił samych! - wrzasnął burmistrz. - Głowę daję, że był tam cały czas. Zagląдалиście, pod łóżko dziewczyny?

- Nie. Nikt by się, tam nie zmieścił.

- Skąd wiecie, skoroście nie zajrzeli? - warknął Ghysbrecht, - Trzeba było szukać pod łóżkiem i w łóżku, podważać wszystkie płyty posadzki nożami. Wstawać, za mną! Ja wam pokażę, jak się szuka.

Dirk Brower wstał i potrząsnął głową: - Jeśli, go znajdziecie, kpem jestem - nie człękierri. W ciągu paru minut dom Piotra Brandta znów był otoczony; - Rozwścieczony

starzec zostawił muła pod opieką Joriana Ketla, a sam z Dirkiem Browerem i resztą ludzi wszedł do środka. Dom był pusty.

Nie znaleźli żywego ducha, nawet Brandta. Weszli na górę i nagle jeden z pachołków burmistrza krzyknął, wskazując na okno Piotra, które było otwarte. Wszyscy spojrzeli i zobaczyli w niewielkiej odległości człowieka, którego szukali, jak wędrował spokojnie przez pola, a z nim Małgorzata i Marcin. Ghysbrecht, zagrzewając krzykiem pachołków, zbiegł ze schodów, skoczył na muła i na czele swych ludzi rzucił się w szaleńczy pościg.

ROZDZIAŁ XIX

Gerard, ostrzeżony niedawnym niebezpieczeństwem, wstał przed świtem i obudził łucznika. Stary żołnierz zdumiał się. Myślał, że chłopiec znikł w nocy przez okno.' Zapytany o radę, którędy byłoby najbezpieczniej dojść do granicy i uniknąć pogoni, rzekł, że jest tylko jedna droga:

- Przeprowadzę cię przez gęsty las. Znam ścieżkę dla konnych. Dojdiesz tamtędy szybko do gospody, gdzie możesz wynająć rączego rumaka; jeden dzień jazdy konno i jesteś za granicami Holandii. Ale chodźmy, póki ludzie nie wstali z łóżek.

Dom Brandta stał o półtora stajania od lasu. Ruszyli; Marcin z łukiem i trzema strzałami (był bowiem czwartek), Gerard uzbrojony tylko w mocny dębowy kij, który Piotr dał mu na drogę.

Małgorzata podkasała spódnicę i halkę, bo droga była mokra. Piotr odprowadził ich do granic swego ogrodu i pobłogosławił młodzieńca ze wzruszeniem, jakiego na ogół nie objawiał podczas zwykłych wydarzeń.

Słońce wylaniało się zza horyzontu, gdy minawszy kamieniste pole, skierowali się w stronę puszczy. W połowie drogi Małgorzata, która ciągle nerwowo spoglądała za siebie, krzyknęła i instynktownie zaczęła biec do lasu, krzycząc całą drogę ze strachu.

Ghysbrecht i jego ludzie ścigali ich zawzięcie.

Opór byłby szaleństwem. Marcin i Gerard poszli za przykładem Małgorzaty. Prześladowcy doganiali ich z wolna. Marcin biegł krzycząc:

- Do lasu! Aby do lasu!

Mieli zbyt dużą przewagę początkowo, by pieszo można ich było dogonić, i słowa Marcina napęliły nadzieję serca uciekających. Stare drzewa zdawały się wyciągać do nich gałęzie jak przyjazne ramiona, a liście zapewniały osłonę.

Nie spodziewali się jednak innego niebezpieczeństwa. Rozwścieczony stary burmistrz dosiadł swego muła i, gnając galopem, wyprzedził nie tylko swych własnych ludzi, ale i uciekających. Starał się przeciąć im drogę. Zajechał półkolem aż na brzeg lasu, właśnie naprzeciw Gerarda. Inni mogli uciekać, nie dbał o nich.

Małgorzata krzyknęła i próbowała bronić Gerarda, obejmując go ramionami, stary odepchnął ją bez ceregieli.

Ghysbrecht w swym zapale zapomniał, że ścigane zwierzę rzuca się na myśliwego; że dwaj mężczyźni mogą żywić doń nienawiść i we dwu mogą chcieć zabić przedmiot swej nienawiści.

Zamiast starać się umknąć, jak to burmistrz z całą pewnością przewidywał, Gerard rzucił się wprost na niego z dzikim bojowym okrzykiem i uderzył go z całej siły. Dębowy kij rąbnął w twarz Ghysbrechta z przerażającym trzaskiem i zwałił go pod ogon muła; pięty burmistrza kopały ziemię, krew tryskała z twarzy, plamiąc kryzę.

Za chwilę nasza trójka była już w lesie. Okrzyk pełen zgrozy i żądy zemsty rozbrzmiał wśród ludzi Ghysbrechta na widok strasznego ciosu, który powalił ich wodza. Zbiegowie zrozumieli, że pościg teraz będzie na śmierć i życie.

- Po co biec? - krzyknął ciężko dysząc Gerard. - Masz łuk, a ja mam to - potrząsnął krwawą pałką.

- Chłopcze! - ryknął Marcin. - Szubienica! Za mną! - I popędził dalej w głąb lasu.

Wkrótce usłyszeli krzyki, jakby sfora psów trafiła na ślad zwierza. Ludzie Ghysbrechta byli już w lesie i ujrzeli ich, jak biegli między drzewami. Małgorzata pojękiwała i dyszała zmęczona, a Gerard zgrzyta! zębami i ścisnął swą pałkę. Za chwilę dobiegli do gęstych zarośli leszczyzny. Marcin wiodł ich w głąb, rozsuwając młody las na boki jak łan zboża.

Przeszli tak pięćdziesiąt jardów i dotarli do skrzyżowania czterech tajemniczych ścieżek.

Marcin wybrał jedną z nich.

- Schylcie się nisko - rozkazał.

Biegli dalej zgięci w pół. Inne wijące się ścieżki przecięły im drogę. Skręcili w jedną z nich. Wydawała się prowadzić z powrotem, ale szybko znowu zakręciła i po chwili zawiodła ich do gęstego sosnowego lasu, gdzie weszli w dobry, ale trudny rewir. Nie było tu żadnych ścieżek i młode jodły tworzyły taki gąszcz, że nic nie było widać o trzy jarde.

Gdy uszli w ten sposób kawałek drogi, Marcin usiadł i nauczywszy się na wojnie nie czuć zagrożenia w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa, wyjął z sakwy kromkę chleba i płat szynki i zabrał się ze spokojem do śniadania.

Młodzi patrzyli na niego zaleknieni. Odpowiedział im spojrzeniem.

- Całe Sevenbergen nie mogłoby was teraz znaleźć. Zgubisz swą sakiewkę, Gerardzie, nim dojdiesz do Italii. Czy tak się nosi kieskę?

Gerard spojrział na dużą trójkątną kiesę przyczepioną łańcuchem do sprzączek i rzemieni jego sakwy.

- To nie moja - rzekł. - Ciekawe, co jest w środku!

Próbował ją odczepić, ale przy przejściu przez gąszcz leśny splątała się nierozzerwalnie z rzemieniami i sprzączkami.

- Nie ma, zdaje się, chęci mnie opuścić - rzekł Gerard i odciął ją nożem.

Kiesza po zbadaniu okazała się obficie wyładowana srebrnymi monetami wszelkich rozmiarów, ale swą napęczniałość zawdzięczała głównie złożonym podwójnie kawałkom papieru. Nagle Gerard zrozumiał.

- Słuchajcie, to musi być tego starego złodzieja! Wypchana papierem, żeby okpić ludzi!

Nie mogli początkowo zrozumieć, w jaki sposób sakiewka burmistrza znalazła się u Gerarda.

Wreszcie znaleźli właściwe wytłumaczenie. Kiesza musiała być przytroczona do łęku u siodła Ghysbrechta i Gerard, rzucając się na wroga, wyrwał ją niechcący, w ten sposób powalając burmistrza na ziemię i obrabowując za jednym zamachem.

Chłopak był zachwycony swym czynem, ale Małgorzata poczuła się zakłopotana.

- Wyrzuć to, Gerardzie. Albo nie, Marcin odda kiesę właścicielowi. Już teraz zwą cię złodziejem. Nie mogę tego znieść.

- Wyrzucić? Oddać mu? Ani szeląga! To łup prawnie zdobyty w bitwie na nieprzyjaciela. - Prawda, Marcinie?

- Oczywiście - odparł żołnierz. - Odeślij mu, jeżeli chcesz, ten papier, ale kiesę czy srebro... O, to byłby grzech!

- Gerardzie - rzekła Małgorzata. - Idziesz w dalekie kraje. Potrzebujemy opieki Niebios. Jak możemy na nią liczyć, zabierając cudzą własność?

Ale Gerard inaczej się na to zapatrywał.

- To Niebiosa właśnie zesłały mi ten skarb w cudowny sposób i będę go sobie cenił, tak jak powinienem - odrzekł pobożny młodzieniec. - Podobnie naród wybrany zniszczył Egipcjan i był błogosławiony.

- Rób, jak uważasz - zgodziła się pokornie Małgorzata. - Mądrzejszyś ode mnie. I jesteś mym małżonkiem - dodała cichutko. - Nie powinnam się starać zmieniać twej woli.

Pokorne słowa Małgorzaty, która dotychczas mocno trzymała wodze w swej dłoni, zadziwiły ogromnie Marcina. Gdy przypomniawszy mu się później, był już o wiele mniej zaskoczony.

Gerard ucałował ją czule, wdzięczny za tę małżeńską powolność, i wędrowali dalej, trzymając się za ręce i podążając za Marcinem w gąszcz ogromnego lasu. Oddalając się coraz bardziej, coraz mniej obawiali się pogoni. I zaprawdę, ludzie z miasta nigdy nie odważyliby się zapuścić tak daleko w głąb puszczy, gdzie ginęły już wszelkie ślady dróg.

Ludzie gwałtowni i porywcy szybko żałują. Gerard, czując się już bezpieczny, zaczął odczuwać wyrzuty sumienia.

- Marcinie, chyba nie uderzyłem zbyt mocno?

- Kogo? O, bądź spokojny, dobrze oberwał.

- Mój kij spadł na głowę pokrytą siwymi włosami. Obawiam się, że nigdy nie zapomnę tego widoku.

Marcin chrząknął pogardliwie.

- Kto by oszczędzał borsuka z powodu jego siwizny? - odparł. - Gdy twój wróg ma więcej siwych włosów, znaczy jeno tyle, że starszy. Im starszy, tym chytrzejszy, a im bardziej chytry, tym roztropniej go ukatrupić.

- Ukatrupić? Myślisz o zabójstwie? Marcinie, nie wymawiaj nawet tego słowa. - Gerard zatrzęsł się ze zgrozy.

- Myliłbym się wielce, gdybyś go nie zatłukł - oświadczył Marcin pogodnie.

- Boże chroń!

- Czaszka starego drania trzasnęła jak łupina orzecha!

- Niech Bóg i wszyscy święci chronią nas przed tym.

- Zleciał z muła jak kamień wystrzelony z procy. Powiedziałem sobie: „Ten już gotów”. - Stary żołnierz uśmiechnął się bezlitośnie.

Gerard padł na kolana i zaczął się modlić o życie swego wroga. Teraz już Marcin stracił cierpliwość.

- Cóż to za komedie? Udajesz uczonego i nie wiesz, że jak rozsądny człek wali w łeb swego wroga, to po to, żeby go zabić? I o co te ceregiele? Że ukatrupiono starucha? Żeby

choć chodziło o młodego, przed którym rozkosze życia - wino, niewiasty i łupy! Ale stary dziad, jedną nogą w grobie, co to szkodzi, jak się go sprzątnie? I tak musi się dziś czy jutro wynieść na tamten świat. W sam raz dobry los dla starego grzyba. Gdyby zły los kazał mi żyć tak długo jak Ghysbrechtowi i gdybym musiał używać nóg muła zamiast własnych, Marcina Wittenhaagena - gdybym miał plecy jak to (stuknięcie w drewno łuku), a nie tamto (w cięciwę), dziękowałbym i pobłogosławił młodzieniaszka, który kropnąłby mnie w łeb, tak jak ty uczyniłeś ze starym kupczykiem, przeklęta niech będzie jego pamięć.

- Och, mea culpa, mea culpa! - jęczał Gerard, bijąc się w piersi.

- Patrzaj - Marcin z pogardą zwrócił się do Małgorzaty. - W sercu to jeszcze ksiądz, jak jeno gniew go odejdzie. o święty Pawle, co to za żółtodziób!

- Przestań, Marcinie! - krzyknęła z wyrzutem Małgorzata. Objęła Gerarda ramieniem i starała się go pocieszyć zdwojonym czarem - niewieściego rozsądku i głosu.

- Najdroższy! - szepnęła - chyba zapomniałeś, jak to było. Przecież nie zboczyłeś ani na krok ze swej drogi, by mu wyrządzić krzywdę. To on ścigał cię na śmierć i życie. Uciekałeś przed nim. To on się rzucił na ciebie. Dopiero wtedy uderzyłeś we własnej obronie, jednym tylko ciosem, pałką którą miałeś przedtem w ręku. Ktoś w złym zamiarze wyciągnąłby nóż lub zadawałby cios jeden za drugim. Ileż to razy człowiek bity kijem obrywa nie jeden cios, lecz wiele, i mimo to wychodzi z życiem! Jeżeli twój wróg zginął, to zgubiła go własna, a nie zaś twoja złość i widać taka była wola Boża.

- Niech cię Bóg błogosławi, Małgorzato, za twe dobre myśli i słowa!

- Ukochany, jeżeli nieszczęście chciało przypadkiem, że zabiłeś tego nikczemnego człeka, tym spieszniej musisz uciekać z Holandii. Chodźmy już

- Nie, Małgorzato - odrzekł Gerard. - Dzięki temu, że Marcin jest z nami, nie boję się w tym gęstym lesie ludzkiej pomsty. Obawiam się tylko Tego, którego oczy przenikają puszcę i czytają w ludzkim sercu. Jeżeli zabiłem Ghysbrechta w obronie własnej, wszystko w porządku, ale jeżeli pchnęła mnie nienawiść, On może zesłać mściciela krwi, który pójdzie za mną aż do Italii. Nie tylko do Italii! Do najdalszych granic ziemi.

- Cicho! - burknął opryskliwie Marcin. - Nic nie słyszę przez wasze gadanie!

- A co się stało?

- Czy nie słyszysz, Małgorzato? Moje uszy się starzeją. Małgorzata zaczęła nadsluchiwać i chwyciła głęboki dźwięk podobny do pojedynczego uderzenia w dzwon. Tak opisała swe wrażenia Marcinowi.

- To samo i ja usłyszałem - rzekł żołnierz.

- Ja również zawtórował Gerard. - Jak to pięknie. O, znowu. Jak słodko niesie się przez powietrze! To bardzo daleko. Przed nami, prawda?

- O nie! To echo leśne myli niedoświadczone ucho. Dźwięk dobiega nas z sosnowego gaju.

- Z tego, który minęliśmy?

- Marcinie, czy to coś poważnego? Pobladłeś...

- Coś cudnego! - rzekł z szyderym grymasem Marcin. - Pytasz mnie, czy coś ważnego? Naprzód, naprzód! W każdym razie dojdźmy do lepszego miejsca niż to.

- Lpszego miejsca? Do czego?

- Do walki, Gerardzie - odrzekł poważnie Marcin. - Aby zginąć, jak giną żołnierze, kładąc trzy trupy za jednego.

- Co to za dźwięk?

- To właśnie mściciel krwi.

- Marcinie, ratuj go! Boże, zmiłuj się! Co to za nowe, tajemnicze niebezpieczeństwo?

- To ogary, dziewczyno.

Rozdział XX

Odwaga jak i talent zwykłych ludzi mieści się w wąskich granicach. Jeśli zmusicie ich do przekroczenia tych granic choćby o cal - wtedy poddają się. Odwaga Marcina była niezawodna w takich właśnie granicach. W twardym swym życiu wiele napotkał niebezpieczeństw i poradził sobie z nimi. Wobec trudności, jakie już znał, zachowywał się ze spartańską odpornością, prawie obojętnie. Nigdy jednak nie tropił go ogar i nigdy nie słyszał, aby ludzka przebiegłość mogła zmylić niezawodny instynkt takiej bestii. Stąd jakby coś nadprzyrodzonego sprzymierzyło się z zaskoczeniem Marcina i osłabiło jego odwagę. Przeszedł jeszcze kilka kroków i oparł się na łuku, opuściła go nadzieja. Gerard, w którym dalekie niebezpieczeństwo budziło o tyleż mniej grozy, naglił do pośpiechu.

- Po cóż uciekać?- zapytał ze smutkiem Marcin. - Gdy wyjdziemy z lasu, tanio oddamy swe życie. Tu niedaleko znam miejsce, gdzie możemy drogo je sprzedać.

- Marcinie, kochany! - krzyknął Gerard. - Nie trać tak szybko nadziei. Musi być jakaś droga ratunku.

- Marcinie! - zawołała Małgorzata. - Może byśmy się rozdzielili? Gra idzie jeno o życie Gerarda. Czy nie da się go uratować, ściągając pościg na nas oboje?

- Nie znasz, dziewczeczko, natury ogara. Nie pójdzie śladem tego lub innego człowieka - idzie po śladach krwi. Głowę dają, że wzięli ogara, gdy padł Ghysbrecht, i to przeklęte psisko poprowadzi ich od krwi zabitego do człowieka, który ją rozlał, choćby Gerard przebiegł poprzez szeregi wojska albo przepłynął w pław Mozę.

- Marcin, opuściwszy smutnie głowę, znów oparł się zgnębiony o swój łuk.

Melodyjny odgłos zbliżającego się ogara dobiegł ich powtórnie przez las.

Dźwięczniejszy głos

Nie rozbrzmiał nigdy ni czczony rogów był melodią

Na Krecie, w Sporcie lub w Tesalii.

Zadziwiające, że piękno może nieść z sobą śmiertelną grozę. Piękne są oczy boadusiciela, gdy urzeka nimi swą ofiarę. Królewska korona nie ma takich klejnotów. To rubiny w pełzającym po nich szmaragdowym blasku. Jeleń, który je ujrzy, zamiera w bezruchu, drży i czeka śmierci; jeżeli w ten sposób porównamy wrażenia wzrokowe ze słuchowymi, ten słodki i łagodny dźwięk zdawał się czarować Marcina Wittenhaagena. Stał niezdecydowany, oszołomiony, onieśmielony. I Gerard teraz nie czuł się wiele lepiej. Ostatnie słowa łuczника przeraziły go. Uderzył starego człowieka, przelał jego krew i śladem tej krwi dogania go właśnie czworonożny mściciel. Czyż nie był to palec Boży?

Podczas gdy mężczyźni trwali w odrętwieniu, umysł kobiety w pełni pracował. Niebezpieczeństwo groziło jej ukochanemu.

- Pożycz mi swego noża - poprosiła Marcina.

Żołnierz podał go jej, mówiąc:

- Niewiele będzie z niego pożytku w twoich rękach. Małgorzata postąpiła przemyślnie. Idąc z tyłu za Gerardem, skrycie rozcięła nożem ramię. Krew spłynęła obficie; zatrzymała się na chwilę, pomazała nią pończochy i buty. Powtarzała to za każdym razem, gdy krew tryskała na nowo, tak jednak zręcznie, że ani Gerard, ani Marcin niczego nie zauważyli. Potem chwyciła żołnierza za ramię.

- Bądź mężczyzną - rzekła - i doprowadź rzecz do końca. Wiedź nas do jakiejś gęstwiny, gdzie nasi wrogowie nie będą mogli wykorzystać swej liczebności.

- Idę - rzekł ponuro Marcin. - Pośpiech na nic się nie zda. Nie potrafimy umknąć przed ogarem, a ta gęstwa jest tuż obok.

Skręcił na lewo i prowadził ich jak na ścięcie. Wnet weszli w leszczykowy gąszcz podobny do tego, który pomógł im w rannej ucieczce.

- No, tam jest szerokości jeno na staje, ale to nam wystarczy - rzekł.

- Cóż mamy robić?

- Przedrzeć się tędy i czekać na drugiej stronie. Gdy tamci zaczną wychodzić po jednym, zastrzelić trzech, rąbnąć dwóch w łeb, zaś pozostali nas zabiją.

- Czy to wszystko, co potrafisz wymyślić? - spytał Gerard.

- Wszystko.

- Zatem ja obejmuję dowództwo, Marcinie Wittenhaagenie, bo ty, jak widzę, straciłeś głowę. Czy potrafisz być posłuszny takiemu młodemu człowiekowi jak ja?

- Och, Marcinie - zawołała Małgorzata. - Nie sprzeciwiaj się Gerardowi. Ma o wiele więcej rozumu niż lat.

Marcin ustąpił wobec nagłego ataku.

- Róbcie to co ja - zakomenderował Gerard i wyciągając swój wielki nóż, zaczął co krok nadcinać jeden, czasem dwa pędy leszczyny nisko przy ziemi i obracając się do tyłu przywiązywał je na wysokości piersi do stojących gałęzi. Marcin zawzięcie go naśladował, ale bez cienia zainteresowania i nadziei na twarzy. Gdy mozolnie przebyli w ten sposób lwią część gęstwiny, głębokie ujadanie ogarów zaczęło się przybliżać, coraz mniej dźwięczne, coraz głośniejsze i twardsze.

Małgorzata zadrżała.

Marcin położył się na brzuchu i nadsluchiwał.

Słyszę tętent końskich kopyt.

- Nie - sprzeciwił się Gerard. - Myślę, że to muł. Ten przeklęty Ghysbrecht żyje jeszcze. Nikt inny nie ścigałby mnie tak zawzięcie.

- Gdy uderzasz w nieprzyjaciela, bacz, byś go na śmierć ugodził - odezwał się ponuro Marcin.

- Jeżeli Niebiosa pozwoli, rąbnę tym razem mocniej - obiecał Gerard. Przedarli się wreszcie przez gęstwinę i wyszli w las. Drzewa tu były potężniejsze, ale rosły daleko od siebie, więc ucieczka tamtędy była niemożliwa.

Teraz do ujadania ogarów dołączyły się szczujące i pokrzykujące głosy.

- Cała wieś goni za nami - zauważył Marcin.

- Nie dbam o to - rzekł Gerard. - Słuchaj, Marcinie, zgotowałem drogę łatwą dla psów, zaś uciążliwą dla ludzi, po to, byśmy mogli rozprawić się z nimi osobno. Pies musi więc ludzi przegonić i skoro wynurzy się z gęstwiny, ubijemy go.

- Tam jest niejeden.

- Słyszę tylko jednego.

- Ano, jeden ujada, drugi biegnie cicho. Skoro tylko prowadzący straci trop, drugi się odezwie. Tam są najmniej dwa ogary posokowce albo diabły w psich skórach.

- Jeśli tak, musimy zabić dwa, nie jednego. I natychmiast w gęstwinię, aby się przedostać z powrotem.

- To dobry plan, Gerardzie! - pochwalił go Marcin podniesiony na duchu.

- Cicho! Już są w leszczynie.

Gerard wydawał teraz polecenia szeptem:

- Stań z łukiem u wylotu gęstwiny - tutaj, w rowie. Ja pójdę parę jardów dalej, pod dąb, i schowam się za nim. Psy ruszą moim śladem. Gdy tylko wypadną z gąszczu, zastrzel, ile potrafisz, z resztą będę sobie radził, gdy obejdą drzewo dokoła.

Marcinowi zabłysły oczy. Zajęli stanowiska.

Szczucie psów i pokrzykiwanie stawało się coraz bliższe. Słysząc już było nawet szelest leszczyny, tu i ówdzie nieomylny ogar znaczył trop pojedynczym szczeknięciem.

Straszne to było! Gałęzie szeleściły coraz głośniejsze, nieuchronna walka na śmierć i życie zbliżała się z każdą minutą, a ujadanie ogara jak dzwon żałobny prowadziło pogoń. Drżąca rączka dotknęła ramienia Gerarda. Czekaający w napięciu chłopak skoczył gwałtownie.

- Marcin powiada, że gdybyśmy musieli się rozdzielić, spotkamy się przy owym wysokim jesionie, któryśmy minęli.

- Tak! Tak! Tak! Ale uciekaj, na Boga! Nie przychodź tu, na otwarte miejsce!

Dziewczyna pobiegła do Marcina, ale nim mogła ku niemu zdążyć, ogromny pies wypadł z gęstwiny i przystanął na chwilę. Małgorzata skuliła się ze strachu, ale ogar w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Węch był dla niego tym, czym wzrok dla ludzi. Opuścił na chwilę nos ku ziemi i natychmiast ze straszliwym ujadaniem skoczył prosto w stronę drzewa, za którym ukrył się Gerard. Runął nagle na łeb, przeszyty śmiertelną strzałą z łuku, który zadźwięczał w ręku Marcina za krzakami leszczyny. Za chwilę z gąszczu wychynął drugi ogar i zatrzymał się wietrząc krew swego towarzysza. Gerard rzucił się na niego, ale nim zdążył cios zadać, błysk białej błyskawicy następnej strzały Marcina zwałił psa na ziemię. Nie zabite, lecz ciężko ranne zwierzę skomlało żałośnie.

Gerard nie miał już czasu go dobić. Hałas w leszczynie zbliżył się tuż, tuż, gęstwina zdawała się żyć. Wskazując w dzikim pośpiechu powrotną drogę Marcinowi, podbiegł parę kroków w prawo i skoczył w gąszcz w samą porę, gdy trzech ludzi przedarło się przez zagajnik.

Wyprzedzili znacznie towarzyszy; reszta ciągnęła za nimi w różnych - odstępach.

Gerard czołgał się z powrotem prawie na czworakach. Instynkt kazał zrobić to samo Marcinowi i Małgorzacie, gdy rozpoczęli odwrót. Tak to prześladowcy i ścigani zbiegowie

przedzierał się przez młodą, splątaną leszczynę, mijając się w odległości paru jardów, ale zdążając w przeciwnych kierunkach.

Głośny krzyk oznajmił znalezienie ogarów - zabitego i rannego. Gwar rósł, w miarę jak napływali tam ludzie z pościgu. Zaskoczeni prześladowcy tracili czas, prześladowani korzystali jak mogli z tej przewagi.

- Już nie słysząc ogarów - szepnął Marcin do Małgorzaty, odzyskując panowanie nad sobą.

Teraz z kolei dziewczyna drżała z rozpacz.

- Czemuż rozdzieliliśmy się z Gerardem? Zabiją mego najdroższego, a ja nie będę przy nim.

- E, nie! Na to są za głupi. Mówiłaś, żeby się z nami spotkał pod jesionem?

- A jakże! Dzięki ci, żeś o tym pomyślał. Biegnijmy pod jesion.

- Jeno bez takiego hałasu.

Byli już prawie na skraju gęstwiny, gdy nagle usłyszeli za sobą pokrzykiwanie i nawoływanie. Pościg zawracał, zmiarkowawszy, że zbiegowie są w leszczynowym gąszczu.

- Nic nie szkodzi - szepnął Marcin do drżącej towarzyski. - Szybko biegnąc, zdążymy zniknąć im z oczu. Ach!

Wtem zatrzymał się. Właśnie gdy chciał wynurzyć się z krzaków, zauważył jeźdźca stojącego na straży. Był to Ghysbrecht van Swieten na swym mule. Miał skrwawiony bandaż na złamanym nosie, ale jego oczy czujnie śledziły drogę. Wyraz tych oczu świadczył, że dosłyszał szelest, który spowodowali zbiegowie, i rozglądał się teraz, czekając, aż wyjdą z gęstwiny. Marcin zaklął straszliwie, założył ostrożnie ostatnią strzałę na cięciwę i począł z równą ostrożnością napinać łuk. Małgorzata zakryła twarz rękoma, ale nie wyrzekła słowa. Wiedziała, że albo ten człowiek musi umrzeć, albo Gerard. Opanowawszy pierwsze wrażenie, zerknęła przez palce, czując w gardle bicie serca.

Łuk wzniósł się do góry, śmiertelna strzała dotykała już prawie głowy żołnierza, gdy w tej samej chwili ktoś skoczył z tyłu na Ghysbrechta jak jastrząb na gołębia. Zarzucił chustę na burmistrza, jednym ruchem ręki owinał mu głowę. Stary stoczył się z siodła, upadł ciężko na ziemię i leżał charcząc przerażony. Gerard skoczył ku niemu.

- Psst! Marcin! Marcin!

Marcin i Małgorzata wyłonili się z krzaków. Stary żołnierz krzyknął:

- W nogi! W nogi! Póki wszyscy są jeszcze w gąszczu. Jesteśmy ocaleni.

Ale w tej przełomowej chwili, gdy ratunek zdawał się bliski, Małgorzata, dotąd tak dzielna, zaczęła omdlewać, zapewne z upływu krwi.

- Uciekaj, ukochany! - szepnęła. - Zostaw mnie, tak mi słabo.

- Nie, nie! - sprzeciwił się Gerard. - Razem zginiemy lub razem się uratujemy. Mamy muła! Siadaj na niego, ja pobiegnę obok.

Za chwilę Marcin dosiadł muła Ghysbrechta, Gerard złożył zemdloną dziewczeczkę w jego ramiona i posadził ją na siodle, odbierając żołnierzowi łuk.

- Ratunku! Zdrada! Mordercy! Mordercy! - zaskrzeczał Ghysbrecht, nagle siadając na pośladkach.

- Milcz, łotrze! - ryknął Gerard i przydusił mu szyję stopą, jak człowiek, który chce zdeptać zmięę.

- Trzymasz ją mocno? Uciekaj! Ratujmy się! Ratujmy! Muł, ponaglony przez Marcina piętami, bryznął zwirem spod zadnich kopyt i ruszył krótkim galopem. W tej samej chwili Gerard zdjął stopę z gardzieli Ghysbrechta i pobiegł za nimi, a Dirk Brower i jego pięciu ludzi, którzy wracając po rozkazy, usłyszeli krzyki burmistrza, wybiegli z wrzaskiem z lasu wprost na zbiegów.

ROZDZIAŁ XXI

Słowa są zwykłym obrazem myśli. Bywają jednak wrażenia tak proste i tak przemożne, że nie znajdują ujścia w słowach, lecz w wymownych dźwiękach. W takich chwilach człowiek zdaje się zatracać ludzkie cechy i staje się po prostu jednym z rozumniejszych zwierząt. One to bowiem w wielkim podnieceniu wydają dźwięki, chociaż nie potrafią mówić.

Straszny, zaiste zwierzęcy był ryk tryumfalny, z jakim pogoń wypadła z gęstwiny wprost na naszych zbiegów, oraz dziki krzyk przerażenia, który się wyrwał z piersi prześladowanych. Pędzili ratując życie, a za nimi gnali pachołkowie burmistrza; ręce ich chwyciły powietrze dwa jardy za piecami uciekających. W pierwszej chwili zamieszania, jak lwy, które chybiły w skoku zwierzyny, Dirk i jego ludzie pozwolili Gerardowi, wraz z mułem, zyskać dziesięć jardów przewagi. Biegli za nimi z podniesioną bronią. Byli pewni, że ich złapią - nie pierwszy już raz się ścigali. Dzisiejszego ranka na otwartym polu wyraźnie górowali nad naszą trójką. Teraz była to znów wreszcie gonitwa, w której o zwycięstwie miała zdecydować tylko szybkość. Przebiegli sto jardów w szalonym tempie. Ale odległość dziesięciu jardów wciąż jeszcze dzieliła prześladowców i prześladowanych.

To zwiększanie szybkości od rana zastanowiło Dirka Browera. Gdy troje biegnie razem, wszyscy stosują się do najsłabszego. Od domu Brandta aż do lasu Gerard biegł

krokiem Małgorzaty. Teraz on nadawał szybkość, bo muł był rączy i mógł ich wszystkich zostawić daleko w tyle. Zaczęła pomagać nadto Gerardowi młodość i surowy tryb życia. Odległość między myśliwymi i zwierzyną powiększała się nieznacznie. Dirk rozpaczliwym wysiłkiem zyskał dwa jardy, ale po paru sekundach Gerard bez trudu wyrównał różnicę. Ścigający poczęli kłąć.

Marcin posłyszał i twarz mu zajaśniała radością.

- Odwagi, Gerardzie! Naprzód, dzielny chłopcze! Zostają w tyle!

Tak też i było. Jeden z pachołków wyprzedził już Dirka, inny bieg! daleko za nimi.

Teren zaczął się wznosić niezbyt stromo, ale na dużej przestrzeni, i teraz zwyciężyła młodość, hart i zdrowie.

Nim osiągnęli szczyt, czterdzieści lat zaciążyło Dirkowi jak czterdzieści ołowianych kul.

- Dość tego dobrego - sapnął. - Kładźcie go trupem, jeśli nie możecie chwycić żywego.

Przestał biec, szedł zwykłym krokiem. Pierwszy zrobił to samo Jorian Ketel, inni za nim. Gerard zmusił ich wszystkich do przystąpienia prócz jednego, który biegł dalej po śladzie jak ogar. I on jednak tracił z każdą minutą teren. Człek ten, jeśli się nie mylę, zwał się Eryk Wouverman. Ścigani przez niego do końca, dotarli do podnóża leśnego wzniesienia, krótszego, ale o wiele bardziej stromeego niż poprzednie.

- Chwyć za grzywę! - krzyknął Marcin.

Gerard usłuchał, a muł pomógł mu wbiec na zbocze nawet szybciej, niż biegł przedtem. Widząc ten manewr, ostatni gorliwiec spośród ludzi Dirka upadł ostatecznie na duchu i, znalazłszy się o dobre siedemdziesiąt jardów za Gerardem, a nawet wiele dalej w przodzie od najbliższego ze swych towarzyszy, powłókł się jeszcze kawałek, posłuszny rozkazowi Dirka zdjął kuszę, wycelował starannie i w mo mencie gdy nasza trójka miała już zniknąć za grzbietem pagórka, wysłał między nich świszczący bełt.

Rozległ się krzyk trwogi, a w następnym momencie leżeli wszyscy wraz z mułem na ziemi, jakby w nich piorun uderzył.

ROZDZIAŁ XXII

Skutek był tak cudowny i natychmiastowy, że sam strzelec zdumiał się przez chwilę. Krzyknął na towarzyszy, aby razem z nim brali zbiegów, i sam zaczął się wspinać na wzgórze, ale w połowie drogi ujrzał potężną postać Marcina Wittenhaagena z łukiem w ręku.

Eryk Wouverman dostrzegłszy starego myśliwca w tej pozycji, skrył się natychmiast za drzewem, usiłując stać się możliwie małym. Mistrzostwo Marcina we władaniu tą bronią było znane w całej okolicy, a zabity pies stanowił wymowny dowód niezawodnej jego ręki.

Wouverman zerknął dokoła ostrożnie przez ramię. Grot strzały był ciągle w niego wymierzony. Widział jego błysk. Nie śmiał się ruszyć ze swego schronienia. Stał kilka minut, stanowiąc widoczny cel, nim dogonili go wszyscy towarzysze. ‘

. Wtedy Marcin zniknął, śmiejąc się ze wzgardą, i usłyszano tylko tupot unoszącego go muła.

Wszyscy ludzie burmistrza pobiegli za nim. Z pagórka otwierał się widok na wąską, jakby nieskończenie długą polanę. Ujrzeni Małgorzatę i Gerarda biegnących w dali w ogromnej już odległości - wyglądali jak komary - i Marcina galopującego za nimi ventre á terre.

Prześladowcy byli słabsi nie tylko w nogach, brakło im również sprytu. Parę słów wyjaśni nam chowanie się Marcina. Dochodzimy do sedna spraw spostrzegając podobieństwa. Czasami jednak takie zbieżności są zdradliwe. Widywaliśmy, wszyscy, jak zając fika, koziołka we wrzosach, gdy padł strzał, budząc w myśliwych nadzieję - a tutaj obaleni na ziemi ludzie popędzili dalej nietknięci! Oto muł burmistrza zapadł się przednią nogą w kroliczą jamę i w tym samym czasie bełt wyrzucony z kuszy świszcząc przeszedł, nie wyrządzając żadnej szkody, nad jego głową; zwierzę upadło i pociągnęło za sobą oboje jeźdźców. Gerard chwycił Małgorzatę, ale pociągnęła go swym ciężarem i siłą upadku. Tak to, patrzcie, wszystkie dratnatis personae znalazły się na ziemi.

Posłuszny muł poderwał się natychmiast na nogi i stał drżąc na całym ciele. Marcin pozbiarał się zaraz po nim i rozejrzawszy się dokoła stwierdził, że już tylko jeden pachołek ich ściga. Widząc to, kazał młodemu uciekać dalej pieszo, a sam zatrzymał nieprzyjaciela, jak już wspomniałem.

Galopował teraz za przyjaciółmi i gdy po długim pościgu ich dogonił, posadził Gerarda i Małgorzatę na muła, a sam biegł u ich boku, póki starczyło mu tchu. Wtedy on znowu jechał wierzchem na zmianę, w ten sposób biegnący mógł wypocząć. Na długo przedtem, nim zmniejszyli szybkość, Dirk i jego ludzie beznadziejnie stracili ślad. Brower zawrócił z nosem na kwintę, aby zaopiekować się swym zwierchnikiem i postrzelonym ogarem.

ROZDZIAŁ XXIII

Któż, wolnym i bezpiecznym będąc, zastanawia się, ile warte jest życie i wolność? Dlaczego? Zdają się same przez się zrozumiałe. Lecz gdy zagrozi człowiekowi niewola lub śmierć, wtedy ocenia owe skarby wedle ich prawdziwej wartości. Podobne są w tym do słonecznego światła, które zachwyca nas najbardziej nie w południe, gdy blask jest najwspanialszy, lecz pod wieczór, gdy złotymi jak topaz plamami kładzie się pod cieniste wiązy. Promienie są wtedy słabsze, ale mrok skrada się za nimi i kontrast wyzwala z nich płomień.

Gerard i Małgorzata, mimo iż przystawali za każdym mocniejszym szelestem liści, promienieli radością i wdzięcznością, przemykając się między przyjaznymi drzewami bezpieczni, w głębokiej, niezmaconej ciszy - gdy jeszcze ujadanie psów i brutalne głosy dźwięczały im w uszach.

Nagle Gerard wykrył plamy krwi na kostkach nóg Małgorzaty.

- Marcinie! Marcinie! Ratuj! Zranili ją - kuszą!

- Nie, nie! - uśmiechnęła się, by go uspokoić, Małgorzata. - Nie jestem ranna, w ogóle to nawet nie jest skaleczenie.

- Cóż to więc jest, na Boga? - zawołał Gerard zaniepokojony.

- Ale nie gniewaj się na mnie? - Małgorzata poczerwieniała.

- Czyż gniewałem się na ciebie kiedykolwiek?

- Nie, kochanie moje. Widzisz, wówczas gdy Marcin powiedział, że te okrutne psiska idą po tropie krwi, pomyślałam, że jeżeli będę miała trochę krwi na stopach, psy pobiegną za mną i pozwolą memu Gerardowi uciec spokojnie. Zdrasnąłam więc sobie ramię nożem Marcina... Nie gniewaj się! Nie miałam innego, a tve go nie chciałam, Gerardzie. Wybaczysz mi? - błagała przymilnie, pełna miłosnego oddania.

- Pokaż mi wpierv to skaleczenie - rzeki Gerard zdławionym ze wzruszenia głosem. - Draśnięcie? Ja bym to nazwał raną - głęboką, straszną, bezlitosną raną.

Zadrzał na ten widok.

- Mogłaby się tak skaleczyć swą szpilką do włosów - rzekł żołnierz. - Nie bądźże młodziakiem, co mdleje na widok zadrapania i paru kropel krwi.

- O nie! Mógłbym patrzeć na morze krwi, ale nie jej. Małgorzato, jak mogłaś być tak okrutna?

Małgorzata uśmiechnęła się z niezmierną miłością.

- Głuptasie mój, nie rób z igły wideł - objęła go za szyję ramieniem, którym zawiniła.

- Chciałabym utoczyć dla ciebie wszystką krew z moich żył, a cóż dopiero tych parę marnych

kropel z ramienia. - Nagle wspomniawszy niedawne niebezpieczeństwo, które mu groziło, załkała w jego objęciach z miłości i żalu. Chłopiec szlochał wraz z nią.

- Kochamy się tak gorąco, a przecież musimy się rozstać - łkał. - Ty musisz być w Holandii - ja w Italii!

Świeży strumień łez popłynął z oczu Małgorzaty, lecz opanowała się już, była znowu cicha i cierpliwa. Instynkt przestał nią kierować, a chęć poświęcenia była instynktowna. Obecnie jej myśli mogłyby pogłębić rozpacz Gerarda w obliczu rozstania, płakała więc w milczeniu.

Wyszli nagle na ubitą ścieżkę; Marcin zatrzymał się.

- To jest droga dla konnych, o której mówiłem - powiedział spuszczać głowę. - Gospoda prosto przed nami.

Małgorzata i Gerard wymienili spłoszone spojrzenia.

- Pójdź ze mną na stronę, Marcinie - szepnął Gerard. Odciągnawszy go nieco na bok, powiedział przerywanym głosem:

- Marcinie, zacny nasz przyjacielu, strzeż mi jej! Jest moją żoną, mimo to muszę ją opuścić. Patrzaj, oto złoto - miałem je na podróż. Nie warto prosić, aby je wzięła, bo nie zechce. Zrobisz to za nią, prawda? O Nieba! tyle tylko mogę dla niej zrobić! Złoto! Ale nędza jest przekleństwem. Nie pozwolisz, by zabrakło jej czegokolwiek, kochany Marcinie! Mnie wystarczy srebro burmistrza.

- Dobry z ciebie chłopak, Gerardzie. Dziewczyna nie zazna krzywdy ani nie odczuje braków. Jej mały palec znaczy dla mnie więcej niż cały świat. Ale nawet gdyby nic dla mnie nie znaczył, przecież przez wzgląd na cię byłbym dla niej ojcem. Ruszaj śmiało w drogę z Bogiem i wracaj z Bogiem!- Twardy żołnierz uściśnął dłoń Gerarda, odwracając głowę, aby ukryć wzruszenie.

Po chwili milczenia chciał wracać do Małgorzaty, ale Gerard go powstrzymał.

- Marcinie, kochany, stań za tymi krzewami i nie patrz w naszą stronę, gdy ja - och, Marcinie, Marcinie!

Gerard uniknął w ten sposób świadka swej męki przy pożegnaniu z ukochaną, a Marcin budzącego litość widoku. Nie widział, jak biedni młodzi na klęczkach odnowili wobec Niebios tę świętą przysięgę, którą przerwali im okrutni ludzie. Nie widział, jak tulili się do siebie, próbowali oderwać, znowu wracali, przytulali się znowu jak ludzie tonący w rozpacz. Słyszał tylko szloch Gerarda i wzdychania Małgorzaty.

Doszedł go wreszcie rozpaczliwy krzyk i rozległ się tupot nóg po twardej drodze.

Ruszył naprzód i ujrzał Gerarda dziko pędzącego przed siebie z rękoma złożonymi ponad głową jak do modlitwy. Małgorzata biegła, wyciągnąwszy żałośnie dłonie w stronę łuczника, jakby szukała u niego pomocy. Była blada jak wosk i oczy utkwiała w próżni.

Chwycił ją w ramiona i przemawiał kojącymi słowy, ale umysł jej ich nie pojmował. Tylko na dźwięk jego głosu jęknęła i przytrzymała się go silniej, drząc na całym ciele.

Posadził ją na mule, objął wpół i potrzymując teraz słabe i bezsilne ciało, które przedtem było napięte jak łuk, prowadził ją powoli i ze smutkiem w stronę domu.

Nie uroniła już ani jednej łzy, nie wyrzekła słowa. Na skraju lasu pomógł jej zejść z muła i wskazał prostą drogę do ojcowskiego, domu. Posłuchała rozkazu.

Marcin udał się do Rotterdamu. W Sevenbergen było dlań zbyt gorąco...

Gerard rozłączony z ukochaną szedł jak we śnie. Wynajawszy konia i przewodnika w małej gospodzie, pokłusował rącho w stronę granicy niemieckiej. Działał jak mechanizm. Zmysły jego były Otępiałe. Widział drzewa, ludzi i domy jak przez mgłę. Jego towarzysz zagadywał do niego dwa razy, ale młodzieniec mu nie odpowiedział. Raz tylko krzyknął rozpaczliwie:

- Czyż nigdy nie wydostaniemy się z tego przekłętego kraju? Po kilku godzinach jazdy dotarli do krawędzi stromego wzgórza. Strumyk płynął u jego stóp.

- Stój! - krzyknął przewodnik i wskazał na ukos przez dolinę. - Tam już Niemcy.

- Gdzie?

- Po drugiej stronie granicy. Nie trzeba zjeżdżać z pagórka. Gerard zsiadł z konia bez słowa i odpasał kieskę burmistrza.

Gdy ją otwierał, przewodnik powiedział niechętnie:

- Teraz już możesz opuścić ten przekłety kraj. Może będzie ci lepiej tam, dokąd się udajesz. W każdym razie, nawet gdybyś obrabował kościół, nie mogą cię już pojmać po tamtej stronie potoku.

Takie, słowa innym razem wywołałyby ostrą odpowiedź lub cios pięścią. Dziś wydały się Gerardowi pustym dźwiękiem. Zapłacił chłopcu w milczeniu i zszedł samotnie z pagórka.

Strumień połyskiwał srebrzyście i szemrał ponad gładkimi kamieniami, które błyszcząły, przejrzysta woda lśniła i nadawała im blasku. Gerard usiadł i patrzył tępo w pole. Napił się ze strumienia i umył w lodowatej wodzie rozpalone ręce i stopy. Orzeźwiło go to. Wstał i z rozbiegu skoczył przez strumień na niemiecką stronę. Dotknąwszy obcej ziemi obrócił się wstecz.

- Żegnaj, niewdzięczna kraino! - zawołał. - Tylko ze względu na nią boleśnie by mi było porzucić na zawsze ciebie, wszystkich znajomych i krewnych, matkę, która mi dała

życie, towarzyszy zabaw i rodzinne miasteczko. Żegna], ojczyzno - witaj świecie szeroki!
Omne solum forti patria.

Z tymi odważnymi słowami na ustach osunął się na ziemię, poczuwszy dziwną słabość w ramionach i nogach. Usiadł i gorzko zapłakał na obcej ziemi.

Młody wygnaniec siedział chwilę zgnębiony, po czym wstał, otarł łzy z oczu jak mężczyzna i, nie oglądając się już za siebie, aby nie tracić odwagi, ruszył w szeroki świat.

Miłość i ciężki żal rozstania nie pozostawiły miejsca w jego sercu na pospolite troski. W porównaniu z wyrzeczeniem się Małgorzaty nie przerażała go wcale piesza wędrówka do Italii, przedsięwzięta w owych trudnych czasach.

W klasztorze spotykają się ludzie wszystkich narodowości, tak więc dzięki swym zacyznanym przyjacielom mnichom i żądzy wiedzy Gerard umiał rozmówić się prawie każdym językiem potrzebnym mu w tej długiej podróży. Pomyślał sobie: „Rychło będę w Rzymie: im prędzej, tym lepiej”.

Przeszedłszy dobrą milę dotarł do skrzyżowania czterech dróg.

Wiejskie, kręte drogi nieraz zmyliły już niedoświadczonych sąsiadów wędrujących z osady do osady. Gerard wyjął małą tarczę, w którą zaopatrzył go Piotr, ustawił ją w jesiennym słońcu i za pomocą tego kompasu skierował się bez wahania w stronę Rzymu. Był niedoświadczony jak młoda jaskółka lecąca na południe, ale w przeciwieństwie do jaskółki - samotny w swej wędrówce.

ROZDZIAŁ XXIV

Niedaleko uszedłszy tym traktem, natknął się na grupkę ludzi. Dwaj schludnie ubrani mężczyźni stali oparci leniwie z dwóch stron o konia i rozmawiali ze sobą. Jeździec w srebrzystym kubraku, jaskrawozielonym kaftanie z angielskiego sukna i spodniach z tegoż materiału, lśniącego niczym krecie futerko, wyciągnięty na brzuchu, leżał w południowym słońcu wyglądając jak olbrzymia jaszczurka. Jego jaskrawożółty płaszcz starannie okrywał grzbiet konia.

- Czy coś się złego stało? - zapytał Gerard.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekł jeden z pachołków.

- Wasz pan leży jak trup. Czy nie wstyd wam, że się tak poniewiera w kurzu?

- A niech tam! Goła ziemia jest najlepszym lekiem na jego chorobę. Gdy człek wytrzeźwieje w łóżku, może go rozboleć głowa, a z twardej matki ziemi podskoczysz jak skowronek na wiosnę. Prawda, Ulryku?

- Dobrze mówi, młodzieńcze - poświadczył życzliwie Ulryk.

- Jakże? To ten szlachcic jest pijany?

Pachołkowie ryknęli śmiechem ubawieni naiwnością Gerarda. Nagle Ulryk przestał się śmiać i zlustrowawszy chłopca od stóp do głów, rzekł poważnie:

- Kto jesteś i gdzie się rodził, że nie wiesz o tym, iż hrabia jest zawsze spity o tej porze?

Gerard odczuł, że taka niewiedza stawia go w podejrzanym świetle.

- Jestem cudzoziemcem - rzekł - ale uczciwym człowiekiem, miłującym wiedzę. Dlatego pytam, nie zaś, żebym chciał być wścibski.

- Jeśliś uczciwym człowiekiem - odparł chytrze Ulryk - to daj na piwo w zamian za wiedzę od nas!

Gerard był zaskoczony, ale robiąc dobrą minę do złej gry, dodał:

- Dam wam napiwek, na jaki stać mą chudą kiesę, jeżeli powiecie mi jeszcze, czemu to zdjęliście płaszcz ze swego pana i okryliście nim to zwierzę?

Bliski napiwek wpłynął zapładniająco na umysły pachołków, toteż zaraz przedłożyli Gerardowi aż dwa wyjaśnienia. W myśl pierwszej teorii hrabia, gdy wytrzeźwieje (co jako doświadczony opój może zrobić każdej chwili) i ujrzy swego konia spoconego, na zimnie, podczas gdy płaszcz leży bezużytecznie tuż pod ręką - zacznie ich kląć, a być może nawet coś im przyłoży. Druga teoria, bardziej wyszukana, głosiła, że koń, biedny pieszczołek, pije tylko wodę, trzeba mu więc dogadzać i pilnować, żeby nie zmarł. Pan zaś, którego wnętrze jest wypełnione dobrym piwem, ma duże zapasy ciepła, które go grzeją aż do skóry, tak więc płaszcz jest dla niego tylko marną ozdobą i dowodem próżności.

Każdy z mówców zachwycał się swoją teorią, a prawdę mówiąc obaj uszczknęli coś niecoś z czary, która zwała ich pana. Więc nagle podnieśli głos tak dalece, że zielono odziany pijanica, zamiast chrapać, zaczął pomrukiwać groźnie. Pachołkowie rozgorączkowani klótnią niczego nie spostrzegli.

Niedługo zaczęto argumentować w ten sposób, że wcześniej czy później w owych czasach dyskusja musiała przybrać żywszą formę. Hans, trzymając uzdę prawą ręką, zdrowo częstował Ulryka lewą. Ulryk chętnie odwzajemniał ciosy, mając prawą wolną, i tak zabawiali się zawzięcie ponad końską grzywą; tłukli się wzajemnie pięściami, szarpiąc biedne zwierzę, które cofnęło nogę i żelazną podkowę nadepnęło na zielonego pana. Ten, jak ropucha ugodzona włócznią Ituriela, skoczył z wrzaskiem, jedną ręką rozcierając stłuczone miejsce, drugą szarpiąc za rękojęść miecza. Pachołkowie, ogłupiali ze strachu, puścili konia. Rumak rżąc ruszył galopem, a przerażeni słudzy z krzykiem pognali za nim. Zielony

szlachcic, zataczając się i potykając od płotu do płotu, pędził za nimi zygzakiem po wąskiej uliczce, trzymając nagi miecz w ręku.

W tym zamieszaniu Gerard odwrócił się do nich wszystkich plecami i poszedł spokojnie na południe, rad, że zaoszczędził cztery szelągi, które już przygotował na napiwek. Zbyt jednak był przygnębiony, żeby móc śmiać się z tych pijackich wybryków.

Słońce miało się ku zachodowi, więc Gerard, który ciągle żywił złudną nadzieję znalezienia jakiejś oberży, poczuł się nieswojo. W dodatku niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami.

Przyspieszył kroku i zaczął prawie biec.

Daremnie jednak; lunął ulewny deszcz i zrozpaczony wędrowiec przemókł do nitki. Strumienie wody zdawały się zaćmiewać słońce, które swymi już słabnącymi promieniami nie mogło mierzyć się z tym nowym przeciwnikiem. Gerard ponury i mokry włókł się przez nieznaną okolicę. „Głupcze! Czemuś odszedł od Małgorzaty” - myślał.

Nagle ciemność zgęstniała.

Wszedł w puszcę. Grube konary wyrastały w poprzek drogi; zagubiony w ciemnościach cudzoziemiec szedł po omacku przez nie kończącą się, czarną jak atrament kotlinę, potykając się co krok na nierównym podłożu..

Podążał wciąż dalej przed siebie, drżąc na całym ciele, o pustym żołądku i ze słabnącym sercem, wtem w gęstniejącym mroku wilki wyszły z legowisk i zaczęły wyć po całym lesie.

Włosy zjeżyły mu się na głowie, zacisnął kij w garści i postanowił drogo sprzedać życie.

Nie było wiatru; chwycił wyczulonym uchem leciutki odgłos stóp stąpających po świeżo opadłych liściach i szelest niskich gałęzi, potrącanych przez zwierzęta prześlizgujące się chyżo pod nimi.

Nagle w tym morzu atramentowej czerni ukazała się wielka płonąca gwiazda tuż przy ziemi. Pozdrowił ją jak świętego patrona.

- Świeca, świeca! - krzyknął i próbował biec, ale ciemna i wyboista droga zatrzymała go rychło.

Światło było dalej, niż sądził, na koniec jednak odnalazł w samym sercu lasu oświetlony dom, rozbrzmiewający gwarem. Spojrzał w górę, szukając szyldu. Nie było żadnej wywieszki. „To nie oberża zateirf” - pomyślał ze smutkiem. Chyba to nie szkodzi. Który chrześcijanin wypędziłby psa do lasu w taką noc? Ruszył ku drzwiom, skąd dobiegały głosy.

Otworzył je powoli i wsunął nieśmiało głowę, ale cofnął ją gwałtownie jak uderzony w twarz i na deszczu, w ciemności, począł przychodzić do siebie.

Zajrzał przed chwilą do obszernej, lecz niskiej izby, na środku której rozparł się wielki okrągły gliniany piec, sięgający pod sufit. Dokoła niego suszyła się mokra odzież na sznurach, a inna - skuteczniej - na wieśniakach. Szmaty te przemoczone całodziennym deszczem, lecz nasiąknięte brudem całego życia i smarowane czymś, co pieszy wędrowiec w tych okolicach nazywa baranim sadłem, cuchnęły śmierdzącym waporem oraz obrzydliwym, nieopisanym i skomplikowanym smrodem, buchając kłębamii pary.

Jeden kąt izby zajmowała rodzina podróżnych. Stamtąd właśnie dopływał do wspólnego skarbcia ostry zaduch od nie mytych bachorów. Czosnek nasyczał resztę powietrza. Do tego wszystkiego zamknięte okno, silne gorąco paleniska w środku izby i oddechy co najmniej czterdziestu osób.

Byli właśnie po wieczerzy.

Gerard, mający wrażliwe zmysły jak większość artystów, cofnął się przed straszliwymi wyziewami. Ale deszcz lał bez przerwy, a światło i ogień zachęcały go do wejścia.

Nie mógł się przedrzeć od razu przez gęsty, prawie dotykalny odór; ale powracał wciąż do światła jak ćma z opalonymi skrzydłami. Dokonał wreszcie odkrycia, że rozmaite składniki zaduchu nie stapiają się dokładnie ze sobą - zabrakło tam złośliwego chochlika, który by je wymieszał. Odór rodziny górował w dwóch kątach izby, duszny zaduch chłopski królował w środku, a czosnek w hałaśliwej grupie pod oknem. Pojął również za pomocą pośpiesznej analizy, że okolica czosnkowa zajmowała najmniejszy obszar powietrza, a zaduch parującego chłopstwa sięgał najdalej. Była to jakby woń starych capów lub przodków wszystkich lisów przeciągniętych przez rzekę, które tutaj osuszał Nabuchodonozor.

Na koniec Gerard wślizgnął się do kącika przy drzwiach. Jednakże, chociaż stężenie głównych składników smrodu zatrzymywało je nieco, a gorące i dymiące wyziewy krążyły i skraplały się na ścianie, i nasz wychowany pod maminy fartuchem nowicjusz czuł na nogach jakby zimne węże chłodu, głowa ciążyła mu jak ołów, po czym wydawało mu się, że się dusi, że błogo zasypia i że umiera. Wszystko naraz.

Był o włos od omdlenia, ale ocknął się z uczuciem głębokiej niechęci i obrzydzenia, zdecydowany wracać do Holandii, gdy tylko zaświta. Powziąwszy tę decyzję, nabrał nieco odwagi, a ponieważ umierał już z głodu, zapytał jednego z czosnkowych gości, czy to gospoda.

- Skąd przychodzisz, że nie znasz „Gwiazdy Lasu”?brzmiała odpowiedź.

- Jestem cudzoziemcem, a w mojej ojczyźnie gospody zawsze mają szyldy.

- Śmieszny ten twój kraj! Po cóż szyld dla oberży, którą zna każda chrześcijańska dusza?

Gerard był zbyt zmęczony i słaby, aby się wdawać w dyskusję, zmienił więc temat rozmowy i zapytał, gdzie można znaleźć gospodarza.

Wobec tego świeżego popisu ignorancji pogarda tubylca tak wzrosła, że zaniemówił. Wskazał mu kobietę w średnim wieku siedzącą po drugiej stronie pieca i zwracając się do swych towarzyszy uwiadomił ich, jakie to zamorskie zwierzę znalazło się w gospodzie. Ludzie milkli, w miarę jak docierała do nich ta wiadomość; każda para oczu zwracała się ku Gerardowi, śledząc każdy jego ruch w milczeniu, na sposób zwierzęcy.

Gospodyni siedziała na krześle większym o cal lub dwa od reszty, między dwoma tłumokami. Z pierwszego, w którym była kupa skrzydeł i piór, wyciągała puch i darła pióra, napelniała drugi tłumok, zaśmiecając podłogę do kostek, wnosząc do ogólnego zasobu woni stęchły odór zarazy, który mógłby zrobić wielkie wrażenie w przyjemnym pokoju, tutaj uszedł w ogóle uwagi. Gerard zapytał ją, czy mógłby dostać coś do jedzenia.

Otwarła ze zdumieniem oczy.

- O tej porze jest już po wieczery.

- Ale ja jej nie jadłem, dobra pani.

- A czy to moja wina? Byłabym cię chętnie ugościła.

- Jestem cudzoziemcem, noc mnie zaskoczyła i spóźniłem się niechcący.

- Cóż ja na to poradzę. Wszyscy wiedzą, że w „Gwieździe Lasu” wieczerza się od szóstej do ósmej. Przyjdiesz przed szóstą - powieczerasz smaczniej przed ósmą - jak Bóg da; przyjdiesz po ósmej, otrzymasz czyste łóżko i na strzemiennego czarę krowiego mleka o świcie.

Gerard spojrzał tępo.

- Mogę więc iść do łóżka, dobra pani? - zapytał posepnie. - Żle tak siedzieć w wilgotnym odzieniu i o głodzie, a przysłowie głosi: „Wieczerza, kto śpi”.

- Łóżek jeszcze nie przywieźli - odrzekła gospodyni. - Prześpisz się tam, gdzie inni. Oberży nie budują dla jednego gościa.

Teraz Gerard się zdumiał. „Łóżek nie przywieźli? Cóż to, na Boga, ma znaczyć?” Ale już obawiał się pytać, bo każde jego dotychczasowe słowo zdumiewało kompanię. Nie spuszczano zeń oczu - czuł te spojrzenia. Oparł się o ścianę i westchnął głośno.

Dało to świeży powód do chichotu wśród obserwujących go ludzi.

„Tak oto wyglądają Niemcy - pomyślał Gerard. - A wielkim są krajem w porównaniu z Holandią. Widać dla mnie lepsze są małe narody”.

Pocieszył się myślą, że będzie to jego zarówno pierwsza, jak i ostatnia noc w tym kraju. Przerwał mu marzenia kuksaniec łokciem pod żebra. Odwrócił się ostro ku napastnikowi, który pokazywał mu coś palcem poprzez pokój. Gerard dostrzegł, że kobieta w kącie kiwała na niego. Podeszedł do niej ostrożnie, zdziwiony i niezdecydowany. Dla widza z boku wyglądało to, jakby przyciągała go do siebie na wędce przez całą, izbę. Gdy zbliżył się do niej, powiedziała mu miłym, serdecznym głosem:

- Potrzyj dziecko - i w tej samej chwili złożyła dzieciaka w ramionach chłopca.

Stał jak przykuty do miejsca z ołowianym ciężarem na rękach. Nagły przestraszył malował mu się na wydłużonej twarzy.

Jego wymownie żałosa mina wywołała długotrwały ryk śmiechu bystrookiego zgromadzenia.

- Nie zwracaj na nich uwagi - rzekła mu wesoło kobieta. - Nie stać ich na nic lepszego. Czego można się spodziewać po takich, co urodzili się i wychowali w lesie.

Grzebała w swych szmatach, z wolniejszymi przy pomocy Gerarda obie ręce. Wyłowiła wreszcie cynowy garnuszek i, biorąc z powrotem dziecko na rękę podała go Gerardowi, przytrzymując kciukiem suchą kiszkę nadziewaną, aby się nie rozsypała.

- Postaw to sobie na piecu - powiedziała. - Jesteś za młody, żeby się kłaść spać o głodzie.

Gerard podziękował serdecznie. Idąc w stronę pieca, przypomniał sobie o gospodyni.

- Czy pozwolicie, pani? - zapytał prosząco.

- Dlaczegoż by nie? - odrzekła.

Zapytanie najwyraźniej było dla niej jeszcze jedną niespodzianką, choć mniej zdumiewającą od poprzednich.

Podchodząc do paleniska Gerard nie mógł dostać się do drzwiczek pieca otoczonego przez śmierdzących pastuchów. Nie ruszyli się z miejsca. Chłopiec zawahał się przez chwilę. Zauważyła to gospodyni. Przerwała spokojnie swą robotę, przesunęła jednego czy dwóch pastuchów na lewo, pchnęła jednego czy dwóch na prawo z obojętnym wyrazem twarzy pani domu przesuwającej meble.

- Godzi się zrobić miejsce - powiedziała. - Wyszliście już co najmniej dziesięć minut temu.

Nie myliło jej doświadczone oko. Pasterze przestali parować, zaczęli się przypiekać. Odsuwając się od pieca jeden po drugim, powoli wynosili się z domu. Został tylko jeden,

który przesunięty jak mebel przez oberżystkę stał dalej na tym samym miejscu. Gerard piekł swój pudding i stojąc przy piecu, dymił parą.

Otwarły się drzwi i snop słomy frunął w głąb izby. Parobek wrzucał snopy widłami jeden za drugim, aż izba stała się podobna do czystego podwórza wiejskiego. Rozrzucano słomę warstwami dokoła pieca amfiteatralnie jak w cyrku i całe towarzystwo rozciągnęło się w jednej chwili na legowiskach.

Łóżka nadeszły.

Gerard wyjął nadziewaną kiszkę z pieca. Wydała mu się wyśmienita. Rozkoszował się nią powoli; kobieta, która go obdarowała przysmakiem, a obecnie ułożyła się już do snu, znowu skinęła na niego. Podeszedł do jej barłogu.

- Gospodyni czeka na ciebie - szepnęła.

Gerard wrócił pod piec, połknął szybko resztę kiszki, rzucając zakłopotane spojrzenia na oberżystkę siedzącą w milczeniu jak fatum pomiędzy znużonym tłumem. Przełknąwszy ostatni kęs, podeszedł do gospodyni i rzekł:

- Dziękuję wam, dobra pani, że na mnie czekacie.

- Proszę bardzo - odrzekła spokojnie, nie okazując ani zadowolenia, ani niechęci, i z tymi słowy ją zbierać pierze. Ale Gerard ją powstrzymał.

- Moje to zadanie - rzekł i zgarniał je na klęczkach z zapalem.

Gospodyni śledziła go poważnie.

- Nie wiem, skąd przyszedłeś - rzekła z resztką nieufności - ale widzę - dodała serdecznie - żeś dobrze wychowany. Ręczę, że miałeś dobrą matkę.

Przy drzwiach pożegnalną formułką poleciła zgromadzonych Bożej opiece i zniknęła. Gerard zaszył się w słomę w najdalszym kącie, ponieważ goście rozłożyli się koło pieca wedle starszeństwa, to znaczy w kolejności przybycia do gospody.

Ta kara była wygraną dla Gerarda, leżał bowiem w ten sposób na brzegu zamiast pośrodku oceanu zaduchu i duszącego gorąca.

Już zasypiał, gdy wtem zbudził go hałas i, biada mu! Oto parobek bezlitośnie potrząsał i budził jednego gościa za drugim, szukając tego, który pozbierał pierze gospodyni.

- To ja! - krzyknął Gerard.

- A, to ty? - odrzekł parobek szybko przełaząc wprost przez śpiących gości. - Grzeczność za grzeczność - masz tu na dobranoc - postawił wielki dębowy kufel przed nosem Gerarda.

- Dziękuję jej i Bóg zapłać. Och...! - wdzięczność skończyła się skrzywieniem, bo piwo było mętne i miało dziwny, aptekarski posmak, obcy dla Holendra.

- Trinke aus. - krzyknął z wyrzutem parobek.

- Dość znaczy tyle co uczta - rzekł młodzian po jezuicku przebiegle.

Parobek spojrział z politowaniem na cudzoziemca, który zostawił trunek w dzbanie.

- Ich bring euch - rzek! i wysączył resztę do dna.

Gerard odwrócił się twarzą do ściany, podciągnął dwie przygarście przyjemnej, czystej słomy, wydlubał w niej palcem rowek, do którego wetknął nos jak do futerału. Rychło posnęli wszyscy - mężowie, żony, dziewczęta i dzieci - leżąc w bezładnych grupach i chrapiąc w dwunastu tonacjach jak orkiestra powoli dostrajana. Ciało Gerarda leżało na słomie w Niemczech, ale duch był daleko stamtąd, w Sevenbergen...

Gdy obudził się rano, prawie wszyscy podróżni już zniknęli. Paru czekało na obiad o dziewiątej; obecnie była szósta. Zapłacił należne oberzystce dwa fenigi, około pół pensa angielskiego. Pacholek również zażądał napiwku. Dał mu odrobinę więcej, niż było to widać w zwyczaju, bo parobek od wideł, spostrzegłszy wzrok Gerarda skierowany w stronę skopka ze spienionym, świeżo wydojonym mlekiem, odważnie przysunął naczynie do warg podróżnego.

- Pij do syta, chłopie - rzekł, a gdy Gerard ofiarował mu zapłatę za przepyszny napój, parobek pouczył go w szeroko wymawianej gwarze, że człek może łyknąć mleka, ile pomieści brzuch, lub też najeść się powietrzem, nie sięgając ręką do sakiewki.

W drzwiach Gerard spotkał dobrodziejkę, która poczęstowała go wieczorem. Była wraz z mężem, barczystym rzemieślnikiem.

Gerard podziękował niewieście i zwyczajem owych czasów ofiarował jej grajcara za pudding. Odsunęła spokojnie rękę chłopca.

- Za kogo mnie bierzesz? - zapytała zarumieniona. - Jesteśmy podróżnymi i cudzoziemcami jako i ty. Było naszą powinnością dopomóc tym, co są tak samo w potrzebie.

Teraz Gerard z kolei poczerwieniał i wyjąkał słowa przeproszenia. Olbrzymi małżonek uśmiechnął się z góry do obojga.

- Pocałuj tę jędzę za jej kaszankę i będzie kwita - powiedział bezstronnie z miną sędziowską jak Jowisz.

Gerard usłuchał tak wzniesłego nakazu i pocałował kobietę w policzek.

- Bóg wam zapłać, dobrzy ludzie - rzekł.

- Idź z Bogiem, młodzieńcze! - pożegnali go zacni ludzie. Rozeszli się każde w swoją stronę i nie spotkali już nigdy na tym świecie.

Właśnie wschodziło słońce, krople deszczu na liściach lśniły jak diamenty. Powietrze było świeże i orzeźwiające. Gerard skierował się na południe, nie pamiętając nawet swych nocnych postanowień.

Przewędrował osiem mil tego dnia i po południu dotarł do olbrzymich zabudowań z potężną, w łuk sklepioną bramą i wejściem obok.

- Klasztor! - wykrzyknął radośnie. - Dalej nie pójdę, aby nie napytać sobie czegoś gorszego.

Zgłosił się u furty i, opowiadając, skąd przychodzi i dokąd zdąża, został natychmiast przyjęty i skierowany do sali dla gości - obszernej i wysokiej komnaty, gdzie podróżnych karmiono i udzielano im schronienia na koszt zakonu zgodnie z zakonnym nakazem miłosierdzia. Zadzźwięczał dzwon wzywający na nieszpory, Gerard wszedł do kościoła i ze swego miejsca słuchał nabożnego śpiewu, który wydawał mu się niebiańskim chórem. Lecz jednego brakowało - Małgorzaty, aby mogła słuchać wraz z nim. Gorzkie westchnienia mieszały się z uniesieniami zachwytu.

Skromny, lecz obfity posiłek i dobre, warzone w klasztorze piwo podano na wieczerzę Gerardowi i innym towarzyszom podróży. Mimo wczesnej jeszcze godziny poproszono ich do obszernego dormitorium, gdzie każdy wobec niewielkiej liczby gości znalazł niskie łóżko na kółkach, wysuwane spod łóżek mnichów; do przykrycia służyły wyprawione owcze skóry miękkie jak puch.

Przedtem jeszcze jeden z mnichów, uderzony urodą i młodością chłopca, wypytał go, szybko poznał jego plany i przejrzał wnętrze serca. Gdy zakonnicy dowiedzieli się, że Gerard był wychowany w klasztorze i wędruje samotnie do Rzymu, młodzieniec stał się ważną personą. Rankiem oprowadzili go po klasztorze i zaprosili na obiad do refektarza. Nakreślili mu dalszą drogę na skrawku pergaminu, a przeor obdarował go srebrnym guldenem, aby go wspomóc na drogę, i doradził dołączyć do pierwszej uczciwej kompanii, którą napotka, aby nie musiał samotnie stawiać czoła różnorodnym niebezpieczeństwom podróży.

„Niebezpieczeństwom?” - zdziwił się w duchu Gerard.

Tego wieczora dotarł do małego, lecz luźno zabudowanego miasteczka, gdzie była gospoda. Nie miała wywieszki, ale znając już lepiej obyczaje kraju, młodzieniec rozpoznał dom od razu po herbach na ścianach. Te należały do znakomitych gości, którzy spali tu niegdyś w różnych okresach od czasu wybudowania oberży i pozostawili tu zwyczajowe znaki swej protekcji. W tej chwili bardziej wyglądała ona na mauzoleum niż na oberżę. Nie dochodził z wewnątrz żaden dźwięk, nie widać było żadnego ruchu. Ani w środku, ani wokoło. Gerard zakołatał do wielkich dębowych drzwi: nie było odpowiedzi. Zawołał: nie

było odpowiedzi. Po chwili zawołał głośniejszym głosem, aż otworzyło się wreszcie małe okrągłe okienko, raczej otwór w ścianie. Jak łeb żółwia ze skorupy wynurzyła się stamtąd głowa ludzka, przyjrzała się flegmatycznie Gerardowi, ale nie odezwała się ani słowem.

- Czy to. gospoda? - zapytał Gerard z lekką drwiną.

Głowa zdawała się być pogrążona w głębokiej zadumie, lecz skłoniła się wreszcie potakująco, acz leniwie.

- Czy mogę się tu zatrzymać?

Głowa znowu zaczęła rozważać i skinęła w końcu na znak zgody, posępnie jednak; zdawało się, że czaszka ta przemęczona jest zbędnym przesłuchaniem.

- Jak się mam dostać do środka, jeśli łaska? - spytał chłopiec. Głowa dała nura do środka, jak ustrzelona, wyskoczyła natomiast ręka, wskazała za węgiel domu i zatrzasnęła okno. Gerard poszedł we wskazanym kierunku i po krótkim poszukiwaniu wykrył, że fortyfikacja miała słaby punkt: niziutkie drzwiczki w bocznej ścianie. Główne wejście było zamknięte przed złodziejami i klientami poza jednym lub dwoma dniami w roku, gdy wszyscy przybywali razem - podczas paradnego wjazdu diuka lub hrabiego z orszakiem hałaśliwych gburów.

Gerard, przedarłszy się przez zewnętrzne linie obronne, odnalazł szybko drogę do „pieca” (tak nazywano izbę gościnną w gospodach od najważniejszego w niej przedmiotu) i usiadł przy palenisku, w którym zaledwie parę żarzących się kawałków drewna darzyło go łagodnym i miłym ciepłem.

Odczekawszy cierpliwie dłuższy czas, zapytał ponurego starszego jegomościa o długiej białej brodzie, który wkroczył uroczyście, przekręcił klepsydrę i zabierał się do wymarszu, o której będzie wieczerza. Okropny Ganimedes policzył gości na palcach.

- Gdy ujrzę trzy razy tyle co obecnie. Gerard stęknął niezadowolony. Straszliwy tyran odczuł ów buntowniczy ton.

- Nie buduje się gospody dla jednego - mruknął. - Jak nie chcesz czekać na resztę gości, możesz poszukać innej oberży.

Gerard westchnął.

Brodacz zmarszczył brwi.

Rzeczywiście po niedługiej chwili zaczęli napływać goście. Zgromadziło się dobrych osiemdziesiąt osób rozmaitej kondycji. Dla naszego nowicjusza gospoda zmieniła się rychło w izbę tortur; matki skupiły się grupami i porównywały liszaje swoich pociech, mężczyźni zeskrobywali nożami błoto z butów na podłogę, czesali swe długie włosy, nie szczędząc ich mieszkańców, i robili toaletę polegającą głównie na obskrobywaniu się na sucho. Wniesiono

zresztą wodę w dzbanach. Gerard rzucił się do jednego z nich, ale na widok płynnej zawartości stracił cierpliwość i powiedział służącemu:

- Umyjcie wpierv tę wodę, a dopiero potem człek będzie w niej mógł umyć ręce.
- Jak się wam nie podoba, szukajcie innej gospody.

Gerard nie odpowiedział. Podszedł spokojnie i uprzejmie do starego podróżnego pytając go, jak daleko jest do następnej gospody.

- Blisko cztery mile - odparł tamten.

Wtedy młodzieniec zrozumiał ponury dowcip nieugiętego starucha.

Zacny ten jegomość wrócił teraz z naręczem drew i przeliczając podróżnych dołożył do ognia jedno polano na sześciu gości. Dzięki temu aktowi surowej sprawiedliwości im goręcej było w izbie, tym więcej dodawano jej ciepła. Biedny Gerard spostrzegł tę małą lukę w rozumowaniu starego człowieka, ale zatarł starannie wszelki ślad myśli na twarzy, aby jego nogi nie musiały ponieść głowy jeszcze tej nocy o cztery mile dalej.

Gdy wyziewy potu i zaduch wzmogły się znacznie, wniesiono obrusy - jakżeż brudne i ordynarne. Wyglądały jak worki zdarte w gospodarstwie u chłopów lub jak strzępy żagli jakiegoś zniszczonego okrętu. Holender, który nigdy, nawet w koszmarnym śnie, nie widział takiego płótna, jęknął z cicha.

- Co się stało? - zapytał podróżny.

Gerard wskazał ukradkiem na brudne workowe płótno. Tamten spojrzał na chłopca tępyimi oczami, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Burgundzki żołnierz z kuszą na plecach zerknął przez ramię Gerarda i zobaczywszy, co tak wzburzyło chłopca, roześmiał się, aż ściany zadźwięczały. Trzepnął go po plecach i zawołał:

- Courage! le diable est mort!

Gerard spojrzał na niego. Odnosił się nieufnie także do pomyślnych wieści i życzliwych wystąpień, ale tym razem ton był tak serdeczny, a twarz żołnierzapomimo straszliwej brody - taka łagodna i wesoła, że młodzieniec uśmiechnął się i odpowiedział sucho:

- Il a bien fait: avec l'eau et linge du pays on allait le noircir á ne se recoronnaitre plus.
- Tiens, tiens! - zawołał żołnierz - v'la qui parle francais peu s'en faut.

Zajął miejsce obok Gerarda i za chwilę rozprawiał już szeroko o wojnie, kobietach i łupach, przeplatając swój dyskurs wymyślnymi przekleństwami. Po każdym przekleństwie Gerard odsuwał się mniej lub więcej od niego.

Nagle pojawił się okropny sługa i przeliczył gości na palcach podejrzliwie jak Abraham swe owce. Potem znowu wyszedł i powrócił z drewnianą miską i łyżką dla każdego.

Nastąpiła przerwa. Po jakimś czasie służący przyniósł wysoki szklany kubek i skrzywił się. Wkroczył następnie ponuro z pajdami chleba po jednej na każdego i oddalił się z obrażoną miną. Nastrój oczekiwania spotęgował się, goście prawie od godziny wymachiwali drewnianymi łyżkami i własnymi nożami krajali chleb. Wreszcie, gdy wszyscy stracili nadzieję, cierpliwość się wyczerpała i minął im apetyt, wniesiono uroczyście ogromną wazę, uniesiono pokrywę, buchnęły kłęby pary i objawiła się cienka polewka z pływającymi w niej kostkami chleba.

Choć to jedzenie nie sprawiło nikomu przyjemności, posłużyło jednak do napełnienia żołądka. Na drugie danie były płaty szynki sztrasburskiej i wędzone ryby tak mocno solone, że Gerard z trudem przełknął ledwie kęs. Podano później jakąś kaszę i - gdy posiłek trwał już ponad godzinę - pieprzne siekane mięso. Kiedy Holender i Francuz napchali się do syta wyżej wymienionymi smakołykami i opili piwa, spragnieni po pieprznych i korzennych daniach, zjawily się wyśmienite pieczone koźlęta, karpie i pstrągi prosto ze strumienia. Gerard starał się jeść dalej, patrząc gniewnie na półmiski, ale „nie mógł już więcej”, jak mówi poeta. Burgundczyk przysięgał na wątrobę i drzewce włóczni dobrego setnika, że ci tubylcy go oszukali. Znow zwrócił się do Gerarda: Courage, l'ami, le diable est mort, równie głośno jak poprzednio, ale bez tego samego przekonania w głosie. Chytrzy bywalcy zostawili sobie kącik w żołądku na wszelki wypadek i obgryźli koźlęta do czysta.

Uczta zakończyła się danjem z surowych żyjatek w, wiklinowej Matce. W tym celu oplata się ser cieniutkimi gałązkami, i sznurkiem, a w wydrążony otwór Wlewa odrobinę kwaśnego wina. Szybko zaroi się od drobnego, rozlicznego robactwa. Gdy ser zgnije do tego stopnia, że tylko gałązki i sznurek nie pozwalają mu rozpaść się na kawałki i powędrować na cztery strony świata, podają go na stół. Złośliwy kaprys losu zrządził, że klatkę z menażerią umieszczono tuż przed nosem. Holendra, dla którego powonienie było od początku podróży źródłem tortur. Odskoczył z głośnym okrzykiem i zawisnął na ławie przytrzymując się łydkami.

- O co chodzi? - rzekł podejrzliwie podróżny. - Boisz się wyśmienitego sera? Posuń go dalej, do licha!

- Ser! - obruszył się Gerard. - Gdzie tu widzisz ser? Te obrzydłe gady rozniosły go doszczętnie.

- No i co - odparł sąsiad - daleko nie uszedł. Zjesz robaki, a w nich ser do ostatniej okruszyny.

- Nic podobnego - zaprotestował Gerard. - Te gady tę samą mają naturę co my, trawią pokarm i zmieniają go w zgniłe ciało, tak jak my robimy to ku naszemu zadowoleniu. Równie dobrze możesz uważać, jedząc wołowinę, że jesz trawę, którą żywią się woły, jak sądzić, że jesz ser, połykając te przebrzydłe insekty.

Gerard podniósł głos mówiąc to, lecz biesiadnicy przyjęli jego paradoksy w śmiertelnym milczeniu i z nieufnością, jak wszystko, co cudzoziemskie, Burgundczyk zaś, który słabo rozumiał po niemiecku, poprosił Gerarda o powtórzenie dyskusji w galijskim języku. Wysłuchawszy, klepnął tłumacza po plecach:

- C'est bien, mon gars; plus fin que toi n'est pas bête - i znów pocieszył go swym przysłowiem.

Gerard odsunął się, bo równie jak szpetnych widoków i ohydnych zapachów nie cierpiał biedak wulgarności. Tymczasem mimo jego argumentacji surowe robactwo zostało z należytych uznaniem spożyte przez biesiadników i pobudziło pragnienie, co jest głównym celem wszystkich stałych pokarmów w tej części Niemiec. Kompania dokoła piła garausses, rozwiązywały się języki jak w wieży Babel. A ponad dziki gwar jak wojenny okrzyk bohatera w czasie bitwy wzbijał się w przerwach przenikliwy niczym dźwięk trąbki głos Burgundczyka pokrzykującego gromko:

- Courage, camarades, le diable est mort.

Wszedł teraz okropny Ganimedes z drewnianą tacą, na której nakreślono kredą koła i półkola. Położył ją na stole i tkwił obok milczący i smutny jak Charon oczekujący nad Styksem pełnego ładunku dusz do swej łodzi. Przeszukano kieszenie i sakiewki, każdy rzucił monetę na tacę. Gerard zauważył nieśmiało, że prawie nie pił piwa, i zapytał, o ile mniej ma zapłacić od innych.

- Co za pomysł? - obruszył się Ganimedes. - Czyja to wina, żeś nie pił? Wszyscy mają cierpieć za jednego maminsynka? Zapłacisz tyle co wszyscy, ani mniej, ani więcej! Gerard się zawstydził.

- Courage, petit, le diable est mort - czknął żołnierz i rzucił monetę Ganimedowi.

- I tyś nie lepszy od niego - rzekł opryskliwie staruch - płacisz za dużo.

Starzec, tyran z miną Arystydesa, z głęboką dezaprobatą wydał mu resztę z tacy. Teraz zaś dopiero człowiek, z którym Gerard dyskutował półtorej godziny temu i zbijał jego argumenty, ocknął się z głębokiego zamyślenia, podszedł do chłopca i rzekł:

- Tak; ale miód nie jest ani odrobinę gorszy przez to, że przechodzi przez brzuchy pszczoł.

Gerard spojrział ze zdziwieniem. Odpowiedź dojrzewała tak długo, że nie miał już pojęcia, czego dotyczyła. Zauważywszy jego zmieszanie, rozmówca uznał go za pobitego i odszedł uspokojony.

Pokoje sypialne mieściły się na górze - ciemnice, bez śladu sprzętu poza łóżkiem. Sługa bez możliwości rekursu ustalił, kto ma z kim spać. Ani prośbą, ani groźbą nie można było uzyskać łóżka na swój wyłączny użytek, obyczaj surowo tego zabraniał. Moglibyście z równym powodzeniem starać się o wyłączne używanie huśtawki.

Gerardowi przydzielono mężczyznę o wielkiej czarnej brodzie. Był on człkiem dość uczciwym, dalekim jednak od doskonałości. Nie chciał się położyć, lecz siedząc na brzegu łóżka nie proszony opowiadał długo nieszczęsnemu Gerardowi wszystkie wydarzenia dnia, śmiejąc się i płacząc na przemian z tych samych okoliczności, które nawet w najmniejszym stopniu nie były ani zabawne, ani wzruszające - jedynie potwornie trywialne. Wreszcie Gerard zatkał sobie uszy palcami i udało mu się zasnąć w ubraniu, bo prześcieradła były zbyt brudne, aby się rozebrać.

Po godzinie czy dwóch obudził się z zimna, bowiem jego pijany towarzysz, kierowany potężnym instynktem, ściągnął całą pierzynę. Leżeli teraz jakby na dwóch łóżkach, z których niższe było twarde, zasłane słomą, a wyższe - miękkim jak puch pierzem. Gerard pociągnął za piernat, ale doświadczony pijaczyna trzymał go prawie mechanicznie. Chłopak próbował wyrwać go przez zaskoczenie, lecz instynkt tamtego był silniejszy. Wstał więc z łóżka i klękawszy po nie strzeżonej stronie swego towarzysza łatwo wyrwał zdobycz. Stoczył się z nią pod łóżko, ułożył się na jednym brzegu pierzyny, zwinawszy sobie drugi pod łopatki. Nim zasnął, słyszał, że coś mruczy i wzdycha nad nim bynajmniej nie z zadowolenia. Instynkt został przechytrzony, zwycięski rozsądek spoczywał chichocząc na pierzu, nie całkiem jeszcze uduszony kurzem.

O świcie Gerard zerwał się, zarzucił piernat na swego chrapiącego towarzysza i wyszedł spragniony mleka i powietrza.

Pogodny głos pozdrowił go po francusku:

- Hej, razem ze słońkiem wstaliście, kamracie?

- Wcześniej ten wstaje, kto na psim barłogu spoczywa - odpowiedział przekornie Gerard.

- Courage, l'ami! le diable est mort - zabrzmiała odpowiedź. Żołnierz opowiedział chłopcu, że zwie się Dionizy, wędruje znad

Zalewu Zelandzkiego do posiadłości diuka Francji; jest to dla niego odmiana wielce miła: raz dlatego, że odwiedzi swe miejsca rodzinne, a dwa - usłyszy znów mowę francuską i ujrzy śliczną dziewczynę, która płakała przy pożegnaniu.

- A ty kim jesteś i dokąd zdążasz?

- Na imię mi Gerard, idę do Rzymu - odrzekł wstrzemięźliwy Holender tonem nie zachęcającym do dalszych zwierzeń.

- To wyśmienicie, możemy wędrować razem aż do Burgundii.

- To mi nie po drodze.

- Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

- Tak, ale ja idę najkrótszą.

- No, dobra, to ja zboczę ździebko z drogi dla zacnej kompanii. Podoba mi się twoja twarz, a poza tym mówisz po francusku lub prawie po francusku.

- Dwie sentencje pasują do tej mowy - rzekł chłodno Gerard. - I ja postępuję stosownie do przysłów. Bywają stare głowy na młodych barkach. Bon loup mauvais compagnon, dit la brebis, a żołnierz, jak powiadają, podobny wilkowi.

- Kłamią - odpowiedział Dionizy. - A nawet jeśli to prawda: les loups ne se mangent pas entre eux

- Tak, panie żołnierzu, ale ja nie jestem wilkiem, a jak wiesz, á bien petite occasion se saisit le loup du mouton”.

- Zostawmy w spokoju wilki i owce, skoro jesteśmy ludźmi.

Wedle mego przekonania dobry żołnierz nigdy nie grabi towarzysza. Chodź, młodzieńcze, tyle podejrzliwości nie przystoi w twoich leciech. Podróźni powinni umieć czytać w ludzkich twarzach. Tuszę, że możesz na mojej odczytać wiernie to samo, com ja odczytał z twojej. Boisz się o ową wypchaną kieskę przy pasie? - (Gerard pobladł) - Patrzajże tu! - rozwinął swój pas, wyciągnął z niego dwie garście złota i zsywał je znowu do schowka. - To zostaw dla siebierzekł. - Noś to na sobie i zostańmy kamratami - podał mu swój pas wraz ze złotem i wszystkim, co zawierał. Gerard przyjrzał mu się uważnie.

- Jeśliś zbyt ostrożny, toś ty nie dosyć rozważny - poczerwieniał jednak i miłe mu było zaufanie żołnierza.

- Ba! Umiem czytać w twarzach ludzkich, i ty musisz się tego nauczyć, bo inaczej nigdy bezpiecznie nie doniesiesz swoich kości do Rzymu.

- Będiesz miał ze mnie, żołnierzu, smutnego towarzysza, mam bowiem smutek w sercu - rzekł Gerard z westchnieniem.

- Rozweselę cię, mon gars.

- Wiem, że dobre masz intencje - odpowiedział łagodnie Gerard - i wielce brakowało mi dziś życzliwego słowa.

- Żadna żyjąca dusza nie może być smutna przy mnie. Rozweselałam ich biedne serca mą dewizą: courage, tout le monde, le diable est mort. Cha! Cha!

- Niech i tak będzie - rzeki Gerard. - Ale zabierz swój pas, ufam ci najzupełniej. Powędrujemy razem aż do Renu, i niech Bóg ma nas w swojej opiece.

- Amen! - rzekł Dionizy i uchylił czapki. - En avant!

Obaj towarzysze pomaszzerowali dzielnie naprzód, Dionizy urozmaicał męczącą drogę. Opowiadał o bitwach i oblężeniach, gwarzył o przeróżnych nie znanych dotąd Gerardowi sprawach, był jednym z tych, którzy sami są sprawcami drobnych wydarzeń, gdziekolwiek by zaszli. Nie minął nikogo bez zaczepki. „Nie rozumieją mnie co prawda, ale to ich orzeźwia” - mawiał. Gdy tylko natknęli się na mnicha lub księdza, przybierał poważną minę, prosił ojca duchownego o błogosławieństwo i odważnie zalewał go potokiem niemieckich wyrazów w taki sposób, że nie można z nich było ułożyć ani jednego niemieckiego zdania. Zdejmował czapkę z głowy przed każdą niewiastą, drobną czy roslą, przyglądał się jej byстрыm okiem, odnajdował w niej uroki, obrzucał komplementami w swym rodzimym języku tak świetnie nadającym się do tego celu. A co zoczył wronę lub srokę, ściągał kuszę i zbaczał na jedno stajanie z drogi, by podejść do ptaka. Rzeczywiście ubił starą wronę z chwalebłą zręcznością, zaniósł do najbliższego kurnika, wlażł do środka i posadził ptaszysko na gnieździe.

- Gospośia rano powie: „O rety, Belzebub wysiaduje mi jaja!”

- Zapominasz, że diabeł nie żyje - sprzeciwił się Gerard.

- A pewnie, pewnie. Ale tego nie wie babina, nie mając szczęścia znać mnie, żołnierza niosącego dobrą nowinę od miasta do miasta, by krzepić ludzkie serca.

Taki to był Dionizy w czas pokoju.

Noc się zbliżała, nasi wędrownicy dotarli do miasteczka. W małej osadzie znajdowała się jednak ponoć gospoda. Szukali jej długo i znaleźli wreszcie domek połączony ze stodołą i oborą. W izbie dymił odwieczny piec, w krąg niego suszyła się na sznurze bielizna, grzali się dwaj posępni podróżni. Gerard spytał o wieczerzę.

- Wieczerza? Nie mamy czasu gotować dla gości. Przyjmujemy tylko na nocleg - dobry, wygodny nocleg dla ludzi i zwierząt. Jest piwo.

- Szalony, kto urodziwszy się w Holandii szuka szczęścia za granicą! - mruknął Gerard w ojczystym języku. Gospodyni zerwała się.

- Co to za szwargot? zapytała przesądna niewiasta i spochmurniała przestraszona. Możecie kupić, co chcecie, w miasteczku i ugotować sobie u nas na piecu, ale mi tu nie mruście przekleństw i nie rzucajcie czarów. Ciarki mnie przechodzą, jak to słyszę.

Przetrząsnęli miasteczko w poszukiwaniu żywności i spożyli wreszcie wieczerzę złożoną ze smażonych jaj i razowego chleba.

Wczesnym wieczorem przysłała po nich panna pokojowa. Była nią stary jegomość o czerstwych policzkach. Przyświecał sobie latarnią.

Poszli za nim. Powiódł ich brudnym podwórzem, przez które przepawali się z niemałymi trudnościami, i wypuścił do obory. Tam to między krowami rzucono nieco czystej słomy jako posłanie i związany snopek pod głowę zamiast poduszki. Stary przyglądał się swemu dziełu z ojcowską dumą. Gerard był mniej zachwycony.

- A cóż to znowu? Chcecie położyć chrześcijan wraz z bydłem?

- Ano, biedne bydlątka trochę na tym ucierpią. Trudno im będzie się obrócić.

- A o naszą wygodę nie dbacie?

- Co za niewygodna? Sypiałem wśród nich przez całe życie. Popatrzcie na mnie! Mam osiemdziesiątkę na karku i odkąd żyję, nie wiem, co ból głowy - zawsze sypiam z krówkami. Musicie rozumem nie grzeszyć, jeżeli nie wiecie, że krowi dech dziesięć razy lepiej pachnie od chrześcijańskiego. Przekonacie się! - dodał zapierając z trzaskiem drzwi tej sypialni.

- Dionizy, gdzie jesteś? - jęknął Gerard.

- Ano tutaj, z drugiej strony.

- Co tam robisz?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli mogę odgadnąć, zabieram się do spania. A ty co porabiasz?

- Odmawiam pacierze.

- Nie. zapomnij pomodlić się za mnie.

- Do czego to podobne. Dionizy, ja już kończę. Nie śpij jeszcze, chcę porozmawiać.

- Pospieszaj więc! Bo czuję się - au... jakbym - unosił się - po niebie na ciepłej chmurze.

- Dionizy!

- Ach! ech! hej! Czy już czas wstawać?

- Niestety nie. Ja się pospieszyłem z pacierzami, żeby porozmawiać, a ty śpisz. Do rana zmarzniemy na śmierć bez przykrycia!

- To nie wiesz, jak sobie poradzić?

- Zaprawdę nie wiem.

- Przytul się do krowy.

- Dziękuję - nie skorzystam.

- No to zagrzeb się w słomę. Straszny jeszcze z ciebie żółtodziób, jeśli na to sarkasz.

Jak przetrzymałbyś mroźną noc na polu bitwy, jak mnie się kiedyś zdarzyło. Byłem zupełnie nagi, a do ogrzania się miałem tylko trupa jednego chłopca, którego pomogłem zamordować.

- Okropne! okropne! Opowiedz mi całą tę historię! To ciekawe!

- Stoczyliśmy niewielką bitwę w Brabancji, usiekliśmy ździebko wroga, zwycięstwo było nasze, ale drogo przyszło za to zapłacić. Wielu kuzników legło i ja między nimi.

- Byłeś zabity, Dionizy? Co mówisz?

- Zabity na śmierć! Pokłuty pikami, pełen dziur, aż cała krew wyciekła ze mnie; jak dobre wino z Mâçon cieknie z pogniecionych winogron. Powinien bym wyśpiewać tę opowieść strofami minstrela, bo - auuch - alem śpiący - ooch - na czym to stanąłem?

- Leżysz zabity na polu bitwy, krwawiąc jak wieprz - to jest jak winogrona czy coś podobnego.

Dalej, dalej, proszę cię, dalej.

Byłoby grzechem zasnąć w środku takiej zacnej historii.

- Naturalnie. Włóczędzy, którzy trudnią się grabieniem żołnierzy na polu chwały, zdarli ze mnie wszystko do nitki. Nie zrobili mi przy tym nic gorszego, bo nie mieli potrzeby.

- No tak, byłeś trupem.

- C'est convenu. Działo się to zapewne o zachodzie słońca. W nocy wziął ostry mróz, który ściał krew w moich ranach i zatkał wszystkie strumyczki płynące z mego serca. Około północy ocknąłem się jakby z uśpienia.

- I pomyślałeś, że jesteś w niebie? - zapytał zarliwie Gerard, młodzieniec naszpikowany mnisimi opowiadaniem.

- Na to byłem zbyt przemarznięty, mon gars. Słyszałem zresztą jęki rannych dokoła mnie i wiedziałem, że znajduję się na starym miejscu. Wiedziałem, że nie przeżyję nocy całkiem bez okrycia. Macałem po omacku dokoła trzęsąc się z zimna. W końcu jeden z rannych nagle przestał stękać. „Jesteś gotów” - rzekłem. Doczołgałem się do niego i rzeczywiście był trupem, ale jeszcze ciepłym. Wziąłem swojego jegomościa w ramiona, ale był zbyt słaby, by go unieść, więc stoczyliśmy się razem do pobliskiego rowu. Tam kamraci znaleźli mnie rano zacnie poparzonego pokrzywami. Ścisnąłem trupa Flamanda jako cały swój majątek.

Gerard wzdrygnął się.

- I to jest wojna - ulubiony temat poetów, trubadurów i reden ryckers. Słusznie rzekli starożytni: dulce bellum inexpertis.

- Tak myślisz?

- Tak myślę. Jak mężne serca mają niektórzy ludzie.

- N'est pas, p'tit? Toteż po takich to - rzeczach - takie to - rzeczy - są rajem. Miętko - ciepło - dobra kompania - towarzyszem krowa - courage - diable - m - oruk!

Obrotny język zamilkł na kilka godzin.

Rano Gerard obudził się. Mokry strumień bił mu w oczy, to Dionizy używał wymienia krowiego jak strzykawki.

- Tffii! - oburzył się Gerard. Marnujesz znakomite mleko! - Wyjął róg do picia ze swej sakwy. Nalej tutaj! Ale właściwie w ogóle nie wiem, jakie prawo mamy rządzić się jej mlekiem.

- Nie trap się! Nie bardzo grzeczna była tej nocy la camarade, ale prawdziwa przyjaźń zwalnia od ceremonii. Dziś zachowamy się także bez ceremonii wobec niej.

- Cóż ci, biedna, zrobiła?

- Zjadła moją poduszkę.

- Cha, cha!

- Gdy się obudziłem, zacząłem szukać swej głowy i odnalazłem ją na dnie ścieku. Krowa zjadła naszą poduszkę, a teraz my pijemy jej mleko. A votre santé, madame, et sans rancune - filut spełnił zdrowie krowy jej własnym mlekiem.

- Muszę przyznać że ten staruch miał rację:- rzekł Gerard. - Jeszcze ani razu nie czułem się tak wyspany, odkąd opuściłem kraj rodzinny. Od dziś będziemy omijać miasta i spać w klasztorach lub oborach. O wiele lepiej śpi się na świeżej słomie niż na płótnie dobrze wypranym przed sześcioma miesiącami. Oddech krów słodszy jest zaiste niż wyziewy chrześcijan po czosnku, ulubionym zarówno przez mężczyzn, jak przez kobiety, a nie cierpianym przez krowy i przeze mnie. - Klnę się na świętego Bawona!

Żołnierz zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Wyglądasz z tym meszkiem na policzkach zupełnie na dziewczynę i, na paznokcie świętego Łukasza! niebrzydka nawet.

Trzy rodzaje dotąd napotkanych miast powtarzały się z niewielkimi odmianami przez wiele mil uciążliwej wędrówki - były one typowe dla kraju. Nawet jednak wtedy, gdy nie mógł znaleźć ani klasztoru, ani obory, Gerard nauczył się z czasem uodparniać na rzeczy nieuniknione, starając się rywalizować ze swym towarzyszem, którego uważał za przykład prawie nadludzkiej odwagi ciała i ducha.

Całe to uwielbienie miało swoje „ale”.

Dionizy, tak jak jego poprzednik Achilles, posiadał słabą stronę. Bardzo słabą stronę, sądził Gerard.

Achillesową piętą Dionizego były kobiety.

Cokolwiek by robił lub mówił, porzucał wszystko na widok niewieściego fartuszka, poświęcał się duszą i ciałem kontemplacji tego stroju, a zwłaszcza jego właścicielki, tak długo, póki nie stracił jednego i drugiego z oczu, a nawet sporą chwilę potem.

Gerard bardzo często musiał się rumienić, gdy Dionizy przemawiał łamaną niemczyzną do kobiet, które dostrzegał siedzące lub stojące w domach lub poza domem. Kobiety słuchały przemowy zdumione. Gdy zaś natknął się na wiejską dziewczynę na drodze, zdejmował czapkę i kłaniał się jak królowej. Niezmienny skutek tego był taki, że dziewczyna ze zdumienia zamieniała się w słup soli i przybierała wrogą, nieprzystępną minę.

- Doprowadzają mnie do rozpaczony - mawiał Dionizy. - Czy to ma być właściwa odpowiedź na grzeczne pozdrowienie? Pulchne są, białe, a głupie jak gęsi.

- Czy możesz oczekiwać dobrego wychowania od kobiet, które nie noszą pończoch? - pytał Gerard. - Niektóre nawet nie mają trzewików. Mnie się wydają skromne i wstrzemięźliwe, jak przystało płci niewieściej. Poza tym są trzeźwe, podczas gdy mężczyźni przypominają baryłki z piwem. Chcesz, by nie tylko nie miały pończoch, ale i wstydu?

- Trochę grzeczności jest ozdobą nawet pięknej niewiasty - westchnął Dionizy.

- Daj im tedy pokój, skoro nie przypadają ci do gustu - odpalił Gerard. - Nie masz to gdzieś w Burgundii ślicznotki, która zbladłaby ze zmartwienia, widząc jak się tu uganiasz za cudzoziemkami.

- Pół tuzina dziewcząt oczy by sobie wyplakało.

- No widzisz!

- Ale daleka droga do Burgundii.

- Tak, daleka dla nóg, lecz nie dla serca. Ja jestem tam zawsze, we śnie i na jawie, w każdej prawie minucie.

- W Burgundii? Dlaczego? Myślałem, że nigdy... - spytał żołnierz.

- W Burgundii? - wykrzyknął z pogardą Gerard. - O nie! W słodkim Sevenbergen. Ach! niestety, niestety...

Wiele podobnych dialogów odbywało się między dwoma naszymi wędrowcami podczas długiej i nużącej drogi, ale żaden z nich nie mógł zmienić drugiego.

Pewnego dnia dotarli około południa do wcale nieźle prezentującego się miasteczka. Gerard się uradował, ponieważ chciał kupić parę butów. Stare były już zupełnie zdarte. Bez

trudu odnaleźli sklep szczycący się przyzwoitym wyborem towaru, zdecydowali się więc wejść do środka, ale kupiec uciął sobie drzemkę na progu i tak był opasy, że zatarasował sobą całe wąskie przejście. Zaledwie światło mogło się przebić przez wąziutką szparę, którą pozostawiało jego zbyt, ach, zbyt solidne ciało, a co dopiero klient z krwi i kości.

Moi zacni Czytelnicy, przyzwyczajeni, że gdy załatwiają sprawunki, kupcy wychodzą w pół drogi w ukłonach i skinieniem zapraszają do siadania - podczas gdy w tej samej chwili gorliwy sprzedawca zataczając półkole frunie za ladę, by wysłuchać ich życzeń i przyjąć zamówienie - potrafią najlepiej ocenić tego średniowiecznego Teutona, który pilnował sklepu jak pies budy i rozsiadł się, drwiąc z dobrych obyczajów i chrapiąc jak wieprz.

Dionizy i Gerard przystanęli, kontemplując ten dziwny widok - przykład, pozwólcie mi zauważyć, tak charakterystycznego dla tej epoki lekceważenia dla handlu i utrudniania życia klientom.

- Skacz przez niego!

- Drzwi są za niskie.

- Przejdź przez niego!

- Chłopisko jest zbyt opasłe.

- Co za wrzawa? - zamamrotał głos dobywający się z pełnych jedzenia ust terminatora.

- Chcemy wejść do sklepu.

- I po cóż to, na Boga??!!!

- Po buty, leniuchy!

Gniew terminatora rósł w miarę wyjaśniania.

- I nie macie już kiedy tu przychodzić i nudzić nas swymi butami? Z dwunastu godzin musieliście wybrać tę jedną godzinkę, kiedy majster sobie drzemie, a ja siadam do obiadu - czy tu się świat kończy?

Dionizy słuchał, ale nie uchwycił sensu.

- Nie trać czasu na gadanie ich germańską mową - rzekł. Bierz za nóż i połaskocz tłuściocha pod żebra.

- Tego nie zrobię - odparł Gerard.

- Ano, to ja go dziabnę.

Gerard przestraszony chwycił za ramię swego szalonego towarzysza, bo dość już długo przebywał w tym kraju, by odgadnąć, że całe miasto stanie w bójce po stronie rodaka przeciwko obcym. Ale Dionizy odepchnął go na bok i wyjąwszy strzałę, skierował jej ostrze w kierunku żeber śpiocha. Na szczęście w tymże momencie dwie niewiasty pojawiły się na

drodze, zdążając w ich stronę. Kuszniak ujrzał owo niebiańskie zjawisko i natychmiast zapomniał, o co mu chodziło - oczekiwał ich nadejścia z bezsensownym zachwytem, choć towarzyszki przecież bardzo były różne, wyjąwszy czar, jaki wywierały na burgundzkim żołnierzu. Jedna z nich była nader wysoka, druga niska, i na mocy dziwnych anomalii, które wytwarza nawet prymitywne społeczeństwo, wysoka dziewczyna niosła tren małej niewiasty. Ta smukła miała skromny płócienny czepek na głowie, prosty płaszcz z grubej tkaniny na ramionach: nosiła szarą spódnicę i krótki fartuch czy też spódniczkę z jaskrawoczerwonego sukna. Nogi były całkiem bose, lecz ręce przysłonięte ciasnymi płóciennymi rękawami.

Jej mała towarzyszka odziana była w spódnicę szeroko bramowaną futrem, ramiona opinały jej podwójne rękawy; te pod spodem były żółte atlasowe i ciasno przylegały do skóry, zaś zewnętrzne całe podbite futrem, rozcięte aż do łokcia; ręka przechodziła przez nie, lecz dół rękawa zwisał swobodnie. Do tego welwetowy stroik na głowie, nabita sakiewka przy pasie, wspaniały tren, nie odziane nogi. Mieszczka stąpała majestatycznie, służąca sunęła za nią, trzymając z nabożeństwem tren sukni w obydwu rękach, przechylając i wyginając z wdziękiem smukłą postać. Proszę sobie wyobrazić (jeżeli macie nieco czasu) kogucika i perliczkę drepczącą za jego piętami.

Pochód sunął prosto do warsztatu szewca. Dionizy skłonił się nisko, szacowna dama skinęła mu z wdziękiem główką, ale natychmiast przypomniał sobie o interesie, który ją tu sprowadził, wymierzyła szpic swej cizemki w śpiocha i poczęła kręcić nim jak świderkiem, póki grubas nie obudził się z przeciągłym chrapnięciem.

Żywa zapora uniosła się mrużąc niewyraźnie. Dama wśliznęła się do środka i nie raczyła już zwracać nań najmniejszej uwagi. Wycofał się do sklepu sąsiadakrawca i, siadłszy na stopniu, chroni! go od bezczelnych porannych odwiedzin. Sąsiedzi muszą żyć po sąsiedzku.

Dionizy i Gerard podążyli za wielmożną panią do sklepu, gdzie terminator siedział przy obiedzie. Służebna dziewczyna została na dworze, skrzyżowała nogi i oparła się o ścianę, postukując w nią paznokciami.

- Tamte! - rzekła krótko wielmożność, wskazując władcym ruchem białej rączki żółte cizemki pozłacane na czubkach.

Terminator stał jak słup, unieszkodliwiony zarówno przez swój posiłek, jak i powinność. Dionizy porwał trzewiczki i podał je damie. Pani, spokojnie usiadłszy, uśmiechnęła się, wysunęła przed siebie nóżkę obutą i namaszczone pachnidłem, ale bez pończoszki. Kuszniak przyklęknął, zdjął jej buciki i starannie przymierzał nowe cizemki na białe stopki. Widząc, że znalazła chętną ofiarę, nadużywała tej okazji; przymierzał jedną parę

za drugą, potem wróciła znów do pierwszej, namyślając się i wahając niemal przez pół godziny ku niezadowoleniu Gerarda i zachwyтови żołnierza. Nareszcie dopasowała i wręczyła dwie pary złotych i jedną czerwonych cizienek swej służebnej. Wtedy rozległo się westchnienie. Właściciel sklepu ocknął się z drzemki i krąży! dokoła jak kuropatwa zaniepokojona o pisklęta.

- Straciłem wszystkie kolorowe cizmy! - jęknął, gdy trzewiczki zniknęły w fartuchu służebnej.

Dama odeszła. Gerard przymierzył parę mocnych butów, zapytał o cenę, zapłacił bez słowa i oddał swoje stare buty żebrakowi ulicz nemu, który obsypał go dziękczynnymi błogosławieństwami na rynku, po czym wściekły wrzucił buciska do studni na przedmieściu. Przyjaciele wyszli ze sklepu, a majster i czeladnik pozostali sami, smutni i melancholijni, jakby ich obrabowano.

- I moje buty są takoz okrutnie zdarte - rzekł Dionizy zgrzytając zębami - ale wolałbym dojść do Francji boso, niż zostawić choćby grosz takim gburom.

- Zdaje się, mimo to nieźle uszyte - odpowiedział spokojnie Holender.

Byli już blisko Renu, przedzierali się przez lasy i wtedy pierwszy raz w tej wędrówce usłyszeli brzydkie słowa z ust podróżnych zgromadzonych przy piecu w oberży: „złodzieje!”, „banda!”, „rzezimieszki” itp.

Wśród okolicznych wieśniaków zdarzali się zbóje; grabili oni nieostrożnych podróżnych w ponurych lasach, których mroczne i kręte ścieżki sprzyjały tym, którzy byli z nimi oswojeni w bezkarnym dokonywaniu grabieży i mordów, a jeśliby nawet ich wysłedzono, łatwo potrafili zmylić pogonie.

Z tego widocznie powodu każdy spotkany przez nich prostak nosił dla obrony czy napaści broń straszną i groźną: lekki topór z ostrym grotem u ostrza na jesionowym lub cisowym, dobrze wysuszonym i smukłym toporzysku. Wszyscy mieszkańcy tego kraju umieli rzucać tą bronią z osoblwą precyzją trafiając w cel z odległości kilku jardów, a mogli ubić wołu jednym uderzeniem ostrza. Gerard kupił sobie taki topór i ćwiczył. Dionizy, pogwizdując, ze spokojem porządkował i ostrzył bełty. Gdy wchodzili do ponurego ostępu, odwiązywał kuszę i niósł ją gotową do boju, nie tyle jak podróżny, lękający się napaści, lecz raczej sportowiec, czujny, by nie uronić okazji do celnego strzału.

Pewnego dnia wędrowali lasem odległym o kilka mil od Düsseldorfu. Gerard szedł przed siebie jak we śnie, prawie nie widząc drogi, którą kroczył, i myśląc o Małgorzacie, gdy wtem jego towarzysz położył mu nagle rękę na ramieniu i naciągnął kuszę. Oczy mu pałały.

- Cyt! - rzekł szeptem, który poraził Gerarda bardziej od pioruna.

Chłopiec ścisnął mocniej swój topór i dreszcz nim wstrząsnął. Słyszał zbliżający się szelest, jednocześnie Dionizy uskoczył w gąszcz, trzymając nawet w skoku kuszę u ramienia. Jęknęła metalowa cięciwa i po pełnej oczekiwania chwili kusznik ryknął:

- Biegnij naprzód, nie zbacza) z drogi, trafiony! Trafiony!

Gerard skoczył przed siebie, a gdy biegł, z gęstwiny wyskoczył wprost na niego młody niedźwiedź. Zwierz, zaskoczony w ten sposób, podniósł się, rycząc, na tylne łapy, rozwarł straszliwe szczęki i zagroził długimi pazurami. Gerard wściekły i podniecony rzucił się na niedźwiedzia i ciął straszliwie przez pysk toporem; zwierzę zachwiało się, jeszcze jeden cios, i niedźwiedź runął czołgając się, a Gerard rąbał go dalej.

- Hej! Stój! Czyś oszalał, żeby niszczyć mięso!

- Myślałem, że to rozbójnik - odrzekł ciężko dysząc Gerard. - Chciałem rzec, iżem się przygotował na zbója i nie mogłem już powstrzymać ręki.

- Aj, ci bajarze w gospodach nakładli ci do głowy głupstw o rabusiach i mordercach. Nie mieli tu jeszcze jednego prawdziwego żywego zbójnika w całej swojej nacji... Nie, ja poniosę bestię. Bierz moją kuszę.

- A zatem będziemy go nieść na zmianę, nie lada to ciężar. Biedak! Jak broczy krwią! Czemuśmy go zabili?

- Na wieczerzę i dla nagrody, którą da nam burmistrz w najbliższym mieście.

- I po to musiał zginąć, ledwie zacząwszy życie? A może ma matkę, która będzie rozpaczać za nim dziś w nocy i kocha go, jak kochają nas nasze matki; bardziej niż moja mnie.

- A to nie wiesz, że jego mama złapała się przed miesiącem w sidła, a jej skóra jest właśnie u garbarza? A ojca przeszyły długie na jard strzały i padł jak Juliusz Cezar, z łapami skrzyżowanymi na piersiach, dierzając w każdej ubitego psa?

Ale Gerard nie chciał zbyć sprawy żartem.

- Wobec tego zabiliśmy stworzenie Boskie tak samotne na świecie, jako ja jestem w tym obcym kraju.

- Ach, ty gamoniu - ryknął Dionizy. - Nie można w taki sposób traktować takich rzeczy - inaczej nigdy nie naciągnięto by luku i bełt nie poleciałby w lesie ani na polu bitwy. Jeden taki niewieściuch jak ty może zmienić oddział oszczepników w stado jagniątek. Dość tego. Nie dojdiesz sam do Rzymu, nie dotrzesz nawet do Alp nie podziurawiwszy skóry. Zabiorę cię do Remiremont, mego rodzinnego miasteczka. Tam cię ożenię z moją młodziutką siostrą, piękną jak kwiat w rozkwicie. Potrząsasz głową? A prawda, zapomniałem, jesteś zakochany, i to w jednej niewieście - stwórz dla mnie prawie nie do pojęcia. Dobrze, a zatem

poszukam ci nie żony bogdanki, lecz druha, jakiegoś zacnego Burgunda, który pójdzie z tobą aż do Lyonu. A nawet nie wątpię wcale, że to ja będę tym pocziwcem, któremu chybaś wsypał do napoju różnych proszków, i one to sprawiły, że cię pokochał, bo dawniej nie cierpiał gołąbka w chłopskim kubraku i portkach. Z Lyonu, powiadam, będę mógł wysłać cię okrętem do Italii, która ponoć jest prawdziwą twierdzą gamoniów. Tam powinieneś być bezpieczny. Będą słuchać twoich słów i obwołają cię w mgnieniu oka swym księciem.

- Zaiste - westchnął Gerard - nie lubię myśleć o tym Düsselorfie, który rozdzielił nasze drogi, zacny towarzyszu.

Szli w milczeniu, każdy myśląc o zbliżającym się rozstaniu. Ta myśl hamowała zwykłą beztroską rozmowę - w takich chwilach najlepiej jest zająć się czymkolwiek. Gerard poprosił Dionizego o bełt.

- Często już próbowałem łuku, ale nigdy kuszy.

- Weź nóż i wytnij sobie ten, który tkwi w niedźwiadku - odparł chytrze kusznik.

- O, nie, nie, chciałbym dostać czysty. Dionizy podał mu trzy bełty ze swego kołczana.

Gerard naciągnął kuszę i wymierzył w konar drzewa, który spadł na drogę dosyć daleko przed nimi. Siła tej broni zadziwiła chłopaka. Krótki, lecz masywny łuk stalowy wstrząsnął nim od stóp do głów. Ręca stalowa strzała mignęła niewidzialna w locie. Tylko uschłe liście, którymi listopad wyścielił drogę, przefrunęły na drugą stronę konaru.

- Wycelowaleś krztynę za wysoko - zauważył Dionizy.

- Straszna to broń! Nic dziwnego, że wypiera łuk ku wielkiemu niezadowoleniu Marcina.

- Tak, mój mały - rzekł żołnierz z tryumfem w głosie. - Kusza zdobywa co dzień większe uznanie mimo zakazów i obwieszczeń, aby utrzymać cisowy łuk, albowiem zaiste wielmożni panowie z niego strzelają, nie umiejąc posługiwać się czym innym. Wojna to nie zabawa, widzisz, chłopcze. Ludzie będą strzelali do swych wrogów z coraz celniejszej broni i śmiertelniejszej, nie zaś z najdłuższej i takiej, co najczęściej chybia.

- W takim więc razie nowe maszyny, o których zdarzyło mi się słyszeć, zwyciężą łuk i kuszę, przy pomocy bowiem szczypty czarnego proszku, ołowianej kuli i dziecięcego palca potrafią ubić Marsa i Goliata oraz siedmiu bohaterów.

- Furda! - zaprotestował gorąco Dionizy. - Hakownica nie Arkabuz nigdy nie zwycięży pani Kuszy. Dziesięć razy zdążymy strzelić, nim oni nałożą drzewnego węgla i ołowiu do skórzanych dymnych mieszków i podpalą lont. Za dużo z tym dłubaniny na polu bitwy. Broń żołnierza musi być gotowa zawsze, jak żołnierskie serce.

Gerard nie odpowiedział, zaniepokoił bowiem jego ucho jakiś szmer z tyłu. Dźwięk by! osobliwy, jak gdyby coś ciężkiego, lecz sprężystego biegło miękko po uschłych liściach. Odwrócił się, nieco zaciekawiony. Olbrzymie zwierzę zbliżało się drogą, dzieliło je jeszcze od wędrowców około sześćdziesięciu kroków.

Chłopiec w pierwszej chwili patrzył z tępym osłupieniem, lecz następnie zbladł jak ściana.

- Dionizy! - krzyknął. - Wielki Boże! Dionizy! Kusznik się odwrócił.

Był to niedźwiedź wielkości perszerona.

Rwał przed siebie po świeżym tropie z pochylonym olbrzymim łbem.

W chwili gdy ujrzał zwierzę, Dionizy szepnął ze ściśniętym sercem:

- Niedźwiadek.

Szepnął to słowo chrapliwie, z rozszerzonymi grozą oczami. To słowo uderzyło ich, jak nagła przecinająca ciemności błyskawica. Krwawy ślad, zabity niedźwiadek, matka niedźwiedzica na tropie: to ŚMIERĆ.

Jedna przerażająca chwila. W następnym momencie spostrzegła ich. Zdawała się jeszcze dwa razy większa niż poprzednio (to długa sierść zwierza najeżyła się z wściekłości). Podniosła swój łeb wielki jak u byka, rozwarła straszliwą paszczę z ryjem podobnym do świni, ruszyła na nich z płonącymi, nabiegłymi krwią ślepiami. Uschłe listowie frunęło na boki jak po przejściu trąby powietrznej.

- Strzelaj - wrzasnął kusznik, ale Gerard stał drżący od stóp do głów, niezdolny do czynu.

- Strzelaj, chłopie! Strzelaj, do kroćset diabłów! Za późno! Drzewo! Drzewo!

Cisnął zabitego niedźwiadka, pchnął Gerarda w poprzek drogi, skoczył w kierunku najbliższego drzewa i wspiął się na nie. Gerard zrobił to samo. Obaj uciekając ryczeli nieludzko, jak dzikie zwierzęta, na które czyha śmierć.

Mimo błyskawicznej ucieczki jeden z nich zostałby rozdarty na strzępy u stóp owego drzewa; lecz niedźwiedzica przystanęła na chwilę przed małym.

Nie spuszczać ani na chwilę krwawych ślepi z tropionych ofiar, obwąchała niedźwiadka i stwierdziła - jakim sposobem, tylko Stwórcy wiadomo - że był martwy, najzupełniej martwy. Zawyla tak dzi ko, że obaj mężczyźni nigdy w życiu nie słyszeli nic podobnego, a nawet nie przypuszczali, że dźwięk taki może istnieć w naturze, i rzuciła się za Dionizym. Stała na tylnych łapach i wymierzyła cios, ale kusznik już był poza jej zasięgiem.

Natychmiast chwyciła pień drzewa i oddarła z trzaskiem wielki płat kory strasznymi zębiskami. Znowu ryknęła, wczepiła pazury głęboko i zaczęła wdrapywać się na pień powoli, ale zręcznie jak małpa.

Dionizy trafił pechowo na uschłe drzewo, niskie i nie rozgałęzione. Wspinał się szybciej niż prześladowająca go bestia i szybko dotarł, do wierzchołka. Popatrzył dokoła, szukając konaru innego drzewa, na który mógłby przeleźć. Nie znalazł nic w sąsiedztwie. Gdyby zaś skoczył w dół, wiedział o tym, niedźwiedzica byłaby na nim wcześniej, niż sięgnęłaby ziemi, i wkrótce by się z nim załatwiła. Dionizy jednak nie miał zwyczaju chować głowy w piasek w obliczu niebezpieczeństwa; w groźnej sytuacji rosła w nim odwaga. Stawił czoło napastnikowi.

„Nadchodzi moja godzina - pomyślał. - Chcę umrzeć jak mężczyzna”. Przyklęknął, chwycił małą gałąź, by utrzymać równowagę, wyciągnął długi nóż i, zaciskając zęby, przygotował się do ataku na olbrzymiego zwierza, gdy tylko wejdzie w zasięg ciosu.

Wynik tej walki był do przewidzenia.

Masa kudłów i potężny czerep broniły łba i karku zwierza przed ciosami. Człowiek mógł tylko ukłuć niedźwiedzica, niedźwiedź był w stanie zgnieść człowieka jak orzech.

Odwaga Gerarda lepsza była niż jego nerwy. Ujrzał druha w śmiertelnym niebezpieczeństwie i strach natychmiast ustąpił miejsca ślepej furii. W okamgnieniu ześliznął się z drzewa, podniósł kuszę porzuconą na drodze i biegnąc z wściekłością naprzód, z głośnym krzykiem posłał bek w cielsko zwierza. Niedźwiedzica warknęła z bólu i złości i odwróciła niezdecydowanie łeb.

- Uciekaj - krzyknął Dionizy - bo zginiesz.

- Furda! - odkrzyknął Gerard i za chwilę miał już gotowy następny grot, wystrzelił go z okrutną zajadłością, rycząc - masz! masz!

Kusznik obrzucał go stekiem przekleństw:

- Umykaj, durniu!

Miał rację. Niedźwiedzica, zoczywszy tak groźnego i hałaśliwego wroga za plecami, mrugnęła i ześliznęła się z pnia, ryjąc głębokie ślady pazurami. Gerard biegiem wrócił pod drzewo i zręcznie począł się wdrapywać. Był zaledwie osiem stóp nad ziemią, gdy niedźwiedzica z rykiem dopadła drzewa, zaatakowała chłopaka przednią łapą; krwawy strzęp odpadł z jego spodni.

Gerard, wspinając się coraz wyżej, usłyszał nagle głos jakby z powietrza: „Przejdź na konar!” Rzeczywiście tuż przed nim znajdowała się długa, potężna gałąź, odchylona pod

lekkim kątem na zewnątrz. Przerzucił się na nią całym ciałem i po rozpaczliwych usiłowaniach dotarł na jej koniec.

Teraz rozejrzał się dokoła, dysząc ciężko.

Niedźwiedzica wdrapywała się z drugiej strony. Słyszał skrobanie jej pazurów, widział cielsko zwierza po obydwu stronach potężnego pnia. Nie miała zbyt bystrego wzroku, więc minęła rozgałęzienie, pnąc się wyżej po głównym pniu. Gerard odetchnął nieco swobodniej. Niedźwiedzica znieruchomiła: może dosłyszała chłopca, może zaś węchem wyczuła swój błąd. Nagle dojrzała go. Wpatrując się bez przerwy w niego, spokojnie zeszła w dół do rozgałęzienia.

Powoli, ostrożnie wysunęła Japę i próbowała konaru. Szttywna dębowa gałąź była mocna jak żelazo. Zwierzę wyczuło to instynktem. Niedźwiedzica pełzła ostrożnie po konarze, pomrukując dziko.

Gerard spojrział z rozpaczą w dół. Był czterdzieści stóp nad ziemią. Pod nim śmierć. Śmierć też szła ku niemu powoli, lecz nieuchronnie w jeszcze okropniejszej postaci. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Pot spływał po całym ciele. Siedział bezradny, otępiały, niemy.

Gdy straszliwy potwór pełznął ku niemu z groźnym pomrukiem, strzępy myśli przebiegły przez głowę chłopca. Małgorzata - księga Wulgaty, kiedy mówi o furii niedźwiedzicy, której odebrano małe - Rzym - wieczność.

Niedźwiedzica pełzła dalej. Groza śmierci sparaliżowała zagrożonego, rozróżniał jak przez mgłę coraz bliższe krwawe ślepca i rozwartą paszczę zwierza.

Jak przez mgłę usłyszał świst. Spojrział w dół. Dionizy błądy i niemy jak śmierć strzelił do niedźwiedzicy. Zwierz ryknął na szczęk broni, ale pełzł dalej. Znowu brzęknęła kusza, niedźwiedzica mruknęła groźnie i szła dalej. Jeszcze jedna strzała, lecz zwierzę było tuż obok Gerarda, tam gdzie siedział; włosy zjeżyły mu się, oczy wychodziły z orbit, był jak sparaliżowany. Niedźwiedzica rozwarła paszczę jak grób i gorący strumień juchy bluznął jak z cebra na Gerarda. Konar zakołysał się. Raniony zwierz, tracąc równowagę, przywarł do gałęzi, wczepił pazury głęboko w drzewo; gałąź przechylała się i choć pazury trzymały mocno, cielsko upadło. Nagły podrzut gałęzi pchnął Gerarda do przodu, chłopiec padł na brzuch, twarzą na jedną z napiętych łap zwierza. Niedźwiedzica rozpaczliwym wysiłkiem podniosła łeb, chłopak poczuł jej gorący, cuchnący oddech. Straszliwe kły ostatnim wysiłkiem bezsilnej nienawiści kłapnęły głośno w powietrzu tuż obok głowy chłopca. Ciężar zwierzęcego ścierwa wyrwał pazury z gałęzi, niedźwiedzica runęła na ziemię, która jęknęła głucho. Na dole rozległ się tryumfalny wrzask, za chwilę zaś okrzyk trwogi - zemdlony Gerard, nie próbując się ratować, spadł na głowę z niebezpiecznej wysokości.

ROZDZIAŁ XXV

Dionizy chwycił Gerarda i nieco osłabił jego upadek, ale bardzo wątpliwe, czy zdołałby go uratować od złamania karku C2y członków. Najlepszym przyjacielem okazała się zdychająca niedźwiedzica, na której kudłate cielsko chłopak runął głową i ramionami. Kuszniak zepchnął chłopca ze zwierza. Było to już zbyt ciężkie. Niedźwiedzica dyszała jeszcze i dreszcz przebiegał jej ciało, ale nie była już groźniejsza od zająca; wkrótce ucichła na zawsze. Roztropny Dionizy ułożył chłopca na niej jak na miękkim posłaniu i cucił go wachlując. Gerard powoli przychodził do siebie, ale zamroczony, czując pod sobą niedźwiedzicę, stoczył się z jękiem na ziemię.

- Courage - krzyknął żołnierzle diable est mort.

- Zabita? Całkiem zabita? - dopytywał się Gerard zza drzewa. Odważny był tylko w gorączce, teraz już od dłuższego czasu ochłonął.

- Patrzaj, zaiste. - Kuszniak zaczął targać bestię za uszy, otworzył paszczękę i włożył w nią głowę, sypiąc obelżywymi żartami. Od żartów tych Gerardowi zrobiło się nagle niedobrze.

Dionizy śmiał się z chłopaka.

- O cóż chodzi? Dlaczego spadłeś z żerdzi akurat wtedy, gdy wygraliśmy bój?

- Tuszę, iżem omdlał.

- Ale dlaczego?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, mówił dalej:

- Niedoświadczone dziewice mdleją, gdy się na nie popatrzy, ale wybierają czas i miejsce. Któraż niewiasta zemdlałaby na drzewie?

- Zalała mnie całego ohydną posoką. Pewnie ten smród mnie zdusił. Tfu! Nienawidzę krwi!

- Wierzę w to zaiste!

- Patrzaj, co ze mną uczyniła!

- Ale zawsze swoją krwią, nie twoją. Żal mi wroga, który stara ci się dogodzić.

- Nie przechwalaj się, mistrzu, widziałem cię pod drzewem białego jak giezło!

- To różnica! - odparł, czerwieniąc się, Dionizy. - Całkiem co innego drzeć o przyjaciela. To wolno!

Gerard w odpowiedzi bez słowa objął Dionizego za szyję.

- Patrzcie jeno - jęknął krzepki żołnierz, wzruszony naturalnym młodzieńczym odruchem chłopca. - Widział kto kiedy taką babę? Lubię cię, szczeniaku, muszę przyznać. Boże mój! Czemu znów klęczysz? Co to za pomysły?

- Czyż nie powinniśmy podziękować Bogu, który ocalił nam obu życie, gdy znaleźliśmy się w tak strasznych opałach?

Gerard padł na kolana i modlił się głośno. Dionizy ukląkł cichutko obok i zwyczajem swego narodu, złożony ręce na piersi, zatopił się w modlitwie. Gdy wstali, Gerard promieniał.

- Drogi Dionizy - rzekł. - Niebiosy nagrodzą twą pobożność.

- Ale tam! Zrobiłem to jeno z grzeczności - odparł Francuz. - I żeby tobie się przypodobać, mój mały. C'est égal - pomodliłem się zacie i przyzwoicie, byłem zbudowany aż do głębi duszy cały czas, póki to trwało. Nie wiem, czy biskup potrafiłby lepiej załatwić taką sprawę. Skoro jednak odprawiliśmy nieszpory i zwerbowałem sobie wszystkich świętych ku pomocy - marchons!

Zaledwie jednak uszli dwa kroki - zatrzymał się.

- Ale, ale! Nasz niedźwiadek.

- Och nie, nie! - krzyknął Gerard.

- Masz rację. Późno już. Straciliśmy czas włączając na drzewa i padając z nich, mdlejąc, womituując i modląc się, a bestia ciężka. A poza tym myślę, możemy mieć jeszcze tatusia. Czemu te niedźwiedzie robią tyle szumu o głupiego szczeniaka. A to co? Jesteś ranny! Ranny!

- Nie.

- Chłopak jest ranny, a ja nikczemny...

- Uspokój się, Dionizy. Jestem zdrow i cały. Nic mnie nie boli.

- Czułbyś ból zapewne dopiero, gdy ktoś inny byłby ranny - krzyknął kusznik wielce wzruszony, rzucił się na kolana i badał nogę Gerarda z płonącymi oczyma.

- Szybko! szybko! Nim zdrętwieje - krzyknął poganiając chłopaka.

- Kto teraz robi wrzawę o nic? - zapytał Gerard spokojnie.

Żołnierz nie odpowiedział wprost.

- Bądź łaskaw zauważyć - rzekł - że mam złe serce. Byłeś dość dzielny na to, by ocalić mi życie, jeszcze drwiłem z ciebie, nowicjusza w walce. Czyż sam nie byłem niegdyś nowicjuszem? Potem omdlałeś z upływu krwi, a ja myślałem, że ze strachu, i nazwałem cię niedołągą. Krótko mówiąc, mam niewyparzoną gębę i złe serce.

- Dionizy!

- Pliatil?

- Głupstwa pleciesz.

- Ładnie, że tak mówisz, mój mały. Będę ci całe życie za to wdzięczny - mruczał Dionizy, gnębiony wyrzutami sumienia.

Przeszli już kilka stajń, mięśnie zranionej nogi ściągnęły się i zdrętwiały, tak że Gerard z trudem stąpał, opierając się tylko na palcach, i to zresztą sprawiało mu dotkliwy ból. Wreszcie nie mógł już znieść trudów wędrówki.

- Położę się tu i umrę - jęknął. - Zostaw mnie, nie mogę wytrzymać.

Dionizy tłumaczył mu, że jest już po południu, noc są obecnie mroźne, zimno, głód to źli towarzysze, a byłoby bardzo nierozsądnie tracić odwagę teraz, gdy pewna wielka osobistość jest najoczywistszym nieboszczykiem. Gerard oparł się więc o swój topór i kuśtykał dalej. Nagle jednak opadł zupełnie z sił i osunął się na drogę.

Kusznik odciągnął go na bok, ułożył w lesie i ku zdumieniu chłopca podał mu kuszę i bełty prosząc, by leżał spokojnie. Gdyby nadeszli jacyś ludzie o podejrzanym wyglądzie, musi ich trzymać z dala od siebie. W razie odmowy strzelać z odległości dwudziestu kroków i wyprawiać na tamten świat.

Uczciwi ludzie nie zbaczają z drogi, a ze zbrojami w lesie jeno głupi wdają się w rozmowy.

Z tymi słowy chwycił topór Gerarda i pobiegł z powrotem drogą, którą przyszli, nie zaś w stronę Düsseldorfu, jak się spodziewał Gerard.

Chłopiec leżał krwawiąc i cierpiąc ból; Rzym, który zdawał się taki bliski, kiedy ruszył w drogę, teraz oddalił się niezmiernie, mimo że przewędrowali dwieście mil. Wszystkie jego myśli zwróciły się ku Sevenbergen. Jaki czarowny to będzie dzień, gdy trzymając Małgorzatę za rękę opowie jej o wszystkim, co dla niej przecierpiał. Sama myśl o tym i o ukochanej koła. Mimo bólu i napięcia nerwów leżał teraz pełen rezygnacji, uśmiechając się łagodnie, choć blado.

Leżał tak dłużej niż dwie godziny, gdy nagle rozległy się krzyki, coś uderzyło w drzewo tuż obok niego i utkwilo w korze.

Spojrzał; była to strzała.

Poderwał się na nogi. Pociski gwizdały między korzeniami drzew, las rozbrzmiewał bojowymi okrzykami. Nie mógł odgadnąć, skąd dochodzą, ponieważ w wielkim lesie dźwięki się odbijają echem, że obcy zawsze pomyli miejsce - zdawało się jednak, że ów hałas wypełnia powietrze wszędzie.

Nagle zapadła cisza: z kolei usłyszał gwałtowny łoskot kopyt; coraz głośniejsze krzyki i wrzaski, jęki i wycia, a ponad wszystkim górowały dziwne i straszne dźwięki podobne do gwałtownych piorunów, wybuchając głośnym hukiem, potem zamierając w pogłosie. Czerwone języki ognia pojawiały się tu i ówdzie pośród drzew, obłoki siarkowego dymu przemknęły kłębami nad głową chłopca - i wszystko ucichło.

Przerażenie ogarnęło Gerarda. „Co się stało z Dionizym? - pomyślał. - Czemu mnie opuściłeś, przyjacielu miły!”

Dionizy wrócił tuż przed zachodem słońca, omdlewając niemal pod ciężarem kudłatego ciężaru. Była to skóra niedźwiedzia.

Gerard przyjął go takim wybuchem radości, że zdumiało to kusznika.

- Myślałem, że cię już nigdy nie zobaczę, drogi przyjacielu. Czy byłeś w bitwie?

- Nie. W jakiej bitwie?

- W krwawym boju ludzi czy demonów, boju, który jeszcze przed chwilą szalał w lesie - zaczął opisywać dokładnie przebieg wypadków, o wiele bardziej szczegółowo, niż myśmy to opisali.

Dionizy poklepał go pobłaźliwie po plecach.

- Dobrze, dobrze - rzekł. - Tęgi z ciebie bajarz - a maligna jest najlepszą podniętą dla imaginacji. Pewnego dnia leżałem w szopie z rozłupaną czaszką i widziałem, jak dwa duchy walczyły i krzątały się z dobrą godzinę na kawałku ziemi, com opisał wiernie memu kamratowi w należytym porządku, tylko nie tak kwiecicie jako ty, z braku książkowej nauki.

- Jak to? Nie wierzysz mi, jeśli ci powiadam, że strzały gwizdały mi nad głową, wojownicy krzyczeli i...

- Niech mnie diabli porwą, jeżeli wierzę choć jednemu słowu. Gerard wziął go za ramię i spokojnie wskazał najbliższy pień.

- Patrzcie no! To wygląda jak... To jest długa strzała, jakem żywy! - zbliżył się i spojrzał do góry.

- Trafiła tu w czasie bitwy. Sam słyszałem i widziałem.

- Angielska strzała.

- Skąd wiesz?

- Z powodu jej długości, dalibóg. Angielscy łucznicy naciągają łuki aż do ucha, inni tylko do prawej piersi. Toteż Anglicy strzelają trzystopowymi strzałami i ta jest właśnie taka, niech ich licho porwie. Jeśli to nie jakieś mamidło, musiało tu być nieliche starcie. A jeśli walka toczyła się w takim śmiesznym miejscu, to nie moja rzecz, boć mój diuk nie toczy sporów w tej okolicy. A więc do łoża - zakończył żołnierz.

Zgarnął kupę listowia, ułożył na niej Gerarda z toporem przy boku. Sam legł przy nim z ręką na kuszy i naciągnął na nich obu niedźwiedzią skórę włosom do wewnątrz. Zagrzali się jak pod pierzyną i usnęli.

Daleko jeszcze było do świtu, gdy Gerard obudził kamrata.

- Poradź coś, Dionizy, umieram z głodu.
- Najlepiej śpij dalej. Qui don, dine.
- Mówię ci przecie, iż właśnie nie mogę spać z głodu - odburknął Gerard.
- Ruszajmy więc w drogę - odrzekł Dionizy z ojcowską wyrozumiałością.

Napadł go krótki paroksyzm ziewania, po czym związał niedźwiedzie uszy wąskim skrawkiem skóry, który sobie odciął w tym celu, i ruszyli.

Gerard oparł się na toporze i podtrzymywany z drugiej strony przez Dionizego, kuśtykał nie bez narzekania.

- Nienawidzę bólu - mruczał zgrymaszony.
- Okazujesz zdrowy rozsądek - odparł kusznik dobrotliwie i po ojcowsku.

Była jasna, gwiazdzista noc i wkrótce w świetle wschodzącego księżyca ukazała się w niewielkiej odległości krawędź lasu - przyjemny widok, zwłaszcza że wiedzieli, iż Düsseldorf był o małą milę dalej.

Na skraju lasu odkryli coś tak tajemniczego, że przystanęli, by dopiero po dokładnym rozeznaniu ruszyć dalej. Ujrzeni dwa wysokie białe słupy sterczące w powietrzu, odsunięte od siebie o parę kroków, a pomiędzy nimi stojący szereg jak gdyby ludzkich postaci.

- Nie ruszę się dalej, póki się nie dowiem, co to jest - szepnął Gerard zaniepokojony. - Może to figury świętych po to, by ludzie modlili się na drodze? A może rozbójnicy czyhający na życie uczci wych podróżnych? Nie, to nie mogą być żywi ludzie, boć nie widzę nic, na czym by stali. Dionizy drogi, zawróćmy przed świtem; to nadprzyrodzony widok.

Dionizy przyglądał się; długo i bacznie.

- To ludzie - rzekł w końcu, gdy Gerard już chciał zawracać. - Ale ludzie, którzy już nam; nie zrobią krzywdy ani my im nic nigdy złego nie zrobimy. Nie patrz na ich nogi, jeśli chcesz się dowiedzieć, na czym stoją.

- A gdzież zatem, o wszyscy święci!

- Patrz nad ich głowy - poradził Dionizy poważnie. Patrząc we wskazanym kierunku Gerard rzeczywiście dojrzał zarys ciemnej drewnianej belki, łączącej oba słupy od góry; a gdy dwaj towarzysze podeszli bliżej, skradając się teraz na palcach, ukazały się jeden po drugim w księżycowym blasku ciemne, podobne wężom i napięte jak druty sznury zwisające między belką a głowami trupów.

Właśnie gdy podchodzili pod ów okropny pomnik zbrodni i masowej zemsty, powiał lekki wiatr, kilka ciał zakotyssało się lub zawirowało łagodnie, a każdy sznur zatrzeszczał. Upiorne powitanie zdjęło Gerarda dreszczem. Szubienica ze swym potwornym ciężarem tak całkowicie przyciągnęła ich wzrok, że dopiero teraz zauważyli tuż po prawej stronie rozpalone ognisko i skuloną nad żarem postać ludzką. Topór leżał tuż przy jej boku, jasne ostrze lśniło czerwonym odbłaskiem. Człowiek spał.

Gerard chciał ruszyć w drogę, ale kusznik szepnął:

- Courage, przyjacielu, tu jest ogień.
- Tak, ale jest tam człek przy nim.
- Będzie przeto trzech.

Dionizy zaczął dorzucać do ognia chrustu, który przygotował strażnik; tymczasem zaś ostrożny Gerard pochwycił topór śpiącego i usiadł na zdobytej broni, ściskając swoją i przyglądając się śpiącemu. Nie wyróżniał się zewnątrz niczym szczególnym. Ubrany był po wiejsku, na głowie miał noszony w okolicy trójgraniasty, zwany brunszwickim, kapelusz z szeroką mosiężną obręczą, a tak twardy, że wytrzymał cięcie miecza. Ciężar tego nakrycia głowy odgiął mu uszy w dół, więc człeczyna podobny był do królika z bajki, ale nawet w tym szpecącym go szczególe nie było nic godnego uwagi. Ostatnio często spotykali takich wieśniaków o odgniecionych psich uszach. Wyjątkowe było tylko jedno - po co ten chłop stróżował pod obładowaną szubienicą?

Dionizy, choć ciekawy, nie chciał tego okazać. Wyjął uszy nie dźwiedzie z zawiniątka i, nadziawszy na patyki, zaczął je przypiekać nad ogniem.

- Tak jakbyśmy podjedli sobie brzęczącym groszem - wyjaśnił. - Burmistrz bowiem Düsseldorfu dałby nam talara za te uszy, jako za dowód śmierci ich właścicieli. Ale lepsza pusta kiesa niż pusty żołądek.

- Nieszczęśniku! - wykrzyknął Gerard - czy mógłbyś jeść tutaj?

- Gdzie płonie ogień, powinno piec się mięswo, a tam gdzie się ono piecze, winno być spożyte, albowiem pieczeń źle znosi wędrówkę.

- Jedz sobie, Dionizy, jeśli możesz; lecz mnie dreszcz przejął i mdłości, głodu nie czuję po tym, co oglądały moje oczy; - i trząśł się od dreszczy tuż nad ogniskiem. - Och, jak straszny jest ten trzask! Ciekawym, kim też może być ów człowiek? Co to za paskudne chłopisko!

Dionizy przyglądał się badawczo nieznanemu, tak jak znawca sztuki, który długo bada obraz, nim wypowie swój sąd.

- Zda mi się, iż był plewami owej kompanii, w której ci tam (wskazał niedbale do góry) byli ziarnem, zatem narazili swe głowy.

- Czemu by go na wszelki wypadek nie ogłuszyć, zanim się obudzi? - Gerard wiercił się niespokojnie przy ogniu.

Burgundczyk otworzył oczy wesoło zaskoczony.

- Jak na młodzika, który uchodzi za niedołęgę, bardzo cię jajakoś ręka swędzi. Po cóż ma dwóch ogłuszać jednego? Cicho... Budzi się. Zważ, co powie, gdy się ocknie, i powiedz mi.

Zaledwie umilkł szept jego słów, gdy stróżujący otworzył oczy. Na widok rozpalonego ognia i dwóch wędrowców czujnie nań patrzących przeraził się, widoczne drżenie wstrząsnęło jego ciałem. Opanował się jednak z dużym wysiłkiem i rzekł ochryplym głosem:

- Witajcie!

W tej samej jednak chwili zauważył brak swego topora i spostrzegł, że Gerard siedzi za nim, trzymając swój w pogotowiu. Znowu się przeraził. Dionizy uśmiechnął się szydlerczo, bawiła go ta niema gra.

- Dobry dzień! - odrzekł spokojnie Gerard, nie spuszczać oka z przeciwnika.

Strażnik był już teraz zbyt niespokojny, aby milczeć. - Rozgościliście się, widzę, przy moim ognisku - rzekł, ale dodał natychmiast załamującym się głosem: - Witajcie.

Kusznik szepnął coś Gerardowi. Obcy patrzył na nich pytająco.

- Mój kamrat rzecze, że skoro podzieliliśmy się twoim ogniem, to podziel się z nami mięsiwem.

- Tak niech i będzie - zgodził się skwapliwie. - Mam pół koźlęcia. Wisi tu obok na krzaku. Pójdę po nie. - Wstał z miną radosną, a jednocześnie uniżoną i zaczął się wycofywać.

Dionizy pochwycił kuszę i wycelował w głowę obcego. Człeczyna padł na kolana.

Kusznik zniżył broń i wskazał mu dłonią jego poprzednie miejsce. Podniósł się, zawrócił powoli i niepewnie jak nieprzytomny. Był zrozpaczony jak mysz, którą kot wypuszcza na chwilę po to, żeby tym skuteczniej napaść i przerzucić w inne miejsce.

- Siedź spokojnie, przyjacielu - zadrwił kusznik po francusku. Człowiek nie zrozumiał ani słowa, ale posłuchał gestu i dźwięku.

- Powiedz mu, że ognia starczy dla trzech, ale nie dla większej kompanii. On pojmie, o co chodzi.

Gerard przetłumaczył, a tamten się uśmiechnął. Już zresztą w czasie przemowy Dionizego obcy wydał się o wiele spokojniejszy.

- Nie wiedziałem, żeś obcy - rzekł do Gerarda. Dionizy odciął kawałek niedźwiedziego ucha i poczęstował uprzejmie człowieka, do którego przed chwilą mierzył z kuszy.

Tamten przyjął spokojnie poczęstunek, wyciągnął chleb z sakwy i podzielił się nim z podróżnymi. Co więcej, mrugnął na nich porozumiewawczo i zanurzywszy rękę w stercie listowia, na którym siedział (Gerard ścisnął swój topór, gotów rąbnąć go w łeb), wyciągnął skórzaną flachę o zawartości dwóch dobrych galonów. Przyłożył ją do ust i wypił za zdrowie podróżnych, po czym podał flaszkę Gerardowi. Chłopiec, nie tykając nawet, podał flachę przyjacielowi.

- Mort de ma vie! - krzyknął żołnierz. - Toż to reńskie wino, godne podniebienia arcybiskupa. Pij, druhu najzaciejszy, obyś miał krótkie i wesołe życie! Chodź tu, Gerardzie, ciągnij! Ciągnij! Gwizdaj na wszystko! Nie troszcz się o nich, człeku! Oni się o ciebie nie troszczą! Co prawda, gdybym to ja wisiał ponad takim bukłakiem reńskiego, a trzech drabów siedziałoby pode mną pijąc i nie poczęstowałyby mnie kropelką, szybko bym zjechał na dół pomiędzy nich.

- Dionizy! Dionizy!

- Mój duch przeciąłby stryczek, a moje ciało - buch! znalazłoby się wśród was z ręką na bukłaku. Jednym okiem mrugnąłbym, a drugim...

Gerard poderwał się z okrzykiem grozy i zatykając palcami uszy począł uciekać, lecz nagle wzrok jego padł na topór strażnika. Realne niebezpieczeństwo zmusiło go do powrotu. Przysiadł znów na toporze, nie odejmując palców od uszu.

- Courage, l'ami, le diable est mort! - huknął wesoło żołnierz i poczęstował go kawałkiem niedźwiedziego ucha, podtykając mu mięso pod nos, skoro nie mógł go słyszeć. Gerard z odrazą odwrócił głowę.

- Wina! - wyjąkał. - Bóg widzi, jak bardzo mi tego trzeba w takiej kompanii jak ty i...!

Łyknął potężny haust reńskiego. Wyborny trunek rozgrzał mu krew w żyłach, pokrzepił serce i dodał otuchy. Mimo to nie mógł pohamować dreszczu przy każdym podmuchu wiatru. Kusznik natomiast wraz z nowym kompanem ucztowali beztrąsko, bezustannie pociągając z gąsiorka, wznosząc toasty i pijąc w cieniu owego grobowca, trzeszczącego pod ciężarem upiornych wisielców.

- Zapytaj go, skąd się tu wzięli - rzekł Dionizy z pełnymi ustami i nie podnosząc oczu, wskazał ku górze.

Gdy pytanie zostało przetłumaczone, strażnik odpowiedział, że zabiła ich zdrada, diabelska zdrada i podstęp księży. Skoro trunek rozwiązał mu język, rozpoczął nudną i długą

opowieść, z której najważniejsze fakty przedstawiały się następująco: - Zacni ci panowie, którzy dyndają tu tak żałośnie, to byli krzepcy i dzielni druhowie, którzy na własną rękę żyli sobie w lesie. Ich niezależność i dostatek budziły zazdrość i nienawiść wśród pokaźnej części ludności, toteż wiele razy nastawano na ich życie i swobodę. Ale Matka Boża i święci patroni, wspomagając oczywiście własną zręczność i odwagę śmiałków, udaremniali stale te zakusy. Wczorajszego wieczora kompania kupiecka nadjeżdżała z wolna na mułach z Düsseldorfu. Nasi zacni chwaci wypatrzyli ich i pozwolili wlec się kupcom prawie milę w głąb lasu, po czym obskoczyli ich, zmuszając do wydania części podle nabytych zysków. Niestety! Okazało się, że kupcy nie byli w ogóle kupcami, lecz żołnierzami różnych nacji, na żołdzie arcybiskupa Kolonii. Pod sukniami mieli kolczugi, a w garści broń najrozmaitszą. Oczywiście zacni mężowie dzielnie bili się z nimi i ostro nacierali na zdrajców; niestety jeźdźcy, którzy czaili się w zasadzce od paru godzin, nadjechali galopem i ruszyli w bój z nowymi diabelskimi machinami wojennymi i strzelając ołowianymi kulami położyli trupem wielu zacnych towarzyszków. Skruszyli odwagę reszty i pojmali ich do niewoli. Zwycięzcy, schwytawszy jeńców na gorącym uczynku, skrupowali ich sznurami, które mieli związane wokół bioder z niepojętą chytrącią. Szybko powiesili żywych, a obok nich trupy dla okazalszego widowiska.

- Ten tu z brzegu to kapitan - opowiadał chłop - ani nie poczuł stryczka. Był podziurawiony jak sito strzałami i ołowianymi kulami, zanim go dopadli; Godny człowiek, ciągle wołał: „Grosiwo albo życie!” - może i gwałtownie, ale nie bardzo. Stój! Zapomniałem; nie żyje przecie. Nader gwałtownie, a uparty był jak osioł... Ten w skórzanym kaftanie to porucznik, najlepszy człek pod słońcem - powiesili go żywego... Tego tutaj nigdy nie mogłem ścierpieć. Nie, nie tego - to Konrad, mój druh serdeczny. Myślę o tym na prawo na górzew żółtych ciźmach... Całe życie znośeś plotki, ty złodzieju, i siałeś niezgodę. Wiesz, że tak było. A ja - zacni panowie - wolałbym raczej żyć zgodnie w krzakach niżli w puszczy z plotkarzami i oszczercami. Wasze zdrowie, cudzoziemcy!

Tak przeszedł kolejno cały powróż, wskazując szyjką gąsiora jak właściciel menażerii szpicrutą, prezentując opis każdego, który choć dokładny i jędrny, był jednakże niezmiennie fałszywy. Człek ów nie był bowiem znawcą charakterów i nie rozumiał żadnego z tych ludzi.

- Dość gadaniny! - zawołał Dionizy. - Marchons! Daj mi jego topór. I powiedz mu, że ma ci pomóc w marszu.

Człowiekowi zrzędła mina, ale wzrok Dionizego przekonał go, że opór mógłby być niebezpieczny. Pogodzili się z losem. Ale Gerard zaprotestował:

- Y pensezvous. - powiedział. - Zimno mi się robi na myśl, że mam się wspierać ręką na złodzieju.

- Dzieciuch! Każdy musi żyć. Poza tym mam swoje racje. Niech jajo nie będzie mądrzejsze od kury.

- Dobrze. Ale jeśli mam na nim się oprzeć, muszę trzymać rękę w zanadru i nie wypuszczać rękojęści noża.

- Nowa to postura w marszu, ale niech ci będzie.

I w takiej to dziwnej sytuacji, gdy z gotowością usług łączyła się śmiertelna obawa, nasza trójka ruszyła w drogę. O, gdybym mógł ich narysować! nie musiałbym polegać na opisie.

Skoro tylko wyszli z lasu, oczom ich ukazały się światła na wieży wartowniczej w Düsseldorfie. Gerard ucieszył się niezmiernie. A po godzinie marszu, kiedy ujrzeli wyraźnie czarny zarys samej wieży i innych budynków, nowy towarzysz stanął i rzekł ponuro:

- Lepiej mnie tu zaraz zabijcie, jeśli chcecie mnie prowadzić do bram Düsseldorfu.

Gerard przetłumaczył to Dionizemu, który rzeki natychmiast:

- Puść go, bo zaiste może zapłacić gardłem, jeśli dalej z nami pójdzie.

Gerard zgodził się z nim oczywiście. Jego wstręt do przestępcy nie skłaniał go jednak do czynnego współdziałania z prawem. W każdym razie w opisywanej epoce szary człowiek w żadnej części Europy nie zadawał się z przestępcami, stykając się z nimi jedynie w obronie własnej. Tak było w całej Europie z wyjątkiem, nawiasem mówiąc, Anglii, która pozostając w niektórych sprawach w tyle za innymi narodami, wyprzedziła je w tym obyczaju o całe wieki.

Człowiek, odzyskawszy wolność, poprosił o swój topór. Dali mu go. Mimo to ociągał się jeszcze, co zaskoczyło naszych przyjaciół. Spytał, czy nie dostanie nic za odprowadzenie ich taki kawał drogi.

- Masz dwa grosze, przyjacielu.

- A wino, zacne wino reńskie?

- Dałeś choćby grosza za nie?

- Ano! Narząłem życie.

- Hm! Co ty na to, Dionizy?

- Warte było swojej wagi w złocie. Masz tu, chłopie, przygarść srebra, po groszu za każdy żołądz na szubienicznym drzewie. A tu jeszcze grosz za ciebie, który się tam znajdziesz w odpowiednim czasie.

Człowiek wziął monety, lecz jeszcze czekał.

- No, czego jeszcze? - krzyknął Gerard, uważając, że już haniebnie przepłacili. - Czy nie szukasz czasem kryjówki na nasze kości?

- Nie, dobrzy panowie. Ale widzieliście tej nocy, co grozi mojemu życiu. Zaczniście ludzie, wasze modlitwy skutkują. Ofiarujcie za mnie jaki paciorek, ja sam nie znam ani jednego.

Bezczelny łotrzyk zaczął już gniewać Gerarda. Młodzieniec od czasu rany łatwo zresztą poddawał się rozdrażnieniu. Zagryzł jednak wargi i rzekł:

- Dwa słowa, nim dobijemy targu. Gadaj wpierw, czy to prawda, co mówią ludzie o was, reńskich złodziejach, że mordujecie i rabujecie niewinnych i bezbronnych podróżnych?

Włóczęga spojrział ponuro:

- Żaden wstyd, że cię nazwą złodziejem, wszystkiemu winne prawo.

- Dalibóg! To prawo jest winne, że źli ludzie je łamią?

- Tak nie myślę: ale prawo w tym kraju karze uczciwego człeka śmiercią za samą kradzież. Co z tego wynika? Chciałoby się okazać litość, ale prawo zniechęca. Litość nie rodzi litości, lecz zdwaja niebezpieczeństwo. Śmiałek, który odciął sakiewkę - już ryzykuje życie, podrzyna gardło, by ratować własną skórę: trupy nie rozpowiadają. Módl się więc za biedaka, którego krwawe prawo skazuje na to, by mordować lub być zamordowanym. Mniej głupiego wieszania, mniej podejrziętych gardeł w ciemnych lasach, zacni panowie.

- Mądrzej głowie dość dwie słowie - rzekł chłodno Gerard. - Zapytałem - odpowiedziałeś. - Nagłym ruchem ściągnął czapeczkę: *Obsecro Deum omnipotentem, ut, qua cruce iam pendent isti quindecim latrones, jures et homicidae, in ea homicida fur et latro tu pependeris quant citissime, pro publica salute, in honorem iusti. Dei, cui sit gloria, in aeternum. Amen...* A teraz żegnaj.

Zachłanny opryszek był nareszcie zadowolony.

- Po łacinie! - wymamrotał. - I więcej, niż się spodziewałem. - I prawdę powiedział.

Powrócił do wykonywania swego zawodu z lżejszym sercem. Przyjaciele rozważali w milczeniu rozliczne wypadki ostatnich paru godzin.

Wreszcie Gerard rzekł zamyślony:

- Ta niedźwiedzica ocaliła nam obu życie, taka była widać wola Najwyższego.

- Bardzo być może - powiedział Dionizy. - A jeśli już mówimy o tym, mieliśmy dużo szczęścia, żeśmy nie zmitrężyli dłużej przy wieczerzy.

- Co masz na myśli?

- Ano, że nie wszystkich tych opryszków powiesili. Widziałem tam jeszcze z siedmiu czy ośmiu maruderów, czarnych jak diabli, dokoła naszego ogniska.

- Kiedy?

- Pięć minut po naszym odejściu.

- Wielkie nieba, i nie pisałeś ani słówka!

- Zmartwiłbyś się niepotrzebnie, a nasz kamrat popatrzałby za siebie i może by go to skusiło do nadstawienia karku. Nie było żadnego niebezpieczeństwa; nie mogli już nas dojrzeć, ominęliśmy światło księżyca i właśnie dochodziliśmy do zakrętu. O, już słońce wschodzi i otośmy przed bramami Düsseldorfu. Courage, l'ami, le diable est mort.

- Och, moja głowa, moja głowa - jęknął jeno biedny Gerard w odpowiedzi.

Tyle wrażeń, wzruszeń, niebezpieczeństw, strachu i pierwsza w jego życiu rana - było to za wiele dla młodzieńczego ciała i uczuciowej natury chłopca.

Dzień dobiegał południa.

W sypialni gospody „Pod Srebrnym Lwem” krzepki Dionizy siedział pełen niepokoju, czuwając nad swym młodym przyjacielem. Gerard leżał w gorączce, bredził nieprzytomny, powtarzając bezustannie:

- Małgorzato! Małgorzato! Małgorzato!

ROZDZIAŁ XXVI

Było to nazajutrz po południu. Gerard już przestał majaczyć, lecz bardzo rozdrażniony i rozgrymaszony zanudzał Dionizego o cytrynę do ssania. Twardy żołnierz, którego czuła przyjaźń zmieniła w pobłażliwego dziadka, poderwał się spiesznie i prosił chłopaka, aby się uspokoił, to będzie miał cytrynę w mgnieniu oka. Wybiegł i zaczął przetrząsać sklepy w poszukiwaniu owoców.

Nie były one tak pospolite wówczas na Północy jak dzisiaj. Nieobecność Burgundczyka trwała długo. Gerard czekał coraz bardziej niecierpliwym, lecz wreszcie drzwi się otwały.

Nie był to jednak Dionizy. Spokojnie wkroczył do izby mąż imponującej postaci - stary człowiek w surowej, skromnej szacie obramowanej czarnym futrem, w pończochach wiśniowej barwy, spiczastych ciżmach, u boku zwisała szpada w safianowej pochwie. Dokoła szyi sterczała kreza nie tylko mocno nakrochmalona, lecz nadto usztywniona płóciennym lnianym kołnierzem lub skrytą w załamaniach drewnianą obręczą. Głowę okrywał kapelusz czworograniasty z futrzanym otokiem, na pierś i podbródek spływała majestatyczna biała broda.

Gerard nie miał wątpliwości co do profesji gościa - jeśli nie brać pod uwagę szpady, strój nieznanego znany mu był jako uroczysty ubiór eskulapa. W ślad za nim dreptał poza tym chłopczyna z koszem, z którego wзираły fiołki, szarpie i narzędzia chirurgiczne, co ułatwiało rozeznanie. Stary lekarz, podszedłszy kocim krokiem do łóżka, zapytał łagodnie i sotto voce.

- Jak się czujesz, synu?

Gerard odpowiedział z wdzięcznością, że rana niezbyt już dokucza, lecz gardło mu wyschło i głowa ciąży.

- Rana? Nic mi o tym nie powiedziano. Pozwól ją obejrzeć. Ajajaj, śliczne, czyste ukąszenie. Brytan, który wyrwał stąd mięso, zdrowe miał zęby, mogę ci zaręczyć. - Życzliwość zacnego doktora wydawała się ogarniać czworonoga, którego sobie wymyślił.

- Musimy tego szakala skauteryzować, gdyż inaczej zaczniesz stronić od wody i fikać w łóżku, wrywając się nam z rąk. Tego roku pełno wściekłych kundli i oto jeden z nich ci dogodził, mój chłopcze. Ale jeszcze sobie z nim poradzimy... Dalej, chłystku, rozżarz cienkie żelazo.

- Ale, o panie - wtrącił Gerard. - To nie był pies, lecz niedźwiedź.

- Niedźwiedź?! Młodzieńcze, pomyśl tylko, co mówisz - zaprotestował poważnie eskulap. - Żartujesz z uczonego męża, który osiwił ongiś podczas długoletnich studiów, by móc cię dziś uzdrowić. Niedźwiedź zaiste! Gdybyś dyssekował tyle niedźwiedzi co ja lub choćby dziesiątą ich część, wyrwał im zęby i trzymał je na własnej dłoni, wiedziałbyś doskonale, że kły niedźwiedzie nie mogłyby nigdy zrobić takiej nędznej, śmiesznej rany. Powiadam, że to był pies, i jeśli chodzi ci o moje zdanie, to nawet nie jeden z wielkich psów, lecz ni mniej, ni więcej tylko któryś z tych małych wściekłych kundli, których tyle się mnoży i gonią jak szalone, gryząc każdego po nogach i przewracając na ziemię. Lecz ja i moi uczeni bracia skutecznie walczyliśmy z tą plagą nożem i kauteryzacją.

- Kiedyż powiedziałem ci, o panie, że to były zęby niedźwiedzia? Powiedziałem „niedźwiedź”. Ranił mnie łapą.

- Czemuś nie rzekł tak od razu?

- Ponieważ nie dopuściłeś mnie, panie, do słowa.

- Nigdy nic nie ukrywaj, młodzieńcze, przed swym lekarzem - mówił dalej medyk, który dobrym był mówcą, ale najgorszym w Europie słuchaczem. - O, kiepska to sprawa. Wszystkie rogowe narośle zwierząt - to znaczy: pazury tygrysów, panter, borsuków, ko tów, niedźwiedzi i tym podobnych - a także rogi płowej zwierzyny, ludzkie paznokcie, szczególnie dziecięce, są nasycone prawdziwą trucizną. Lepiej żeby cię był pokąsał kundys, choćbyś nie

wiem co mówił, aniżeliby cię wziął na rogi byk lub jeleń lub podrapał niedźwiedź. Mimo wszystko będziesz miał dobry, piekący kataplazm na nogę. Tymczasem ochłodzimy twe ciało. Wsuń język. Dobrze, gorączka. Zbadajmy puls. Dobrze! Gorączka. Nakazuję flebotomię, i to natychmiast.

- Flebotomię? Czy to oznacza puszczenie krwi? Hm... No cóż, niech i tak będzie, jeśli to mnie na pewno uleczy. Nie chcę tu leżeć beczynnym.

Doktor pouczył pacjenta, że flebotomia jest absolutnie niezawodna, zwłaszcza w tym wypadku.

- Hans, idź no, przynieś potrzebne przyrządy, a ja tymczasem będę zabawiał pacjenta dyskursami.

Uczony mąż począł objaśniać Gerardowi, że w czasie choroby krew staje się gorąca, wzburzona i mniej lub bardziej zatruta. Jeżeli jednak usuniemy część tej niezdrowej cieczy, szlachetna natura wytworzy czystszy fluid, aby wypełnić lukę. Puszczanie krwi przeto - chłodząc, a zarazem oczyszczając - jest środkiem przydatnym we wszystkich chorobach, albowiem wszystkie choroby są natury gorączkowej, cokolwiek rzec by mogli na ten temat praktycy.

- Ale nie myśl sobie - dodał żarliwie - że wystarczy puścić krew. Każdy marny balwierz może otworzyć żyłę (choć nie każdy potrafi ją zamknąć z powrotem). Sztuka wiedzieć, którą żyłę opróżnić i w jakiej chorobie. Onegdaj przyprowadzono mi pacjenta dręczonego bólem ucha. Puściłem mu krew z prawego uda i już po bólu. Mówiąc nawiasem chory potem umarł. Inny przybył do mnie z bólem zęba. Puściłem krew zza ucha i uzdrowiłem go po prostu migiem. Także już nie żyje, jak to się często zdarza. Naszemu burmistrzowi puściłem krew z żyły pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym - przeciw reumatyzmowi. Przychodzi niebawem do mnie z bólem głowy, szumem w uszach i jak najdalej trzyma rękę od miednicy. Ale wyśmiałem to szaleństwo i puściłem mu krew z lewego łokcia wbrew jego woli. Teraz ma już głowę lekką niby pusty orzech.

Odbiegając zwyczajem entuzjastów od głównego tematu, czcigodny nauczyciel ciągnął dalej, jak następuje:

- Wiedz o tym, młodzieńcze, że w Europie spierają się o to obecnie dwie szkoły sztuki medycznej. Arabska, której starożytnymi proro kami są Avicenna, Rhazes, Albucasis, a ich spadkobiercami - Chauliac i Lanfranc, oraz szkoła grecka, której współczesnymi bojownikami są Bessarion, Platinus i Marsilius Ficinus. Najstarsi doktorzy tej ostatniej byli prawdziwymi wyroczniami medycyny - Phoebus, Chiron, Eskulap i jego synowie Podalinus i Machaon, Pitagoras, Demokryt, Praksagoras, który odkrył arterie, oraz Diokles, qui primus

urinae aninium dedi. Ci wszyscy nauczali się wem. Następnie pojawił się Hipokrates, osiemnasty z kolei od czasu Eskulapa, i zostawił po sobie manuskrypty: jemu to zawdzięczamy principia vitae. On również wynalazł opatrunki, upuszczanie cieczy, a nade wszystko przeprowadzał sekcje - niestety tylko na czworonogach, albowiem pogańskie, prostackie przesady broniły ciała człowieka przed nożem służącym nauce. Jego następcą był Arystoteles, który dał nam aortę, najszerze naczynie krwionośne w ludzkim ciele...

- Zaiste, toż to wszechmocny Bóg dał nam wszystko, co znajduje się w naszym ciele, a nie Arystoteles ani inny Grek - sprzeciwił się pokornie Gerard.

- Dzieciaku! Naturalnie, że On dał nam rzecz samą, ale Arystoteles zrobił więcej - obdarował nas imieniem tej rzeczy. Ale młodzi ludzie jeszcze będą mieli czas mówić... Następną pochodnią wiedzy był Galen. Studiował w Aleksandrii, owej ojczyźnie nauk. Nie znajdując - zaiste słusznie - zadowolenia w dyssekowaniu czworonogów, krajał małpy jako bliższe człowiekowi i puszczał krew jak Trojanin. Potem zjawił się Theophilus, który dał nam nerwy, przewód mleczny i pia mater.

Wywód ten rozgniewał Gerarda. - Nie mogę spokojnie leżeć i słuchać - rzekł - że to śmiertelny człowiek obdarzył nas częściami ciała, które ojciec Adam otrzymał od Tego, który stworzył go z gliny, następnie zaś i nas, synów jego.

- Czy widział kto taką przewrotność? - odparł czerwieniąc się doktor. - Kto zaprawdę dawcą owych organów człowiekowi - czy ten, który wprowadza w niego coś tajemnie, w mrocznych początkach powstania jego ciała, czy uczony umysł, który objawia to naszemu rozumieniu i w ten sposób wzbogaca umysł człowieka wiedzą o nim samym? Rozumienie jest twym prawdziwym i jedynym posiadaniem. Czy zostałeś przekonany?

- Jedynie zmuszony do milczenia, panie.

- To jeszcze lepiej, ponieważ gadatliwi pacjenci są trudni do leczenia, zwłaszcza w gorączce. Powiadam zatem, że Eristratus dał nam nerwy mózgowo, przewód mleczny, nie - więcej, był wynalazcą litotomii, cokolwiek byś o tym powiedział. Potem był inny jakiś, którego już nie pomnę. To ty mącisz mi myśli swymi mało ważnymi zarzutami. Następnie narodził się Ammonios, twórca litotrypsji... Lecz oto przybywa Hans z miednicą, aby powstrzymać twą gadatliwość, młodzieńcze... Dmij, chłopcze, w miech i podaj mi miednicę. Dobra. Arabowie, zaiste! Kimże byli, jeżeli nie starą sektą, która około tysięcznego roku natrafiła na pisma samych Greków i, nie posiadając wspaniałego światła własnej nauki, odczytała je na opak? Ich półbóg i poganiacz dromaderów, Mahomet, szalbierzem był w nauce zarówno, jak w religii, surowo zakazał zajmować się anatomią, nawet zwierząt niższych. A ten kto stroni od medycyny, tollit solem a mundo - jak rzeczce Tuliusz. Nie dziw

się memu zapałowi, zacny młodzieńcze. Gdy zagrożone jest dobro ogólne, odrobina żaru jest rzeczą obywatelską, ludzką i szacowną. Od niedawna osiedlił się w tym mieście przeklęty arabista, który czczym praktykiem jest, a wzgardziwszy anatomią i zaledwie rozróżniając grecki od hebrajskiego, porwał mi już połowę moich pacjentów. Drzę także o resztę... Wysuń nogę, młodzieńcze. A ty, Hans, dmuchaj w węgle.

Gdy sprawy doszły do tego miejsca, zjawił się Dionizy z cytrynami i stanął zaskoczony.

- Go to za zabawa? - spytał unosząc brwi.

Gerard poczerwieniał nieco i wyjaśnił, że uczony doktor ma zamiar przeprowadzić mu flebotomię, poddać go kauteryzacji i to wszystko.

- Rzeczywiście? A po co ten szczeniak dmucha na rozżarzone węgle?

- A po cóż by? - wyjaśnił doktor Gerardowi - jeżeli nie po to, by kauteryzować żyłę po jej otwarciu i upuszczeniu zatrutej krwi? To jedyny bezpieczny sposób. Avicenna zaleca zaprawdę podwiązanie żyły, ale jak to zrobić, nie powiedział ani też tego sam nie wiedział, jestem pewny. Ani on, ani żaden z nasienia Izmaela. Jeżeli o mnie chodzi, nie mam zaufania do owych szelmowskich sposobów. Przyjmijcie jako zasadę: „To, co Arab lub arabista uważa, iż jest słuszne, nikczemne jest”.

- O, teraz już rozumiem, co do czego - stwierdził Dionizy. - Czyś szalony, że chcesz mu pozwolić przyłożyć to rozpalone żelazo do żywego ciała? Czy zdarzyło ci się kiedy potrzymać dziesięć minut mały palec nad płomykiem świecy? Bo tyle to będzie trwało. Nie wystarczy ci płonąć w czyścicu do śmierci? Chciałbyś skosztować tego na ziemi?

- Nic podobnego - rzekł Gerard poważnie. - Ten zacny doktor nie mówił o przypalaniu, lecz o kauteryzacji. Oczywiście, że to jedno i to samo, lecz kauteryzacja brzmi nie tak strasznie jak przypalanie.

- Głupcze! Na tym właśnie polega ich sztuka - zamieszanie prostemu człowiekowi w głowie trudnymi słowy, dopóki własne skwierczące ciało nie objaśni mu ich sensu. Teraz posłuchaj, co sam widziałem na własne oczy. Gdy żołnierz krwawi z ran na polu bitwy, te łapiduchy mówią: „Gorączka. Puścić mu krew!” I w ten sposób palą knot z obydwu końców. Wykrwawiają krwawiącego. Tymczasem w ślad za gorączką nadchodzi rozpaczliwa słabość; aby ją przetrzymać, człek potrzebuje całej swojej krwi. Ale ci nakłuwacze i przypalacze, co nigdy nie potrafili krztyny przewidzieć tego, co z pewnością stanie się za parę godzin, a widząc wzrokiem dzikich zwierząt jedynie to, co pod nosem - obrabowali człowieka z reszty krwi, która mu jeszcze pozostała po zranieniu, aby mógł zwalczyć ową słabość. Tak to człowiek umiera wyczerpany. Widziałem już setki krzepkich chłopów tak pokłutych i

podrapanych na śmierć, Gerardzie. Wierzaj, że jeśli mieli szczęście i ranni zostali tam, gdzie doktora nie można było sprowadzić - żyją do dziś. To także widziałem na własne oczy. Myślisz, że przeżyłbym wtedy na poboju w Brabancie, gdyby nie najszczęśliwszy traf - zupełnie brakło eskulapów? Mróz zasklepił moje krwawiące rany i przeżyłem. Medyk byłby wydlubał swym żelazem jeszcze jedną dziurę w moim ciele, wypuściłby ze mnie ostatnią kroplę juchy razem z duszą. Straciłem do nich zaufanie, widząc, jak szaleją wykrwawiając krwawiących żołnierzy. A co zabija starego wojaka, może trupem położyć i mieszczańskiego maminsynka.

- Mądrze to brzmi - westchnął znużony Gerard - ale nie potrzebujesz podnosić głosu, nie urodziłem się głuchy, a teraz właśnie bardzo wyraźnie słyszę.

- Mądrze prawi! Wyjątkowo mądrze, zaiste! - wrzasnął eskulap. - Przecie to żołnierz, brutal, którego profesją jest zabijanie, a nie leczenie ludzi. - Po czym dodał znośną francuszczyznę: - Biada ci, prostaku, nie wchodź między lekarza i jego pacjenta!... Biada również tobie, otumaniony chłopcze, jeżeli posłuchasz człowieka, który ręce nurzał we krwi.

- Piękne dzięki - zadrwił uprzejmie Dionizy. - Jestem człkiem szczerym i nie stroję się w cudze piórka. Mam coś niecoś do czynienia z krwią, ale nie warto o tym nawet wspominać w obecności doktora. Na jednego zabitego przeze mnie przypada tuzin waszych ofiar, na łyżkę wytoczonej przeze mnie krwi - balia upuszczonej przez was. Świat daje się zawsze jeszcze mamić pozorami. My żołnierze pyszniemy się długimi mieczami, ale nawet podczas wojny płodzimy dwóch nieprzyjaciół za jednego, którego zabijamy. Wy zaś, gładcy bakałarze, swymi słodkimi słówkami i ostrymi szpilkami trzebiecie jeno ludność.

- Nie przystoją te żarty w izbie chorego - krzyknął lekarz.

- Jak również wrzaski - mruknął zniecierpliwiony pacjent.

- Chodź, chłopcze - rzekł łagodnie eskulap. - Bądź rozsądny! Cuilibet in sua arte credendum est. Całe me życie poświęciłem sztuce lekarskiej. Studiowałem w Montpellier, pierwszej szkole Francji, a więc tym samym pierwszej w Europie. Tam nauczyłem się dirimancji, skatomancji, patologii, terapii i największej spośród nich - anatomii. W tej bowiem dziedzinie, my, uczniowie Hipokratesa i Galena - mamy takie okazje, które były zupełnie nie znane onym wielkim mężom starożytnym. Żegnajcie, czworonogi i mały, pogaństwo i religio Mahometa! Kupowaliśmy od kościelnych, strząsaliśmy z szubienic, ciemną nocą niweczyliśmy pracę grabarzy, przeniknięci miłością nauki i rodzaju ludzkiego. Wszystkie władze otrzymały z Paryża rozkaz, aby przymknęły oczy. I przymknęły je. Bogowie olimpijscy! i to jak jeszcze! Szlachetny król nam pomaga. Dwa razy do roku

przysłała nam żywego przestępcę skazanego na śmierć i rzecze: „Postąpcie z nim wedle wymagań nauki. Krajcie go żywcem, jeżeli uważacie to za pożyteczne”.

- Na wątrobę Heroda i trzewia Nerona, będę się przez niego musiał wstydzić kraju, który mnie zrodził, jeżeli będzie go dalej tak zachwalał! - ryknął Dionizy na cały głos.

Gerard jęknął z cicha, zatkał palcami uszy, a potem nagłym ruchem oderwał je i krzyknął głośno, ze złością:

- Błuznierco, ryczący byku Basana, czy zamkniesz ten hałaśliwy pysk!

Dionizy spojrział ze skruchą.

- Uspokój się, mizerny człecze - rzekł lekarz z zimną pogardą.

Wyciągnął ku niemu rękę takim ruchem, jakim w tamtych czasach uspokajano myśliwskie psy po gonitwie, a potem ciągnął z godnością dalej:

- Rzadko lub wcale nie robiliśmy sekcji żywego przestępcy. a jeżeli nawet, to tylko częściowo. Najczęściej zarażamy ich takimi chorobami, na które pozwala czas i tak dla niego bezużyteczny, wybierając najbardziej interesujące.

- To znaczy najohydniejsze - westchnął potulnie Dionizy.

- Obserwowaliśmy je we wszystkich stadiach, nim dojrzały.

- To znaczy do śmierci biednego opryszka - westchnął potulnie Dionizy.

- A teraz, biedny cierpiący chłopcze, kto bardziej zasługuje na twe zaufanie; ten zacny żołnierz, ze swą młodością, niewiedzą i przesądami, czy siwobrody starzec, pełen mądrości, którą nagromadziły stulecia?

- To znaczy - wtrącił niecierpliwie Dionizy - czy wierzysz w to, co kawka w długiej sukni usłyszała od szpaka w długiej sukni, a ów z kolei usłyszał to od sójki, ta zaś od sroki, a tamta znów od papugi; czy też wierzysz w to, co ja, któremu nic przecie nie przysłoby z tego, gdybym widział na opak lub mówił nieprawdę - sam widziałem. Nie słyszałem uszami, które dane są, aby móc nas mamić, ale widziałem mymi własnymi oczami, co stróżami są prawdy. Widziałem, widziałem zaiste, jak ludzie w gorączce po puszczeniu krwi umierają, a jeśli nie puszczono im krwi - żyją. Czekajcie, kto posłał po tę sangsue, tę pijawkę... Czy to ty?

- Nie. Myślałem, że to ty.

- Nic podobnego - wyjaśnił doktor. - Zacny gospodarz powiadomił mnie, że ktoś leży złożony słabością w jego gospodzie. Powiedziałem sobie: „Cudzoziemiec, potrzebujący mojego kunsztu”, i przyszedłem natychmiast.

- Był to zaiste czyn godny dobrego chrześcijanina, panie.

- Dobrego ogara - krzyknął pogardliwie Dionizy. - Taki z ciebie żółtodziób, że nie wiesz o tym, iż wszyscy ci oberżęści są w zмовie z niektórymi ze swych rodaków, którzy

placą im dolę od każdej ofiary? Z tego, co zapłacisz temu staremu za rabunek twojej krwi życiodajnej, gospodarz weźmie trzecią część za to, że cię wskazał. Więcej jeszcze! Gdy tylko twoja krew w tej miednicy znajdzie się na schodach, oberzysta zobaczy ją lub zwęszy, pośle chyżo po znajomego żalobnika i dostanie trzecią część jego zysku. Bo jeżeliby zaczekał, aż doktor zejdzie ze schodów, to eskulap uprzedzi go i zamówi swego żalobnika, i wtedy ów dostałby swoją żalobną trzecią część. Czy nie tak, stary? Rouge et noir? Czerwone jak krew i czarne jak śmierć? Dites.

- Dionizy, Dionizy, kto cię nauczył tak źle myśleć o ludziach?

- Moje oczy, które nie dają się omamić ludzkim gadaniem, bo patrzę już wiele lat na to, co oni wyrabiają we wszystkich krajach, przez które wędruję

Doktor zręcznie zrobił użytek z tych ostatnich słów, aby wyminąć sprawy osobiste.

- Ja również mam oczy jako i ty i nie opieram się jeno na tradycji, lecz także na tym, com widział, i nie tylko zresztą na tym, co widziałem, lecz czegom sam dokonał. Wyleczyłem tyluż ludzi puszczeniem krwi, ilu ten przybłędaarabista zabił, zaniedbawszy tego. Pewnego dnia uzdrowiłem człowieka zagrożonego trądem: puściłem mu krew z czubka nosa. Wykurowałem w zeszłym roku kwartaczkęzimnicę. Jak? Puściłem choremu krew z palca. Nasz curé stracił pamięć. Przywróciłem mu ją moim lancetem: puściłem mu krew zza ucha. Puściłem krew głupawemu temu chłopcu i dziś jest jedynym w rodzinie głupich, który potrafi rozróżnić prawą rękę od lewej. Gdy zaraza pustoszyła nasz kraj przed laty - i to nie była jaka zaraza, jaką empirycy ogłaszają prawie co sześć lat, ale prawdziwa, uczciwa, bizantyjska dzuma - wykrwawiłem obficie jednego z miejskich rajców, skauteryzowałem mu znamienne wrzody i tak wyrwałem go z grobu. A tymczasem chirurg, nader niebezpieczny arabista, sam złapał chorobę, i umarł na nią - aha! - wzywając na pomoc Rhazesę, Avicennę i Mahometę, którzy nawet gdyby przyszli, sami szczęliby równie nędznie jak i on.

- Biedne moje uszy! - westchnął Gerard.

- A teraz upadłem tak nisko, że młodzian o takiej prezencji i wymowie odrzuca moją sztukę, dając posłuch prostakowizołnierzowi, co nawet w swoim nędznym fachu tak jest zacofany, że nosi kuszę, broń przestarzałą, z której niemieckie dzieci strzelają do gołębi, a niemieccy żołnierze kpią z niej i wyrzucają, odkąd wynaleziono hakownicę.

- Ty stary oszukańcze, gaduło obrzydły! - krzyczał Dionizy. - Kuszę noszą więksi i zaciejsi mężowie niż ci, którzy kiedykolwiek deptali reńską ziemię. Dziś jeszcze o tyle więcej ginie od niej ludzi niż od waszych hałaśliwych, cuchnących hakownic, o ile więcej umiera od lancetu niż od naszych wszystkich zabawek razem. Zabieraj się stąd! Mądry był człek, który pierwszy nazwał was „łapiduchami”. Sangsue, va! Idź precz, pijawko.

- Święta Dziewico, jakżebym chciał, abyście obydwaj ryczeli w Jerycho - jęknął znowu Gerard.

- Dziękuję pięknie, kamracie. Przystaję więc czekać, ale w potrzebie ugryzę. Jeżeli on ma lancet, ja mam miecz - jeżeli puści ci krew, ja puszczyć jemu. W tej samej chwili, gdy jego lancet ukłuje twoją skórę, mój mały, rąbnę go rękojęścią miecza pod żebra. Tak będzie.

Mówiąc to zbladł, założył na krzyż ręce, spoglądając ponuro i groźnie na eskulapa.

- Skoro cała ta kłótnia z mego powodu się toczy, pozwólcie teraz i mnie rzec słowo - westchnął znużony. Gerard.

- Prawdziwie. Pozwólcie młodzieńcowi, aby sam wybrał życie lub śmierć.

Gerard dał wtedy pośrednio lekcję swym hałaśliwym doradcom za pomocą kontrastu i przykładu. Przemawiał z niezrównanym spokojem, słodyczą i łagodnością. Takie zaś były słowa Gerarda, syria Eliasza:

- Nie wątpię, iż obydwaj dobrze mi życzyacie, ale dobijacie mnie waszym sporem. Ciszę i spokój cenię ponad wszystko, a wy warczycie jak dwa psy nad kością. I zaiste - zostaną ze mnie kości, jeżeli ten ryk się nie skończy.

Dźwięczny głos Gerarda rozbrzmiewał teraz w śmiertelnej ciszy, chłopiec leżał bez ruchu, patrzył spokojnie w sufit i mówił: - Przede wszystkim dziękuję ci, czcigodny panie, żeś raczył mnie odwiedzić, czy to z poczucia ludzkości, czy też z myślą o godziwym zarobku. Żadna praca nie hańbi. Uczoność twa, czcigodny panie, wydaje się być - w każdym razie mnie się wydaje - wielka. Jeżeli zaś chodzi o twe doświadczenie, panie - wiek wasz daje mi świadectwo. Powiedziałeś nam, doktorze, o wielu ludziach, którym krew puściłeś. Spośród nich wielu nie zmarło potem, lecz żyją i dobrze się mają. Muszę wierzyć słowom uczonego.

Lekarz skłonił się, Dionizy chrząknął.

- Inni wedle twych słów, panie, po puszczeniu krwi pomarli. I w tym wypadku muszę wierzyć... Dionizy wie o wiele mniej od was, panie, ale to, co wie, jest pewne. Nie ma zwyczaju opierać się na przypuszczeniach. Zauważyłem to ja sam. Powiada, że widział, jak ludzie w gorączce po puszczeniu krwi w większości umierali, ci zaś, w gorączce, którym krwi nie puszczono, przeżyli. Muszę mu wierzyć... Wszystko jest wątpliwe, ale jedno pewne. Jeżeli zdecyduję się na puszczenie krwi, muszę zapłacić wam, panie, poddać się wypaleniu i znosić udręki od rozpalonego żelaza, nie będąc przestępcą... Zapłacić złotem i bólem za wątpliwe lekarstwo - nigdy tego nie zrobię. Spokój i cisza, jak również dobrobyt i złoto są to dobra niewątpliwe, zwłaszcza w izbie chorego. Wydaje się również, że ludzie nie potrafią dyskutować o medycynie bez zapalczywości czy podnoszenia głosu.

A zatem, panie, spróbuję się trochę zdrzemnąć. Dionizy pójdzie na plac i będzie tam na niewiasty spoglądał, a ja nie będę zatrzymywał was, panie, aby nie pozbawić waszej pomocy tych, których stać na ubytek krwi i pieniędzy drogą flebotomii i kauteryzacji.

Stary lekarz mocno się zirytował. W czasie takiej długotrwałej batalii słownej parę już razy z trudnością się opanowywał, lecz teraz gniew go opanował. Milczenie było najbardziej godną odpowiedzią. Rozumiejąc to, zawrócił na pięcie i skierował się dumnie w stronę drzwi. Tuż za nim podreptał mały chłopak z wielkim koszem.

Ale przy wyjściu stanął, nadał się i wybuchnął. Zawrócił, szeroko otwarty usta, a mały chłopczyzna z wielkim koszem musiał zatoczyć półkole aby go doktor nie przewrócił, bo de minimis non curat medicina - nawet gdy nie jest w furii.

- Ach, odrzucasz więc mą żręczność, pogardzasz, sztuką. Pomszczę się najlepiej, pozostawiając cię własnemu losowi: Głupcze zgubiony, patrzysz na mnie po raz ostatni i ostatni raz na słońce. Twoja krew spadnie na twoją głowę! - rzekł i ruszył z izby.

Ale doszedłszy do drzwi znowu zawrócił, łożynowy kosz wirował za nim jak koci ogon.,

- Najdalej za dwanaście godzin zacznie się drugie stadium gorączki. Głowa ci będzie pękać. Puls rozsadzi tętnicę szyi. Niech jeno szpilka spadnie na podłogę, podskoczysz aż do sufitu. Wtedy poślesz

. po mnie, ale ja nie przyjdę.

Wychodził już, ale przy klamce wściekłość znów go ogarnęła, odwrócił się na pięcie i wpadł pędem z powrotem, a za nim blady, przerażony chłopak z wirującym koszem.

- Potem nastąpią kurcze żołądka.

- Potem wątrobiane wymioty, aha!

- Potem pomieszanie wszystkich zmysłów.

- Potem krwawe wymioty.

- A po tym wszystkim nic i nikt nie będzie już mógł cię uratować, nawet ja. A nawet gdybym mógł - nie chcę. Żegnam więc!

Nawet Dionizy zbladł, słuchając tak gwałtownych i ściśle sprecyzowanych pogroźek, ale Gerard tylko zgrzytnął zębami, rozwścieczony hałasem, i chwycił twardy wałek spod głowy. Oczy jarzyły mu się gniewem.

To dołało oliwy do ognia i powstrzymało obrażonego starca, nie pozwalając mu przekroczyć drzwi. Chłopak z koszem skręcał jak ogon za nim.

- A potem obłęd! - Potem czarne wymioty!

- Potem konwulsje!

- Potem zanik wszelkich funkcji życiowych, zwany przez pospólstwo „śmiercią” - za którą będziesz mógł podziękować swemu szatańskiemu opętaniu i zuchwałości. Żegnam.

Odchodził. Wracił. Grzmiał:

- Nie myśl nawet o pochówku na jakimkolwiek chrześcijańskim cmentarzu. Burmistrz jest mym najlepszym przyjacielem i ja już mu powiem, jak i dlaczegoś umarł. Fello de se! fello de se. Żegnam. Gerard skoczył na łożu na równe nogi poderwany siłą jakiegoś nieludzkiego podniecenia. Widząc to, mściwy orator zawrócił jeszcze bardziej rozwścieczony, chcąc - rzucić arcygroźbę, której świat był dotąd na nieszczęście nie znał. Gdy powrócił wraz ze swym śmigającym za nim ogonem, wygrażając pięścią, Gerard cisnął z wściekłością wałek wprost w twarz eskulapa i zwałił go z nóg jak strzałą. Głowa pomocnika zatrzeszczała pod ciężarem padającego nań mistrza. Oniemiały nagle orator wylądował w koszu i siedział tam wklonowany ostro, miażdżąc fiolkę za fiolką. Chłopaka, drobnego i lekkiego, wyrzuciło na bok. Kucnął za swym panem i tak siedzieli jeden za drugim jak okazy anatomiczne różnych wymiarów. Mniejszy ryczał. Rychło jednak twarz doktora przybrała wyraz grozy. Wrzasnął o wiele głośniej. Wydając nieludzkie kwiki, kopał i miotał się z niezwykłą w jego wieku żywością. Siedział bowiem na rozżarzonych węglach.

Przepaliły one sukno i teraz piekły już żywe ciało. Wirywał się dzikimi podrygami z kosza, ale na próżno. Toczył się, jęcząc, przewracał z boku na bok. Z kosza dobywał się groźny syk. Litościwy Gerard skoczył na pomoc i nie bez trudu oderwał ciasny kosz. Doktor leżał, jęcząc, na brzuchu, wspaniale przypieczony na własnym ruszcie. Żar zgasł o moment za późno, zalany przez wstrętne medyczne mieszanki, tyleż różnorodne i piękne barwą, co ohydne w smaku. Leki urozmaiciły szarą szatę eskulapa, farbując ją niezbyt może schludnie, ale jaskrawo.

Gerard i Dionizy podnieśli medyka i pocieszali go.

- Conrage, człowieku, to przecież tylko kauteryzacja. Balsam Gileada. Wszakże dopiero co polecałeś ten sposób memu towarzyszowi.

Lekarz obrzucił ich w odpowiedzi spojrzeniem pełnym skonden sówanej pogardy i wymaszerował w śmiertelnej ciszy, wypinając komicznie brzuch. Chłopiec ruszył natychmiast za nim, ale gdy tylko przestał szlochać, uśmiechnął się szeroko, przesyłając winowajcom wymownym gestem, znak zupełnego porozumienia i gwałtownej, choć hamowanej radości z powodu klęski swego mistrza..

ROZDZIAŁ XXVII

Czcigodny lekarz przyszedł do domu i tam oznajmił swej gospodyni, że omal nie skonał z powodu fatalnego poparzenia. We {logistycy bowiem, jak w wielu innych wypadkach, członki bliźniego kauteryzujemy, ale swe własne palce po prostu parzymy. Gospodyni zaaplikowała babski łagodny środek - mleko. Poddał się jak baranek zabiegom - w tym przypadku pacjent pragnął tylko wyleczenia, Tymczasem wystawił rachunek za stłuczone fiolki i poczynił kroki celem natychmiastowego aresztowania podróżnych.. Złożył mianowicie skargę do magistratu, że obaj cudzoziemcy są mu dłużni pieniądze i zamierzają natychmiast uciec z miasta.

Niestety! Dzień widać był dla eskulapa nieszczęśliwy. Jego szczerze pragnienie i uczciwe dążenia wsparte krzywoprzysięstwem zostały pokrzyżowane przez okoliczności, których nie mógł przewidzieć i nawet nie przypuszczał, że mogłyby być realne.

Zeznał prawdę:

I to w zaprzysiężonym oświadczeniu!

Zbrojni przyszedłszy pod „Srebrnego Lwa” stwierdzili, że ptaszki wyfrunęły.

Zeszli na brzeg rzeki i, zasięgnąwszy języka, ruszyli wybrzeżem w górę na poszukiwania.

Ten chwilowy ratunek i ucieczkę zawdzięczali nasi przyjaciele zdrowemu rozsądkowi i darowi obserwacji Dionizego. Kuszniak wybuchnął gromkim śmiechem, kojącym jak kordiał serce przyjaciół, trzykrotnie wygłosił swe. hasło, potem jednak spoważniał i zawiadomił Gerarda, że Düsseldorf nie jest dla nich odpowiednim miejscem.

- Ten stary wyszedł stąd milcząco w sposób, jak na takiego gadułę, podejrzany i niezwykajny. Jesteśmy tu obcy. Burmistrz jest mu przyjacielem. W ciągu najbliższych pięciu minut będziemy gnili w lochu za zamach na godność miasta Düsseldorfu.

Czy czujesz się dość silny, aby dokuśtykać na brzeg rzeki? Niedaleczko. A jeżeli już tam się znajdziesz, pozostanie ci tylko położyć się na dnie łodzi, zamiast w łóżku: cóż w tym trudnego?

- Trudnego? Ależ nie, Dionizy, wszystko przemawia za łodzią. Marzę już o Rzymie, który jest dla mnie drogą do Sevenbergen. Poza tym legniemy w łodzi, ale na Renie, sławnym Renie, chłodnym, orzeźwiający Renie. Już teraz czuję ten powiew. Sam widok uleczy taką bagatelną gorączkę jak moja. W drogę! W drogę!

Wobec takiego podniecenia łatwo jak zwykle poddającego się nastrojom przyjaciela Dionizy pospiesznie uregulował rachunki z oberżystą i wędrowcy udali się bez zwłoki nad rzekę. Dowiedzieli się z przykrością, że łódź służąca do przewozu pasażerów odbiła przed pół godziną i że już owego dnia po południu żadna inna nie wyruszy. Przepytując cały tłum ludzi

znaleźli wreszcie starego człowieka z dwoma synami, który zaofiarował wynajęcie prywatnej łodzi.

Któryś z gapiów przyjął drwinami ten projekt.

- Prąd jest za silny na trzy pary wiosł..

- Mój towarzysz i ja pomożemy - obiecał chory.

- Nie trzeba - burknął starzec. - Nie obrażając waszego zacnego serca, ten, co chce was zniechęcić, jest przecież także właścicielem łodzi.

Mocna bryza dęła z prawej od rufy. Przewoźnik postawił wielki żagiel i, pracując jednocześnie wiosłami, odbił szybko.

- Lepiej ci, chłopcze, przy tej bryzie na rzece?

- O wiele lepiej. Jednak doktor mi pomógł.

- Doktor? Przecież nie chciałeś jego kuracji?

- No, nie, ale zrozum... Może powiesz, że nikt nie powalił na ziemię starego durnia, zaraz mi zelżało.

- Kochany gołąbku! Twój charakterek rozwija się z dnia na dzień jak pączek różany. Całkiem się omyliłem co do ciebie na początku.

- Nie, Dionizy, nie rozum mnie jednak źle. Przyznaję, że znudził mnie swymi próżnymi groźbami i zaiste jego głos rozdzierał me biedne uszy, ale poza tym był to niedowiarek albo prawie niedowiarek. A uczono mnie bym czuł do takich odrazę. Czyż nie mówił, że nasze wewnętrzne organa zawdzięczamy ludziom o długich greckich nazwiskach, a nie Temu, którego imię z jednej tylko składa się sylaby, ale który trzyma w swej dłoni całutką ziemię? To był poganin!

- To znaczy: jako dobry chrześcijanin rąbnąłeś go na ziemię z tego właśnie powodu?

- Nie, Dionizy, ciągle tylko żartujesz. Nie stawaj po stronie złego człowieka! Gdyby go raził piorun z niebios, otrzymałby jeno słuszną zapłatę. A tak oberwał tylko marnym wałkiem, słabą ręką rzuconym.

- Słabą ręką? - powtórzył kusznik, mrugnawszy. - Żyłem pomiędzy zbrojnymi i klnę się na włochaty łeb Samsona, nigdy nie widziałem ramienia bardziej podobnego do katapulty. Wałek zgiął mu się na nosie, oba końce ucałowały się z tyłu czaszki. Czoło jęknęło i zwałiły się na ziemię, gdyby nie był starym oszukańcem, a samym Goliatem czy Juliuszem Cezarem. Strzeż mnie, mój święty patronie, od takich słabych przeciwników jak ty! Zwłaszcza zaś od ich słabych ramion - ty diabelski młody obłudniku.

Rzeka płynęła licznymi skrętami i wiatr zmieniał się z tylnego na boczny. Przesiadali się wtedy wszyscy na nawietrzną, by wybalastować łódź. Wszyscy prócz pięcioletniego

wnuczka przewoźnika, jego ulubieńca. Łobuziak ten, pupilek dziadka, wśliznął się na pokład, gdy odbijali od brzegu, a zbyt lekki, by móc wpłynąć na równowagę łodzi, był powyżej albo raczej poniżej praw żeglarskich.

Żeglowali wesoło, nieświadomi, że ściga ich cała sfera pachołków miejskich, uzbrojonych w pismo burmistrza, i że ich prześladowcy pędzili równie szybko jak oni, bo skoro wiatr był silny, takież był pęd.

Teraz dopiero Gerard przypomniał sobie nagle, że droga ich prowadziła do Rzymu, nie zaś do Burgundii.

- Dionizy - rzekł niespokojnie. - To niedobra droga dla ciebie.

- Wiem o tym - odrzekł poważnie kusznik. - Co mam robić? Nie mogę cię opuścić, dopóki masz gorączkę, a trzyma cię ona jeszcze, boś to blady, to czerwony. Przyjrzałem się dobrze. Muszę więc, sądzę, dotrzeć do Kolonii, a potem skrócę sobie drogę na przełaj.

- Dzięki Bogu - odrzekł z radością Gerard i ciągnął dalej z lekką nutką zawodu w głosie: - Byłby to grzech znaleźć się tak blisko Kolonii i nie zobaczyć jej. To rozległe i stare miasto, mój drogi, o którym często marzyłem, ale nigdy nie miałem szczęścia, by je zwiedzić. Szkoda doprawdy, że dotrę do niego chory. Tak, mój Dionizy -

ciągnął już spokojniej dalej - Kolonia jest starożytna. Początkiem grodu była fundacja rzymskiej damy w pierwszym stuleciu łaski. Spustoszył je następnie barbarzyński Attyła, później zaś dotkliwie je oszpecił Norman Lotariusz. Miasto to ma kościół na każdy tydzień roku, do tego nieprzeliczone kaplice i klasztory mnichów i mni szek, ponad wszystko zaś zdumiewającą, jeszcze nie wykończoną katedrę. W jej wnętrzu, w osobnej kaplicy, spoczywają Trzej Królowie, którzy przynieśli dary naszemu Panu, Melchior - złoto, Kasper - kadzidło i czarny król Baltazar - mirrę. Kości ich kryje relikwiarz, który jest cudem świata - wykuty z mosiądzu błyszczącego jaśniej od złota, zdobny pięknie wykonanymi scenami i inkrustowany wyśmienitymi, odważnymi w barwie rysunkami. Tu i ówdzie lśnią szerokie pasy tak wielkich i rzadkich klejnotów, iż każdy z nich mógłby upiększyć koronę lub w potrzebie zapewnić okup swemu właścicielowi. Na wierzchu stoją przedziwnie naśladowani Trzej Królowie, dwaj w masywnym srebrze, bogato złoceni - te posągi są bez nakrycia głowy. Etiopczyk jest z hebanu i nosi złotą koronę na głowie. W środku Matka Boża z czystego srebra, z Chrystusem na ręku. Po rogach w złotych świecznikach płoną dzień i noc cztery wyśmienite woskowe świece. Pobożne oczy czuwały nad tym światem i odnawiały je nieprzerwanie przez wszystkie czasy i pobożne te oczy będą go strzegły na wieki. Najstarsza pieśń, najstarsza flamandzka czy germańska legenda - jako ci powiadam, Dionizy - opisuje ich płomień i będą świeciły na ziemi aż do końca świata... W Kolonii także stoi kościół pod

wezwaniem Urszuli, brytyjskiej świętej, w którym spoczywają kości jej oraz innych jako ona: jedenaście tysięcy zginęło za wiarę, ściętych przez barbarzyńskich Maurów dwudziestego trzeciego października; jedenaście tysięcy dwieście trzydzieści osiem oddało głowy pod miecz. Kości ich zsypano na stos w krypcie, mnogie zaś czaszki znajdują się w kościele. Czaszka św. Urszuli spoczywa w cieniutkiej złotej kasecie w głównym ołtarzu, ale ukazują ją pokornym chrześcijanom tylko w uroczyste dni.

- Jedenaście tysięcy dziewic! - wykrzyknął Dionizy. - Co za dziewczeczki musieli mieć ci Germanie w dawnych czasach! Ach, żeby to ich kości mogły oblec się w ciała, a czaszki odzyskać słodkie liczka, gdy przestąpimy bramy. Wszystko przemawia za tym, że niektóre z nich trapiłyby się dziś swym świętym stanem.

- Cicho, Dionizy! - skarcił go Gerard. - Czemuż, będąc dobrym człowiekiem, chcesz koniecznie udawać niegodziwca? Gdybyś rzeczywiście miał różdżkę magiczną módl się, abyśmy mogli spotkać najpośledniejszą z tych mądrych dziewic na tamtym świecie. Z myślą o tym uszanujmy ich święte prochy na tym... - A dalej stoi w Kolonii kościół Machabeuszów i kościół, w którym nikczemny król ugotował ich wraz z matką Solomoną za to, że nie zgodzili się jeść świniny.

- O królu niezłomny! O Machabeusze - głupcy uparci!

Wciąłbym ten boczek, popijając porto, miast zamieniać się z pieczysem na miejsce w ogniu.

- Cóż to za podłe słowa! Tak wielka była ich wiara.

- No niech tam, poskrom swój gniew i powiadom mnie, czy nie ma nic prócz kościołów w owym zachwalanym mieście? Mój. afekt bowiem skłania się raczej ku panu Rycerzowi niż ku Księdzu Jegomości.

- Jest oczywiście prawie stuletni uniwersytet i najślawniejszy w świecie rynek. Po czterech jego rogach stoją domostwa wielkie jak pałace i wspaniały budynek senatu, cały pokryty malowidłami, z potężną statuą Hermana Gryna na szczycie, żołnierza, tak jako ty, chłopie.

- Dobra. Powiadaj mi o nim. Jakież to czyn oręża wyniósł go na to zaszczytne miejsce?

- Rzadki i dziwny. Zabił lwa w honorowej walce, nie mając żadnej innej broni poza płaszczem i krótkim mieczem. Płaszcz wepchnął bestii w paszczę i przeciął stos pacierzowy na dwoje, o czym świadczy wizerunek człowieka i lwa. Tylko trzech innych dokonało podobnego czynu: Samson, Lizymach z Macedonii i Benajach, kapitan Dawidowego zastępu.

- Dalibóg! Trzech na schwał chłopów! Życzyłbym sobie zasiąść dziś w nocy z nimi trzema do wieczerzy.

- Ja bym raczej nie chciał - odrzekł sucho Gerard.

- Powiedz mi, kiedy byłeś w Kolonii? - zapytał nieco zdziwiony Dionizy.

- Nigdy. Tylko duchem. Gwarzyłem z zacnymi mnichami po drodze i opowiedzieli mi o wszelkich ważniejszych, starych i nowych znakomitościach.

- Prawda, prawda, pamiętam przecież, że nie było ci widać nosa spod ich kapturów. Kiedy ja powiadam o rzeczach, których nie mogę zobaczyć na własne oczy, małe są moje słowa, choć rzecz była wielka, a twoje słowa równie są wielkie, a nawet większe niż rzeczy; twój język dobrym jest malarzem. Dobrze mówię, malarzem, i mimo żeś świątobliwy, dzielniejszą masz rękę, sprawniejszyś we władaniu bronią czy wałkiem od każdego żyjącego grzesznika. Czyż mam ci teraz powiedzieć, która ze wszystkich opisanych przez ciebie rzeczy ciągnie mnie do Kolonii?

- Powiedz, Dionizy.

- Ty i tylko ty. Nie święty nieboszczyk, lecz mój druh żyjący i wierny towarzysz. Ty jedynie ciągniesz Dionizego z Burgundii do Kolonii.

Gerard spuścił głowę.

W tym momencie jeden z młodszych wioślarzy zapytał nagle, co się stało małemu „kapuścianemu głąbowi”.

Tak scharakteryzowany wnuczek właściciela łodzi zmierzał właśnie ku rufie poważny jak sędzia, ale w środku drogi wybuchnął płaczem bez ceregieli i bliższych wyjaśnień. Wobec tak jaskrawo zarysowanego zdarzenia został poddany licznym przesłuchaniom; niektóre odbywały się w sposób przymilny, inne zaś nie. Czy się skaleczył? Czy się przejadł? Przestraszył się czegoś? Zimno mu? Czy chory? Czy zgłupiał?

Wszem wobec i każdemu z osobna udzielał tej samej odpowiedzi, którą pisarze angielscy wyrażają przez och! och! och!, a francuscy jako hi! hi! hi! Taką trwałość bowiem posiada literacka fonetyka.

- Licho wie, co się stało uprzykrzonemu brzdącowi! - burknął zniecierpliwiony młody przewoźnik. - Popatrzcie no lepiej w tamtą stronę i rzeknijcie mi, co to za jedni tam za nami.

Starzec wraz z drugim synem obejrzeli się i spostrzegli czterech mężczyzn idących wzdłuż wschodniego brzegu rzeki. Na ten widok porzucili na chwilę wiosła, zgromadzili się tajemniczo na rufie i wzdychając rzucali ukradkowe spojrzenia to na swych pasażerów, to na piechurów.

Dalszy bieg wypadków ukazuje, że powinni byli lepiej posłużyć się rozumowaniem, zgłębiając tajemnicę zachowania się „kapuścianego głąba”, proszę mi wybaczyć, chciałem powiedzieć: „głębokiego umysłu nieustraszonego dzieciństwa”.

- Jeżeli jest, jak przypuszczam szepnął jeden z młodzieńców - czemu ich nie uprzedzić o niebezpieczeństwie? Przybijamy do zachodniego brzegu.

- Narażać głowę dla cudzoziemców?- zaprotestował stanowczo stary przewoźnik. - Azali jesteśmy szaleńcami? O, nie! Płynmy raczej na wschodni brzeg. Zawsze należy być po stronie mocniejszego - oto moja rada. Co sądzisz, Werter?

- Powiadam, róbcie, jak uważacie.

Uderzenie wiatru rozstrzygnęło najbardziej bezstronnie spór, w którym wiek dojrzały i młodość nie zdołały powziąć decyzji. Nadszedł szkwał, i łódka przechyliła się gwałtownie. Ludzie skoczyli na nawietrzną burtę, by wyprostować zagrożoną krypę, ale ze zgrozą ujrzeli, że strumień wody przewala się wewnątrz łodzi z jednego końca na drugi, a za chwilę nie widzieli już nic, tylko czuli Ren, zimny i rozszalały Ren.

„Kapuściany głąb” wyciągnął zatyczkę. Strażnicy odwiązali powrozy opasując ich biodra.

Gerard czuł się w wodzie jak ryba, ale najlepszy pływak wypadłszy z przewróconej łodzi musi się pograć, zanim wypłynie. Mroczna, woda przelewała się z szumem nad nim, oślepiła go i ogłuszyła na moment, ale za chwilę dojrzał w górze czarny cień łodzi i postacie wdrapujące się na nią. Potrzęsął głową jak pies i ruszył w stronę łodzi pchnięty podświadomym naśladownictwem, ale zanim dotarł do burty, usłyszał za sobą wołanie, ciche, ale pełne głębokiej męskiej rozpaczy:

- Adieu, towarzyszu, adieu!

Obejrzał się. Biedny Dionizy tonął, obciążony swą przeklętą kuszą. Błądą twarz i szeroko otwarte oczy obracał w rozpaczy ku kochanemu druhowi. Gerard krzyknął dziko, przejęty miłością i grozą, i ruszył w jego stronę, prując szaleńczo fale. W następnym momencie jednak Dionizy był już pod wodą.

Za chwilę Gerard podążył za nim.

Strażnicy zrobili węzeł na linie i przesunęli koniec przez pętlę.

ROZDZIAŁ XXVIII

Zło i dobro prawie zawsze wybornie się równoważy. Stalowa broń, przytroczona do pleców kusznika i stercząca mu ponad głową, zatopiła go. Ta sama kusza dzięki takiej właśnie pozycji musiała trafić do rąk Gerarda, który pochwycił ją prawicą, a lewą dłoń wsunął między łuk i cięciwę. Już za chwilę Dionizy został wywindowany w górę przy pomocy swej kuszy tak ostrym szarpnięciem, że do połowy ciała wychynął z wody.

- Nie chwytaj mnie! nie chwytaj! - krzyknął Gerard w śmiertelnym przerażeniu przed fatalnym błędem.

- Pas si betê - wybelkotał kusznik.

Widząc, z kim ma do czynienia, Gerard uspokoił się i nabrał nadziei.

- Na plecy - rzucił ostro.

Chwytając kuszę, przesunął ją mocnym pchnięciem do przodu i dopomógł tonącemu w osiągnięciu pożądanej pozycji.

- Oprzyj się ręką o moje ramię! Rozgarniaj wodę drugą ręką! Nie tak - w dół. Teraz dobrze. Rób tylko to, co ci każe.

Gerard ciągnął Dionizego za długie włosy. Skręciwszy je silnie, pochwycił koniec zębami i napiętymi muskularni swego mocnego młodzieńczego karku z łatwością podtrzymał w górze głowę żołnierza. Przebijali się dzielnie przez prąd. Chwilę zawahał się w wyborze kierunku, nie zdając sobie zupełnie sprawy z ogromnego znaczenia tej prostej decyzji. Dostrzegłszy jednak, że do zachodniego brzegu jest odrobinę bliżej, skierował się ku niemu, zamiast płynąć do więzienia jak grzeczny chłopiec. Dostarczyłby nam w ten sposób perypetii opowieści. Zboczyli znacznie z powodu silnego prądu; po przepłynięciu prawie stu jardów Dionizy szepnęła trwoźnie:

- Daleko jeszcze?

- Courage - mruknął Gerard. - Co potrafi kaczką, to umie i Holender. Włos ci z głowy nie spadnie.

Za chwilę ku swemu zdumieniu znaleźli się na płyciźnie i dobrnęli do brzegu. Już na terra firma oglądali się wzajem, od stóp do głów, jakby chcieli nasycić się tym widokiem, i pchnięci przemożnym impulsem objęli się za szyję, nie mogąc wymówić ze wzruszenia ani słowa. W tej uroczystej chwili życie miało dla nich niebiańską słodycz - intensywniejszą może jeszcze dla nieszczęsnego wygnanego kochanka, który przed chwilą ocalił życie przyjacielowi. O radości, któryż poeta potrafi wzbić się do tak wysokiego lotu, aby móc ją opisać, któryż spróbował to uczynić? Ocalenie ludzkiego życia, i to życia kochanego człowieka! Dla takich chwil żyć warto, warto czekać nawet rok, sześćdziesiąt lat i więcej. Spokojni już wzięli się za ręce i tak szli wzdłuż brzegu z dłonią w dłoni jak para kochanków, nie wiedząc, dokąd idą, i nie bardzo się o to troszcząc.

Załoga łodzi, bezpieczna już w komplecie, znajdowała się na swym niegdyś wklęsłym, obecnie wypukłym statku. Herr „głęb kapuściany”, alias „przekora”, rezydował pośrodku. Całe to zamieszanie nie zmieniło, jak się zdaje, jego obyczajów. Chwalili go za to,

że wrzucił naszych przyjaciół do Renu, nie szczędzono mu pochwał również wówczas, gdy wypłynęli na wierzch.

- Czy poczekamy, aż łódź uładzą?

- Nie, Dionizy, zapłaciliśmy za przejazd; niceśmy im nie winni. Ruszamy w drogę, i to szybko.

Dionizy przytaknął, stwierdzając, że mogliby dojść aż do Kolonii, idąc brzegiem.

- Nie wybieram się do Kolonii - usłyszał spokojną odpowiedź.

- A to dlaczego? Dokądże więc idziemy?

- Do Burgundii.

- Do Burgundii? O nie, za dobra to wieść, aby była prawdziwa.

- Prawdziwa i rozsądna. Cóż za różnica, którądy idę do Rzymu?

- Nie, nie! Mówisz to, by mi przyjemność zrobić. Zbyt nagła to zmiana; nie myśl, że mam tal; twarde serce, aby cię trzymać za słowo. Czyż nie widziałem, jak śmiały ci się oczy do cudów Kolonii? Kościoły, malowidła, relikwie...

- Aleś ty głupi, Dionizy! To było wtedy, gdy myślałem, że wspólnie będziemy się tym zachwycać. Kościoły? Zobaczą ich mnóstwo w drodze do Rzymu. Kości świętych i męczenników? Niestety, świat jest nimi zasłany. Ale gdzie na ziemi całej znalazłbym takiego jak ty przyjaciela? O, nie, nie zбочę ani na krok z drogi, która wiedzie do twego umiłowanego domu i tej, która usycha z tęsknoty za tobą. Ani siebie samego nie obrabuję tą rozłąką. Od czasu wydobycia cię z Renu kocham cię bardziej niż poprzednio. Jesteś moją perłą, którą wyłowilem i muszę zatrzymać. Nie sprzeciwiaj mi się więc, bo znowu dostanę gorączki; wołaj: courage, i prowadź; hajże do Burgundii!

Dionizy podskoczył radośnie... Courage! Va pour Bourgogne. Oh, soyez tranquille! Cette fois ii est bien decidement mort, ce coquinId. I odwrócili się plecami do Renu.

Gdy ich decyzja stała się jasna i wyraźna, zapanowało poruszenie w grupie, która śledziła ów dyskurs z drugiego brzegu rzeki. Nasi przyjaciele nie uszli jeszcze nawet paru kroków, gdy poprzez wodę dobiegł do nich okrzyk:

- HALT!

Gerard odwrócił się i ujrzał jednego z czterech stojących tam ludzi z urzędową laską i zwojem pergaminu w ręku. Serce w nim zamarło, był bowiem lojalnym obywatelem i przywykł słuchać głosu Prawa, który teraz nakazywał mu powrót do Düsseldorfu.

Dionizy nie podzielał jednak jego skrupułów. Jako Francuz, pogardzał wszelkimi innymi krajami - włącznie z ich prawodawstwem, ludnością i obyczajem. Jako żołnierz dokonał wojskowego przeglądu sytuacji. Przeważająca siła przeciw nim; rzeka pomiędzy

nimi; tyły wolne; wygodny odwrót. Jednym rzutem oka spostrzegł, że prąd ciągle jeszcze znosi łódź na środek rzeki i nie ma nigdzie innej przeprawy bliżej jak w Diisseldorfie.

- Zarządzam odwrót aż do tego pagórka - powiedział - a potem, gdy zejdziemy im z oczu, szybko naprzód.

Ruszyli z wolna.

- Stać, wzywam was w imieniu burmistrza! - padł okrzyk z brzegu rzeki.

Dionizy odwrócił się, ostentacyjnie pstryknął palcami burmistrzowi i szedł dalej.

- Halt! w imieniu arcybiskupa!

Kusznik pstryknął palcami słysząc o jego miłości biskupie i szedł dalej.

- Halt! w imieniu cesarza!

Dionizy pstryknął palcami słysząc o jego cesarskiej mości i szedł dalej.

Gerard z ubolewaniem przyglądał się tej niepotrzebnej pantomimie i gdy minęli garb pagórka, rzekł:

- Mamy teraz tylko jedno wyjście: musimy biec, nie i ś ć do Burgundii - ruszył z miejsca i bez odpoczynku przebiegł prawie stajanie.

Zaskoczony Dionizy zapytał, gdzie też podziła się gorączka Gerarda.

- Wielce zaczynam odczuwać jej brak - rzekł sucho.

- Utopiłem ją, tuszę, w Renie.

Właśnie weszli do małej wioski. Kusznik zakupił bochenek chleba i ogromną butlę reńskiego wina.

- Musimy przespać się w jakimś kącie. Jeżeli wstąpimy do gospody, pojmagą nas w pościeli - powiedział.

Była to rozsądna ostrożność ze strony starego żołnierza.

Urzędowa sieć przy chwytności w owych czasach przestępców, zwłaszcza plebejskiego pochodzenia, była gęsta, mimo iż ludność nie pomagała władzom, w każdym razie tak było na kontynencie. Pilnie obserwowano właścicieli zajazdów, którzy do pewnego stopnia bardziej odpowiadali za czyny swych podróżujących gości niż za ich niewygody.

Nasi przyjaciele wielce byli radzi z zachodzącego słońca, a zachwyceni, gdy po długim marszu w świetle gwiazd (bo księżyc, jeśli dobrze pamiętam, wschodził dopiero o trzeciej rano) dotarli do rozległej stodoły, przynależnej do nieco od niej odległego domu. Musiano tu niedawno młócić jęczmień, ponieważ sterta słomy po jednej stronie klepiska sięgała prawie tak wysoko jak nie wymłócone zboże po drugiej.

- Oto mamy dwa królewskie łoża - rzekł Dionizy. - Na którym się kładziemy, na zbożu czy na słomie?

- Dla mnie słoma - wybrał Gerard.

Usiedli na stercie, zjedli razowiec, popili winem i Dionizy zagrzebał przyjaciela głęboko, pozostawiając mu tylko otwór do oddychania.

- Powiadają, że woda to śmierć dla człowieka w gorączce. Rozgrzeję na wszelki wypadek tę wodę!

Gerard prosił go, aby się nie trapił niepotrzebnie.

- Tych parę reńskich kropel nie może mnie przeziębici. Gorąco mego ciała mogłoby osuszyć rzekę lub zagotować chmurę, gdybym znalazł się wewnątrz niej.

Wypowiedziawszy ten epigramat, tak szybko utracił świadomość, iż rzeczywiście można by użyć określenia, że „w sen zapadł”.

Dionizy, który nie spał jeszcze przez chwilę, usłyszał coś, co go skłoniło do zagrzebania się głębiej w słomianym gnieździe. Dźwięk podków końskich przybliżał się od Düsseldorfu i drewniana stodoła drgała w takt wrzawy przejeżdżających, którzy darli się w sposób aż nadto dobrze znany i rozumiany w piętnastym wieku, tak jednak już niezwykle w dzisiejszej Europie jak wojenne okrzyki Indian.

Dreszcz wstrząsnął Dionizym w jego kryjówce.

Gerard spał jak kamień.

Wszystko oddaliło się, wrzaski jezdnych ucichły.

Krzepki żołnierz odetchnął głęboko, gwizdnął cichutko i zasnął też jak kamień.

Rankiem usiadł i wyciągnął już rękę, aby obudzić Gerarda. Światło padało na wilgotne czoło młodzieńca. Dionizy jak dobra pielęgniarka uznał, że należy zostawić go w spokoju.

- To niezdrowo przerywać sen choremu - powiedział. - Wiem doskonale, choć nigdy nie krajałem małą ni szubieniczników.

Po dobrej godzinie wyczekiwania poczuł wściekły głód, odwrócił się więc na drugi bok i, powodowany instynktem samoobrony, zasnął na nowo.

W ciężkim swym życiu nieraz już próbował biedaczysko tego sposobu. W południe obudził go ruchto Gerard usiadł, słoma parowała wokół niego jak obornik. Zwierzęca gorączka versus wilgoć. Gerard nazwał go „leniwym hultajem”, ale Dionizy uśmiechnął się spokojny. Wyruszyli. Pierwszą rzeczą, którą Dionizy uczynił, to wręczenie Gerardowi kuszy etc. i wspięcie się na wysokie drzewo przydrożne.

- Droga wolna do najbliższej osady - powiedział i poszli przed siebie.

Zbliżając się do wsi, kusznik przystanął i nagle zapytał Gerarda, jak się czuje.

- Nie widzisz sam? Czuję się, jakby Rzym był już od nas nie dalej niż ta wioska.

- Ale twoja skóra, twoje ciało, chłopaku?
- Ani zimne, ani gorące, a wczoraj było na przemian to zimne, to gorące. Czemuż to nie mogę jeszcze pozbyć się tej utrapionej nogi!
- Wielkie zmartwienie! Wielu moich towarzyszy pozbyło się takiego strapienia wraz z nogą.
- Och! znowu się zaczyna, swędzi nieznośnie.
- Nieszczęsny młodzieńcze - powiedział poważnie Dionizy - oto twa cała bieda: gorączka przeszła, a rana się goi. Jeżeli tak się rzeczy mają - dodał z wyrozumiałym uśmiechem - powiem ci nowinkę, którą w innym wypadku zatrzymałbym dla siebie.
- Co takiego? - zapytał niecierpliwie Gerard.
- Pościg z krzykiem zdąży naszymi śladami na RĄCZYCH RUMAKACH.
- Och!

ROZDZIAŁ XXIX

Gerard oszołomiony tą nagłą wiadomością czerwienił się i bladł na przemian. Nagle zacisnął w gniewie zęby. Ludzie bowiem choć trochę dzielni podobni są odyńcowi; ucieka on przed przeważającą siłą (zawdzięczając prawdopodobnie tę skłonność temu, że nie urodził się osłem); ale jeżeli ktoś depce mu po piętach zbyt długo i zbyt blisko, krótko mówiąc - dokucza mu, zwierz się odwraca i szarżuje na gromadę myśliwych. Być może przebiję ich kłami. Tak też Gerard zgrzytając zębami zapragnął zwady i boju. Ale już za chwilę zmarkotniał i powiedział żałośnie:

- A mój topór został w Renie.

Odbyli krótką naradę. Ostrożność nakazywała ominąć wioskę, głód dyktował: „kupcie coś do jedzenia”.

Głód mówił głośnie. Ostrożność jednak bardziej przekonywająco.

Zdecydowali się pójść na przełaj polami.

Zatrzymali się przy stogu siana, pożyczyci sobie dwie wiązki i ułożyli się na nich w suchym, ale pełnym pokrzyw rowie, ukryci przed ludzkim wzrokiem.

Wybiegali stamtąd kolejno i wracali z rzepą. Siedząc w kryjówce, żuli ją od czasu do czasu, aż do zachodu słońca.

Drżąc wypełzli teraz w ciemność i deszcz, skierowali się na drogę, omijając wioskę z drugiej strony.

Noc była ponura, czarna jak smoła, i wiał silny wiatr. Nie widzieli nic, nie słyszeli nic, ale i nikt nie mógł ich zobaczyć i usłyszeć. Dla tego zapewne przeszli jak duchy tak blisko swych prześladowców. Prawie zapomnieli o nich, przytłoczeni naturalną grozą ciemnej, burzliwej nocy, gdy nieledwie po omacku musieli wykuwać swą drogę niczym w bloku czarnego marmuru. Gdy księżyc wzeszedł, byli już o wiele staj od Düsseldorfu, ale wędrowali uparcie dalej. Natrafili właśnie na ogromną budowlę.

- Courage! - wykrzyknął Dionizy. - Zdaje mi się, że znam ten klasztor. Tak, to ten. Jesteśmy w arcybiskupstwie Juliers. Władza Kolonii tu nie sięga.

Za chwilę byli już bezpieczni wewnątrz murów.

ROZDZIAŁ XXX

Tutaj Gerard zawarł znajomość z mnichem, który skonstruował wielką tarczę zegara w ogrodzie przeora, koło do pompowania wody, wiałnię do ziarna itd. i zawsze pracował nad jakimś wymyślnym mechanizmem. Zrobił już kilka psalteriów i dwie pary cymbałów, teraz zaś próbował skonstruować zestaw piszczałek, czyli niewielkie organy na chór.

Gerard pograł nieco na skromnym psalterium, ale mnich użył instrumentu tak boskim dotknięciem, że w najuprzejmiejszy sposób ukazał chłopcu, jakim ów był w muzyce nowicjuszem. Uczony mnich również wyśmienicie iluminował rękopisy, nie potrafił jednak pisać tak pięknie jak Gerard. Porównywali swe umiejętności z powagą i prostotą wieku, w którym osiągnięcia w pracy były ściśle związane z prawdziwym, naturalnym zamięłowaniem. Młodość i Dojrzałość rychło stały się siostrami. Gospodarz usilnie zapraszał Gerarda, by zatrzymali się na noc. Chłopak zapytał o zdanie Dionizego, który przystał na to z niechętnym wzruszeniem ramion.

Gerard opowiedział nowemu przyjacielowi o celu swej wędrówki i opisał ostatnie przygody, łagodząc nieco epizod z walkiem.

- Niestety! - rzekł dobry starzec - i ja byłem w swoim czasie wytrwałym podróżnikiem, ale nikt mnie nie napastował.

Doradził z kolei, by omijali gospody; pełno w nich zawsze łotrzyków i hulaków, a więc, nawet salwując ciało, można narazić tam na szwank duszę; winni zatem tak układać porządek dnia podróży, aby nocować zawsze w jakimś spokojnym klasztorze. Przerwał nagle swój wywód i obrzuciwszy Gerarda ostrym jak brzytwa spojrzeniem, zapytał, jak dawno spowiadał się po raz ostatni.

Gerard poczerwieniał i odpowiedział nieśmiało:

- Przeszło dwa tygodnie temu.

- I to ty, egzorcysto! Nic dziwnego, że naraziłeś się na tyle niebezpieczeństw! Chodź, musisz się natychmiast oczyścić!

- Tak, ojcie - rzekł Gerard - pragnę tego całym sercem i duszą. - Padł na kolana, składając ręce, ale mnich powstrzymał go zakłopotany.

- Nie przede mną! nie przede mną! nie przede mną! Jestem równie pełen świata jako i ty, i każdy kto na nim żyje. Moja cała dusza siedzi w tych drewnianych piszczałkach i nędznych skórzanych klapkach, które przepadną razem z tymi, co związali swe myśli z takimi marnościami.

- Ojcie drogi - powiedział Gerard - przecież służą one Kościołowi, co na pewno uświęca twoją pracę i trud.

- To samo właśnie szepnął mi w tej chwili diabeł do ucha - odparł mnich, obejmując chłopca i wygrażając mu palcem przed nosem na pół żartobliwie, na pół groźnie. - Był nawet tak łaskawy i troskliwy, że przypomniał mi Salomona, który wybudował Panu świątynię ze wspaniałymi draperiami i zostało mu to policzone nie za grzech, lecz jako zasługa. Och, szatan potrafi w szczególny sposób cytować Pismo święte. Nie jestem jednak tak prostym mnichem, jak sądzisz, chłopcze - zawołał zacy ojciec z nagłą nieufnością, zwróconą nie przeciw Gerardowi, lecz przeciw Nicości. - Po zakończeniu każdej zabawki przychodzi czas na nocne czuwania, posty, i modlitwymodły na stojąco, modły na leżąco krzyżem na posadzce w kaplicy, czasem w kadzi napelnionej zimną wodą. - Trącił z lekka łokciem Gerarda i mrugnął do niego porozumiewawczo. - Nic dla szatana nie jest tak przerażające i nienawistne jak widok mnichów zanurzonych po brodę w zimnej wodzie. Albowiem corpus domat aqua. Idź więc i wyznaj swoje grzeszki, łatwe do przebaczenia, zważywszy młodość i świeckie życie, i pozostaw mnie słodkim memu sercu jak miód zajęciom, które będę musiał później odpokutować jak należy.

Gerard skłonił głowę, ale nie mógł powstrzymać uwagi:

- Gdzież znajdę bardziej łagodnego i świętego spowiednika?

- W każdej z tych cel - odpowiedział mnich po prostu (byli już na korytarzu). - Wejdz do brata Anzelma, tego tu.

Gerard poszedł we wskazanym przez zakonnika kierunku i skręcił do celi, ale drzwi były bardzo blisko siebie i chyba omylił się, bo gdy już miał zapukać, usłyszał podniecony szept starego przyja cielą: „Nie! nie! nie!” Odwrócił się i ujrzał mnicha chodzącego tam i z powrotem niespokojnie przed drzwiami własnej celi i wymachującego obiema rękami w powietrzu jak najpodlejszy tracz. Gerard myślał, że. celi, przed którą stał, musi być

zamieszkała przez jakieś niebezpieczne dzikie zwierzę, jeżeli już nie przez ową osobistość, której obecność w klasztorze tak wyraźnie głoszą. Spojrzał pytająco za siebie i podszedł do następnych drzwi. Wtedy stary przyjaciel gwałtownie skinął głową, niemal niebiańska błogość rozlała się na jego obliczu - i zamknął się znowu w swej norze. Przekręcił godzinową klepsydrę, wrócił do pracy nad swymi piszczalkami do organów, mówiąc często do siebie, gdy spoglądał w górę: „Biadaż mi, jak chyżo przesypuje się piasek, gdy człek pochyla się nad doczesną zabawką”.

Ojciec Anzelm był to mnich czcigodny, o dużej głowie i twarzy, z której promieniowała miłość i dostojność zarazem. Toteż Gerard, spowiadając się przed nim i odpowiadając na łagodne, choć dociekliwe pytania, nie mógł powstrzymać się od myśli: „Co za głowa! Boże, mój Boże! Ciekaw jestem, czy pozwoliby mi zrobić portret, gdy zakończy spowiedź”. Zmąciły mu się co prawda przez to, myśli w jego jasnej głowie, tak że zapomniał o jednym czy dwu grzechach. Nie mógł jednak tym razem pominąć sprawy z wałkiem, nie był też tak perfidny, aby wyprowadzić jej genezę z pogańskiego charakteru „wałkowanego” przeciwnika.

Nałożono nań następującą pokutę: musiał wstąpić do kościoła klasztorowego i padłszy na twarz, upokorzyć się, całując trzykrotnie najniższy stopień ołtarza; uklęknąć na posadzce, zmówić trzy pater noster i credo. - „Potem wróc do mnie na chwilę”.

Odbywszy więc swe niedługie umartwienie, Gerard wrócił i zastał ojca Anzelma rozwijającego plaster.

- Po duszy czas zająć się ciałem - powiedział. - Musisz wiedzieć, że jestem tu chirurgiem w braku lepszego kandydata. Położymy to na twojej nodze, aby ją ochłodzić, a nie przypiekać, brońcie nas przed tym, wszyscy święci.

W czasie zabiegu medyk klasztorowy, żywo zainteresowany częścią spowiedzi dotyczącą Düsseldorfu, popierał raczej pogląd Dionizego na puszczenie krwi.

- My dominikanie rzadko już obecnie puszczaemy krew. Świeccy medycy powiadają, że to z powodu tchórzostwa i braku zręczności, ale tak naprawdę, dawno już wykryliśmy, że leki ziołowe pomagają na większość chorób, jeśli w ogóle możliwe są do wyleczenia. Poza tym nigdy nie zabijają podane umiejętnymi rękami, podczas gdy inne lekarstwa zabijają jak pioruny. Co do krwi zaś Widgata powiada, że jest ona „życiem człowieka”. A zarówno w medycynie, jak w prawie czy teologii, tylko głupiec może chcieć być mądrzejszym od Wszechmądrości. Poza tym zioła mają potężną moc. Małe czworonożne zwierzątko, które zabija jadowity wąż, w razie ukąszenia znajduje ziółko tak skuteczne, że przeciwdziała truciznie, choć groźniejszej i szybszej w działaniu od każdej śmiertelnej choroby; i my

również, ucząc się owej mądrości i innych własnych tradycji, ciągle szukamy i wyprobowujemy zalety onych roślin, którymi dobry Bóg pokrył ziemię, niektóre po to, by żywić ciało człowieka, inne zaś, by je uzdrawiać. Tylko w beznadziejnych chorobach łączymy, środki niebiańskie z ziemskimi. Zanurzamy włosy lub kości jakiegoś świętego nieboszczyka w lekarstwie i takie leczenie cudowne daje wyniki.

- Czy sądzisz, ojcze, że dzieje się tak z powodu relikwii? Albowiem Piotr a Floris, medyk uczonego i nie poganin, stanowczo temu przeczy.

- Cóż wie Piotr a Floris? I co ja wiem? Nie mogę przecież rzec, że możemy rozkazywać świętym i, chcą oni czy nie, czerpać cielesną moc z ich błogosławionych szczątków. Wiem tylko jedno, że jeżeli chory wypije ten lek z wiarą, często zdrowieje jak pod wpływem czaru. Niezlomna wiara chorego najwięcej znaczy we wszystkich: takich kuracjach. I tak było zawsze. Chora niewiasta, której nie mógł wyleczyć żaden żydowski lekarz, dotknęła szat Chrystusa i odzyskała zdrowie w jednej chwili. Nigdy by nie wyzdrowiała, nie dotknąwszy tego świętego skrawka płótna. Gdyby nie tylko dotknęła go, ale i nosiła na sobie aż do grobu, nie posiadając wiary, sądzę, że nic by jej to nie pomogło. Ale źle czynimy, badając te sprawy ze zbytnią ciekawością. Wszystko, co widzisz dokoła nas, wzywa do wiary. Miej więc trochę cierpliwości. Niedługo będziemy wiedzieli wszystko. Tymczasem jednak, jako twój obecny spowiednik, na dobro duszy zaklinam cię i zabraniam surowo słuchać świeckich uczonych wypowiadających się w rzeczach religii. Gubi ich zarozumiałość; przez nią swymi własnymi ustami zamykają otwarte bramy niebios. Mówię tu o uczonych świeckich. Prostaczkowie często byli mistrzami mymi w pokorze i mogą być również twoimi. O twoją ranę zadbano, za trzy dni pozostanie jeno blizna. A teraz, Boże prowadź, i oby święci Pańscy uczynili cię tak dobrym i szczęśliwym, jak jesteś piękny i wdzięku pełen.

Gerard wyraził nadzieję, że nie muszą się jeszcze rozstawać, skoro miał obiadować w refektarzu. Ale ojciec Anzelm odrzekł z ledwie dostrzegalnym cieniem żalu, że odprawiając pokutę nie opuszcza w tym tygodniu swej celi. Ujął delikatnie głowę Gerarda obiema rękami i ucałował go w czoło, po czym natychmiast zamknęły się za nim drzwi celi i zakonnik powrócił do swych pobożnych zajęć. Gerard wyszedł z sercem pełnym protestu przeciwko izolacji klasztornej życia i do głębi zasmucony. „Niestety! - myślał - nigdy już w życiu doczesnym nie ujrzę tego zacnego oblicza - na zawsze odszedł od mych uszu i serca ten dobry głos. Nie ma nic prócz spotkań i pożegnań na tym smutnym świecie. Biadaż mi, biada!”

Smutne te myśli przerwał młody mnich, który przyszedł go zabrać do refektarza. Zastał już tam kilku zakonników siedzących przy stole i Dionizego stojącego sztywno, jakby kij połknął. Wypytywali go o wszystkie miasta, przez które będzie przechodził. Bracia

połączyli swoje wiadomości i wykreślili marszrutę, oznaczając klasztory przy drodze lub niedaleko od drogi położone, i ofiarowali ów rysunek Gerardowi. Siedli następnie do wieczerzy, później zaś stary mnich zabrał Gerarda do swej celi, gdzie odbyli interesującą pogawędkę; przy okazji zakonnik wyjaśnił powody swej pantomimy, na korytarzu. - O mało co nie wpadliśmy w szpony brata Hieronima. To była jego cela.

- Czyż to zły człowiek?

- Zły człowiek? - zakonnik przeżegnał się - święty pustelnik, prawdziwy filar tego domu! Wysłałby cię boso do Loreto. Nie, zapomniałem, że ty podążasz - do Italii; złośliwy starzec - święty; już na tej ziemi - wysłałby cię do Canterbury albo Compostelli. Ale Hieronim urodził się już starcem i w habicie; Anzelm i ja byliśmy kiedyś chłopakami, i to tak nieznośnymi, że nie możesz sobie tego nawet wyobrazić (Gerard zerknął nieco podejrzliwie); to czyni nas pokornymi jako tako i wyrozumiałymi dla młodych i krwi gorącej.

Potem na gorącą prośbę Gerarda zakonnik raz jeszcze popisał się niebiańskiej piękności grą na psalterium, tak że udali się na spoczynek, ukoivszy duszne niepokoje i ból swoich serc.

Opisałem tak dokładnie ów dzień - oznaczony tylko kontrastowymi barwami - dzień, który jak oliwa rozlał się na wzburzone fale tyłu namiętności i niebezpieczeństw - ponieważ w naszym opowiadaniu musi on stać się obrazem wielu dni podobnych, następujących po nim. Nasi podróżni bowiem podczas najeżonej trudami drogi zdobyli doświadczenia, jakie większość czytelników zdobywa w czasie dłuższej podróży życia - a mianowicie, że burzliwe wydarzenia nie są równomiernie rozsiane po całej drodze, lecz pojawiają się nagle i często jedno obok drugiego. Do pewnego stopnia może tak być, albowiem przyciągają się one wzajem mniej lub bardziej subtelnymi więzami. Ale są jeszcze i inne powody. Bywa i tak. Życie jest okresową gorączką. Wszelki zatem narrator - czy ma do czynienia z historią, czy też z fikcją - musi łączyć ze sobą owe jałowe okresy czasu lub, przeciwnie, podkreślać główną linię wydarzeń. Tego rodzaju praktyki jednak mogą niebaczego czytelnika wprowadzić w błąd, wywołując w nim fałszywe arytmetyczne wrażenie; w miarę możliwości chciałbym szczególnie uniknąć tego na tych stronicach. Zwracam się tedy o pomoc do waszej inteligencji, o Czytelnicy, prosząc was, spróbujcie sobie wyobrazić, choć przez długi czas zabraknie już przygód, że po każdym dniu marszu przychodził następny; jeden po drugim klasztor bezpłatnie żywił i nocował darmo naszych podróżnych, przyjmując ich zawsze litościwie, a czasem wesoło; i, ponieważ jedynym, nie zawsze zresztą godnym leceważenia wrogiem był wiatr i uciążliwa aura, pokonali o wiele rozleglejszy szmat kraju niż ten, który poprzednio z taką drobiazgowością opisałem. I tak wreszcie obaj kompani - Gerard o

opalonej na brąz twarzy, zakurzony od stóp do głów po długiej podróży, i Dionizy w podartych na strzępy butach - obaj wlokąc się ciężko i nie czując już nóg z bólu - zbliżyli się wreszcie do granicy Burgundii.

ROZDZIAŁ XXXI

Gerard nie mniej od Dionizego spragniony był owej ziemi obiecanej. Kusznik bezustannie bowiem zachwalał swą ojczyznę i przy najmniejszych przeciwnościach zapewniał go, że „w Burgundii byłoby o wiele lepiej”. Nade wszystko zaś nacisk kładł na sprawę najistotniejszą dla Gerarda, obiecując mu czystą bieliznę pościelową w gospodach u tej pełnej oglady nacji.

- Nie żądam niczego więcej - chciałby rzec Holender. - Pomyśleć, że od czasu gdy opuściłem dom, ani razu nie mogłem rozebrać się na noc! Gdy patrzę na ich prześcieradła, miast zrzucać ubranie i buty, mam ochotę zamknąć oczy i nos zatkać.

Miłość ojczyzny kazała Dionizemu wędrować raczej dwadzieścia mil w butach zdartych na strzępy, aniżeli kupić sobie nowe u niemieckiego gbura, który drażnił go wszystkim: nieuprzejmością, wyglądem.

O zachodzie słońca dzieliła ich jednakowa odległość od miasteczka jak i od klasztoru - klasztor jednak leżał nieco dalej od drogi. Dionizy miał ochotę na gospodę. Gerard wołał klasztor. Kusznik ustąpił pod warunkiem, że gdy znajdą się w Burgundii, zawsze już będą zatrzymywali się w gospodach. Gerard zgodził się tym chętniej, że spis klasztorów wyznaczonych mu na planie kończył się właśnie. Zeszli więc z drogi. Zdziwiony Gerard zaczął wypytywać towarzysza, skąd w nim ta nagła awersja do miejsc, które tak często żywiły i bezpłatnie użyczały im schronienia. Żołnierz wahał się przez chwilę, ale wreszcie dał upust nagromadzonemu żalem i pretensjom. Wynikało jasno, że nie chodziło tu o nagłą awersję, lecz o dawny zdecydowany wstręt, który przyjaciel tłumił w sobie do tej chwili, z niezmiernym jednakże trudem i tylko przez uprzejmość.

- Widziałem, że sypią ci proszek do napitku, więc musiałem ich cierpieć. Czemuż jednak nie mam wreszcie sobie ulżyć, skoro mijamy ostatni z tych przybytków? Dowiedz się, że we wszystkich tych ogromniastych lochach był jak ryba bez wody. Ty ulatniałeś się natychmiast z jakimś starym ogolonym łbem i nie widziałeś mego czyścica.

- Wybacz mi, byłem okropnym samolubem.

- A jakże, tobie przebaczam, mój mały. Nie twoja to wina: nie jesteś pierwszym głuptasem osiodłanym przez księży i mnichów. Ale i m nie przebaczę mej męczarni.

Następnie, dobre sto lat przed pełnomocnikami Henryka VIII, Dionizy wygłosił swój akt oskarżenia. Te ponure gmaszyska wszystkie są jednakowo zbudowane. Każda gospoda jest inna, a klasztory to okrutna monotonia. Brama, furtka, tyle a tyle kroków i wreszcie ponury klasztor. Tu dormitorium, tam wielki zimny refektarz, gdzie musisz siedzieć jak niemowa lub co najmniej uważać, by cię nie usłyszano, i to on, który tak lubi gadać, co myśli.

- A w dodatku - stwierdził - to nie ludzie, jeno niewolnicy, i to czyi? Utrąpionego terczącego dzwonka, który nigdy nie śpi. Ach, gdybyż to trąbka oznajmiła alarm, nie zmroziłaby tak męskiego serca. Dzyń, dzyń, dzyń i siadaj do stołu, choć nie masz może wcale ochoty na jedzenie. Nim zdążysz naładować sobie żołądek - dzyń, dzyń i jazda do kościoła, choć brak ci może ochoty do modłów. Nie jestem pies na pacierze - to pierwsza rzecz. Dzyń, dzyń - do łóżka i leż tam z otwartymi oczami. Dobrze, zmusiłeś się wreszcie, żeby je zamknąć, a już jakiś niespokojny duch łapie za sznur i dzyń! dzyń! każe ci klepać po ciemku pacierze, nie dbając, czy umiesz jakie, czy nie. Niechby usłyszeli, jakie to ja pacierze odmawiam, gdy wrywają mnie ze snu swoim dzwonkiem! Ledwo zaśniesz z powrotem i złapiesz ociupinkę snu, już dzyń, dzyń na jutrznię.

- A ty tymczasem lubisz tylko, jak „dzyń, dzyń” ćwierkają niewiasty - zauważył na pół ze wzgardą Gerard.

- Zawsze w tym ćwierkaniu jest jakaś melodia, nawet w połajankach - brzmiała zdecydowana odpowiedź żołnierza. - A tu jeszcze bez ustanku poniżają człowieka. Jak sięgam palcami do solniczki, słyszę: „Czy nie masz noża, że dotykasz soli palcem?” A jak dla oszczędności czasu wycieram nóż o obrus, znów: „Wytrzyj brudny nóż o chleb, a czysty o obrus”. O biedna duszyczko moja! Takie nieznośne nudziarstwa spadają na zacną kompanię jak drobniutkie sople lodowate, co topniejąc kapią zimnymi kroplami ze słomianej strzechy.

- Ja to nazywam czystością, nie nudziarstwem - odrzekł Gerard. - Powinieneś nauczyć się lepszych obyczajów raz na zawsze.

- O, nie. To oni są nieobyczajni. Zamykają człowiekowi gębę przy każdym słowie.

- Przy co drugim słowie, to znaczy: nieprzystojnym lub bluźnierczym.

- Przesada! W ostatnim z tych lochów ujrzałem nieszczęsnych podróżnych, jak niemi, zmrożeni siedzieli wokół jednego z owych łbów golonych niczym szubienicznicy czekający w kolejce na powieszenie: żeby ich więc podnieść na duchu, zawołałem jeno: „Courage, tout le monde, le dia...”

- Connul no i co się stało?

- Ano dalibóg: „Nie bluźnij!”-rzecze le bourreauPlaitil - powiadam. Myślisz, że nie zaczął mi wiercić dziury w brzuchu z alzacka po francusku, przekręcając wszystkie „p” na „b”. O mało nie ryknąłem mu śmiechem w sam nos.

- Choć sam nie potrafisz powiedzieć dziesięciu słów bez błędu w jego języku.

- A pewnie. Cały świat powinien mówić po francusku. Po co tyle szwargotów, chyba tylko po to, żeby poprzedziła ludzkie serca.

- No, ale co ci powiedział?

- Czy to ważne, co głupek mówi?

- Nie wszystkie słowa głupca są głupie, inaczej nie powinienem ciebie słuchać.

- No dobrze, a więc powiedział: „Ci, co zaczynają od spoufalenia się z imieniem szatana, kończą lekceważeniem wszystkich imion świętych”. - Ojciec - powiadam - jestem żołnierzem i to moje consigne, czyli hasło. On na to: „A więc to zwyczaj?”- Nie przeczuwszy podstępny starożytny lis i myśląc, że się usprawiedliwię, rzekłem: - Tak jest. - A on znowu: „Po stokroć gorzej” - powiada. - Ściągnie ci to kiedyś nieszczęście na głowę. Szatan zawsze przychodzi, gdy słyszy często wymawiane swoje imię”. - Popatrz! Żadnej wdzięczności za wieści, których nigdy nie dowiedziałyby się ze swoich mszałów ani brewiarzy. Potem był jeszcze łaskaw pouczyć mnie, że żołnierze popełniają zbrodnie, za które wszystkich innych ludzi by łamali kołem; à savoir: morderstwa, gwałty i łupiestwa.

- A czyż nieprawda?

- Prawda, nieprawda - nieobyczajne to było gadanie - odparł Dionizy ostrożnie. - I tak jeszcze powiada mój uprzejmy gospodarz: „Będąc wrogiem ludzi, czemuż w dodatku stajecie się nieprzyjacielem dobrych duchów, wykrzykując ciągle imiona złych?” - i kupę jeszcze takich rzeczy.

- Powiedz mi, Dionizy, obojętne, czy posłuchasz jego rady, czy ją zlekceważysz: czemu masz żal do człowieka, który stara się ocalić twą duszę?

- Jak może ocalić mą duszę głos, który ciągle przekręca „p” na „b”?

Gerard był oszołomiony. Zanim zebra! myśli po tym piorunującym przykładzie galicyzmu, przyjaciel uzna! się za zwycięzcę i zmienił temat, oceniając wszystkich mnichów jako hipokrytów.

- Jeno się im przypatrz, jak się skradają dokoła i żaden nie może spojrzeć ci w oczy jak uczciwy człowiek.

- O, nie - rzekł Gerard z przekonaniem. - Skromne, spuszczone na dół wejrzenie należy do ich reguły; zwie się custodia oculorum”.

- Przewrotne ropuchy kumkają hoc hac horum? Na nic się to zda; tak samo wyglądają złodziejaszki. Nie potrafią spojrzeć w oczy uczciwemu mężczyźnie. Zrzuć kaptur mnichowi i przypatrz mu się - złodziej; załóż kaptur złodziejowi, i cóż widzisz: mnich. Nawet mi nie mów, że potrafią kiedyś spojrzeć w twarz Bogu Wszechmogącemu, jeżeli nie mogą tu na ziemi spojrzeć w oczy uczciwemu chłopu. O, już jest przed nami, czarny jak inkaust. Włóżmy do studni, kamracie! Miséricorde, dzwonek już dyndoli. To zresztą jeszcze najlepszy z dzwoneków, bo wzywa na wieczerzę. Poczekaj chwilę, słuchaj! Tak właśnie myślałem. Wilk w moim brzuchu zawołał: „Amen”.

Ostatnie oświadczenie poparł dwoma przekleństwami i wkroczył jak zwycięski kogut do klasztoru, sądząc z milczenia Gerarda, że go przekonał, a nie wyobrażał sobie nawet, jak głęboki wzbudził w nim niesmak.

ROZDZIAŁ XXXII

W refektarzu, akurat przy stole Gerarda, mówiono o nagłej śmierci mnicha przepisującego statut i regulamin klasztorny.

Chłopak nieśmiało ofiarował swoje usługi. Wyczuł wahanie zakonników i rozwiął je mówiąc:

- Nie za wynagrodzenie, ojcowie przezacni, lecz z miłości i jako drobne zadośćuczynienie za tyle wygodnych noclegów, jakie ofiarowali mnie, biednemu podróżnemu, bracia waszego zakonu.

Mnich uśmiechnął się z zadowoleniem, ale napomknął, że zmarły brat był znakomitym mistrzem pisania i dzieło jego jedynie mistrz winien kontynuować. Gerard, słysząc te słowa z niejaką trwogą, wyciągnął ze swej sakwy welinowy dokument, oczyścił jego odwrotną stronę i wypisał na nim wzory swej sztuki. Mnich prawie podskoczył na ten widok, pędem pobiegł w górę sali do głównego stołu i zginając kolana tak, aby dotknąć nimi w biegu piątego, dziesiątego i najwyższego stopnia pokazał próbkę przeorowi, z własnym komentarzem. Natychmiast tuzin uczonych oczu utkwilo w owym wzorze, zaszeleścił szmer głosów. Gerard ujrzał za chwilę, jak przeor parokrotnie na coś wskazywał, i mnich powrócił, dumny jak Punch, przynosząc Gerardowi smakowity, korzenny i pięknie udekorowany pasztet z dziczyzny, srebrną czarę pełną aromatycznego wina z miodem, mocno przyprawionego angielskim zielem. Gerard wziął puchar i ukłoniwszy się nisko najpierw daleko siedzącemu przeorowi, następnie swojej kompanii, upił nieco i posłał go w krąg.

Nagle, ku wielkiemu zaskoczeniu chłopca, zebrani wokół stołu pozdrowili go jako braciszka.

- Jesteś wychowany w klasztorze, nie zaprzeczaj! Przyznał im słuszność, wdzięczny był za to Panu Bogu, inaczej bowiem wyrósłby na takiego prostaka jak jego bracia Sybrandt i Korneliusz.

- Ale niezmiernie dziwi mnie, jak to mogliście odgadnąć - dodał.

- Pijesz, trzymając czarkę w obu rękach - odpowiedzieli jednocześnie dwaj mnisi.

Od dłuższego już czasu głośny gwar szedł od stołu znajdującego się na tylnym końcu refektarza, nagle jednak nastąpił wybuch wesołości tak hałaśliwej i trwał tak długo, że przeor posłał swego zastępcę, aby zrobił porządek i nałożył pokutę wszystkim siedzącym przy tym stole zakonnikom. Policzki Gerarda zapłonęły wstydem, ponieważ w rozgwarze owej bezładnej wesołości uchwycił słowo courage i rozpoznał grzmiący głos Dionizego z Burgundii.

Niebawem zakonnicy umieścili Gerarda w celi zmarłego Wertera. Celę rozjaśniało światło świec woskowych, przygotowano tam wszystkie potrzebne do kaligrafii przyrządy i mały pulpit, który mógł być ustawiony w każdym kącie. Za poważna to była zresztą praca, aby można ją było wykonać w jednym dniu. Nie bardzo jednak mógł żądać od nienawidzącego mnichów przyjaciela, aby pozostali dłużej w tym klasztorze. Wspomniał mu o tym, pozostawiając decyzję jego uznaniu. Mile się zdziwił, gdy Dionizy odrzekł spokojnie:

- Dzień wypoczynku żadnemu z nas nie zaszkodzi. Pisz, a ja będę sobie radził, jak mi się uda.

Dzieło Gerarda wywołało ogólny zachwyty. Wszyscy przyznali, że dokumenty klasztoru zyskały na śmierci biednego Wertera. Zastępca przeora zmusił Gerarda do przyjęcia niemieckiego talara, kilku pędzli i farb z bogatych zasobów klasztoru. Chłopak wyruszył w dalszą drogę pokrzepiony na duchu, uważając ten zarobek za dobry omen, piórem wszak właśnie zamierzał zdobyć fortunę i odzyskać swą ukochaną.

- Chodź tu, Dionizy - zawołał pogodnie - popatrz, jak obdarowali mnie zacni mnisi. Staraj się od dziś być dla nich sprawiedliwszy; jeśli bowiem mam być szczery, gdy słyszę, jak zowiesz mych dobroczyńców „obludnikami”, ochładza to na moment przyjaźń, którą dla ciebie żywię.

- Odwołuję - rzekł Dionizy.

- Dzięki ci, dzięki, drogi Dionizy.

- Zachowałem się jak grubiański wagabunda.

- Ach, nie, nie mów tak!

- Widzisz, my żołnierze jesteśmy prostakami i raptusami. Wiem, że nie byłam, i zwracam tym, których nie rozumiałem, cały mój szacunek. niesprawiedliwie jest oskarżać tysiące z powodu kilku obłudników..

- Teraz jesteś rozsądny. Rozważyłeś, com ci wytłumaczyłem?

- Nie, to ich robota.

Gerard poczuł zadowolenie - wszyscy lubimy dowiedzieć swej racji - i bardzo uważnie słuchał, gdy przyjaciel zaczął opowiadać dzieje swego nawrócenia.

- Ano, właśnie pierwszego dnia w czasie obiadu młody mnich koło mnie uczciwie otworzył gębę i rechotał muzykalnie, jak przystoi. „Dobrze - rzekłem - nareszcie trafiłem na człeka, a nie na małpę strzyżoną”. Żeby lepiej rozpoznać, co jest wart, walnąłem go w szerokie bary i obznajmiłem z moim hasłem. On na to: „Boże broń!” Ażem podskoczył. Bo łobuz zrobił tak smutną minę, że wyglądał jak Salonion. Nigdy byś nie zobaczył lepszego błazna, nawet na misteriach. „Widzę, że rzemiosło wojenne nie zaostrza dowcipu” - powiada. „Po co istnieje kler, jak nie do walki z szatanem? I po cóż wszyscy mnisi?

Na diabła mnich.

Gdy diabeł znikł.

Mógłbyś wtedy zamknąć klasztor, a my nieszczęśni nie mielibyśmy nic do roboty - trza by nam chyba było przystać do żołnierzy i w ten sposób wskrzesić diabła”. Śmiali się ze mnie do rozpuku. „Dobrze, ty jesteś dla mnie prawdziwym mnichem” - powiadam. - A ty dla mnie kusznikiem - rzecz zakonnik. - I ręczę, że mógłbyś nam takie opowiedzieć historie o wojnie, że włosy stanęłyby nam dęba na głowie”. - „Excusez! Tej przyjemności balwierz was pozbawił” - mówię - a oni znowu w śmiech.

- Cóż za nędzne grubiaństwo! - zauważył po namyśle Gerard. Bezstronny Dionizy chętnie przyznał, że słyszał już weselsze żarty nie darzone takim rechotem.

- To była wielka okazja do pozbycia się obłudy. Dobra - powiadam - postaram się wam o chair de poule, jeśli macie na to ochotę. - „Zobaczmy” - wrzasnęli i przesłali sobie znak dokoła stołu.

Dionizy opowiadał dalej, parskając z uciechy, że gdy nadeszła pora spoczynku, zaprowadzono go do celi zamiast do wielkiego dormitorium i surowo zakazano spać; żeby zaś ułatwić czuwanie, zakonnicy przynieśli mu książkę z obrazkami, przedstawiającymi z setką wesołych przygód mnichów uganiających się za świeckimi niewiastami. W odpowiednim czasie sprowadzili go cichcem i bosą na dół do rozmównicy, gdzie zastał obiad godny księcia, dokoła stołu dwunastu wesołych braciszków, najweselszych chłopaków, jakichkolwiek zdarzyło mu się spotkać w życiu, czy to na wojnie, czy podczas pokoju. Opowieści, toasty,

żarty i czara wina krążyły wokół stołu. Paru rznąło w karty - przepyszными kartami: święta Teresa, święta Katarzyna i inne święte niewiasty lśniące od złota były w niej czterema damami; czarni, biali, szarzy mnisi i bracia mniejsi z krzyżami na habitach wyobrażali czterech waletów. Grali o swoje różańce, a klęli jak szewcy przy przegranej. Około północy cichutki mniszek wykradł się, ale Dionizy i reszta towarzystwa chytrze go wyśledzili, ruszyli za nim do ogrodu i podpatrzyli, jak wyciąga ukrytą w bluszczu sznurową drabinkę. Wdrapał się po niej na mur, szeroki na dziesięć stóp, a jeszcze zręczniejsze od niego wspięła się tam wiejska samodziśłowa spódniczka z zewnętrznego strony, i dopieroż zaczęło się czułe gruchanie: taka scena wydawała mu się bliższa kocim niż kościelnym zwyczajom, toteż z serca wyrwał mu się właściwy komentarz: „miau”. Zakonnicy przyłączyli się do miauczącego chóru, tak że świecka dziewczeczka krzyczała i bardzo było jej przykro. Albert jednak zawołał tylko: „To wy już tu, zazdrosne miauczące parobki? Jutro w nocy inaczej zamiauczycie. Jutro dla każdego z was, łobuzy, postaram się o spódniczkę”. Ta właśnie brutalna groźba pogodziła Dionizego z koniecznością pozostania jeszcze dzień - na prośbę Gerarda.

Chłopiec jęknął.

Tymczasem, ponieważ nie mogli speszyc bezwstydnego mnicha, a panienka zaczynała już szlochać, urządzili raz jeszcze kocią muzykę, tańcząc w krąg, później udzielili uroczystego błogosławieństwa dwóm kwiatkom pnącym się do siebie po murze i wrócili z powrotem do parlatorium, gdzie tymczasem dwóch zakonników spiło się jak bele i leżeli trupem na posadzce, a dwaj inni łkali z rozczulenia. Powlekli więc owych nieprzytomnych, płaczących i czułych, i kopniakami wesoło wepchnęli ich do cel.

I zamknęli tak, niezmiernie zadowolonych.

Gerard odczuł i wyraził głęboki niesmak.

Dionizy zachichotał i powiadał mu dalej, jak nazajutrz razem z młodymi zakonnikami spuścili wodę z rybnych stawów, złowili i ukryli na własny użytek masę karpia, szczupaków, linów i węgorzy. W ciemnościach nocy zaprowadzono go znowu bez obuwia krętymi drogami do kaplicy - ciemnego, jakby upiornego miejsca - skąd zeszli po schodkach w dół, do krypty położonej pod podłogą - gdzie otworzyły się przed nimi bramy rajy. wesołych braciszków, najweselszych chłopaków, jakichkolwiek zdarzyło mu się spotkać w życiu, czy to na wojnie, czy podczas pokoju. Opowieści, toasty, żarty i czara wina krążyły wokół stołu. Paru rznąło w karty - przepyszными kartami: święta Teresa, święta Katarzyna i inne święte niewiasty lśniące od złota były w niej czterema damami; czarni, biali, szarzy mnisi i bracia mniejsi z krzyżami na habitach wyobrażali czterech waletów. Grali o swoje różańce, a klęli jak szewcy przy przegranej. Około północy cichutki mniszek wykradł się, ale Dionizy i reszta

towarzystwa chytrze go wysłedzili, ruszyli za nim do ogrodu i podpatrzyli, jak wyciąga ukrytą w bluszczu sznurową drabinę. Wdrapał się po niej na mur, szeroki na dziesięć stóp, a jeszcze zręczniejsze od niego wspięła się tam wiejska samodziałowa spódniczka z zewnętrznej strony, i dopiero zaczęło się czułe gruchanie: taka scena wydawała mu się bliższa kocim niż kościelnym zwyczajom, toteż z serca wyrwał mu się właściwy komentarz: „miau”. Zakonnicy przyłączyli się do miauczącego chóru, tak że świecka dziewczeczka krzyczała i bardzo było jej przykro. Albert jednak zawołał tylko: „To wy już tu, zazdrosne miauczące parobki? Jutro w nocy inaczej zamiauczycie. Jutro dla każdego z was, łobuzy, postaram się o spódniczkę”. Ta właśnie brutalna groźba pogodziła Dionizego z koniecznością pozostania jeszcze dzień - na prośbę Gerarda.

Chłopiec jęknął.

Tymczasem, ponieważ nie mogli speszyc bezwstydnego mnicha, a panienska zaczynała już szlochać, urządzili raz jeszcze kocią muzykę, tańcząc w krąg, później udzielili uroczystego błogosławieństwa dwóm kwiatkom pnącym się do siebie po murze i wrócili z powrotem do parlatorium, gdzie tymczasem dwóch zakonników spiło się jak bele i leżeli trupem na posadzce, a dwaj inni łkali z rozczulenia. Powlekli więc owych nieprzytomnych, płaczących i czułych, i kopniakami wesoło wepchnęli ich do cel.

I zamknęli tak, niezmiernie zadowolonych.

Gerard odczuł i wyraził głęboki niesmak.

Dionizy zachichotał i powiadał mu dalej, jak nazajutrz razem z młodymi zakonnikami spuścili wodę z rybnych stawów, złowili i ukryli na własny użytek masę karpia, szczupaków, linów i węgorzy. W ciemnościach nocy zaprowadzono go znowu bez obuwia krętymi drogami do kaplicy - ciemnego, jakby upiornego miejsca - skąd zeszli po schodkach w dół, do krypty położonej pod podłogą - gdzie otworzyły się przed nimi bramy rajy.

Dionizy, wierni czuwając nocami słyszeli śpiew z martwych ust, struny zrobione rękami nie ludzi śmiertelnych i poruszane palcami nie z tego świata dźwięczały słabo jak echo z głębin, od umarłych spoczywających w tych świętych grobowcach.

Strach odmalował się na twarzy Dionizego. - Uf, gdybym wiedział o tym, mułami by mnie tam nie zawlekli i straciłbym (tu westchnął) wesołą zabawę.

Może dalsza dyskusja rzuciłaby nieco więcej światła na owe widmowe odgłosy, któż to wie? - ale właśnie nadjeżdżał brodaty brat z klasztoru, poganiając muła i wymachując kawałkiem welinu. Była to umowa między Ghysbrechtem i Florisem Brandtem. Gerard szanował ją bardzo jako pamiątkę z domu. Zbladł na myśl, że omal jej nie stracił, i ku

niesłychanej ucieście Dionizego nie tylko obdarzył monetą braciszka, ale pocałował w nos muła.

- Przeczytam cię teraz - rzekł Gerard - choćbyś była dwa razy tak niewyraźnie napisana, a żebym cię już nigdy więcej nie zgubił - usiadł i chwyciwszy igłę z nitką, wszął dokument z niewieścią zręcznością w kubrak, a jego umysł, serce i dusza powracały w czasie tej pracy do Sevenbergen.

Dotarli wreszcie do ziemi obiecanej i Dionizy w wyśmienitym humorze zamiatał czapką przed wszystkimi kobietami, które dygały z uśmiechem w odpowiedzi, a strzelał swym hasłem do wszystkich mężczyzn. Jedni z nich wytrzeszczali oczy, drudzy szczyrzyli zęby, inni jeszcze wykonywali jednocześnie obie te czynności; na koniec zaprowadził przyjaciela do pierwszej z tak dawno obiecanych burgundzkich gospod.

- Jest mała, ale jak mi wiadomo, stara i dobra - Les Trois Poissons. Ale co to za napis? Nie pamiętam tu tego - i wskazał ręką wielkie litery biegnące w jednej linii wzdłuż całego budynku. - Ach, już wiem: Ici on loge a' pied et a cheual - orzekł wreszcie Dionizy, wodząc wzrokiem wzdłuż napisu i rozglądając się dumnie, odgadnąwszy treść.

Gerard spojrział, sentencja głosiła:

ON NE LOGE CÉANS Á CRÉDIT; CE BONHOMME EST MORT, LES MAUVAIS PAIEURS L'ONT TUÉ.

ROZDZIAŁ XXXIII

Spotkali gospodarza w uliczce.

- Witam waszmościów - rzekł zdejmując czapkę w niskim ukłonie.

- Oto nie jesteście już w Niemczech - powiedział Gerard.

W gospodzie powitała ich oberżystka, okazała niewiasta około czterdziestki. Dygnęła i uśmiechnęła się nader serdecznie.

- Bądźcie łaskawi usiąść, szlachetny panie - zaprosiła Gerarda i starła fartuchem dwa stołki, które wcale zresztą tego nie potrzebowały.

- Dziękuję ci, o pani - odparł Gerard. - „Proszę bardzo - pomyślał - to dopiero grzeszna nacja - mam być łaskaw usiąść? Dokonam tego ze szczególną starannością, jak również łaskawie zadam sobie trud jedzenia, pracy nad trawieniem i wreszcie z pomocą Herkulesa dokonam łaskawie wysiłku, by udać się na spoczynek, oraz usilnie postaram się zasnąć.”

- Co czynisz, Dionizy? Zamawiasz wieczerzę jeno na dwóch?

- A czemuż by nie?

- Jak to, czyż mamy wieczerzać nie czekając, aż zbierze się jeszcze czterdziestu?

Niech żyje burmistrz!

- Aha! Courage, camarade, le dia...

- C'est conwenu.

Prawo galickie nie dotarło widać do francuskich gospod. W tej w każdym razie rządziły spódniczki; kubraki i spodnie były nieliczne i bierne. Sam oberżysta kręcił się bez zajęcia, zdejmując ciągle przed gośćmi czapkę z głowy, nie przeciążonej myślami, a kobiety, mijając, popychały go na bok, nie patrząc nawet w jego stronę, tak jak odsuwa się gałązkę zawadzającą nam na leśnej drodze.

Służąca przyniosła wieczerzę, gospodyni towarzyszyła jej z pustymi rękami.

- Proszę bardzo, ichmość panowie - powiedziała wesoło - wasz jedyny w tym miejscu wróg leży pod nożem (chytrze podejrzewam, że mówi to stale).

Ruszyli więc do ataku. Oberżystka nieco przysunęła krzesło do stołu i raczyła ich swym towarzystwem uważając, że należy się ono wraz z jedzeniem; gwarzyła więc z gośćmi wesoło jak stara znajoma. Zadość uczyniwszy w ten sposób formom, skrzętna pani oddaliła się, przysyłając w zamian córkę, śliczną i młodą dwudziestolatkę, która zajęła jej wolne miejsce. Nie była tak swobodna i dowcipna jak matka, lecz za to delikatna, wesoła i okazywała niewieścią tkliwość Gerar dowi, dowiedziawszy się, z jak daleka przywędrował i jak długa jeszcze przed nim droga. Zabawiła z nimi prawie pół godziny, a gdy odeszła, Gerard zauważył:

- To ma być gospoda? Tu jest jak w domu.

- Qui fit François, il fit courtois - stwierdził, promieniając słuszną dumą Dionizy.

- Elegancji! O nie, to za mało. Trzeba być prawdziwym chrześcijaninem, aby przyjąć jak gości i starych przyjaciół domu takich jak my włóczęgów, którzy dziś są tu, a jutro tam. Któż jednak zaiste bardziej zasługuje na grzeczność i miłosierdzie, jeśli nie znużeni podróżni, tak bardzo oddaleni od swoich. O, patrz, jeszcze jedna tu zmierza.

Nowo przybyła okazała się służebną, niewiastą około dwudziestu pięciu lat, o zadartym nosku, szerokich roześmianych ustach, błyszczących czarnych oczach i nagich, pulchnych, choć może niezbyt kształtnych ramionach.

W chwili gdy weszła, jeden z podróżnych pozwolił sobie na nieco swobodny żarcik, ale już po chwili stał się ogólnym pośmiewiskiem, tak szybko załatwiła się z nim swym obrotnym języczkiem. Tak bywa, gdy dźwięczą klingi w szermierce między mistrzem a nowicjuszem, a młokos uderza. Potem ten i ów musiał jeszcze skrzyżować z nią broń, lecz

Marion oparła grube ręce na biodrach i wciągnęła całą salę do rubasznej zabawy. Ta wiejska dziewczucha miała dar celnego, prostego humoru, który potrafi porwać w rozmowie wszystkich obecnych, nie da się jednak utrwalić na papierze; wydaje się wtedy wulgarnym i płaskim. Nie jest to rapier dowcipu, lecz maczuga. Marion była bogato obdarowana w tym względzie przez naturę, codzienna praktyka w gospodzie dopełniła reszty.

Nie czuję się jednak na siłach oddać wiernego konterfektu naszej Marion, mogę ją tylko naszkicować. Działo się to przecież przed czterystu laty², szyderstwo było wtedy brutalne, dziewczyna odparowywała każdy cios i choć była cnotliwą kobietą, mówiła bez zmrużenia powiek rzeczy, których dziś nie powiedziałby przyzwoity człowiek nawet w wyłącznie męskim towarzystwie.

Gerard przysłuchiwał się i przyglądał oszołomiony. Poznawał nową, prawie nieznaną odmianę owego „interesującego gatunku” - homo. Szepnął do Dionizego:

- Teraz rozumiem, czemu wy, Francuzi, powiadacie, że język niewiasty jest jej mieczem.

Marion właśnie mierzyła się z następnym napastnikiem; i rycerski Dionizy, aby pokrzepić i wspomóc „słabszą płeć” - żelazny kociołek przeciw glinianym dzbanom - wygłaszał swą maksymę: Courage, ma mie, le... - itd.

Zwróciła się do niego wprost:

- Jakże mógł umrzeć, skoro widzę tu żywego łucznika? (gremialny wybuch śmiechu kosztem sojusznika Marion)

- Dziś u nas dzień prania, waszmość panowie - zawiadomiła ich nagle z powagą.

- Apres? My podróżni nie możemy przecież rozebrać się i odejść na golasa, póki będziesz prała naszą odzież - zaprotestował zrzędny starzec spod kominka, który nie brał dotąd udziału w przekomarzaniu, teraz zaś wtrącił słówko, zadowolony, że rozmowa staje się bardziej konkretna.

- Nie myślałam o was, stary człowieku - odparła wyniośle kobieta. - Jeżeli jednak zwracacie się do mnie (tu powoli zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów) - sądzę, że bez wszelakiej szkody moglibyście wieść do balii cały i w odzieży (wesołość). - Mówiłam zaś, na myśli mając tego młodego pana, który może chciałby wykrochmalić sobie brodę.

Tu przyszła kolej na jedwabisty i rzadki zarost na brodzie biednego Gerarda.

Najgłośniejszy ze wszystkich śmiał się zdrajca Dionizy, który szczycił się brodą zacnej długości, należycie sztywną i nastroszoną, tak że Szekspir, choć go nigdy nie widział, mógł o nim właśnie powiedzieć, trafiając w sedno:

Dziwnych przekleństw pełny, Z brodą jak kozieł?

Gerard ze spokojem znosił żarty Amazonki.

- Nie, chambriere - powiedział z uśmiechem - moja broda nie zasługuje na twą uwagę i trud - weź w swoje rączki ten raczej piękny zarost! - i wskazał na owłosienie Dionizego.

- Przyjdzie nań czas przy krochmaleniu mioteł.

Wszyscy jeszcze wrzeszczeli, aprobując ten dotkliwy cios, gdy pojawiła się gospodyni, a w tej krótkiej chwili, gdy stawiała stopę na progu, nasza Amazonka zmieniła się pozornie w łagodną i skromną dziewczycę.

Gospodynie cudownie potrafią ujarzmić, te tyranki chciałyby, jak sędzę, zabronić oddychania na tym globie. Musicie wybierać, służebne dziewczęta. Nie pomoże tu nic aktorska zręczność, pani słyszała bowiem salwy śmiechu i w głębi serca nie miała zresztą nic przeciwko temu.

- Ach, Marion, dziewczyno - powiedziała dobrodusznie - gdybyś gdacząc za każdym razem złożyła jajko, gospoda „Pod Trzema Rybami” miałyby pod dostatkiem omletów.

- Ile jesteśmy wam, pani, winni? - spytał Gerard.

- Za co?

- Za naszą wieczerzę.

- Po co ten pośpiech? Starczy, gdy zapłacicie, panie, odchodząc. Zyskujesz pieniądze, tracisz gościa - oto zasada gospody „Pod Trzema Rybami”.

- Ale na zewnątrz „Pod Trzema Rybami” jest napis: Ici - on ne loge.

- Ba, niech tam pchły siadają na tej ścianie! Tam spojrzycie - i wskazała okopcony sufit, pokryty hieroglifami. Były tam rachunki - vulgo karby, zrozumiałe tylko dla oberżystki i jej córki, które zapisywały, wylaząc na stołek i wydrapując nożem krechy ukazujące sufit pod skorupą sadzy. Gospodyni wyjaśniła, że napis na ścianie miał na celu odstraszyć ludzi bez pieniędzy od gospody, powinien też działać w wypadku, gdy włączę o niewypłacalnym obliczu wejdzie jednak i będzie się upierał, aby go obsłużono. - Nie możemy, widzicie, tak po prostu odmówić. Prawo nam tego zabrania.

- A skąd wiecie, że moja twarz nie jest właśnie taka?

- Niemożliwe! Najlepsza twarz, jaka pojawiła się tej jesieni „Pod Trzema Rybami”.

- A moja, miła pani? - zapytał Dionizy. - Czyż nie widać na niej łotrzykostwa?

Przyjrzała mu się bacznie.

- Nie jest tak zacna jak u tego chłopaka, ale to twarz prawdziwego mężczyzny. Co prawda - dorzuciła sucho - gdybym była o dziesięć lat młodsza, wołałabym jej nie spotkać podczas ciemnej nocy i zbyt daleko od domu.

Gerard zdumiał się, a Dionizy roześmiał.

- Ależ pani, spijałbym chętnie nocną rosę z kwiatka; a wy nie musicie być o dziesięć lat młodsza ani nawet o dziesięć dni, abym nie zaryzykował dla was podrapania policzków.

- O, proszę, nasza pani gospodyni - wtrąciła Marion, która weszła w tej chwili do izby - czy nie powiedziałam tu kiedyś, że gdyby chciała jeno, każdego jeszcze mogłaby wystrychnąć na dudka? A gdybyście tak byli ku temu skłonni?

- Wierzę, żeś tak rzekła. Podobne to zaiste do gadania pomyłonej dziewczuchy.

- To cudowne, madame - powiedział Gerard.

- Co? Ach, nie, nie, nic w tym cudownego. Spędziłam tu przecież całe życie, a pierwszą rzeczą, której musi się nauczyć dziewczyna w gospodzie, to czytanie z ludzkich twarzy.

Marion: - Drugą zaś smażenie jaj; nie, kłamstwo; smażenie jaj jest zaiste trzecią.

Gospodyni: - Ostatnią - trzymanie języka za zębami, a skromność chyba na święty Nigdy.

Marion: - Ach, biada mi! to o moim języku mowa. Już nic nie rzeknę. Ta, pod której jestem opieką, teraz łaje. Wypędzono mnie - wszakem jeno służebną dziewczką. Chwytaj to, co jeszcze ostało!

Zachwiała się i upadła do tyłu na najładniejszego chłopca w gospodzie, traf chciał, że był nim Gerard.

- Ojej! - zawołał zgniewany chłopiec - bez głupich figłów! To za ciężki dla mnie figiel. Czy nie widzisz, iż rozmawiam z panią gospodynią?

Marion podniosła się, wykrzywiając twarz grymasem; dwoma lekkimi podskokami znalazła się na środku sali i tam zawirowała w piruecie.

- Proszę pani gospodyni - poddaję się. To wy rządźcie tu wszystkimi chłopami - w każdym razie dziećmi rodzaju męskiego.

- Ta dziewczyna nie tak głupia jak jej zachowanie - odparła gospodyni. - W czytaniu z twarzy, smażeniu omletów, ot - tuśmy mistrzyniami. Byłoby źle, gdybyśmy w tym chybiać miały, skoro prawie nic więcej nie umiemy.

- Nie całkiem dokładnie rozumiecie mnie, o pani. Wydaje mi się słusznie, że uczciwość twarzy uderza od razu wasze doświadczone oko; w jaki jednak sposób, spojrzawszy tu na Dionizego, mogliście odgadnąć jego jedyną słabość, szaleństwo, nieszczęsne kobieciarstwo? - Biedny Gerard zapalał się coraz bardziej, w miarę jak o tym mówił.

- Jego kobie... - jego co? - zająknęła się niepewnie pośrodku wyrazu.

- Ach, to słowo byłem zmuszony wymyślić dla niego.

- Wymyślić? W jaki to sposób dzieciak może wymyślać inne słowa niż te, które wyrosły w przyrodzony sposób w Burgundii? Opamiętajże się. I tak jesteśmy zalani słowami, zwłaszcza brzydkimi. Co za czasy, mój Boże! Niedługo usłyszę z kolei, że wynaleziono nowy oset!

- Widzicie, madame, uważałem, iż język za ubogi jest, aby odmalować mego przyjaciela. Musiałem coś wymyślić. Wiecie przecie, że konieczność jest matką...

- Oczywiście! to już dość dawne porzekadło, niech mnie...

- A więc, o pani, „kobieciarstwo” - tak mówi się o człowieku zakochanym duszą i ciałem w niewiastach. Pięknie was zatem proszę, wytłumaczcie mi, w jaki sposób wykryliście kobieciarstwo tego bałwana?

- Zacny młodzieńcze, z igły robicie widły. My niewiasty kątem oka spostrzegamy więcej, niż większość mężczyzn ujrzy przez szlifowane szkiełko. Kiedy tu się krzątam, przyglądając się moim gościom, ujrzałam, że wzrok tego żołnierza nie odrywa się ani na chwilę od niewieściego rodu - moja córka czy Marion, czy też nawet stara jak ja kobieta - wszystko dla niego dobre; i to aż bije w oczy! Ach, ty niemądry, głupi człeku! Wy zaś, młodzieńcze, obracacie się za tym, kto akurat mówi, czy to ona, czy on, i to ma sens.

Dionizy ryknął ochryłym śmiechem.

- Mocno się mylicie. Ten gładziutki z miłą buzią kompan to istny Turczyn - jeśli nie sądzić po brodzie. Taki on właśnie jest, jakem łuczniczek przybocznej gwardii książęcej. Bardziej pogrążony w miłości do jednej holenderskiej dziewczuszki, zwanej Małgorzatą, niżli ja w całym tłumie niewiast o jasnych i ciemnych kosach.

- Człowieku, to całkiem co innego - odpowiedziała oberżystka. - U ciebie trucizna, u niego lekarstwo. Trzymaj się swej Małgorzaty, mój drogi. Mam nadzieję, że to uczciwe dziewczę.

- To anioł, madame.

- Aj, aj, aj, wszystkie one aniołami, dopóki się ich lepiej nie pozna. Będę rada, jeśli okaże się jeno uczpiwa, a wtedy ochroni się, młodzieńcze, przed gorszą kompanią. Wy zaś, mój żołnierzu, będziecie jeszcze nieraz mieli kłopoty. Wasze oczy zawsze szkodzić będą waszej duszy.

- I sakiewce - wtrąciła Marion - a jego wargi będą spijać rosę, jak to nazywa, z wielu ciernistych krzaków.

- Za dużo pyskujesz, Marion, za dużo.

- Dziwne przycinki, pani gospodyni; chyba nie wynajęliście mnie jako jednej ze swoich trzech ryb, prawda? - I Marion spochmurniała na trzydzieści sekund.

- Tak mówisz do gospodyni? - burknął oberżysta, który właśnie wszedł do izby.

- Trzymaj język za zębami - rzekła ostro jego małżonka. - Nie pouczaj dziewczyny, to nie twoja rzecz; dla ciebie jest dobrą służącą.

- W tym domu nie wolno zapać kogutowi, za to kury gdaczą cały dzień.

- Możesz sobie pisać, ile chcesz, mój mężu, ale za drzwiami. W domu rządzą kury.

- Znam przysłowie w tej materii - rzekł Gerard.

- Znacie? Powiedźcie zatem!

Femme veut en toute saison

Etre dame en sa maison

- Nie słyszałam tego przedtem, ale święta prawda. Ci, co układają takie porzekadła, mają oczy i języki - oj, mają! Najcenniejsza dla mnie rzecz na świecie to stare przysłowia.

- A dla mnie młody małżonek - dorzuciła Marion. - No, macie teraz wszyscy okazję, a nikt się nie zgłasza. O, już za późno. Odmieniło mi się.

- Tym lepiej dla jakiegoś biedaka - orzekł Dionizy. Przybycie młodej pani lub raczej, jak ją tu nazywano, małej pani było zachętą do zgromadzenia się całej kompanii wokół ognia. Zasiadli tam jak szczęśliwa, zgodna rodzina: podróżni, gospodarz, gospodyni i nawet w zewnętrznym kręgu służba - toż dopiero zaczęły się opowieści i pogaduszki, do czasu gdy trzeba było udać się na spoczynek. Gdy przyszła kolej na Gerarda, opowiedział pełną grozy historię ze swego repertuaru, ze zbioru rękopisów o „czynach świętych Pańskich”. Dreszcz zachwyty wstrząsnął słuchaczami, ale muszę bezstronnie zauważyć, że chłopak pod koniec opowieści zaczął się kiwać na obie strony ze zmęczenia. Zauważyła to młoda gospodyni i spojrzała na Marion. Dziewczyna natychmiast zapaliła świecę i położywszy dłoń na ramieniu Gerarda, powiodła go ze sobą. Wskazała mu pokój i poleciła wybrać sobie jedno z dwóch stojących w nim ładnych białych łóżek.

- Każde z nich wydaje mi się rajem - powiedział. - Na tym legnę. Czy wiesz, nie kładłem się rozebrany na noc, od czasu gdy opuściłem swój dom rodzinny w Holandii?

- Ach, moje biedactwo! - uzalila się nad nim dziewczyna. - Im prędzej zatem spotka się mój len z twoim zadkiem (hi, hi, hi!), tym lepiej; a więc allons!

I nadstawiła mu policzek z obojętną miną, tak jakby to był zwyczaj, jakby wyciągała rękę po napiwek.

- Allons! A cóż to znaczy?

- To znaczy: dobranoc. Czy w twoich stronach nie pozdrawia się pokojówki?

- Nie tak od razu.

- Czy robi się z tego wielką sprawę?

- Ach, nie przekręcaj; po prostu nie jesteśmy tak swobodni wobec obcych niewiast.

- Muszą to być obce i dziwne niewiasty, jeśli nie uważają was za dziwnych durniów. W tym sedno. Wszyscy tłusci, siwobrodzi, co nocują w naszej gospodzie, całują nas, pokojówki - tfu! - a cóż my biedne sieroty marny zapisać na swój rachunek, kiedy taki ładny szczeniak... Biada mi, czas ucieka. Dziewczyźnie służebnej nie wolno długo ostawać w dzieciennym pokoju; no, więc jak będzie?

- Jeżeli nie robi ci to różnicy, niech ci wygodzi mój kompan - za nas obu. On lubi niewiasty, ja nie.

- Nie, nie, on potrzebuje kagańca, a nie ostrogi. Proszę, proszę, pójdziesz zatem do łóżka nie uściwszy zwykłej zapłaty; miło trafić na młodzieńca, który potrafi sprzeciwić się tym starym obyczajom i czoła stawić wyuzdanej dziewczusze. Zaiste, będziesz nagrodzony.

- Dziękuję! Ale co czynisz z moim łóżkiem?

- Ja? Jenó zabiorę te prześcieradła, a dam ci inne, na których spał wczorajszej nocy pijany młynarz.

- Och, nie nie! Okrutne stworzenie o kamiennym sercu. No... Dobrze, już dobrze.

- A la bonne heure! Czegóż to nie robi stanowczość! Teraz zaś zważ upór krnąbrnej dziewczki! Gwiżdżę na to. Mam po uszy tej zabawy przez pięć lat, niedobrze mi się od tego robi. Ale sprzeciwiłeś mi się, dlatego przy tym obstawałam, że poszłabym w ogień i wodę. Tak, młody panie, my niewiasty to strasznie przewrotne stworzenia.

Wybaczenie nam i trzymajcie nas na odległość - to znaczy: ramienia. No, dobranoc!

Już przy drzwiach odwróciła się i powiedziała zupełnie innym tonem:

- Niech Najświętsza Panienska i święci Ewangeliści strzegą łoża i głowy biednego młodziutkiego wędrowca daleko od domu! Amen!

Za chwilę usłyszał tupot nóg na schodach i wybuch śmiechu w gospodzie, który powitał jej wejście między gości.

- Ale charakterek - powiedział do siebie z namysłem Gerard i ziewnął nad swym odkryciem.

W ciągu paru minut zanurzył się w suchą kąpiel zimnej, czystej bielizny, niewypowiedzianie odświeżającej po tak długiej przerwie; ogarnęło go rozkoszne ciepło i... znalazł się w Sevenbergen.

Następnego ranka Gerard zbudził się cudownie świeży i zabierał do wstawania, gdy nagle pojął, że jest uwięziony. Zniknęła bielizna. Był zupełnie unieruchomiony, bowiem szlafrok jest o wiele późniejszym wymysłem. W epoce Gerarda i wiele jeszcze lat po nim mężczyźni nie tracili czasu na przebieranie, wsuwając się między czyste prześcieradła (jeżeli

mogli je zdobyć). Po prostu owijali się w nie nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył. Wychodząc z łóżka, żywo przypominali najstarszego syna Bożego: Adama.

Gerard podejrzewał, iż Dionizy jest sprawcą jego sytuacji, ale w tej chwili otworzyły się drzwi, wpłynęła przez nie Marion z naręczem czysto upranej i uprasowanej bielizny i złożyła swój ciężar na stole.

- O, droga niewiasto, jakaś ty dobra! - zawołał Gerard.

- Nareszcie się na mnie poznałeś?

- Zaiste. Czy to także zwyczaj?

- Nie, nie zabieramy nigdy bielizny bez uprzedzenia. Pytaliśmy w nocy naszych gości, czy mają bieliznę do prania. Tak więc wstąpiłam też do was; ale spaliście, panie, obaj kamiennym snem. Powiedziałam więc do małej pani: „co za sens budzić zmęczonych ludzi i pytać, czy umarł Karol Wielki i czy wolą nosić brudną, plugawą bieliznę czy czystą, zwłaszcza ten, który ma skórę jak jedwab”. - „To, prawda, zaiste” - odpowiedziała młoda pani.

- To o mnie mówiła - z powagą uczonego komentatora stwierdził Dionizy.

- Zgadnij raz jeszcze, a trafisz w sedno.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Marion, to zuchwały człek; wiem na pewno, że nigdy nie potrafimy jak należy ci się odwdziżyć, i przykro mi, że odmówiłem ci wtedy - zrobię dla ciebie wszystko, cokolwiek byś chciała.

- A toś taki - roześmiała się filutka. - Widzę, że pragniesz teraz spijać miód z kwiatów, jak to zwie twój wstydlivy towarzysz. Wybacz mi przeto, taki jest co prawda obyczaj, ale nieostrożny. Poniecham tego. Jesteśmy już kwita, chłopcze.

- Stój, stój! - zawołał Dionizy, gdy dziewczyna odniósłszy zwycięstwo chciała już odejść. - Bardzo jestem ciekaw, ile tu was było wczoraj w nocy, napawając oczy naszym widokiem.

- Była to tak wyśmienita uczta, że wystarczyło nam pół minuty. Kto? Duża pani, mała pani, Joasia i ja, i cały oddział straży, wszyscy na paluszkach. Co noc robimy taki obchód przed snem, aby ochronić dom przed pożarem, i zawsze wędrujemy dużą gromadą. Jesteśmy wtedy odważniejsi, zwłaszcza gdy w okolicy pełno łuczników.

- Czemuś mi tego nie powiedziała? Czuwałbym noc całą.

- Piękny panie, nasze przysłowie powiada, że kto śpi, nie grzeszy. Tak więc rzekłyśmy sobie: „Tu jest człek, który najlepiej służy Panu Bogu wtedy, gdy śpi. Nie przeszkadzajmy mu w spoczynku”.

- Co to za figlarka! - autorytatywnie stwierdził Gerard.

- Muszę być albo figlarka, albo oszustką.. - Dlaczego to?

- Jako że „Trzy Ryby” płacą mi za figlarność. Czy chcecie coś zjeść, nim wyruszyacie?

Dobra! idę dopilnować mięsa, aby było godne tak zacnych ząbków.

- Dionizy!

- Czego sobie życzysz?

- Chciałbym, żeby była chłopakiem i poszła z nami w drogę. Toby było wesoło!

- Tego sobie nie życzę. Niech już idzie lepiej z nami taka, jaka jest.

- O niech Bóg broni! Ależbyś robił z siebie durnia!

Zjedli śniadanie, zapłacili rachunek i pożegnali się. Teraz się przekonali, że Marion nie przesadziła, mówiąc o „obyczajach tego kraju”. Trzy najważniejsze niewiasty w domu wycalowały ich serdecznie i oni ucałowali owe trzy najważniejsze niewiasty. Uścisnął ich oberżysta i oni objęli go wzajem; chórem wołano: „Wracajcie jak najprędzej. Nie omijajcie nigdy Trzech Ryb. Jeżeli będziecie mieli puste sakiewki, przywieźcie tu jeno siebie. Le sieur crédit dla was nie umarł”.

Nasi przyjaciele ruszyli w dalszą drogę.

Przywędrowali do miasteczka i Dionizy udał się na zakup butów. I tu kupiec stał w drzwiach swego sklepu, ale nie spał. Przyjął Dionizego niskim do ziemi ukłonem. Szybko obsłużył klienta, odprowadził na ulicę i pożegnał uprzejmym pozdrowieniem ze schodków przy drzwiach.

Podróżni stwierdzili obaj, że stosunki z takim szewcem przypominają raj.

- Choć muszę przyznać, że moje niemieckie buty służyły mi długo - rzekł sprawiedliwy jak zawsze Gerard.

Za miastem wyszli na bity gościniec.

- To po to, aby mieszczanie nie zabłócili nóg wychodząc na niedzielny spacer z żonami i córkami - objaśnił Dionizy.

Te proste słowa przyjaciela, zwykłe jego beztróskie powiedzenie, wywołały obraz domu w sercu Gerarda.

- Och, jak tu miło - szepnął. - Rety, a to co? Szubienica i, o Boże, dwa szkielety na niej! O Dionizy, cóż za okropny widok! - Jakżeż się przy nim zalecać!

- Nic okropnego - zaprotestował Dionizy - bardzo krzepiący widok. Każdy opryszek w powietrzu - to o jednego mniej na ziemi.

Nieco dalej natknęli się na dwa słupy podtrzymujące ogromne koło gęsto nabite żelaznymi kolcami; zwiślały z nich kości i strzępy odzieży, smutno rozrzucone dokoła.

Gerard ukrył twarz w dłoniach.

- Och, pomyśleć, że te strzępy i kości to wszystko, co pozostało z człowieka, który był tym, czym my dziś jesteśmy.

- Excusez! stworzeniem chodzącym na dwóch nogach, które kradło. Czyż nie jesteśmy czymś nad to?

- Skąd wiesz, że kradł? Czyż nie zdarzało się, że torturowano i zabijano uczciwego człowieka?

- O ile wiem, nikt z moich znajomych nie zawisł na szubienicy.

- Mieli szczęście. A jak umierali święci?

- Ciężką mieli śmierć, ale nie w Burgundii.

- Były masakry w Lyonie, a to już u progu Burgundii. Dla ciebie szubienica jest tylko znakiem zbrodni, albowiem nie czytałeś historii. Niestety, gdybyś stał na Kalwarii w owym krwawym dniu, który jeszcze dziś oplakujemy, drżę na myśl, że może krzyczałbyś z radości, patrząc jak wznoszą tam szubienicę; bo krzyż był właśnie szubienicą rzymską wedle ojca Marcina.

- Stary bluźnierca!

- Ach przestań! To święty i uczony mąż! Och, Dionizy, patrzyłbyś na tych, którzy cierpieli, jak na łotrów na szubienicy. Krzyczałbyś pewnie: „Wbijajcie gwoździe! Przebodźcie włócznią”. Oto trzech zbrodniarzy. Trzej roués. Jednak wśród tych trzech jeden był pierwszym chrześcijańskim świętym, a drugi Zbawicielem świata, co Go ukrzyżował.

Dionizy zapewnił słowem honoru, że w Burgundii lepiej załatwia się te sprawy. Dodał też po głębokim namyśle, że okropności opowiedziane przez Gerarda, o których słyszał już z ust zacnego proboszcza w rodzinnej wiosce w okresie wielkanocnym, nieraz już doprowadzały go do furii i przekleństw. Okropności te zdarzały się jednak u obcej nacji i przeszło tysiąc lat temu. Mort de ma vie, ufajmy, że to nieprawda albo co najmniej gruba przesada. Przypatrz się tylko, jak wszystkie bajki pęcznieją przechodząc z ust do ust.

Myślał jeszcze chwilę i nagle odwrócił się czerwony z wściekłości.

- A tobie nie wstyd przechwalać się swoją książkową wiedzą przy nieuczonym przyjacielu, mydlić mu oczy, równając świętych z tymi gadami!

Rychło jednak odzyskał humor:

- Jeśli masz tak czułe serce dla tego plugastwa, ulituj się nad krukami. To takie same szkodniki. Chcesz, żeby biedactwa szły do łóżeczka nie wieczerzając? Toć to ich spiżarnia. Pozdychałyby z głodu, gdyby martwi złodziejaskowie nie wisieli sobie tu i ówdzie.

Gerard, milczący jak głaz już od dłuższej chwili, poinformował przyjaciela, że uważa temat za wyczerpany, i to raz na zawsze.

- Są rzeczy - powiedział - które rozdzielają nasze serca, sprawiają, iż stają się one dalekie jak dwa bieguny, i tak samo różne są nasze umysły. Ale kocham cię mimo to zawsze tak samo - dodał z niewysłowioną słodyczą i czułością.

Zbliżało się południe i nasi wędrowcy usłyszeli z dala słaby, jękliwy dźwięk. Hałas stawał się wyraźniejszy, w miarę jak szli naprzód. Dobrzy piechurzy szybko napotkali przyczynę zjawiska: kilku uzbrojonych w piki żołnierzy i paru strażników maszerowało, pędząc przed sobą stado wyglądające na około sto sztuk bydła. Istoty te były w różnym wieku, tylko parę zdecydowanie starych. Samcy zgnębieni i milczący, samice wydawały słyszane już poprzednio jęki. Innymi słowy - stado prowadzone w imieniu prawa składało się z mężczyzn i kobiet.

- Wielkie nieba! - krzyknął Gerard. - Co za gromada ludzi?

Dzieci przecie nie mogą być złodziejami! Czekaj, są wśród nich niemowlęta. Co to być może, Dionizy?

Dionizy poradził mu, żeby zapytał o to mieszczanina z przypiętą odznaką.

- Jesteśmy w Burgundii! Na grzeczne zapytanie otrzymasz grzeczną odpowiedź.

Gerard podszedł do strażnika, zdjął czapkę - jego grzeczność została natychmiast skwitowana podobną uprzejmością i powiedział:

- Na miłość Najświętszej Pani, powiedzcie mi, panie, co robicie z tymi biednymi ludźmi?

- A co ci do tego, chłopcze? - odpowiedział podejrzliwie strażnik.

- Jestem cudzoziemcem, panie, i to bardzo pragnącym nauki.

- A to inna sprawa. Co robimy? Ano! A więc my... - Słyszysz, Jakubie? Ten cudzoziemiec chciałby wiedzieć, co robimy.

Tym dwom ludziom narzędziom pochlebilo, że istnieje człowiek, który nie wie tego, o czym. oni przypadkiem wiedzą. We wszystkich epokach taka rzecz łechce ludzką ambicję. W każdym razie szeptanie nie trwało długo, nie bez wpływu była tu rodzima kurtuazja, i strażnik odwrócił się do Gerarda.

- Co tu robimy? Hm, hm!

Zawahał się znowu; nie żeby go trapiły jakieś wątpliwości co do tego, co czynił, lecz ponieważ starał się znaleźć pojedyncze słowo, które mogłoby wyjaśnić całą sprawę.

- Ce que nous faisons, mon gars? - Mais - dame! NOUS TRANSVASONS.

- Przelewacie? To znaczy że przelewacie z jednego naczynia do drugiego?

- Tak, właśnie tak. - Wyjaśnił, że w ubiegłym roku zaraza zdziesiątkowała miasto Charmes - domy się wyludniły i zabrakło ludzi do handlu. Wrywano tam sobie zboże i na

pół zgniły len. Tak więc burmistrz i radni miejscy wysłali pismo do sekretarza księcia i sam diuk polecił zbadać, w którym mieście jest zbyt pełno. „U nas”-odpisał burmistrz Toul. - „Przysyłajcie więc z osiemdziesięciu czy ze stu waszych mieszczan” - przyszedł rozkaz. Chodziło tu o przelanie z pełnego miasta do pustego. Czyż nasz książę nie dobry to ojciec dla ludu? Nie pozwala osłabnąć księstwu ani zacnym miastom niszczyć od zarazy lub miecza, broniąc ich, gdy trzeba, piką lub kuszą (tu zdjął czapkę przed sierżantem, następnie przed Dionizym), przy innej okazji mądrą swą sztuką rządzenia. Niech żyje książę!

Pikinierzy nie chcieli naturalnie dać się przelicytować w lojalności, wrzeszczeli więc stentorowym głosem: „NIECH ŻYJE KSIAŻĘ!” Wówczas i przesiedleńcy, częściowo dlatego, że w owych czasach lojalność płynęła z nie wyrozumowanego uczucia, z drugiej zaś strony bojąc się może jakichś dalszych niedobrych konsekwencji, gdyby sami jeno pozostali niemi - wznieśli słaby, drżący okrzyk: „Niech żyje książę!”

Przeciw temu zbuntowała się sponiewierana Natura. Zaiste, może udane uczucie wyzwoliło prawdziwe, tuż za owym lojalnym chórem rozległa się głośnie i przejmująca skarga z piersi wszystkich gnanych kobiet i głęboki, bolesny pomruk mężczyzn. Och, za chwilę całe powietrze napełniło się skargami niewiast i mężczyzn. Oceńcie sami, co to musiało być, jeżeli brutalni pikinierzy zatrzymali się bez rozkazu, straciwszy kontenans, jak gdyby wyrosła przed nimi ściana smutku.

- En avant! - ryknął sierżant i ruszyli w dalszą drogę, z pomrukiem jednak i przekleństwem na ustach.

- Ach, przykry to jęk - zadrżał jeden z cywilnych konwojentów. - Les malheureux - wykrzyknął z żalem; czyż może bowiem człowiek słuchać rozpaczliwej skargi tłumu i pozostać obojętnym? - Les ingrants! - Odchodzą z miasta, gdzie byli zbyt liczni i niepotrzebni, do miejsca, gdzie są pożądanymi; z głodu i nędzy do obfitości - i opierają się. I jeszcze czynią przykry hałas. Myślałby kto, że ich wypędzamy z Burgundii.

- Chodźmy stąd - szepnął Gerard. - Chodźmy.

Przyjaciele ruszyli przed siebie. Gdy mijali czoło kolumny i ujrzeli mężczyzn idących ze wzrokiem ponuro wbitym w ziemię i płaczące kobiety, które niosły na rękach lub prowadziły przy sobie dzieci, i biedne małeństwaniektóre wesoło baraszkowały, inne popłakiwały na widok łez matczynych, Gerard starał się znaleźć dla nich jakieś słowo pociechy, ale gardło mu się ścisnęło i nie wykrztusił ani słowa, szepnął tylko:

- Chodźmy, Dionizy. Nie mogę urazić tego bólu marnymi słowami pociechy.

I zwyczajem artysty starał się tylko co rychlej oddalić od nieszczęścia, którego nie mógł złagodzić. Biegł prawie, by nie słyszeć westchnień i szlochów.

- Co jest, kamracie, poźółkłeś jak cytryna. Człeku, nie bierz sobie do serca cudzego zmartwienia. Żaden z tych jęczących niedojdów okiem by nie mrugnął, patrząc, jak wieszają takiego cudzoziemca jak ty.

Gerard prawie go nie słuchał.

- Przelewać ich? - narzekał. - Jak gdyby krew nie była gęściejsza od wina. O książęta, jakimi jesteście wilkami! Och, biedacy! Ach Dionizy, Dionizy! Gdy patrzę na ich nieszczęście, moje własne staje mi przed oczyma! Ach biadaż mi, biada!

- Teraz dopiero gadasz do rzeczy. Żeby biednego chłopczynę przeganiać w taką daleką drogę z Holandii do Rzymu, to zaiste godne pożałowania. Ale w czym krzywda tych skomlących ludzi? Jest ich ze sześć dwudziestek do kompanii. Zresztą nie idą precz z Burgundii.

- Oby w niej nigdy nie mieszkali.

- Méchant, va! Idą przecie z jednego miasteczka do drugiego. Toć to podróż dla muła! a ty - o tym już ani słowa. Courage, camarade, le diable est mort!

Gerard spuścił głowę z powątpiewaniem, milczał prawie milę drogi i nagle odezwał się zamyślony:

- Widzisz, Dionizy, moja książkowa nauka jest mi podporą. A ci - to prości ludzie, uważają, że na ich mieścinie kończy się świat. A czymże jest ten świat? Morzem łez. Ach, ten słodki świat. Popatrz: dziewczynka stłukła gliniany dzban! Teraz, choćbym miał wisieć na którejś z waszych szubienic, osuszę czyjeś łzy! - i skoczył dziko ku małej zrozpaczonej istotce jak kania do kurczęcia, w szlachetniejszej jednak intencji. Ujrzał śliczne dwunastoletnie dziewczątko. Łzy zalewały jej policzki, dłonie wznosiła do nieba w swej gorzkiej, choć łatwo przemijającej rozpacz - rozpacz, która dotyka nas w dwunastym roku życia; u stóp jej leżała fatalna przyczyna zmartwienia, stłuczony dzban, wart, powiedzmy, pięć ówczesnych miedziaków.

- Stłukłaś dzbanek, maleńka? - zapytał Gerard z najszczerzym współczuciem.

- Helas! bel gars! Niestety, jak widzisz - i ręce wzniesione do niebios opadły, ukazując skorupy rozrzucone na ziemi. Dziewczę zastygło w tym geście jak obraz przeciwności życia.

- I tak płaczesz z tego powodu?

- Niestety, muszę, bel gors. Mamusia mnie skatuje. I tak nazywa mnie (tu nowy wybuch łkań) - JJJeanneton Cccasse tout. Jeszcze tylko tego brakowało, żebyś stłukła ten dzbanuszek. Hélas! fallaitil donc, mére de Dieu?

- Courage, kochanie - powiedział Gerard. - To nie serce twe leży strzaskane. Pieniądz wnet sklei twój dzban. Masz tu sztukę srebra, a tam, blisko jak rzucić kamieniem, mieszka

garnarcz. Daj mu to srebro, kup nowy dzban, a miedziaki, które ci wyda, zatrzymaj na zabawę z kamratami.

Mała główka zrozumiała wszystko, uśmiech zaczął już walczyć z łzami; szloch jednak podobny jest falom, które nie mogą uspokoić się natychmiast, gdy wiatr ucichnie. Dionizy uznał za stosowne dołączyć ze swej strony pocieszenie.

- Courage, ma tnie, le diable est mort! - zawołał wesoło nasz wojak. Gerard wzruszył oczywiście ramionami na taką metodę rozweselania dziewczynki.

Piękny to instrument

Lutnia jednostrunna powiedział.

Twarz dziewczęcia rozjaśniła się jak słońce wiosenne.

- Jaka dobra nowina! Jaka piękna nowina! - zaśpiewała z serdeczną radością, która przeszła w słodkie zawrodożenie, tak jak w naszych starych wesołych melodiach współdzwięczy ton patosu. - Nie będą już mogli więc straszyć nim małych dziewczynek, ZMIENIAJĄC ŻYCIE NASZE W PIEKŁO! - I podbiegła w podskokach. - Oj, opowiem Nanetce.

Istnieje teoria, która głosi, że wszystko ma swój odpowiednik. Jeżeli to prawda, Dionizy znalazł, zdawałoby się, umysł, do którego pasowało jego hasło.

Kusznik ryczał ze śmiechu na ten nieoczekiwany sukces i zdumienie Gerarda. Mała rączka szarpała go za kurtkę, buzia ukazywała się wokół talii żołnierza. Dominującą namiętnością tej małej, lecz żywej istotki stała się teraz ciekawość.

- Estce toi qui Fas tué, beau soldat?

- Oui, ma mie - odrzekł Dionizy, najgrubszym głosem, jaki mógł z siebie wydobyć, słusznie oceniając, że doda to mu nadprzyrodzonej mocy w oczach posiadaczki dźwięcznego sopraniku. - C'est moi. Ça vaut une petite embrassade - pas?

- Je crois ben.

- Ou'astu?

- Ça pique! ça pigue.

- Quel dommage! je vais la couper.

- Nenni, ce n'est rien; et puisque fas tué ce méchant. T'es fièrement; beau tout d'même, toi; t'es ben mieux que ma grande soeur".

- A mnie nie pocałujesz, kochanie? - spytał Gerard.

- Je ne demande pas mieux. Tiens, tiens, tiens! c'est douce, celleci. Ah! que j'aimons les hommes! Des fames, ça ne m'aurait jamais donné l'arjan blanc, plutôt ça m'aurait ri au

nez. C'est si peu de chose, les famés. Serviteur, beaux sires! Bon voiage; et n'oubliez point la Jeanneton!

- Adieu, petit coeur - rzekł Gerard i ruszyli w dalszą drogę. Gdy obejrzeni się za siebie, zobaczyli nieprzyjaciółkę kobiet, która dygała im, stojąc pośrodku drogi i słała im całusy świeżymi jak majowy rumianek usteczkami.

- Chodźmy już! - zawołał wesoło Gerard. - Powiniennem dochodzić już do Rzymu. Święty Bawonie, jakież to niewinny promyczek zaświecił nad naszą krwawą drogą! Zapomnieć o tobie, maleńka Janeczko? Przenigdy pośród tych wszystkich szlochów, szubienic, przesiedleń. Chodźże już, guzdrało, naprzód, marsz!

- Zwiesz to marszem - zaprotestował Dionizy. - Będziemy wędrowali do Bożego Narodzenia, a Rzymu nie zobaczymy.

Gdy przybyli do następnego miasta, niespodzianie wybiegł za nimi z oberży kusznik i za chwilę jego broda i broda Dionizego spotkały się jak dwie szczotki. Był to kolega naszego wojaka. Zaciągnął ich do gospody i nakłonił do wypróżnienia z nim butelki wina. W czasie rozmowy opowiedział Dionizemu, że wybuchło powstanie we flamandzkich prowincjach diuka i że żołnierze otrzymali rozkaz ściągnięcia tam ze wszystkich stron Burgundii.

- Zdziwiłem się zaiste, że widzę oblicze twe w inną zwrócone stronę.

- Chcę uścisnąć rodzinę, której nie widziałem od trzech lat. Tuszę, że możecie wydusić trochę buntowników beze mnie.

Nagle Dionizy podskoczył. - Słyszysz, Gerardzie? Mój kamrat zmierza do Holandii,

- No to co?- ach, list! List do Małgorzaty! A będzie tak grzeczny, tak dobry?

Żołnierz całym potokiem bluźnierczych wyzwisk poinformował Gerarda, że nie tylko chętnie zabierze, ale w razie potrzeby zboczy z drogi jedną czy dwie mile, aby go doręczyć.

Chwili nie zwlekając, Gerard wyciągnął z sakwy kałamarz i pióro i zasiadł do pisania obszernego listu do Małgorzaty. Opowiedział jej pokrótce wszystko, czym ja, może zbyt drobiazgowo opisując wydarzenia, znudziłem swych czytelników. Najdłużej zatrzymał się przy opisie przygody z niedźwiedziem i kąpieli w Renie, żywo i plastycznie opisał charakter Dionizego. Najczulszymi słowy błagał ją, by była dobrej myśli; miał oczywiście kłopoty i groziły mu niebezpieczeństwa, ale wszystko przeminęło, i jedna już tylko nęka go troska, że nie może liczyć na słówko skreślone dłonią ukochanej wcześniej, niż uda mu się dotrzeć do Rzymu. Na zakończenie starał się jeszcze natchnąć ją otuchą. Tak był przygnębiony swą pracą i miłością, że nie zauważył, że wszyscy przebywający w gospodzie goście stanęli wokół i zaglądali mu przez ramię, obserwując umiejętne i zręczne palce w tak rzadkiej sztuce pisania.

Dionizy dumny z biegłości przyjaciela zostawił go samego, póki nie spostrzegł, że twarz chłopca zmienia się i potok łez zalewa jego młodziutkie lica, a ciężkie krople spadają na papier, na którym skończył właśnie wypisywać słowa pocieszenia. Teraz Dionizy brutalnie odepchnął ciekawskich i zapytał kamrata łamiącym się ze wzruszenia głosem, czy miałby sumienie nie doręczyć tak czulego listu miłosnego. Żołnierz klął się na świętego Łukasza, że wolałby raczej stracić wskazujący palec prawej ręki.

Widząc jego gotowość, Gerard obarczył go jeszcze krótkim, chłodnym listem do rodziców i narysował tam piórem dwie ręce w uścisku, oznaczające pożegnanie. Nawiasem mówiąc, kropla goryczy znalazła się również w liście do Małgorzaty. „Piszę tylko do ciebie i do tych, którym jesteś droga. Jeżeli moi krewni chcą mieć o mnie wieści, niech będą dobrzy dla ciebie i wtedy możesz im przeczytać mój list. Jeżeli jest inaczej, nie rób tego; a w każdym razie jeśli mnie kochasz, nie wypuszczaj tego listu z ręki. Wiem, o co cię proszę i dlaczego, choć może tego nie rozumiesz. Jestem teraz o kilka lat starszy od ciebie i od tego Gerarda, jakim byłem zaledwie miesiąc temu. Dlatego posłuchaj mnie w tej jednej sprawie, jeśli nie chcesz być gorszą małżonką, niż ja, mam nadzieję, będę dla ciebie mężem, co daj Boże.”

Przemyślawszy tę drugą sprawę, wierzę, że było w tym coś więcej niż gorycz. Młody, lecz wybitny umysł chłopca rozważał przez kilka godzin codziennie sytuację w Sevenbergen i Tergou, analizował każdą zmianę uczuć i okoliczności, które mogły spowodować jego wygnanie.

Teraz Gerard ofiarował pieniądze żołnierzowi. Ów zawahał się, lecz odmówił.

- Nie, nie, jesteś kompanem mego kamrata. Wzrusza mnie twoja miłość do dziewczuchy. Opróżnijmy jeszcze jedną butelkę na twój rachunek i będziem kwita.

- Dobrześ rzekł, kolego - krzyknął Dionizy. - Jakbyś wziął talary, zaprosiłbym cię na podwórzec i skrzyżowalibyśmy miecze.

- Przytarłbym ci tam rogów - odciął się żołnierz.

- Nie wątpię, że starałbyś się o to, hultaju.

Wypili następną butelkę, uścisnęli sobie zgodnie z obyczajem dłonie i wyruszyli w drogę, każdy w innym kierunku.

Ta zwłoka pokrzyżowała nieco plany Dionizego i wieczór zapadł wcześniej, zanim zdołali dotrzeć do miasteczka, do którego zdążali, gdzie miała być sławna w całej okolicy gospoda. Trafiała się jednak oberża na rozstaju dróg i kusznik, ujrzawszy okazałą dziewczę w drzwiach, rzekł:

- Wydaje mi się, że to przyzwoita gospoda - i skierował swe kroki do kuchni. Zamówili bez trudności wieczerzę, oberżysta zażądał od nich jednak zapłaty z góry. Nie była

to niezwykła propozycja w żadnym kraju. Nie była jednak również powszechnie stosowana, więc Dionizy dotknięty sięgnął nieco ostentacyjnie do sakiewki, wyciągając złotego talara.

- Wydadź mi resztę, a rychło - powiedział. - Wy, oberzysto, łacniej możecie mnie obrabować niż ja was.

Gdy przygotowywano wieczerzę, Dionizy zniknął; Gerard odnalazł go naturalnie na dziedzińcu, gdzie pomagał czerpać wodę Manon - pulchnej, choć ponurej, która była niezbyt powabną przynętą do gospody, szepcząc jej do ucha wyszukane komplementy. Gerard chrząknął znacząco i wrócił do stołu, Dionizy zaś przyłączył się do niego po dobrym kwadransie.

- Ciężka robota tuż przed końcem marszu - rzekł wzruszając ramionami.

- Co to ma z tobą wspólnego? - odpowiedział sucho Gerard. - Wściekły pies wszystkich gryzie.

- Przesadzasz. Dobrze wiesz, że ja gryzę jeno piękniejszą połowę. A oto wieczerza, w którą bardziej, zdaje się, warto wbić zęby.

W czasie wieczerzy dziewczyna bezustannie kręciła się tam i z powrotem, obrzucając ich znaczącymi spojrzeniami, wyraźnie kokietowała Dionizego, pochylając się nad nim przy sprzątaniu półmisków, szepnęła mu słówko do ucha, na co kusznik odpowiedział skinieniem.

Gdy tylko zebrano ze stołu, Dionizy skierował się ku drzwiom, zawiadamiając Gerarda, że posępna blondynka zmiękła i wyznaczyła mu rendezvous na podwórzu przed stajnią.

Gerard podpowiedział mu, że w tym wypadku obora wydałaby mu się odpowiedniejszym miejscem.

- Idę do łóżka - rzekł nieco poirytowany. - Gdzie gospodarz? Wyszedł o tak późnej porze? Mniejsza z tym. Wiem, który nasz pokój. Długo cię nie będzie?

- Nie mam takich zamiarów. Żal mi opuścić ciebie i ogień na kominie. Cóż mogę poradzić - są dwa rodzaje zaproszeń, którym nigdy nie odmawia Burgundczyk.

Dionizy zauważył postać siedzącą przy studni. Była to Manon, zamiast jednak przyjąć go tak, jak oczekiwał przychodząc na jej wezwanie, dziewczyna załkała. Zapytał, czy jej coś dolega. Szlochała dalej. Czy mógł jej w czymś pomóc. Nie przestała szlochać.

Pocciwy Dionizy, wyczerpawszy zasoby swej inteligencji, co nie było trudne, zaczął ją pocieszać zwyczajnym w tym kraju sposobem. Ale odepchnęła go brutalnie.

- Czy to czas na głupstwa? - powiedziała łkając.

- Zdaje się, że tak sądzisz - odrzekł kusznik gniewnie. Ale zaraz dorzucił czule: - Nie mogę patrzeć na ślicznotkę w rozpacz.

- Nie o mnie chodzi.

- O kogo więc? Czy o ukochanego?

- Oh, que nenni. Nie ma już mego lubego na tym świecie, a ja nie mam złamanego écu, żeby zakupić mszę za jego duszę; - żal zdawał się zwracać w innym kierunku, co było łatwe przy jej prostej naturze.

- Ach, daj pokój! - rzekł Dionizy - będziesz miała dość pieniędzy na mszę za twego lubego, przysięgam ci. Powiedz mi jeno, czemu płaczesz?

- Przez ciebie.

- Przeze mnie? Czyś oszalała?

- Nie, to nie ja oszalałam. Ty musiałeś być szalony, żeby otwierać przy nim swą kiesę.

Sprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza, Dionizy zmęczony zadawaniem pytań zamilkł, mając nadzieję, że rzecz wyjaśni się sama. Dziewczyna, widząc, że już jej nie pyta, zdawała się toczyć wewnętrzną walkę. Nareszcie zawzięcie i głośno zaczęła:

- Powiem. Dodaj mi odwagi, Święta Dziewico! Cóż, choćby mnie zabili, gdy on w grobie? Żołnierzu, gospodarz wyszedł.

- Wyszedł?

- Czy oberżyci opuszczają gospodę w nocy? Popatrz, jaka burza! Tuśmy osłonięci, a z drugiej strony wieje istny huragan.

Dionizy nie odpowiedział.

- Poszedł zwołać bandę.

- Bandę? Jaką bandę?

- Taką, która poderżnie wam gardła i zabierze złoto. Biedaku, żeby tak brzękać złotem przed nosem oberżysty.

Cios spadł tak niespodzianie, że nawet kusznik przyzwyczajony do nagłych niebezpieczeństw stracił kontenans. Wykrztusił słowo, lecz w nim był tom treści.

- Gerard.

- Gerard! co to jest? Och, to imię tego biednego chłopczyzny, twojego kamrata. Zabieraj go szybko, zanim zdążą tu wrócić, i uciekajcie do najbliższego miasta.

- A ty?

- Mnie zabiją.

- To niemożliwe. Uciekaj z nami.

- Nic mi nie pomoże. Wyśle jednego z bandy, żeby mnie zabił. Poprzysięgli sobie zgładzić każdego, kto ich zdradzi.

- Zabiorę cię do mojej rodzinnej wsi, trzydzieści mil stąd, i oddam pod opiekę matki. Włos ci z głowy nie spadnie. Ale najpierw Gerard. Zostań tu chwilę, biegnę po niego.

Dionizy podniósł się, ale dziewczyna chwyciła go konwulsyjnie żelaznym uchwytem podnieconej kobiety.

- Nie zatrzymuj mnie, na litość boską - krzyknął żołnierz. Tu chodzi o życie lub śmierć.

- Pst! pst - szepnęła Manon, mocno zatykając mu usta ręką i przysuwając blisko do niego blade wargi. Oczy, które zdawały się zawracać go z drogi, skierowała w stronę niewyraźnych dźwięków.

Kusznik zamienił się w słuch.

Usłyszał kroki licznych stóp i ani jednego głosu. Dziewczyna szepnęła mu do ucha:

- Przyszli.

I zadrżała jak liść.

Dionizy czuł, że to prawda. Tylu podróżnych nie weszłoby nigdy wśród śmiertelnej ciszy.

Kroki zbliżyły się do samych drzwi.

- Ilu? - spytał bezdźwięcznym szeptem.

- Pst - zbliżyła usta do ucha żołnierza.

I któż widząc mężczyznę i kobietę w tej pozie odgadłby, jak zmrożone były ich serca i jak straszliwe wymieniali między sobą szept.

- Siedmiu.

- Miecz, sztylet i olbrzym z toporem. Nazywają go Opat.

- A mój towarzysz?

- Nie ma dla niego ratunku. Lepiej stracić jedno życie niż dwa. Uciekaj!

Dionizemu krew ścięła się w żyłach, gdy usłyszał tę niecną radę. „Ach, biedne stworzenie, nie znasz, co to serce żołnierza”-pomyślał.

Podparł na chwilę głowę dłońmi i setki myśli o niebezpieczeństwach, którym stawiał czoło, zawirowały mu w mózgu.

- Słuchaj, dziewczyno! Jest jedyny ratunek dla nas jeżeli będziesz nam wierna. Biegnij do miasta do najbliższej tawerny i powiedz pierwszemu spotkanemu żołnierzowi, że jest tu żołnierz w groźnej opresji, lecz zbrojny, i mogą ocalić mu życie, jeśli się pośpieszą. Potem do burmistrza. Ale przede wszystkim do żołnierzy. Nie, ani słowa, tylko całusa, zacna dziewczyno, i leć! Od twych nóg zależy życie ludzkie.

Podkasła spódnicę, aby łatwiej jej było biec. Doszedł z nią aż do drogi, popatrzył, jak ją przebiegała i, kuląc się ze strachu, ześliznęła się, skręciła w nieprzenikliwy cień i zniknęła wśród, burzy.

Teraz musi już iść do Gerarda. Ale jak? Musiałby stawić czoło całej bandzie. Zapytywał siebie, co mogą zrobić najgorszego. Wielokrotnie bowiem doświadczył na wojnie, że nieprzyjaciół działa nie tak, jak się spodziewamy, lecz tak, jak spodziewamy się, że nie powinien postąpić.

- Napadną mnie, gdy będę wchodził do kuchni! Nie mogę im zostawić czasu.

Kiedy przybliżył się do zasuw, przysłała mu straszna myśl do głowy. „A jeśli już załatwili się z Gerardem?” „Wtedy pomyślał - trzeba tylko zabijać i zostać zabitym”. Napiął łuk i wszedł szybkim krokiem do kuchni. Siedem odrażających twarzy otaczało w krąg ogień, a oberzysta rozlewał im gorzałkę, która poprzedza zbrodnię w każdej epoce.

- Co widzę? Kompania! - zawołał wesoło Dionizy. - Czekaście, chłopcy, zaraz się do was przysiadam! - Chwył zapałkę ze stołu, otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową i wszedł na górę pokrzykując: - Co z tobą, Gerardzie, czego się kryjesz?

Cisza. Zawołał głośniejsze:

- Gerardzie, gdzie jesteś?

Po chwili, w czasie której Dionizy przeżył godzinę męczarni, dobiegł go nieartykułowany dźwięk z izby położonej na szczycie schodów. Żołnierz wpadł tam i zastał Gerarda śpiącego.

- Dzięki Bogu - powiedział załamującym się głosem i fałszując zaczął głośno wykrzykiwać przyspiewki. Gerard zatkał sobie uszy palcami; ale dostrzegł w twarzy Dionizego grozę dziwnie kontrastującą z tą nagłą wesołością.

- Co ci jest? - zapytał siadając na łóżku i szeroko otwierając oczy.

- Pst! - szepnęła Dionizy, a ruchy jego rąk przemówiły wyraźniej od ust. - Posłuchaj.

Wskazał znacząco na drzwi i widząc, że Gerard słucha w napięciu, śpiewał głośno dalej, rzucając pod tą osłoną krótkie urywane sylaby.

- (Nasze życie w niebezpieczeństwie)

- (Rabusie)

- (Kładź kubrak)

- (Miecz)

- (Pomoc)

- (Nadchodzi)

- (Mało czasu) - I głośno: - No, co, zejdziesz jeszcze na flachę? - (mów: „nie)

- Nie, ja nie.

- Ale tam jest pół tuzina przednich kompanów - (mów: zmęczony)

- Jestem zanadto zmęczony - rzekł Gerard. - Idź sam.

- O nie, nie! - podszedł do drzwi i zawołał wesoło: - Gospodarzu, maminsynek nie chce zejść. Postaw tym zacnym kompanom butelkę. Zapłacę za nią rano.

Usłyszał brutalny i dziki chichot.

Zauważywszy, że drzwi do kuchni są zamknięte i łotry chwilowo nie mogą ich usłyszeć, zbadał starannie drzwi pokoju i cicho je zamknął, lecz nie zaryglował, i poszedł obejrzeć okno.

Było za małe, aby się przez nie wydostać; zmniejszała je jeszcze gruba belka żelazna, wmurowana w kamień. W tym samym momencie, gdy zrobił to mrozące krew odkrycie, szcęknięły głośno ryglowane drzwi wejściowe.

Dionizy mruknął: - Zwierzęta już w jatce.

Czy jednak rabusie zaczekają z rozpoczęciem ataku aż do chwili, gdy ich ofiary zasną? Chyba tak.

Aby więc nie tracić najlepszej szansy, biedacy rozpaczliwym wysiłkiem starali się podtrzymać rozmowę, rozprawiając o codziennych sprawach, Gerard dowiedział się więc wszystkich szczegółów; Dionizy opowiedział mu też, że dziewczyna pobięła po pomoc.

- Proś niebiosa, żeby nie straciła w drodze odwagi - powiedział kusznik z troską w głosie i począł błagać Gerarda, by mu wybaczył, że sprowadził go z normalnej drogi z jej powodu.

Gerard mu przebaczył.

- Nie bałbym się ich tak bardzo, gdyby nie zbójca, którego zwą Opatem. Zauważyłem go od razu. Wyższy od ciebie, grubszy od nas obu razem. Walczy toporem. Powiadam ci, Gerardzie, mógłby prowadzić stado dzikich zwierząt do boju. Zabiję tego człeka dziś w nocy albo on mnie zabije. Myślę jednakowoż, że to on mnie zabije.

- Uchowaj Boże i wszyscy święci! Ustrzel go w drzwiach! Co znaczy jego siła przeciw twej broni?

- Przeszyję go, ale jeśli dojdzie do walki wręcz, biegnij prędko pod jego opiekę, inaczej zginiesz. Żaden z nas nie potrafi zatrzymać ciosu tego topora. Nigdyś nie widział takiego cielska człowieczego.

Gerard był za ryglowaniem drzwi, ale Dionizy westchnął i pokazał mu, że połowa drzwi obracała się na zawiasach do zewnątrz i wielka sztaba nie znaczyła więcej niż żaluzja.

- Nie chcę, żebyś to zamykał - powiedział - niech myślą, żeśmy mniej podejrliwi.

W ten sposób minęła prawie godzina, lecz wydała się wiekiem. Jednak była to zaledwie godzina, a miasto leżało stamtąd ledwie o jedno stajanie. Głosy w kuchni stawały się klótlive i niecierpliwe.

- Nie będą już długo czekali - powiedział żołnierz. - Nie mamy żadnej nadziei, jeśli ich nie zaskoczemy.

- Zrobię, co każesz - rzekł łagodnie Gerard.

Na tej samej ścianie co drzwi znajdowała się szafa, zaraz za nią było okno, które sięgało prawie do samej podłogi. Dionizy otworzył drzwi szafy i umieścił Gerarda na krześle za nimi.

- Gdy pobiegną do łóżka, wal prosto w kark. Taki cios zawsze zabija lub obezwładnia.

Następnie żołnierz ułożył w łóżku ich buty, uładził poduszki, aby oszukać kogoś zerkającego z daleka, i zaciągnął zasłonki u wezłowia.

Gerard padł na kolana. Dionizy rozejrzał się i westchnął.

- W pierwszym rzędzie pomódl się, aby mi wybaczyli, żem wciągnął cię do tej pułapki.

Przyjaciele uścisnęli sobie dłonie i spojrzeli sobie w oczy; ich spojrzenie wyrażało więcej niż słowa. Ręka Dionizego była zimna, Gerarda gorąca.

Zajęli wyznaczone stanowiska.

Dionizy zdmuchnął świecę.

Silne napięcie nerwowe wyostrzyło im słuch, słyszeli poprzez drzwi najcichsze szepty, normalnie niedosłyszalne dla nikogo. Słyszeli wzajemnie bicie swych serc.

- Dobra nowina - szepnął kusznik nadśluchując pod drzwiami.

- Ciągną losy.

- Módl się, by padło na Opata.

- Tak. Dlaczegoż to?

- Jeśli przyjdzie sam, dam sobie z nim radę.

- Dionizy!

- Tak.

- Czuję, że oszaleję, jeśli nie przyjdą prędko!

- Udać, że śpię? Chrapać?

- Czy to...

- Może.

- Próbuje, i niech Bóg zmiłuje się nad nami!

Dionizy zaczął miarowo chrapać. Usłyszeli tupot nóg w kuchni, potem znowu ucichło.

Kusznik znowu zachrapał. Potem zajął miejsce za drzwiami. Ale ten, czy też ci, na których padł los, nie chcieli, jak się zdaje, ryzykować. Woleli się nie spieszyć.

Gdy Dionizy i Gerard prawie zamierali z zimna, czekając na atak, drzwi na schody otworzyły się ostrożnie i zaraz zamknęły. I nic więcej.

Znowu zapadła dręcząca cisza.

Potem ciche kroki jednego człowieka na schodach i znowu nic.

Niebawem coś ciszej od myszy zaskrobało pod drzwiami i sztuczna połowa drzwi otworzyła się stopniowo, pozostawiając prostopadłą szparę, przez którą wpadł promień światła. Gdyby drzwi były zaryglowane, zawisłyby teraz na tej części sztaby, która wchodziła w prawdziwą połowę, teraz jednak uchyliły się delikatnie same. Otwierały się w stronę izby, więc Dionizy nie podniósł kuszy z podłogi, lecz tylko ścisnął sztylet.

Ktoś uniósł świecę i osłaniał jej światło dłonią. Z progu obejrzał łóżko, zadowolony, że obie jego ofiary pogrążone są we śnie.

Mężczyzna wślizgnął się do pokoju; lecz gdy uczynił pierwszy krok, zaniepokoiło go coś w położeniu komody i stołka. Nie miał odwagi wejść dalej, postawił świecę na podłodze i pochylił się, aby zajrzeć pod stołek. W tej samej chwili żelazna dłoń chwyciła go za ramię i sztylet wbił się z taką siłą w kark, że ostrze wyszło przez gardło. Zaharczał straszliwie, ale nie krzyknął; kilka cichych ciosów spadło szybko jeden po drugim, każdy z nich był śmiertelny, i oto morderca osunął się bezszelestnie na ziemię.

Dionizy zamknął drzwi, zaryglował je delikatnie, przyciągnął również część zewnętrzną i jeszcze czyniąc to, szepnął Gerardowi, aby podał stołek. Chłopak wykonał polecenie.

- Pomóż mi go posadzić!

- Trupa?

- Parbleu.

- Po co?

- Żeby ich nastraszyć! Zyskać na czasie.

Nie skończywszy jeszcze tych wyjaśnień, Dionizy owinał sznurem szyję zabitego i przywiązał go do krzesła. Upiorna postać siedziała na wprost drzwi.

- Dionizy, ja to lepiej zrobię. Wybaczcie mi, święci Pańscy!

- A co? Tylko spiesz się, nie mamy dużo czasu! Dionizy przygotował kuszę do strzału i, rozdzierając na sztuki słomiany materac, zasłonił ją od frontu. Był gotów do strzału przy otwarciu drzwi, nie miał już bowiem nadziei, żeby ktokolwiek wszedł jeszcze na górę pojedynczo, gdy stanie się jasne, że pierwszy nie wrócił.

W tym samym czasie Gerard zajmował się siedzącym trupem. Ku swemu zdumieniu Dionizy ujrzał świetlistą poświatę szybko się rozprzestrzeniającą wokół bladej twarzy zmarłego.

Gerard zapalił świecę i twarz zabitego zbladła mocniej jak głowa świetlika.

Kusznik zadrżał, zaszczekały mu zęby.

- Co to, na litość Boską? - szepnął.

- Pst! to tylko fosfor. Ale zrobi swoje.

- Odejdź, bo cię zaskoczą.

Rzeczywiście z dołu dochodziły gniewne pomruki i wreszcie ktoś odezwał się głębokim basem:

- Co on tam robi tak długo? Może łajdak ich rabuje? Podejrzewali więc swego kamrata, nie zaś przeciwników. Wkrótce schody zaskrzypiały pod szybkimi, lecz ostrożnymi krokami. Ktoś cicho spróbował poruszyć drzwi.

Kiedy drzwi się oparły, co było oczywiście niespodzianką, sztuczna ich część poruszyła się ostrożnie i czyjeś oko zajrzało przez otwór. Usłyszeli krzyk grozy. Mężczyzna stoczył się w dół i wpadł do kuchni, gdzie po jego powrocie buchnęła wrzawa jak przy budowie wieży Babel.

Gerard podbiegł do trupa złodzieja i wziął się na nowo do pracy.

- Odstąp, szalony! - szepnął Dionizy.

- Nie, nie. Znam tych tępych prostaków. Nie odważą się wejść tu teraz od razu. Mogę go zrobić jeszcze dziesięćkroć bardziej strasznym.

- Przymknij choć szparę! Niech cię nie zobaczą przy twojej diabelskiej robocie.

Gerard przymknął fałszywe drzwi i po chwili jego pędzel przeobraził głowę trupa w obraz, który mógł napęlić grozą każdego. Do dziwnego i może nigdy w historii ludzkości nie spotykanego dzieła użył swej sztuki. Zdobitł twarz wroga zabitego, aby przerazić wrogów żyjących: wytrzeszczone ślepia zamienił w ogniste kule; zęby pozostawił białe, aby tym straszniej kontrastowały z resztą, natomiast język i podniebienie wymalował jak płomień, a opadnięta szczeka ukazywała ponurą, głęboką i czerwoną jamę ustną, na brwiach napisał ognistymi głoskami LA MORT. W czasie tej jego pracy potężny, krzepki Dionizy drżał, obawiając się zemsty Niebios; każda bowiem odwaga ludzka innej jest natury. Zaś banda złoczyńców na dole kłóciła się już w głos, nic nie ukrywając.

. Piętnaście stopni prowadziło do kuchni, były one prawie pionowe; odległość więc między oblegającymi a oblężonymi była istotnie niewielka, do uszu naszych przyjaciół dobiegało teraz prawie każde słowo. Usłyszeli w końcu, jak któryś krzyczał:

- Powiadam wam, że diabeł go porwał i smaży tam w ogniu piekielnym. Wolę uciekać z tego przeklętego domu, niż znów iść na górę do izby, gdzie pełno złych duchów.

- Upiłeś się? Czyś oszalał? A może strach cię obleciał - odpowiedział inny.

- Nazwij mnie jeszcze raz tchórzem. Dostaniesz sztyletem i pójdziesz tam, gdzie Piotr płonie w ogniu wiecznym.

- Nie klócić się przed robotą - ryknął potężny bas - albo dam wam obu tak po łbie, że znajdziecie się tam, gdzie wszyscy idą wcześniej lub później.

- To Opat - szepnął Dionizy.

Czuł, że słowa mogły należeć jedynie do olbrzyma, którego widział przechodząc przez kuchnię. Cały dom drżał od jego głosu. Kłótnia trwała jeszcze jakiś czas, wreszcie zapadła cisza.

- Wyjrzyj, Gerardzie.

- Tak. Co teraz będzie?

- Zaraz się dowiemy.

- Czy mam czekać na ciebie, czy uderzać pierwszy, jak drzwi się otworzą?

- Czekaj na mnie, byśmy nie zmarnowali ciosu, rąbiąc tego samego. Nie stać nas na to, niestety!

Śmiertelna cisza.

Nagle zjawilo się w izbie coś nowego i serca im zadrzały.

Był to promień księżycy.

Tak niewiele trzeba maszynie ludzkiego organizmu, aby opanował ją strach i drzenie. Nagła smuga światła, ostra i czysta, wpadła do krwawej rzeźni.

Srebrna dusza księżycy, cicha i obca, przez wąskie okno wślizgnęła się do izby jak cienkie pasmo.

Opanowawszy strach, Gerard szepnął:

- Courage, Dionizy! To oko Boże jest nad nami nawet tutaj. - I upadł na kolana, zwracając twarz ku oknu.

Zaiste, jakby oko Boże spoczęło nagle na ludzkiej zbrodni i ludzkich namiętnościach. Po wielokroć to zimne, czyste oko patrzyło na krew i mord, niewiele jednak widziało scen bardziej upiornych od tej, gdy dwaj ludzie z oświetlonym trupem pośrodku, dysząc ciężko, czekali na chwilę, by zabijać i zostać zabitymi. Światło księżycy nie mogło przyćmić straszliwego blasku bijącego od trupa, dodawało mu jeszcze grozy, zabity bowiem siedział na skraju strugi promieni przecinających ostro ramię i ucho, które zdawały się niebieskie,

nienaturalne i upiorne przy owym niesamowitym blasku, w którym twarz, oczy i zęby świeciły straszliwie. Dionizy nie śmiał nawet zerknąć w tę stronę.

Księżyc kładł szeroki pas światła na drzwi, z których kusznik nie spuszczał oka. Szepnął niebawem:

- Gerardzie!

Gerard spojrział i podniósł miecz.

Mimo iż nasłuchiwali uważnie, nie usłyszeli żadnego szmeru na schodach. Ale tam - przy drzwiach, na skraju księżycowej smugi - ukazywały się końce palców.

Wślizgnęły się szpony.

Wnet zaczęły pełznąć, pełznąć w dół ku sztabie, lecz niesłychanie powolutku, ostrożnie i stopniowo dopelzły do księżycowego blasku. Nie można było zauważyć ruchu ręki, ale palce stawały się coraz bielsze, dłoń zaś między palcami i kciukiem pozostawała w ciemności. Kusznik z wolna unosił kuszę; złożył się do strzału i długo, starannie celował.

Gerard drżał cały. Wreszcie kusza szczęknęła. Usłyszeli ostry zgrzyt i oto dłoń została przygwożdżona do drzwi. Zbójca zaskowyczał przerażony.

- Tnij - szepnął zawzięty Dionizy i wzniesiony miecz Gerarda spadł w dół, przecinając kciuk dwoma szybkimi ciosami. Ciało spadło z jękiem na zewnątrz.

Ręka została nieruchoma, krew spływała po ścianie. Okrutny, lekko zgięty bełt przebił ją na wylot i utkwiał głęboko w drzwiach.

- Dwóch - rzekł ze straszliwym cynizmem Dionizy. Naciągnął kuszę i znów ukląkł za swą osłoną.

- Następny będzie Opat.

Ranny napastnik poruszył się i powłókł w dół do czekających na schodach towarzyszy, drzwi do kuchni zamknęły się za nim.”

Z dołu dochodziły teraz tylko ciche pomruki. Ostatnie zdarzenie przekonało zbójców, że broń obłożonych jest śmiertelna.

- Zaczynam przypuszczać, że odwaga Opata nie jest taka wielka, jak jego kałdun - rzekł Dionizy.

Jeszcze nie dokończył zdania, a w ciągu paru sekund wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością. Kuchenne drzwi otwały się z trzaskiem, ciężkie, lecz energiczne kroki zadudniły po schodach, wielki chłop pędził po nich nie usiłując się maskować. Jednym potężnym ciosem wyrwał drzwi z zawiasów, padły do wnętrza izby z taką siłą, że rozniosły fortyfikację Dionizego, i kusznik omal sam nie rozciągnął się na podłodze. Na progu stał olbrzym z lśniącem toporem w ręku.

Zobaczył trupa z twarzą oświetloną w połowie błękitnym blaskiem księżyca, rozjarzonego czerwienią z drugiej strony i w jamie opadniętej szczęki. Wytrzeszczył oczy, ramię mu opadło, kolana ugięły się, przykucnął ze zgrozy.

- LA MORT - wrzasnął przerażonym głosem, rzucając się do ucieczki. Dionizy podniósł się i strzelił mu w twarz, przeszywając szczęki. Olbrzym jednym susem wpadł do kuchni i tam, wsparłszy się na stylisku, pluł krwią, zębami, przekleństwami.

Dionizy napiął cięciwę i sięgnął za pazuchę. Wyjął rękę zmieszany.

- Wystrzeliłem ostatni belt - jęknął.

- Mamy miecze, a ty zabiłeś już olbrzyma.

- Nie, Gerardzie - rzekł poważnie Dionizy. - Nie zabiłem go. I co gorsza ranilem. Co za głupiec ze mnie! Strzelać do rejterującego lwa. Gdybym się w to nie wmieszał, nigdy już nie spojrzalby na twe dzieło.

- Ha! Ty bacz teraz! Słyszę, jak otwierają drzwi.

Dionizy zgnębiony jednym, popełnionym tej strasznej nocy błędem, był już przekonany, że nadeszła jego ostatnia godzina. Podniósł miecz, lecz jak człowiek skazany na śmierć. W tej jednak chwili światło ognia zamigotało na suficie.

Gerard poskoczył do okna i wyjrzał na dziedziniec. Zobaczył ludzi z pochodniami i czerwono lśniące pancerze.

- Jesteśmy ocaleni! Zbrojni nadeszli! - Błysnął mieczem przez okno, krzycząc: - Prędko! Prędko! W ciężkiej jesteśmy opresji!

- Wracaj! - zawył Dionizy - idą! Bij jeno w niego! Opat, w eskorcie dwóch innych opryszków z bronią gotową do ciosu, wpadł do izby. W tym samym momencie rozległo się głośne walenie do drzwi wejściowych. Towarzysze Opata słysząc to, przestraszeni łoskotem i blaskiem pochodni, rzucili się do ucieczki. Ale groźny Opat pozostał. Miotany wściekłością i bólem, wywalił swego zmarłego kompana wraz z krzesłem na środek izby. Trup ciągle patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami, więc olbrzym potężnym toporem jak miotłą oczyścił przestrzeń przed sobą i podniósł broń, by rozsiekać obu przeciwników na kawałki.

Dionizy i Gerard ustępowali mu siłą, ale nie zręcznością ani odwagą, a co najważniejsze, mieli ustalony plan ataku. Gdy olbrzym uniósł w górę topór, skoczyli na niego jednocześnie jak dwa koty.

Gdyby całym rozmachem wymierzył cios swoją bronią, mógłby zabić prawdopodobnie tylko jednego, drugi zaś na pewno wziąłby odwet. Opat wiedział o tym i równie roztropny jak silny, rąbnął ręką prostą w twarz Dionizego i w obrocie ciachnął stalowym ostrzem Gerarda. Dionizy zatoczył się do tyłu zalany krwią. Gerard runął naprzód

jak piorun i w momencie gdy spadało nań ostrze topora, wbił z taką siłą miecz w ciało olbrzyma, że rękojeść rąbnęła go w żebra jak cios pięściarza, a Dionizy cofając się chwiejnie do tyłu, aby dopomóc przyjacielowi, ujrzał stalowe ostrze sterczące z pleców Opat.

Przebity na wskroś olbrzym ryknął jak byk, upuścił topór i chwyciwszy potężnymi łapami gardło Gerarda, potrząsał nim jak dzieciakiem. Dionizy z wściekłym krzykiem ciął mieczem plecy Opat.

- Stój teraz prosto - ryczał i wbijał swój zimny stalowy brzeszczot coraz głębiej, tak że ostrze tym razem wyszło mu przez piersi.

Tak straszliwie dwakroć z obu stron na przestrzał przebity Opat drgnął gwałtownie i zaczął konwulsyjnie bić piętami w ziemię. Rozwarł szeroko zsiniałe wargi i wrzasnął: LA MORT! LA MORT! - LA MORT! Pierwszy ryk zabrzmiał rozpaczą, za drugim i trzecim razem był to już tylko zdławiony szept, którego nikt, kto słyszał, nie potrafi już w życiu zapomnieć.

Właśnie wyłamano bramę.

Nagle ramiona Opat zawirowały jak skrzydła wiatraka, a jego wielkie cielsko w straszliwym skłonie szarpnęło obydwu przyjaciół ku drzwiom, wykręcając niemal kiście z rąk i prawie zwalając ich z nóg.

- Jeszcze może zwyciężyć - krzyknął Dionizy. - Dobądź miecza i w niego.

Wyrwali dymiącą od krwi broń, ale nim uderzyli po raz drugi, Opat skoczył na wysokość całych pięciu stóp i runął ze straszliwym trzaskiem w dół, rozwalając drzwi jak arkusz papieru. Przez framugę buchnął blask pochodni, na pół oślepiając przerażone twarze ludzi wewnątrz gospody.

Zbójcy na pierwszy sygnał alarmu pognali w stronę tylnych drzwi, ale przepędzeni stamtąd przez silną straż, wrócili pędem do kuchni właśnie w chwili, gdy wyłamano zamek i gdy wpadło do wnętrza pół tuzina łuczników w zbrojach. W ostatecznej rozpaczycy sięgnęli po miecze.

Zanim jednak ktokolwiek zdołał użyć broni, straszliwy huk rozległ się za nimi na klatce schodowej, to runęło w dół ogromne ciało Opat rzucone, jak sądzili, ręką nie należącą do śmiertelnego człowieka, i potoczyło się po podłodze. Krew tryskała z piersi i pleców olbrzyma dwoma potężnymi strumieniami, ciało drgało jeszcze, ale zbój już nie oddychał.

Bandyci zdjęci grozą padli na kolana, a łucznicy związali ich, zaś uratowani podróżni stali jak wrośnięte w ziemię posągi, dzierżąc widoczne w czerwonym świetle pochodni, ociekające krwią miecze w dłoni i wyczekując, czy straszliwy wróg nie skoczy na nich znowu w równie cudowny sposób, w jaki żyć przestał.

ROZDZIAŁ XXXIV

- Gdzie są zacni podróżni?

- Tu jesteśmy. Bóg zapłać! Bóg zapłać! Rzucono się hurmem do schodów i pół tuzina twardych, lecz przyjaznych rąk wyciągnęło się ku nim z gorącym uściskiem.

- Ocaliliście nam życie, chłopcy - krzyknął Dionizy - uratowaliście nas tej nocy.

Ocaleni podróżni ujrzeli niesamowity widok na dole: izbę rozplamioną od pochodni, lśniącego napierśniki żołnierzy, ich spalone na brąz twarze, blade lica związanych zbójców i krwawiącego olbrzyma, którego trupa ci twardzi ludzie pozostawili na podłodze w kałuży krwi.

Gerard obszedł wszystkich łuczników i dziękował im uściskiem dłoni. Oczy mu płonęły - wszyscy żołnierze całowali go, Gerard oddawał pocałunki. Potem powiedział do przystojnego młodego, równego mu wiekiem łucznika:

- Zacny żołnierzu, proszę cię, dziwna senność mnie ogarnia. Nie pozwólcie nikomu poderżnąć mi gardła, na litość Boską, miejcie na mnie oko.

Łucznik śmiejąc się obiecał mu opiekę; myślał, że Gerard żartuje; ale chłopak niemal natychmiast zapadł w głęboki sen.

Dionizy zdziwił się nieco, ale nie oponował, odpowiadało mu to bowiem z pewnych względów.

Łucznicy oglądali ciało Opata, próbowali je obrócić nogą i zastanawiali się, który z nich dwóch mógłby zrzucić tego olbrzymiego łotra z piętra na dół w tak gwałtowny sposób. Muszą znać jakieś sztuki z bronią.

Dionizy początkowo prychnął lekceważąco i z pogardą, nie śmiał jednak pysznić się jawnie, mówiąc do siebie: „Obudzi się ten młody wagabunda i zaraz zacznie pleść, że to był palec Boży, a nie ręka śmiertelnika, i inne takie brednie i będę wyglądał jak głupi”. Teraz jednak widząc, że Gerard śpi jak kamień, nagle zaczął udzielać tak pożądanego wyjaśnienia.

- Widzicie więc, kamraci, wbiłem w niego miecz aż po rękojeść; a tu jeszcze ze dwóch uganiało się dokoła, musiałem więc odzyskać oręż lub zginąć: postawiłem mu nogę na brzuchu, dałem kuksańca ręką, kopniaka nogą i wysłałem draba na tamten świat. Umarł w powietrzu i ścierwo rąbnęło tu między was bez ceregieli, ażeście podskoczyli, ręczę za to. Ale na piki i łupy! Po cóż mleć językiem po próżnicy, skoro wszystkie te głupstwa już minęły? Buvons, camarades, buvons!

Łucznicy orzekli, że łatwo powiedzieć buvons, trudniej to jednak zrobić, nie ma bowiem żadnego trunku.

- Zaraz wam wynajdę trunek. Mój nos odznacza się naturalną skłonnością do wykrywania wina. Za mną, już ja mam nosa; przynieście pochodnię.

Wyszli z izby. Ujrawszy parę kamiennych schodków, zbiegli w dół i znaleźli się w rozległym, nisko sklepionym wilgotnym lochu. Był tu zaduch i pleśń; ze ścian zwisało tu i ówdzie coś, co zdawało się pajęczyną, a okazało się saletrą, która wydzielala się w kryształach z wilgotnych kamieni.

- Ach, jakże miły zapach pleśni - powiedział Dionizy - w takich miejscach zwykle kryje się dobre wino; dajcie bliżej pochodnię. O, do diaska! Co tam jest w kącie? Kupa łachów? Nie, to człowiek.

Stanęli w krąg, świecąc sobie pochodnią, i ujrzeni przykucniętego, bladego jak ściana i drżącego ze strachu mężczyznę.

- To przecie oberżysta - powiedział Dionizy.

- Wstawaj, podły tchórze! - wrzasnął jeden z żołnierzy.

- Popatrz, chłopie, złodzieje skrupowani, a ci, co ich wiązali, chodzą o suchym pysku. Wstawaj i dawaj wina, nie widzę tu żadnych butelek.

- O, to łotry w łykach? - wymamrotał poblady oberżysta - dobre wieści, ichmość panowie. Wiwinka? zaraz podaję, czcigodni panowie.

Podniósł się niepewnie i chciał prowadzić do piwnicy z winem, ale Dionizy zaoponował:

- Nie wiecie wszystkiego, kamraci. On jest w zмовie z rabusiami.

- Biadaż mi, zacny żołnierzu, jakżeż mógłbym należeć do szajki przeklętych, rabusiów! Gdzie tu sens?

- Dziewka tak rzekła.

- Dziewka! Jaka dziewczyna? Ach, przeklęta zdrajczyni!

- Czekaj - powstrzymał go inny łucznik - dziewczyny tu nie ma, poszła do burmistrza. Niech sobie mieszczanie rozsądzą, czy ten tchórz jest winien, czy nie; nie złapaliśmy go na gorącym uczynku i niech lepiej naleje nam wina.

- Zaraz, zaraz - bystro zauważył Dionizy. - A dlaczego przeklinał tę dziewczynę? Jeśli to uczciwy człowiek, powinien ją błogosławić jako i my!

- O nie, zacny panie - odpowiedział oberżysta. - Od dobrego imienia zależy mój kawałek chleba i przekląłem ją, usłyszawszy od was, jak mnie zniesławiła.

- Tfu! Myślę, żeś rabuś, a któryż złodziej nie łże jak najęty? Trzymajcie go zatem, kamraci. Więzień może nalewać wino, jeśli mu rąk nie związali.

Gospodarz nie sprzeciwił się, przeciwnie, powiedział, że z największą przyjemnością wskaże im swój skromny zapas win, ma jednak nadzieję, że zapłacą za to, co wypiją, ponieważ za dwa miesiące musi opłacić dzierżawę.

Łucznicy śmiali się zgryźliwie z jego naiwności. Jeden położył mu ciężko rękę na ramieniu, inny prowadził z pochodnią.

Zbliżyli się już do progu, gdy Dionizy zawołał:

- Stój!

- Co tam?

- W tym kącie są butelki; daj światło.

Żołnierz z pochodnią skierował się w jego stronę. Dionizy końcem pochwy swego miecza przeszukiwał kupę łachmanów, na której kuczał przed chwilą oberżysta.

- Nie, nie - krzyczał gospodarz - wino mam w następnej piwnicy. T u nie. ma nic.

- To „nic” jest porządnie twarde - rzekł kusznik i wyciągnął ze stosu jakiś przedmiot.

Okazało się, że to tylko kość.

Dionizy rzucił ją na podłogę: wydała łoskot.

- To tylko kości z kuchni - powiedział gospodarz.

- Dotąd nie było nic. Teraz, gdy coś znalazłem, to jeno kości. Tu jeszcze jedna. Spójrzyj! Hm, kamracie, wy też chodźcie i dajcie tu onego niewinnego łotra.

Łucznik z pochodnią, imieniem Filip, podniósł kość do światła i obracał ją uważnie w palcach.

- No, co? - spytał Dionizy.

- Ano, gdyby to było pobojuwisko, rzekłbym, że to kość goleniowa człowieka, ani chybi... Ale to nie pole bitwy, nie cmentarz, jeno oberża...

- Prawda, kamracie, ale błada jak płótno gęba tego drania mówi, że to pole bitwy, jasne jak słońce. I w tym blasku poznaję te kości. Przysuń no bliżej gębę. Jak zginie polec słoniny, a pies nie patrzy ci w oczy, tylko kuli ogon między nogi, to gdzie szukasz złodzieja? Zacni bracia, mój rozum się nie myli. Im głębiej sięgam, tym więcej znajduję. Gdyby te kości przemówiły, skóra ścierpłaby uczciwym ludziom, co by tego słuchali.

- Biada mi, młodzieńcze, cóż za ohydne bajki wymyślasz! To kości wołów, owiec i kóz, nie zaś, jak myślisz, mężczyzn i kobiet. Uchowaj Boże.

- Zamknij pysk! Twoje słowa to wiatr. Masz do czynienia z żołnierzami, a nie z mieszczuchami, którzy nie potrafią odróżnić gnatów cielących od żeber swych własnych przodków. Każdy z nas chodził szukać szczątków drogich kamratów i znajdował ich kości tak do czysta obrane przez kruki jak te, które oporzadziliście, jak sądzę, tutaj wraz z twymi

wspólnikami. Mężczyźni i kobiety, powiadasz? Patrzcie, patrzcie, albo to wspominałem tu choć słówko o kobietach? Nawet dziecko musiałoby cię podejrzewać. Pole bitwy, kamraci! A czyż ten dom nie był jeszcze pół godziny temu polem bitwy? Pchnijcie mi go tu bliżej, chcę przyjrzeć się jego gębie: a to co, nędzny pacholku? - i podsunął mu nagle przed oczy niewielki przedmiot.

- Niestety. Nie wiem.

- I ja nie mogę przysiąc; ale zbyt. mała to kość jak na palec mężczyzny. Bracia, zimno mi się robi. Cmentarz, dalibóg, cmentarz.

Wyrwał miecz z pochwy i zaczął rozrzucać kupę ziemi, skorup glinianych i kości po podłodze.

Oberżysta przekonywał go, że traci na próżno czas.

- My biedni gospodarze, grzeszni ludzie - skamlał - oszukujemy na miarze i dolewamy wody do wina; życie nas do tego zmusza, gnębią prawa niesprawiedliwe, aleśmy nie zbrodniarze. Co by nam przyszło z mordowania naszych gości? Niech mnie tu na miejscu piorun niebieski spali, jeśli, panie, znajdziecie tu inne kości niż zwierzęce, resztki od mięs pieczonych w kuchni. Dziewka kuchenna tu je wyrzuca, klnę się na święte imię Matki Bożej, na świętego Pawła, Dominika i Dionizego, mego świętego patrona. Ach!

Dionizy przystanął mu przed oczy kość w śmiertelnej ciszy. Tego szczątku żaden już człowiek, choćby był ignorantem czy kłamcą, nie mógł wziąć za kość owcy lub wołu. Ten widok zamknął łgarzowi usta i zmroził serce, choć był on bez serca.

Włosy w widoczny sposób zjeżyły się na głowie oberżysty, ugięły się pod nim kolana, jakby mu nogi podcięto. Ale łucznicy pchnęli go brutalnie, zmusili, by stał prosto i patrzył przy świetle pochodni na trupa czaszkę. Biała, ale nie bledsza od twarzy zbrodniarza, patrzyła pustymi oczodołami na swego zabójcę, otwierającego coraz szerzej pobladłe usta, które nie mogły wydać dźwięku.

- Patrz - rzekł uroczyście Dionizy, drżąc z wściekłości - patrz w oczodoły, z których wyrwałeś oczy, niech ten widok wypali ci ślepią, które kruk wydłubie, nim tydzień dobiegnie końca. Trzymaj tę czaszkę, póki nie skończę szukać. Trzymaj, mówię, bo nie będę czekał na szubienicę - groził drżącemu łotrowi nagim mieczem, póki nie ujął w obie dłonie czaszki i nie zatrzymał jej, prawie mdlejąc. O, gdybyż każdy morderca i taki, co zbrodnię knuje, mógł ujrzeć go chorego i chwiejącego się ze zgrozy, ze zjeżonym na głowie włosiem, trzymającego wystygłą czaszkę - człeka, co czuje, że i jego własna czaszka rychło stanie się do tej trupiej podobna! Wkrótce przeszukano stertę kości, znaleziono tam nie jedną ani nie dwie jeszcze lub

trzy, lecz o wiele więcej czaszek ludzkich. Łajdak oberżysta witał jękiem każde następne odkrycie.

Nagle z ust Dionizego wydobył się rozpaczliwy krzyk, dziwny u tak śmiałego i twardego mężczyzny; żołnierz uniósł ku światłu pochodni bujny kłęb włosów ludzkich. Były to piękne kobiece włosy, spływające ku ziemi złocistą, lśniąca falą. Na ten widok łucznicy szarpnęli mimo woli trzymanym za kark łotrem; on zaś zaskomlał.

- Miałem siostrzyczkę z takimi jasnymi, lśnącymi włosami - wykrztusił Dionizy. - Jezu, może to jej! Zabierzcie co rychlej mój miecz i sztylet, bo nie zdzierzę, trzymajcie go z dala od mej ręki, bo zarąbię i ominie go szubienica. A ty, biedna, niewinna ofiary, na której główce lśniły te prześliczne włosy, słuchaj mnie, przysięgam ci na klęczkach, że nie zostawię tego czelaka, dopóki nie ujrzę na własne oczy, jak go łamią kołem na strzepy, choćby jeno za ciebie jedną.

Uniósł zgięte kolano. „Choćby miał tyle żywotów, ile tu jest włosów, będę miał je wszystkie, przysięgam Panu Bogu” - i wetknął pęk włosów za pazuchę. Ogarnięty nagłą furią chwycił oberżystę za kark, pchnął go brutalnie na kolana i nogą wepchnął mu twarz między kości ofiar, tam gdzie leżał ich najwyższy stos. Morderca wrzeszczał, potem zawył i zaskomlał jak pies, który wyje i skomli, gdy siłą wetknąć mu nos w zajączka czy inne zabite niewinne stworzenie, które rozszarpał.

- Pożycz mi swojej cięciwy, Filipie! - Przewlekał ją kolejno przez oczodoły wszystkich czaszek i powiesił upiorny naszyjnik śmierci i zbrodni na szyi zbrodniarza, popchnął go kopniakiem i wrzucił do kuchni, gdzie był już jeden z rajców miejskich, który przybył w asyście strażników i przyjmował właśnie zeznanie któregoś z żołnierzy.

Poważny obywatel miejski zgorszył się widokiem oberżysty zalanego krwią od skaleczeń zadanych mu kośćmi własnych ofiar i przybranego w okropny kołnierz. Ale Dionizy, ciężko dysząc z oburzenia, szedł tuż za nim i w kilku żarliwych słowach wyjaśnił rzecz.

- Zwiążcie go wraz z innymi - powiedział surowo rajca. - Mniemam, iż jest z nich wszystkich najpodlejszy.

Związany łotr błagał pokornie, by pozwolono zdjąć z niego czaszki.

- Hm! Nie zarządziłbym nigdy zaiste, by coś podobnego włożono na śmiertelnika - odrzekł rajca. - Ale jeśli już ten kołnierz włożono, nie skinę palcem, by go zdjęto. Zda mi się, słusznie ci on przystoi, zbrodniarzu. Oto twój znak i słusznie wisi nad sercem tak nikiemnym.

Zapytał z kolei Dionizego, czy sądzi, że ujęli już całą bandę, czy tylko jej część.

- Było ich siedmiu, wasza miłość, i ten oberżysta - odparł Dionizy. Jednego ubiliśmy na górze, jednego trupa zapchnęliśmy w dół, reszta siedzi w pętach przed wami.

- Dobrze! przynieście trupa z góry i złożcie go obok tamtego, którego kazałem stąd zabrać:

Usłyszeli nagle zrzędny, podobny do gdakania perliczki głos:

- A co to, a co to, gdzie jest ręka, chcę ją widzieć - przemówił mały, cherlawy skryba.

- Znajdziesz ją na górze przybitą beltem do odrzwi.

- Dobrze! - Jaki wspaniały będzie widok naszych piéces de conviction - szepnął zwierzchnikowi i zaczął spisywać dowody rzeczowe, wymieniając każde z osobna skrzypiącym głosem w miarę zapisywania. Czaszki - kości - włosy niewiasty - ręka złodzieja - topór - 2 trupy - 1 belt kuszy. Następnie uznał, że musi koniecznie osobiście przeszukać piwnicę: może tam jeszcze znaleźć jakiś inny bezcenny dowód, na przykład ucho lub nawet kolczyk. Uzyskawszy zgodę rajcy, chwycił pochodnię i pospieszył do lochu. Wtem wydarzył się wypadek, który nie tylko go powstrzymał, ale dosłownie zmiotł ze dwa kroki w przeciwnym kierunku.

Strażnicy wkroczyli właśnie gęsiego na schody prowadzące na górę.

Ich dowódca, idący na czele pochodu, ujrawszy fosforyzującego trupa, który siedział na brzegu łóżka, stanął jak wryty i zastygł ze zgrozy. Z każdą chwilą ogarniało go coraz większe przerażenie, wydał z siebie przypominający wycie wrzask i szybko umknął. Zapomniał o schodach i spadł wstecz na stojącego tuż za nim towarzysza; ten zaś, przestraszony krzykiem i ujrawszy coś przerażającego, już sam walił się do tyłu i nie mógł utrzymać dowódcy, który, jak większość dowódców straży, był potężnych rozmiarów i odznaczał się piękną wagą. Ci dwaj porwali za sobą trzeciego, trzeci czwartego; wpadli do kuchni i siedli na podłodze, układając się jeden na drugim jak sekwens rzucony na karciany stół. Skryba, biegnący chyżo z pochodnią, runął pod czwartego strażnika, który z rozpędem proporcjonalnym do masy zważył go natychmiast na plecy jako asa całej piątki; leżał więc, kopiąc i machając pochodnią, na pozór tryumfalnie, w rzeczywistości zaś rzucając się konwulsyjnie, jako że stracił pod wpływem wstrząsu oddech i resztę rozsądku.

- Co się tu znów dzieje na litość Boską? - krzyknął rajca, poderwawszy się niespokojnie z miejsca. Dionizy wyjaśnił mu wszystko i zaoferował się asystować jego miłości.

- Niechaj będzie - zgodził się starszy miasta.

Jego ludzie poderwali się zawstydzeni, dostojnik sam ich poprowadził i zbadał wszystkie pomieszczenia na górze i na dole. Przesłuchanie więźniów odłożono do konfrontacji z dziewczką służebną.

Przed świtem w sieć wpadli, żywi i nieżywi zbójcy, wszystkie, dowody zbrodni i kary. W prawie pustej gospodzie zapanowała cisza. Pozostał na miejscu jeden tylko strażnik i Dionizy z Gerardem, pogrążonym jak dotychczas w głębokim śnie.

ROZDZIAŁ XXXV

Wreszcie Gerard otworzył oczy i ujrzał czuwającego przy nim, nieco zaniepokojonego już Dionizego.

- Ależ to śpisz! Przecie południe minęło.

- Był to błogosławiony sen - odrzekł Gerard. - Tuszę, że Niebiosa mi go zesłały. Odgrodził gęstą zasłoną wszystko, co działo się tej strasznej nocy. Trudno sobie wprost wyobrazić, że siedzimy tu zdrowi i cali. Wydaje mi się to okropnym snem.

- Roztropnie patrzysz na one sprawy, chłopcze; skoro minęły - jeno snem są, cieniem. Zjedz coś, a przestaniesz całkiem o tym myśleć. Obiecałem w południe zabrać cię do miasta i obaj mamy stawić się przed obliczem jego miłości.

- Po co?

- Na przesłuchanie; chciał cię w owym celu zbudzić, alem mu nie pozwolił, obiecawszy przyprowadzić cię rano.

- Nie możesz więc z mego powodu złamać słowa.

Gerard umoczył kromkę żytniego chleba w czerwonym winie i zjadł go na śniadanie, po czym obszedł wraz z Dionizym miejsca wczorajszej walki, wrócił stamtąd drżący jeszcze z wrażenia; wreszcie wyruszył wraz z przyjacielem w drogę, zerkając przez płoty i nierozsądnie spodziewając się nagłego napadu. Odzyskał spokój dopiero wówczas, gdy doszli do miasteczka. Dionizy zaprowadził go do gospody „Pod Białym Jeleniem”.

- Tu już nie bój się zbójców - powiedział. - Znam właściciela tej gospody od wielu lat. Jest obywatelem miejskim, ma nadzieję zostać burmistrzem. Tutaj zdążyłem wczoraj. Aleśmy stracili sporo czasu w drodze, noc nas zaskoczyła i -

- Zoczyłaś niewiastę w drzwiach i chciałaś być mądrzejszy od Janeczki. Ostrzegła nas, że wszystkie kobiety są nikczemne.

- A kto ocalił nam życie, jeśli nie niewiasta? Jeszcze nadstawiła swoje!

- Praw jesteś, Dionizy. I choć nie dbam o niewiasty, chciałbym podziękować tej biednej dziewczynie i wynagrodzić ją - choćbym miał oddać pół mej sakiewki. A ty nie?

- Parbleu.

- Gdzie ją znajdziemy?

- Może rajca nam powie. Musimy wprawdzie iść do niego. Rajca przyjął ich z bardzo dziwnym i niezrozumiałym wyrazem twarzy. Po chwili zastanowienia uśmiechnął się jednak ponuro, wreszcie rozpoczął przesłuchanie Gerarda i zapisywał odpowiedzi; po czym zawiadomił ich, że muszą pozostać w mieście aż do procesu opryszków i być do dyspozycji sądu jako świadkowie pod karą grzywny i więzienia. Nasi podróżni słuchali tego zaskoczeni.

- Niedługo to potrwa - dorzucił rajca - ponieważ winnych schwytano na gorącym uczynku. Wy zaś zwiedźcie miasto, którego nie możecie przez tydzień opuścić.

Dionizy spojrział na niego zdumiony tą uwagą, a Gerard uśmiechnął się z naiwności starego rajcy, który przypuszczał, że prowincjonalne miasteczko burgundzkie mogło być przynętą zatrzymującą go w drodze do Rzymu i Małgorzaty.

Przeszedł obecnie do tematu, który był w tej chwili najbliższy ich sercom.

- Wasza miłość - powiedział - nie możemy odnaleźć w mieście naszej dobrodziejki.

- A któż jest waszą dobrodziejką?

- Owa zacna dziewczyna, która przybiegła do was nocą i ocaliła nam życie, nadstawiając własne. Nasze serca pałają chęcią, by odwdzińczyć się jej i podziękować. Gdzież ona?

- Och, i ona jest w więzieniu.

ROZDZIAŁ XXXVI

- Jak to w więzieniu, czcigodny panie? Dalibóg, cóż to złego uczyniła?

- Ano świadkiem jest i może koniecznie potrzebnym.

- Ależ, wielmożny panie burmistrzu, tuszę, że nie przymykacie przecież wszystkich świadków? - wtrącił się Dionizy.

Rajca, mile pogłaskany tytułem burmistrza, stał się bardziej rozmowny.

- W wypadku zabójstwa zatrzymujemy wszystkich świadków, których podejrzewamy, że mogą uciec i udaremnić sprawiedliwość, przeto zawsze zamykamy kobiety. Mężczyzna bowiem w ciężkich chwilach wytrzyma tydzień, nie odmieniwszy zdania, a niewiasta, jeśli nawet spełni swój obowiązek wobec królestwa w piątek, odmieni gust w świętek albo choć spróbuje to uczynić. Gdybyście dziś chcieli porozmawiać z ową dziewczką, usłyszycie, jak

beczy, że wysłała pięciu chłopów na szubienicę. Żeby to były niewiasty, można by było jeszcze poprzestać na wezwaniu sądowym, boć one nienawidzą się wzajem i wtedy mają krztynę oleju w głowie. Ale mniemam, inny był powód przymknięcia owej dziewczki. Podaj mi, młody panie, te zeznania. - Założył na nos okulary. - A jakże! ona jest podejrzana, że była członkiem bandy.

Dionizy i Gerard odpowiedzieli zgodnym okrzykiem protestu.

- Nie próbujcie mnie zakrzyczeć - rzekł rajca. - Macie tu czarno na białym: „Jan Hardy (to jeden z tych rabusiów) w czasie przesłuchiwania zeznał, że: e, e, e - już mam - „dziewka imieniem Manon służyła jako przynęta, a jej kochanek Jerzy Vipont, członek naszej bandy, został powieszony w zeszłym miesiącu; ona zaś od tego czasu chodziła strapiona i głośno oskarżała pozostałych o jego śmierć, powiadając, że nigdy by go nie złapano, gdyby nie ich tchórzostwo, i wedle jego mniemania zdradziła ich jeno z tej złości i -”.

- Wedle jego mniemania! - krzyknął z oburzeniem Gerard. - Cóż znaczy mniemanie obwiesia, który mści się za to, że go wydała w ręce sprawiedliwości. Cóż warte takie świadectwo? Czyż złodziej nigdy nie kłamie? Czyż zawsze nie jest łgarzem? Czyż nie ma powodów do kłamstwa? Zemsta! Zaprawdę najsilniejsza to ze wszech namiętności. Cóż to za szaleństwo, panie, pytać o zdanie oskarżonego łotra i słuchać jego łgarstw, którymi szkaluje poczciwość - jakby był zacnym człkiem, co przysięga w biały dzień z ręką na Ewangelii!

- Młody człowieku - odrzekł rajca - hamuj swój zapał w obliczu władzy! Poznaję po twej mowie, żeś cudzoziemcem. Dowiedz się zatem, że w tym kraju przesłuchujemy każdego człowieka. Nie jesteśmy tak słabi, aby sądzić, iż dojdziemy prawdy zamykając raz lewe, raz prawe ucho.

- Przeto słuchalibyście szatana, rzucającego kalumnie na świętych!

- Ta, ta, ta! Prawo zajmuje się jeno mężczyznami i niewiastami, a ci nie mogą wymyślić samych kłamstw, choćby próbowali. Dlatego nie zamykamy, jak się to mówi, drzwi stodoły przed ziarnem żadnego człeka. Dopiero gdy je zbierzemy, wiejemy i przesiewamy. Któż ci to rzekł, żeś połknął ową złodziejską opowieść jak wodę kryniczną. Zaiste, nie jest tak. Musiałem wszakże tyle jej dać wiary, ile potwierdziło lepsze świadectwo.

- Lepsze świadectwo? - Gerard spojrział zakłopotany. - Któż prócz bandy mógł jeszcze rzec choćby słowo przeciw niej?

- Dziewka we własnej osobie, dalibóg!

- Ona sama, panie? Czy i ją przesłuchiwaliście?

- Mówiłem wam, że przesłuchujemy wszystkich. Oto jej zeznanie. Umiesz czytać, młodzieńcze? Czytaj więc sam.

Gerard spojrział na Dionizego i odczytał mu na głos.

Zeznanie Manon

„Pochodzę z Epinal. Opuściłam moje rodzinne strony, bom była nieszczęśliwa: nie mogłam pokochać chłopca, którego mi swatali. Ojciec bił mnie, więc uciekłam. Poszłam do służby. Opuściłam służbę, bo pani była o mnie zazdrosna. Wypędzając mnie powiedzieli, że z powodu mojego zuchwalstwa. Łońskiego roku stałam na rynku z innymi dziewczuchami, aby się nająć do służby. Najął mnie gospodarz z oberży Pod Dobrą Gwiazdą. Służyłam tam jedenaście miesięcy. Młody człowiek zalecał się do mnie, ja go kochałam. Miarkowałam, że podróżni przybywają do nas i nigdy nie odchodzą. Powiedziałam kochankowi. Kazał mi siedzieć cicho. Groził. Dowiedziałam się, że był jednym ze zbójcekiej bandy. Kiedy mieli obrabować podróżnych, oberżysta wychodził i zwoływał bandę. Płakałam i modliłam się za dusze podróżnych. Nigdy nic nie mówiłam. Przed miesiącem zginął mój luby. Żołnierz jest do niego podobny, miał taką samą brodę i przypominał mi tego, którego straciłam. Nie wiem, czybym ich ratowała, gdyby nie miał brody. Teraz żałuję, że powiedziałam”.

Papier o mało nie wypadł z rąk Gerardowi. Przekonał się teraz, że Manon była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Znał bezwzględność prawa i zawziętość prawników. Ukląkł nagle, rzucając się do nóg rajcy.

- Pomyślcie, panie, o różnicy między tymi okropnymi ludźmi a słabą niewiastą! Czy miałbyś serce posłać ją wraz z nimi na śmierć? Czy miałbyś serce skazać nas na to, byśmy patrzyli na jej mękę - wszak gdyby nie nadstawiała dla nas swego życia, nic by jej nie groziło! Biada nam, panie, miej litość dla mnie i mego kamrata, jeżeli nie masz jej dla owej biedaczki. Dionizy i ja jesteśmy uczciwymi ludźmi, złamiesz nam serca, zabijając tę biedną prostą dziewczynę. Cóż moglibyśmy wtedy uczynić? Cóż by nam pozostało, jak jeno podciąć sobie gardła u stóp jej szubienicy!

Rajca był człowiekiem twardym, lecz tylko śmiertelnym; błaganie i podniecenie Gerarda zdumiało go, potem wzruszyło. Okazał swe uczucie w dziwny sposób. Stał się zgryźliwy i rozdrażniony.

- Wstawaj - powiedział - jeszcze nikt tak długo do mnie nie mówił. Daniel! Wołać tu miejskiego syndyka.

Do funkcjonariusza, który stawiał się na wezwanie z sąsiedniej izby, powiedział:

- Ten głupi chłopak skamle tu o dziewczkę! Czy możemy uczynić ustępstwo? Powiedz, iż dopuszczamy ją jako świadka, i przepytaj łagodnie.

Ale syndyk miejski był jednym z tych ludzi, dla których wszystko jest „niemożliwe”.

- Nie, nie, nie mozem tego zrobic: jej sprawa inna jest. Gdyby jeno pomagala, moglibyśmy jej przebaczyć i dopuścić ją jako świadka.

Gerard wybuchnął gniewem: - Ależ ona postąpiła lepiej! Zamiast im pomagać, sprzeciwiła się zbrodni i ofiarowała jako świadek, przybiegając tu z wiadomością.

- Pst, młodzieńcze; tu chodzi o prawo.

Rajca i syndyk wdali się teraz w długi dyskurs, jeden podtrzymywał, a drugi zwalczał pogląd, że w świetle prawa Manon odgrywa taką rolę, jakby uczestniczyła w usiłowaniu pozbawienia życia naszych podróżnych. Różnica zdań przyniosła szczęście Manon; rajca zirytował się wreszcie wywodami syndyka miejskiego, który twierdził, że zastępca burmistrza nie może zrobić tego ani owego, co by chciał, i orzekł: „a ja ci pokażę, że mogę uczynić wszystko, co postanowię”. Wypuścił więc Manon na wolność, gospodarza „Białego Jelenia” mianował poręczycielem, Dionizy złożył w jego imieniu pięć sztuk złota okupu, a dziewczyna obiecała, nie bez paru szturchańców Dionizego, że zgłosi się jako świadek. Zastępca burmistrza, gdy zwalniał więźniarkę, ulżył swemu sumieniu, wygłaszając krótkie przemówienie, w którym wyłożył powody swej pobłażliwości.

- Miasto musi dla każdego wisielca zakupić nowy sznur i ofiarować go bourreau lub też wynagrodzić go umówioną kwotą pieniędzy - wedle zaś opinii zastępcy burmistrza, Manon nie jest godna tego wydatku w takim stopniu jak jej byli sojusznicy - zdeklarowani zbrodniarze. Władze municypalne zaoszczędzą więc sobie zbytecznego ekspensu.

Dionizy i Gerard zabrali dziewczynę; Gerard tańczył dokoła niej z radości. Dionizy starał się podtrzymać w niej ducha, zapewniając o niewątpliwym zgonie człowieka, który tak niepokoi jej serce, a Manon szlochała rozpaczliwie. Na drodze pod „Białego Jelenia” zebrał się tłum ludzi, którzy od łuczników znali historię dziewczyny. Żołnierze oczywiście przedstawili ją życzliwie w najlepszych barwach, toteż ludzie wydawali okrzyki na cześć Manon i dodawali jej otuchy, tak że dziewczyna, czując ogólne poparcie i uznanie, poweselała. Oberżysta, który natychmiast zrozumiał, że obecność Manon w gospodzie ściągnie mu gości, przyjął ją uprzejmie i przydzielił izbę na piętrze. Tam zamknęła się i zostawszy sama, znów tonęła we łzach.

Biedna prosta dziewczyna czuła się jak na falach, miotana raz po raz w górę i w dół, w górę i w dół. Nasi przyjaciele zobowiązali oberżystę, aby był dla niej dobry, ale strzegł jej jak więźnia, nie dając tego odczuć. Gdy wyszli na ulicę, ujrzeli dwie procesje zbliżające się ku nim z przeciwnych stron. W pierwszej szły liczne gromady gapiów z hałasem i wyciem, nieopisanymi krzykami, które w szczególnych czasach równają ludzi ze zwierzętami polnymi i leśnymi, ujawniając pokrewieństwo, które w późniejszych epokach udaje się nam ukryć. W

drugim pochodzie szło z wolna i w głębokiej ciszy kilkoro zakonnic i mnichów. Zbiegowisko otaczało więźniów, których wiedziono pod pręgierz na rynek miejski; duchowni odprowadzali kości ofiar na cmentarz.

Obie grupy spotkały się na wąskiej ulicy przy wejściu do oberży i długo nie mogły wyminąć wzajemnie; trumna z śmiertelnymi szczątkami prawie zawadziła o wózek, na którym jechali mordercy - sprawcy śmierci, którzy za parę godzin sami mieli iść na śmierć. Tępy tłum nie od razu zrozumiał ponury sens tego spotkania, jednak po chwili jakaś kobieta krzyknęła:

- Patrzajcie no na swoje dzieło, łajdaki! - i okrzyk ten stał się żagwią niosącą pożar; rozległo się straszliwe wycie, zbójcy zaskomleli ze strachu i usiłowali zgiąć karki w pałąk i ukryć głowy na piersi, ale nie mogli się poruszyć, mając skrępowane ręce. Stali więc jak posągi rozpaczy, bladzi, rozszerzonymi trwogą oczami patrząc na trumnę i zazdroszcząc swym ofiarom, które posłali w krainę cieni. Teraz sami mieli tam pójść za tamtymi. A dwaj ludzie, za których przyczyną wyruszyły oba owe pochody, stali i patrzyli z powagą; nawet Manon, usłyszawszy zamieszanie, podeszła do okna i zwyczajem niewieścim, zakrywając twarz dłońmi, zerkąła, drżąca, przez palce.

To dziwne spotkanie rozdzieliło Dionizego i Gerarda. Pierwszy, wiedziony ciekawością i żądzą zemsty” poszedł na rynek, drugi zaś zdjął czapkę i pobożnie przyłączył się do żałobnego orszaku, idąc za trumną ofiar, których los omal że nie stał się jego własnym. Przez pewien czas był jedynym uczestnikiem świeckim w żałobnym pochodzie; gdy jednak wyszli na przedmieście, z dala od silniejszych wrażeń, których dostarczał rynek - niejeden rzemieślnik porzucił narzędzia, niejeden kupiec opuścił sklep i tknięty litością lub w poczuciu ludzkości - może zresztą brał przykład z Gerarda - szedł z odkrytą głową za pogrzebem i towarzyszył modłom kościoła przy składaniu owych szczątków na wieczny spoczynek w poświęconej ziemi.

Po zakończeniu obrzędów Gerard podszedł z uszanowaniem do proboszcza i chciał opłacić mszę za dusze pomordowanych.

Gerard, syn Katarzyny, zawsze oglądał grosz z obydwu stron, zanim go wydał; próbował więc zakupić mszę po nieco niższej cenie, zważywszy szczególne okoliczności. Ale zacny proboszcz uprzejmie, lecz zręcznie udaremnił zamiar i stanowczo ustalił kwotę wedle ceny rynkowej.

W czasie tych pertraktacji odkryli u siebie podobne uczucia. Pobożność i roztropność często idą w parze: rzadko jednak rozwijają się tak dalece jak u obu tych ludzi. Spór o ceny usług religijnych wzbudził w nich wzajemny szacunek, jakby rycerz spotkał godnego w walce

przeciwnika. Poza tym zacny curé bardzo lubił ploteczki, a dowiedziawszy się, że jego klient był jednym z pogromców szajki z Domfront, zaprosił go do rozmównicy i wysłuchał całej historii z ust Gerarda. Poczł sympatię do młodzieńca i rzekł:

- Bóg okazał ci swą łaskę. Dzięki mu za to składam z całego serca. Jesteś dobrym chłopcem. - I dodał sucho: - Szkoda żeś nie opowiedział tej historii od razu na cmentarzu. Pewnie odprawiłbym darmo tę mszę. Chociaż - (tu temperatura jego uczuć nagle opadła) - zmieniać cenę i wracać do zawartej umowy nie należy - przynosi to nieszczęście. Otworzę za to dla ciebie butelkę starego médoca, niewielu z moich gości dostępuje tego zaszczytu. - Proboszcz podszedł do kredensu i szukając tam owej wyborowej butelki, mrucał do siebie: - znów zaczynają swoje dawne figle!

- Plaitil? - spytał Gerard.

- Nic, nic. No, jest wreszcie.

- Nie, wasza przewielebność, słyshałem wasze słowa. Powiedzieliście: „Znów zaczynają swoje dawne figle!”

- Tak powiedziałem? - uśmiechnął się proboszcz. Nalał dwa kielichy wina, podsycił ogień długim polanem drewna, bo pieców nie znano jeszcze w Burgundii. - Rzeczywiście powiedziałem: „zaczynają swoje dawne figle?” Pijmy więc to wyśmienite wino i póki sączą się krople, opowiem ci historię w zamian za twoją, choćby moja była tylko bajeczką.

Oczy Gerarda błysnęły zainteresowaniem.

- Lubisz opowieści?

- Nad życie!

- Nie spodziewaj się zresztą za wiele. To rzecz bagatelna w porównaniu z twoimi przygodami.

Opowieść proboszcza

Pewnego razu w królestwie francuskim, księstwie burgundzkim, niecały dzień drogi od miasta, w którym dziś siedzimy i sączymy stary medoc, żył sobie - proboszcz. Rzekłem: żył, choć może to za wiele powiedziane. Parafia była mała, parafianie zachłanni i skąpi, nigdy nie dawali swemu proboszczowi więcej, niż zdołał na nich wymusić. Mniemali, że im więcej ducha jego pozbawią cielesnej powłoki przez chude jadło, tym bardziej święte staną się modlitwy za nich. Nie wiem zresztą, azali takie było ich mniemanie, ale sądzę je po czynach.

Znalazł wreszcie na nich sposób.

Pewnego dnia najbogatszy w całej okolicy gospodarz przyniósł do chrztu bliźnięta. Proboszcza - jak każe obyczaj - zaproszono na obiad z okazji chrzcina, nim jednak przystąpił do obrzędu, zażądał zapłaty nie tylko za chrzest, ale i za pogrzeb. „Broń Boże i wszyscy

święci, proboszczu - krzyknęła matka - nie mówcie o pogrzebie! Nigdy nie widziałam zdrowszych dzieci!” „Ja także, chwała Bogu - odparł curé. - Muszą jednak umrzeć, są bowiem synami Adama, i tak jak i wy, niewiasto, pomrą. Ale kiedykolwiek pożegnają się z życiem, nie poniosą żadnych kosztów, zapłacone bowiem dziś pogrzebowe zostanie zapisane w księdze parafialnej”. „Coś jednak będzie ich to kosztowało” - rzekł młynarz, najdowcipniejszy w mieście figlarz i opryszek taki jak wszyscy. Tego bowiem, który był z nich największym łotrem, nie mógł wiedzieć nikt ze śmiertelników, nie wyłączając kata - jeno Bogu to było wiadome. - „Powiadam ci, że nic, młynarzu” - powtórzył curé. - „A ja wam rzekę, że tak, plebanie - upierał się młynarz. Będzie ich to kosztowało życie”. Ogólny śmiech odpowiedział na ten koncept spod młyńskiego kamienia, wesoło zapłacono obie opłaty i bliźnięta stały się chrześcijanami.

Ale gdy dziecko następnego parafianina i jeszcze jednego, i wszystkie dzieci potem musiały opłacić koszty pogrzebu albo stracić miejsce w niebie, niezadowolenie zapanowało w parafii. Pewnego pięknego dnia parafianie zebrali się w tajemnicy, wysłali opiekuna parafialnego do biskupa i oto grom spadł na głowę biednego proboszcza. Akurat w obiadowej porze otrzymał wezwanie do pałacu, gdzie miał stawić się z księgami parafialnymi celem wyjaśnienia pewnych zarzutów. Proboszcz od razu zgadł, w czym rzecz. Zostawił nie dojezdzony obiad, jako że stracił nagle apetyt, zabrał księgi parafialne i pojechał, trzęsąc się ze strachu.

Biskup przyjął go ze srogą miną i przedstawił skargę. „Monseigneur - powiedział pokornie proboszcz - czy parafianie wysunęli więcej przeciw mnie zarzutów, czy jeno ten jeden?” - „Tylko ten, zaiste” - odparł biskup już trochę łagodniej. „Przeto wpierw, monseigneur, przyznaję się do tego czynu”. „To dobrze - rzekł biskup - nie będziemy niepotrzebnie tracili czasu, a teraz, co masz na swe wytłumaczenie, jeżeli można się z tego wytłumaczyć?”

- „Monseigneur, byłem siedem lat proboszczem w tej parafii, ochrzciłem piętnaścioro dzieci, a zmarłych nie pogrzebałem nawet pięciu. Wpierw mawiałem: «zdrowe musi być, dzięki Bogu, powietrze w tej wiosce»; aliści przeglądając rejestry, przekonałem się, iż tak było zawsze, a gdy zbadałem bliżej sprawę, okazało się, iż ludzie urodzeni w Domfront poza nielicznymi wyjątkami kończyli żywot na szubienicy w Aix. Okradali przeto nie tylko swego proboszcza, ale i cały Kościół z jego należności; skoro wisielcy nie płacą opłaty pogrzebowej, znajdując swój grób w powietrzu A zatem, znając z własnego smutnego doświadczenia chciwość mych parafian, jak skąpią Kościołowi każdego grosza, zastawiłem pułapkę, aby ich uchronić przed szubienicą, albowiem klin klinem się wybija; wiem, że tacy się znajdują, co ze

skapstwa będą woleli umrzeć uczciwie we własnym łóżku jak zacni ludzie, aby nie dać Kościołowi darmo opłaty za pogrzeb”. - Biskup uśmieł się do łez i zaczął przepytować wysłannika parafii, który musiał przyznać, że zbyt wielu zaprawdę parafian kończy nieszczęsną śmiercią w Aix. - „Zatem - rzekł biskup - pochwalam ten czyn w moim i moich następców imieniu; będzie się pobierało tę podwójną opłatę, dopóki nie poprawią swoich obyczajów i nie nauczą się umierać w łóżku”. - Następnego dnia zgnębieni buntownicy przyszli do proboszcza, mówiąc: „Proboszczu, byliście zawsze dla nas jak ojciec, poza tą jedyną przykrą sprawą. Prosimy was, nie gniewajcie się na nas z powodu owego głupstwa”. A proboszcz odpowiedział: - „Dziatek moje, nie byłbym godny waszym być pasterzem, gdybym nie umiał przebaczać. Odejdźcie w pokoju i przyprowadzajcie mi jak najwięcej dzieci, a wtedy wasz ukochany curé nie umrze z głodu dzięki podwójnym opłatom”.

Biskup często opowiadał tę historyjkę i zachował w pamięci owego curé, aż wreszcie przeniósł go do zacnej parafii, gdzie może poczęstować starym medokiem takich, którzy tego są godni. A nie ma ich wielu.

Gerardowi zaświtała w głowie myśl i nie umiał tego ukryć.

- Tak jest! - potwierdził gospodarz. - To ja jestem tym księdzem: teraz może już zgadłeś, dlaczego powiedziałem: „znowu dawne figle”. Przysięgłbym, iż wywiedli w pole już mego następcę w sprawie zapłaty za koszty pogrzebu. Dobrze, żeś się wyrwał z owej parafii. I ja także.

Wpadła nagle mała siostrzeniczka proboszcza:

- Wujku, waga! Oj, ktoś obcy! - i uciekła.

Ksiądz podniósł się od razu, ale żał mu było rozstawać się z Gerardem.

- Łyknij raz jeszcze i chodź ze mną.

U wejścia do kruchty stał kościelny z ogromną wagą i odważnikami wszelkich rozmiarów. Kilkoro skromnie wyglądających ludzi stało dokoła niego, jakaś kobieta podeszła parę kroków, uniosła chorowite dziecko, mówiąc:

- Czy ciężkie, czy lekkie, wiernie przyrzekam świętemu Kościołowi tej samej wagi miarkę najlepszej żytniej mąki - dam tyleż, ile zaciąży dziecię, niech jeno Bóg uratuje mnie od nieszczęścia. Módlcie się, dobrzy ludzie, za dziecię i za mnie, matkę jego, która przybyłam tu z mym strapieniem i troską.

Zważono dziecię, które wrzeszczało jak niemowlę przy chrzcie.

- Courage! dame - zawołał Gerard. - Dobry to znak. Mocne jest w nim życie, da radę chorobie.

- Bóg zapłać za dobre słowo - podziękowała biedna kobieta. Przytuliła swój ciężar do łona i stanęła, przyglądając się następnej kobiecie, która składała dziecko na wadze!

Rozległ się nagle donośny, rozkazujący głos:

- Usunąć się, przejście zrobić dla jaśnie pana!

Ludzie rozstąpili się jak fale rozcięte przez majestatyczną galeryę, gdy wkroczył „pan dworski”, mężczyzna we wspaniałym stroju, zdobnym piórem kołpaku spiętym topazową klamrą. Odziany był w kurtę bogato bramowaną futrem, jedwabny kubrak, czerwone pantalone, a trzewiki miały spiczaste jak łyżwy nosy. Wysadzana diamentami rękojeść miecza lśniła ponad aksamitną pochwą, na dłoni siedział sokół. Wszedł na wagę z taką godnością, jakby był panem świata, nie zaś ziemskich włości; sokół zakołysał się i począł trzepotać skrzydłami, uchwycił jednak równowagę i przymrużył ślepie.

Kościelny przydzwigał ciężkie odważniki, proboszcz zaś opowiedział Gerardowi:

- Nasz dziedzic był śmiertelnie chory i zrobił ślub, że ofiaruje tyle chleba i sera na ubogich, ile sam waży. Kościołowi należy się z tego dziesięcina.

- Przepraszam wielmożnego pana; jeżeli jego wielmożność będzie nadal przyciskał swą łaską drugą szalę, nie zdołamy uzyskać równowagi.

Jego wielmożność uśmiechnął się ponuro, zdjął łaskę i oparł się na niej. Proboszcz sprzeciwił się znowu grzecznie, ale bardzo stanowczo.

- Milles diables!, co mam z nią zrobić? - wrzasnął.

- Bądźcie łaskawi przeto odsunąć ją od obydwu szal, panie! Kiedy jego wielmożność uczynił tak, sam wpadł w pułapkę, którą zastawił na Kościół święty, a dobry proboszcz szepnął Gerardowi:

- Cretensis incidit in Cretensem - co wykładam: trafiła kosa na kamień.

Teraz ksiądz odezwał się pokornie:

- Jeżeli wasza wielmożność chciałby coś zaoszczędzić i żałuje, że ofiarował tak wiele Niebiosom, możecie, panie, posadzić sokoła na lokaja i zyskać funt wagi.

- Pięknie wam dziękuję za radę, plebanie - krzyknął z wyrzutem wielmoża. - Będę dla nędznego funta pozbawiał biednego ptaka dobrodziejstw świętego Kościoła? Wolałbym, żeby diabeł porwał pewnego dnia cały mój dwór wraz ze mną, niż żeby jego miało coś złego spotkać.

- Słodkie jest takie przywiązanie - westchnął proboszcz.

- Między ptakiem i bydłem - szepnął Gerard.

- Pst! - przeraził się pleban.

Zanotowano wagę seniora i wierzę, że Niebiosą nie zważyły jednocześnie jego wdzięczności na kościelnej wadze.

Niechże mój nieświadomy czytelnik nie dziwi się temu człowiekowi ani jego skąpej wdzięczności wobec Dawcy zdrowia i wszelkich dóbr tego świata. Innymi oczami ludzie spoglądają w oczy śmierci, innymi zaś na przebytą chorobę. Kiedy ludzie dobijają targu, starają się uzyskać jak najwięcej i nie będą się spierali o drobiazgi, czy to z ludźmi, czy też z niebiosami. Nie zmieniliśmy się w tym względzie teraz, w głębi duszy jesteśmy podobni do naszych przodków sprzed czterystu lat; może tylko w tamtych czasach czyniliśmy to odrobinę naiwniej i naiwność ta objawiała się bardziej dotykalnie, jako że w tej surowej epoce ciało górowało nad umysłem, a wszelkie uczucia przybierały materialne kształty. Ludzie odbywali pokutę, bicząc się gorliwie, odmawiali różańce, przekupywali świętych woskowymi świeczkami, jadaliby ryby, aby uświęcić duszę, tkwili w zimnej wodzie dla opanowania swych uczuć i dziękowali Bogu za przywrócone zdrowie za pomocą jednego cetnara, dwóch kamieni, siedmiu funtów, trzech uncji i półtora grama chleba i sera.

W czasie mego kazania, a wygłaszam kazania rzadko i nieudolnie, zacny pleban namawiał jaśnie pana. aby ów wstąpił do kościoła i zarządził, co mają zrobić z jego praprapradziadem.

- Tam do licha! Wykopaliście go czy co?

- O nie, wielmożny panie, nigdy nie był pochowany.

- Czyliż że sprawdza się jednak stara opowieść?

- Jest tak prawdziwa, że właśnie dziś robotnicy, naprawiając filar, znaleźli w nim stojący szkielet. Posłałbym natychmiast po jaśnie pana, ale wiedziałem, że wasza wielmożność ma nas odwiedzić.

- To on! to rzeczywiście on! - powiedział potomek znalezionej wielmożności, przyspieszając kroku. - Chodźmy obejrzyć starego. Ten młodzian jest, jak sądzę, cudzoziemcem?

Gerard skłonił się.

- Dowiedźże się więc, że mój praprapradziad wysoko się cenił i gdy śmierć zajrzała mu w oczy, nie chciał leżeć w nawie i znosić tam, aby ludzie podłego stanu po nim deptali. Tradycja głosi, że wziął od swego syna (mego prapradziadka) przysięgę, iż pochowa go na stojąco w jednym z kościelnych filarów. - W tym miejscu opowiadania wkroczyli do świątyni. - Powiedział: „H o ł o t a nie będzie mi deptała po brzuch u”. Tam do licha! - nie przestając mówić, dziedzic laską odbił z ręcznicą czaszkę, która w podskokach potoczyła się do jego stóp, rzucona przez małego chłopca, który, zobaczywszy co uczynił, z wrzaskiem rzucił

się do ucieczki. Jego wysokość z wściekłością szurnął za bieżącym czaszką; co widząc proboszcz wydał okrzyk zgrozy i wyciągnął rękę, by temu przeszkodzić, ale było za późno.

Pleban biadał głośno i, jakby wywołał tym złe duchy, z jakiejś kryjówki wypadła cała gromada dzieci; choć niewidoczne, lecz słyszane nadto dobrze, zatupotały, wybiegając z kościoła jak stado zwierzyny w gęstym lesie.

- Ach, to podłe brzdące! - krzyknął proboszcz. - Tylko robotnicy wyjdą na chwilę, a już pełno bachorów w kościele. Mam nadzieję w Bogu, że nie znaleźli nieboszczyka dziedzica. Nie, nie, przypominam sobie, że okryłem kości kubrakiem murarza i - och, wszyscy święci! - kubrak ruszony!

Spełniły się najgorsze obawy biednego plebana. Młode plebejskie pokolenie zepsuło szkielet dumnego starego szlachcica. Malcy zrabowali kości, które wydawały się im przydatne do pewnych dziecinnych, modnych wtedy u nich zabaw i gier.

- Ekskomunikuję ich do dziesiątego pokolenia! - grzmiał duchowny.

- Szkoda fatygi - rzekł dziedzic, dla którego nie było nic świętego, i pogłaskał swego sokoła - jeszcze dość tu pozostało z mego przodka, nie warto przeklinać. Włóż go z powrotem! Włóż go z powrotem!

- Wasza wielmożność życzy sobie na pewno, abyśmy złożyli te kości w poświęconej ziemi i odprawili liczne msze za biedną, dumną duszę zmarłego?

Szlachcic pogłaskał sokoła.

- Tak sądzicie, panie plebanie? - powiedział. - Nie, nie, to zbyt stara sprawa; tak lub owak musiał już wyjść z czyśćca w górę lub w dół. Nie rozwiążę dla niego swojej sakiewki. Na wszystko jest właściwy czas. Adieu, ichmość panowie! Adieu, mój antenacie! - i wyszedł z godnością, pogwizdując do sokoła i głaszcząc go.

Jego przewielebność spojrział za nim pełen troski.

- Cretensis incidit in Cretensem - rzekł ze smutkiem. - Myślałem, że mam u niego murowany tuzin mszy. Nie mogę jednak żywić do niego żalu, raczej do tych małych nicponiów, którzy rzucili na nas jak piłką czaszką jego przodka; bo któż będzie czcił swego praprapradziadka grając w piłkę jego głową? Cóż, trzeba nam być lepszymi chrześcijanami od niego. - Zebrali więc z szacunkiem kości, proboszcz zamknął je na klucz i zabronił robotnikom, którzy właśnie wrócili do kościoła, zamurowywać kolumnę, dopóki pod groźbą gniewu Kościoła nie odnajdą ostatniej kosteczki wielmożnego pana. Potem pokazał Gerardowi w kościele sławny relikwiarz, przed którym stały dary w postaci woskowych świeczek, jak jest w zwyczaju wszędzie, itd. Była tam jednak woskowa podobizna sokoła kunsztownie wyrobionego z wosku i tak pomalowanego, że robił wrażenie żywego.

Spojrzenie Gerarda padło nań natychmiast i chłopiec wyraził swój gorący zachwyt. Proboszcz przyznał mu rację. Gerard zapytał plebana:

- Czy święty mógł lubić polowania z sokołem? Taka naiwność rozśmieszyła proboszcza:

- Skądże, przecież to wyrzeźbiony sokół. Gdy trafił się panom szlacheckiego pochodzenia ptak, którego nie mogą wytresować, zamawiają sobie jego podobiznę i przysyłają ją wraz z upominkiem do nas do relikwiarza, prosząc świętego, aby wpłynął na upór i uczynił go podatnym jak wosk. Takie to ma znaczenie i, moim zdaniem, bardzo są roztropne one poczynania.

Gerard skinął głową.

- Muszę niestety stwierdzić, ojcze przewielebny, że gdybym był świętym, stanąłbym chyba po stronie niewinnej gołąbki, nie zaś okrutnego sokoła, który ją rozdziera.

- Masz rację, na świętego Dionizego - rzeki proboszcz. - Ale pamiętaj, że święci są wyrozumiali, sami byli ludźmi z krwi i kości i znają słabość ludzką i głupotę. Tę figurkę przysłał biskup awinioński.

- Czyżby w tym kraju biskupi polowali z sokołem?

- I ten, i wszyscy inni. Każdy szlachcic poluje i chodzi z sokołem uczeponym u rękawicy. Mój przewielebny opat z najbliższego sąsiedztwa i wielmożny pan, który przed chwilą nas opuścił, wiodą dwuletni spór, gdzie mają umieszczać swe sokoły na tymże ołtarzu. Każdy żądał dla swego ptaka prawej strony ołtarza!

- Co za profanacja!

- Ach nie, nie! widzisz, dopięliśmy tego, że odkładają rękawicę i ptaka, przystępując do komunii świętej. Swoje zdobne klejnotami rękawice oddają służącemu lub zwykłemu chrześcijaninowi, ale ukochanych sokołów nie chcą postawić na mniej poczesnym niż ołtarz miejscu.

Gerard zapytał, jak zakończyła się owa walka możnych o sokoły.

- Cóż, opat ustąpił, tak jak Kościół ustępuje ludziom świeckim. Wyszperał w starych książkach, że lewica jest bardziej zaszczytna, jako że w rzeczywistości jest po prawicy, skoro ołtarz jest po wschodniej stronie, ale wychodzi na zachód. Odstąpił więc jego wielmożności rzekomą prawicę, zaś sam zadowolił się właściwą prawą stroną; tak to Kościół może jeszcze przechytryć świeckich wielmożów i ich niewiedzę, z przeproszeniem.

- O nie, ojcze przewielebny, ja szanuję Kościół. Jestem wychowany w klasztorze i winienem wszystko, co mam i czym jestem, świętemu Kościołowi.

- Teraz rozumiem moją tak nagłą ku tobie sympatię. Jesteś zacyjnym chłopcem. Przychodź i odwiedzaj mnie, kiedykolwiek zechcesz.

Gerard zrozumiał ostatnie słowa księdza jako znak, iż może teraz odejść. Sam także tego pragnął, był bowiem ciekaw, co też Dionizy widział i czynił przez cały ten czas. Skłonił się więc proboszczowi i opuścił kościół. Znalazłszy się na powietrzu, pobiegł co sił przed siebie, lecz skręcając na rogu ulicy, wpadł na olbrzymi brzuch, którego właściciel chwycił go silnymi kleszczami rąk, by utrzymać równowagę; stanąwszy pewnie na nogach, wcale nie zwolnił żelaznego uchwytu.

- Przepuść mnie, człecze - powiedział Gerard.

- Nie tak zaraz. Jesteś moim więźniem.

- Więźniem?

- Tak.

- Za cóż to, wielkie Nieba?

- Za co? Za czary.

- CZARY?

- Czary.

ROZDZIAŁ XXXVII

Zbójcy zostali skazani na dwie godziny pręgiarza w rynku po to, aby wszyscy mogli się im przyjrzeć, rozpoznać ich, stwierdzić, czy oni, czy też któryś z nich nie ma na sumieniu innych jeszcze zbrodni, i w razie potrzeby złożyć odpowiednie zeznanie w sądzie.

Stali cały ten czas i nikt nie wysunął przeciw nim nowego oskarżenia. Nie miało to zresztą znaczenia w sprawie nocnych łupieżców, owych ptaków drapieżnych i wampirów polujących pod osłoną ciemności na znużonych podróżnych, przeważnie cudzoziemców.

Akurat gdy zabierano ich z rynku, rozległ się straszliwy krzyk wśród zebranego tłumu i jakaś niewiasta wskazała palcem jednego z opryszków. Oczy prawie wyskakiwały jej z orbit, lecz nim zdołała wykrztusić słowo, padła zemdlona.

Ludzie stłoczyli się dokoła niej, jednymi powodowała chęć pomocy, innymi ciekawość. Gdy kobieta zaczynała odzyskiwać przytomność, gapie rozpoczęli snuć domysły.

- Na tego wskazała.

- Nie, na tamtego.

- Nie, nie - sprzeciwił się inny - tego wisielca z włosami kobiety na szyi.

Dalsze uwagi były już zbędne. Nieszczęsna niewiasta ledwie odzyskała zmysły, rzuciła się jak lwica na oberżystę.

- Moje dziecko! Łotrze, łajdaku, oddaj mi dziecko! Chwyła lśniące złote włosy, które strażnicy powiesili na szyi zbrodniarza, zerwała je i pokryła pocałunkami. Przez mgłę swego zaćmionego nieszczęsnego umysłu zrozumiała jednak, że zaginiona córka nie żyje, i zasłabła ponownie, skomląc i szlochając nad nieszczęsnymi włosami tak żałośnie, że tłum ruszył na zbrodniarza z dzikim pomrukiem. Szybko pozbawiliby go życia, bo w tych czasach każdy mężczyzna nosił narzędzia śmierci za pasem. Ale Dionizy wyciągnął zaraz miecz i wołając:

- A moi, camarades! - zatrzymał tłum. - Kto go palcem tknie, zginie.

Otoczyli go inni łucznicy i z trudem osłonili zbója, Dionizy zaś zwrócił się do wołających o krew zbrodniarza ludzi:

- Jakaż to zemsta? Bylibyście tak głupi, aby odbierać ofiarę katowskiemu kołu i pozwolić gadowi umrzeć lekką śmiercią?

Broń łuczników powstrzymała motłoch skuteczniej niż wymowa Dionizego, groźny, pomruk zrywał się co pewien czas, a oczy tłumu płonęły zemstą. Co widząc, pachołkowie miejscy otoczyli więźniów zwartym kręgiem i pod ochroną łuczników odprowadzili ich przezornie do więzienia. Motłoch wznowił wrogie okrzyki zarówno przeciw więźniom, jak przeciw strażnikom. Dionizy, upewniwszy się o bezpieczeństwie złoczyńców, poszedł pod „Białego Jelenia”, gdzie spodziewał się spotkać z Gerardem.

Po drodze spostrzegł dwie dziewczyny pracujące przy oknie na pierwszym piętrze. Pozdrowił je. Uśmiechnęły się do niego. Rozpoczął pogawerkę. Wygląd ich był przyjemny, obyczaj swobodny.

Zaprosił je na wspólny posiłek pod „Białym Jeleniem”. Wzbraniały się. Gdy jednak zbyt łatwo przyjął to do wiadomości, zgodziły się chętnie na poprzednią propozycję. W miłym towarzystwie zapomniał o Gerardzie, którego wleczono w tym czasie do więzienia; po drodze chłopak oprzytomniał nieco i zapytał, z czyjego polecenia został zatrzymany.

- Na rozkaz zastępcy burmistrza - odparł pachołek.

- Zastępca burmistrza! Biadaż mi! Czymże mógł biedny cudzoziemiec obrazić wielmożnego pana? Oskarżenie o czary musi być tylko pozorem. Nie jestem czarownikiem,; jeno chłopcem biednym, rzuconym daleko od rodzinnego domu.

Pachołek się zniecierplwił.

- Pokaż mu kopię pisma, Jakubie - powiedział.

Jakub rozpostarł dokument, trzymając go oburącz w odległości półtora jarda od oczu Gerarda, w tym samym momencie olbrzymi pacholek chwycił mocno więźnia za ramiona. Obydwaj strażnicy drżeli na myśl, że chłopiec może zawładnąć pismem, do którego przywiązywali przesądne znaczenie.

Ale biedny więzień nie myślał o czymś takim. Nie sądził, by miał ochotę dotknąć pergaminu cęgami. Wyciągnął tylko szyję, przeczytał treść dowiadując się, z ogromnym zdumieniem, że podpis należał rzeczywiście do życzliwego zastępcy burmistrza. Zdobył się na odwagę i spróbował przekonać swego prześladowcę, że zaszła tu pomyłka. Widząc jednak, że jego słowa nie wywarły wrażenia, zażądał doprowadzenia go przed oblicze dostojnika.

- Co ty na to, Jakubie?

- Niemożliwe. Nie mamy rozkazu, aby go stawić przed jego miłością. Czytaj pismo!

- Przyjaciele zacni, przecież nic w tym złego. Dam każdemu z was po talarze.

- Co powiesz na to, Jakubie?

- Ano, powiadam, że nie mamy rozkazu, aby go nie prowadzić do jego miłości. Czytaj nakaz!

- Powiedzmy, że poprowadzimy go do więzienia okrężną drogą, wstępując do jego miłości.

Tak postanowiono. Wzięli pieniądze, dając Gerardowi do zrozumienia, że wyrządzają mu uprzejmość. Chłopak wyczuł, że oprócz dużej ilości srebra chcą również trochę wdzięczności. Próbował zaspokoić także i tę chciwość, ale słowa więzły mu w gardle. Nigdy nie miał talentu to udawania.

Stanął przed zastępcą burmistrza, drżąc ze strachu i wrażenia. Łamiącym się głosem zapytał, czym mógł go obrazić, odkąd opuścił tę samą izbę wraz z Manon i Dionizym.

- Niczym, o ile mi wiadomo - odrzekł rajca.

Gdy pokazano mu pismo, powiedział Gerardowi, że podpisywał je o świecie.

- Starzeję się i pamięć mnie zawodzi; rozprawiając o dziewczynie całkiem zapomniałem o twym własnym przewinieniu; ale teraz już pamiętam. Wszystko w porządku. Oskarżam cię o czary. Poczekaj! nim zostaniesz wtrącony do więzienia, usłyszysz, co rzecze oskarżyciel. - A ty biegnij - zwrócił się do pacholka - i przyprowadź go przed nasze oblicze.

Wysłannik nie mógł od razu odnaleźć oskarżyciela. Dostojnik zniecierpliwiony czekaniem sam wyjaśnił Gerardowi główny punkt oskarżenia; zarzucano mu, że tchnął w ciało umarłego ogień piekielny, który płonął, a nie spalał.

- Jeżeli to prawda, młodzieńcze, bardzo ci współczuję, spłoniesz bowiem na ogniu z uczciwych polan sosnowych, ułożonych na rynku Neufchateau.

- Błagam cię, panie, zezwól mi na rozmowę z przewielebnym księdzem proboszczem.

Radny odradzał to chłopcu szczerze.

- Kościół jest bardziej surowy wobec czarowników niż władze miejskie.

- Ależ ja jestem niewinny, panie - żałac się, wyszłochał Gerard.

- No cóż, jeżeli m y ś l i s z, że jesteś n i e w i n n y... - Strażniku, odprowadź go do proboszcza. Uważajcie, żeby wam nie umknął. Niewinny, patrzcie no!

Zastali proboszcza ubranego w roboczy kubrak; naprawiał taczki. Gerard opowiedział mu wszystko i błagał pokornie o pomoc.

- Za to, że użył odrobiny fosforu - w obronie własnej - przeciw rozbójnikom, którzy będą powieszani.

Nasz czarodziej miał szczęście, że poprzednio już opowiedział proboszczowi całą historię, tak że teraz ten bystry człowiek od razu pochwycił właściwy sens wydarzenia. Władze miejskie pragnęły tylko karać, widziały tylko winę. Jego przewielebność spojrział z ogromną powagą i rzekł:

- Muszę przepytac cię na osobności w tej tak niefortunnej sprawie.

Zabrał chłopaka do osobnego pomieszczenia i rozkazał pachołkowi trzymać straż przed drzwiami izby i być gotowym, gdy go zawezwie. Olbrzymi strażnik stanął na progu i drżał ze strachu, oczekując, że lada chwila pokój wyleci w powietrze w obłoku cuchnącej siarki piekielnej. Skoro tylko proboszcz zaś znalazł się sam z chłopcem, zrzucił maskę surowości i stał się znowu sobą.

- Pokażże mi tę sztuczkę - poprosił, płonąć ciekawością.

- Tak nie mogę, panie, musiałoby być zupełnie ciemno w pokoju!

Proboszcz spiesznie zasłonił światło drewnianą okiennicą.

- A teraz?

- Na czym mam to zrobić? - spytał Gerard. - Nie mamy twarzy nieboszczyka. To właśnie wyglądało tak niesamowicie.

Pleban rzucił okiem w krąg po pokoju.

- Na tym obrazie: to mój święty patron.

- Uchowaj Boże: to byłoby świętokradztwo.

- Głupstwo! To chyba się zetrze?

- A jakże, ale nie śmiem być tak zuchwałym wobec świętego - sprzeciwiał się „czarownik”.

- Bzdury! - rzekł duchowny.

- Co prawda, jeśli wypróbuję to na świętym obliczu, przekona się wasza przewielebność, że nie są to sztuczki szatana.

- Może dlatego ci to proponowałem - odrzekł chytrze ksiądz. Tak zachęcony Gerard wymalował oczy i nozdrza świętego na wizerunku i proboszcz aż podskoczył. Chłopiec rozświetlił jeszcze włosy paroma świetlistymi plamami, tak że cała twarz świętego zaśniła jak robaczek świętojański.

- Matko Boska! - wykrzyknął proboszcz - to przedziwne i rozumiem teraz, że wzięli cię za czarodzieja, widząc tak płonąca twarz zmarłego. A teraz chodź ze mną.

Nałożył szarą sutannę i szerokoskrzydły kapelusz. Już po kilku minutach znaleźli się przed obliczem zastępcy burmistrza. Przy boku dostojnika stał jego zły duch, oskarżyciel, który sączył mu truciznę do ucha; odziany był w czerwone obcisłe spodnie i także buty, czarną z błękitnymi wyłogami szatę, zaś na głowie miał kapelusz w kształcie piroga.

Pozdrowiwszy dostojnika, proboszcz zwrócił się do tej osobistości i powiedział dobrodusznie:

- Widzę, Mangis, że znowu wzięliście się do roboty i obgadujecie uczciwych ludzi. Stara to bajka, wasza miłość, najtrudniej pogodzić się dwóm z jednego cechu. Ten oto Mangis, który uprawia czarnoksięstwo i dziś wieczór sprzedałby się szatanowi, lecz Księżę Ciemności nie tak głupi, by kupować to, co może mieć darmo; ten Mangis, który byłby czarownikiem, a jest jeno samochwałem, oskarża o czarnoksięstwo zacnego chłopca, który w obronie życia posłużył się sekretem chemicznym, doskonale znanym tak mnie, jak każdemu innemu duchownemu.

- Ale chłopak nie jest duchownym i nie ma prawa wdawać się w takie tajemnice - zaprotestował rajca.

- Jest bardziej duchownym niż świeckim. Został wychowany w klasztorze i posiada niższe święcenia - odpowiedział przytomnie proboszcz. - Żywo więc, czarowniku, wycofuj skargę, wycofuj skargę i nie gadaj po próżnicy!

- Nie zrobię tego, wasza przewielebność - odrzekł stanowczo Mangis. - Jestem czarodziejem, ale uprawiam białą, a nie czarną magię. Nie zawieram paktu z szatanem, przeciwnie, ciągle walczę z nim dozwolonymi i koniecznymi sposobami. Nigdy nie sprofanowałem sakramentów, jak zwykli to czynić parający się czarnoksięstwem; nie przemieniani się w kota, aby ssać krew niemowlęcia, nie zabieram im oddechu, jak również nie bezczeszczę trupów płomieniami. Ostrzegam tylko wieśniaków, zawiadamiam ich, gdy ktoś rzucił urok na ich krowy lub kurczę, uczę, podczas której kwadry księżycy najlepiej siać żyto, które dni miesiąca szczęśliwe są dla zalotów i sprzedaży byczków i tak dalej. Nade

wszystko sztuka moja to tropienie złych czarowników; tak to wysledziłem całą bandę, którą w ostatnim roku spalono w Dol.

- Tak, tak, Mangis. Jak jednak skończyła się historia tego sławnego ognia, któryś rozżagwił swym językiem?

- Jakim mógł być koniec? Wiatr rozwiął ich popioły.

- Tak, tak, ale jaki był prawdziwy koniec owej komedii? Parlament w Dijon rozpatrzył raz jeszcze całą sprawę i przekonał się, że byli to zacni, spokojni obywatele, nie zaś czarownicy; nie dawniej jak w zeszłym tygodniu nakazał odprawić liczne msze święte za spokój ich dusz i urządził w celu pokutnym igry i misteria w siedmiu burgundzkich miastach; wszystko to nie wskrzesi owych kobiet i mężczyzn. Jest zwyczaj w tym kraju, jeśli zdarzy nam się zabić niewinnego, dając posłuch takim jak ty kłamliwym szelmom, obwiniać nie nasze zbyt łatwowierne uszy, lecz język przeniewierczy, który durniów z nas uczynił. Zważ, iż wystarczy jedno moje słowo do jego ekscelencji biskupa, a powąchasz płonąca sosnę bliżej, niż to się zdarzyło kiedykolwiek żywemu człekowi, i powędrujesz na chmurze dymu do tego, którego serce nosisz w piersi (ponieważ słowo „diabeł” wyklada się po łacinie jako „fałszywy oskarżyciel”) i którego ubiór przywdziewasz.

I pleban wskazał wyciągniętą laską Mangisa.

- A pewnie, prawda! - przytaknął rajca - czerwony i czarny to barwy szatańskie.

Policzki mistrza białej magii tak pobladły, że jego szata wydawała się jeszcze bardziej płomienna. Wybąkał:

- Szanuję Kościół święty i wolę jego. Może sobie podpalić cmentarz z całą zawartością: wycofuję skargę.

- Sam się zatem wycofaj - powiedział zastępca burmistrza.

Gdy tylko oskarżyciel się oddalił, proboszcz spokojnie już i uprzejmie wyjaśnił świeckiemu dostojnikowi, że oskarżony otrzymał chemiczną substancję od świętego Kościoła i zwrócił mu już jego własność, oddając cały słój księdzu do rąk.

- Jest zatem w dobrych rękach - brzmiała odpowiedź.

- Jesteś wolny, młodzieńcze. Liczę na paciorek ze strony jego przewielebności.

- Nie wątpij w to! Hm, panie zastępcu burmistrza, miasto od przeszło trzech miesięcy jest mi dłużne cztery srebrne talary.

- Zapłacimy, księżu dobrodzieju - no, do końca tygodnia. Osiągnąwszy porozumienie, Kościół i Państwo rozstały się. Na ulicy Gerard chwycił rękę księdza i ucałował ją gorąco.

- O, wasza przewielebność! Ksiądz dobrodziej ocalił mnie od ognistego stosu. Cóż mam rzec? Cóż uczynić? Co?

- Nic, głuptasku. Dobry uczynek sam jest nagrodą. Nic a nic - chyba że... wolałbym to uczynić bez kręactwa. Falszerstwo nie przystoi memu stanowi.

- Falszerstwo? - zdziwił się Gerard.

- Czyś nie słyszał moich zapewnień, że oddałeś mi ów fosfor? Takie małe słówko będzie mnie kosztowało dwa tygodnie pokuty. - Ksiądz westchnął i chytrze mrugnął okiem.

- O nie, to być nie może - wykrzyknął z zapalem Gerard. - Broń Boże! Nie było żadnego szachrajstwa, ojciec przewielebny, wiedzieliście przecież, że fosfor był waszą własnością, jest waszą własnością. - I włożył flakon do ręki księdza. - Za skromny to, niestety, podarek. Czy nie mógłbym złożyć ofiary na Kościół święty? - I wyciągnął sakiewkę, a oczy lśniły mu z przejęcia.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie pleban, chowając szybko ręce za plecy - ani grosika. Fe! fe! jesteś pauper i exul. Przychodź raczej co dzień do mnie w południowej porze na wspólny posiłek, wzbudziłeś bowiem życzliwe uczucia w moim sercu.

Odszedł szybkim krokiem, dłonie schowawszy za plecami. Swędziły go. Tym razem na próżno. Gdzie przemawia serce, tam jest granica chciwości.

Gerard biegł spiesznie do gospody, aby uspokoić Dionizego, który zapewne martwił się tak długą i tajemniczą jego nieobecnością. Zastał go siedzącego wygodnie i grającego w kości z dwiema damami o nieokrzesanych obyczajach, a świetnym humorze.

Gerard poczuł się dotknięty.

- N'oubliez pas la Janneton! - powiedział, czerwieniejąc z gniewu.

- Że co? - zapytał Dionizy, wesoło grzechocąc kostkami.

- Powiedziała: Le peu gue sont les femmes.

- Tak powiedziała? A co wy na to mesdemoiselles}

- Jak ktoś nie lubi kobiet, musi być albo za stary, albo za mało ponętny, albo za głupi, żeby się im podobać.

- Za głupi, powiadasz? Mądrzy ludzie nie mają dość głupoty, aby się im podobać, ani dość szaleństwa, aby pragnąć się im podobać - odparł wyniośle Gerard. - Mówię zresztą do mego towarzysza, nie zaś do was, ładacznic, które tak zuchwale poczynacie sobie z mężczyzną, pierwszy raz go widząc.

- Mów dalej kazanie, kamracie. Dorzuc nam jeszcze z jedno przysłowie, a może ze dwa. Wiecie, dziewuchy, toć to prawdziwy Salomon w tej materii.

- Oto porzekadło o twojej przyjaźni - odciął się Gerard. - Przyjaźń, która topnieje jak wosk na widok spódniczki.

- Malheurewc! - krzyknął Dionizy. - Ja strzelam śrutem, a ty armatnią kulą.

- Życzyłbym sobie, gdybym mógłpadła odpowiedź. - Adieu.

- Cóż to za mały dzikus! - powiedziała jedna z dziewcząt. Gerard otworzył drzwi i wystawił głowę:

- Przypominam sobie przysłowie - powiedział przekornie:

Qui hante femmes et dez il mourra en pauvretez

Uderzywszy tym piorunem antycznej mądrości, zamknął złośliwie drzwi, nim ktokolwiek z wesołej kompanii zdołał mu odpowiedzieć.

Teraz, poczuwszy znużenie po przebytych strachu, poszedł do gospody na czarę wina i kromkę chleba. Gospodarz nie chciał sprzedać mu mniej niż półkwarcie. Chłopak zgodził się. Gdy porównał jednak zawartość butelki z jej rozmiarem, sprzeczność okazała się wielka. Przyjrzał się uważnie butelce i zauważył, że szkło cienkie przy korku grubiało nienaturalnie u podstawy. Pokazał to oberżyscie.

Gospodarz odparł wyniośle, że nie wyrabia butelek, nie odpowiada zatem za ich kształt.

- To się dopiero okaże - powiedział Gerard. - Zabiorę to półkwarcie do burmistrza.

- Niech Bóg broni! - krzyknął gospodarz, natychmiast zmieniając ton - Bardzo chcę zadowolić mych gości. Jeżeli ta półkwarterka przypadkiem jest niepełna, policzę wam i waszemu kompanowi trzy sous za dwie, zamiast po dwa sous za każdą.

- Tak też i zróbcie. Lecz wielce zdumiewa mnie, iż gospodarz tak zacnej gospody uprawia podobne praktyki. Wino to poza tym mocno swym smakiem wodę źródlaną przypomina.

- Młody panie - odpowiedział gospodarz - nie podrzynamy gardła naszym gościom w tej oberży, jak to najczęściej czynią w innych. Sami zresztą wiecie dobrze o tym. „Biały Jeleń” nie jest lwem ani niedźwiedziem. Jeśli rabują sprytnie - to biednego właściciela.

- Oto porzekadło o twojej przyjaźni - odciął się Gerard. - Przyjaźń, która topnieje jak wosk na widok spódniczki.

- Malheurewc! - krzyknął Dionizy. - Ja strzelam śrutem, a ty armatnią kulą.

- Życzyłbym sobie, gdybym mógłpadła odpowiedź. - Adieu.

- Cóż to za mały dzikus! - powiedziała jedna z dziewcząt. Gerard otworzył drzwi i wystawił głowę:

- Przypominam sobie przysłowie - powiedział przekornie:

Qui hante femmes et dez il mourra en pauvretez

Uderzywszy tym piorunem antycznej mądrości, zamknął złośliwie drzwi, nim ktokolwiek z wesołej kompanii zdołał mu odpowiedzieć.

Teraz, poczuwszy znużenie po przebytych strachu, poszedł do gospody na czarę wina i kromkę chleba. Gospodarz nie chciał sprzedać mu mniej niż półkwarcie. Chłopak zgodził się. Gdy porównał jednak zawartość butelki z jej rozmiarem, sprzeczność okazała się wielka. Przyjrzał się uważnie butelce i zauważył, że szkło cienkie przy korku grubiało nienaturalnie u podstawy. Pokazał to oberżyscie.

Gospodarz odparł wyniośle, że nie wyrabia butelek, nie odpowiada zatem za ich kształt.

- To się dopiero okaże - powiedział Gerard. - Zabiorę to półkwarcie do burmistrza.

- Niech Bóg broni! - krzyknął gospodarz, natychmiast zmieniając ton - Bardzo chcę zadowolić mych gości. Jeżeli ta półkwarcia przypadkiem jest niepełna, policzę wam i waszemu kompanowi trzy sous za dwie, zamiast po dwa sous za każdą.

- Tak też i zróbcie. Lecz wielce zdumiewa mnie, iż gospodarz tak zacnej gospody uprawia podobne praktyki. Wino to poza tym mocno swym smakiem wodę źródlaną przypomina.

- Młody panie - odpowiedział gospodarz - nie podrzynamy gardła naszym gościom w tej oberży, jak to najczęściej czynią w innych. Sami zresztą wiecie dobrze o tym. „Biały Jeleń” nie jest lwem ani niedźwiedziem. Jeśli rabują sprytnie - to biednego właściciela, z jednej strony zdarte i jeszcze okulawiają. A savoir za mąkę, mięso i wino - jeżeli nie zapłacimy handlarzowi, mogą nas wtrącić do więzienia i trzymać tam, dopóki nie spłacimy lub skonamy. Ale my nie możemy zamknąć tych, którzy nie płacą za te same wiktuły. Możemy zatrzymać podróżnemu konia za dług, ale co z nim potem począć, na Boga! Postawić we własnej, stajni, żeby tam żarł na mój koszt więcej, niż sam jest wart? Możemy też zatrzymać podróżnego, ale gdzie? W więzieniu?” Skądże - w naszym przyzwoitym domu, gdzie musimy go gościć i żywić gratis. W ten sposób powiększałbym tylko moją stratę i wyrzucał pieniądze za okno. Merci, niech się zabiera i bierze go lichy. Nasi najrzetelniejsi klienci to złodzieje. Daj Boże, żeby ich było jak najwięcej. Nie badają zbyt, jaki kształt ma dzban, nie zagląдают karczmarzowi do rachunków, z nimi i ich sakiewką tak się rzecz ma: co lekko przyszło, lekko poszło. Mają szczodłą rękę, bo każda hulanka może być ich ostatnią. A tymczasem ci, co zwalczają złodziei, zamiast brać ten piękny przykład, wiecznie pomagają obrabowywać nieszczęsnego oberżystę. Gdy zawita do gospody szlachcic lub inny uczciwy podróżny, zaraz ściągają tu ludzie burmistrza i pod pozorem podejrzeń zarządzają rewizję, żądają dokumentów. Aby oszczędzić gościom tej obelgi, karczmarz musi postawić wino i mięso. Wtedy przychodzi akcyznik badać nasze wagi i miary. Musisz zatkać ich gęby mięsem i winem. Miejska akcyza. Królewska akcyza. Parlamentarna akcyza. Cały rój, a każdy ma

wilka w żołądku, a gąbkę w gardzieli. Mnisi, braciszki, pielgrzymi z palmami i bez nich, żołnierze, żandarmi, akcyźnicy, dozorczy więzienia i ich pacholki i tylu innych złych dłużników, jakżeż może „Biały Jeleń” dać im wszystkim radę? Nie podrynąjąc we własnej obronie gardeł, jak czynią wasze „Łabędzie”, „Róże” i „Niedźwiedzia Głowa”, także „Czerwone Lwy”, „Orły”, „Księżycy”, „Gwiazdy” i „Murzyni” - w jaki sposób może „Biały Jeleń” dawać kwartę wina za kwartę? A tu drożyzna rośnie. Tak, chłopcze, każdy funt chleba kosztuje mnie trzy uczciwe miedziane grosze, po dwanaście na sous; każda kwarta wina kupowanego na beczki kosztuje mnie cztery grosze, każdy worek węgla drzewnego - dwa sous, a starcza ledwie na dzień. Parka kuropatw - pięć sous. Co ty na to? Czy słyszał ktoś o czymś podobnym? Pięć sous za małe ptaszki - kłębek piór i kostek? Para gołębi - trzydzieści groszy. Ruina! My bowiem nie możemy podnieść naszych cen wraz z rynkowymi. O, nie! Powiadam ci, te buty tak piekielnie cisną, że wyciskają łzy z oczu. Nie wolno nam pobierać opłat za musztardę, pieprz, sól i opal. A jak myślisz, dostajemy to za darmo? Funt świec - sous. Pięć sous za kamień soli, cztery za funt pieprzu, dwadzieścia groszy kwarta musztardy; a surowe mięso wysycha w mgnieniu oka, nie dając dochodu, jeno straty na wadze. A ile, jak sądzisz, płacę kucharzowi? Nigdy nie odgadniesz. **STO SOUS ROCZNIE. TAK JAK STOJĘ TU GRZESZNY PRZED TOBĄ.**

Sługa bierze trzydzieści sous, nie licząc napiwków. Grubo on ode mnie bogatszy. A człeka nie tylko rabują, ale jeszcze obelgami obrzucają. Poszedłem zeszłej niedzieli do kościoła. Nieczęsto się tam naprzykrzam. A curé, czyż zaraz nie smagał oberżystów? Ręczę ci, że godzi tak we wszystkie rzemiosła oprócz jednego, które jest przysłowiowym obrazem rozpusty, pychy i lenistwa - czyli kleru. Pomnij jednak, że inne świeckie stany biczował piórkim, nas jeno, oberżystów, rzemieniem; bezbożni z tego powodu, bezbożni z innego, a już największa bezbożność - to otwarte drzwi karczmy w czasie mszy. No, popatrzcie! przecie prawo nakazuje nam, aby gospody były otwarte o każdej godzinie dnia i nocy dla podróżnych z obcych miast, którzy chcą wstąpić, zatrzymać się czy przejechać mimo - tak słowo w słowo. Burmistrz ukarze oberżystę za odmowę, nie pytając, czy to pora mszy, czy nie: a powiedzmy, wśliźnie się tutejszy mieszczanin wraz z zacnymi podróżnymi, czy należy nas za to łajać? Wszyscy oświadczają, że są znużonymi wędrowcami, a czyż mogą znać każdą twarz w takim dużym mieście jak nasze? Jeżeli więc uszanuję prawo, cierpią nasze biedne dusze, jeśli prawa nie uszanuję, moja biedna chuda kiesa wykrwawi się dwiema ranami: zapłacę karę i stracę gości.

Człowiek mówiący o sobie jest na ogół „szemrzącym strumykiem”; o swych kłopotach zaś - że to „potężna rzeka”.

Labitur et labetur in omne uolubilis aevum

Szczęściem więc dla mych czytelników, choć nie dla wszystkich osób, których rzecz ta dotyczy, pokrzywdzony orator musiał zatrzymać się w połowie drogi. Inny pokrzywdzony człek wpadł do izby, a krzywdy jego miały bezwzględna wyższość w owym czasie, były płomienne i świeże. To Dionizy wrzeszczał, klął i przeklinał, że go obrabowano.

- Czy te dziewczki przeszły tędy? Gdzie są? Gdzie się zaszły?

Porwały moją kiesę i piętnaście sztuk złota. Och, biada mi, biada! Ach, zdrajczynie! zmije! gadziny! Wszystkie te gospody to pułapki!

- Jenó słuchaj! - zawołał gospodarz do Gerarda.

Gerard błagał przyjaciela, aby się uspokoił i opowiedział, jak się to stało.

- Pierwsza wyszła, wybieg jakiś znalazłszy, potem druga, by ją sprowadzić z powrotem, a gdy obie nie wracały, pomacałem sakiewkę i przekonałem się, że jest pusta. Niewdzięczne stworzenia, i tak pozwalałem im wypróżniać galopem moją kiesę, ale kubek przy grze w kości był dla nich zbyt powolny, wołały zagrabieć wszystko od razu.

Gerard chciał natychmiast udać się do rajcy i poprosić, by posłał strażników, żeby je odnaleźli.

- Nie zrobię tego - rzekł Dionizy. - Nienawidzę prawa. Nie. Stało się, trudno.

Ale Gerard nie chciał kapitulować.

Z pomocą gospodarza zmusił Dionizego, aby poszedł z nim do dozorczy więzienia. Dygnitarz jednak potrząsnął tylko głową.

- Nie mamy rady na przypadkowe złodziejki, które pracują uczciwie igłą, dopóki nie zjawi się jakiś dudek i nie skusi ich łatwą zdobyczą, a wtedy go obskubują.

- Zabierajmy się stąd! - krzyknął rozwścieczony Dionizy. - Dobrze wiedziałem, na co może mi się przydać w mej biedzie taki mieszcuch. - I wyszedł stamtąd w furii.

- Na pewno już się wyniosły z miasta - zauważył Gerard.

- Nie mów o tym więcej, jeśli cenisz sobie moją przyjaźń. Mam jeszcze pięć sztuk złota u burmistrza, a dziesięć na szczęście zostawiłem u Marion, inaczej te zdrajczynie obdarłyby mnie do czysta. Co tak rozdziawiasz gębę ze zdziwienia? Nie, nie powinienem wylewać na ciebie mej złości. Powiem ci wszystko. Jesteś mądrzejszy ode mnie. Coś to mi rzekł wtedy w drzwiach? Mniejsza o to. Ano właśnie. Zdeklarowałem się tej Marion.

Gerard spojrzał zdumiony.

- Co? Coś jej zdeklarował?

- Ożenek. Czyż to tak strasznie dziwne, gdy proponuje się dziewczusze ożenek?

- Dziwna rzecz wtedy, gdy proponuje się obcej dziewczynie, ot, mimochodem.

- Nie jestem znowu taki głupi, jak myślisz. Potrafię odróżnić ziarno od plew. Wiedziałem, że nie zdobędę jej prostą drogą, tak że musiałem użyć podstęp. „Mademoiselle - powiedziałem jej - małżeństwo nie leży w moich zwyczajach, muszę jednak uczynić wyjątek, tak jestem wstrząśnięty twoimi zaletami. Racz, o pani, wesprzeć na mnie swą rękę”.

- I wsparła ją na twym uchu?

- Nic podobnego. Przeciwnie, jesteś bezwstydnym młodym małpisonem. Wiedz zatem, że w tym kraju, jeśli ktoś nie pochodzi przypadkiem z Holandii lub innych barbarzyńskich stron, za grzeczność płaci się grzecznością. Odpowiedziała mi, płoniąc się jak różyczka: „Żołnierzu, spóźniłeś się nieco. Nie widzę w tobie na pierwszy rzut oka żadnej zmazy, ale on - on kochał mnie od tak dawna”.

- On? Kto?

- Ten inny.

- Który inny?

- Ten co się spóźnił. W ten sposób mówią one wszystkie, te kochaneczki, te wilczyce. Ich małe mózdzki lubią kręte ścieżki. Myślisz, że ustawiają swoje słowa w bojowe szyki? Ich języki nadto się spieszą. Powiada: „Nie kocham go - nie mówię, żebym go kochała - ale on mnie kocha, i to czule; i dlatego wolę raczej umrzeć, niż go zasmucić”.

- Teraz wierzę, że go kochała.

- Któż o tym wątpi? Tak więc to opowiadała, krążąc dokoła, jak to one zwykle mówią takie rzeczy, i tam gdzie ma być „tak” - było „nie”.

- Widzisz, jedno prowadzi do drugiego, skoro nie mogła dać mi swej ręki, dała mi dobrą radę: bym zostawił część swych pieniędzy u młodej pani. Tak więc, gdy zła kompania obedrze mnie ze złota, zostanie mi coś, abym mógł dalej wędrować - powiedziała. Odparłem, że wyżej cenię jej rady i zostawię je u niej. Zacerwieniła się. Powiedziała: „Pomyślcie, co robicie. Karczemne dziewczki złą mają sławę, jeśli chodzi o uczciwość”. „Nie taki diabeł czarny, jak go malują” - powiadam na to. „Zarzykuję”. I zostawiłem u niej piętnaście sztuk złota.

Gerard westchnął.

- Chciałbym, żebyś je jeszcze kiedy obaczył. Godne podziwu, jak wysoko cenisz tę pleć, że tak ufasz pierwszej z brzegu. Co do mnie - niewiele wiem o nich. Spotkałem jedną tylko, którą pokochałem, tak jak ciebie kocham. Ale starożytni na pewno je znali, a niewysoko je cenią. *Leuius quid foemina*, co po łacinie znaczy to samo co śpiewka Janeczki: *Le peu que sont les femmes*. Zważ też na to, co mówią starcy nam współcześni, gdy już nie zaślepią ich żądza, na przykład radny.

- Ależ żółtodziób z ciebie - krzyknął Dionizy. - Nie poznałeś, dlaczego ten stary dureń tak urąga biednym stworzeniom. Pewnego dnia jedna z wielu oczernianych przezeń niewiast wolała innego chłopca i za ten pojedynczy wypadek złego gustu - choć stawiam dziesięć na jednego, że to był dobry gust - oczernia lepszą połowę stworzenia, przez co dowodzi, iż: Le peu que sont les hommes.

- Widzę, że niewiasty mają w tobie dzielnego obrońcę - uśmiechnął się Gerard; ale za chwilę zapytał go już poważnie, czemuż to nie powiedział mu wcześniej tego wszystkiego.

Dionizy skrzywił się.

- Gdyby dziewczyna rzekła mi „tak”, wtedy powiedziałbym ci to natychmiast. Ale my żołnierze mamy zasadę: nigdy nie rozgłaszać naszej klęski. I to już dużo, jeśli po każdej porażce nie ogłaszamy Wiktorii.

- Teraz prawdę rzekłeś - powiedział Gerard. - Choć jestem młodzikem, zauważyłem już, że po każdej wielkiej bitwie generałowie obu stron udają się do najbliższego kościoła i tam każdy z nich śpiewa Te Deum za swoje zwycięstwo. Wydaje mi się, że Te Martem lub Te Bellonom, czy nawet Te Mercurium, jako że Merkury jest bogiem kłamstwa, bardziej byłoby na miejscu.

- Pas si bête - przyświadczył Dionizy. - Dobrze masz oko; wysoką wieżę w biały dzień zauważysz. Teraz ty powiadaj, jak ci się wiodło przez cały dzień w tym mieście.

- Dobrze żeś mnie zapytał - rzekł Gerard - inaczej nie rzekłbym ani słowa.

I opowiedział mu dokładnie historię swego aresztowania i jakim to cudownym okolicznościom zawdzięcza fakt, że zdołał uniknąć długoletniego więzienia lub szybkiego i pospiesznego spalenia.

Jego opowieść wywołała efekt, którego mało się spodziewał ani pragnął.

- Jestem zdrajcą - krzyknął Dionizy. - Zostawiłem cię w obcym miejscu, gdzie toczyłeś w pojedynkę walkę, podczas gdy ja z tymi gadzinami kości rzucałem. Bierz ten miecz i przeszyj na wylot mą pierś.

- Po co, na Boga - spytał zdumiony Gerard.

- Dla przykładu - ryczał Dionizy. - Aby ostrzec wszystkich fałszywych hultajów, którzy udają przyjaźń, a są jej niegodni.

- Rzeczywiście - powiedział Gerard. - Tak. To nie jest zła myśl. W którym miejscu sobie życzysz?

- Tu, prosto w serce - to jest w to miejsce, gdzie inni ludzie mają serca, a ja nie mam nic lub fałszywe, szatańskie.

Gerard udał, że uderza, i rzuciwszy się ku przyjacielowi, objął ramionami jego szyję.

- Nie znam innej drogi do twego serca, tak tylko mogę je odnaleźć, ty duży głuptasie.

Dionizy krzyknął, potem uściśnął chłopca gorąco i przejęty do głębi tym nagłym wybuchem młodzieńczej przyjaźni i właściwego Gerardowi wdzięku, bełkotał przerywanym ze wzruszenia głosem:

- Szydź dalej z niewiast - i bądź... kochaj je na swój godziwy sposób. Mleko masz jeszcze pod nosem. Nawet szatan musi cię pokochać - lub - le bon Dieu wykopie go z piekieł. Daj rękę! Niech... (tu straszliwe przekleństwo), jeśli spuszczę cię z oka aż do Italii.

I tak wierni przyjaciele po krótkim sporze pogodzili się, a nawet zbliżyli więcej jeszcze.

Następnego dnia sądzono rozbójników. Liczba pieces de conviction znacznie się zmniejszyła, ku wielkiemu zmartwieniu małego skryby sądowego, z powodu pogrzebania kości. Lecz i tak piękne to jeszcze było widowisko. Ręka zbrojcy odcięta przy flagrante delicto, włosy zamordowanej kobiety, topór Opata i inne narzędzia zbrodni. To, że czaszki etc. były, potwierdzili przysięgą strażnicy, którzy je znaleźli. Zbieranie dowodów nie odznaczało się zresztą ścisłością w tej epoce i w tamtej okolicy. Wszyscy przyznali się do winy prócz oberżysty. Manon wezwano, by to przeciw niemu udowodniła. Zeznanie jej było decydujące. Karczmarz na próżno starał się podważyć wiarygodność jej świadectwa, oskarżając dziewczynę o to, że trzymała język za zębami, póki żył jej kochanek, który sam był członkiem bandy. Oskarżyciel publiczny przyszedł z pomocą świadkowi i wyjaśnił, że przyłożono Manon nóż do gardła, a jej ukochanego zmuszono do złożenia uroczystej przysięgi, że ją zabije, jeśli ich zdradzi; ta straszliwa groźba, nie sam strach przed śmiercią, zapieczętowała jej usta.

Inni zbrojcy zostali skazani na powieszenie, oberżysta zaś miał być łamany kołem. Po ogłoszeniu wyroku przeszywający okrzyk wyrwał się z piersi rozbójnika.

Na biedną Manon spadło teraz prawie ogólne potępienie. Nie całkiem oczywiście zamilkła przychylna jej niegdyś opinia; ludzie podzielili się na dwa wielkie obozy. I choć może się to wydać dziwne, większość jej własnej płci wzięła stronę dziewczyny, ale mężczyźni rozpadli się na dwie grupy, co się zdarza ledwie raz na sto lat. Może któraś z dam zechce wytłumaczyć to zjawisko. Jeżeli chodzi o mnie, czuję zawsze pewną nieśmiałość, gdy mam objaśniać rzeczy, których sam nie rozumiem, choć dziś stało się to powszechnym zwyczajem. Gdyby Manon była miłośniczką rozgłosu, mogłaby być szczęśliwa, mówiłoby o niej całe miasto. Biedne dziewczę miało jedno tylko życzenie - wymknąć się tłumowi napastujących ją ludzi i ukryć się gdziekolwiek, aby opłakiwać swego ukochanego pendarta, którego cały ów proces przywrócił jej czulej pamięci. Przed swą szubieniczną

śmiercią zagrażał jej życiu; Manon nie była jednak taka jak wy, rozgrymaszone dzisiejsze dziewczęta, miłość do jej męskiego bożyszczka nie malała wtedy, gdy ją bił, czy nawet miał zabić; rosła jeszcze raczej, jeśli tylko poza wyżej wymienionymi „czułościami” objawiał również uczucie z rzadka odmierzanych pieścizkami; byłoby więc dziwne zaiste, gdyby czuła się urażona tego rodzaju groźbą. Nigdy nie miała rywalki. Łkała więc bez wahań wewnętrznych.

Tymczasem gospoda była pełna gości spragnionych jej widoku, którzy ucztowali i pili, aby doczekać się chwili, gdy dziewczyna raczy się ukazać. Manon szlochała czas dłuższy, potem rozległo się pukanie do jej drzwi; to wchodził oberżysta, mówiąc:

- Nie płacz już, dziewczusko, jeśli tylko zechcesz, fortuna cię czeka. Powiedz słowo, a zostaniesz służebną pod „Białym Jeleniem”.

- Nie, nie - odpowiedziała Manon, wybuchając na nowo żalem. - Nigdy już nie będę służącą w gospodzie. Wracam do matki.

Oberżysta pocieszał ją i głaskał, dziewczyna uspokoiła się, ale nie zmieniła zdania.

Gospodarz odszedł. Ale powrócił niebawem, składając jej inną ofertę. Czy zechciałaby zostać jego żoną i panią „Białego Jelenia”?

- To brzydko, że drwicie ze mnie, gospodarzu - rzekła ze smutkiem.

- Nie, serdeczko. Nie żartuję. Jestem za stary na głupie żarty. Rzeknij tylko słowo, a będziesz mą towarzyszką w doli i niedoli.

Spojrzała na niego i zrozumiała, że mówi poważnie. Zapłakała jeszcze rzewniej na wspomnienie swego pendarta. Łzy lały się strumieniem, ponieważ były to łzy ostatnie. Podała rękę gospodarzowi „Białego Jelenia” i złamała z nim złotą monetę na znak przyrzeczonej wierności i zaręczyn.

- Zachowamy to w tajemnicy, póki nie uspokoi się w domu - powiedział oberżysta.

- Tak - odrzekła - ale dajcie mi z łaski swojej bieliznę do reperacji lub co innego do roboty, ponieważ czas spędzany po próżni-’ cy ciąży mi jak ołów.

Oczy narzeczonego zabłysły z zadowoleniem wobec takiego godnego pani domu życzenia; przyniósł jej na górę dwa tuziny różnej wielkości dzbanów do czyszczenia i polerowania.

Bardzo poprawiło się samopoczucie dziewczyny, gdy zrozumiała, że dziwnym zrządzeniem losu wszystkie te lśniące naczynia stały się jej własnością.

To generalne czyszczenie naczyń przypomina mi, że sprawiedliwość wymaga ode mnie nieco podobnej pracy.

Zeznanie przeczytane w izbie zastępcy burmistrza jako słowa Manon nie było tak dokładne, jak powinny być tego rodzaju rzeczy. Dygnitarz nieco streścił jej zeznanie. W naszych czasach każdy wielki naród posiada co najmniej trzy osoby, które potrafią streścić zeznania nie fałszując ich; nasz dostojnik nie należał do tego ścisłego grona. W pierwszej części zeznania opuścił jako nieważne te słowa: „Matka radziła mi schodzić mu z drogi, póki jego gniew nie ostygnie”.

Między wyrazami „zazdrosna o mnie” i „powód” Manon powiedziała: „Mój pan już mi deptał po piętach, powiedziałam więc pani, że wolę odejść, niż stać się powodem nieporozumienia”. Zastępca burmistrza opuścił te słowa jako czczą gadaninę, podczas gdy to był cenny rys. Zniknęło także słowo „później” w następnym zdaniu. Manon powiedziała, że powód, który podawali „później” - to jest „gdy nie było mnie już tam i nie mogłam się sprzeciwić”. I tak dalej w całym zeznaniu.

Zeznający ucierpiał nie mniej, niż to dzieje się dzisiaj, gdy ludzie są krzywdzeni przez skróty w gazetach lub innych sprawozdaniach. A więc na przykład tak brzmiało owo zeznanie:

Zastępca burmistrza: - Powiedz no mi, czy wtrąciłabyś się do tej sprawy, gdyby żołnierz nie miał brody?

Manon: - Skąd mogę wiedzieć, co byłabym zrobiła?

Była to zupełnie rozsądna odpowiedź na skandaliczne pytanie, którego żaden urzędnik nie miał prawa zadać. W tym procederze skracania dziewczyna została obciążona dobrowolnym zeznaniem bardzo dla niej niebezpiecznym.

Na zakończenie zeznała: - Żałuję, że powiedziałam to wszystko, jeśli mam być za to powieszona.

To starszy pan streścił ut supra, antycypując o tyle, ile to tylko możliwe, dźwięcznogłosego Sinclaira.

Tak więc gdy Manon i ja zajmowaliśmy się czyszczeniem naczyń, ona na powitanie, a ja na pożegnanie, oberzysta zszedł na dół i natknąwszy się na naszych przyjaciół, zaciągnął ich do gospody.

Zwrócił się do Dionizego bardzo uroczyście.

- Jesteśmy starzy znajomi, a nie brak wam bystrości, żołnierzu: poradzcie mi, bom w tarapatkach. Mniej nieco mam ostatnio gości, całe miasto mówi o tej dziewczynie Manon - przyjrzyjcie się jeno, jak pełno dziś wieczór w gospodzie. Nie chce zostać u mnie służącą. Skłaniam się już na poły, żeby ją poślubić. Co myślicie o tym? Czy rzec wiążące słowo?

Dionizy zamiast odpowiedzi szeroko otworzył zdumione oczy. Oberżysta zwrócił półpytające spojrzenie w stronę Gerarda.

- O nie, panie - powiedział chłopiec. - Zbyt młody jestem, żeby doradzać starszym i lepszym ode mnie.

- Nie szkodzi. Pozwólcie poznać wasze myśli.

- Panie, starożytni mówili o dobrej żonie: bene quae latuit, bene vixit - co znaczy, najlepszą żoną jest ta, o której mówią najmniej; ale tutaj: male quae patuit byłoby najbliżej sedna. Jeśli dobrze życzyście dziewczynie, moglibyśmy złożyć się we trzech - wy z Dionizym i ja - i odesłać ją bezpiecznie z posagiem do domu. Może wieśniak jakiś w jej wsi zechce wziąć ją za żonę.

- Po co tyle gadania - powiedział Dionizy. - Ten stary lis nie jest osłem, którego udaje.

- O! taka więc jest wasza rada? - rzekł gniewnie oberżysta. - Dobrze, rychło się dowiemy, kto jest głupi, wy czy ja, rozmawiałem już z nią bowiem, a co więcej, odrzekła mi „tak” i w tej chwili poleruje dzbany.

- To tak! - odparł sucho Dionizy - była to więc zasadzka. W takim wypadku udzielię ci rady, biegnij po notariusza, wchodź w jarzmo i pijmy we trzech zdrowie panny młodej, póki nie zobaczymy sześciu zataczających się durniów.

- Tak zrobię. Teraz gadacie do rzeczy.

W ciągu dziesięciu minut zawarto cywilne małżeństwo w obecności notariusza, jego pisarza oraz naszych dwu przyjaciół.

Po następnych sześciu minutach biała łania, śmiertelnie chora z przebywania w samotności, zajęła swe miejsce za szynkwasem i podawała trunki. Krzątała się i bladą jej twarz powoli pokrywa! rumieniec.

Po sześciu minutach zdrowo zwymyślała niedbałą dziewczkę służebną, która przechyliła zbytnio dzban z winem i rozlewała szlachetny trunek.

W ciągu jednego wieczoru otrzymała poprzez szynkwasa osiem propozycji małżeństwa, niektóre od szanowanych obywateli. Karczmarz i obaj nasi przyjaciele z niewinnymi minami ukrywali się za zasłoną, aby pić do woli zdrowie młodej pary. Los szcudroblivy dla uciechy chyba zesłał im tę komedię. Słuchali ofert matrymonialnych, jednej po drugiej, a pozbawiona inwencji Manon niezmiennie odpowiadała:

- Serviteur jeno przybyliście na targ o dzień za późno. Karczmarz chichotał i zerkał z dobrotliwą wyższością na obu swych byłych doradców o tradycyjnych poglądach, że mężczyźni unikają niewiasty quae patuit - czyli takiej, która stała się tematem plotek dla miasta.

Dionizy prawie nie spostrzegwał tryumfu świeżo upieczonego małżonka, tak był zajęty swym własnym zwycięstwem nad Gerardem. Przy każdym następnym dowodzie nie wygasających afektów ze strony miasta stawał się prawie purpurowy, tak wiele kosztowało go powstrzymywanie się od radosnego ryku; poszturchując łokciem pogrążonego w głębokiej medytacji i mocno zaskoczonych wychowanka mędrców starożytności, szeptał:

- Le peu que sont les hommes.

Następnego ranka Gerard bardzo chciał wyruszyć w dalszą drogę, ale Dionizy był związany ślubem, bowiem zaprzysiągł, że ujrzy egzekucję morderców złotowłosej dziewczyny.

Gerard uznawał jego ślub, nie przyłączył się jednak do przyjaciela.

Poszedł zamiast tego pożegnać księdza plebana, poprosił o błogosławieństwo i otrzymał je. Około południa podróżni opuścili miasto. Gdy minęli południową bramę, natknęli się na szubienicę. Było na niej ośmiu wisielców - szkielet zmarłego kochanka, niegdyś oplakiwanego, dziś prawie już zapomnianego przez Manon, i ciała rozbójników, którzy tak niedawno omal nie pozbawili życia naszych podróżnych. Odciętą rękę przybito do belki; tuż obok zaś, na ogromnym kole, rozpięto trupa karczmarza, każdą kość w jego ciele połamawszy na kawałki.

Gerard odwrócił głowę i przyspieszył kroku. Dionizy ociągał się i wołał tryumfująco do swych umarłych wrogów:

- Odmieniło się, chłopaki, od czasu gdy siedzieliśmy we dwóch, trzęsąc się z zimna i czekając, aż przyjdziecie w siedmiu poderżnąć nam gardła.

- Fe, Dionizy, śmierć przekreśla wszystkie porachunki. Bardzo cię proszę, chodź dalej i ani słowa więcej, jeśli cenisz choć za grosz mój respekt dla ciebie.

Wysłuchawszy tej poważnej reprimendy, Dionizy ustąpił. Zamyślił się nawet i powiedział:

- Lepsześ otrzyma! ode mnie wychowanie.

Około trzeciej po południu dotarli do małego miasteczka. Ludność, szemrząc, zbierała się w grupki, gród brzęczą! jak ul. Nocą aż na rynek wpadły wygłodzone z powodu zimna wilki i pożarły dwie dorosłe osoby na głównej ulicy: ludzie ganili zjedzonych, twierdząc, że „tylko głupcy lub łobuzy łażą po nocy” - inni pomstowali na prawo, które nie otacza miast należytą opieką, jeszcze inni mieli pretensję do władz miejskich, nie egzekwujących istniejących praw.

- To nas nie obchodzi - rzekł Dionizy, który chciał ruszyć dalej.

- O nie, obchodzi - zaprotestował Gerard. - A to czemu, czy mnie i ciebie wilki zjadły?

- Nie, ale możemy być następnymi.

- A jakże, sąsiedzie - wtrącił niemłody mężczyzna. - Wszystkiemu winne miasto, które nie przestrzega nakazu książęcego, który każe, aby każdy kupiec zapalał nad swymi drzwiami latarnię zaraz po zachodzie słońca, a gasił ją dopiero o wschodzie.

Dionizy zapytał z odcieniem szyderstwa w głosie:

- Czegóż to sobie uroił, że knot z sitowia w łoju umaczany przepędzi wilki z pustymi brzuchami? Przecież barani łój to największy dla nich przysmak.

- Nie tłuszcz, pusta głowo, lecz światło. Wszystkie złe stwory nienawidzą światła, szczególnie wilki i diabły, które czają się, jak mniemam, pod ich skórą. Przykład: miasto Paryż stoi jakby w lesie, wilki wyją dokoła murów całą noc, ale już od dawnego czasu rzadko bardzo zapuszczają się w głąb ulic. A dlaczego tak? W tym mieście stróże nocni łomocą do każdych drzwi, które są ciemne, niosą pochodnie i dzielnie hałasują. Mój syn mi opowiedział. Wielki podróżnik z mego syna Mikołaja.

W dalszym ciągu wyjaśnienia zapewniał, że przed wydaniem owego zarządzenia Paryż był jednym z najbardziej nękanym przez wilki miast. W 1420 roku stado zuchwałe napadło na miasto, zaś w 1438 bestie te w ciągu jednego miesiąca pożarły czternaście osób między Montmartre'em a rogatkami świętego Antoniego, a był to w dodatku wcale nie zimowy miesiąc, lecz wrzesień! Zjadały również poniewierające się nocą na ulicach trupy zabitych w bójkach o północy lub pomordowanych ludzi, rozgrzebywały świeże groby na cmentarzach i rozszarpały ciała.

Tu roztropny obywatel wtrącił, że przypuszczalnie wilki w Paryżu okiełznano w ostatnich czasach nie za pomocą światła łojówek, lecz dzięki temu, iż wygnano Anglików z królestwa Francji. Wszakże owi „Anglicy są właśnie wilkom podobni przez swe okrucieństwo i żarłoczność. Cóż zatem dziwnego, że pod ich panowaniem nasi francuscy sąsiedzi stali się łupem wilków?” Ta argumentacja została przyjęta z ogólnym uznaniem; bowiem aż nadto przystawała do owych czasów i miejsca, w którym była głoszona. Ale starzec nie ustępował:

- Powiadam wam, że owi wyspiarze to wilki, ale na dwóch nogach i niezbyt skłonni protegować swych czworonożnych kuzynów. Czyż jeden żarłok lubi drugiego? Nie wierzę. Mamy zresztą dowód, a wiem o tym także od mego chłopca, Mikołaja, że pan Wilk nie śmie pokazać swego nosa w mieście Londynie, choć mniejsze ono od Paryża i gęsty las otacza je ścianą od północy, a tam żyje mnóstwo płowej zwierzyny i dziki roją się jak muchy pośród lata.

- Panie - rzekł Gerard - widzę, że znacie obyczaje dzikich zwierząt. Bardzo was proszę, udzielcie memu towarzyszowi i mnie rady - a nie zmarnujemy czasu po drodze - czy możemy teraz podążyć naprzód ku następnemu miastu, zażywając dostatecznego bezpieczeństwa?

- Mniemam, iż zbyt ryzykowne byłoby to przedsięwzięcie, młodzieńcze. Już jeno godzina do zmierzchu, a niedaleko stąd wejdziecie w las, gdzie czają się tysiące tych na pół zamorzonych bestii, w pojedynkę tchórzliwych, ale w wielkich stadach zuchwałych jak lwy. Radzę wam spędzić noc w tym mieście, a wyruszyć wczesnym rankiem. O brzasku te bestie zmęczą się już wyciem i rabunkiem, a może napełnią puste brzuszyska mięsem mych zacnych sąsiadów, onych szaleńców nie umiejących z rad korzystać.

Gerard nie przypuszczał, żeby do tego doszło, i zapytał, czy może polecić im jaką przyzwoitą gospodę.

- Ba! Jest tu „Złota Głowa”. Prowadzi ją moja wnuczka. Jest to co prawda mijaurêe nie tak jednak niegodziwa, jak gdzie indziej po największej części karczmarze, a sama oberża dość czysta.

- Jazda więc do „Złotej Głowy” - zdecydował Dionizy, pobudzony swym nieuleczalnym feblikiem.

Po drodze Gerard wypytywał swego towarzysza, co to znaczy mijaurêe.

Dionizy wybuchnął śmiechem z takiej niewiedzy.

- Nie wiesz, co to znaczy mijaurêe. Każde dziecko wie. Znaczący to ni mniej, ni więcej, jeno właśnie mijaurêe.

Weszli do karczmy „Pod Złotą Głową” i ujrzeli młodą, bogato odzianą damę. Włosy jej okrywał aksamitny czepiec, który zgodnie z prawem przysługiwał jedynie osobom szlachetnie urodzonym. Odkryli głowy i skłonili się nisko, ona dygnęła, ale spojrzała gdzieś w próżnię, co wyglądało dziwnie i raczej niesympatycznie. Jednakże szlachta w owych czasach nie byk tak bezpretensjonalna jak obecnie. Nasi podróżni nie byli więc zbyt zdziwieni. Ale już za chwilę podano wieczerzę i, o dziwo! Weszła owa księżniczka i podzieliła gęś.

- Święty Bawonie! - zawołał Gerard. - Toż to była cały czas karczmarka.

Przekleństwem młodej kobiety były piękne białe zęby i śliczne ręce; uroki te, które odbijały zresztą od pospolitych rysów twarzy, przewróciły jej w głowie. Marnie krajała pieczyste, dzieliła bowiem nie dla innych, lecz dla siebie - to jest po to, aby się popisać swymi rączkami. Gdy nie krajała mięsa, wiecznie wyjmowała szpilkę z włosów, odpinała ją z szat albo też wsuwała z powrotem w swe sploty lub fałdy sukien. Chichotała bezustannie, aby

popisać się zębami, śmiała się od ucha do ucha przy każdej okazji - wesołej czy smutnej. A siedziała najchętniej z otwartą buzią.

Żyje na tym świecie stworzenie odznaczające się nie nazbyt wielkimi zaletami, posiadające natomiast wzrok jastrzębi, wykrywający afektację. Zwie się „chłopiec”. Gerard był jeszcze w pewnych sprawach chłopcem - bystrym, dostrzegającym mizdrzenie się i skorym pogardzać kokieterią. Tak więc Dionizy wypatrywał na komediantkę oczy pełne uwielbienia, a Gerard przesywał ją sztyletami.

Młoda karczmarka wśród bezustannej minoderii krzyknęła głośno, zeskoczyła z krzesła jak zajęczek zza krzaka i piszcząc wybiegła z izby, przycisnąwszy ciasno fartuszek do bioder obiema rękami. Gdy uciekła za drzwi, mysz umknęła z powrotem za boazerię równie przerażona, choć może słuszniej niż karczmarka. Goście, którzy na pierwszy krzyk zerwali się zaniepokojeni, stali przez chwilę niezdecydowani, potem rozsiedli się ze śmiechem. Nasz czuły Dionizy, który tchórzostwo niewieście jako rys właściwy płci słabej uważał za wdzięczne i zabawne, orzekł, że idzie gospodynię pocieszyć i przyprowadzić z powrotem.

- Nie, nie, nie! na litość, pozwól jej się kryć - prosił poważnie Gerard. - O myszko błogosławiona! jestem pewny, że to któryś święty zesłał cię nam na pomoc.

Na prawo od chłopca siedział krępy mieszczanin w średnim wieku, który zachowywał się do tej pory z cynicznym spokojem. Nie drgnął ani nie wypuścił noża z ręki podczas całego tego rejuwachu. Teraz zwrócił się do Gerarda i spytał go wyniośle, czy naprawdę sądzi, że grimacière przstraszyła się myszy.

- A jakże. Krzyczała na cały głos.

- Gdzież znajdziecie kokietkę, która nie potrafi krzyczeć z całej siły? Takie karczmarki starają się w dodatku małpować szlachcianki. Musiała tu spędzić noc jakaś grafini czy księżna, która prawdziwie przerażona myszą, tak bowiem była wychowana. A ta małpa widziała to i rzecze: „podskoczę na widok myszy i narobię rejuwachu”. Tyleż samo ma prawo skakać ze strachu przed myszą co okrywać ramiona futrem i nosić aksamit na swym małpim łbie. Jestem z tego miasta, młodzieńcze, znam tę mijaurêe od dziecka i mniemam, że tyleż samo bała się myszy co i mężczyzn. - Dodał, że prawie zupełnie przegnała gości swymi singeries. - I tak już mają dosyć jej rączek, że nawet krewniacy tu nie odważą się zaglądać. - I zakończył z westchnieniem: - Gospoda „Pod Złotą Głową” była kwitnącą oberżą za czasów jej dziada, mego starego kompana, ale ona zawzięcie kopie tej karczmie grób zębami i paznokciami.

- Zębami i paznokciami? Świetnie powiedziane. Prawdziwie to i dowcipnie powiedziane - przytaknął Gerard. Ale ów prawdziwy dowcip przeminął nie zauważony i

spłynął jak topniejący śnieg, a krzepki obywatel miejski zszedł z widowni i nikt już nie pamiętał jego wystąpienia, ponieważ cała uwaga skupiła się na Dionizym, który dumnie wracał. Z oficjalnym wyrazem oblicza zlustrował dokładnie całe pomieszczenie. Zajrzał też uroczyście pod stół. Podczas tej inspekcji biała rączka spoczywała ostentacyjnie na krawędzi otwartych drzwi, a drżący głosik dopytywał stamtąd, czy przerażające zwierzę z całą pewnością już zniknęło.

- Nieprzyjaciel wycofał się wraz z taborami - zapewnił Dionizy i wprowadził drżącą białogłową, która siadając, przeprosiła gości za swe niemądre strachy z taką powagą, wdziękiem i udawaną pogardą dla siebie samej, że gdyby nie sarkastyczny uśmiech na licach sąsiada, Gerard nabrałby się na to jak wszyscy obcy przybysze. Obiad dobiegał końca, młoda pani poprosiła siedzącego po jej prawej ręce augustianina o odmówienie modlitwy dziękczynnej. Braciszek odmówił przydługie pacierze. Gdy tylko rozpoczął, niewiasta złożyła pobożnie białe rączki i trzymała je tak ku podziwowi śmiertelnych - jest to, jak wiadomo, świetna poza dla smukłych białych paluszków - oczy zaś wzniosła do góry ku niebu, a wdzięczność jej była podobna tej, którą odczuwa srocza porywająca wam napałstek.

Po posiłku obaj przyjaciele stanęli w bramie i oglądali rynek. Gospodyni przyłączyła się do nich i pokazała ratusz, więzienie, kościół pod wezwaniem świętej Katarzyny itd. Bardzo to było dwornie z jej strony, żeby nie powiedzieć więcej. Ale przyczyna tej grzeczności rychło wyszła na jaw. Biała i śliczna rączka migiała im przed oczyma za każdym razem, gdy wskazywała następny budynek. Gerard spoglądał na nią jak bazyliśzek, marząc o pęku pokrzyw. Słońce zachodziło i podróżni, nieliczni zresztą, przysiedli wokół ognia; unikając padających na wsze strony iskier, piekli się z przodu, marznąc w plecy. O ile bowiem niemieckie piece były nieznośnie rozpalone, o tyle francuskie salles à manger odznaczały się dotkliwym zimnem i przede wszystkim pełne były przeciągu. W Niemczech ludzie siedzieli przy piecu z odkrytymi głowami i zdejmowali wierzchnie odzienie, w Burgundii mieli kapelusze na głowie i nakładali na siebie najcieplejsze futra, zasiadając w krąg przy ogromnych otwartych kominkach w wietrze z zewnątrz, który dął od drzwi do źle zaopatrzonych okien. Widocznie jednak ich średniowieczne plecy były dość szerokie i silne, aby znosić taką sytuację, zachowywali się bowiem nie tylko wygodnie, ale i wesoło i sypali niewinnymi żartami na każdego po kolei. Nowe buty Dionizego na przykład, nie porozumiewając się wprost z sobą, pękły dziś oba w bliźniaczej zgodzie i jednomyślności.

- Gdzie też kupujecie obuwie, żołnierzu? - zapytał ktoś. Dionizy spojrzał pytająco na Gerarda i nie bardzo zadowolony z tematu, zbył go:

- Zrywam z drzew przydrożnych - odburknął.

- W takim razie zrywacie je zbyt dojrzałe - docięła gospodyni, która głupia była tylko w sprawach swego wyglądu.

- Zaiste, te są już przejrzałe, nadpsuterzucił ktoś inny, obrzucając wzrokiem nogi Dionizego.

Gerard się nie odzywał, ale podkreślał krążące dowcipy pantomimą. Chytrze, jedną po drugiej, umieścił w zasięgu wzroku Dionizego swe nogi w niemieckich butach, na których nie było prawie śladu setek przebytych mil. Wydawały się wykute ze skały.

- Skręć kark łysemu hultajowi, który mi je sprzedałwrzasnął w furii Dionizy i podbudował swą groźbę rzadkimi przekleństwami, charakterystycznymi dla żołnierzy w średniowieczu. Karczmarka zatkała paluszkami uszy, ukazując swe rączki w nowym położeniu.

- Powiedzcie mi, proszę, gdy skończy swe pacierze - szepnęła wdzięcząc się.

Właśnie rozpoczęto opowiadać rozmaite historie.

Gdy nadeszła kolej Gerarda, opisał swoje i Dionizego przygody w Domfront tak znakomicie, że słuchacze zostali urzeczeni, zapominając o istnieniu mijaurêe i jej rączek. Ona sama bardzo była niezadowolona i sięgnęła po najmocniejszą broń ze swego arsenału. Już od dwunastu miesięcy ćwiczyła ziewanie i umiała to robić teraz w każdej chwili w sposób tak naturalny, że skłaniała do ziewania każdego, jeśli tylko zdołał ją zauważyć. Czynność ta uwydatnia wszystkie jej wdzięki. Po pierwsze - pokazywała ząbki, potem jak na dobre, wiecie, wychowanie przystało, zakrywała usteczka trzema cieniutkimi paluszkami. Gdy więc opowiadanie Gerarda stawało się zbyt interesujące i przyciągało uwagę, niewiasta odwracała się, ziewała kunsztownie i *croix sur la bouche*.

Bardzo to było dyskretne; ale Gerard był artystą, a artystę łatwo mrozi nieuważne audytorium. Znosił długi czas ziewanie karczmarki, ale stwierdziwszy, że ma ona tego nieskończony zapas, stracił jednocześnie cierpliwość i zapął, podniósł się nagle w połowie opowiadania i rzekł:

- Nudzę i męczę gospodynię, a że i sam znużony już jestem, życzę wszystkim dobrej nocy! - chwycił świecę z szafki, szepnął Dionizemu: - Nie mogę jej znieść! - i szybko poszedł położyć się do łóżka.

Mijaurêe poczerwieniała, zagryzła wargi. To krygowanie nie było wymierzone w Gerarda; zrozumiała w jednej chwili, że zachowała się głupio, nieuprzejmie i została publicznie skarcona. Siedziała, a policzki jej zapłonęły jaskrawym rumieńcem, nieco prawdziwej wilgoci zalśniło w oczach i wyglądała teraz dziesięć razy wdzięczniej, bardziej kobieco i powabnie niż w ciągu całego dnia. Dezercja najlepszego narratora rozproszyła

towarzystwo; nieznużony Dionizy podszedł do zadumanej mijaurée i zaprosił ją słowami pełnymi galanterii, by z nim zagrała w kości. Wyrwana ze swych marzeń spojrzała na niego z chłodną godnością i zgodziła się łaskawie, ponieważ przypomniała sobie natychmiast, ile popisowych ruchów rękami umożliwi jej gra.

Żołnierz i mijaurée stukali kośćmi i białogłowa tak usilnie zajęła się swymi rękami, że zapomniała nawet o szachrowaniu i Dionizy wygrał od niej ecu au soleil. Niechętnie i powoli rozsupływała sakiewkę, a były dwa powody tej powolności: po pierwsze płeć piękna z zasady nie płonie ochotą do spłacania honorowych długów, po drugie pragnęła wzbudzić podziw igraniem maleńkich kosteczek, uwydatniających się między mięciutkimi białymi poduszeczkami. Dionizy zaproponował kompromis.

- Wygrałem od ciebie trzy srebrne franki, uroczą karczmareczko. Proszę, pozwólcie trzykroć ucałować tę białą rączkę i będziem kwita.

- Jesteście zuchwalcem, panie żołnierzu - potrząsnęła główką pani. - Poza tym są takie brudne. Popatrzcie! czarne jak inkaust. - Aby go przekonać o prawdzie swych słów, wyciągnęła do niego dłonie i obracała je raz wierzchem, raz dłonią w górę. Wyglądały jak śmietanka i ona wiedziała o tym: myła je bezustannie i nacierała pachnidłami.

Dionizy zrozumiał te przeszkody, jak przystało na bystrego wojaka, chwycił je i wycalował.

Oberżystka widząc, że tak ocenia jej wdzięki, powiedziała nieśmiało:

- Czy wyrządzilibyście mi przysługę, dobry żołnierzu?

- Nawet tysiąc, uroczą gospodyni, jestem do waszych usług.

- O nie, proszę tylko o jedno. Powiedzcie, proszę, swemu towarzyszowi, że było mi ogromnie przykro, że utraciłam część jego wstrząsającej opowieści, i tuszę mocno, iż opowie ją do końca jutro rano. Nie zasnę tej nocy, myśląc tylko o tym. Czy zrobicie mi tę przyjemność i powiecie mu?

- Dobrze, powtórzę to młodemu dzikusowi. Niewart on jednak waszej troski, słodka pani. Milej mu obcować z mężczyzną niż z niewiastą.

- Ach, takpraw jest. Dzisiejsze młode kobiety nie są go warte, un tas de mijaurées. Chłopiec ma dobrą, poczciwą i bardzo piękną twarz. W każdym razie nie chcę, by mój gość uważał mnie za nieobyczajną, zależy mi na tym ponad wszystko. Zrobicie to dla mnie, powiecie mu?

- Przysięgam na te białe dłonie. A tym całusem pieczętuję zobowiązanie.

- Teraz już dość. Czas do łóżka. A powiedzcie mu przed zaśnięciem.

Przebiegła żaba (dzięki ci, Marion, za to wyrażenie, tyś mnie go bowiem nauczyła) skłonna już była obdarzyć Gerarda swymi niewiele wartymi afektami. Nie żeby była niezdolna do zakochania - choć trudniej jej to przychodziło niż wielu białogłowom uchodzącym w mieście za cnotki - Gerard jednak posiadał potrójne zalety, które muszą przyciągać kokietki wszystkich epok. 1. Był bardzo przystojny. 2. Nie uwielbiał jej nawet w najmniejszym stopniu. 3. Obraził ją publicznie.

Dionizy obudził Gerarda i przekazał mu polecenie. Nie zachwycił przyjaciela.

- Budzisz zmęczonego człeka, by mu taką rzecz powiadać? Czyż muszę być z mijaurée nie tylko w dzień, ale i w nocy?

- Powiadam ci, młokosie, żeś podbił serce białogłowie. Mówi ci to człek doświadczony. Jej głos był śpiewnym wzdychaniem; przebiegła bestyjka przekupiła mnie na swój sposób, bym zaniósł ci miłosne wezwanie - takem zrozumiał jej polecenie.

Tak więc Dionizy przemawiając jako człek starszy, a zarazem w świecie bywały, oświadczył Gerardowi, że oto nadszedł czas, by ujrzał, jak żołnierz rozumie przyjaźń i camaradiere. Italia obecnie odpada. Los zrzucił coś lepszego, ślepa pani fortuna uśmiechnęła się wreszcie i oceniła jak należy zasługę. „Złota Głowa” była niegdyś dobrze prosperującą gospodą, może znowu zakwitnąć, gdy mężczyzna weźmie rządy w ręce. Dobry generał układa oczywiście plany na daleką przyszłość, ale zawsze jest gotów je odrzucić, gdy nadarza się jakaś znakomita okazja i może zebrać obfite, a niespodziewane plony. W taki to głównie sposób wielcy dowódcy zwyciężali małych; ci bowiem ostatni nie potrafili działać bez przygotowania.

- Smutna to przyjaźń, która pragnie mnie wyswatać za mijaurée - przerwał Gerard, ziewając.

- Bądźże rozsądny, przyjacielu; wcale nie najszybsza owieczka pierwsza spada na skały. Każde stworzenie musi wcześniej czy później się wyszumieć, czemuż by niewiasta nie mogła mieć kaprysów? o ile bardziej płochą istotą jest kotka, a ileż więcej powagi w niej niż w koczurze?

- Muszę przyznać, że dobrze znasz naturę, Dionizy - zauważył Gerard.

- Jeszcze lepsze mam oko, gdy chodzi o twoje dobro, chłopcze. Zaufaj mi, a nie stracisz. Podpatruję te gołąbki we dnie i w nocy. Szczęśliwy człek, którego małżonka wyszumiała się przed ślubem i potyka się, wchodząc na stopnie ołtarza, nie zaś schodząc z nich. Małżeństwo odmienia je zawsze - czasem na lepsze, czasem na gorsze. Tak, Gerardzie, niewiasta jest uczciwa po wszystkim; nie jest zaś mężczyzną, nie jest nawet półmężczyzną ten, kto nie potrafi uczciwego dziewczęcia urobić jak kawałka gorącego wosku, aby była

godną towarzyszką jego stołu i łoża. Powiadam ci, po miesiącu zrobisz z tej kokietki najcnotliwszą białogłową w mieście, bardziej od wszystkich pokorną i uległą. Już jest na poły oswojona. Dziewięć na dziesięć spośród najśłodszych dzierlatek nie darowałoby ci całe życie tego, żeś zranił publicznie ich dumę. Ona zaś za kontuzję odpowiada afektem, i Jest to, na trąbę Jozuego, dziewczę zacne, nie znajdziesz w niej złośliwości. Gdyś odszedł, siadła zamyślona i nie rzekła ni słowa. Pewny znak uczucia jej płci, bo prędzej mówią, nim pomyśleć zdołają. Poza tym głosik jej drżał, kiedy o tobie słodko mówiła - drugi niechybny znak. Przeszyła ją strzała i draży jej serce. Och! Cieszę się! Milczysz? Rozumiem, rzecz załatwiona. Powędruję do Remiremont smutny i sam. Ale nie dbam o to. Do stu par beczek, jeżeli mój drogi kamrat zostaje tu jako gospodarz „Złotej Głowy”, bezpieczny od wszelkich burz życia. Zechciej wspomnieć o mnie, Gerardzie, od czasu do czasu; siedząc przy ogniu płonącym na kominku, pomyśl o przyjacielu, odpoczywającym na jakimś wietrznym wrzosowisku lub leżącym w wilgotnym rowie, lub rannym na polu bitwy, z dala od pociechy.. Choć nie - (tu głos jego zabrzmiał prawdziwą szlachetnością) - będę mógł się pocieszyć. Zimno, wilgoć ni rana nie może mi przeszkodzić, bym ogrzał swe serce myślą, że zostawiłem swego kochanego przyjaciela i prawdziwego kamrata w „Złotej Głowie”, daleko od żołnierskich trudów.

- Nie przerywałem ci, drogi Dionizy - powiedział łagodnie Gerard - ponieważ każde słowo otwierało przede mną skarby twego złotego serca. Ale zastanów się, że tam moje śluby, gdzie uczuć skłonność. Ty, taki wierny, chcesz mnie namówić do niewierności?.

- Niech nie zaznam zbawienia, całkiem o tym zapomniałem - odrzekł Dionizy.

- Nie mówmy o tym więcej, lecz włącz już do łóżka, mój drogi Dionizy. Kocham cię chyba najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie, zaraz po Małgorzacie, i twoje coeur d'or cenię wyżej od tuzina „Złotych Główn”. Proszę cię bardzo, obudź mnie o pierwszym brzasku różanopalcej jutrzeńki, i ruszymy, nim niewiasta łącznie czarować swymi rączkami.

Zerwali się o świcie, pożywili przy kuchennym ogniu. Dionizy zapytał służebną, czy gospodyni już wstała.

- Nie - odparła - ale nie śpi. Przygotowuję jej właśnie wodę do mycia.

Napełniła dzban wodą i zaniósła go na górę.

- Popatrz - rzekł Gerard. - Nawet sam żywioł musi być ogrzany, by nadał się do jej skóry. Cóż by rzekli na to święci, którzy wybierają lodowate kałuże? W drogę, nim zejdziesz na dół i przyłapie nas tutaj.

Zapłacili rachunek i opuścili „Złotą Głowę”, podczas gdy gospodyni myła ręce.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Wyszędłszy za miasto spostrzegli, że nieprzeliczone wilcze stada stratowały każdą piędź świeżego śniegu na drodze.

- Postąpiliśmy mądrze słuchając rady starego człowieka, Dionizy.

- A tak, bardzo słusznie. I myślę jeszcze w tejże materii, że słyszałem, jak bestie tupwały pod naszymi oknami, wyły i skowytały, węsząc ludzkie mięso tam na rynku. Ani jeden tłusty mieszczuch nie ulitował się nad biednymi włóczęgami i nie wyskoczył przez okno.

Gerard uśmiechnął się z miną roztargnioną.

Powlekli się w milczeniu naprzód.

- Co tak rozpamiętujesz?

- Twoją dobroć.

Ta odpowiedź niezbyt podobała się Dionizemu. Obok dziwnych cech, jak może zdołaliście zaobserwować, odznaczał się dobroduszością i potrafił znieść sporą dawkę zuchwalstwa, lecz niekiedy wybuchał gniewem, gdy nie było najmniejszego ku temu powodu.

- Grzeczne pytanie zasługuje na grzeczną odpowiedź - burknął.

- Taki właśnie miałem zamiar - odparł Gerard.

- Czemu więc udajesz, że myślisz o mej dobroci, gdy dobrze wiesz, że nie ma we mnie ni śladu dobroci?

- Gdyby kto inny powiedział, odrzekłbym: kłamiesz - tobie jednak powiadam: Nie umiesz się poznać na zaletach mężczyzn, a jeno na niewieścich. Jeszcze raz mimo twego głupiego gniewu powtarzam ci, że raz rozważałem dobroć, którąś mi okazał ostatniej nocy. Chciałeś wyswatać mnie ze „Złotą Głową” lub raczej z tête de veau dorée i skazać się na samotność.

- A to ty o tym, chłopcze? - Dionizy natychmiast odzyskał zwykłą pogodę. - Uważam po prawdzie, że nie była to dobroć, lecz przyjaźń i rzetelne kamractwo, nic więcej. I pozwól sobie, mój młody panie, powiedzieć, że i teraz jeszcze sumienie nie daje mi pokoju, gdy myślę, żeś się plecami odwrócił do fortuny i spokojnego życia. Gdybym był lepszym przyjacielem, podciąłbym ci ździebko ścięgno w nodze. Musiałbyś zostać „Pod Złotą Głową”, pocierpiałbyś może z miesiąc. To płoche dziewczę czule by cię niańczyło i wszystko byłoby dobrze. Miałem już brzytwę w ręku, by to uczynić, ale przypomniał sobie, jak ty nienawidzisz bólu, choć to byłoby jeno draśnięcie - zawiodło mnie przy tym tchórzliwe serce.

- Spojrzenie Dionizego wyrażało pokorną prośbę o wybaczenie braku zacnej odwagi w sprawie tak jasnej, gdy prosta była przed nim droga obowiązku.

Gerard podniósł wysoko brwi, zdumiony owym potwornym, choć typowym dla Dionizego wyznaniem. Ten odkrywczy i delikatny problem przyjaźni, a mianowicie, czy należy z miłości podcinać przysłowiowe ścięgno achillesowe własnego przyjaciela, nie został poddany pod dyskusję - przeszkodziło tanu bowiem nowe wydarzenie.

- Dogania nas ktoś na mule sąsiada - krzyknął Dionizy. Gerard się odwrócił.

- Skądże to wiesz, proszę, że muł nie jest jego?

- Chyba oczu nie masz! Ponieważ nie szczędzi zwierzęcia. Rzeczywiście człek pędził jak szalony. Ale co więcej zdumiało naszych przyjaciół - to, że wiejski chłopak, który dogoniwszy ich, zrobił wielkie oczy, tak nagle i tak gwałtownie ściągnął cugle, że muł zarył kopytami w ziemię i wśliznął się między obu pieszych wędrowców jak drewniana zabawka na kółkach.

- Tuszę, że idziecie z oberży „Pod Złotą Głową”? - Podróżni skinęli głowami. - Który z was jest ów młodszy?

- Ten, który urodził się później -' odparł Dionizy, mrugając porozumiewawczo.

- Piękne dzięki za nowinę.

- Ano spróbuj zgadnąć!

- I tak też zrobię. Ty masz porządną brodę, a twój kompan mleko pod nosem; ten musi być młodszy. To dla ciebie, młokosie. I podał zawiniętą w papier paczkę. - Zostawiłeś to „Pod Złotą Głową” i nasza pani odsyła ci zgubę.

- Nie, dobry człowieku, niczego u was nie zapomniałem. - Gerard dotknął sakiewki.

- Powiadasz, że moja pani kłamie - zapytał parobek z wyrzutem w głosie - a ja mam się obejść bez napiwku? (z jeszcze bardziej gorzkim wyrzutem) - Gnałem tu ventre à terre.

- Napiwek dostaniesz - i dał mu szeląg.

- A la bonne heure!- krzyknął nieokrzesianiec, twarz zajaśniała mu radością. - Jedźcie z Bogiem! Wracamy, Jenny. I zawrócił znowu „szorując brzuchem po ziemi” - jak to zwykła określać jego nacja.

Gerard rozwinął pakiecik. Miał on rozmiar sześciu cali kwadratowych. Wewnątrz znalazł następną paczuszkę, potem dalszą. Przy czwartej rzucił całe zawiniątko w śnieg. Dionizy podniósł pakiecik i skarcił go za niecierpliwość. Chłopak odrzekł, że nie znosi udawania.

Dionizy stwierdził: wykapaną wnuczka Herodiady - nie ma tu udawania, po prostu figiel niewieści. Na pewno w owych osłonkach mieści się coś, czego nie życzyłyby sobie pokazać parobkowi, przez słodką niewieścią chytrą lub też delikatność, iż obdarowuje tym młodego człowieka. Myślę, że to twoje podwiązki.

- Nie noszę niczego podobnego.

- Zatem jej własne lub pukiel włosów. Co to jest? Kawalek jedwabiu świeżutko utkanego. - Zaiste dowód miłości.

- Jeno ty możesz sobie wyobrazić, iż ta niewiasta tak mało warta, żeby posyłać mi miłosne upominki. Nie widziałem w niej nic zdroźnego - oprócz rąk.

- Czekaj, coś połyskuje w tym mięciutkim gniazdeczku. Chodźże tu szybciej, pisklątko! O, święci Pańscy i święte drzewce włóczni! Patrzajże na to!

Był to złoty pierścień z wielkim świecącym i migotliwym ametystem, pełnym barwy, a jednocześnie jak kryształ czystym.

- Jaki piękny! - powiedział z niewinnym zachwytem Gerard.

- A tu jakoweś pismo. Na głos, chłopie! Nie czytam zbyt gładko jak inni, jeśli nie wiem przedtem, co napisane.

Gerard wziął papier.

- To jakowyś napis, i to wcale ładny.

Czytał wiersz po wierszu, rumieniąc się jak dziewczyna. Tekst był bardzo naiwny i brzmiał w tłumaczeniu, jak następuje:

Młodzieńcze, coś serca mego połową, Wróc do oberży „Pod Złotą Głową”.

Nie chcesz? Niech ci przypomni ten pierścień

Tę, która będzie płakać do śmierci.

Gdy świat ci wyda się zimny i smutny, Wróc do oberży, chłopcze okrutny.

- Biedna gołąbeczka - westchnął Dionizy.

- Stara kwoka! Żeby tak narażać dobrą sławę!

- Niech Bogu dziękuję, że odegrała tę komedię z uczciwym chłopakiem, który nigdy nie zdradzi jej szaleństwa. Ale cóż to za zepsucie! Nie mogłaby ofiarować tobie owych budzących odrazę afektów? - Dionizy westchnął i wzruszył ramionami. - Tobie, który jesteś równie skłonny do szaleństwa jak i ona?

Dionizy wyznał, że jego młody przyjaciel z ust wyjął mu te słowa. I jemu wydaje się dziwne, żeby niewiasta patrzeć umiejąca ominęła mężczyznę i obdarzyła swym afektem chłopca. W tym widzi jednak szczodrość Natury. Ostatecznie chłopcy to też stworzenia Boskie i gdyby nie takie przypadkowe niewieście kaprysy, ich los byłby zbyt ciężki do zniesienia. Żyliby pozbawieni słońca, zwiędnięci, skoro tylko niewiasta mogłaby przemienić w mężczyzn młodzieńców, tak niewiele obiecujące i nieszczęsne stworzenia. Gerard przerwał ten pochlebny dyskurs, prosząc wojownika-filozofa o przyjęcie pierścienia damy. Ale Dionizy odmówił stanowczo, nakłaniając Gerarda do powrotu pod „Złotą Głowę”, i to zaraz, wraz z

pierścieniem i całą resztą, w ten bowiem sposób postąpiłby jak mężczyzna, nie pozwalając biednej dziewczęce wyciągać ku niemu rąk na próżno.

- Rączek, chciałeś raczej rzec.

- Ręki, co dierży oberżę „Pod Złotą Głową”. Doszedłszy do tego punktu, starał się wsunąć pierścień na palec przyjaciela. Gerard zaprotestował.

- Noszę już pierścień.

- Mówisz o tej tandecie? Przecież to blacha, co najwyżej cynowa, a tu szczere złoto, nie licząc kamienia!

- To prawda, ale tamten dała mi Małgorzata i cenię go nad rubiny. Nigdy się z nim nie rozstanę ani mu nie dam rywala. - I ucałował ów skromny amulet, aby się niczego nie obawiał.

- Widzę, że kwoka przysłała swój pierścień gęsi - zauważył stroskany Dionizy. Namówił w końcu Gerarda, aby schował pierścień do czapki. Chłopak zgodził się chętnie. Wierzono bowiem ogólnie w nadprzyrodzone cechy niektórych klejnotów, a ametyst wysoką miał rangę wśród tych cennych talizmanów.

Załatwiwszy tę sprawę, Gerard gorąco poprosił przyjaciela, aby na tych słowach poprzestał, rozmowa bowiem o płci niewieściej wzmaga jego tęsknotę za Małgorzatą i niemal odwagi pozbawia, gdyż uświadamia on sobie, że każdy krok coraz bardziej go od niej oddala.

- Nie jestem miłośnikiem wszystkich niewiast, Dionizy. Serce moje może pomieścić jedną tylko umiłowaną i jednego przyjaciela. Daleko odszedłem od mej drogiej pani, a oto jeszcze parę mil i stracę również kamrata. Pozwól mi, póki mogę, napawać się twą szczerą przyjaźnią, nie zmaconą owymi głupimi niewiastami.

- Możesz być spokojny, mój gołąbeczku - odparł dobrotliwie Dionizy. - Zaś poza tym nie licz na to, że cię w Remiremont opuszczę. Niech mnie (tu trzy kolejne przekleństwa), jeśli bym cię porzucił. Inną chcę ci przedstawić propozycję: zostań ze mną dwie doby, iżbym miał czas ucałować matkę i siostry, jak również wszelkie inne niewiasty, a potem powędrujemy znowu razem aż do morza.

- Dionizy, och, Dionizy!

- Nie „dionizuj” mi! Rzec postanowiona. I nie sprzeciwiaj mi się, bo pójdę z tobą aż do Rzymu. Niby czemu nie? Jego świątobliwość ma zwykle na widoku jakąś wesołą, przyjemną wojenkę, i burgundzki żołnierz zawsze jest mile widziany w papieskich szeregach.

Słyszac te słowa, Gerard otworzył duszę przyjacielowi.

- Nim cię spotkałem, Dionizy - wyznał - często przystawał na drodze, nie mogłem zmusić się do dalszej wędrówki, tak mdłe serce ciągnęło mnie do powrotu. Modliłem się

wtedy o pomoc świętych i wreszcie podrywałem niechętne ciało do dalszego marszu. Od czasu gdy połączyliśmy swe losy, wielka natchnęła mnie dzielność. Przekonałem się, iż prawdziwe jest starożytne przysłowie, które głosi, że w drodze nużącej zacny towarzysz więcej wart od kolaski; bracie najmilszy, gdy pomyślę, ileśmy to zdziałali i wycierpieli - ocaliłeś mi życie w walce z niedźwiedziem i ze sroższymi od dzikiego zwierza zbójcami; i choć nędzna była moja próba wyratowania cię z Renu, pokochałem cię chyba w dwójnasób. Jakie to już silne i czułe połączyły nas więzy! Jeśliby to od mej woli zależało, to nigdy, nigdy, nigdy, przenigdy nie rozstałbym się z mym Dionizym. Dopiero grób mógłby nas rozdzielić. Bądź wola Twoja, Panie.

- Nie, tym razem niech będzie wedle mojej woli - krzyknął Dionizy. Le bon Dieu musi się zajmować grubszymi od nas rybami. Idę z tobą do Rzymu. Masz moją rękę na to!

- Pomyśl, co mówisz! To niemożliwe. Zbyt byłoby samolubnie z mojej strony.

- Powiadam ci - załatwione. Nie ma siły, która mogłaby zmienić moją decyzję. W Remiremont pożyczam od wuja dziesięć sztuk złota i ruszamy. Postanowione, nieodwracalne jak los.

Przypiętowali umowę uściskiem dłoni. Gerard zamilkł, zbyt wzruszony, ale w radosnym tańcu okrążył dwa razy maszerującego kusznika; biegł tyłem, patrząc w twarz przyjaciela, wreszcie wziął go za rękę i szli tak jak para kochanków, gdy nagle spostrzegli oddział konnych, który w sile około pięćdziesięciu żołnierzy ukazał się na szczycie pagórka.

- Patrzajże, toż to chorągiew Burgundii - zawołał radośnie Dionizy - muszę się rozejrzeć, czy nie znajdę kamrata wśród nich.

- Jaki wspaniały jest ten sztandar w słońcu - powiedział Gerard - popatrz na dzielnych dowódców w aksamitach i pióropuszkach, ich pancerze jak kryształowe zwierciadła.

Gdy żołnierze przybliżyli się na tyle, że można już było odróżnić ich twarze, Dionizy zawołał:

- Niech nie dożyję jutra, jeżeli to nie Bastard Burgundzki! Oho ho, gdzieś tu pachnie wojną, skoro rusza w pole. Dzielny to wódz. Nie ceni wyżej życia swego od życia prostego żołnierza, żołnierz zaś tyle u niego wart co sikorka. To jest właśnie kapitan w sam raz dla mnie.

- Popatrz, Dionizy, nawet miały w zdobnych mosiądzem czaprakach dumne są, że noszą na grzbiecie takich jeźdźców! Nic dziwnego, że mężczyzn tak ciągnie żołnierka.

Gerard jeszcze pełen był tej naiwnej admiracji, gdy oddział zrównał się z nimi.

- Stój - zagrzmiął stentorowy głos. Oddział wrósł w ziemię. Bastard Burgundzki groźnie zmarszczył brwi, zwracając się do Dionizego.

- Cóż ty, kuszniku, jak to się dzieje, iż twarz zwracasz ku południowi, gdy każda dzielna dłoń i serce na północ spieszy?

Dionizy wyjaśnił z szacunkiem, że po kilku latach służby idzie na urlop zobaczyć się z krewniakami w Remiremont.

- Rozumiem. Ale nie czas dziś na to. Niepokój w księstwie. Hejże! dawajcie tu muła po poległym żołnierzu, dosiadaj go i naprzód wraz z nami do Flandrii!

- Nie może to być, wasza wysokość - odrzekł Dionizy stanowczo. - Jestem o krok od domu. Nie widziałem rodziny od trzech lat, a poza tym mam pod opieką tego oto biednego chłopczyńkę, którego nie opuszczę, dopóki nie przywiodę go szczęśliwie do Rzymu.

- Mnie się sprzeciwiasz? - spytał wódz, a jego zdumienie błyskawicznie ustąpiło miejsca wściekłości. - Życie ci się sprzyrzyło? Puść rękę chłopaka i jazda na siodło. Dość próżnego gadania.

Dionizy nie odpowiedział - mocniej trzymał dłoń Gerarda. Bunt malował się w jego oczach. Bastard ryknął:

- Jarnac, każ zsiąść z mułów sześciu twoim łucznikom, niech położą na miejscu trupem tego tchórzliwego kundla - dla przykładu.

Zastępca dowódcy, młody hrabia Jarnac, wydał rozkaz, a żołnierze zeszli z mułów, by go wykonać.

- Obedrzyjcie go do naga - rzekł Bastard zimnym, beznamiętnym głosem wojskowego - złóżcie, jego broń i rysz tunek na zapasowym mule. Może się nam trafi jakiś błazen bardziej wart tego.

Dionizy jęknął głośno.

- Nie dość wam zamordować, chcecie mnie jeszcze pohańbić?

- Och, nie, nie, nie! - krzyknął Gerard, ocknąwszy się z osłupienia, w jakie wtrącił go ów wybuch tyranii. - Pójdzie z wami za chwilę. Wolę się z nim rozstać, niż widzieć, że włos spada z jego kochanej głowy. O panie mój, daruj biednemu chłopcu choć minutę na pożegnanie z jedynym przyjacielem! Pójdzie z wami! Przysięgam, że pójdzie z wami.

Surowy wódz z zimną pogardą skinął głową.

- Jarnac, zostaniesz z nimi i dostarczysz go żywym lub umarłym. Naprzód! - Ruszył w drogę, a za nim cały oddział prócz młodego hrabiego i sześciu łuczników, z których jeden trzymał zapasowego muła za uzdę.

Dionizy i Gerard patrzyli na siebie błędnym wzrokiem. Jakież to było spojrzenie!

Po tej niemej wymianie udręki i rozpaczliwych przemówili obaj spiesząc się, albowiem cenne chwile uciekały.

- Idziesz do Holandii, wiesz, gdzie ona czeka. Powiedz jej wszystko. Będzie ci rada przez wzgląd na mnie.

- Smutną jej zaniosę opowieść! Na miłość Bożą, wracaj do „Złotej Głowy”. Ja oszaleję.

- Cyt... Pozwól mi zebrać myśli. Czy nie mam ci już nic do powiedzenia? Dionizy! Och, moja głowa, moja głowa!

- Ach! Już wiem. Idź w stronę Renu, Gerardzie! Strasburg tu o krok. Potem w dół z biegiem rzeki do Rotterdatnu. Tam Małgorzata. I ja tam idę. Powiem jej, że przyjdiesz. Będziem wszyscy razem.

- Chłopcy, pospieszcie się, bo narobicie nam kłopotu - powiedział hrabia stanowczo, ale już bez złości.

- Jeszcze chwilę, o panie, jeszcze maleńką chwilę! - szepnął Gerard.

- Niech będzie przeklęty kraj, w którym się urodziłem. I cały ród ludzki, i ten, który go takim stworzył! - wrzasnął Dionizy.

- Cicho! Dionizy, cicho, nie bluźnij! O Boże, wybacz mu, on nie wie, co mówi! Bądź cierpliwy, Dionizy, bądź cierpliwy. Gdybyśmy się mieli nie spotkać na ziemi, pozwól, byśmy spotkali się w niebie, dokąd nie wejdzie żaden bluźnierca. Przytul mnie do serca, utracony przyjacielu, cóż mogą nam pomóc słowa.

Wyciągnął ramiona i uściskali się czule. Całowali się raz po raz w milczeniu, a łzy zalewały im oczy. Hrabia Jarnac patrzył na nich zdziwiony, ale prości żołnierze, dla których kamrat jest świętym słowem, przyglądali się z wyrazem litości na surowych twarzach. Na znak Jarnaca siłą, ale dobrodusznie podsadzili Dionizego na muła, pocieszając prostackimi słowami, i wzięwszy go między siebie pogalopowali za wodzem. Gerard biegł jak szalony za nimi aż do zakrętu, aby widzieć przyjaciela do ostatniej chwili; ujrzał jeszcze, jak Dionizy kiwał się gwałtownie na grzbiecie muła i rwał sobie włosy z głowy. Na ten widok coś zaczęło się podnosić Gerardowi do gardła, coraz wyżej i wyżej, tak wysoko wreszcie, że nie mógł już ani biec, ani oddychać; oparł się prawie nieprzytomny o żywo płot pokryty śniegiem, chwycił go, dusząc się rozpaczliwie.

Ciernie raniły mu dłonie.

Z ogromnym wysiłkiem chwycił znowu oddech i na nowo ujrzał swe nieszczęście, choć nie całkiem jeszcze zdawał sobie z niego sprawę, tak nagły i oszalamiający spadł na niego cios. Zataczając się szedł naprzód, nie bardzo wiedząc, dokąd idzie, i nie troszcząc się o to. Co parę chwil przystawał, ramiona opadały mu w dół, głowa skłaniała się na piersi i stawał bez ruchu. Pytał siebie: „Czy możliwe? To chyba sen. Zaledwie pięć minut temu byliśmy tak

szczęśliwi, wędrowaliśmy trzymając się za ręce, razem zmierzając do Rzymu, i podziwialiśmy żołnierzy, zachwycając się ich sztandarami i zbrojami. O serca szatańskie”.

Cała natura wydawała mu się równie samotna. Żadnego stworzenia dokoła. Biel. Chłopak niczym duch tego, kim był dawniej, błądził samotny między duchami drzew, pól i krzewów. Nieszczęsny! nieszczęsny! nieszczęsny! Wszystko było nieszczęsne.

Ukląkł, wziął odrobinę śniegu do ręki.

- Nie, ja nie śnię, jest śnieg zimny jak serce świata. I krew na nim. Co to znaczy? Głupcze, to z twojej dłoni. Nie czułem rany. Ach, to ciernie. Bądźcie pozdrowieni, dobre nieprzyjacioły. Nie czuję was, nie sięgacie do serca. Nie jesteście tak okrutne jak ludzie.

Podniósł się i powlókł dalej swe ołowiane członki, gdy nagle usłyszał dźwięk kopyt końskich i wesole głosy za plecami. Odwrócił się tknięty radosną nadzieją, że może żołnierze zmiękli i wiedzą z powrotem Dionizego. Była to jednak jakaś wesola kawalkada. Na przedzie pan znamienity, za nim świta strojna w aksamity, futra i pióra, wreszcie czterech czy pięciu zbrojnych ze świty, w skórzanych kaftanach.

Minęli go wesoło.

Gerard nie popatrzył nawet, gdy go minęli. Nadbiegły jakieś cienie wesołe, minęły, i to wszystko. Szedł dalej jak człowiek pogrążony we śnie. Czekало go jednak brutalne przebudzenie. Usłyszał nagle wrzask rozkazu:

- Stój, poddaj się!

Ujrzał przed sobą trzech pacholków wielmoży. Zawrócili konie, aby go obrabować.

- O draby podłe - powiedział całkiem spokojnie - chcecie zhańbić swego szlachetnego pana? Powiesi was przecie na najbliższym drzewie. - Rzekłszy te słowa, wyciągnął z wściekłością miecz i odwrócił się plecami do krzewów.

Jeden ze zbrojnych natychmiast zmierzył do niego z petrynału. Lecz drugi, mniej okrutny, wtrącił się do sporu:

- Nie spiesz się tak! I ty nie bądź szalony! Patrz na tego tam! Gerard spojrzał: szlachcic wraz ze swą kompanią zatrzymał się niecałe sto jardów od nich, patrzyli z koni na bezprawie, zbyt pyszni, aby osobiście brać się do brudnej roboty, lecz nie na tyle dumni, by nie korzystać z jej owoców. Baczyli też czujnie, aby podwładni nie okradli ich z pieniędzy innemu zrabowanych.

Łagodniejszy z pacholków, chłop dobroduszny, wytłumaczył Gerardowi, że opór na nic się zda; przypomniał mu, że pospolici zbójcy często zabierają życie wraz z sakiewką, i zapewnił go, że być szlachcicem to kosztuje pieniądze. Jego pan stracił ostatniej nocy

pieniądze, grając w karty, jedzie w odwiedzinach do swojej bogdanki, musi brać każdy napotkany grosz.

- Tak więc, zacy młodzińcze, możesz uważać, że rabujemy na własną rękę, wydaj nam twą wypchaną kiesę i pas bez ceregieli, nie zmuszaj, byśmy z wielką przykrością poderżnęli ci gardło i zabrali wszystko tak czy owak.

- Pachołek praw jest - rzekł Gerard spokojnie i głośno do siebie. - Nie wolno mi stracić życia; Małgorzata tak bardzo by się zmartwiła. Bierz zatem kiesę biedaka, rzuć ją do worka bogacza, a wraz z nią to życzenie: powiedz mu, że modłę się do Świętej Trójcy, aby każdy szeląg palił mu dłoń, mroził serce i duszę spopielił na wieki. Idźcie precz, zostawcie mnie samego z moim smutkiem! - I rzucił mu sakiewkę.

Odjechali, mamrocząc między sobą; słowa chłopca bardzo niewiele ich obeszyły; Gerard szedł, chwiejąc się na nogach, wyzuty ze wszystkiego, pozbawiony przyjaciół, bez grosza przy duszy, aż dotarł do skraju lasu. Wtedy to, choć serce już prawie niezdolne było odczuć ten drugi cios, rozsądek uczynił to za niego; zaczął stawiać sobie pytanie, jaki sens miałaby dalsza wędrówka. Przysiadł na twardej drodze, zatopił palce we włosach i próbował myśleć - było to tym trudniejszym zadaniem, że opanowała go dziwna senność. Nigdy nie dotrze do Rzymu bez pieniędzy; Dionizy powiedział mu: - „Idź do Strasburga, a potem w dół Renu do domu”. Chciałby posłuchać Dionizego. Ale jak dojść do Strasburga bez pieniędzy?

Nagle zadźwięczało mu w uszach:

Gdy świat ci wyda się zimny i smutny, Wróć do oberży, chłopcze okrutny.

„Jeśli to zrobię, muszę stać się jej sługą. Ja, który należę do Małgorzaty. Jakże jestem znużony, znużony. Zasnę i będę śnił, że wszystko jest znów, jak było przedtem. Jakżeż szczęśliwi byliśmy przed godziną, nie zdawaliśmy sobie sprawy ze swego szczęścia. Tam jest dom, w nim zamożny gospodarz. Może opowiem mu o mej biedzie, poproszę, by mi pomógł odzyskać sakiewkę, i wtedy ruszę w stronę Renu? Głupcze! czy nie jest to człek jak inni? Sponiewiera mnie jeno i podepce. Dionizy przeklął ród ludzki. Tego nigdy nie uczynię, zaczynam jednak gardzić ludźmi i bać się ich. Nie, tu sobie poleżę aż do zachodu słońca, potem po ciemku wśliznę się do stodoły tego bogatego rolnika, ukradnę łyk mleka lub garść ziarna, by z głodu nie umrzeć. Bóg, który widział, jak podle rabuje bogacz, chyba mi mój grzech odpuści. Mówią, że to niedobrze spać na śniegu. Do takiego człowieka śmierć podkrada się na kocich łapach. Ale cóż mogę począć? Jestem tak znużony, tak bardzo znużony. Czy to w tym lesie żyją wilki, o których mówił starzec w miasteczku? Muszę im zaufać, i o przecie nie ludzie, a ja jestem tak znużony.”

Dowlókl się do krawędzi drogi i z głębokim westchnieniem wyciągnął swe członki na śniegu.

- Ach, nie rwij tak włosów... Me serce rwie się, by cię znowu zobaczyć! Małgorzato. Nigdy już mnie nie ujrzysz. Biedna Małgorzata.

Umilkło serce zbyt czule.

Wierny kochanek i przyjaciel dawnego pokroju leżał cicho na śniegu wśród wielu niebezpieczeństw; groziła mu aura zimowa, dzikie zwierzęta, głód - chłopiec był samotny, bez przyjaciela, bez szeląga, na ziemi obcej i nawet jeszcze nie w połowie drogi do Rzymu.

ROZDZIAŁ XXXIX

Trudna podróż nęci nas Anglików. Lubimy o niej opowiadać nawet wtedy, gdy wędrowiec nie jest pielgrzymem miłości. Dawna zaś przyjaźń ma co najmniej urok wykopaliska. Ponieważ jednak właściwe centrum naszej opowieści znajduje się w Holandii, czas najwyższy powrócić do tego kraju i do zwykłych postaci i wydarzeń, boć z nich głównie składa się życie we wszystkich wiekach.

Jorian Ketel przyszedł do domu Piotra, aby upomnieć się u Małgorzaty o wypełnienie obietnicy, ale dziewczyna leżała chora w łóżku; Piotr, wysłuchawszy, o co rzecz idzie, naubliżał pacholкови i zabronił mu wstępu do domu, paru zaś stojących w pobliżu ludzi doradziło mu, aby zmykał; ojciec i córka stali się bowiem popularni w całym miasteczku, a cała historia młodych nie schodziła z ust wszystkich mieszkańców Sevenbergen, podnieconych, skłonnych do gniewu nie zawsze sprawiedliwego, który towarzyszy sympatiom ludu.

Jorian Ketel odszedł rozgniewany i ciężko pożałował swego dobrego uczynku. Ten rodzaj skruchy zdarza się wcale często, a ma niezaprzeczoną zaletę prawdziwej szczerości. Dirk Brower, którego znaleziono „Pod Trzema Królami”, jak upijał jakiegoś gadułę i próbował wyciągnąć z niego wiadomości o miejscu pobytu Marcina Wittenhaagena, został chwycony i wrzucony do sadzawki służącej do pojenia koni; grożono mu, że gdyby pokazał się kiedykolwiek w miasteczku, będzie jeszcze gorzej potraktowany. Na koniec zaś zagrała urażona ambicja władz municypalnych: burmistrz Sevenbergen wysłał formalny protest do burmistrza Tergou, zarzucając mu przekroczenie praw i zwracając uwagę, że w przyszłości przy każdej prawdziwej czy urojonej pretensji przeciw któremukolwiek z obywateli ma obowiązek zwracać się do władz Sevenbergen.

Przebiegły Ghysbrecht, hamując wściekłość z powodu owej reprimendy, odpowiedział uprzejmym wyjaśnieniem, że ścigany przez niego w Sevenbergen osobnik, niejaki Gerard, był tergowianinem, który ukradł dokumenty miejskie; ponieważ ten zaś Gerard uciekł za granicę i prawdopodobnie zabrał ze sobą rzeczony dokumenty, należy uznać całą sprawę za zakończoną.

Tak konieczność zmusiła go do uczciwego postępowania, lecz w rzeczywistości spokój był tylko maską. Po porażce w Sevenbergen podjął nowe próby poszukiwań. Wysłał swych zaufanych do rodziny chłopca w Tergou, aby tam zdobyli wiadomość, dokąd Gerard uciekł. „Z niezmiernym zdumieniem” krewni stwierdzili, że o niczym nie wiedzą. Pogłębiło to rozterkę starca. Przejął go strach, że Gerard przyczaił się gdzieś w sąsiedztwie. Może dokonać pewnego odkrycia, potem wrócić - a wtedy weźmie straszliwy odwet. Dirk i inni z najbliższego otoczenia burmistrza spostrzegli, że charakter Ghysbrechta van Swieten bardzo się w tym okresie zmienił na gorsze. Stał się ponurym, drażliwym człowiekiem. Żył pod brzemieniem grozy. Rzucił niespokojnym, niepewnym spojrzeniem na prawo i lewo jak człowiek, który spodziewa się ciosu, a nie wie, skąd on nań spadnie. Obrabował ludzi, uczynił z nich nędzarzy, nie przyniosło mu to szczęścia. Często tak bywa.

Rodzina w Tergou, która mimo gwałtownych różnic i sporów na pewno z biegiem czasu doszłaby do zgody, nie wypędzając spem gregis na obczyznę, nie zmieniła się na pozór; nie była to już jednak ta sama prosta, szczęśliwa rodzina, od której opisu rozpoczynaliśmy naszą opowieść. Kasia wiedziała, jaką rolę odegrali Korneliusz i Sybrandt w wygnaniu Gerarda, i choć, pragnąc uniknąć dalszych nieporozumień, nie powiedziała o tym matce, bywało jednak, że dreszcz nią wstrząsał na ich widok lub rumieniec pokrywał twarzyczkę, gdy słuchała ich nieszczerych żalów. Katarzyna, spostrzegawcza jak wszystkie niewiasty, zauważyła to i z kobiecą subtelnością nie rzekła ani słowa, ale rozważyła rzecz całą dokładnie i wzmogła czujność. Czarne owce udawały zrećźnie, że dzielają smutek i ból rodziny. Wyrodni bracia potrafili narzucać swą wolę ojcu i Idziemmu, ale cicha satysfakcja ukryta na dnie ich serc nie mogła ujść niewieścim oczom.

I tak, wszystko widząc, zdawała się niczego nie zauważać.

Nieufność i podejrzliwość zasiadły przy stole; nędzne to było zastępstwo inteligentnej twarzy Gerarda; która rozjaśniała całe grono. Odkąd odszedł, światło dla nich zagasło. Stary sukiennik, zraniony w swej dumie nieposłuszeństwem syna, nie uzewnętrzniał swych uczuć i starał się w ogóle nie wymieniać imienia Gerarda. Ten płaszcz spartańskich pozorów okrywał jednak czułe serce, do którego Natura łatwy znajdowała dostęp. Nie umiał ukryć troski: „Gdybym jeno wiedział, gdzie się chłopak podziewa, czy nic nie grozi jego życiu i zdrowiu, o

nic bym się nie troszczył” - mawiał, a potem wzdychał ciężko. Nie mogę oprzeć się myśli, że gdyby Gerard wtedy otworzył drzwi i wszedł do rodzinnego domu, byłoby tam wiele łez i uścisków, a mało, może nawet żadnych wyrzutów.

Największą niespodzianką dla starego kupca i jego małżonki był rozgłos wokół całej tej sprawy. Tydzień po ucieczce Gerarda jego przygody nie schodziły z ust całego miasteczka; co gorsza, ogólna sympatia i współczucie towarzyszyły parze kochanków, wszyscy byli przeciwko okrutnym rodzicom Gerarda i powiadali, że „stary, wścibski burmistrz musi wiecznie wtykać nos do nie swoich spraw”.

- Matko - odezwała się Kasia - wszyscy na mieście mówią, że Małgorzata leży w ciężkiej gorączce. Ojciec lęka się o jej życie.

- Małgorzata? Jaka Małgorzata? - spytała Katarzyna, udając spokój i obojętność.

- Matuś! O kimże bym mówiła. Przecie o Gerardową Małgorzatę chodzi.

- Gerardowa Małgorzata! - krzyknęła Katarzyna. - Jak śmiesz wymawiać to imię w mojej obecności! Nie wolno ci nawet wspominać o ladacznicy w domu, który przez nią opustoszał! Ta dziewczyna jest nieszczęściem mego biednego chłopca, najlepszego dziecka rodziny. Przez nią nie został świętym kapłanem, żyjącym wśród nas, lecz włóczęgą w dalekim świecie, przez nią stałam się nieszczęsną matką ze złamanym sercem. Nie płacz, dziewczeczko moja, nie powinnam mówić do ciebie tak ostro. Ale ty nie wiesz, Kasiu, co czuje matczyne serce. Staram się nie okazywać wam tego. Trzeba mi ukrywać swą trwożę, ale nocą widzę go w snach, widzę jego troski i wiele okropnych rzeczy. To rozdierają go dzikie zwierzęta, to znowu śnię, że wpadł w ręce zbójców, widzę, jak ich okrutne noże wznoszą się do ciosu nad jego bladą twarzą, która, zda się, mogłaby kamień wzruszyć. Ach, gdy wspomnę, że siedzę tu w wygodach, a może mój biedny chłopiec leży martwy na jakimś odludnym miejscu, i wszystko to przez tę dziewczynę! Imię jej jest dla mnie trucizną na szczury! Drzę od stóp do głów na sam jego dźwięk.

- Nic już nie powiem ani nic nie zrobię, aby nie zmartwić cię więcej jeszcze, mamu - powiedziała czule Kasia, wzdychając ze smutkiem.

Ta, której imię było tak surowo wygnane z domu Eliasza, była jednak tematem rozmów i przedmiotem współczucia wszędzie gdzie indziej. Całe Sevenbergen litowało się nad nią, a młodzieńcy i dziewczęta rzucali wiele czułych spojrzeń na okienko, za którym najpiękniejsze dziewczę miasteczka „konoło z miłości”. Określając ją tym wytartym zdaniem, nie doceniali jednak siły ducha i zupełnego braku egoizmu u Małgorzaty. Gerard żył, a ona była zbyt lojalna, aby wątpić w jego stałość. Kochała ojca, który potrzebował pomocy, i mimo słabości fizycznej nawet miłość do Gerarda nie przeszkodziłaby jej w wypełnianiu

obowiązków, choć musiała krzątać się koło domu z głową pękającą z bólu i ciężkim sercem. Podniecenie fizyczne i umysłowe spowodowały jednak atak tak gwałtownej gorączki, że jedynie młodość i silny organizm zdołały ją ocalić. Choroba opuściła ją wreszcie, ale dziewczyna była tak wyczerpana, że życie stało się dla niej ciężarem nad siły.

W takich to okolicznościach miłość i przyjaźń są jedynymi aniołami u wezglowia, głosy ich niosą pocieszenie, a dłonie zdrowie.

Biedne dziewczę musiało jednak wracać do życia i sił o własnej mocy. Leżała samotna długie dni, a ciężkie godziny przewalały się nad nią jak ołowiane chmury. W tej słabości egzystencja wydawała się jej nieznośnym brzemieniem; czuła, że życie już przeminęło.

Nie mogła zdobyć się na uzdrawiający wysiłek. Gerard odszedł. Nie miała dla kogo wracać do zdrowia. Często spędzała bez ruchu całe godziny, leżała cicho, a łzy płynęły łagodnym strumieniem z jej oczu. Pewnego dnia, budząc się z niespokojnej drzemki, zauważyła dwie niewiasty w swoim pokoju. Jedna z nich była służebną, druga, w szatach przybranych bogatym futrem na kołnierzu i rękawach, robiła wrażenie osoby wysoko postawionej. Wąskie pasmo srebrnych włosów widoczne spod czepca wskazywało, że minęła już wiek, w którym rozsądna kobieta ukrywa swe lata. Obie spoglądały uprzejmie i przyjaźnie. Małgorzata próbowała unieść się na łóżku, ale sędziwa pani położyła łagodnie dłoń na jej czole.

- Leż spokojnie, kochane dziecko; Bóg widzi, że nieprzyszłyś tu, by cię zrywać z łóżka, lecz gwoli pociechy. Rozchmurz się choć trochę i powiedz nam, kim wedle twego zdania jesteśmy?

- Wiem, kim jesteście, pani, chociaż nigdy nie widziałam was przedtem: poznaję demoiselle van Eyck i Reicht Heynes. Gerard często mi opowiadał o was, o wielkiej okazywanej mu dobroci. Nie ma on teraz, o pani, żadnego takiego jak wy przyjaciela przy sobie. - Na myśl o tym dziewczeczka położyła się z powrotem na łóżku i łzy znów zalały jej oczy.

Dobroduszna Reicht Heynes zaczęła już płakać dla towarzystwa, ale pani ją skarciła.

- Świetnie się nadajesz do izby chorego - powiedziała i sama skierowała rozmowę na mnóstwo obojętnych tematów, by rozerwać pacjentkę, co w pewnej mierze się jej udało. Stara kobieta, która zna życie i wszystkie jego troski, jest niezastąpionym błogosławieństwem u boku stroskanej młodej kobiety. Wie, o czym należy mówić, a co pominąć, wie, czym można ją uspokoić i czym zainteresować. Nie minęła godzina od przybycia do chorej, a głowa

Małgorzaty zamiast na poduszce spoczywała na ramieniu gościa i słodkie oczy dziewczęcia spoglądały na nią z nieśmiałą wdzięcznością.

- Jakie piękne włosy - mówiła stara dama, przesiewając przez palce miękkie pasma. - Zbliź się, Reicht, i przyjrzyj im się!

Reicht podeszła do chorej, dotknęła loków i zaczęła się szczerze zachwycać. Biedna dziewczeczka poczuła, że pochlebstwo sprawia jej przyjemność, z czego wyraźnie wynikało, że w każdym razie na pewno jeszcze nie umarła.

- Prawdę mówiąc, madame, zawsze myślałam, że są paskudne, ale o n je pochwalił i od tej pory - wybaczone mi, święci Pańscy, prawie byłam z nich dumna. Wiecie na pewno, łaskawa pani, jak niemądrzy są zakochani.

- Bardziej głupi są ci, którzy nie kochają - odparła kostywnie stara dama.

Małgorzata szeroko otwierała śliczne oczy i spojrzała na nią pytająco.

Ta wizyta była pierwszą, nastąpiło po niej wiele dalszych. Małgorzata van Eyck albo Reicht w jej zastępstwie przychodziły prawie każdego dnia aż do rekonwalescencji pacjentki; stan chorej poprawiał się szybko pod ich opieką. Reicht przypisywała to wpływowi pożywnych dań, które przygotowywała w kuchni Piotra, Małgorzata sądziła raczej, że pomogły jej czułe słowa i życzliwe oczy, które przekonały ją, że ma przyjaciół, dla których warto żyć.

Marcin Wittenhaagen ruszył prosto do Rotterdamu, pragnąc od razu chwycić byka za rogi. Byk był zresztą dwunożny, zamiast rogów miał koronę na głowie. Był to Filip Dobry, książę tych, hrabia owych, pan jeszcze innych ziem. W Rotterdamie Marcin dowiedział się, że dwór bawi w Gandawie. Powędrował do Gandawy i tam starał się o audiencję, ale słudzy i paziowie nie wpuścili go i wypędzili. Ustawił się tedy na drodze pana wyruszającego na łowy i wbrew wszelkim dworskim zwyczajom rozpoczął dyskurs z monarchą, wzywając łaski i litości potężnym wołaniem.

- Gdzież jest ten niebezpieczny człek? - zapytał książę rozglądając się ze śmiechem dokoła.

- Łaski dla starego żołnierza prześladowanego przez mieszczuchów!

Królowie różnią się charakterem między sobą tak jak inni ludzie - mają jednak pewną wspólną cechę: skłonni są okazywać sympatię prostaczkom, wywodzącym się z najskromniejszych warstw społecznych. Nie konkurują pod żadnym względem z możnymi, a więc zazdrość nie może się tu wśliznąć, bawią swych panów bezceremonialnością i urokiem nowości i przez swój kontakt z naturą działają odświeżająco - rzadkość w dworskim życiu. Toteż Filip Dobry ściągnął wodze wierzchowca i udzielił Marcinowi posłuchania prawie

têteatête, i żołnierz przypomniał mu o bitwie, w której przeszła go strzała przeznaczona dla monarchy. Księżę świetnie pamiętał to wydarzenie, raczył zachować je w miłej pamięci. Nietrudno mu było się na to zdobyć, skoro to nie on został raniony. Marcin zatem opowiedział majestatowi zarówno historię pierwszego pojmania Gerarda w kościele, jak uwięzienia w wieży, i forteli, za pomocą których wyzwolili go stamtąd; następnie ze wszystkimi szczegółami dzieje polowania - i czy większy miał ode mnie dar opowiadania, czy też księżę nie słyszał w życiu tylu co moi czytelnicy dobrych historyjek - w każdym razie mogę was zapewnić, że monarcha tak był tym przejęty, że gdy niektórzy dworzanie dogнали ich galopem i usiłowali przerwać Marciniowi, skłął ich jak kramarz wędrowny i zagroził - niby żartemże głowa spadnie każdemu, kto stanie między nim i świetnym gawędziarzem; gdy zaś Marcin dokończył, zawołał:

- Na świętego Łukasza! Ileż wspaniałych rozrywek w moim hrabstwie - w moich własnych lasach, a ja nic o tym nie wiem. Wy, ludzie prości, więcej macie szczęścia! - Niesprawiedliwość fortuny budziła w nim oburzenie.

- Patrzcie jeno! Polowanie na człowieka! - powiedział. - A ja nigdy nie miałem tego szczęścia, aby brać udział w polowaniu na człowieka!

- Moje szczęście nie było znów takie wielkie - odparł szorstko Marcin. - Znajdowałem się po niewłaściwej stronie psich nosów.

- Prawda! zapominałem o tym. - I jego królewska wysokość łatwiej nieco pogodził się ze swym losem. - Czegóż chcesz zatem?

- Proszę o przebaczenie dla mnie, wasza wysokość, i ułaskawienie dla Gerarda.

- Przebaczenie? Za co?

- Za ucieczkę z więzienia.

- Słusznie; każdy ptak chce uciekać z klatki. To instynkt. Poza tym któż słyszał zamykać młodziana za miłość do młodej niewiasty? Ci burmistrze muszą nie mieć wszystkich klepek w porządku. Co jeszcze?

- Za powalenie na ziemię burmistrza.

- Och, napadnięty odyniec przechodzi do natarcia. Ma do tego prawo i mniej mam do niego pretensji niż do człowieka, który go ściga. Co jeszcze?

- Za zabicie ogarów.

Humor księcia wyraźnie się pogorszył.

- Szło o życie - ich lub moje - powiedział z przejęciem Marcin.

- Ba! nie mogę poświęcić moich ogarów, moich pięknych ogarów dla...

- Nie, nie, nie! To nie były ogary waszej wysokości!

- Czyje to psy?

- Nadzorcy lasów książęcych.

- To co innego. Bardzo mu współczuję, ale jak już rzekłem, nie mogę poświęcać swych żołnierzy dla jego ogarów. Będziesz miał ulaskawienie.

- A biedny Gerard?

- I biednemu Gerardowi także na twą prośbę przebaczymy.

Co więcej, możesz powtórzyć burmistrzowi, że nie podobają mi się jego poczynania. To sprawa króla, nie burmistrza. Doradź mu, aby był pokorniejszy, albo przysięgam na świętego Judę, powieszę go na drzwiach jego domu, tak jak powiesiłem burmistrza, już nie pomnę, jak się zwał, w jakimś tam miasteczku we Flandrii - nie, to chyba było w Brabancji. Mniejsza o to, powiesiłem go za uciskanie biedaków - to sobie wybornie przypominam.

Książę przywołał skinieniem ręki kanclerza, nadętego starucha, trzymającego się na koniu jak wór, i kazał mu wypisać ulaskawienie dla Marcina i Gerarda.

Cenny ten dokument został formalnie sporządzony i podpisany następnego dnia, więc Marcin pospieszył z nim do domu.

Małgorzata przed kilkoma dniami wstała z łóżka, siedziała blada i zadumana przy kominku, gdy Marcin wpadł do izby, wymachując pergaminem i krzycząc:

- Łaska, dziewczyno, dla Gerarda i dla mnie! Posyłaj po niego, kiedy tylko chcesz, niechaj wraca! Wszyscy burmistrzowie całego świata nie mogą go już palcem tknąć!

Zapłonęła rumieńcem z radości. Chwyciła niecierpliwie pergamin drżącymi rękoma i pożerała go oczami, raz po raz całując dokument, wreszcie zarzuciła ramiona na szyję Marciniowi i ucałowała starego żołnierza. Trochę ochłonawszy, opowiedziała mu, że Niebiosy zesłały jej przyjaciółkę w osobie czcigodnej pani van Eyck.

- Bardzo chciałabym zasięgnąć jej rady w związku z tymi dobrymi nowinami, ale nie mam siły, by dojechać tak daleko.

- Chcesz iść! Jest przecież moja mulica.

- Twoja mulica, Marcinie?

Stary żołnierz, czyli zawodowy rabuś, wybuchnął śmiechem i wyznał, że tak się do niej przyzwyczaił, że zupełnie zapomniał, iż Ghysbrecht miał wcześniejsze prawa. Jutro odprowadzi ją na burmistrzowy dziedziniec, ale może ona jeszcze dziś wieczór zawieźć Małgorzatę na swym grzbiecie do Tergou.

Mrok zapadał, Małgorzata wyruszyła więc natychmiast i około siódmej wieczór zadziwiła i uradowała swą nową, lecz serdeczną przyjaciółką niespodziewanie przybywając

do jej domu, z mimowolnym rumieńcem na policzkach i dokumentem ułaskawienia Gerarda za staniczkim.

ROZDZIAŁ XL

Niektórzy ludzie są starzy w czterdziestym roku życia, inni młodzi przy osiemdziesiątce. Małgorzata van Eyck miała zawsze młode serce. Pokochała gorąco swą młodziutką imienniczkę, a to nowe uczucie nie miało nic wspólnego z kaprysem. Wielka dama umiała rozpoznać charakter człowieka i dostrzegła w Małgorzacie Brandt taką cechę, która pozwalała łatwo podbić rozumną niewiastę - szczerość. Ale poza tą wybitną zaletą, która przemawiała za dziewczyną, Małgorzata posiadała potężnego sprzymierzeńca w sercu leciwej artystki. Ludzką naturę.

Może się to wydać dziwne dla nieuważnego obserwatora, ale nasze serca czulsze są dla tych, którym wyświadczyliśmy coś dobrego, niż dla naszych dobroczyńców. Stwierdzili już to niektórzy filozofowie greccy, a brytyjski Homer uwiecznił tę samą myśl w nieśmiertelnych słowach:

Nieraz myślałem, jak we dwóch zuchwale pruliśmy tyłu walk przeciwne fale, kiedy na pola, tak dziś dobrze znane Filip jak z tarczą wybiegał z Bertramem, i o Dariena pustkowiach ponurych, gdzie śmierć dosiada wieczornej wichury, kiedy na druha rzuciwszy swą zbroję odkryty szedłem po śmiertelne znoje. Myślałem też, jak u Quariany skały, z łupinki naszej ledwie ocalały, przez wód spienionych grzywy rozhukane brnąłem do brzegu z omdlałym Mortramem: a kiedy bokiem natrafił na strzałę, indiańskie jady z jego rany ssałem. Wezbrały myśli tych we mnie strumienie, aby mój spokój zatapiać jak ziemię.

Proszę! morderca pohamował swą dłoń nie na myśl o otrzymanych, lecz ofiarowanych przez siebie dobrodziejstwach.

Małgorzata van Eyck okazała wiele niezwyklej dobroci chorej Małgorzacie Brandt; postąpiła wbrew swym ustalonym zwyczajom i wyszła z domu, aby ją odwiedzić; karmiła, uspokajała, pieściła i pomagała dziewczynie więcej, niż mogły tu działać wszystkie leki świata. Toteż całym sercem przylgnęła do tej, którą obdarzyła swą dobrocią, i kochała ją teraz czulej niż kiedykolwiek poprzednio Gerarda, choć na początku odwiedzała dziewczynę tylko ze względu na Gerarda.

Gdy ujrzała teraz Małgorzatę z zapłonionymi jak róża policzkami i przeczytała pergamin, który z sobą przyniosła, odstąpiła bez sprzeciwu od własnego poglądu na sprawę.

- Najmilsza - powiedziała - pragnęłam tego, aby Gerard pozostał w Italii pięć do sześciu lat, aby powrócił bogaty, a co najważniejsze - jako artysta. Ale twoje szczęście cenię ponad wszystko i ponieważ widzę, że nie możesz żyć bez niego, musimy sprowadzić chłopca do domu tak prędko, jak tylko się to nam uda.

- Ach, pani, czytacie w myślach moich! młoda kobieta spuściła głowę i zarumieniła się.
- Ale w jaki sposób można by go zawiado mić? Nie dam sobie sama rady. Poszedł do Italii; ale nie wiem, w którą tam udał się stronę. Zaraz! wymieniał mi miasta, które powinien odwiedzić. Jedno z nich to Florencja, potem Rzym. A dalej - Wreszcie rozsądna dziewczyna domyśliła się, że list zaadresowany „Mój Gerard - Italia” może przypadkiem zabłądzić, i patrzyła błagalnie na przyjaciółkę, czekając jej rady.

- Przyszłaś tu we właściwe miejsce i we właściwym czasie - powiedziała stara dama. - Odwiedził mnie dziś Hans Memling. Jedźcie właśnie do Italii, dziewczeczko, nie później niż za tydzień, „aby poprawić sobie rękę” - powiada. Mogę cię zapewnić, że nie wcześniej, niż to było potrzebne.

- Ale jak on odnajdzie mego Gerarda?

- Przecież on zna Gerarda, moje dziecko. Nieraz tu wspólnie wieszczali i wybornie się z sobą zgadzali. No a ponieważ pracują w tej samej dziedzinie -

- Jakżeż! to i on jest malarzem?

- Uchodzi za malarza. Chce odwiedzić te same co Gerard miejsca i wcześniej czy później musi się z nim spotkać. Napisz mu długi list i doręcz także kopię tego ulaskawienia, a ja odpowiadam za posłańca. Najdalej za sześć miesięcy Gerard będzie miał twoje pismo w rękę; gdy je otrzyma, ucałuje, schowa na piersi i przyleci na skrzydłach do domu. Do czego się tak uśmiechasz? i czemu masz tak czerwone liczko? I za co mnie ściskasz - zupełnie nie mogę się domyślić. Tak! Nadchodzą szczęśliwe dni dla mojej perelki.

Marcin tymczasem siedział sobie w kuchni, przed nim bukłak z winem, obok przy kołowrotku Reicht Heynes, która tego wieczora wyciągnęła z niego wszystko.

Hans Memling był dawnym uczniem Jana van Eycka i jego siostry oraz malarzem, niezależnie od grymasów Małgorzaty, a także dość zawnym człkiem, z jednym tylko zastrzeżeniem: kochał „dzbany, czary i kielichy” więcej, niż na to zasługują. Ta szczególna skłonność nie pozwalała mu zbijać fortuny i była powodem, że często przychodził do Małgorzaty van Eyck na posiłek, czasem po drobną pożyczkę. Dawało to jej pewne prawa i wiedziała, że artysta nie zlekceważy żadnego polecenia, które ona zechce mu powierzyć.

List został więc napisany i złożony u Małgorzaty van Eyck; w następnym tygodniu Hans Memling powrócił z Flandrii, Małgorzata van Eyck wręczyła mu list i sztukę złota na wydatki w podróży. Malarz zdawał się spieszyć z wyjazdem.

- Tym lepiej - orzekła sędziwa artystka; prędzej będzie w Italii. Ale tak jak bywają konie, które rwą wędzidła, gdy mają wyruszyć w drogę, a przebywszy jard czy dwa, potrzebują biczatak i pośpiech podróznego ochłódł, gdy Hans dotarł do największej w Tergou oberży i ujrzał tam swych dwóch wesołych kompanów siedzących w oknie wykusza. Wszedł, by wychylić z nimi szklaneczkę na strzemiennego, a gdy brał się do płacenia, nie chcieli nawet słyszeć o tym. O nie! to on udawał się w daleką podróż; przyjaciele muszą go ugościć, każdy powinien go poczęstować. Gospodarz oberży i wszyscy.

Poczęstunek uruchomił artyście język tak, jakby wino miało właściwości oliwy. Zwierzył się tedy współbiesiadnikom, że wyrusza, by pokazać Italczykom, jak należy malować. Potem opiewał swe przewagi, próbując ćwiczyć piką, oraz sukcesy miłosne u niewiast nieobecnych, a więc nie mogących przedstawić własnej wersji wydarzeń. Krótko mówiąc, plenus rimarum erat; huc illuc diffleubat; i tak wśród najrozmaitszych sączących się z niego strumieniami wiadomości wypaplał oczywiście, że powierzono mu list do ich współobywatela, tergowianina, zacnego chłopaka, Gerarda. Dodał:

- Wszyscy jesteście zacne chłopakii aby poprzeć swą pochwałę, walnął Sybrandta w plecy z taką serdecznością, że mało nie wygnał tchu z jego ciała.

Sybrandt obszedł stół dokoła, aby uniknąć fizycznej aprobaty, ale słuchał każdego słowa i po raz pierwszy dowiedział się, że Gerard powędrował do Italii. Udawał, że nie daje wiary, aby zdobyć pewność.

- Mój brat Gerard wcale nie jest w Italii.

- Łżesz, szczeniaku! - ryknął Hans, wpadając natychmiast w gniew i nie zdając sobie sprawy, że ten, który siedzi teraz naprzeciw, jest tym samym „zacnym chłopcem”, którego chwalił i klepał po plecach, gdy siedział obok niego. - Nawet jeśli jest dziesięć razy twoim bratem, to i tak jest w Italii. Co powiesz na to? Czytaj, co tu napisane! - i rzucił list na stół.

Sybrandt wziął pismo do ręki, przyjrzał mu się z powagą, za chwilę jednak położył je, przyznając się, że nie umie czytać. Jeden z kompanii niezwykłym zbiegiem okoliczności umiał czytać i dumny z tak rzadkiej umiejętności przesylabizował na głos: - Do Gerarda Eliassoena z Tergou. Przez grzeczność zaufanego Hansa Memlinga, z prośbą o jak najszybsze doręczenie.

- Wyśmienicie napisane - powiedział czytający, przyglądając się każdej literze.

- Ba! - rzekł pompatycznie Hans - nic tu dziwnego: napisane sławną ręką Małgorzaty, siostry Jana van Eyck. Cześć jego błogosławionej pamięci! Małgorzata van Eyck jest moim starym przyjacielem.

Wszechstronny Hans pogрузzył się następnie w morzu innych tematów.

Sybrandt opuścił cichcem kompanię i udał się na poszukiwanie Korneliusza.

Pochylili ku sobie głowy i zaczęli we dwóch zastanawiać się nad sytuacją. Italia była bardzo daleko, co począć, by go tam zatrzymać?

- Tam go zatrzymać? Nic go nie zatrzyma na dłuższy czas z dala od Małgorzaty.

- Przeklęta dziewczucha! - rzekł Sybrandt. - Czemuż to nie umarła, skoro tak już jej mało brakowało?

- Umarła? Zarazę przetrzyma, żeby nam na złość zrobić. - Wściekłość ogarnęła Korneliusza na myśl o egoizmie dziewczyny, która nie zesła z tego świata, aby im zrobić przysługę.

Dwie parszywe owce głowa przy głowie tak długo kombinowały, podlegając się wzajemnie do coraz gorszych myśli, aż uknuły w zdradzieckich sercach plan intrygi, która powinna zatrzymać Gerarda na całe życie w Italii, im zaś zapewnić jego udział w schedzie po ojcu. Ale posiadanie planu nie zwiększało możliwości jego wykonania, to bowiem wymagało talentu; tak więc zamierzona niegodziwość utknęła na martwym punkcie. Nagle jednak jak gdyby szatan zjawił się między dwiema pochylonymi ku sobie głowami i szepnęła coś jednocześnie w prawe ucho jednej i lewe drugiej, bo obaj bracia zgodnie wykrzyknęli:

BURMISTRZ!

Poszli do Ghysbrechta van Swieten, a ten przyjął ich natychmiast; człowiek bowiem torturowany przez niepewność gorąco pragnie się dowiedzieć. Pewność jest często bolesna, ale rzadko tak niemożliwa do zniesienia jak wyczekiwanie.

- Macie wiadomość o Gerardzie? - spytał niecierpliwie. Opowiedzieli mu o liście i Hansie Memlingu. Słuchał, oczy biegały mu niespokojnie.

- Kto napisał ten list?

- Małgorzata van Eyck - brzmiała odpowiedź, byli bowiem naturalnie przekonani, że list pisany był tą samą ręką co napis na wierzchu.

Jesteście tego pewni? - Podszedł do szuflady i wyciągnął dokument spisany przez Małgorzatę van Eyck, gdy załatwiała z władzami miejskimi sprawę kupna domu. - Czy było tak samo napisane?

- Tak. To jest to samo pismo - powiedział śmiało Sybrandt.

- No dobrze. A teraz czegoż to chcecie ode mnie? - zapytał Ghysbrecht z bijącym sercem, tak jednak wyśmienicie udawał beztroskę, że wyrodni bracia się zawahali. Bawili się czapkami, wybąkali pod nosem parę słów, potem zawahali się, krążyli wokół sprawy i stopniowo wyjąkali, że chcieliby napisać list, aby donieść w nim o czymś, co mogłoby zatrzymać Gerarda w Italii; proponowali, aby podrzucić ów list do sakwy podróżnej Hansa Memlinga, wykradając mu ów, który malarz miał przy sobie. Podczas gdy bracia zabawiali się jednocześnie czapkami i własną niegodziwością, wahając się pomiędzy szacunkiem dla burmistrza a podejrzeniem, że jest on równym im łajdakiem oraz że z tych czy innych powodów stanie po ich stronie przeciw Gerardowi - w mózgu chytrego starego człowieka walczyły z sobą argumenty za i przeciw. Chęć zemsty doradzała mu dopuścić do powrotu Gerarda i tu dać mu odczuć ciężar prawa. Ostrożność podszeptowała: „Trzymaj go stąd o tysiąc mil” - i jeszcze: „Po cóż się imać brudnej roboty dla niepewnego rezultatu. Po cóż oddawać się w ręce dwóch łotrów i brukać swe imię?” - Ostatecznie głębokie przekonanie, że Gerard zna sekret, którym może zranić go w samo serce, łącznie z ostrożnością, takie podyktowało mu słowa: - Do obowiązków mych należy dopomóc obywatelom nie umiejącym pisać. Nie chcę odpowiadać jednak za treść. Mówcie więc, co mam napisać.

- Coś o onej Małgorzacie.

- Acha! że go zdradziła, wyszła za innego za męża, założę się, że o to chodzi.

- Nie, panie burmistrzu! Za nic w świecie! - krzyknął Sybrandt - Gerard w to nie uwierzy albo jeno w połowie, i zechce wrócić, aby się przekonać. Nie, napiszcie, że ona nie żyje.

- Nie żyje? W jej latach? A w to uwierzy?

- Prędzej niż w co innego. Jako że omal nie umarła; tak przeto nie będzie to całkowite kłamstwo.

- No, no! I sądzicie, że zatrzyma go w Italii?

- Jesteśmy zupełnie pewni, prawda, Korneliuszu?

- Tak - odparł Korneliusz - nasz Gerard nie ruszy się z Italii, skoro raz się tam dostał. Italia była zawsze jego marzeniem. Wróciłby do swej Małgorzaty, ale nie do nas. Go mu na nas zależy? Pogardza swoją rodziną; zawsze nami pogardzał.

- Będzie to gorzka dla niego pigułka - zauważył stary hipokryta.

- Koniec końców wyjdzie mu jeno na dobre - odpowiedział młody hipokryta.

- Co daje ożenek Głodu z Pragnieniem? - rzekł Korneliusz.

- I tak na zimno gotujecie mu smutek i żal? - powiedział ironicznie Ghysbrecht, choć cały czas rozkoszował się uczuciem zemsty.

- Cóż, kłamstwo to zawsze nie cios tępy toporem. Nie rozdziera ciała, nie łamie kości.

- Topór? - powiedział Sybrandt - to nawet nie cios pałką - i spojrział nieśmiałym, lecz zięjącym trucizną okiem na złamany nos burmistrza.

Twarz Ghysbrechta pociemniała z gniewu, gdy ten jadowity język dotknął jego rany. Słowo jednak trafiło w cel, tak jak zostało wymierzone: starzec dyszał nienawiścią.

- Dobrze - rzekł - powiedz, co ma być w liście, a ja będę oczywiście zmuszony to napisać. Ale pomnij, jeśli coś pójdzie na opak, hańba spadnie na ciebie. Czynu dopuszcza się nie ręka, która pisze, lecz język, który dyktuje.

Bracia zgodzili się chętnie, szydząc ze starego w duchu. Ghysbrecht przysunął rożek z atramentem, położył przed sobą próbkę pisma Małgorzaty van Eyck, przepytał jeszcze o wielkość i kształt listu, gdy nieoczekiwana przeszkoda przerwała mu pracę: do izby wpadł w pośpiechu Jorian Ketel i spieszył się wyraźnie, zobaczywszy, że burmistrz nie jest sam.

- Widzisz przecie, że jestem zajęty, mój dobry człowiecze. - Tak, ale ja w ważnej sprawie. Przynoszę dobre wieści, nie dla wszystkich uszu.

Burmistrz poprowadził Joriana na bok do głębokiej wnęki okiennej, po czym do braci dobiegły tylko strzępy rozmowy prowadzonej podnieconym szeptem. Na koniec Ghysbrecht polecił Jorianowi, aby osiodłał mulicę. Następnie zwrócił się do naszych parszywych owiec z nagłym chłodem w głosie, co niezmiernie zdziwiło braci:

- Cenię spokój w rodzinnych domach, nie jest to jednakowoż rzecz, którą można by załatwić tak szybko. Zastanowimy się nad tym, zastanowimy się.

- Ależ Memling odejdzie, panie burmistrzu. Będzie za późno.

- Gdzie jest teraz?

- Pije w oberży.

- Zatrzymajcie go tedy przy kielichu. Zastanowimy się, zastanowimy. - I odprawił ich bardzo rozczarowanych.

Wyjaśnienie tej sprawy wymaga spojrzenia wstecz.

Tego samego ranka Małgorzata Brandt spotkała Joriana Keleta przed swym domem. Minał ją z pogardą. Zwróciło to uwagę dziewczyny i przypomniała sobie twarz pacholka.

- Zatrzymaj się - powiedziała. - Tak, to ten dobry człowiek, który go ocalił. Czemuż nie spotkaliśmy się od tego Czasu? Czemuż nie przyszedłeś po dokumenty? Czy to była nieprawda o tych stu koronach?

Jorian parsknął gniewnie, lecz patrząc na jej twarz wyglądającą na szczerą, zaczął podejrzewać, że mogło zajść jakieś nieporozumienie. Opowiedział jej, że przyszedł i jak go w jej domu przyjęto.

- Niestety! - westchnęła. - Nic o tym nie wiedziałam. Byłam jedną nogą na tamtym świecie. - Poprosiła go, aby szedł za nią do ogrodu, i pokazała miejsce, gdzie zakopła pergaminy. - Marcin chciał je stąd zabrać, ale nie pozwoliłam. On je tam włożył i nikt prócz was, którzy tak wiele zrobiliście dla nas obojga, ich stamtąd nie ruszy.

- Daj mi łopatę! - zawołał niecierpliwie Jorian. - Choć zaczekaj! Nie! Burmistrz to człek podejrzliwy, czy jesteś pewna, panienko, że te dokumenty są tam jeszcze?

- Całą winę wzięłabym jawnie na siebie, gdyby jakakolwiek ludzka ręka ich dotknęła.

- Zaopiekujcie się więc nimi jeszcze przez dwie godziny, moja zacna Małgorzato, proszę was o to na wszystko - powiedział Jorian i oto szczęśliwy pobiegł prosto do ratusza w Tergou.

Burmistrz jechał truchtem w stronę Sevenbergen, a Jorian szedł obok wielkimi krokami, zapewniając go, iż za godzinę będzie miał w ręku zaginione dokumenty.

- Co to za szczęście, wielmożny panie - mówił - że to nie złodziej je zabrał.

- Nie złodziej? nie złodziej? A jakże go tedy nazywasz?

- Ano, uczciwszy uszy pana, nazwałbym go kawką. To prawdziwie robota kawki, gdy się jeno gdzie znajdzie, złapać jaką rzecz, której zupełnie nie potrzebuje, i schować - to akurat kawka. Już ja wiem najlepiej - dodał tonem wyroczeni Jorian - bom się chował razem z kawką. Urodziliśmy się oboje w tym samym roku, ale ptak dorósł dużo wcześniej niż ja i ciężkie miałem przez niego życie. Mogłeś mieć w portkach dziurę nie większą od grosza, już pakowała tam dziób jak świder, a jak chodzi o kradzież - wykapany Gerard. Czego on najmniej potrzebował, a jakaś biedna chrześcijańska dusza w domu najbardziej pragnęła, to szło na pierwszy ogień. Matka była gospodarną niewiastą, ledwo się obejrzała, już nie było naparstka. Ojciec żył z powroźnictwa; ledwie słonko wzeszło, a już Kubuś pracowicie wnosił mu szydło, wosk i sznur. No i zarób teraz na kawałek chleba! Raz słyszałem, jak matka mówiła jej wprost w dziób, że gorszy z nią kłopot niż z pół tuzinem dzieci, ale ptaszysko jeno mrugnęło na nią, a za minutę zniknął but dzieciaka wprost z nogi. Gerard ma taką samą wadę. Pergaminy były mu akurat tyle potrzebne co naparstek czy szydło Kubusiowi. Zabrał je dla psoty i gdyby nie ja, nigdy byście ich nie znaleźli.

- Myślę, że masz rację - powiedział Ghysbrecht - i zem się gniewał o to nad potrzebę.

Przyszedłszy do bramy Piotra, poczuł się niewyraźnie.

- Wolałbym, żeby to było wszędzie indziej, byle nie tu. Jorian uspokoił go.

- Dziewczyna jest zacna i grzeczna - powiedział. - Nie miała z tym nic wspólnego przysiąc. - I poprowadził go do ogrodu.

- Tędy, wielmożny panie, jeśli wszystko w porządku, tu są schowane; i proszę patrzeć, ziemia ruszona.

Pobiegł po szpadel wetknięty w pobliżu w ziemię, wziął się do roboty i odkrył pergaminy. Ghysbrecht dojrzał je, odepchnął pachołka na bok, padł na kolana i sam wydarł dokumenty z dziury. Twarz mu promieniała, ręce drżały. Wyciągał jeden pergamin po drugim, Jorian otrząsał je z kurzu i czyścił. W miarę jak Ghysbrecht wydobywał coraz więcej na powierzchnię twarz starca stawała się bardziej chmurna, mina się wydłużała, gdy zaś dotarł do ostatniego dokumentu, przycisnął skronie rękami i zdawał się nie posiadać ze zdumienia.

- Co za tajemnica się w tym kryje? - szepnął. - Czy złe duchy ze mnie szydzą? Kop głębiej! Musi tam być jeszcze jeden.

Jorian przycisnął szpadel i wyrzucił na wierzch sporo twardego podglebia. Na próżno. Jeszcze w czasie kopania zmienił się humor jego pana.

- Zdrada! zdrada! - krzyczał. - Wiedziałeś o tym.

- O czym to wiedziałem, zmiłuj się. Panie Boże!

- Wiedziałeś, nikczemniku, że tu był jeszcze jeden dokument, dwa razy więcej wart od tych wszystkich.

- Nieprawda! - krzyknął Jorian, któremu ten zarzut nasunął inne podejrzenie. - To fortel, którym chcecie mnie obrabować z moich stu koron. Ja już was znam, burmistrzu. - Jorian był bliski płaczu.

Słodki głos podziałał na nich jak oliwa rozlana na burzliwe fale.

- Nie, zacny człowieku, to nie kłamstwo, prawdziwie był jeszcze jeden pergamin.

- To, to, to! A gdzież on?

- Nie był to jednak - mówiła spokojnie dalej Małgorzata - żaden dokument miejski (tak że zarobiłeś uczciwie swoje sto koron, zacny człeku) - to była prywatna umowa między burmistrzem a moim dziadem Flo...

- Saa! sza! - uciszał ją Ghysbrecht.

-...risem Brandtem - dokończyła Małgorzata.

- Gdzie jest ten pergamin, dziewczyno? To jeno wiedzieć chcemy.

- Miejcie, panie, cierpliwość, zaraz wam rzecz całą wyjaśnię. Gerard przeczytał tytuł i powiedział: „Ten należy zarówno do ciebie, jak do burmistrza” i odłożył dokument, żeby go przeczytać wraz ze mną w wolnej chwili.

- Tedy jest tu w domu? - zapytał burmistrz, odzyskując spokój.

- Nie - odpowiedziała poważnie Małgorzata nie ma go tu. - Głos się jej nagle załamał. - Polowaliście na mego biednego Gerarda tak okrutnie - i byliście tak blisko - że nie zostawiliście mu czasu na nic - musiał myśleć - jeno o ratowaniu - życia - i o swej zgryzocie. Miał ten pergamin na piersi i zabrał go z sobą.

- Dokąd? dokąd?

- Proszę, o nic więcej nie pytajcie, panie. Jakie prawo macie mnie przesłuchiwać? Zrobiłam to jeno dla ciebie, zacny człowieku, że zebrałam wszystkie swe siły, przyszedłam tu i zgodziłam się w ogóle porozmawiać z tym okrutnym starcem. Gdy myślę, ile nieszczęścia ściągnął na Gerarda i na mnie, nie mogę znieść jego widoku.- Ścisnęła głowę dłońmi i odeszła powoli, drżąc mimo woli i płacząc gorzko.

Wyrzuty sumienia z powodu przeszłości i groza na myśl o przyszłości - która choć niespiesznie, lecz nieuchronnie zapowiadała zbliżającą się klęskę - skąpstwo i strach, wszystko to przez krótką chwilę kłębiło się w twardym sercu Ghysbrechta. Spuścił głowę, ręce opadły mu bezwolnie wzdłuż boków. Odwrócił się nagle, słysząc za sobą chrapliwy rechot, i ujrzał Marcina Wittenhaagena, który oparty o łuk śmiał się pogardliwie od ucha do ucha. Na widok tego człeka i jego szyderczej twarzy w Ghysbrechcie zbudziła się najstraszliwsza wściekłość.

- Hej, trzymać go! Łapać złodzieja i przeniwiercę! Za wszystko zapłacisz, ty psie! - krzyczał.

Marcin, nie odezwawszy się ani słowem, spokojnie podsunął ułaskawienie księcia pod nos Ghysbrechtowi. Burmistrz spojrział i głos zamarł mu w gardle. Marcin wykorzystał swą przewagę.

- Księżę i ja, obaj jesteśmy żołnierzami. Nasz księżę nie pozwoli plugawym mieszczuchom nękać starego żołnierza. Kazał mi zanieść wam takie polecenie, burmistrzu.

- Księżę przysyła mi polecenie?

- A jakże. Opowiedziałem mu o waszych wyśmienitych poczynaniach, o uwięzieniu Gerarda za to, że pokochał dziewczynę - i pan nasz powiada: - „Powtórz mu, że to należy do króla, nie do burmistrza. Jeden jest jeno król w Holandii. Doradź mu, żeby był pokorniejszy, jeśli nie chce, bym go kazał powiesić na jego własnych drzwiach (Ghysbrecht zadrżał. Pomyślał, że księciu nietrudno zdobyć się na czyn podobny), tak jak powiesiłem niedawno burmistrza w Thingembob”. Księżę nie mógł sobie przypomnieć, którego to z was obwiesił i w jakiej stronie. Takie błahostki nie pozostają w żołnierskiej pamięci, ale jednego pewny był nasz pan miłościwy, że powiesił jednego z was za ciemienie biednego ludu. - A jam człek zdolny powiesić drugiego - dodał księżę.

Te wielokrotnie powtarzane obelgi przez człeka niskiego stanu, nietykalność starego łucznika zabezpieczona w tak wyraźny sposób przez samego księcia, doprowadziły starego burmistrza do ataku bezsilnej furii. Potrząsał pięścią przed nosem żołnierza, próbował mu grozić, ale z wściekłości i rozpaczony nie mógł mówić. Nagle wydobył z gardła coś w rodzaju pisku, skulił się jak grzechotnik, który zamierza zaatakować, i plunął z wściekłością na kubrak Marcina.

Gruboskórny żołnierz ze szczerą pogardą potraktował wybuch furii starca.

- A to jadowita stara ropucha! Wie, że jeden mój kopniak wysłałby go na wieczne odpoczywanie, i chce się wyłgać tym sposobem od szubienicy. Za wielu ludzi zabiłem w uczciwej walce, by podnieść rękę na coś, co nie jest człowiekiem. Tego tu nie mam za człowieka. Co to właściwie jest? Klnę się na Boga, że to wór ze starej koziej skóry pełen spróchniałych gnatów.

- Mój mul! mój mul! - zakrzeczał Ghysbrecht.

Jorian pomógł drżącemu całym ciałem starcowi. W siodle Ghysbrecht wydał się im przez chwilę potężny w jakiś nadnaturalny sposób. Postać pędząca do Tergou była zaiste podobna straszliwemu czarownikowi, o starczej wyschłej twarzy, białych rozwianych włosach i złowrogim wzroku. Wściekłość dała temu pochylonemu ciału siły do dalszego galopu; jak szalony wbijał ostrogi w boki zwierzęcia, skowycząc urywanym głosem:

- Zmiażdżę im serca! Zmiażdżę im serca! Wszystkim! Wszystkim! Wszystkim!

Parszywe owce siedziały strapione wśród biesiadnej kompanii i nie spuszczały z oka tobołka Hansa Memlinga. Ten, chcąc sobie ulżyć, zdjął go z pleców i rzucił na stół. Jakżeż łatwo mogliby teraz wyjąć ów list i podrzucić inny. Pierwszy raz w życiu pożałowali, że nie posiadli sztuki pisania, tak jak ich uczony brat.

Hans zaczął już mówić o wyruszeniu i bracia uzgodnili szeptem, iż należy chwilowo odstąpić od planu. Ledwie zdążyli powziąć decyzję, zauważyli, że Dirk Brower stanął nagle w drzwiach i daje im znak.

Wyszli do niego.

- Zbierajcie się galopem do burmistrza! - powiedział. Ghysbrecht blady z gniewu i podniecenia siedział przy stole. Przed nim leżało odręczne pismo Małgorzaty van Eyck.

- Napisałem to, czegoście chcieli - rzekł. - Teraz jaki napis na wierzchu? Jakie tam były słowa? Czy widzieliście?

- Nie umiemy czytać - odparł Korneliusz.

- Cały więc mój trud na marne! - krzyknął ze złością Ghysbrecht. - Głupcy!

- Zaraz - przerwał mu Sybrandt - słyszałem, jak czytali te słowa, i zapamiętałem wszystko. Tam było: „Do Gerarda Eliassoena, przez grzeczność zaufanego Hansa Memlinga, z prośbą o jak najszybsze doręczenie”.

- Dobra. Jeszcze jedno. Jak był ten list złożony? Jakiej był wielkości?

- Dłuższy niż ten, a krótszy od tamtego.

- Dobrze. Gdzież on jest?

- W oberży.

- Idźcie tam tedy, macie tu szeląg i postawcie mu wina. Potem poproście, żeby wam pokazał ten list, który zamieńcie. Przyjdźcie do mnie z prawdziwym pismem.

Bracia kiwnęli głowami, zabrali list i udali się do oberży.

Minutę po nich Dirk Brower wyszedł z ratusza i ruszył za nimi w ślad. Z rozkazu burmistrza miał nie spuszczać ich z oka, dopóki prawdziwy list nie znajdzie się w rękach jego pana. Obserwował oberżę od zewnątrz.

Nie czekał długo. Wybiegli z gospody prawie natychmiast, źli i przygnębieni. Dirk podszedł do nich.

- Za późno! - wołali. - Za późno! Już poszedł!

- Poszedł? Jak dawno?

- Nie ma jeszcze pięciu minut! A to ci nieszczęście!

- Musicie natychmiast wracać do burmistrza - rzekł Dirk Brower.

- A to po co?

- Furda; chodźcie - i poprowadził ich spiesznie do ratusza. Ghysbrecht van Swieten należał do gatunku ludzi, którzy niełatwo godzą się z porażką.

- Zatem - powiedział, słuchając niedobrych wieści - przypuścmy, że poszedł. Czy jedzie wierzchem?

- Nie.

- Co wam tedy przeszkadza mu towarzyszyć?

- Co nam z tego przyjdzie? Nie ma już ani jednej oberży po drodze.

- Głupcy! - powiedział Ghysbrecht - czy nie znacie innych sposobów, gdy trza opróżnić czyjąś kieszeń, prócz trunku i zręcznej ręki?

Porozumiewawcze spojrzenie, które wymienili ze sobą Ghysbrecht i Dirk, pomogło braciom pojąć, w czym rzecz. Zmienili się na twarzy i zupełnie stracili zapał do całej sprawy.

- Nie! nie! nie żywimy nienawiści do naszego brata. Nie mamy ochoty wisieć, by mu zrobić na złość - powiedział Sybrandt. - Gra niewarta świeczki.

- Wisieć! - krzyknął Ghysbrecht. - Cóż to, czy nie jestem już burmistrzem? Kto was może powiesić? Dobrze was znam: boicie się we dwóch zmierzyć z jednym podróżnym. Zajęcze serca! Ach, czemuż nie mogę raz jeszcze być młody! Poradziłbym sobie z nim w pojedynkę.

Starzec odrzucił już wszelką pozę, zdradził bowiem jak bardzo zależało mu na tej sprawie. Schlebiał, błagał i sztydził na przemian, ale zrozumiał; jednakże najbardziej wymowna argumentacja nie mogła nakłonić ich do czynu, który niezależnie od swej nikczemności mógł na nich ściągnąć niebezpieczeństwo. Otworzył więc szufladę i pokazał stos srebrnych monet.

- Zamieńcie mi jeno te listy - obiecał - a każdy z was będzie mógł sięgnąć ręką do tej szuflady i wziąć sobie tyle srebra, ile zdoła utrzymać.

Efekt był magiczny. Oczy braci zalśniły pożądaniem. Zakołysali się na nogach i wyprostowali z męską energią.

- Przeto przysięgnijcie - powiedział Sybrandt

- Przysięgam.

- Nie; przysięgnij na krucyfiks. Ghysbrecht przysięgnął na krzyż.

Za chwilę bracia byli już na drodze w pogoni za Hansem Memlingiem. Ujrzeni go w odległości niecałych dwu mil od Tergou i choć wiedzieli, że nie ma przy sobie żadnej broni prócz laski, zbyt byli ostrożni, aby napaść go za dnia; odstąpili więc na razie od zamiaru.

Ale trzy mile za miastem, a może nawet dalej, na porosłej trawą drodze, po zachodzie słońca, a jeszcze przed wzejściem księżyca, zacy Hans został jednocześnie z przodu i z tyłu zaatakowany przez dwu mężczyzn z podniesionymi nożami, którzy wrzasnęli głośno, choć trochę drżącymi głosami:

- Stój, poddaj się!

Atak był tak nagły i tak dobrze przygotowany, że Hans zupełnie stracił głowę.

- Darujcie mi życie, przyjaciele dobrzy! - krzyknął - jestem biednym człowiekiem i oddam wam wszystko, co mam.

- Będziesz żył, ale opróżniaj sakwę.

- Nic tam nie ma, drodzy przyjaciele, oprócz listu.

- To się obaczy - rzekł Sybrandt, który stał na przedzie. - Zaiste, to jest list.

- Nie zabierajcie mi go, bardzo was proszę. Nic nie jest wart, a czcigodna dama, która go napisała, bardzo się tym zmartwi.

- Masz - powiedział Sybrandt. - Zabieraj swój list. Teraz otwieraj kiesę. Tylko już! nie marudź!

Ale Hans ochłonął z kontuzji i po dygotaniu Sybrandta i ciężkim oddechu Korneliusza wyczuł w nie dający się zresztą opisać sposób, że obaj napastnicy nie są bohaterami. Udawał, że szuka pieniędzy, potem nagle z całej siły grzmotnął łaską w twarz Sybrandta, popędził go przed sobą zataczającego się, rąbnął od lewa Korneliusza, a ten zaczął się obracać jak kurek na dachu w marcowej pogodzie; wtedy zatoczył łagą krąg dokoła głowy i tańczył skacząc po drodze i krzycząc:

- Chodźcie tu hultaje, złodzieje! Chodźcie tu!

Było to szczere zaproszenie, ale bracia tak źle je zrozumieli, że wrywali, aż się kurzyło. Hans biegł za nimi, krzycząc:

- Stójcie, złodzieje! - oni zaś skomleli ze strachu i bólu, biegnąc co sił przed siebie.

ROZDZIAŁ XLI

Ciężki smutek i wyrzuty sumienia dręczyły Dionizego prowadzonego pośrodku towarzyszy, którzy pilnowali, aby szaleństwo nie skłoniło go do ucieczki. Dla niego to Gerard zrezygnował z trasy wędrówki do Rzymu poprzez Niemcy i jakąż otrzymał nagrodę? Pozostał sam jak palec w sercu Burgundii. Ta myśl najbardziej doprowadzała Dionizego do szału; to pragnął poruszyć niebo i ziemię, to znów popadał w tak ponure milczenie, dziwne i groźne, że ostrożność nakazywała pozbawienie go broni. Tuż za miastem dogonili dowódcę, cała kawalkada podjechała i zatrzymała się na popas „Pod Złotą Głową”.

Młoda gospodyni, choć mocno zajęta hrabią, a jeszcze bardziej Bastardem, zauważyła Dionizego i zapytała go lekko zaniepokojona, co stało się z jego młodym towarzyszem.

Dionizy w przystępie żalu opowiedział jej wszystko i prosił ją, aby posłała po Gerarda.

- Teraz, gdy pozostał sam z dala ode mnie, może chętniej posłucha mej rady - powiedział. - Biedaczyna nie lubi samotności.

Oberżystka potrząsnęła głową.

- Tuszę, iż byłam już i tak nieco zbyt łaskawa - powiedziała i odwróciła się zarumieniona.

- Nie chcecie?

- Nie chcę.

- Ach, ty - i tu spłynął na nią strumień przekleństw i wymysłów. Odwróciła się do niego plecami, odeszła popłakując i mówiąc, że nie przywykła do takiego zachowania i... zaraz poleciała parobkowi siodłać dwa muły.

Dionizy odszedł ze swym oddziałem na północ, w milczeniu kiwał się na siodle, a - o czym zupełnie nic nie wiedział - młoda prawdomówna dama w niecałe czterdzieści minut przebrała się do jazdy wierzchem, co znaczy, iż rzeczywiście bardzo jej było spieszno, i ze służącym u swego boku pogalopowała w przeciwnym kierunku.

O zmierzchu po długim marszu Bastard i jego ludzie dotarli do „Białego Jelenia”. Ich przybycie spowodowało mnóstwo zamieszania i sporo czasu upłynęło, zanim Manon rozpoznała wśród tak wielu żołnierzy swego dawnego przyjaciela. Okazała to zresztą jedynie mocniejszym rumieńcem. Nie przyznała się do znajomości. Biedne stworzenie zaczęło wyznawać już zasadę: „Zapomniał wół, jak cielęciami był”...

Dionizy zauważył to, ale nie mógł się uśmiechnąć. Gospoda zbyt przypominała mu o Gerardzie.

Z nadejściem nocy powiały inne wiatry. Manon zajrzała, do pokoju i skinęła palcem na Dionizego. Podniósł się posępnie, jego strażnicy ruszyli za nim.

- Nie, chciałabym zamienić z tobą parę słów na osobności. - Pociągnęła go w kąt pokoju i tam zapytała go szeptem, czy chciałby wyświadczyć jej pewną grzeczność.

Odpowiedział na głos, że nie, nie chciałby, nie jest obecnie skłonny świadczyć uprzejmości ani mężczyźnie, ani niewieście. Może potrafiłby zrobić coś dobrego dla psa. I nic na to nie może poradzić.

- Ach, mój zacny kuszniku, a ja jednak zrobiłam niegdyś coś dla ciebie i twego gładkiego towarzysza - szepnęła pokornie Manon.

- To prawda, pani, to prawda. No, dobrze, muszę się zgodzić choćby ze względu na niego. O co chodzi?

- Znasz moje dzieje. Bardzo byłam nieszczęśliwa. Teraz jestem czcigodną gospodynią. Aliści w tych dniach znowu pewna kobieta powiedziała mi w oczy, co sądzi o mojej przeszłości. I tak będzie zawsze, dopóki on tu będzie wisiał. Powinam była zdjąć go stamtąd. Niestety!

- Życzę ci tego z całego serca.

- Nie śmiem o to poprosić nikogo prócz ciebie. Zrobisz to dla mnie?

- O nie, nawet choćbym nie był więźniem.

Wobec tak zdecydowanej odmowy czuła Manon westchnęła i załamała rozpaczliwie ręce. Dionizy pocieszył ją, że nie ma powodu do troski. Są tu żołnierze nikczemniejszego gatunku, dla których nie będzie to orzech trudny do zgryzienia. Chodzi jeno o pieniądze. Jeśliby mogła wysupłać dwa dukaty, znajdzie jej dwóch podlejszych żołnierzy, zdatnych do wymiatania brudów spod „Białego Jelenia”.

Nie bardzo miała na to ochotę. Zastanowiwszy się jednak, że żołnierze to ptaki przelotne, którzy dziś tu wysuszają kielichy, jutro gdzie indziej mogą dostać pałką w łeb, powiedziała łagodnie:

- Przyślij ich do mnie. Ale proszę cię na wszystko, powiedz, że to załatwiasz dla jakiegoś mego znajomka, nie pozwól domyślić się, że to o mnie chodzi. Zapadłabym się pod ziemię ze wstydu, czasy się zmieniły.

Dionizy znalazł wojaków, którzy ucieszyli się, że mogą tak łatwo zarobić dukata na głowę. Wysłał ich do Manon i natychmiast pogardliwie zapomniał o całej sprawie, usiadł, pograżając się w myślach o utraconym przyjacielu.

Manon szybko doszła do całkowitego porozumienia z wojakami. Ale co mają zrobić z ciałem po zdjęciu z szubienicy? Szepnęła:

- Rzeka jest niedaleko od - tego - miejsca.

- Szurnąć go do wody, hę?

- Nie, nie, nie bądźcie tak okrutni. Nie możecie go tam złożyć delikatnie - z - czymś - z - czymś ciężkim?

Musiała sobie rzecz przemyśleć szczegółowo, nie należała bowiem do osób, które szybko wpadają na pomysł.

Wszystko zostało gładko uzgodnione oprócz terminu zapłaty. Zbrojnym pachołom zależało na tym najbardziej i domagali się pieniędzy z góry. Manon nie miała na to ochoty.

Jakżeż, więc nie wierzy ich słowu? Może zatem iść wraz z nimi i przyglądać się robocie z pewnej odległości.

- Ja? - spytała ze zgrozą Manon. - Wolalabym umrzeć niż patrzeć na coś podobnego.

- Ale chcecie przecie, żeby tak się stało.

- Tak, niestety, muszę. Czasy się zmieniły. - Zapomniała już, o co prosiła Dionizego.

Nie minęła godzina i przykre resztki bandyckiej egzystencji przestały mącić życie i opinię czcigodnej matrony i ponure oczy przeszłości nie mogły już rzucać złośliwych spojrzeń w dół, na bujną łąkę koniczyny, na której pasła się obecnie biała łania.

I to raz na zawsze. Stała się oto przeciętną żoną oberżysty, pierwszorzędnym psem podwórzowym - przeżyła wszystkich.

Żołnierze wykonawszy ze średniowieczną naiwnością polecenie w myśl zasady „co z oczu, to i z serca”, przerazili się, powróciwszy na rynek. Było tam czarno od tłumu, a przed godziną - nikogo. Poruszyło to ich sumienie. Przyczyną niepokoju było, że mieli coś wspólnego z tym trupem. Jednakże bardziej bezczelny z dwu żołdaków, ośmielony

ciemnością, wmieszał się chytrze pomiędzy zebranych. Szybko powrócił do swego kompana, mówiąc z nie bardzo uzasadnionym wyrzutem:

- Głupiś od urodzenia, to przecież tylko cud. Wszyscy tak powiadają.

ROZDZIAŁ XLII

Ogniste litery na ścianie kościoła zapytywały z pozornie szczerą ciekawością, czemu to dotąd w tak niespokojnych czasach nie zakupiono mszy świętej na intencję księcia pana. Wielu ludzi widziało to nadprzyrodzone zjawisko, lecz choć ziejący ogniem wyrzut pobladł z czasem, gapie stali dalej przykuci do miejsca. W rezultacie panowie rada, nie chcąc pozwolić mocom anielskim wyprzedzić się w lojalności dla doczesnego suwerena, zakupili całą masę mszy. Z tego skorzystał nasz stary przyjaciel pleban, inkasując od władz miejskich gotówkę, co, jak pamiętamy, lubił niezmiernie. Mówiąc o tym nie mam oczywiście zamiaru przeszkadzać wam wierzyć w tak pospolite zdarzenie jak cud.

Dionizy poprosił o swą broń. Czemuż to nie tylko złamali serce, ale jeszcze ściągają nań niesławę?

- Przysięgnij na krzyż swego miecza, że nie porzucisz służby w chorągwi Bastarda, dopóki nie poskromimy buntu.

Ustał przed koniecznością i wypowiedział trzy litanie przysięg, odzyskując broń i swobodę.

Oddział zatrzymał się „Pod Trzema Rybami” i Marion na widok kusznika wykrzyknęła:

- Jakże jestem rada! Któż mógł przypuszczać, że obaczę was jeszcze?

Spostrzegła jednak, że żołnierz jest smutny, a jej szczerą uciecha raczej zraniła, go, niż ucieszyła, zaczęła więc wypytywać, co mu dolega. Odpowiedział jej; bystro oceniła sytuację. Gerard był zbyt przystojny i dobrze wychowany, aby mógł zostać skrzywdzonym.

Kobiety zawsze będą go broniły. Ponadto jasne było, iż sprawy chłopaka muszą potoczyć się albo dobrze, albo źle. W pierwszym przypadku przyłączy się do jakiejś zacnej kompanii podążającej do Rzymu; w drugim - powróci do domu i może tam dotrzeć wcześniej niż Dionizy - bo wy, żołnierzu, macie - wedle tego, co mówicie - powojować nieco we Flandrii - Przyniosła mu jego złote talary i stanowczo nie zgodziła się przyjąć ani sztuki złota, mimo iż wielokrotnie ponawiał nalegania. Kusznik dał się wreszcie przekonać, zwłaszcza że argumenty dziewczyny dziwnie były podobne do jego własnych życzeń, miło mu też było

przekonać się o jej uczciwości. Dzięki temu nieco lepiej pomyślał o świecie, poprzez który jego biedny mały przyjaciel wędrował samotnie gościńcem.

Piechurzy małymi grupkami, czasami w liczbie zaledwie dwóch - trzech żołnierzy, byli już w drodze, wlokąc się leniwie w stronę Flandrii, wielu z nich bez grosza; burmistrzowie przesyłali ich z miasta do miasta z rozkazami do oberżystów, którzy musieli ich nocować i żywić.

Antoni Burgundzki zagarnął ich i zebrał pod swym sztandarem sporą liczbę żołnierzy, tak że wchodził do Flandrii na czele sześciuset ludzi. Przekraczając granicę, spotkał się ze swym bratem Baldwinem, który szedł z ludźmi, bronią i spyzą. Zorganizował całą swą armię i maszerował w szyku bojowym przez wiele miast nie tylko bez żadnych przeszkód, ale z wielkimi owacjami. Ta lojalność wywoływała w szeregach komentarze nie zawsze przychylnie dowództwu.

- Nasza rebelia to oszukaństwo - burczał żołnierz imieniem Szymon, który wybrał sobie Dionizego za kompana.

Dionizy nie odpowiedział, ale uczynił w myśli mały ślub do świętego Marsa, że zastrzeli Antoniego z Burgundii, jeśli rebelia, przez którą stracił Gerarda, nie okaże się rzeczywistym buntem.

Tegoż popołudnia ujrzeli na horyzoncie silnie ufortyfikowane miasto; szept przeszedł poprzez szeregi, że to właśnie jest ów niezadowolony gród.

Gdy jednak dotarli w pobliże, wielka brama stała otworem, a na dwóch bocznych wieżach były tylko pojedyncze warty. Wobec tego zbliżająca się armia nieco rozluźniła szyk i maszerowała beztrąsko.

Lecz z odległości stajania dostrzegli, że most zwodzony podnosi się z wolna ponad fosę, skrzypiąc przeraźliwie, aż stanął w pionowej pozycji względem szańca, i w tym samym czasie na dole z łoskotem trzasnęła opadająca krata bramy, a wieże i mury obronne najeżyły się włóczniami i kuszami.

Groźny pomruk przebiegł czołowe szeregi ludzi Bastarda i rósł coraz potężniejszym rykiem.

- Stój! - krzyknął Bastard. Rozkaz pobiegł z ust do ust, żołnierze zatrzymali się. - Herold do bramy!

Królewski poseł wyjechał z szeregu i przystanąwszy dwadzieścia jardów przed bramą wznosił w górę trąbkę z proporcem i odegrał wezwanie. Wysoka postać w lśniącej, pokrytej mosiądzem zbroi pojawiła się nad bramą. Wymienili z heroldem kilka gwałtownych słów, których z dala pojąć nie byli w stanie, ale znaczenie ich było jasne: herold rzucił bowiem

pojedynczą, wysoką i groźną nutę w stronę murów, a gdy zawrócił galopem do swoich, miał w twarzy wojnę. Bastard wyruszył mu naprzeciw, pochylili ku sobie głowy na dwie co najwyżej sekundy, wódz odwrócił się w siodle i krzyknął:

- Saperzy naprzód! - w mgnieniu oka wyrównano szeregi, żołnierze zajęli pozycje i rozłożyli obóz poza zasięgiem strzału z murów; oficerowie ruszyli konno na południe, wschód i zachód do zaprzyjaźnionych miast po katapulty, palisady, osłony, nie wyprawione skóry wołowe, beczki ze smołą; po cieśli, spyżę i wszystko, co potrzebne do oblężenia.

Te świetlane perspektywy mocno pokrzepiły na duchu pewnego strapionego żołnierza. Na pierwszy szczepek zwodzonej bramy zabłyśły mu oczy i poczerwieniały skronie; gdy zaś herold powrócił, a wojna płonęła mu w spojrzeniu, zrozumiał to bez chwili wahania i po raz pierwszy od wielu dni zawołał: *Courage, tout le monde, le diable est mort.*

ROZDZIAŁ XLIII

Oblegający rozłożyli obóz w odległości stajania od murów i wyznaczali drogi; pikinierzy w obozie czuwali, gotowi do ataku w razie potrzeby; saperów, szancknechtów, procarzy i kuszników wysłano na przednie linie. Rozpoczęli oblężenie zasypując fosę, ryjąc podkopy i burząc mury obronne. Z niewielkiej odległości padały na nich: gęsty deszcz strzał, grotów, bełtów, gładów i kamieni, toteż ci żołnierzeartyści w swoim fachu musieli patrzeć „setką oczu” - działać w porozumieniu ze strażami, pomagając sobie czujnością odwagą i zręcznością. Dla postronnych widzów takie oblężenie przedstawiało wielce ciekawy, a nawet zabawny obraz.

Cieśli chronionych ciężkimi osłonami, które tworzyły ruchome sklepienie ponad ich głowami, pchnięto pierwszych naprzód; zbudowali oni wysoką i mocną palisadę na skraju fosy. Kilku poległo, straty jednak nie były zbyt liczne, ponieważ silny oddział kuszników, wśród których był i Dionizy, otoczył kręgiem obrony owe osłony ponad głowami pracujących i mierzył z kusz do każdego z oblężonych, który ośmielił się wytknąć nos zza murów, i do każdej strzelnicy, szczeliny czy innej szpary, skąd obrońcy mogliby atakować to miejsce, gdzie byli cieśle. Ci, osłonięci przez gęsty ogień kusz, wzniesli szybko palisadę chroniącą ich przed zwykłymi pociskami padającymi przez wszystkie otwory murów.

Ale oblężeni tego oczekiwali; wystawili nocą osłony lub drewniane ochronne dachy na szczycie kurtyn. Kurtyny posiadały blisko szczytu otwory, w które wstawiało się belki podtrzymujące te budowle, będące główną obroną średniowiecznych fortyfikacji; stąd załoga oblężonego grodu miotała pociski o różnym zasięgu i o wiele swobodniej niż poprzez ukośne,

lecz nieruchome strzelnice w kurtynie czy nawet pochylone krenele wyższych wież. Szturmujący przyciągali maszyny oblężnicze, które uderzyły olbrzymimi głazami w świeżo ukończone drewniane budowle i rozbiły je doszczętnie. W tym samym czasie wzniesli trójścienną drewnianą wieżę tej samej co kurtyna wysokości, która oczekiwała w gotowości, niedostępna strzałom.

Widok ten przejął grozą oblężonych mieszczan. Tego rodzaju drewniane wieże zdobyły już bowiem wiele miast. Zaczęli więc podkop z tej strony fosy, gdzie wyrosła wieża, wygrazając w kierunku groźnej budowli i szykując się do zgotowania jej gorącego przyjęcia. Szturmujący podkopywali się również, ale z innej strony, pragnąc się dostać pod kwadratowy barbakan i zburzyć go. Cały ten czas Dionizy stał za osłoną wraz z drugim arbaletnikiem, ochraniając robotników i oddając kilka celnych strzałów. Zasłużył też wkrótce na szacunek niewidocznego, świetnie ukrytego łucznika, który posyłał mu raz po raz skrzydlate komplementy, od których drgała tarcza. Jedna ze strzał uderzyła o cal od wąskiej szczeliny, przez którą Dionizy właśnie przez chwilę zaglądał.

- Peste! - krzyknął. Dobrze strzelasz, przyjacielu. Wyjdź i odbierz me gratulacje! Czy taka zasługa winna ukrywać się w cieniu? To na pewno jeden z tych przeklętych Anglików, kamracie, ze swymi długimi strzałami. Muszę choć raz w życiu postrzelać do murów Londynu!

Jeden z obrońców zwrócił na siebie uwagę oblegającej gród armii, spacerował bowiem cały czas pod ogniem nieprzyjacielskim. Był to wysoki rycerz, cały zakuty w lśniąca spiżem zbroję, w ręku dzierżył lekką, lecz bardzo długą pikę, którą dawał znaki załodze, kierując ruchami obrony. Każda porażka szturmów miała wyraźny związek z wysokim rycerzem i jego długą piką.

Mój młody czytelnik snadnie zechce zapytać: - Czemuż to Dionizy go nie zastrzelił?

Dionizy strzelał do niego ile się dało - inni arbaletnicy również - do tego samego celu szyli z łuku łucznicy. Kto żyw celował w owego rycerza. Powinien zaprawdę zostać ubity. Co jednak było najprzykrzejsze - nie miał wcale takiego zamiaru. Tak już stał się zuchwały, że nie zauważał celujących w niego grotów i bełtów. Obchodził blanki twierdzy pod bezustannym ostrzałem jak krzepki szyper spacerujący po pokładzie w swej „zbroi” z Vlissingen, ze spokojem przyjmując krople kwietniowego deszczu, padające na jego wełnianą zbroję. Szturmujący żołnierze uznali wreszcie ze złością, że szkoda marnować na niego dobrą stal, obrzucali tylko przekleństwami rycerza i jego odbijającą groty kolczugę.

Przyjął te pociski słowne z taką samą obojętnością..

Broń palna zubożyła wojnę. Wojna zawsze była szkodliwa dla najżywoźniejszych interesów ludzkości. W dawnych czasach jednak miała pewne zalety, dostarczała boskiego tematu Iliadom. Ale osłonięta przed okiem rzeźnia pod grubym na stajanie całunem dymu, czyż ktokolwiek może się z tym pogodzić? Poeta, dzierżąc swoje zapiski w ręku, może powtarzać: *Suave etiam belli certamina magna tueri, ale uczucie jest płytkie i podobne do kukułczego. Nie może bowiem t u e r i nic poza najeżonym bronią szeregiem. Nie powiedział: Snaue etiam ingentem caliginem tueri per campos instructam.*

O wiele lepiej urządzone były te sprawy w średniowieczu.

Nasze oblężenie było sprawą niewielką, pisarz jednak lub minstrel mógł je ujrzyć takim, jakie było, i opiewać zacnym swym piórem. W takiej więc mierze sport ten można uznać za rozsądny, gdyż służył pewnym celom.

Był dzień jasny, słoneczny, lecz niezbyt mroźny. Atak szturmujących wojsk koncentrował się na przestrzeni około dwustu pięćdziesięciu jardów. Warownia posiadała dwie kurtyny i dwie wieże, jedną w kształcie kwadratowego barbakanu, drugą pokrytą wystającym spiczastym dachem, wspierającym się na kamiennych mahikułach, i również szereg niebezpiecznych kreneli między dachem a murami obronnymi spoglądał szydlerczo w dół na najbliższych spośród atakujących, co wyglądało dość podobnie do nowoczesnej fregaty, o prawie zamkniętych otworach działowych, którą można obejrzeć prawie w każdym porcie. Kurtyny obudowano zadaszieniami, nieco uszkodzonymi przez katapulty, miotacze kamieni i inne średniowieczne maszyny oblężnicze szturmujących. Strona fosy, gdzie rozłożyło się oblężenie, wyglądała na pierwszy rzut oka jak olbrzymi podłużny arsenał, rojący się od mrówek ludzkich, kipiących rzetelnym trudem i pracowitą bieraniną. Można było tam podziwiać demonstrację wszelkiego rodzaju wiedzy technicznej owego czasu. Oto dźwignia przy pracy, tam blok, waga, kołowrót. Wszędzie przyzmy kamienia, stosy faszyny, szopy ochronne i szeregi beczulek ze smołą. Przesuwanie szop ochronnych, bezustanne walenie młotami, wozy i konie dowożące materiał w nie kończącym się szeregu. Dopiero gdy przyjrzymy się bliżej temu pracowitemu rojowisku, możemy dojrzeć, że strzały przesywają powietrze, śmigając we wszystkie strony, dźwigi zaś nie kładą łagodnie swych zapasów kamieni na ziemię, lecz wyrzucają je na stronę wroga, niezależnie od właściwości, wedle wszelkich jednakże praw nauki, i że pomiędzy pełnymi strzał skrzyniami, beczkami smoły i stosami belek, pękami chrustu i wszelkimi narzędziami, tu lub tam robotnik lub żołnierz leży bardziej płasko niż zazwyczaj podczas krótkotrwałej drzemki, tkwi w nim grot bardziej lub mniej pierzasty i płynie krew.

Na skraju fosy po drugiej stronie drewnianej wieży przesunął się ukradkiem w stronę kurtyny mocno zbudowany dach ochronny, zwany „kotem”. Wybiegali spod niego robotnicy i stopniowo zasypywali rów faszynami i śmieciem. „Kot” był przesuwany przy pomocy dwu pęków grubych sznurów przeciągniętych przez okrągłe bloki, za źródło siły służył mu kołowrót ustawiony nieco dalej. Rycerz spalił pierwszego „kota”, rzuciwszy weń płonące beczki smoły. Szturmujący, nauczeni tym doświadczeniem, zbudowali następny dach bardziej stromo i pokryli go nie garbowanymi skórami, a więc beczki ze smołą przestały być dla niego groźne. Rycerz skinął swą włócznią, mała katapulta za murami zaczęła miotać stamtąd wprost do fosy i, utrafiwszy w końcu właściwą odległość, rąbnęła głazem prościutko w dach „kota”, przedziurawiając go szpetnie.

Baldwin Burgundzki stracił na ten widok cierpliwość. Rozkazał przyciągnąć wielką katapultę, która rozbijała dotąd drewniane nadbudówki przeciwległej kurtyny, odwrócić ją i ustawić skośnie, celując w rycerza, którego dotąd kule się nie imaly. Dionizy i Anglik przerwali walkę, aby zjeść obiad. Ci dwaj dzielni żołnierze wiecznie mieli na siebie oko, zawarli swego rodzaju znajomość na dystans, porozumiewali się na migi, zwłaszcza na temat, który nie tracił znaczenia w czasie wojny, zarówno jak w czasie pokoju. Czasem Dionizy umieszczał kawałek chleba na szczycie swojej osłony, a angielski łucznik wywieszał na sznurku jakiś podobny znak - kolejność zaproszeniowych gestów mogła być odwrotna. W każdym razie zawsze starali się obiadować w tym samym czasie.

Teraz zaś mechanicy zdecydowali się na krok raczej niezwykajny - rzucając pięćdziesiętofuntowe głazy w pojedynczego człowieka.

Ta katapulta była piękną, prostą i uczoną machiną, bardzo skuteczną w strzelaniu stromotorowym w krótkich odstępach czasu.

Wyobraźcie sobie ściętą jodłę osadzoną w ten sposób, że obraca się na wspartej o wysokie podstawy poziomej osi, nie posiadającą jednak równowagi, ponieważ trzy czwarte drzewa pozostaje po jednej stronie. Na krótszym i grubszym końcu pnia przymocowuje się półtonowy ciężar. Ten grubszy koniec na chwilę przed wystrzałem skierowuje się przeciw nieprzyjacielowi. Potężny dźwиг przygina długą, zwężającą się stożkowato część pnia do samej ziemi, i blokowaną przez sworzeń i kamień umieszczony w procy przywiązanej do wierzchołka. W ten sposób unosi się gruby koniec pnia wraz z jego olbrzymim ciężarem wysoko w powietrze i powstrzymuje go tam przed opadnięciem w dół. Teraz wyciąga się sworzeń. Siła ciężkości, pojęcie kwitnące już nawet w owych zamierzchłych czasach, upomina się o swe prawa, krótszy koniec spada z rozmachem na dół, dłuższy unosi się z

ogromną siłą do góry, olbrzymi głaz na tej największej wysokości wyskakuje z procy z potwornym szarpnięciem.

W naszym przypadku tak wyrzucony wielki pocisk nie trafił w rycerza, ale upadł tuż obok niego na budowlę ochronną, przebił ją, jakby była z papieru, wrywając ogromną dziurę w dachu i podłodze. Wypadły przez nią dwa martwe przedmioty - głaz i zniażdżone ciało jakiegoś oblegającego, w którego trafił pocisk. Oba te ciężary spadały długo w dół z wysokiego muru kurtyny i prawie jednocześnie uderzyły w posępne wody w fosie, która zamknęła się z bulgotem, ukrywając kamień i kości ludzkie na okres dwustu lat, dopóki armata nie zadrwiła z tych niegdyś często niespokojnych wód i nie wysuszyła ich cywilizacja.

- Hej, dobry strzał! - krzyknął Baldwin z Burgundii.

Wysoki rycerz wycofał się. Szturmujący powitali to rykiem. Pojawił się jednak rychło na ganku barbakanu, widać było jego hełm lśniący ponad parapetem. Zdawał się krzątać gorączkowo, i za chwilę ustawiono na platformie olbrzymią turecką katapultę. Wysokie jej stanowisko pomogło wyrzucić w powietrze dwudziestofuntowy kamień na wysokość dwustu czterdziestu jardów. Odbił się o ziemię, sypnął błotem w oczy Antoniego, który zaklął. Następny kamień uderzył w konia ciągnącego wózek ze strzałami, obalił zwierzę jak nędznego królika, a wózek rozleciał się na kawałki. Za chwilę katapulta wzięła za cel drewnianą wieżę, o której oblegający sądzili, że jest poza zasięgiem ostrzału. Tam Turek wyrzucał ostro w tym celu przycięte kamienie, trafił kilka razy i uszkodził w paru miejscach groźną wieżę. Szturmujący wymierzili w tego potwora, dwie ze swych maszyn oblężniczych, które bez przerwy miotały mniejsze kamienie na mury barbakanu i poraziły śmiertelnie dwóch mechaników. Ale Turek nawet nie raczył na to zareagować. Rąbnął czterdziestofuntowym głazem w wielką katapultę oblegających i trafiwszy w okolice osi, rozwalił całą konstrukcję na drobne kawałki. Mechanicy rozbiegli się z dzikim wrzaskiem.

Tegoż popołudnia Dionizy, zerkając przez szparę, widział, że Szymon, biegnąc spod palisady ku swej osłonie, skąd strzelał do oblężonych, zatrzymał się nagle, wyciągnął ręce i runął na twarz. Pierzasta strzała sterczała mu z pleców. Łucznik sam wyjrzał na chwilę, by nacieszyć się swą zręcznością. Był to Anglik. Dionizy wycelował, wyrzucił bełt i siejący spustoszenie łucznik zachwiał się na nogach - był ranny. Ale biedny Szymon się już nie poruszył. Dla niego wojny skończyły się na zawsze.

- Nie mam szczęścia do kompanów - powiedział Dionizy. Następnego ranka niemily widok powitał oblężonych. „Kot” został zabezpieczony faszyną i nie wyprawionymi skórami i szybko zasypywał fosę. Rycerz walił weń kamieniami, tym razem jednak bez skutku; rzucał na machinę płonące beczki ze smołą, i to na próżno. Wreszcie własnymi rękami spuścił na

linie wór płonącej siarki i smoły, żeby porazić napastników smrodem. Ale oto Baldwin, uzbrojony jak brytyjski żołnierz, podbiegł i wskakując na dach przeciął sznur; praca nie ustawała. Wysoki rycerz skierował następną partię saperów do podkopu, podminował fundamenty „kota”, mocując tunel belkami, grubo pokrytymi tłuszczem i smołą.

O świcie fosa była zasypana i drewniana wieża oblężnicza ruszyła na kołach ku tej części kurtyny, którą ostrzeliwały obie katapulty, próbując zburzyć ochronne nadbudówki i oczyścić drogę. Było coś groźnego i niesamowitego w zbliżaniu się owej wieży bez udziału widocznej siły sprawczej, miała bowiem wewnątrz walce poruszane za pomocą dźwigów. Na platformie umieszczonej u szczytu stały szeregi pierwszego rzutu szturm. Od przodu chronił je ruchomy most, będący częścią wieży oblężniczej. Przed opuszczeniem na mury sterczał on pionowo. Najlepszą jednak osłoną rycerzy były ich zbroje. Oblężeni celowali do wieży i trafiali w nią często, jednak bez widocznego rezultatu. Skóry i osłony dobrze ją chroniły i machina dotarła niebawem na brzeg fosy. Rycerzobrońca kazał podpalić belki podtrzymujące wykop.

Z kolei turecka machina wyrzuciła półcietnarowy głaz w sam środek grupy szturmowej rycerzy i zmiotła dwu ludzi z wieży na równinę. Jeden padł, wijąc się z bólu, inny znieruchomiał, nie wyrzekłszy słowa.

Teraz oblężnicze katapulty wypuły z siebie płonące beczki ze smołą i podpaliły z dwóch stron nadbudówki. Szturmujący po drabinach z tyłu wieży wbiegli na szczyt, spuścili most na poszczerbioną kurtynę, podczas gdy katapulty zgodnym rytmem wyrzucały baryłki ze smołą i podpalały dalsze nadbudówki, aby wyprzeć z nich obrońców. Zbrojni mężowie pod wodzą Baldwina runęli na most. Spotkali się z nimi oblężeni z niezłomnym rycerzem na czele i zawrzała bój straszliwy - wielu z jego uczestników zważyło się głową w dół z wąskiej kładki. Ale nowi oblegający wspinali się od tyłu na wieżę i obrońcy zostali zepchnięci z pomostu.

Jeszcze chwila a miasto byłoby zdobyte; lecz tak dokładnie obliczono czas wysadzenia w powietrze podkopu, że w tym samym momencie ustąpiły płonące belki podtrzymujące tunel i wieża odpadła od murów, zrywając most i zrzucając żołnierzy do suchej już fosy. Oblężeni zawyli przeraźliwie, w jednej chwili otoczyli Baldwina z towarzyszami, ale choć może to wydać się dziwne, dali im pardon. Podczas gdy część oblężonych rozbroiła napastników i odprowadzała ich, obrońcy walczyli dalej, rzucając w wieżę z pięćdziesięciu miejsc pociski podobne do ręcznych granatów. Oczywiście wysoki rycerz kierował wszystkim. Zatykał płonące wiechcie na swą długą pikę i rzucał je na zagrożoną wieżę, tak do niedawna groźną. W tym celu stanął na sterczącej belce uszkodzonej izbicy, trzymając za rękę pikiniera i w ten sposób utrzymując równowagę. To sprowokowało

Dionizego. Wybiegł zza osłony, mając nadzieję, że w zamieszaniu nikt go nie zauważy, i zniżywszy kuszę strzelił do rycerza. Chybił, ale bełt ugrzązł w głowie pikiniera i wysoki rycerz wraz ze swą piką ciężko runął z muru. Dionizy patrzył zaskoczony i zdumiony i w tej jedynej fatalnej chwili nagle poczuł gorąco, potem lodowate zimno w ramieniu - przeszła je angielska strzała. Ten epizod został nie zauważony, gdyż zaćmiło go inne, o wiele ważniejsze zdarzenie. Rycerz, którego zbroja lśniła w porannym słońcu, runął głową w dół, lecz zdążył się obrócić zbliżając się do wody - była tuż obok - i wpadł do niej z pluskiem słyszalnym na milę w krąg.

Nikt nie sądził, że ujrzy go jeszcze. Upadł jednak na brzeg ułożonych tam faszyn, na których stała przechylona na bok wieża, tak że tylko pika utkwiała w splątanych prętach, sięgając wody. Rycerz potężnym wysiłkiem dotarł do brzegu, nie mógł jednak wydobyć się na powierzchnię. Antoni posłał dwunastu rycerzy z białą flagą, aby wzięli go do niewoli. Poddał się jak jagnię, nie rzekł jednak ani słowa.

Zaprowadzono go do namiotu księcia Antoniego.

Wódz roześmiał się na widok zabłoconej zbroi wroga. Szybko jednak spoważniał, zmarszczył brwi i rzekł:

- Zdumiewam się, panie, że tak wyśmienity jak wy rycerz może opacznie pojmować swe obowiązki i podnosić rebelię, która sprawia nam teraz cały ten kłopot.

- Nie, nie, nie, nie jestem rycerzem.

- Kim więc jesteście?

- Sukiennikiem.

- Kim? Zatem zedrzymy tę zbroję, zwiążemy was i podziurawimy strzałami na sito wobec wszystkich walczących jako ostrzeżenie dla zdrajców.

- Nnnnnie! Nie momomomozecie tego uczynić.

- A to dlaczego?

- Nienieniemieszczanie popopopowieszą. Bababastarda;

- Kogo?

- Wasz bbbbrat Baldwin.

- Czyżbyście wy, łotrzy, wzięli go w niewolę?

Waleczny sukiennik skinął potakująco głową.

- Do diabła z durniem! - burknął gniewnie Antoni. Waleczny sukiennik popatrzał mu w oczy i zdjawszy hełm z głowy, wydobył spod podszewki przejęty list od księcia, który wzywa Antoniego natychmiast do dworu. Czeką go bowiem misja reprezentowania Burgundii na dworze angielskim. Ma się udać za Kanał i przywieźć stamtąd siostrę króla Anglii do

narzeczonego, hrabiego de Charolais. Misja ta pogłaskała dumę Antoniego, ucieszyła go ze względu na przyjemności i atrakcje, których zawsze był spragniony. Dwór Edwarda IV należał bowiem do najweselszych i najświetniejszych w Europie. Chytry sukiennik zauważył, że księżę rwie się do drogi, i dorzucił:

- Ofiariafiarujemy tysiąc sztuk złota za zdjęcie obłęzenia.

- A Baldwin?

- Wróć do miasta i przyprzyprzyśpryślę go tu z pieniędzmi.

Była pora obiadowa - ponieważ zaś flaga rozejmu powiewała już z obydwu stron, dwaj rycerze - fałszywy i prawdziwy - zasiedli wspólnie do posiłku i doszli do przyjacielskiego porozumienia.

- Powiedz mi, przyjacielu, jakie są wasze pretensje?

- Zazaza wiele podatków.

Dionizy, stwierdziwszy, że strzała tkwi w jego prawym ramieniu, odwrócił się plecami i chroniony przez długą osłonę przebiegł rychło do obozu. Tam spotkał go hrabia de Jarnac, który widział wyśmienity strzał i ujrawszy, że kusznik jest ranny, ofiarował mu garść wielkich talarów.

- Zdaje mi się, że nie masz już żalu. Chyba na dobre ci się to obróciło, kuszniku.

- W żalu jestem pocieszony, ale nie w miłości. Gdy tylko skończymy z tą rebelią, idę do Holandii tam spotkać mego przyjaciela.

Blżej już był tego wydarzenia, niż przypuszczał. Zwolniono go następnego dnia ze służby i choć rana nie była byle jaka, z pełnym otuchy sercem ruszył na spotkanie Gerarda do Holandii.

ROZDZIAŁ XLIV

Małgorzata Brandt bardzo się zmieniła. Wykonywała swe domowe zajęcia jak pogrążona we śnie. Gdy Piotr odezwał się do niej nieco gwałtowniej, stawała jak wryta, utkwivszy w ojcu przerażone oczy. Chodziła o wiele rzadziej do swej przyjaciółki Małgorzaty van Eyck, a gdy już ją odwiedziła, zachowywała się bez dawnej swobody. Zamiast być rada serdecznym pieścizotom starej kobiety, przyjmowała je obojętnie i z drzeniem, czasem wzdrygała się niechętnie. Co jednak najdziwniejsze, nigdy nie wychodziła za dnia z domu. Wyruszała do Tergou o zmroku, wracała przed świtem. Nie chciała już nawet uczęszczać na jutrznię. Piotr, tak mało przecież spostrzegawczy, zauważył w końcu jej

dziwne zachowanie i zapytał córkę o przyczynę. - Wszyscy tak mi się jakoś przyglądają - szepnęła.

Pewnego dnia Małgorzata van Eyck spytała, co się z nią dzieje. Jediną odpowiedzią było niepewne spojrzenie i strumień łez. Stara dama powiedziała z łagodnym wyrzutem:

- Cóż to, maleńka, boisz się zwierzyć mi się ze swych zmartwień?

- Nie mam żadnych zmartwień, madame, prócz tych, które sama sobie stwarzam. Lepiej mnie traktuj, zwłaszcza w tym domu, niż na to zasłużyłam.

- Dlaczego więc nie przychodzisz częściej, kochanie?

- Przychodzę częściej, niż na to zasługuję - westchnęła głęboko w odpowiedzi.

- Może Reicht ci dokucza? - zapytała Małgorzata van Eyck. - Chodź tu, dziecko! - Co ci jest, na Boga!

Rozmyślając nad wszelkimi możliwymi przyczynami smutku dziewczęcia, pani van Eyck sądziła, że Małgorzata zadręcza się pogardą okazywaną jej przez rodzinę Gerarda.

- Muszę ich przycisnąć do muru, przynajmniej niewiasty. Następnego dnia nałożyła kapelusz i płaszcz i w towarzystwie

Reicht wybrała się do domu sukiennika. Katarzyna przyjęła damę z wielkim respektem, dziękując ze łzami za jej dobroć dla Gerarda. Lecz gdy ośmielony tym gość poruszył temat Małgorzaty Brandt, oczy Katarzyny natychmiast obeschły, wargi się zacisnęły do połowy; popatrzyła na starą damę tak, jak tylko uparta, tępą kobieta potrafi spojrzeć. Gdy twarze kobiet przybierają taki wyraz, z równym powodzeniem można próbować przekonać lub zmiękczyć kamienny mur; Małgorzata van Eyck spróbowała, ale naturalnie na próżno. Wielka pani nie przyzwyczajona do sprzeciwów zirytowała się więc i szybko pożegnała gospodynię krótkim i niezbyt uprzejmym dygiem. Katarzyna odpowiedziała z miną raczej nieufną niż pokorną. Przed domem Reicht rozmawiała z bladą dziewczynką o kulach. Małgorzata van Eyck sunęła ku nim zarumieniona z gniewu, pokaszując pogardliwie, niechętna już całej rodzinie, gdy nagle mała, delikatna rączka wśliznęła się nieśmiało do jej dłoni. Dama ujrzała zalane łzami, łagodne jak u gołębiczy oczy, spoglądające na nią z wdzięcznością i błaganiem. Stara kobieta zrozumiała to cudowne, pełne wyrazu spojrzenie, odczuła wszystko i gniew ją opuścił. Pochyliła się i pocałowała Kasię w czoło.

- Rozumiem - powiedziała. - Pozostawiam to tobie. Po powrocie do swego mieszkania orzekła:

- Byłam dziś w domu, w którym ujrzałam rzecz bardzo pospolitą i bardzo niezwykłą. Widziałam głupią, upartą kobietę, ale również anioła w ludzkim ciele, o twarzy - gdybym ją miała tutaj, chwyciłabym raz jeszcze pędzel, próbując ją namalować.

Mała Kasia nie zawiodła dobrej opinii, na którą tak szybko zasłużyła u pani van Eyck. Czekala tylko na odpowiednią chwilę, aby opowiedzieć matce o tym, czego dowiedziała się od Reicht Heynes, że Małgorzata przelała swą krew w lesie, aby pomóc Gerardowi.

- Pomyśl, mamó, jak ona go kocha.

- Kto mógłby go nie kochać?

- Pomyśl tylko o tym! Biedactwo.

- At, dziewczka. Naturalnie ma i ona swoje zmartwienia, tak jak i my mamy nasze. Ja tam nie mogę znieść widoku krwi prócz własnej.

Było to już coś, gdy jednak Kasia próbowała posunąć się dalej, matka przerywała jej w pół słowa.

Minął mniej więcej miesiąc; żołnierz powracający ze służby w Burgundii przyniósł pewnego wieczora list do domu sukiennika. Ojciec wyjechał właśnie za interesem, ale reszta rodziny siedziała przy kolacji. Żołnierz położył list na stole obok nakrycia Katarzyny i, odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia, powędrował do Sevenbergen.

Otworzyli list i rozpostarli, i chociaż nikt z nich nie umiał czytać, wszyscy, co ciekawe, stwierdzili, że jest to pismo Gerarda.

- Że też akurat ojca nie ma w domu - zawołała Katarzyna. - Czy wam nie wstyd, że żadne z was nie potrafi przeczytać listu brata?

Chociaż słowa były dla nich tym, czym dla nas hieroglify, znaleźli jednak w liście coś, co mogli zrozumieć. Jest sztuka, która umie przemawiać bez słów, nie zna granic istniejących dla człowieka pióra, potrafi zakraść się przez oczy do serca i mózgu, trafić zarówno do uczonych, jak i analfabetów, przekraczać granice lub oceany, nie tracąc niczego. Nie potrzebuje łaski tłumacza, ponieważ posługuje się uniwersalnym językiem. Gdy więc ujrzeli ten rysunek: który Gerard naszkicował pomiędzy dwoma krótkimi fragmentami swego listu - odczytali bez trudu myśl, która trafiła im wprost do serca.

Gerard przysyłał im słowa pożegnania.

Gdy patrzyli na prościutki szkic, w każdej kresce rozpoznawali styl nieobecnego chłopca, czuli przy sobie jego bliskość, to Gerard mówił im: „żegnajcie”.

Niewiasty płakały nad listem, tak że nie mogły już nic dojrzeć przez łzy.

Idzi niskim, przejętym głosem szepnął: „biedny Gerard”.

Nawet Korneliusz i Sybrandt czuli przez chwilę wyrzuty sumienia i siedzieli w ponurym milczeniu.

Jak jednak postarać się, żeby ktoś im odczytał nieznane wyrazy? Wstydzili się okazać obcemu swoje nieuctwo i wzruszenie.

- Pani van Eyck - rzekła nieśmiało Kasia.

- I ja tak myślę, Kasiu. Ona ma dobre serce. Kocha Gerarda tak jak my. Ucieszy się wiadomością od niego. Byłam trochę szorstka w czasie jej odwiedzin u nas, przepraszę ją i chyba przeczyta, co biedne dziecko do mnie mówi.

Rychło znalazła się w domu Małgorzaty van Eyck. Reicht zaprowadziła ją do pokoju i poprosiła:

- Proszę zaczekać chwilę, pani odmawia modlitwy.

Przy piecu siedziała młoda, pogrążona w zadumie niewiasta, wstała jednak uprzejmie, by ustąpić miejsca nowo przybyłej.

- Dzięki ci, młoda pani, zimne i wietrzne są już noce, miejsce przy piecu to dziś prawdziwy poczęstunek. - Katarzyna, grzejąc dłonie, obejrzała dyskretnie towarzyszkę od stóp do głów. Młoda kobieta nosiła prosty czepeczek, suknia jej była jednak bramowana futrem, co było w tych czasach zawsze oznaką wyższego stanu lub bogactwa. Najbardziej jednak uderzającą cechą była czystość i skromność malująca się na jej twarzy. Katarzyna czuła, że znajdzie zrozumienie osoby o takim wyglądzie, i zaczęła gawędzić.

- Czy wiecie, młoda pani, co mnie tu sprowadza? Oto przyniesiono list - list od mego biednego chłopca, który jest daleko od domu, może w dzikich jakichś stronach - i muszę ze wstydem przyznać, że nikt z nas nie umie czytać. Ciekawam, czy wy znacie tę sztukę, pani?

- Tak.

- Możeż to być? Wielka to dla was ozdoba, droga moja. Mam nadzieję, że pani van Eyck nadejdzie niedługo; każda jednak minuta zdaje się godziną dla biednej, stęsknionej matki.

- Przeczytam go wam, pani.

- Niech Bóg cię błogosławi, droga moja.

W swym nie udawanym wzruszeniu nie dostrzegła z trudem pohamowanego zapału, z którym dziewczyna wyciągnęła z wolna dłoń, aby przyjąć od niej list. Nie dojrzała drżenia, z którym palce zacisnęły się na pergaminie.

- Proszę was bardzo, czytajcie, błagam. Nie mogę się doczekać.

- Pierwsze słowa brzmią: „Do moich, czcigodnych rodziców”.

- Aj! Zawsze tak nas szanował, biedaczek!

- „Błogosławieństwo Boże i wszystkich świętych niech będzie z wami we dnie i w nocy. Zapomniałem o jednym twardym waszym uczynku, pamiętam o latach miłości”.

Katarzyna przycisnęła dłoń do piersi i opadła szlochając na fotel.

- Teraz rysunek - mówi sam za siebie: „długie pożegnanie”.

- Dalej, dalej. Niech was Bóg błogosławi, dziewczeczko, dajecie mi smutną pociechę. Jednak to jest pociecha.

- „Do braci mych Korneliusza i Sybrandta: - Możecie się cieszyć, nie ujrzycie mnie już nigdy w życiu!”

- Co to może znaczyć? O, Boże!

- „Do siostry Kasi: Aniołku, strzegący domu ojcowskiego. Bądź dla n i ej dobra!” - O, Boże!

- To Małgorzata Brandt, moja droga - jego ukochana, biedne stworzenie. Nie byłam dobra dla niej. Wybacz mi, Gerardzie!

- „...zrób to dla swego biednego brata Gerarda, bo jej żalność jest dla - mnie - śmiercią”. O, Boże!

Natura ulitowała się nad biedactwem toczącym o zachowanie spokoju walkę ponad siły; nagle odmówiła ich Małgorzacie i dziewczyna, straciwszy przytomność, osunęła się z krzesła. Nie wypuściła listu z dłoni, a główkę oparła o kolana Katarzyny.

ROZDZIAŁ XLV

Doświadczone kobiety nie przerażają się, gdy niewiasta omdlewa, przypisując - to najczęściej tylko przyczynom natury fizycznej, co, jak dobrze wiedzą, często się zdarza. Matka Gerarda zajęła się natychmiast nieprzytomną dziewczyną, ułożyła ją płasko na podłodze, otworzyła okno i rozluźniła ubranie leżącej. Zrobiwszy to wszystko, podeszła do drzwi i powiedziała podniesionym nieco głosem:

- Proszę, przyjdźcie tu.

Gdy Małgorzata van Eyck wraz z Reicht weszły do pokoju, ujrzały młodą kobietę leżącą bezwładnie na podłodze i Katarzynę rozcierającą jej dłonie.

- Och, moja biedna dziewczeczka! Coście jej uczynili, pani?

- Ja? - zapytała oburzona Katarzyna.

- Co się tu więc stało?

- Nic, modernie, nic, co byłoby nienormalne w jej stanie. Małgorzata van Eyck poczerwieniała z gniewu.

- I to wy mówicie o tym tak spokojnie - powiedziała - wy, ponosząc odpowiedzialność za jej stan?

- Nie ja na pewno - odparła zuchwale Katarzyna - nie ja ani żadna żyjąca niewiasta.

- Czyż to nie wy i małżonek wasz rozdzieliliście tych dwoje młodych? A teraz on powędrował sam jak palec do Italii. Jej stan, zaiste. To wy i wasza rodzina złamaliście jej serce.

- Jakżeż to, pani? Kto to jest, na Boga? Słuchając pani słów, można by pomyśleć, że to dziewczyna mego Gerarda. A to przecież niemożliwe. To futro kosztuje najmniej pięć koron za łokieć. Poza tym ta młoda szlachcianka jest zamężna lub powinna nią być.

- Zaiste, iż być powinna. A któż jest winien, że nią nie jest? Kto stanął pomiędzy nimi i ołtarzem?

- Niech Bóg wybaczy im, kimkolwiek by byli - odrzekła poważnie Katarzyna. - Nie ja to uczyniłam, jak również nie mój mąż.

- Dobrze - powiedziała stara dama nieco łagodniej - może teraz, gdy ją już znacie, pani, nie będziecie taka zawzięta wobec biednej dziewczyny. Przychodzi już do siebie, dzięki Bogu.

- Zawzięta? - zapytała mieszcza - o nie, to już minęło. Biedactwo, troski poza nią i troski przed nią; i pomyśleć, że tak się zdarzyło, że wśród tylu kobiet na świecie akurat jej dałam do czytania list Gerarda do mnie. Ajaj, to dlatego zemdłała, mogłabym przysiąc. Przychodzi do siebie. No, jak tam, kochanie, nie bój się, tu masz samych prayjaciół - dodała.

Posadziły ją w fotelu. Kolory wracały powoli na policzki i wargi dziewczyny; matka Gerarda odciągnęła na stronę Małgorzatę van Eyck.

- Czy ona zostaje tu z wami, madame, jeśli zapytać wolno?

- Nie, pani.

- Nie chciałabym jej pozwolić iść dziś wieczór do Sevenbergen.

- Niech będzie tak, jak ona postanowi. Raczej nie chce nigdy czekać nocy.

- Jesteście starsza od niej, pani, możecie jej rozkazać. Teraz cicho, zaczyna już rozumieć. - Katarzyna przysunęła na chwilę usta do ucha Małgorzaty van Eyck. Zdawało się, że nie starczy czasu na szepnięcie jednego słowa, tym bardziej zdania, w pewnych jednak sprawach niewiasty porozumiewają się z szybkością błyskawicy.

Stara dama osłupiała i odszepnęła:

- To nieprawda! To oszczerstwo! To okropne! Proszę, przyjrzyjcie się jej twarzyczce. To bluźnierstwo oskarżać dziewczynę o takiej twarzy.

- Tatata! - odrzekła ta doświadczona niewiasta. - Możecie mi, pani, w ten sam sposób rzec, że to nie moja ręka. Mam swoje doświadczenie i mówię wam, pani, że tak jest.

Potem ku wielkiemu zdziwieniu gospodyni podeszła do dziewczyny i obejmując za szyję, gorąco ją ucałowała.

- Cierpiałam z powodu Gerarda, a ty rozlałeś dla niego krew. Słyszałam o tym niedawno. Jego własne słowa ukazały mi, że nie miałam racji, i to właśnie ty odczytałaś mi te słowa. Geradzie, synku mój, trzymałam się z dala od niej, ale wynagrodzę to teraz. Od dziś jesteś moją córką.

Jeszcze jeden gorący pocałunek przypieczętował tę spieszenie zawartą umowę i porywczą niewiasta pożegnała towarzystwo.

Małgorzata opadła na fotel, leciutki uśmiech pojawił się na jej twarzy. Matka Gerarda ucałowała ją i nazwała swą córką, za chwilę jednak spostrzegła, że jej stara przyjaciółka patrzy na nią gniewnie.

- Dziwię się, żeś pozwoliła ucałować się tej kobiecie;

- To jego matka - szepnęła z wyrzutem młoda kobieta.

- Matka czy nie matka - nie pozwoliłabyś się dotknąć, gdybyś wiedziała, co mi szepnęła o tobie na ucho.

- O mnie? - spytała z bojaźnią Małgorzata.

- Tak, chociaż cię pierwszy raz w życiu dziś wieczorem ujrzała. - Stara dama mówiła z pewnym wahaniem, starając się tak dobrać słowa, aby Małgorzata podzieliła jej oburzenie, gdy nieprzewidziana przeszkoda zamknęła jej usta.

Młoda kobieta zsunęła się z krzesła do nóg starej damy i zaczęła rozpaczliwie błagać ją o przebaczenie. Postronny obserwator mógłby z jej słów i zachowania osądzić, że dziewczyna popełniła jakieś wielkie przestępstwo, które było nieznośną obelgą dla jej czcigodnej przyjaciółki.

ROZDZIAŁ XLVI

Mała gromadka siedziała przy stole w domu sukiennika, rozprawiając o ostatnich zdarzeniach, gdy matka wróciła do domu i obrzuciwszy spojrzeniem wszystkich w krąg, rozłożyła na stole list. Powtarzała z pamięci słowo po słowie przesuwając palcem po wierszach pisma, próbując oszukać siebie i słuchaczy, że może odczytać wyrazy zupełnie lub prawie zupełnie dokładnie. Potem nagle podniosła głowę i spojrzała surowo na Korneliusza i Sybrandta. Obaj spuścili oczy.

Teraz długo zbierająca się burza spadła na ich głowy.

Katarzyna zdawała się rósć w oczach jak rozgniewana kokosz, gdy nastroszy pióra; z ust jej popłynął cały Rodan i cała Saona mądrości i zrzędzenia, wielkich i małych inwektyw -

czego żaden mężczyzna na świecie nie potrafiłby wypowiedzieć w jednym strumieniu mowy, a i nie każda zdobyłaby się na to niewiasta.

Oto wierna, choć niewielka próbka jej słów, z tym, że były wypowiedziane jednym tchem.

- Od dawna już podejrzewałam, że rozdmuchujecie płomień niezgody pomiędzy ojcem a Gerardem, podżegacie przeciwko chłopcu starego łajdaka Ghysbrechta. Teraz oto mamy potwierdzenie w słowach pisanych własną ręką Gerarda. Wygnaliście brata, krew z krwi waszej i kość z kości, do krajów dalekich, obrabowaliście matkę, która was zrodziła, pozbawiwszy ją ukochanego dziecięcia, dumy jej oczu i radości jej serca. Pierwszorządne z was ziółka, nicponie w każdym calu. Jeszcze gdy wszyscy byliście dziećmi, inne były moją pociechą, a wy - przekleństwem; złośliwi i przebiegli - pół dnia trzeba się było napracować, żeby wasze ubrania jako tako wyglądały. I czemuż to tak? Przy pracy szanuje się odzież, przy zabawie drze w strzępy. Gdy broda rośnie, przybywa rozsądku, ale wam nie przybyło. Zawsze ostatni do łóżek i ostatni do rannego wstawania. A dlaczego? Bo uczciwość zasypia wcześniej, a kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Gdzie dwóch leniuchów wyleguje się w pościeli - tam są na pewno dwaj nicponie. Nieraz siedziałam i patrząc na wasze zachowanie, próbowałam odgadnąć, skąd się to bierze. Niepodobniście ze swego charakteru do ojca, a do mnie jak osa do mrówki. Pewnie ktoś was zamienił w kolebce, a może kukułka podrzuciła mi takie dzieci na podłogę - nie macie przecie ani naszych rąk, ani serc. Nikt z mej rodziny nigdy nie szydził z tych, których Bóg doświadczył, a wy często, kiedym się odwróciła, drwiliście z Idziego, że nie wyrósł tak jak inni; dokuczaliście nawet mojej lilijce - Kasi, że nie ma tyle sił co flamandzka kobyła. Teraz zdolniście i kościół obrabować, jeśli chcecie, boć już nie możecie być gorsi w oczach Boga, który stworzył Kasię i Idziego, i mnie, która cierpiałam dla tych biednych maleństw tak samo jak dla was, nieczułe, nędzne i zdradzieckie szczeniaki! Nie, nie zamilknę, córeczko, dzban pełen po brzegi. Dużo trzeba, nim serce matki zwróci się przeciw synom, których sama wykarmiła na swym łonie; długo patrzyłam i widzieć nie chciałam zbyt wiele, długo w język się gryzłam, aby nie dowiedział się ojciec tego, co ja już wiedziałam - wyrzuciłby ich natychmiast za drzwi. Ale teraz przepelnili czarę. I skąd macie tyle srebra? Przecie cały ostatni miesiąc leżycie na pieniądzach! Nigdyście nie zapracowali na nie. Bodajbym nigdy nie dowiedziała się od obcych, skąd je wzięliście. To było tej nocy, gdy wyszliście tak późno z domu, a Korneliusz wrócił z rozbitą i spuchniętą głową. Źle, gdy lenistwo i chciwość chodzą z sobą w parze, moi panowie, Ci, co kochają pieniądze, muszą albo pracować w pocie czoła, albo kraść. Jeżeli obrabowaliście jakiegoś biedaka, założę się, iż musiała to być niewiasta, bo każdy chłop przegoniłby was gołą ręką. Mniejsza z tym. Nie ma

tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przekonałam się, jak byście zarządzali naszym dobytkiem, gdyby kiedyś miał do was należeć. Śledziłam was przez ten czas, chłopcy. Wydawaliście we dwóch dziennie tyle, ile mnie starczyć musi na tydzień dla was wszystkich - dobrych i złych. Nie! nie szykujcie się na spadek, bo go nie doczekacie - ten sklep ani ten dom nigdy nie będą do was należały. Gerard jest naszym dziedzicem - biedny Gerard, którego wygnaliście z domu i ze wszystkich sił staraliście się zabić. Nie wolno wam już teraz zwać mnie matką! Uczyniliście jeno Gerarda dziesięćkroć droższym memu sercu. Mój biedny, utracony chłopiec! Ujrzę go już niedługo, wezmę w ramiona i posadzę sobie na kolanach. Tak, tak, możecie wytrzeszczać oczy! Chytrzy jesteście, ale jeszcze nie dosyć. Wycięliście lodygę, ale pozostawiliście nasienie - które was przerośnie i przeżyje. Małgorzata Brandt jest brzemienna, to dziecię Gerarda, a co Gerarda, to moje, modliłam się już do świętych pańskich, żeby to był syn, i będzie, musi być chłopak. Kasiu, gdy wykryłam, jak sprawa stoi, zatęskniłam za tym nie urodzonym dzieckiem, jakby było moje własne. On jest naszym dziedzicem. On was przeżyje. Wy nie. Złe serce w ciele człowieka jest jak robak w orzechu, szybko zmieni ciało w proch. Tak, Kasiu, wyciągnij najlepsze rzeczy Gerarda z szuflady, gdzie są schowane, i zawieziemy je któregoś dnia do Sevenbergen. Pożyczymy wózek od Piotra Buyskensa i pojedziemy pocieszyć żonę Gerarda uginającą się pod ciężarem trosk. Ona jest jego żoną. Kim ostatecznie jest Ghysbrecht van Swieten? Czy może stanąć między parą ludzi a ołtarzem i rozdzielić to, co Bóg i kapłan połączył? Ta dziewczyna jest moją córką i jestem z niej prawie tak dumna, jak z ciebie, Kasiu. A wy precz mi z oczu, bo jesteście jak parszywe psy w moich oczach.

Korneliusz i Sybrandt skorzystali z tej wskazówki i wymknęli się chyżo dręczeni wyrzutami sumienia, zaciekłością i nienawiścią. Unikali wzroku matki, ona zaś przez wiele dni nie powiedziała do nich ani słowa: dobrego, złego czy obojętnego. *Liber cwerat animum suum.*

ROZDZIAŁ XLVII

Katarzyna, dobra gospodyni, rzadko opuszczała swój dom na cały dzień, zawsze bowiem obawiała się, że to lub owo nie będzie w porządku w czasie jej nieobecności. Czekając na swobodniejszą chwilę, odkładała z dnia na dzień swą wizytę w Sevenbergen. A gdy wreszcie nadszedł dzień odpowiedni, znowu muł Piotra Buyskensa nie mógł ruszyć w drogę.

Wreszcie pewnego dnia Eliaz w obecności całej rodziny zapytał żonę, czy to prawda, że zamierza odwiedzić Małgorzatę Brandt.

- Tak, mój mężu.

- A zatem zabraniam ci tego uczynić.

- Ach, zabraniasz?

- Tak jest.

- Przeto nie mam już nic do powiedzenia - powiedziała, czerwieniejąc.

- Ani słowa - odrzekł surowo Eliaz.

Gdy znalazła się sama z córką, wpadła w gniew, oskarżając nie męża, lecz siebie.

- Powinnam była zacząć się jak kocica polująca na ptaszka.

Ale to nie na moje siły. Całkiem jak głupia kwoka, co nie potrafi złożyć jajka nie gdacząc, jakby wszyscy w domu mogli je zrabować. Kiedy następnym razem będziemy chciały coś uczynić, nie całkiem jak trzeba, róbmy to w imię Boże, nie tracąc czasu na zastanawianie się, tym bardziej na gadanie. Wtedy, jakby ktoś nas ganił, możemy zawsze rzec: ach, niceśmy nie wiedziały, nie chciałyśmy nic złego, któż by to pomyślał? i tak dalej. Niewiele brakowało, a poszłabym tam mimo wszystko.

Kasia zdumiona słuchała tak gwałtownych słów buntu.

- Bądźcie tylko cierpliwa, pani matko, a ojciec ustąpi.

- Na święty Nigdy! A takim chciała, żebyś poznała tę dziewczynę. Mogłybyśmy uradzać o niej. Niech sobie, co chcą, mówią, ale jeno oczy potrafią właściwie sądzić czy to człek, czy zwierzę. I choćbym miała jeszcze pięćdziesięciu synów, nigdy nie będę na zawadzie ich miłości, póki nie ujrzę na własne oczy wybranki. Trza mi było pomyśleć o tym, nimem potępiła, co sobie Gerard upodobał, ale widzisz, dziecko, życie to nauka, a człek do śmierci się uczy. Odstąpisz od jednego błędu, popełnisz inny i tak oto wędrujesz po omacku tędy i siędy, aż po omacku dojdiesz do grobu i tam już koniec z nami.

- Mamo - szepnęła nieśmiało Kasia.

- No, cóż tam jeszcze? Zdaje się, nic dobrego, bo minę masz niewyraźną. Co też mogło tak przestraszyć moją biedną dziewczynę?

- Musi wam ta dziewczyna coś wyznać, mammo - wyjąkała cichutko Kasia.

- O, toś wyrzekła uczone słowo - stwierdziła z dumą Katarzyna. - Założę się, że to nasz Gerard nauczył cię tego słowa. Nuże, zaczynaj swe wyznanie.

- Ano, żeby tak naprawdę rzec - ja już ją widziałam.

- Ejże?

- I rozmawiałam z nią na dobitek.

- I nic mi o tym nie powiedziałaś? Jeśli to może być, to chyba włosy mi na dłoni wyrosną.

- Mamo, tak bardzo byliście przeciw niej. Czekałam, kiedy będę mogła to wyrzec, nie gniewając was jeszcze bardziej.

- Tak, tak - powiedziała na poły ze smutkiem, na poły z goryczą matka - niedaleko pada jabłko od jabłoni; tchórzostwo jest naszym wspólnym nieszczęściem. Czasem innych poszturcham, bo jak może w domu być inaczej? Ale ty, Kasiu, czyś słyszała od matki kiedy ostre słowo lub czym choć spojrzała na cię srogo? A ty - no, nie, nie chciałam, żebyś płakała przeze mnie, dziewczyno. Na pewno słusznie uczyniłaś. Nie smuć się, dzielne serduszek, powiedz mi wszystko. Lepiej późno niż nigdy. Najprzód i przede wszystkim, kiedy i w jaki sposób dokuśtykałaś do Sevenbergen na swych nieszczęsnych szczudłach, tak żem ja nic o tym nie wiedziała?

- Nigdy w życiu tam nie była. I matuś, droga moja, nie mogłabym powiedzieć uczciwie, żem nigdy nie chciała jej obaczyć, alem nigdy nie chodziła tam ani nie starała się jej ujrzeć.

- No, widzisz - powiedziała Katarzyna, jakby chciała się z nią nieco pokłócić - czyż nie mówiłam od razu, że to niepodobne do mojej dziewczeczki, żeby szukała jej w tajemnicy przede mną.

- Było to tak. Doszło do moich uszu - mniejsza o to, w jaki sposób - i na kolanach błagam was, dobra moja matko, nie pytajcie mnie o to - że Gerard jest uwięziony w ratuszowej wieży.

- Ach!

- Podobno na polecenie ojca.

Katarzyna westchnęła tak ciężko, że zabrzmiało to prawie jak jęk. - Gorzej, niż przypuszczałam - szepnęła niedosłyszalnie.

- Idzi i ja poszliśmy tam nocą, aby go pokrzepić na duchu, i u stóp wieży zastaliśmy dzielną dziewczeczkę, całkiem mi nieznajomą - przysięgam - przyszła tam po to co i my.

- Popatrz, popatrz - Kasiu.

- Najpierw bardzośmy się obie przestraszyły, bo o tym miejscu źle gadają, nasze nieszczęsne głowy były nabite diabłami, trochę zbladłyśmy w świetle księżyca. Ale już za chwilę powiadam: - Wyście Małgorzata - a ona: - A wy Kasia. - Pomyślcie jeno, matusiu!

- A któż by to sprawił? Gerard. Opowiada! bez przerwy jej o tobie, a tobie o niej.

W zamian Kasia obdarzyła matkę najcenniejszym darem natury, wiele znaczącym pocałunkiem - pocałunek złożony na policzku był jeden, ale mówił

1. bardzo słusznie;
2. jak to dobrze, mądra mateczko, że zgadujesz tak szybko i trafnie;
3. jak to słodko, że obie jesteśmy tak zgodne, gdy nigdy zresztą poprzednio nie było inaczej;

4. itd.

- No, więc mów dalej, szczerze, dziecino; Gerarda tu nie ma. Cóż ja mówię, nieszczęsna. Daj Boże, by wrócił!

- No więc, matuś, śliczna jest, ledwie nie taka jak na obrazku.

- Och, dziecko drogie; słuchajże tu młodych! Dla mnie ważne są dobre uczynki, a nie urodziwy wygląd. Czy kocha mego chłopaka, jak on sądzi, iż jest kochany?

- Sevenbergen dalej leży od ratusza niż Tergou - powiedziała poważnie Kasia - ona jednak była tam przede mną.

Katarzyna przytaknęła ze zrozumieniem.

- A poza tym, uwolniła go z więzienia, nimem przysła. A jakże. Sprowadziła go na dół z więziennej wieży.

Katarzyna potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Najwyższa wieża na całą okolicę! To niemożliwe.

- A przecie prawda. Powiedziała mi, że stary żołnierz, którego ze sobą przywiodła, posłużył się fortelem i posłał mu linę do celi. Zwisiała z więziennego okienka, a nasz Idzi wdrapał się po niej na górę. Gdy zobaczyłam, jak zwisiała, pomyślałam wpierw: „to czary!” Ale gdy szczerza dziewczeczka objęła mnie, serce jej biło przy moim, a policzki mokre były od łez, musiałam rzec: to nie czary, to miłość. - Ona bowiem nie taka jak ja - silna i zręczna; a, matuś kochana, nawet ja, wątłe stworzenie, czuję czasami, że mogłabym świat poruszyć dla tych, których kocham. Kocham ciebie, mateńko. A ona kocha Gerarda.

- Niech Pan Bóg jej za to błogosławi. Niech jej błogosławi.

- Ale -

- Co „ale”, aniołku?

- Czy jej miłość zacna jest i czysta? Może to dziwne, ale też sama przyczyna, co twe serce do niej ogrzała życzliwością, moje zmroziła. Biedne stworzenie - ale widzicie, matuś, nie jest jeszcze jego żoną, a tu już po wszystkim...

- Ale tam! Stali przed ołtarzem.

- Tak, ale odeszli odeń, tak jak przyszli - dziewica i kawaler.

- Czy tak rzekł proboszcz?

- Nie, tego nie wiem.

- Jeno jego słowom uwierzę w takiej gmatwaninie - i po chwili namysłu Katarzyna dodała: - w każdym bądź razie, słusznie myślisz, córuchno - sama pójde do Sevenbergen. Jestem żoną, ale przecie nie niewolnicą. Wszyscy błądzimy tu w ciemności. Wszystkie nici do kłębka w ręku tej dziewczyny. Muszę ją wypytać, i to sam na sam, nawet ciebie nie mogę tam zabrać. Nie zaprowadzę mej lilijki do splamionego domu - choćby to był pałac ze srebra i złota.

Im dłużej Katarzyna rozważała całą sprawę, tym silniej pragnęła zobaczyć Małgorzatę, rozsadzała ją ciekawość, która jest potężną namiętnością, a wszechpotężną zwłaszcza u tych, którzy jak matka Gerarda nie zaspokajają jej czytaniem. Wreszcie pewnego pogodnego dnia po obiedzie szepnęła do Kasi:

- Staraj się, jeśli potrafisz, by dom nie rozleciał się w kawałki - przywdziała najlepszy kubrak i kapturek, szkarłatne pończochy, nowe trzewiki i pomaszerowała żywo do Sevenbergen, nie trując niczyjego muła.

Na miejscu zaczęła się wypytywać, gdzie mieszka Małgorzata Brandt. Pierwsza z zaczepionych przez nią osób potrząsnęła głową i odrzekła: - Nie znam takiego imienia. - Katarzyna poszła nieco dalej i zagadnęła piętnastoletnią dziewczynę, stojącą na progu domu.

- Ojczy - zawołała dziewczyna, zwracając się do wewnątrz - znowu ktoś pyta o córkę tego czarodzieja.

Wyszedł na to mężczyzna i powiedział Katarzynie, że chata Piotra Brandta była tuż za miastem, na wschód. - Możecie stąd dojrzeć komin - pokazał ręką. - Ale nie zastaniecie tam ani ojca, ani córki; opuścili w tym tygodniu miasto.

- Nie mówcie mi, dobry człowieku, szłam taki kawał drogi z Tergou.

- Z Tergou? To musieliście chyba spotkać żołnierza?

- Jakiego żołnierza? A zaiste, spotkałam go.

- A no właśnie, ten żołnierz szukał onej Małgorzaty.

- Ledwie nie szalał, gdy się dowiedział, iż odeszła - wtrąciła dziewczyna. - Coś mi się widzi, że jego długa broda dobrze się znała z jej buzią.

- Nie gadaj więcej, niż wiesz - rzekła szorstko Katarzyna. - Jesteś za młoda, żeby obgadywać starszych. Powiedzcie mi coś więcej o tym żołnierzu, zacny gospodarzu.

- Nie wiem nic nad to, że szukał Małgorzaty Brandt, ja zaś mu rzekłem, że i ona, i jej rodziciel wynieśli się przy księżycu, akurat dziś tydzień, i niektórzy myślą, że diabeł z nimi odleciał, bo to czarownicy... A on na to: „Ciebie niech czart porwie za te złe nowiny”. Tak mi podziękował. „Ale myślę, że to łgarstwo” - powiedział jeszcze. „Jak tak myślicie - mówię - idźcie i przekonajcie się”. „Tak i zrobię” - mówi - i nagałał różności; moja żona mówi, że to

same przekleństwa - i uciekła do chaty. Nagle wraca żołnierz i śpiewa już na inną nutę. - „Macie rację, a jam się omylił” - i wciska mi srebrny grosz do ręki. Przynieście go tu która i pokażcie niewieście, wtedy uwierzy. Już mnie raz dzisiaj nazwali łgarzem.

- Nie potrzeba - rzekła Katarzyna, lecz obejrzała jednak monetę.

- I wydawał się już spokojniejszy i trochę smutny; no nie, dziewucho?

- O tak - powiedziała z przejęciem młoda kobieta - a jaki był śliczny, jeszcze takiego nie widziałam, jak żyję. Policzki jak kwiat róży, lśniąca broda, a oczy jak tarki.

- Zauważyłam tylko, że był mocno brodaty - powiedziała Katarzyna - a jak chodzi o resztę, to w moim wieku nie baczę już tak pilnie, jak wówczas gdy młoda była i głupia. Ale wydał mi się nader grzeczny; ściągnął przede mną czapkę, jak przed królową, odkłoniłam się najpiękniejszym dygiem, bo grzecznością należy płacić za grzeczność. Ale wcale nie sądzę, by był jej lubym, raczej zaś... Kto jest piekarzem w tym mieście?

Nie przyzwyczajony do nagłych i szybkich przeskoków, częstych u impulsywnej Katarzyny, mężczyzna szeroko otworzył oczy.

- Zaraz, pani, mamy tu dwóch - Jan Bush i Eryk Donaldson; obydwaj mieszkają przy tej ulicy.

- No to zostańcie z Bogiem, dobrzy ludzie - Katarzyna pożegnała się i ruszyła dalej, ale jej szybkie nogi ciężko teraz stąpały po ziemi, przestały postukiwać z godnością obcasami. Zapytała piekarzy, czy Piotr Brandt pozostał im coś winien. Bush odrzekł, że Brandtowie nie byli jego klientami. Donaldson zaś rzekł: - Ani szeląga; przybiegła tu córka i zapłaciła wszystko tego samego wieczora, kiedy stąd odeszli. Nie uwierzę, aby pozostali winni choćby miedziaka komukolwiek w mieście. - Tak więc Katarzyna uzyskała bez trudu wiadomości, na których jej zależało.

- Możecie mi coś rzec o tej Małgorzacie? Jaka to była dziewczka?- zapytała jeszcze na odchodnem.

- Trochę zbyt zamknięta w sobie na mój gust. Lubię rozmownych klientów - kiedym nie nadto zajęty. Ale ona nosi wysoko głowę, jako że jest dobrą córką.

- Wielka to pochwała. Ładna dziewczyna, jak słyszałam.

- A skąd przychodzicie, niewiasto?

- Z Tergou.

- Acha! Ano, osądźcie sami. Chłopcy zwą ją „najpiękniejszą w Sevenbergen”, a dziewczęta kpily z tego, nie zostawiały na niej suchej nitki i tyle widziały w niej wad, że dwie nie potrafiły nigdy dojść do zgody, o jaką to przywarę chodzi.

- To starczy - rzekła Katarzyna. - Widzę, że niegłupi piekarze w Sevenbergen, a młódki równie płytkie jak w innych miastach.

Kupiła bochenek chleba, trochę z sympatii i solidarności - sama była kupcową - trochę zaś, aby pokazać domowym, o ile lepszy daje im chleb codziennie, i wróciła rozczarowana do Tergou. Kasia z płonącymi oczami czekała na nią przed miastem.

- Ach, Kasiu, dziecino, szczęście, że tam poszła. Serce mam złamane. Gerard został nikczemnie oszukany. Dziecko nie należy do nas od tej chwili ani matka.

- Niestety, matuś, nie mogę pojąć twej myśli.

- Nie pytaj mnie o nic więcej, dziewczyno, i nie wspominaj przy mnie jej imienia. I to wszystko.

Kasia westchnęła pokornie i wróciły razem do domu.

Zastały tam żołnierza siedzącego spokojnie przy kominku. Gdy weszły do izby, powstał i uprzejmie je pozdrowił. Stały chwilę, spoglądając na niego, Kasia nieco zdziwiona, Katarzyna zaś ogromnie i coraz to bardziej oburzona.

ROZDZIAŁ XLVIII

- Co tu robicie? - oto było powitanie Katarzyny.

- Przyszedłem dowiedzieć się o Małgorzacie.

- Nie znamy nikogo takiego.

- Nie mówcie tego, pani, musicie znać jej imię: Małgorzata Brandt.

- Jeśli o to chodzi - słyszeliśmy o niej - niestety.

- Proszę powiedzieć mi choć, pani, gdzie się obraca?

- Nie wiem, gdzie się obraca, i nic mnie to nie obchodzi. Dionizy czuł z całą pewnością, że było to celowe kłamstwo. Zagryzł wargi.

- Zdaje się, że tu w Tergou trafił do nieprzyjacielskiego kraju, ale jeżeli dowiecie się wszystkiego, nie będziecie może tak twardzi.

- Wiem już wszystko - odrzekła z goryczą Katarzyna. - Jeszcze dziś rano nic nie wiedziałam. - Nagle, ująwszy się pod boki, zapytała go podniesionym głosem i z płonącym wzrokiem, z jakim to czołem rozpiera się przy kominku, który był jej najcenniejszym na świecie ogniskiem domowym.

- Diabli niech was porwą z waszym kominkiem do jeziora z ognia i siarki piekielnej - wrzasnął Dionizy, który biegle mówił po flamandzku. - Własna wasza służąca zaprosiła mnie, bym tu posiedział, inaczej nigdy bym nie zakłócił spokoju waszego ogniska domowego.

Przeklinam je i ten grubiański dom, co w ten sposób przyjmuje przyjaznego cudzoziemca - i nachmurzony skierował się ku drzwiom.

- Och, och! - krzyknęła przerażona, nieco zaniepokojona w swym sumieniu Katarzyna - i ta herodbaba nagle opadła bezsilnie na krzesło i wybuchnęła łzami. Córka cichutko, nie tracąc ani chwili, poszła w jej ślady.

- Pewien wnikliwy pisarz, obecnie niestety zapomniany, pozostawił nam następujący dialog:

Ona: - Czuję w sobie wszystką słabość niewieścią.

On: - Jesteś zatem niezwykła.

Dionizy, przewidziawszy to cenne orzeczenie, potwierdził je czynem. Stał w drzwiach, spoglądając ze skrucą na spustoszenie wywołane piorunami jego elokwencji.

- No nie, niewiasto - powiedział - nie trzeba płakać z powodu porywczych słów żołnierza. Nie myślałem tego, com rzekł. Zaiste to jest wasz własny dom i cóż tu ja mam do gadania? Dobrze, już dobrze, wynoszę się.

- Co się dzieje? - usłyszeli poważny, męski głos. Był to Eliasz wracający ze sklepu.

- Stoi tu grubianin, który naubliżał waszym niewiastom i doprowadził je do łez - wyjaśnił Dionizy.

- Mała Kasiu, o co chodzi? Bo grubianie nie mają zwyczaju sami się grubianami nazywać - rzekł rozsądny Eliasz.

- Zamilcz - rzekła Katarzyna - zanim dziewczynka się odezwała. - Muriel poprosiła go, aby tu usiadł, a ja nie wiedząc o tym wypędziłam go; wychodząc, przeklął nasz dom do dziesiątego pokolenia. Jeszcze nigdy nikt mi tak nie naubliżał, odkąd żyję - och, och! och!

- Obojgu wam należy się przygana, tak tobie, jak i jemu - powiedział spokojnie Eliasz.

- Pani domu winna uznać słowa swej sługi. Nie prowadzimy domu otwartego, nie jesteśmy jednak tak biedni, by w tak zimnym dniu pożałować miejsca przy naszym kominku podróżnemu, co ma twarz zacną i w dodatku, jak mi się wydaje, rannemu. Zakończcie zatem wszelkie spory i siadajcie!

- Rannemu? - zakrzyknęły matka i córka jednym tchem.

- Myślicie, że żołnierz dla zabawy nosi ramię na temblaku?

- To nic, to jeno strzała - powiedział pogodnie Dionizy.

- Jeno strzała? - powtórzyła Kasia, ogromnie przerażona. - Mamo, gdzie miałyśmy oczy?

- Nie, to drobiazg, zaiste. Proszę, przyjmijcie to, madame, jako wymówkę i usprawiedliwienie mej popędliwości. To te małe, głupie, lekkie rany rozdrażniają człeka,

zaczny panie. Pomyślcie przecie, że nigdy nie było nikogo łagodniejszego niż nasz Gerard, a przecie gdy niedźwiedź wydarł z jego łydki kawałek ciała, nie większy od korony, stał się taki gwałtowny i porywczy, że można by zwać go nie waszym synem, a potomkiem dobrego rycerza pana Jana Pieprza i jego żony pani Musztardy. A to kto? Karzeł? Sługa unizony, panie Idzi.

- Sługa, żołnierzu - ryknął nowy przybyły. Dionizy zdumiał się. Nie przypuszczał, że oto wymienia pozdrowienia z wybuchającą petardą.

Słowa Dionizego zdziwiły gospodarzy, ale znacznie jeszcze bardziej zdziwiło żołnierza ich zachowanie. Wszyscy troje podeszli na palcach do miejsca, gdzie stał przy kominku, i przyglądali mu się z otwartymi ustami, jakby był jakimś przedziwnym okazem.

Zdumienie ustąpiło miejsca coraz większemu podnieceniu.

- Teraz cisza! - rzekł Eliasz - ja mówię. Młodzieńcze - rzekł z powagą - kim jesteście, na litość Boską, skoro znacie nas, choć my ciebie nie znamy, i poruszacie nasze serca mówiąc o - nieobecny - naszym synu, biednym, zbuntowanym. Boże, przebacz mu i pobłogosław.

- Jakże to, panie - odrzekł Dionizy cichszym głosem - czyż nie pisał do was? Nie opowiedział o Dionizym z Burgundii?

- Napisał wszystkie trzy wiersze i nie wymienił Dionizego z Burgundii ani żadnego innego cudzoziemca.

- Ano tuszę, ten długi list był do jego lubej, do Małgorzaty, która gdzieś się wyniosła, niech to diabli! Bóg wie, jak ją odnajdę.

- Jak to, nie jest ona waszą ukochaną?

- Kto, o pani, jeśli spytać wolno?

- Małgorzata Brandt.

- Jak umiłowana mego kamrata może być moją dziewczyną? Nigdy w życiu jej nie widział.

- Skończ te próżne pogwarki, Kasiu - przerwał zniecierpliwiony Eliasz - pozwól odpowiedzieć młodzieńcowi. Skąd znacie naszego syna Gerarda? Proszę was, miejcie wzgląd na troskę rodzicieli i odpowiadajcie prosto z mostu, jak przystało na żołnierza.

- Już zaczynam. Wziąłem żołd we Vlissingen i ruszyłem do Burgundii. Na niemieckiej granicy stanąłem w tej samej co Gerard oberży. Spodobał mi się. Powiedziałem: bądź moim kamratem. Z początku nie miał ochoty - potem przystał. Wiele mil przewędrowaliśmy wspólnie. Nie było nigdy dwu wiemiejszych kamratów i nie będzie do końca świata. Najpierw ja nałożyłem dla niego drogi, potem on dla mnie. Gadaliśmy o Sevenbergen, o Tergou tysiące razy, i o wszystkich w tym domu. Mieliśmy wszelakie kłopoty po drodze, ale

we dwójkę łzej je było zwalczyć. Ocaliłem mu życie ubiwszy niedźwiedzia; on zaś moje uratował w Renie - bo chłopak pływa jak kaczka, a ja jak siekiera; wzajem uratowaliśmy się od śmierci w pewnej oberży w Burgundii, gdzie we dwóch stawiliśmy czoła siedmiu opryszkom, i w walce, co ponad godzinę trwała, zabiliśmy dwu, a jednego uczynili kaleką; a syn wasz spełnił swój obowiązek jak mężczyzna i stawiał czoła najpotężniejszemu zapaśnikowi, jakiego kiedykolwiek spotkałem, i przekłuł go niczym prosię. Inaczej nie byłbym tu dzisiaj. Ale kiedy wszystko już układało się pomyślnie i miałem go odprowadzić na okręt do Rzymu zdążający czy też nawet do samego świętego miasta mu towarzyszyć, to wtedy spotkał nas ten taki syn... - Antoni Burgundzki i jego ludzie, ciągnący na zbuntowaną Flandrię; siłą nas rozdzielili, porwali mnie na szlak wojenny, gdzie dostałem parę dużych sztuk srebra do garści i dużą strzałę w ramię, i otom zostawił mego biednego Gerarda samiutkiego. A takie smutne było rozstanie, że moje oczy, choćem żołnierz, zalały się słonymi łzami, a i on biedaczek tako i gorzko zapłakał. Ostatnie jego słowa do mnie były: „Idź, pociesz Małgorzatę” - toteż znalazłem się tutaj. Moje zaś do niego brzmiały: „Nie myśl już o Rzymie, skieruj się w stronę Renu, potem w dół z prądem do domu”. Powiedzcie, boć przecie lepiej wiecie, dobrzem mu poradził czy źle?

- Dajcie mi rękę, żołnierzu! Niech Bóg was błogosławi! Niech błogosławi! - powiedział drżącymi wargami Elias. Taka tylko była jego odpowiedź, wymowniejsza jednak od długiej tyrady.

Katarzyna nic w ogóle nie rzekła, lecz wybiegła z pokoju i kazała Muriel przynieść na stół wszystko, co było w domu najlepszego. Wróciła z naręczem drew, podsyciła ogień, wyciągnęła spod prasy śnieżnobiałe prześcieradło i pospiesznie słała łoże dla przyjaciela Gerarda, gdy nagle usiadła i wydawało się, że siły kompletnie ją opuściły.

- Ojczy! - krzyknęła Kasia, której oczy były równie bystre, jak żywe było jej przywiązanie. Dionizy zerwał się, ale Elias pokiwał mu ręką i mocno skropił wodą twarz żony. Od razu zrobiło się jej lepiej. Westchnęła.

- Tak nagle to wszystko. Mój biedny chłopiec! Elias szepnął Dionizemu:

- Nie patrzajcie na nią. Myśli o nim dniem i nocą.

Udawali, że nie patrzą w jej stronę; Katarzyna otrząsnęła się ze słabości, zakrzętnęła się i własnymi rękami rozłożyła prześcieradło; gdy je wygładzała, dłonie drżały jej jeszcze i kilka łez spłynęło po policzkach.

Nie mogli się nacieszyć Dionizym. Pchali w niego jedzenie, cisnęli się wokół niego i kolejno napełniali szklanice, a on w ożywym płomieniu ognia, rubinowego wina i

żarliwych oczu opowiadał im wszystko, co ja wam opisałem, z dodatkiem wielu szczegółów, które artysta, nawet dokładny, omija.

Jakże jednak inaczej czytelnik przyjmuje moje słowa niż to małe kółko rodzinne! Ciekawość zrodziła się, nim pierwsze zdanie popłynęło z ust narratora. Wszystko to było o Gerardzie, a ten, który siedział i opowiadał, kochał chłopca i razem z nim brał udział w tych wszystkich scenach.

Ludzie złączeni węzłami krwi drżeli koło ognia z lęku o nieobecnego syna i brata, słuchając o jego trudach i niebezpieczeństwach.

Proszę mych czytelników, by przypomnieli sobie wszystko, co potrafią, o wędrówkach Gerarda z Dionizym i ocenili we własnym umyśle, jakie wrażenie musiały zrobić te opowieści na ojcu wygnańca, który stoikiem był na pozór, ale czułym w duszy rodzicem, i na dwu biednych kobietach - matce i siostrze wypędzonego - dręczonych miłością, litością i serdecznym niepokojem. Czy moglibyście zamknąć na chwilę książkę i postarać się wyobrazić sobie to wszystko? Zaoszczędziłoby to nam mnóstwa powtórzeń.

Teraz już się nie zdziwicie, gdy powiem, że po chwili Idzi podszedł cichutko i skulił się przed kominkiem; leżąc, spozierał na mówcę z psim prawie szacunkiem; a kiedy szorstki żołnierz niecelowo, co prawda, lecz bardzo wyraźnie okazał swe zalety, a zwłaszcza swe wyjątkowe przywiązanie do Gerarda, Kasia płochliwa jak ptaszek wsunęła małą rączkę w potężną brązową dłoń wojaka (gdzie spoczęła ona przez chwilę jak kropla śmietany rozlanej na półmisku), opłotła paluszkami gruby kciuk Dionizego i służyła jako miernik uczucia. Innymi słowy Los rywalizuje z bazarzami i zapewnia równowagę spraw. Dionizy musiał spłacić pewien trybut słuchaczom, co mnie nie obowiązuje. Gdy Gerard znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie, twarze niewiast bladły do tego stopnia, że względy zwykłego humanitaryzmu zmuszały Dionizego do fałszowania prawdy i psucia opowieści. Zawieszenie wątku jest duszą narracji i brutalnie czuły Burgundczyk używał wyśmienicie tej metody. - Zacna pani, proszę, nie przejmujcie się, póki nie usłyszycie zakończenia. - Ma'amselle, proszę, nie blednijcie tak. Couragel rzecz wygląda szpetnie, lecz ujrzyście wnet, jakeśmy się gracko wywinęli. Gdyby mu się nie powiodło, czy byłbym tu dziś żywy?

Nazwałem rączkę małej Kasi kardiometrem, czyli aparatem do mierzenia serca, ponieważ wskazywała skalę uczuć i ścisła palec żołnierza w odpowiednim stopniu. W najlepszym razie rączka nie była bynajmniej machiną parową. Wszystko jednak jest względne. Dionizy rychło nauczył się rozeznawać w tej czulej skali - kiedy osłabiać napięcie i wywoływać dreszcz - w mierze, w jakiej to było możliwe. Tylko przy jednej okazji nie krępował swych słów. Gdy sam wreszcie wpadł do Renu i zaczął tonąć, uczył uścisk

paluszków, co sprawiło mu niespodzianą satysfakcję. - Oho! - pomyślał i opierając się na zasadzie anatoma *experimentum in corpore vili*, utrzymał się piętnaście minut pod wodą - paluszki ścisnęły przez cały czas. I nawet gdy Gerard już go chwycił, bardzo było mu żal opuszczać rzekę. Tak więc Dionizy, mniej sumienny ode mnie, popłynął wraz z Gerardem najpierw na wschodni brzeg - mieli już wychodzić z wody, gdy dostrzegli zbrojnych, pojęli ich intencje, droczyli się z nimi czas pewien, brodząc po płyciźnie, wreszcie zawrócili i przepłynęli z wysiłkiem rzekę. Koniec końców - żołnierz musiał już wyjść z niej, zawstydzony, lub może pragnąc okazać się szczupakiem; pozwolił sobie tedy wypełznąć na brzeg w stanie kompletnego wyczerpania; uścisk zelżał.

Była już niezwykle późna pora - jedenasta godzina, ale nikt owej nocy tego nie spostrzegł, a Dionizy miał im jeszcze wiele do opowiadania, gdy przez drzwi rozwarte bezszelestnie wsunęli się Korneliusz i Sybrandt. Łajdacy wysączyli właśnie ostatnie kropelki opłacone z tajemniczycy funduszy.

Katarzyna obawiała się, że Eliaszk skarci ich w obecności Dionizego; lecz on spojrział tylko ze smutkiem i gestem nakazał, by usiedli bez hałasu.

Dionizy natomiast wydawał się zmieszany. Ściągnął brwi, przyglądał im się uważnie i ponuro. Potem zwrócił się do Katarzyny:

- Jak powiadacie, pani? Resztę może jutro? Krztynę już jestem znużony i robi się późno.

- Niech tak będzie - odrzekł Eliaszk. Gdy jednak Dionizy wstał, wybierając się do swej oberży, Katarzyna zatrzymała go stanowczo.

- Myślicie spać poza tym domem? Pokój Gerarda czeka przygotowany od dawna. Nie będę wam chwaliła mych prześcieradeł, ponieważ sama przędę len i tkam płótno.

- Mogę więc położyć się z zamkniętymi oczyma - zabrzmiała pełna galanterii odpowiedź. - Ach, pani, wasz Gerard znał się na pięknych płótnach. Nie mógł prawie wybaczyć ucziwym Niemcom ich szorstkich prześcieradeł i gdy moi zdrajcyrodacy nam dokuczili, zwykłem tłumaczyć mu, mówiąc: - Czekaj, czekaj, za to *bonnes toiles sont en Bourgogne* - dobre są płótna w Burgundii. Ale zaiste, Gerard wszystkich przeszedł w opowiadaniu i czystości.

- O Eliaszu! Eliaszu! czyż czujesz, jak syn nasz wraca do domu z każdym słowem naszego gościa?

- Tak. Ucałuj mnie, biedna Kasiu. Wiemy oboje, co czują nasze serca tej nocy. Nikt inny nie wie tego, jeno sam Bóg.

ROZDZIAŁ XLIX

Dionizy skorzystał ze sposobnej chwili następnego dnia i opowiedział matce i córce resztę przygód, usprawiedliwiając się w szczególny sposób, że nie chciał, aby Korneliusz i Sybrandt słuchali jego relacji.

- Nie moja rzecz oczernianie jego braci; z dobrego wywodzą się gniazda. Ale Gerard sądził, że nie są w tej sprawie jego przyjaciółmi; jam zaś kamratem Gerarda, a nasza żołnierska zasada brzmi: przy nieprzyjacielu nie mów nic, jeno kłamstwa.

Katarzyna westchnęła, ale nic nie odrzekła.

Przygody, które żołnierz im opowiedział, wywołały burzę niepokoju i żalu; matka i córka gorzko płakały słuchając o rozstaniu przyjaciół, o którym Dionizy do tamtej chwili nie mógł mówić bez drżenia głosu. Ostatecznie jednak wszystko rozplynęło się w radosnej nadziei i oczekiwaniu szybkiego powrotu Gerarda. Dionizy z całą ufnością dzielił z nimi ten nastrój, ale oświadczył, że nie może zlekceważyć życzeń przyjaciela i ostatnich wypowiedzianych przezeń słów przy pożegnaniu. Jeżeli Gerard powróci za tydzień, a Małgorzata się nie znajdzie, jak spojrzysz w oczy kamratowi?

Katarzyna nigdy jeszcze nie żywiła wobec wędrującej kędyś Małgorzaty tak serdecznych uczuć jak obecnie. Równie gorąco jak Dionizy pragnęła odnaleźć dziewczynę i okazać jej serce przed przybyciem Gerarda, nie zgadzała się jednak z żołnierzem, uważając, że na nic zda się opuszczać okolice Tergou w poszukiwaniu zaginionej.

- Musiała komuś powiedzieć, dokąd się udaje. Nie uciekli przecie z okolicy jak nieuczciwi ludzie, nie są winni ani szeląga nikomu w Sevenbergen, a ty, Dionizy, nie możesz przecie przeszukać dla niej całej Holandii.

- Nie mogę? - odparł z zawziętością Dionizy. To się okaże - dodał po chwili zastanowienia. - Ja muszę podzielić rolę: ona zostanie na miejscu, mając szeroko otwarte oczy i uszy, a on przeszuka, jeżeli zajdzie potrzeba, każde miasto w Holandii. - Nie mogła ujść stąd daleko. Jest ich troje. Trzy osoby nie posuwają się ani tak szybko, ani nie mogą uciec tak daleko jak jedna.

- Mądrze powiedziane - przyznała Katarzyna. Namawiała go jednak, aby w pierwszym rzędzie poszedł do demoisele van Eyck. - Ona i nasza Małgorzata były serdecznymi przyjaciółkami. Wie ona pewno, dokąd dziewczyna poszła, jeśli tylko zechce nam to powiedzieć. - Dionizy chciał pobiec natychmiast, więc Katarzyna, przyodziawszy się schludniej, poszła razem z nim.

Stara pani siedziała w bogato urządzonej komnacie; przyjęła ich uprzejmie i Katarzyna oznajmiła, z czym przychodzą. Gobelin wypadł z rąk Małgorzaty van Eyck.

- Odeszła? Odeszła z Sevenbergen, nic mi nie powiadając o tym. O niewdzięczna dziewczyna!

Zdumiało to niezmiernie przybyłych. - Jak to, nie wiecie, pani, o tym? Kiedy była tu po raz ostatni?

- Jakieś dziesięć dni temu. Wyjęłam po wielu latach swe pędzle, chcąc malować jej portret. Nie uczyniłam tego dla pewnych powodów.

Katarzyna zauważyła, iż była to „rzecz nader dziwna, żeby tak wynieść się sakum pakum, nie pożegnawszy się z wami ani wy, pani, z nią. Czyż zdarzyło się kiedykolwiek coś równie godnego pożalowania, właśnie wtedy, kiedy nasze serca skłoniły się ku niej. Oto kamrat Gerarda, który przywędrował Bóg wie skąd, niosąc słowa pociechy dla niej, i nie udało mu się odnaleźć dziewczyny, a Gerard może nadejść lada dzień. Nie wiem, co robić. Jedno pewne - nie mogła odejść bez powodu. Czy nie możecie dać jakiejś nici przewodniej. Prosimy”.

- Nie mam nic do dania - odpowiedziała nieco opryskliwie stara dama.

- Może ja mogę - wtrąciła Reicht Heynes, stając nagle w drzwiach, nieco zarumieniona.

- Podśluchiwałaś tu cały czas, hę?

- Od czegoż mam uszy, proszę pani?

- Słusznie. Rzuć zatem światło twej mądrości na tę niejasną historię.

- Nie widzę tu nijakiej niejasności - odparła Reicht. - A co do nici, czemu nie, mogłabym ją nazwać podwójną, zaś końce są w tej komnacie - i wtedy nie będziecie daleko od prawdy. Dziwię się, że wy, pani, tak siedzicie i udajecie.

- Słuchajcie no, ludzie! - policzki pani osiągnęły prawie tak intensywną czerwień jak u jej sługi. - To znaczy, że ja wypędziłam tę głupią dziewczynę z miasta?

- Wyście się, pani, do tego przyczynili. Jak to przywitaliście ją u nas ostatnim razem? Myślicie, że mogła nie zauważyć - ona taka samotna i bez przyjaciół? A wy powiedzieliście: „Zmieniłam zamysł swój, nie będę cię malowała” - powiadacie, zadzierając nosa.

- Nie zadzieram nosa. Nie taki on jak twój, nie spogląda do nieba.

- Och! Wszystkie nasze nosy powinny iść za sercem, jeśli już o tym mowa. Biedactwo! Przyszła do mnie do kuchni. „Nie będę pozowała do portretu” - mówi, a oczęta miała łez pełne. Nic więcej nie rzekła. Ale dobrzem wiedziała, co to znaczy. Widziałam was, pani.

- Ano dobrze - odrzekła Małgorzata van Eyck. - Wszystko wam wyznam, a wy sama osądzicie to, pani. Takie młode dziewczęta nic nie potrafią wymyślić same, są jednak wielce zdolne w naśladowaniu tego, czym się ich ukochany chłopiec zajmuje. Wasz Gerard jest nader zręczny w wielu sztukach, między innymi w iluminowaniu. A Małgorzata jest jego uczennicą, i to cierpliwą. Cóż dziwnego? Ma kobiece oko do kolorów i kochanka do naśladowania. Gardzę w sercu takim malowaniem, boć wielka sztuka barw, co winna być królewska, wzniosła i swobodna, staje się wtedy nędzną niewolnicą drobnych rzemieślników piszących i drukujących; maleje ciałem i duchem, skępowana, uwięziona, by pomieścić się w małości książek i powędrować do kościoła w kieszeni bogatego durnia. Mimo to wszyscyśmy sługami serca i gdy biedna dziewczyna przyniosła mi swoje liście tarniny i lilie, bluszcz, jeżyny, biedronki, gąsienice i wszelkie inne śmiecie natury, wetknięte w złoty liść tła jak osy w garnek z miodem - a nadto diariusz swój, z którego wynikało, że strawiła sto czy sto pięćdziesiąt, czy nawet dwieście godzin na każdą stroniczkę - rozgniewało mnie zaiste, że oto dusza nieśmiertelna marnotrawi tyle godzin trudu i tyle zręczności nad owym śmieciem Natury: liśćmi, owadami, robactwem - i nad bezpożytecznymi literami; lecz powstrzymałam z litości swe najlepsze czucia i... przyjrzałam się życzliwym okiem tej robocie, aby zastanowić się, jak to poprawić. Powiedziałam sobie: jeśli Niebiosa za grzechy skazały nas, byśmy poświęcali czas, duszę i farby na malowanie wielkich liter i robactwa, lekce sobie ważąc takie płotki jak święci i bohaterowie, czyny ich i wielkie uczucia - czemuż nie spróbować przedstawić onego śmiecia tak jak trzeba, wedle natury? - i rzekłam dziewczynie: „grona winne, które widziałam za granicą, wiszą w powietrzu, nie sterczą wbite w ściany; a nawet owe owady - powiadam - i całe owo plugastwo natury pełzają lub unoszą się w powietrzu, zatruwając powietrze, nie pędzą zaś szkodliwego żywota wetkane w żelazne więzienia jak muchy w słojach miodu czy garnkach z klajstrem”. „Ach, przyjaciółko zacna - odrzekła - rozumiem już, ku czemu zmierzacie, ale tło musi być złote, inaczej nie da się wycieniować”. Ja na to: „Któż to powiedział?” „Wszyscy nauczyciele tej sztuki - rzecze Małgorzata - i: (tu, jak sądzę, by położyć kres mej gadaninie) również sam Gerard”. „Niech się więc dowie sam Gerard - powiadam - i cała ta gromada. Dawaj mi pędzel”.

- Wybrałam tedy, by wycieniować jej owoce i gady, kolor nieprawdziwy w naturze, właściwy jednakowoż dla tego potwornego, jarzącego się złota, i po pięciu minutach ukazał się pęk malin, z gałązkami i wszystkim, a owoce prosiły prawie, by je wziąć do ust; a gąsienicę przedstawiłam tak prawdziwie, że najmocniejszy żołądek mógł się wywrócić na nice. Tak, o pani, dziewczę zarzuciło mi ręce na szyję i wyrzekło jeno: „Och!”

- Naprawdę? - spytała Katarzyna.

- Oj, kochanie miłe! - westchnął Dionizy, któremu wreszcie udało się wetknąć jedno słowo.

Małgorzata van Eyck spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Opowiedziała im jeszcze, jak powoli i stopniowo dziewczyna wymogła na niej pewną obietnicę - a mianowicie, że stara malarka spróbuje powrócić do sztuki, którą porzuciła niegdyś z żalem po śmierci braci, i wymaluje jeszcze jedną Madonnę - a Małgorzata posłuży jej jako model. Przy okazji uświadomiła ich, jaką to metodą zamienia się dziewczyny w święte. „Masz cudowne włosy” - powiedziała; „Jakże, są przecie zupełnie rude” - odrzekła. „Tak - ja na to - ale jakie rude! Jaka czerwień! Jaki brąz! Jak lśniące! Większość niewiast ma włosy, które dla malarza nie są więcej warte od słomy, a kolor twoich jest rozkoszą dla artysty. Twe fiołkowe z odcieniem brązu oczy smutne z tęsknoty za Gerardem, czasem pełne ognia nadziei na jego powrót, będą wzniesione ku niebu w stałej i świątobliwej medytacji, zaś nosek, który już krztynę spogląda w tym kierunku (choć nie tak pobożny jak zadarty nos naszej Reicht), muszę odrobinę obniżyć, a także osłabić bródkę”. „Osłabić bródkę? O rety! A cóż to może znaczyć? Objaśnijcie mnie, pani”. „To zdecydowana bródka. Nie nadto zdecydowana jak na ten świat zepsuty - ale dla Madonny? o nie, piękne dzięki”. „Kto by pomyślał! Zdecydowana bródka!” Zaś teraz właśnie kłopot cały. Gdy powiedzieliście mi, że ona - co się z nią stało, uderzyło to we mnie jak piorun: rzuciłam precz pędzle. Miałam przemienić w Świętą Dziewicę dziewczynę, która nie potrafiła utrzymać z daleka kochanka - nigdy w życiu! Kocham mimo wszystko głupie niebożątko. Ale czczę i wielbię naszą Świętą Panienkę. Powiecie może: malarz nie powinien być skrupulatny w takich sprawach. To prawda, większość malarzy to mężczyźni, a mężczyźni to „setne chłopcy”. Wszystko potrafią zrobić. Ich święte i dziewice to kochankę artystów, uczciwszy wasze uszy. Ale wiedzcie, że dla tego powodu połowa ich sztuki stracona dla mnie, skoro między śnieżnymi skrzydłami aniołów poznaję same ladacznice, co się włóczą po ulicach, obwieszane klejnotami jak pogańskie bałwany i wystrojone jak królowe z kart do grania. A jam nie „setny chłop”, jeno niewiasta, i malarstwo moje jest na połę sztuką, na połę zaś nabożnością. Teraz już mnie rozumiecie. Może głupio postąpiłam, alem nic na to nie mogła poradzić - teraz żałuję. - I stara dama zakończyła zgębnionym głosem swój dyskurs, który rozpoczynała z taką pewnością siebie.

- Musicie osądzić to, pani - orzekła Katarzyna - czy biedna dziewczyna bardzo sobie to wzięła do serca, czy była do was tak przywiązana?

Małgorzata van Eyck westchnęła tylko.

Dziewczyna z Fryzji, już od dłuższej chwili gryząca niecierpliwie wargi, zwróciła się do Katarzyny:

- A wy, pani, myślicie, że tylko dlatego Małgorzata i Piotr opuścili Sevenbergen? O nie!

- A cóż jeszcze było tego przyczyną?

- Co jeszcze? Dlatego, że rodzina Gerarda tak ją okrutnie lekce sobie waży. Któż by miał ochotę przebywać wśród ludzi o tak twardych sercach, co wypędzili precz jej chłopca do Italii i nawet teraz, gdy odszedł, nie miękną i nigdy nie odwiedzili tej, co opuszczona.

- Reicht, szłam tam właśnie.

- O tak, szłam, szłam i szłam. Trzeba było mniej gadać, a więcej robić. Obudziliście tylko w niej nadzieję swymi słowami, a zgnębiliście czynami. „Nigdy nie przyszli” - powiedziało biedactwo, a jak westchnęła! Jest tu ktoś, kto potrafi ją zrozumieć, bo i jam też z daleka od przyjaciół i często, gdym dopiero przybyła do Holandii, płakałam gorzko w samotności. Ale dziesięćkroć wolę być sobą i o dziesięć mil od wszystkich mych krewniaków, niż tak jak ta dziewczyna, która żyła wśród ludzi, co winni ogrzać ją miłością, a jednak ona równie jak ja samotna.

- Ach, niestety Reicht, poszłam tam wczoraj, wybrałabym się wcześniej, ale zawsze jakaś nieznośna przeszkoda, ta lub inna, stała mi na zawadzie.

- Moja pani, a czy przeszkodziło wam to obiadować któregoś z tych dni? Nie wydaje mi się. I gdyby serce wasze tak było przychylne własnej krwi jak sztuce mięsa przy kości od rzeźnika, nic nie mogłoby wam przeszkodzić, byście odwiedzili tę dziewczynę, co czekała samiuteńka, wyglądając na drogę, oczekując was i pociechy, z dziecieniem waszego dziecka w łonie.

Jednak, jak często bywa w świetlanej doli służby domowej, ta młoda, gwałtowna kobieta nie mogła mówić dalej. Pani van Eyck była mocno podrażniona atakiem dziewczyny przeciw niej samej, opanowała jednak z należnym taktem swój gniew.

Teraz dopiero wybuchła:

- Obrażasz moich gości - szukaj sobie innego miejsca.

- Z przyjemnością - odrzekła stanowczo Flamandka.

- O nie, pani, zaprotestowała dobroduszna Katarzyna. - Prości ludzie chcą się wygadać. A ta ma język jak żądło. - Na potwierdzenie tych słów łzy napłynęły jej do oczu. - Lepiej, że wszystko wygadała, niż miałyby o tym myśleć. Nie będzie to już jej teraz jątzyć. I nie winniście, pani, rozstawać się z nią przeze mnie. Diabelska dziewczucha, wie, że jest dobrą służką, i pozwala sobie. To my, nieszczęśliwe gospodynie, musimy płacić cenę za dobrą służbę. Za moich młodych lat miałam ci ja dobrą służącą. Och, zacna pani! Ależ mi jeździła po głowie! W końcu, Bogu dzięki, wydała się za piekarza i stałam się znowu panią swego

domu. Wtedy powiedziałam sobie: nie będzie tu więcej żadnych dobrych sług, co by mną przerządzały. Przyjęłam tłumoka i szkoliłam go, ale jak jeno potrafiła odróżnić prawą rękę od lewej, zaczęła się stawiać. Wyrzuciłam ją na pysk i przyjęłam inną ciemięgę na jej miejsce. Boże ty mój! co to za mordęga uczyć durne dziewczuchy jedną po drugiej; alem za to panią w moim własnym domu. - Tu, zapomniawszy już, że miała zamiar bronić Reicht, zwróciła się do niej ze złością i dodała: - A tutaj tyś panią, zda mi się.

- Tyle samo co ten stołek - powiedziała wyniośle pani van Eyck. - Nie jest tu ani panią, ani sługą; w ogóle jej nie ma. Jest wyrzucona z tego domu i na tym koniec. Cóż to, nie słyszałaś, że masz pakować manatki?

- A jakże. Wszyscyśmy to słyszeli - powiedziała z całkowitą obojętnością Reicht.

- Teraz mnie słuchajcie! - odezwał się uroczyście Dionizy. Odwróciły się wszystkie trzy jak zabawki na kółkach i utkwiliły oczy w żołnierzu.

- Tak, tak, posłuchajmy, co chłop ma do powiedzenia - zgodziła się skwapliwie gospodyni. - Mężczyźni to zacne chlopy, mają donośny, szorstki głos.

- Panno Reicht - powiedział Dionizy z taką godnością i rycerskością, że graniczyło to niemal z absurdem - zostaliście wypędzona. Mimo tak krótkiej znajomości niech mi będzie wolno udzielić wam rady, chciałbym rzec: skoro nie jesteście już sługą, bądźcie panią, królową...

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - odpowiedziała szorstko Reicht.

- Nic podobnego. Stoi przed wami mężczyzna, który jest zaprawdę jeno połową arbaletnika, dla onej diabelskiej strzały Anglika, w którego kadłubie i ja zostawiłem małą pamiątkę - co mnie krztynę pociesza. Posiadam dwadzieścia sztuk złota (zademonstrował je obecnym) i mocne ramię. Za tydzień lub dwa będę posiadał oba ramiona. Małżeństwo nie leżało dotąd w moich zwyczajach, ale przecie muszę się poddać przed tyloma cnotami. Jesteście piękna, wymowna, macie dobre serduszko, a co najważniejsze, stoicie po stronie ukochanej mego kompana. Bądźcie tedy żoną kusznika.

- Co to ma znaczyć? - spytała Reicht.

- Znaczy, zostańcie żoną, panią i królową tu obecnego Dionizego z Burgundii.

Zapadła śmiertelna cisza.

Nie trwała zresztą długo, przerwał ją bowiem wybuch niezrozumiałego oburzenia.

Katarzyna: - Patrzajcie! Kto słyszał coś podobnego?

Małgorzata: - Nigdy, odkąd żyję!

Katarzyna: - I to w naszej obecności!

Małgorzata: - Ze wszystkich nedorzecznych i zuchwałych obyczajów tej śmiesznej płci...

Teraz Dionizy wtrącił nieco uszczypliwie, że kobieta, do której zwrócił swe słowa, milczy, a inne, które nie mają potrzeby popisywać się wymową, czynią to do woli. Co słysząc, obie niewiasty zamilkły i utkwily wzrok w dziewczynie. Reicht spojrzęła spod rzęs na swego wojakazdobycę i rzekła:

- Muszę się dobrze przyjrzeć mężczyźnie, nim mu skoczę w ramiona.

Dionizy wyprostował się dumnie.

- Patrz więc do woli i skacz.

Ta propozycja spowodowała nową nieoczekiwaną reakcję. Pani van Eyck wyciągnęła długi, biały palec celując wprost w oczy mówiącego i w imię wszystkich świętych wzburzonym głosem zaklęła go, aby się nie poruszał.

- Jesteście tacy piękni w tej pozie! - krzyknęła. - Natchniony szaleństwem. Nie szkodzi! Po prostu natchniony. Muszę uchwycić tę głowę. - Po chwili pracowała już z ołówkiem w ręku. - Chodź tu, ladaco - piskliwie wezwała służącą - bliżej, naprzeciw niego, byś podtrzymała w durniu owo natchnienie i piękno. Ach, czemuż nie miałam tego szaleńca jako modela do mego dobrego centuriona! Przyprawdzili mi brutala o niskim czole i niekształtnej brodzie.

Katarzyna patrzyła z najwyższym zdumieniem na tę pantomimę i doszła w duchu do wniosku, że jej czcigodna gospodyni zawsze musiała być niespełna rozumu, a teraz właśnie odsłoniła się prawdziwa światu. Reicht natomiast stała zakłopotana i nieszczęśliwa. Zostawiła garnki bez dozoru i bez skrupułów oznajmiła, że nie po to pozostawiła takie poważne obowiązki, żeby tracić czas na „udawanie posągu i durnia jednocześnie”. Małgorzata van Eyck wypomniała jej w odpowiedzi, że zawsze można być niegrzeczną i buntowniczą wobec swej starej pani, czulej i opuszczonej, co nie znaczy jednak, żeby wypadało być całkowicie pozbawioną serca - dzikim brutalem depczącym sztukę.

Reicht zamilkła więc i patrzyła nadąsana jak młody bazyliśzek na natchnionego modela, który ściągnął na nią tę zgryzotę. Dionizy odwzajemniał się jej wzrokiem pełnym niewzruszonej admiracji. Wreszcie opadająca ze znużenia dłoń artystki położyła kres kłopotliwej scenie. Stało się to zresztą dopiero, gdy ukończyła surowy, lecz szlachetny szkic.

- Nie mogę już niestety dłużej pracować - powiedziała z żalem.

- Czy mogę odejść do garnków, proszę pani?

- Tak, tak, ruszaj do garnków! I najlepiej wejdź do nich cała. Znajdziesz tam swą duszę; niech się więc ciało z duszą połączy.

- Ależ Reicht - powiedziała śmiejąc się Katarzyna - przecie cię pani odprawiła.

- Hu, hu, hu - mruknęła pogardliwie Reicht. - Jeżeli by chciała mnie odprawić, musiałaby sama siebie odprawić i umrzeć. Zresztą czas jej już. Ale życie, pani, długo - jak wam się nie spieszy - to mnie tym bardziej. Gdy nadejdzie ten dzień, wtedy wezmę chłopca, żeby osuszył mi oczy, jeżeli do tego czasu nie odmienicie waszych myśli, żołnierzu, powiecie mi to, a jeśli nie, to się Reicht Heynes też nie zmartwi.

I szczerą mówczyni zajęła się swymi obowiązkami. Ale słowa jej nie przebrzmiały bez echa. Żadna z niewieścich słuchaczek nie mogła ukryć przed sobą, że prosta dziewczyna, samotna jak i tamta, prawdopodobnie najlepiej zrozumiała Małgorzatę Brandt i że ukochana. Gerarda opuściła Sevenbergen ze złamanym sercem.

Katarzyna i Dionizy pożegnali panią van Eyck i jeszcze tego samego popołudnia żołnierz zaczął szukać wiatru w polu. Plan miał prosty, jak proste są wszystkie rzeczy genialne. Musiał przewędrować z setkę wsi i miasteczek i wszędzie rozpytywać o starego lekarza ze złotowłosą córką i starym łucznikiem. Należało przepytać burmistrzów o wszystkich nowo przybyłych i zaznajomić się z niewiastami i dziewczętami przy studniach, gdy przychodzą tam z dzbanami po wodę.

Wyruszył w drogę, mijały długie miesiące, a on wciąż wędrował i nie mógł odnaleźć dziewczyny.

Na szczęście to rycerskie poświęcenie dla przyjaciela miało dobre strony i dla samego wędrownika.

Ludzie, którzy siedzą w domostwach, zaślepieni zadowoleniem z siebie, i oceniają świat cały z głębi własnej świadomości, alias ignorancji, opowiedzą wam, że w przerwach pomiędzy wojnami a niebezpieczeństwem pokój i ciche życie nabierają prawdziwej wartości i napawają zadowoleniem heroiczne umysły. Ci jednakże, którzy namyślają się, nim co powiedzą czy nagryzmolą, powiadają, że ludzie, których chlebem powszednim jest ryzyko, szukają podniecających przygód, a nie zaś nudnej spokojności w pauzach między niebezpiecznymi czynami.

I Dionizy nie był wyjątkiem. Jego cały wojskowy żywot rozpadał się na dni Sparty i Kapui. Za dobrym zaś był żołnierzem i zbyt wytrawnym libertynem, aby mu się kiedykolwiek zdarzyło pomieszać z sobą owe obyczaje. Teraz jednak po raz pierwszy w życiu spłotły się obydwie wątki, panował pokój, a on był na służbie, na szczęście bowiem tak ocenił swe polowanie na przepióreczkę. Przez wszystkie te miesiące zachowywał się jak półSpartanin - trzeźwy, ostrożny, czujny, niezwyciężony, lecz szczęśliwy, choć stale rozczarowywany, jak można tego było oczekiwać. Flirtował po drodze na umór, ale nie tracił na to wiele czasu. Ani

jednej niewieście w długiej wędrowce nie wyznał, że „co prawda nie ma zwyczaju się żenić” itd... I tak go zostawiamy w jego pieszej wędrowce, pielgrzymia dla przyjaźni, jak jego kamrat był pielgrzymem dla miłości.

ROZDZIAŁ L

Katarzyna była zmartwiona. Nie dręczyły jej wyrzuty sumienia, dlatego że nie wybrała się w odpowiednim czasie do Sevenbergen - ostatecznie nie miała obowiązku tam chodzić - jeśli nie brać pod uwagę nadziei, którą sama niepotrzebnie rozbudziła w duszy Małgorzaty. Przerazała ją myśl, że Gerard w ciągu miesiąca, kto wie, może nawet rychlej, już w najbliższym tygodniu, gotów zawitać do domu. Jakże mu wtedy powie, że nie raczyła nawet spojrzeć na jego narzeczoną? Wyrzuty wzmagala niepewność o los dziewczyny, a ta niepewność stawała się czasem dokuczliwa i bolesna.

- Ach, Kasiu - wzdychała - żeby jeno nie zrobiła sobie czegoś złego.

- Matko, ona nie jest zdolna popełnić takiej niegodziwości.

- Ach, córuś, nie wiesz, jak porywcze i niemądre bywają młode dziewczęta, zwłaszcza gdy nie ma przy nich matki, która podtrzymuje je na duchu. Potrafią dla mężczyzny skoczyć w wodę, zaś inny pocieszyłby je w tydzień potem. Znałam już takie, co skakały i za chwilę krzyczały o pomoc. Same siebie nie znają, widzisz, nawet w równie błażej rzeczy jak tamta. Przychodzi na nie taka chwila, że je boli, tak jak nikogo na świecie, wtedy tak w nich to czucie zabija całą cierpliwość, której mają przecie więcej niż każda żyjąca dusza, że zda się je opuszczać naraz, głupieją i pędzą do wody. Przeto mówię, że mężczyźni to potwory.

- Matko!

- Tak, tak, potwory, po cóż nastawiali tyle pułapek - kanałów, by kusić nieszczęsne niewiasty. Wiedzą, że nie poderzniemy sobie gardła, bo nie znosimy widoku krwi, i droższa nam własna skóra niż życie. A co do wieszania, to nim niewiasta zdąży wbić hak i związać pętlę, ma czas zmienić zdanie. Skok zaś do kanału to prawie tyle co do łóżka, a woda to tak czy owak kąpiel. Popatrz jeno na mnie, matkę dziewięciorga dzieci, czy dasz wiarę, że miałam pewnego razu wielką ochotę skoczyć do kanału?

- Nigdy bym, matuś, nie uwierzyła!

- Możesz wierzyć. Byłam wtedy rok po ślubie. Eliasze nie wykrył jeszcze moich wad ani ja jego, tośmy się pokłócili i każde chciało po swojemu. Wybiegłam z płaczem, by wyzalić się takiej samej gąsce jak ja i opowiedzieć jej to, czego niewieście nie wolno z domu wynosić, a zwierzać można jeno świętym Pańskim. A po drodze mijałam któryś z naszych

cennych kanałów. Czy uważają nas za kaczkę? Och, jakże mnie kusiło! Mówię sobie: tak zagniewanej pozwolił wybiec z domu, niech teraz ujrzy topielicę i zaraz inaczej zaśpiewa! Będzie płakał po dobrej żonie, a ja popatrzę nań z nieba (zapomniałam, że poszłabym gdzie indziej). - Och, cóż za rozkosz! Jużem stanęła na palcach, żeby skoczyć, alem pomyślała, że nie zrobię tego. Szyłam właśnie nową sukienkę i bardzom chciała ją skończyć. Tedy wróciłam do domu i jakież były pierwsze słowa Eliasza? „Zapomnijmy o wszystkim, moja dziewczusko - mówi. - Ani jedno ze słów, co cię zasmuciło, nie było prawdą, prawdziwe jest jeno: że cię kocham”. Tak powiedział. Pamiętam, bo to była pierwsza nasza kłótnia. Rzuciłam mu się więc na szyję, popłakałam jeszcze odrobinę i myślałam o kanale, a Eliasz obejmował mnie równie czule jak ja jego, był bowiem mężczyzną, i to młodym. I milej było mi, niż leżeć w wodzie, niszczyć ślubną spódniczkę i śliczne nowe ciżmy. Te ciżmy zrobił mi stary Jan Bush, wuj tego Busha, co dziś prowadzi jego sklep. Czym jednak było moje zmartwienie w porównaniu z troską Małgorzaty?

Mała Kasia wyraziła nadzieję, że Małgorzata zbyt kochała ojca, aby zdecydować się opuścić go u schyłku lat. Był dla niej wszystkim; ojcem i matką.

- O nie, Kasiu, dziewczęta niepomne są tego w chwilach rozpacz, gdy niebo nad głową zda się czarne. Więcej wiary pokładam w miłości do nie urodzonego jeszcze dziecięcia niżli w przywiązaniu do starca stojącego nad grobem. Świadomość, że zabiera w objęcia śmierci małe niewiniątko, które tuli się do jej serca, na pewno jest bolesna. Może powstrzyma ją myśl o tym, które żywi krwią swoich żył.

- Zatem nie traćcie serca, matuś - powiedziała Kasia, dodając, że wszystkie te obrazy wydają się jej przesadzone. Na koniec gorąco poprosiła matkę, aby nie upierała się w określaniu płci przyszłego dziecka Małgorzaty, bo to chyba niedobrze. Wszystkie kumoszki powiadają: „Kochanie, tyle samo rodzi się dziewcząt co chłopców”.

Ta rozsądna uwaga wywołała oburzenie Katarzyny.

- Masz sumienie grozić mi dziewczyną?!! Nie chcę żadnych dziewczyn więcej, bo mam ciebie. Po cóż mi dziewczynka? Czy mogę wziąć ją na kolana i ujrzyć w niej mego Gerarda? Mówię ci, rzecz jest załatwiona.

- Jak to możliwe?

- Moja w tym głowa. Jeśli rzeczywiście czeka mnie rozczarowanie, to choć ty nie rozczarowuj mnie przed czasem mówieniem, że nie urodzi się chłopiec, jeno dziewczyna.

Wszystkie niepokoje, cała czcza gadanina, jeśli wolno mi użyć takiego określenia, nie urażając dawno zmarłych bohaterów książki, zeszyły nagle na drugi plan, bowiem inne wydarzenie silniej wstrząsnęło domem, wzbudzając olbrzymią zazdrość w całym Tergou, we

łzach zaś pogrążając zacną Katarzynę. Jeżeli moi czytelnicy lubią tracić czas, jak to się czasem zdarza czytelnikom powieści, mogą to uczynić w bardziej sensowny sposób, niżli próbując odgadnąć przyczyny tak niestosownego postępowania Katarzyny. Do drzwi domu Eliasza zbliżyło się dziwadło zapewne szlachetne i wspaniałe w oczach motłochu, ale mniej lub więcej politowania godne dla filozofa.

Podobne było do zwierzęcia, centaury, przy bliższej jednak analizie okazało się istotą dwoistą. Ludzka połowa ugięła się pod ozdobami z tych dwu metali, za które człek, zarówno wówczas, jak i dziś, oddałby duszę nieśmiertelną, by odziać nimi swą cielesną powłokę i naładować brzuch. Koń był jednakże bardziej próżnym z nich obu bydlęciem. Bardziej był przyozdobiony wstążkami, kapami i falbanami niż wytworna dama regnante crinolina. Mężczyzna, udając barwami kolorowego bąka, zachował przynajmniej kształt ludzki dany mu przez naturę, ale to zwierzę było subaudi eguum! Próżno staralibyście się dojrzeć w nim choćby za grosz końskiego ciała. Krynolina nie szpeci szlachetnych partii niewieściego ciała, nadaje gigantyczne rozmiary tylko dolnej części postaci (skąd to wyróżnienie?), ale to nieszczęsne zwierzę od stóp do głów tonęło w zbyt pysznych ozdobach. Uszy przykryte miało szerokimi plastrami białego płótna, nakrapianego srebrem i błękitem. Całe ciało zawinięto w sztywną, bogatą kapę, sięgającą ziemi. Tylko z przodu pozostawiano miejsce, by mógł drobno stąpać. Ogon, o którym zapewne byłoby miło wspomnieć w opisie, zginął raz na zawsze z ludzkich oczu, skrzętnie w Bóg wie co zapatulony. Tylko oczy błyszczały w dwu otworach wyciętych w istnym murze z łokciowych towarów, a przednie kopyta wyzierały i chowały się jak szczury.

Jednakże ta pyszna i bezsensowna ludzkokońska istota reprezentuje władzę, władzę absolutną. Przybył wprost z turnieju na dworze księcia, który raczy być właśnie w drodze, i zatrzymał się poprzedniej nocy w sąsiednim mieście w celu wyegzekwowania królewskich nakazów.

- Jest tam kto? - zawołała górna połowa centaury, a gdy Eliasz wyszedł z domu i za nim ukazała się żona, przybyły ich pozdrowił.

- Pokój temu domowi, ludzie dobrzy. Cieszcie się! Przychodzę po waszego karła.

Eliasz spojrział ze zdziwieniem i nie rzekł ani słowa, ale Katarzyna pisnęła za plecami męża:

- Pomyliliście drogę, zacny człowieku, tu nie mieszka żaden karzeł.

- Poczekaj, moja małżonko. Nasz gość myśli o Idzim, który jest niewielkiej postury. Czemuż ukrywać to, co się skryć nie daje?

- Właśnie - odkrzyknął dziwoląg. - On to jest, który przemawia jak głos potężnego bębna.

- Jeśli o to chodzi, płuca ma zdrowe - odparła ostro Katarzyna.

- I szybki cios, choćby w nierównej walce.

- Jak by inaczej biedak ostał się na takim świecie?

- Toście dobrze, pani, rzekli. Prawdziwie jesteście jego matką. Takaście prędką w języku jak on w pięści. Przyprowadźcie go tu i to chyżo! Mają tam karłowatego muła dla niego. Diuk potrzebuje waszego syna, pilnie go potrzebuje. Nie mamy już ani jednego karła, pozbyliśmy się również wszystkich tygrysów, a nie powinno się to być zdarzyć, póki rodzi je ziemia. Mój ostatni TomcioPaluch wpadł któregoś dnia do studni.

- I myślicie, że pozwolę, by syn mój kochany poszedł do tak źle prowadzonego domu, gdzie banda lekkomyślnych, gnuśnych sług nie zamyka studni, ale zostawia je otwarte i niewinne stworzenia wpadają w pułapkę jak wilki?

Reprezentant władzy autokratycznej stracił cierpliwość wobec tej nieprzewidzianej opozycji. Spojrzał surowo na kobietę i surowym tonem poradził Katarzynie, aby się namyśliła: czy woli wysłać potomka na dwór, gdzie będzie żywiony jak biskup i odziany jak książę, czy też oddać głowy całej rodziny pod topór. Wbiję się je potem na pale, a pachoł z dzwonkiem ogłosi: „Oto są głowy tępych buntowników, którzy zdradziecko odmówili swego skarłałego syna diukowi, prawdziwemu ojcu całego ludu, wielkich chłopów, jako też małych karłów”.

- Nie obrażajcie nas, panie - ze smutkiem powiedział Eliasz. Uczciwymi ludźmi jesteśmy, nie zaś buntownikami czy zdrajcami. Ale to spadło na nas tak nagle, a biedny chłopiec to krew z krwi naszej i kość z kości, a ostatnimi czasy dał dowód wiele większego niż niegdyś rozumu.

- Nie ma potrzeby wygrażać nam śmiercią - załkała Katarzyna. - Nie pożałujemy syna księciu. Ale doprawdy, nie może iść tak zaraz. Jego bielizna jest pełna dziur. To chyba ważne.

Umysł mężczyzny oparł się temu miazdzącemu argumentowi.

- Myślicie, że diukowi brak płótna czy złotogłowiu? Monstra na dworze opływają we wszystko, wielkie czy małe, jednako są strojone.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby jeszcze dyskusja, zanim żelazna argumentacja despotyzmu odniosłaby swe nieuniknione zwycięstwo - gdyby tymczasem sprawy nagle nie zakończył sam Idzi, którego dotąd w ogóle nie raczono zapytać o zdanie.

Chłopak stanowiący kość niezgody ukazał się przed domem i stanął po stronie monarchy.

- Jeśli cała rodzina oszalała, to jam wyjątkiem - ryknął. - Idę z wami, i to natychmiast.

Katarzyna jęknęła żałośnie. Następne z jej dzieci wyfruwało spod skrzydeł matki w nieznany świat. Idzi wzruszył się jej prostą i wymowną rozpaczą. Powiedział:

- Nie przejmujcie się, matko! Przecie to Bóg ich zsyła. Marzę o tym od czasu, gdy nie ma z nami Gerarda.

- Ach, Idzi, jesteś okrutny! Czyż nie powinienesz raczej rzec, że gdy zabrano mi Gerarda, tym bardziej trzeba, byś został i był mi pociechą!

- Nie wybieram się przecie do Rzymu. Taki głupi nie jestem. Będę nie dalej niż w Rotterdamie, postaram się często was odwiedzać, a jak mi się nie spodoba, to któż zdoła uciekającego powstrzymać! Wszyscy diukowie chrześcijańskiego świata nie daliby rady.

- Dużo rozumu w tym małym ciełe - rzekł z uznaniem emisariusz. - A więc, panie Idzi, ucałuj starych rodziców, podziękuj im za trudy wychowania i jazda! Dawać tu wierzchowca!

Pachoł przyprowadził karłowatego muła. Idzi spojrział nań z pogardą. Zapytany o powód, rzekł, że to niesprawiedliwe.

- Uważacie, że wszystko powinno być sobie podobne? Duże ma należeć do dużych, zaś małe do małych? Nienawidzę małych rzeczy i gardzę nimi. Pojadę stąd na największym koniu albo wcale. Konwojent przyjrzał mu się uważnie, wybrał drogę uprzejmości.

- Wydaje mi się, że praw jesteś... Zejdź z konia, Eryku, twój chyba jest najwyższy. A ty, chłopcze, jeżeli chcesz zostać jeszcze godzinę w mieście, pożegnać się z rodziną, wystarczy jedno słowo, a z rozkoszą spełnię twą wolę.

Idzi się zastanowił.

- Panie - rzekł - godzina czy miesiąc, na jedno by wyszło. Matka moja bardzo zacna niewiasta, ale jej ciało silniejsze niż duch. Nie rozstaniemy się bez łez. Im prędzej to się stanie, tym mniej łez będzie. Przyprawadźcie mi konia.

Katarzyna łkała, zasłoniwszy twarz fartuchem. Przywiedziono wysokiego konia, więc Idzi chciał wspiąć się nań, używając ogona jako liny, co widząc jeden z pacholków krzyknął!:

- Ostrożnie, bo kopie!

- Żebym ja go nie kopnął - odparł Idzi. - Postaw go tuż przy tym oknie i zaraz wam wszystkim pokażę, jak się dosiada konia, który kopie i nie pozwala wspiąć się na siebie od ogona.

Skoczył do domu i prawie natychmiast zjawił się w oknie na piętrze z liną w ręku. Zahaczył koniec na górze i, nie puszczając z rąk sznura, zlął szybko jak piorun i wylądował na wysokim koniu tak lekko, że zwierzęciu zdał się siadającą na nim muchą.

Zachwycony dworski urzędnik wznosił dłonie ku niebu: „Oto perła mi się dostała - pomyślał - i darzy się dzień dzisiejszy, dalibóg”.

- Zbliźcie się, ojczy i matko. Proszę o pocałunek i błogosławieństwo, czas mi w drogę.

Eliasz pobłogosławił syna, prosił go, by pozostał uczciwym, szczerym chłopcem i przyniósł chlubę rodzinie. Katarzyna nie mogła wyrzec ni słowa. Szlochając, przytuliła Idziego i obsypała go pocałunkami. Mimo łez zalewających jej oczy dojrzała jednak niewielką dziurę na rękawie chłopaka, który rozdarł odzienie przy schodzeniu z okna. Natychmiast wyciągnęła igłę i przycerowała ją, a łzy kapały na ramię syna.

Karzeł kłusował przed siebie na wysokim koniu i zadowolony wielce z całego świata łykał tłuste pochlebstwa, których nie żałował mu stary wyga dworski. Mały lekkomyślny Perpusillus dwóch biednych niemądrych niewiast, które pozostały przy opustoszałym ognisku domowym, płacząc i wspominając wszystkie cnoty syna i brata, rozważając, jak to chłopak zmądrzał ostatnimi czasy, ślepe na błędy tego, który porzucał je śmiały i wesół.

Ingentes animos angusto pectore versans.

Po przybyciu na dwór szybko stał się wielkim faworytem.

Pewna rzadka skłonność chłopaka wywarła jednak w pałacu silne wrażenie, choć pobłażano mu ze względu na mały wzrost i chęć rozrywki. Otóż monstrum mogło sobie pozwolić na mówienie prawdy, która jest rzeczą niepopularną.

Karzeł uczynił ją nieznośną.

Nie głosił bowiem prawdy, lecz oznajmiał ją rykiem.

ROZDZIAŁ LI

Małgorzata Brandt żyła w Sevenbergen zawsze nieco na uboczu, a ta rezerwa uchodziła za dumę. Dziewczyna słyszała o tym nieraz i wiedziała, w jak wielu sercach mieszka zazdrość i niechęć. Jak zatryumfują teraz na wieść o jej stanie, który wkrótce nie da się już ukryć! Myśl ta dręczyła ją w dzień i w nocy. Przez jakiś czas kazała jej przebywać w domu i unikać światła dziennego nawet podczas rzadkich okazji, gdy musiała wyjść do miasta.

Przyczyna nie leżała w tym, jakoby w głębi serca i sumienia dziewczyna mylnie oceniała swą sytuację moralną. Mimo słabego rozeznania w subtelnościach ówczesnego prawa w sumieniu swym i sercu wiedziała, że zaręczyny były kontraktem ślubnym i nie mogły być legalnie zerwane przez żadną ze stron, tak jak każda inna spisana wobec świadków umowa. Małżeństwo z kimś innym zostałoby formalnie przez Kościół i Państwo

unieważnione, a pary zaręczone często mieszkaly z soba bez dalszych ceremonii i dzieci ich byly uznane za prawe.

Obciazala jednakze umysl sredniowiecznej dziewczyny inna sprawa - otoz kontrakt narzeczenski byl daleko. Powinna byla zatrzymac dokument u siebie, tymczasem Gerard go zabral, a teraz byl bardzo, bardzo daleko. Czula pogarde i nienawisc do siebie za to nieszczesne niedopatrzenie, ktore zdalo ja teraz na laskę falszywej opinii.

Choc nigdy nie slyszala slawnej strofy Horacego Segnius irritant... miala horacjańskie cechy dzieki swemu prostemu rozsądkowi, zdrowemu i zdecydowanemu, ktory charakteryzuje slaba plec, jezeli (choć przykro to stwierdzic) uczucie nie zaslepia niewiasty. Rozwazala, jak uksztaluje sie opinia, obawiajac sie, ze skoro jej kontrakt slubny powedrowal do Italii i nikt go nie bedzie mogl zobaczyc, nie zdola on usprawiedliwic jej brzemiennosci i dziecka, gdy przyjdzie, ono na swiat. „Mam ja swoja slubna umowe, ale nie moge jej wam pokazac”. Jaka niewiasta w to uwierzy, ktora chocby uda, ze uwierzyla? Zasl Malgorzata, bedac jedna z najskromniejszych dziewczat w kraju, pragnela miec za soba opinie kobiet, a nie mezczyzn.

Nawet bezpodstawne oszczerstwo szkaluje rod niewiesci, a coz dopiero, gdy ma ono wszystkie pozory prawdy. Nie wymyslono jeszcze pojecia „kobieta stanowcza”, a Malgorzata, choc z natury rezolutna, i choc potem wczesne sieroctwo wyrobilo w niej silę i zdecydowanie w niektorych dziedzinach (bardzo wczesnie wszak stala sie gospodynia domu), jednak w pewnych sprawach pozostala miękka i nieśmiała, a w swej sytuacji obecnej bardzo nieśmiała. Tak jak to sie zdarza w e l i t e jej plci, drzala jak listek przed kazdym podmuchem opinii swiata, prawdziwej jak i falszywej. Najwieksza zgryzota da sie wyrazic paroma slowami, nie sadze, by dlugie stronice opisu, zwlaszcza spod męskiego wychodzacego pióra, mogly komukolwiek (poza cnotliwymi niewiastami, a one nie potrzebują takie; pomocy) ukazac cala meke cnotliwej kobiety, przewidujacej, ze bedzie uchodzic za lekkomyślna. Niewiasta o grzesnym sercu nie bedzie sie niczego wstydzila. Ale Malgorzata byla rzeczywiscie czysta jak snieg, a czula zblizajaca sie nieuchronnie hańbę. Biedna dziewczyna dręczyła sie siedzac nieruchomo godzinami, pogrązona w rozpacz. Odpowiadala mechanicznie ojcu, czestokroć plonac naglym rumieńcem. Stary czlowiek nie mogl zrozumiec, czym sprawil jej przykrosc. Niczym. Słowa ojca mniej znaczyly dla niej niz powietrze. Nieustannie wiszaca nad nia groza pokrywala rumieńcem wstydu jej plonace policzki, chocby mowila i myslala o innych sprawach. Wstyd i strach byly juz ponad jej wytrzymalosc, gdy powrocala ostatniego wieczora od Malgorzaty van Eyck. Stan jej przestal byc tajemnica i to dla osob tej samej plci. Stara artystka zyjaca rownie jak ona na uboczu

chyba nie zdradzi. Cóż jednak uczyni Katarzyna lubiąca plotki w gronie rodzinnym i pośród licznego sąsiedztwa? Pozostawał jeszcze promyk nadziei. Katarzyna przemówiła do niej łaskawie, nawet serdecznie. W tej sytuacji nie było drogi pośredniej. Matka Gerarda mogła być więc tylko najlepszą przyjaciółką albo najzaciętszym wrogiem. Małgorzata czekała więc w napięciu na dalszy znak.

Nie doczekała się. Straciła nadzieję. Katarzyna nie będzie jej przyjaciółką. Nie oszczędzi jej więc, gdy silne uczucie nie zrównoważy naturalnego upodobania do plotek.

Od tej chwili pragnienie ucieczki z tamtej okolicy rosło w niej i dręczyło ją tak silnie, że przerodziło się w dziką i namiętą pasję. Ale jak przekonać do tego ojca? Starzy ludzie są przywiązani do miejsca. Piotr zbyt był już sędziwy i chory, aby chętnie zmieniać mieszkanie. Jedynym wyjściem było wtajemniczenie ojca - wyjściem na pewno lepszym niż porzucenie go i ucieczka; dziewczyna czuła, że to jedyna droga. Dręczyła ją teraz nieznośna tortura wyboru między szaleńczym pragnieniem ucieczki i ukrycia hańby a nieprzewycięzoną awersją do wyznania wszystkiego mężczyźnie, choć nawet ojcu. Miotła się tak w rozpacz, aż pewnego dnia błysnęła jej nieszczęsna myśl: „Skończyć z tym wszystkim!” Głupio brzmi wyrażona w słowach, ale nie zawsze jest głupia. Kanał (jeden ze znieawidzonych przez biedną Katarzynę) boleśnie kusił nieszczęsną, szarpaną wahaniem dziewczynę. Stała pewnego popołudnia na brzegu i patrzyła na spokojną, głęboką wodę. Wydawała się jej obrazem wytchnienia, a tak bardzo była już znużona! Koniec udręki. Koniec strachu przed hańbą. Gdyby nie miłość do Gerarda, kto wie, czy nie taki byłby jej koniec.

Wiedziała jednak, że kocha. Uklękła na brzegu wody i gorąco prosiła Boga, aby odegnał tak nikczemne myśli. „Ach, podła i samolubnamówiła sobie - chcesz porzucić starego ojca! Nędznico, chcesz zabić dziecko, zniweczyć ofiarę Gerarda, nie bacząc na jego ból i niebezpieczeństwa, na które się dla ciebie naraził. Wyznam wszystko ojcu - nim słońce zajdzie.” Pospieszyła do domu, by nie zdążyło rozwiać się jej słuszne postanowienie.

Uczony Piotr naiwny był jak dziecko w zwykłych codziennych sprawach, więc Małgorzata od szesnastego roku życia rządziła domem łagodnie, lecz zdecydowanie. Niezwykła więc była owa niepewność i wahanie, z którymi młoda i despotyczna pani domu zwróciła się do ojca, mniej w domu znaczącego (oczywiście w sprawach gospodarstwa) niż Marcin Wittenhaagen i mniej nawet od dziewczki służebnej, która przychodziła rankiem myć naczynia, sprzątać i odchodziła na noc do domu.

- Ojcze, chciałabym z wami pomówić.

- Mów, dziewczyno.

- Czy wysłuchacie mnie i... czy spróbujecie wybaczyć me winy?

- Wszyscy mamy wady, Małgorzato, ty zaś nie więcej od innych ludzi, jeśli nie zaślepią mnie miłość ojcowska.

- Ojczy, niestety; jestem biedną, głupią dziewczyną, która wygląda na dobrą, a postąpiła źle, bardzo źle; okropnie, niemądrze, i teraz muszę znieść wstyd. Ale miłuję was, ojczy, mimo wszystkich mych wad. Czy potraficie mi przebaczyć szaleństwo i nie przestaniecie kochać osieroconej przez matkę córki?

- Możesz być tego pewna - rzekł pogodnie Piotr.

- Nie uśmiechajcie się, ojczy. Jakoż powiem wam prawdę i zasmucę tak bardzo?

- O co wreszcie chodzi?

- Ojczy, ściągnęłam wstyd na nasz dom, zbliża się on do naszych drzwi. Moja wina. Odwróćcie głowę... Pozwoliłam zabrać Gerardowi naszą umowę ślubną.

- To wszystko? To niedopatrzanie.

- Popelniłam szaleństwo - oskarżała się Małgorzata. - Biada mi. To jeszcze nie najgorsze!

- To uczciwy młodzian i kocha cię szczerze - przerwał jej Piotr. - Młodzi jesteście. Cóż znaczy dla was rok czy nawet dwa? Gerard na pewno wróci i słowa dotrzyma.

- A wiecie, co będzie tymczasem?

- Nie wiem, chyba żebym przedtem odszedł.

- Nie, na litość Boską. Gorzej, to gorsze niż śmierć, odwróćcie głowę.

- Głupia dziewczucha - mruknął! Piotr, ale się odwrócił. Drżała jak liść, twarz jej płonęła rumieńcem, bąkała:

- Uważałam Gerarda za małżonka - byliśmy zaręczeni. Był w takim strasznym niebezpieczeństwie, myślałam, że go zabiłam, i - och, gdybyście byli matką, może odważyłabym się, pomoglibyście jakimś pytaniem. Ale wy milczycie.

- Co to znaczy, Małgorzato? Skąd to zmieszanie? I czemu płoną twoje policzki? Mówisz przecie do starego ojca, nie do obcego człowieka.

- Czemu cała w ogniach? Bo, bo... Ojczy, zabijcie mnie! Wyślijcie mnie na tamten świat! Niech Marcin zastrzeli mnie z łuku! Wtedy przybiegną plotkarki i rzekną wam, czemu płonęłam przed wami rumieńcem. A gdy mnie już nie będzie, nie odmówicie miłości waszej córce, choćby przez wzgląd na pamięć matki.

- Daj mi rękę, panienko - powiedział nieco surowo Piotr.

Z drzeniem wyciągnęła rękę do ojca. Ujął ją delikatnie i z zaniepokojoną twarzą zaczął liczyć puls.

- Niestety - zaprzeczyła. - Nie ciało, lecz dusza płonie. Nie mogę, nie chcę dłużej mieszkać w Sevenbergen. - Załamała niecierpliwie ręce.

- Uspokój się teraz - odrzekł starzec łagodnie - i nie dręcz się niepotrzebnie. Nie chcesz mieszkać w Sevenbergen? Cóż nas zmusza do pozostania tu choćby dzień dłużej, jeśli rozpaczasz i popadasz w gorączkę? Masz gorączkę, nie przecz.

- Ojczy, czyż naprawdę zgodzilibyście się odejść stąd, nie pytając nawet, dlaczego tego pragnę? - zawołała Małgorzata. Rzuciła się na kolana, chwyciła go za rękaw, potem za rękę, jakby błagając o ów wyjazd bez bliższych wyjaśnień. - Ach, Niestety, rychło już sami obaczycie przyczynę. Wolę umrzeć niż wyznać wam prawdę.

- Niemądre dziecko! Po cóż komu twe dziewczęce sekrety? Cóż mnie trzyma w Sevenbergen, jeśli ty nie chcesz tu zostać? Czy może cieszę się tu szacunkiem lub wdzięcznością ziomków? Czyż nie nazywają mnie szalbierzem ci, którzy nie zbliżają się do mnie, a czarownikami ci, których leczę? Należne mi wynagrodzenie wraz z szacunkiem, którego skąpią mędrcom, niosą znachorom, którzy ich mordują. Nadto cóż dla mnie znaczy, gdzie zamieszkamy. Wybieraj, jak czyniła to przed tobą twoja matka.

Małgorzata ucałowała go czule i zapłakała na ramieniu starca.

Ciężar spadł jej z serca.

Ale płacząc, spokojniejsza, nie mogła oprzeć się żalowi, że nie znalazła w sercu odwagi i nie wyznała ojcu prawdy.

Za chwilę główną troską starego lekarza było nakłonienie córki, by przyjęła lek, który wybrał dla niej. Zażyła lek pokornie, aby sprawić ojcu przyjemność. Tyle mogła dla niego zrobić. Była to uspokajająca mieszanka i choć na skutek omyłki, i to pospolitej, zalecona, to przecie bardziej pomocna niż szkodliwa. Dziewczyna obudziła się uspokojona po długim śnie i zaraz rozpoczęła przygotowania do podróży.

W następnym tygodniu przybyli z całym dobytkiem do Rotterdamu i zamieszkali nad krawieckim warsztatem przy BredeKirkStraet.

Jeden tylko człowiek w Tergou wiedział, dokąd się wynieśli.

Burmistrz.

Nielatwo przysłoby moim czytelnikom odgadnąć, jaki z tej wiadomości użytek, ponieważ i on sam tego się jeszcze nie domyślał.

Czas wszystko wyjaśni.

ROZDZIAŁ LII

Małgorzata Brandt czuła się tu wśród obcych względnie szczęśliwa. Po niedługim czasie przybył jeszcze jeden nieoczekiwany powód zadowolenia. Otóż zachorował pewien dygnitarz miejski i zmieniając kapryśnie lekarzy dowędrował aż do progu śmierci. Wtedy posłał po Brandta. Piotr stwierdził, że bez żadnego powodu puszczano choremu krew i dawano na przeczyszczenie, doprowadziwszy go do ostatecznego wyczerpania. Wyrzucił bataliony medykamentów i pozostawił otwarte okna; ucierał żółtka w przejrzystej schiedamskiej wódce i podawał pacjentowi w niewielkich dawkach, przyrządzał mięsiwa duszone w winie, podlane wodą z uspokajającymi ziółkami, przeciwgorączkowymi i nie przynoszącymi szkody. Po kuracji pacjent opuścił łoże zdrów i krążył jak pączek w maśle, a będąc możliwym urzędnikiem, rozgłosił sławę Piotra po całym mieście. I oto mistrz godzien od dawna już sławy i tak długo na próżno oczekujący uznania obecnie zdobył je błyskawicznie dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Sprawy wyglądały świetnie. Starzec zaspokoił wreszcie ambicję, a kiesza zapełniła się szybko. Znaczną część zarobku wydawał na wyśmienite zioła i wyborowe leki; chętnie przeznaczyłby na ten cel wszystkie dochody, ale Małgorzata położyła rękę na części pieniędzy. Zwycięstwo przyszło zbyt późno. Radosne podniecenie miało fatalne skutki.

Pewnego wieczora, gdy życzył córce dobrej nocy, głos starca stał się niezrozumiały. Następnego ranka stracił całkowicie mowę i prawie zupełnie przytomność.

Małgorzata, która od lat była pilną uczennicą ojca, pojęła od razu, że to udar apoplektyczny. Nie ufając jednak swemu rozeznaniu, pobięła po lekarza. Jeden z konfratrów, którym Piotr przeszkodził uśmiercić miejskiego dygnitarza, potwierdził z zadowoleniem jej diagnozę. Zalecał puszczenie krwi. Małgorzata odmówiła.

- Ojciec zawsze przeciwny był puszczeniu krwi, zwłaszcza starym ludziom.

Piotr żył, ale nie był już tym samym człowiekiem. Pamięć jego srodze ucierpiała, nie można było ufać jego diagnozie. Przychodziło jeszcze kilku pacjentów, niektórzy uparli się, aby kurował ich nowy lekarz, a nie kto inny, i oczekiwali na powrót Piotra do zdrowia. Nędza zajrzała do domu. Małgorzata zdecydowała się udać po radę i pociechę do kuzyna Wilhelma Johnsona, którego dotąd w ogóle nie odwiedzała. Bieda i duma wstrzymywały ją od tego kroku. Wszedłszy do izby Wilhelma zobaczyła, jak przy jednym stole z dziewczką służebną raczyli się trunkiem jak równy z równą. Małgorzata opanowała zdziwienie, pozdrowiła kuzyna i powiedziała, że pragnęłaby porozmawiać z nim w sprawach rodzinnych. Spojrzała przy tym wymownie na służebną. Kobieta zareagowała na to w nieoczekiwany sposób.

- Możecie w mojej obecności. Prawdę mówię, staruszkule? Małgorzata zaczerwieniła się wobec takiej poufałości i rzekła:

- Bardzo was, pani, przepraszam. Nie wiedziałam, że mój krewniak przyjął obyczaje tego miasta. Muszę poczekać na dogodniejszą sposobność - wstała, kierując się ku wyjściu.

- Nie rozumiem, co zowiecie obyczajami miejskimi - odparła butnie kobieta. Wiem jeno, że przyda się wierna służąca, aby uchronić swego pana od wykorzystywania przez żebrzących krewniaków.

- Zbytńia to skromność, pani - powiedziała Małgorzata. - Nie jesteście tu sługą. Zdradzają was te słowa. Wylazło szydło z worka. o nie, to tu siedzi sługa, zmiłuj się nad nim, Boże! A w takowym położeniu nie obawiajcie się, jego krewni nigdy nie upadną tak nisko, aby przyjść do domu, w którym wasze, pani, humory mogłyby szydzić z ich doli.

Rzuciwszy nieme, pełne wyrzutu spojrzenie na kuzyna, który zachował się tak nie po męsku i cały czas siedział cicho, odwróciła się i wyszła dumnie z komnaty. W drodze do domu nie wylała ani jednej łzy na myśl o tej niefortunnej przygodzie. Jedna ciężarna dziewczyna miała teraz do wyżywienia dwóch mężczyzn, a trzeba było pamiętać, że trzecia istota przyjdzie niedługo na świat.

To przyszłe dziecko, choć najbardziej bezbronne, było ich najlepszym sprzymierzeńcem.

Siły natury pomagały Małgorzacie Brandt; tej samej natury, która obdarza sprytem i dzielnością zwierzęta, ptaki i owady, ucząc je zdobywać żywność i schronienie dla przyszłego potomstwa.

Sama natura zmuszała ją do szukania wyjścia. Dziewczyna siedziała i łamała sobie głowę, myślała i myślała, jak ratować się przed nędzą. I choć posiadała jeszcze pięć sztuk złota, czuła, że nieuchronnie zbliża się widmo głodu.

Niewiasty, gdy wbrew zwyczajom starają się myśleć tak intensywnie jak mężczyźni, potrafią czynić to równie skutecznie. Poleciała Marcinowi przenieść ojca do drugiego pokoju, swój tak wysprzątała, że lśnił od czystości; wypolerowała szklany globus i zawiesiła pod sufitem, odkurzyła wypchanego krokodyla i przymocowała do ściany na zewnątrz, następnie nakazała Marcinowi stanąć przed domem i powiadamiać przechodniów, znęconych widokiem krokodyla, że stary alchemik, znamienity uczoney, mieszka w tym domu i zabawia się czasem w wolnych chwilach kurowaniem ludzkich przypadłości. Szybko napłynęli pacjenci i witani przez Małgorzatę prosili o przyjęcie przez medyka.

- To być nie może - rzekła - jest pogrążony w swych studiach, szuka wielkiego eliksiru, nawet księżę nie może liczyć na posłuchanie. - Chorzy mają przedstawić jej symptomy swej słabości i wrócić po dwóch godzinach.

I proszę! oto działanie tajemniczych sił! Gdy wracali, czekały na nich leki i zioła. Czasem, gdy przybywał jakiś godny względów pacjent, przyglądała się uważnie jego twarzy, badała puls, skórę i wysłuchawszy historii choroby, wchodziła na palcach do izby Piotra. Tam namyślała się, pytając siebie, jak by ojciec, którego metodę od tak dawna spokojnie obserwowała, postąpił w podobnym przypadku. Potem kreśliła nieczytelne, kabalistyczne znaki i przynosiła pismo pacjentowi, pokazując mu je z szacunkiem, z prośbą o odczytanie. Dwie mogły być odpowiedzi: „Nie umiem czytać”, lub z podziwem: „Niestety, pani, nie potrafię tego pojąć”.

- Ale ja potrafię. To cudowne lekarstwo. Możecie być pewni ozdrowienia!

Jeżeli miała u siebie odpowiednie składniki, a była zbyt dobrym rachmistrzem, aby nie przekładać nad inne lekarstw, które posiadała w domu, pozwalała czasami pacjentowi asystować przy przyrządzaniu mieszanek, często i trwożnie zaglądając do uświęconego przepisu, aby wielka Wiedza nie ucierpiała w jej rękach. Pacjenci wychodzili od niej pozbywszy się gotówki, za to z kieszeniami pełnymi leków i umysłem pełnym wiary, nader zadowoleni z usłyszanej blagi. Populus vult decipi. Po ich wyjściu wyciągała dwa puzderka ofiarowane jej przez Gerarda i jego rękami wykonane; na jednym z nich napisała „Dziś”, na drugim „Jutro”. Mniejsze monetki wrzucała do „Dziś”, cięższe do „Jutro”, by spoczywały wraz z resztą sztuk złota, które przetrwały podróż z Sevenbergen i okres wydatków poniesionych na utrzymanie domu w obcym mieście. Tak więc pokrywała bieżące potrzeby i odkładała na czarną godzinę wiedząc, że ona nadejdzie; mieszała leki z ziołami, cnotę z przestępstwem. Sumienie nie dawało jej spokoju; po odegraniu całodziennej komedii klękała do modlitwy i prosiła Boga, aby darował jej „ze względu na dziecko”. Ale o dziwo! Udawała się jedna kuracja po drugiej, a więc i sumienie przestało być tak skrupulatne.

Marcin Wittenhaagen od dawna już stał się dla niej tylko ciężarem. Jak często bywa z ludźmi, którzy wiele w życiu przeszli, zestarzał się nagle. Utraciwszy dawną giętkość umysłu, silny jednak był jeszcze jak dawniej. Gdyby chciał, mógłby obnieść swą leczącą panią dookoła Rotterdamu. Zamiast tego roznosił jej leki. Pełniąc ten nowy zawód, wykazywał wszelkie żołnierskie cechy: posłuszeństwo bez mędrkowania, punktualność, dokładność, szybkość i... skłonność do trunków.

Wpadł w „zacną kompanię”; wszelaka hołota wlewała w niego schiedamską wódkę, a stary łucznik mełł językiem, przechwalał się ile wlezie.

Jego poważanie dla medyka Małgorzaty bardzo się wzmogło. Krokodyl jako sztandar, stary niedołączony ojciec w ukryciu, sprzedaż mętnych płynów za dobre pieniądze wydawały mu się nie Wiedzą, ale czymś o wiele wyższym: strategią. I chełpił się nad kielichem w

bardzo mieszanym towarzystwie, jak to „ja i mój generał wyprowadzamy w pole mieszcuchów”.

Gdy to wyznanie zdążyło obiec miasto, generał Marcina, medyk Małgorzata, dostała wezwanie do władzy miejskiej. Drżącą i błagającą o wybaczenie owe posłuszne maszyny zaprowadziły przed oblicze burmistrza. Przy boku ojca miasta stali w groźnym szeregu zawodowi lekarze w długich szatach i kwadratowych biretach. Oskarżali dziewczynę o bezprawną praktykę wykonywaną na poddanych diuka. Małgorzata była zbyt przerażona, by choć słowem się odezwać. Sam wyraz „prawo” paraliżował biedną dziewczynę. Przy dokładnym przesłuchaniu jednak, raczej mniej surowym, niż gdyby była brzydką, powiedziała przecie prawdę. Była długi czas uczennicą ojca i naśladowała jeno jego metody. Wielu ludzi wyleczyła. „I nie robiłam tego dla siebie, przysięgam, panowie wielmożni, mam w domu dwu zacnych, bezradnych starców, jakżeż miałam sobie poradzić? Dobrzy panowie, pozwólcie biednej dziewczynie zarobić uczciwie na kawałek chleba, wszak nieraz nie przeszkadzacie tym, które wybierają chleb lekki i haniebny. Jesteście mężami i ojcami, o wielmożni, musicie chyba rozumieć, że miałam prawo pracować tak, jak potrafiłam.”

Ledwie to niewieście wołanie dobyło się z jej ust, a już oddała życie, by móc cofnąć swe słowa, i stała z ręką na sercu, drugą dłonią zakrywając twarz, nie mogąc jednak ukryć łez płynących spod palców. Wezwanie pod złym jednak skierowała adresem. Może gdyby burmistrz był niewiastą, uznałby jej argumenty, zezwolił uprawiać sztukę medyczną i łamać prawo do narodzenia dziecka, choć ani chwilę dłużej. „Jak mamy postąpić w tej sprawie? - zapytał burmistrz. - Jeżeli przyrzekniesz sama więcej nie łamać prawa, odstąpię od uwięzienia i wyznaczę jeno grzywnę”.

Słyszac to, medyk Małgorzata złożyła błagalnie ręce i przysięgła jak najpokorniej, że nigdy, nigdy, przenigdy nie będzie leczyła człeka ani zwierza. Została zwolniona i odprawiona pod strażą miejskich pachołków w celu zapłacenia grzywny. Biedna dziewczeczka odwróciła się jeszcze w drzwiach, dygnęła i podziękowała wielmożnym panom za ich wyrozumiałość.

Aby zapłacić karę, trzeba było natychmiast otworzyć „jutrzejszą” szkatułkę, którą ostatnio z przesadną ostrożnością zabiła gwoździami, żeby się oprzeć pokusie jej otworzenia. Teraz nie mogła powyciągać gwoździ, więc miejscy strażnicy niecierpliwili się powątpiewając, czy tam jest coś w środku. „Dajcie, to rozbijemy”. Nie chciała na to pozwolić. „Połamiecie ją bardziej niż ja”. Wzięła młotek, uderzyła zbyt lekko, nagle zabrakło jej sił, rozplakała się histerycznie i wyłamawszy wreszcie wieczko, krzyknęła boleśnie. Zapłaciła grzywnę, na co poszły wszystkie nielegalne zarobki i dwie sztuki złota przywiezione z

Sevenbergen. Gdy pachołkowie wyszli, zebrała połamane kawałki puzderka i resztę drobnych pieniędzy, położyła na stole ręce, na nich głowę - wspaniałe włosy spłynęły luźną falą - oparła czoło na tych szczątkach i załkała: „Połamali szkatułkę od mego ukochanego, serce moje złamali wraz z puzderkiem”. Wszedł Marcin Wittenhaagen, lecz dziewczyna nie była w stanie unieść głowy. Wyszeptała przez łzy, co jej się zdarzyło, kończąc tymi słowami: „Szkatułka mego najdroższego zdruzgotana i wraz z nią me serce”.

Marcin bardziej był zagniewany niż smutny. Jakiś zdrajca zrobił na niego doniesienie. Cóż to za człek o sercu z kamienia doprowadził Małgorzatę do tego stanu? Kimkolwiek jest, pozna grot jego strzały! Od dawna nie nadarzyła się okazja do wydobycia strzały z kołczana.

- Próżne gadanie! Ach, ty pleciugo! - jęknęła Małgorzata, nie podnosząc czoła. - Rozpowiadałeś plotki po całym mieście, czyż możemy je jeść? Powiedz, jak mam karmić was wszystkich, albo zostaw w spokoju i pozwól świętym Pańskim poradzić mi, co mam czynić.

Marcin umilkł, z niewyraźną miną spoglądał na swego pokonanego wodza.

Zbliżał się wieczór; Małgorzata wstała, umyła twarz, uporządkowała włosy, kazała Marcinowi zdjąć krokodyla i wystawić kosz przed drzwi.

- Potrafię lepiej uprać bieliznę, niż to czynią na naszej ulicy - powiedziała - a ty będziesz odnosić ją w tym koszu.

- Uczynię to dla was, panienko - odrzekł żołnierz.

- Mój zacny Marcinie, wybacze mi, że byłem szorstka. Jeszcze w czasie rozmowy przyszedł mężczyzna po poradę.

Małgorzata powiadomiła go, że burmistrz zabronił jej sprzedaży leków.

- Ale chętnie wypraszam wam i wykrochmalę bieliznę. Przyjdę i zabiorę ją wprost z domu.

- Czyś szalona, niewiasto? - zdumiał się mężczyzna. - Przychodzę do lekarza, wy zaś ofiarujecie mi praczkę. - I odszedł zagniewany.

- Patrz, jaki to głupi człek - zauważyła ze smutkiem Małgorzata.

Następnie zjawiała się niewiasta, opowiadając o swym chorym dziecku i objawach jego słabości. Małgorzata przerwała:

- Zabronił nam burmistrz sprzedaży leków. Ale chętnie upiorę, wypraszam i wykrochmalę bieliznę, przyszedłbym zabrać ją wprost z waszego domu.

Niewiasta zgodziła się. - Mam rzeczywiście parę brudnych koszul i krez. Przyjdźcie po nie, proszę bardzo. Przy okazji będziecie mogli rzucić okiem na chłopaka. - Podała jej adres i czas odpowiedni, gdy męża w domu nie będzie; lubiła widać momenty, gdy mąż wychodził.

Najtrudniej zacząć. Dwóch czy trzech pacjentów z całej gromady tych, którym odmówiono usług medycznych, dało pracę medykowi Małgorzacie jako pracze.

- Musicie mi pomóc, Marcinie. Nie będę dłużej trzymać kotów, co nie chcą łowić myszy.

- Żołądek, wiecie, panienko, nie ma nic przeciwko temu, ale gorzej z głową, pewnie nie dam rady.

- Och, nie mam na myśli krochmalenia ani prasowania. To musi robić niewiasta, i to zręczna, ale samo pranie? Każdy mężczyzna może temu podołać. Muł ma dość dowcipu, aby prac kopytami, jeśli potraficie wpędzić go do balii. Tedy kurta na wieszak i próbujcie.

- Wedle rozkazu - rzekł dzielny, stary żołnierz, rozdiewając się niechętnie i biorąc do pracy. - Niechaj zbrukam swoje ręce w mydlinach, tak jak wy swą sławę.

- Co mojego?

- Sławę i honor - jako pracza.

- Śliczne dzięki! A uprzedzam, jeśli będziecie na tyle mężczyzną, żeby przynieść mi nie dopraną bieliznę do prasowania, będę na tyle niewiastą, że wrzucę ją wam z powrotem do balii.

I tak dzielna dziewczyna przy pomocy dzielnego żołnierza pracowała ciężko, trzymając z dala od drzwi swego domu widmo głodu i nędzy. Na nic więcej nie było ich stać. Małgorzata wyreperowała szkatułkę „Jutro” i, skrapiając klej łzami, połączyła rozbite kawałki puzderka od wygnanego kochanka. Możemy się uśmiechnąć na ten widok, ale wyrozumiale i ze współczuciem, nie zaś pustym dziewiętnastowiecznym chichotem, szydzącym z Biblii i ze wszystkiego prócz rzeczy śmiesznych.

Puzderko naprawione, jednak stało puste. Płaciła co tydzień czynsz, mieli co włożyć do garnka, ale na nic więcej nie wystarczało.

A potem zbieg okoliczności. Polecana przez jednego klienta drugiemu, Małgorzata dostała pranie u burmistrza. Pewnego dnia, odnosząc czystą bieliznę, usłyszała w kuchni, że jedyna córka jego wielmożności złożona jest ciężką niemocą i nie wróżą jej wielu dni życia. Biedna Małgorzata nie wytrzymała i wypytała służebne o objawy choroby. Ale objawy były zbyt powierzchowne. Jednakowoż każda z plotkarek podawała inne szczegóły, Małgorzata rozważała je wszystkie.

Spotkała wreszcie samego burmistrza. Rozpoznał ją natychmiast.

- To wy jesteście owym medykiem, co nie ma prawa leczyć?

- Byłam nim, teraz jestem praczką waszej wielmożności. Dostojnik poczerwieniał i zauważył, że została upokorzona.

- Nie narzekam i żalu nie chowam, wiem, żeście, wasza wielmożność, mogli surowiej mnie potraktować. Chciałabym raczej się odwdziżyć. Macie chorą córkę, panie. Pozwólcie mi ją zobaczyć.

Burmistrz potrząsnął głową. - Nie może to być. Wymagam od innych poszanowania dla prawa, więc mnie się nie godzi samemu prawa łamać. - Małgorzata otworzyła szeroko oczy. - Nie szukam zapłaty. Jestem przecież praczką. Tuszę, że człowiek ma prawo leczyć wszystkich ludzi na tym świecie, jeśli jeno wolno mu będzie przymierać głodem w zamian.

- Sprawiedliwie - zastanowił się burmistrz. I dodał: - Jeśli jeno nie handlujecie swą wiedzą, nie będzie wykroczenia.

- Pozwólcie mi więc obaczyć chorą.

- Cóż to da? Widzieli ją wszyscy najuczcieńsi doktorowie z miasta Rotterdamu i nie potrafili pomóc. Jej chorość jest nieodgadniona. Jeden ze znakomitych medyków orzekł, że to melancholia, drugi, że wątroba, trzeci, że krew, jeszcze inny wskazał na żołądek, a jego kamrat orzekł, że dziewczynę opętały złe duchy. Rzeczywiście i mnie się czasem wydaje, że to dzieło demona: unika zacnej kompanii, usycha w samotności, jada tyle co wróbel. Prawie się nie odzywa, nie słucha, gdy do niej mówię, co dzień chudsza, bledsza i dalibóg bliższa grobu.

- Posłuchajcie mnie, panie burmistrzu. Jeśli zaniesiecie swój welwetowy kubrak do półtuzina rotterdamskich sklepów i zapytacie sukienników, czy wyborny jest welwet, czy lichy i ile winien kosztować łokieć takiego towaru - tych sześciu kupców przyjrzy się, weźmie w palce i wszyscy odpowiedzą jednakowo, co do joty. Czemuż to? Albowiem znają swoje rzemiosło. A owi lekarze opowiadają każdy inną historię. Czemuż to? Albowiem nie znają swego rzemiosła. Ojciec mój mawiał, że każdy z onych medyków upodobanie ma do jednej słabości i szuka jej swoimi ślepymi jak u nietoperza oczami w każdym chorym. Gdyby jeno siedzieli w domu i nigdy nie widzieli waszej córki, to samo rzekną: melancholia, krew, żołądek, wątroba, szaleństwo lub, jak mają we zwyczaju nazywać: opętanie. Pozwólcie mi ją obejrzeć. Obieśmy niewiasty, a to samo wiele znaczy. - A ponieważ dalej się wahał: - Święci Pańscy - krzyknęła, irytując się łatwo jak każda ciężarna kobieta. - To ma być miłość ojca do dziecka z własnej krwi i kości? Jej matka dawno objęłaby mnie ramieniem i zaprowadziła do izby chorej - fiołkowe oczy zaśniły gniewem.

- Chodźcie ze mną - rzekł spiesźnie burmistrz. - Przyprowadziłem ci nowego lekarza, panienko.

Błada osiemnastoletnia dziewczyna wzruszyła pogardliwie ramionami. Siedziała przy kominku i nie odwracała twarzy od ognia. Małgorzata weszła bezszelestnie i usiadła obok niej.

- Ten medyk nie będzie was dręczyć.

- Białogłowa! - wykrzyknęła młoda dama ze zdziwieniem i lekceważeniem.

- Powiedzcie mi, co wam dolega.

- Po co? Nie będziecie od tego mądrzejsza.

- Wam zaś nie będzie od tego gorzej.

- Nie mam chęci do jedzenia i ochoty do niczego. Zróbcie swoje i zabierajcie się stąd.

- Miejcie cierpliwość! Jedzenie wydaje się wam bez smaku?

- Tak. Skąd wiedzieliście o tym?

- Dowiedziałam się teraz dopiero z waszych słów. Myślę, że odrobina zacnej kompanii dobrze wam zrobi.

- Nie myślę tak. Po cóż mi głupie paplanie? Małgorzata poprosiła ojca, żeby zostawił je same, i gdy poszedł, zadała chorej parę życiowych pytań. Potem się zastanowiła.

- Każdego ranka po obudzeniu i, jak by to rzec... czujecie dreszcze w całym ciele?

- Nie... Tak. Skąd wiecie?

- Czy mam podawać leki, czy też dokuczyć trochę „głupim paplaniem”?

- Jak sobie życzycie.

- Opowiem bajkę. O dwojgu wiernych kochankach.

- Nienawidzę opowieści o kochankach - rzekła dziewczyna. - Ale mówcie, może łatwiej będzie ją znieść od waszych leków.

Małgorzata opowiedziała historię miłosną. Dziewica miała na imię Ursel, młodzieniec Konrad; ona była córką starego lekarza, on synem sukiennika z Tergou. Mówiła chorej o swych przygodach, troskach, smutnym położeniu. Mówiła jak niewiasta niewieście słodkim i wibrującym głosem, płynącym z wezbranego serca, zamierającym czasem wraz z oddechem.; gdy nastąpiła przerwa, dziewczyna zaprotestowała rozczarowana.

- Mówcie dalej. Muszę wiedzieć, jak się to skończyło.

- Nie dowiecie się, bo i ja tego nie wiem. Koniec baśni zna jeno Bóg.

- Jaka cudowna jest owa Ursel - powiedziała dziewczyna z zapalem. - Chciałabym, aby była tu przy mnie.

- Zamiast tej, która jest.

- Tegom nie powiedziała - zarumieniła się lekko.

- Ale pomyśleliście.

- Myśleć wolno. Ale, gdyby się tu znalazła, ucałowałabym biedną.

- Możecie to zrobić, Ursel to ja.

- Ach nie, przysięgnę, że to nieprawda.

- Nie przysięgajcie, prawdę wam rzekłam. I nie cofajcie słowa, panienko, uścisk mi się od was należy i to serdeczny, bo ciężko mi na sercu, równie ciężko jak tobie, dziewczyno.

Młoda szlachcianka podniosła się, objęła Małgorzatę za szyję i ucałowała. - Jaka szkoda! - westchnęła. - Dobra z was niewiasta, pomogliście mi krztynę (łyzy dławily ją w gardle). Przyjdźcie znowu! Przychodźcie często!

Małgorzata odwiedziła ją znowu, rozmawiała z nią łagodnie, serdecznie, próbując rozpoznać, jakie sprawy interesują ją szczególnie, i stwierdziła, że tylko jeden temat zaprzętał bez reszty wyobraźnię dziewczyny. Wtedy powiedziała burmistrzowi:

- Znam już przyczynę zmartwień waszej córki, choroba da się wyleczyć.

- A co jej dolega? Krew?

- Nie.

- Żołądek?

- Nie.

- Wątroba?

- Nie.

- Zły duch?

- Nie.

- Cóż więc?

- Miłość.

- Miłość? - powtórzył burmistrz. - Brednie. Nie może to być! Toż to dziecko, nie rusza się z domu bez opieki. I tak było zawsze.

- Tym lepiej. Nie będziemy musieli daleko szukać tego, kogo kocha.

- Nie wierzę. Rozkażę jej jednak, by wyznała imię niegodziwca, co czarodziejską sztuką usidlił jej młode serce.

- Jakże nieroztropni bywają mądrzy ludzie! - westchnęła Małgorzata. - Chcecie pójść do niej, panie, i wzbudzić nieufność? - Nie tak, zacznijmy wpierw od fortelu. Na gwałt i szaleństwo zawsze jeszcze będzie dość czasu.

Nielatwo udało się Małgorzacie nakłonić burmistrza, aby skorzystał z przyjaznej okazji - była bowiem sobota - i wypłacił swym ludziom należność w obecności córki i Małgorzaty.

Z grupy liczącej około piętnastu osób każdy wchodził kolejno do pokoju i otrzymywał wypłatę i dobre słowo swego pana. Małgorzata siedziała cały czas przy chorej. Wyszła dopiero wraz z burmistrzem z komnaty.

- Jakie jest imię czarnowłosego młodzieńca, panie?

- Mój pisarz? Ulryk.

- To on.

- Broń Panie Boże! Chłopak, którego przyjąłem z ulicy!

- Wasza wielmożność, jesteście wszak rozumnym człowiekiem. Nie wzięliście go bez powodu, musi mieć przecie jakoweś zalety.

- Zalety? Skądże znowu! Spodobał mi się z wyglądu, to wszystko.

- I to zaleta. Ucieszył oczy ojca. Teraz spodobał się córce. Tak bywało od czasów Adama.

- Jakżeście, pani, do tego doszli? - zapytał burmistrz.

- Trzymałam ją za rękę, dotykałam leciutko palcami kiści. Ludzie wchodzili i wychodzili, nie robiąc na niej żadnego wrażenia, tyle co psy i koty. Gdy wszedł do komnaty ów Ulryk, oczy jej rozbliły, tętno zabiło żywiej. Po wyjściu zaś młodzieńca opadła z westchnieniem na krzesło i wyglądała, jakby słońce dla niej zaszło. Nie patrzcie na mnie, panie burmistrzu, tacy przerażeni, nie jestem czarownicą ni szalbierzem, jeno skromną dziewczyną, co pilna była i wyuczyła się dzięki sztuce pogardzanego lekarza. Wszystko to, powiadam wam, czyniono tysiące lat przed naszym urodzeniem. Teraz jeno pozostańcie w ukryciu, póki tu nie wrócę, i proszę was na wszystko, nie zepsujcie mi leczenia, nieopatrznie się w to wdając. Małgorzata weszła następnie do komnaty panny i poprosiła ją o pukiel włosów.

- Weźcie - powiedziała - smutniejsza niż kiedykolwiek.

- Cóż to za dziewczyna z kamienia. Jak długo masz zamiar tak się zachowywać, panienko?

- Póki nie otworzy się mój grób, słodka Peggy.

- Kto wie? Może za dziesięć minut zapłonie ogniem. Wybiegła do sklepu, ale szybko powróciła do burmistrza i powiedziała: - Przynoszę wam dobre nowiny! On miłuje ją, i to na śmierć i życie. Teraz jakoż będzie? Chcecie wydać swe dziecię za mąż czy pogrzebać je, albowiem nie ma Trzeciej drogi, odkąd wstyd i miłość śmiertelnie dręczą jej dziewicze serce.

Dygnitarz wybrał weselszy obrządek, choć uczynił to nie bez wewnętrznej walki. Z rozgniewaną jeszcze twarzą poszedł za Małgorzatą do komnaty córki. Ponieważ nie ma na

świecie mężczyzny, który by spieszył się do przykłej sprawy, stał w milczeniu. Wobec tego medyk Małgorzata powiedziała z uśmiechem:

- Nie mam już ofiarowanego mi pukla, panienko. Sprzedałam go.

- Cóż za szalenie mógł nabyć rzecz tak błahą? - zapytała pogardliwie młoda dama.

- Czarnowłosa młodzian o białych zębach. Na imię mu Ulryk. Błada twarzyczka pokryła się rumieńcem aż do korzeni włosów.

- Powiedział: „Darujcie mi go, najmilsza pani” - powiadomiłam go bowiem, czyj to pukiel. O nie, odrzekłam: mam zwyczaj sprzedawać, nie darowywać. Ofiarował mi to i tamto, ale wymogłam na nim cały zarobek za następny kwartał.

- Okrutna - szepnęła ledwie dosłyszalnie dziewczyna.

- Zaiste - jednako powiadacie, jak i wasz pan ojciec. Rzeki mi bowiem: „Jeśli tak miłuje jej włosy, chyba i reszta nie jest mu obojętna”. Otóż - tak mi rzekł: „Zacny to chłopak i będzie ją miał, jeżeli ona przestanie się dąsać i udzieli swej zgody”. Cóż powiecie, panienko? Poślubicie Ulryka czy też wolicie być pogrzebioną na cmentarzu?

- Ojczy, ojczy!

- Czekam twego słowa, dziewczyno.

- Zawsze - będę - posłuszna - swemu ojcu - we wszystkim - szepnęła biedna, z trudem próbując zająć wywalczoną jej przez Małgorzatę pozycję. Natura, młodość i radosna niespodzianka przemogły jednak nieśmiałą przebiegłość dziewczyną. Spojrzała na nich oboje wymownie i rzuciła się do kolan ojca, błagając z płaczem o wybaczenie za to, że nie miała dość zaufania do jego łagodności.

Chwycił ją w ramiona i przytulił do piersi, płacząc ze szczęścia; życie wstąpiło w nią na nowo i miłość do rodzica. Ojciec i córka przeżyli niezwykły, rzadki moment. Dygnitarz był tak szczęśliwy, jak przedtem zrozpaczony; trudno bowiem ludziom śmiertelnym przewidzieć, co nas czeka za chwilę. Obejrżeli się, szukając Małgorzaty, ale wymknęła się cichutko z komnaty.

Panna szukała jej w całym domu.

„Gdzie się schowała? Gdzie może być?” - zastanawiała się dziewczyna.

Gdzie była? Pobiegnęła do domu przygotować posiłek dla swych dwojga starych dzieci. Płakała, myśląc o szczęściu młodej dziewczyny. „Niestety, jakże różni się mój los od losu tej panienki” - myślała z żalem.

Gdy Małgorzata spotkała znowu burmistrza, dygnitarz z pewnym zakłopotaniem wyraził żal, że prawo zabrania mu zapłacić za uzdrowienie córki.

- Co prawda, nie dokonaliście tego sztuką lekarską, lecz sprytem niewieścim.

- Prawdę rzekliście, burmistrzu - odparła z goryczą Małgorzata. - Zapłaćcie uczonym medykom za to, że jej nie wyleczyli, zaś nagradzając tę, która ją uzdrowiła, nie odbierajcie mi jednakże prania waszej bielizny.

- Dlaczegoż bym miał to uczynić? - zapytał.

- Może znaleźć się mądry, który wam wytłumaczy, że ta, co usuwa niezwykle choroby, może nie móc usunąć brudu ze szmat. Miejcie, proszę, dalej zaufanie do waszej praczki.

Obiecał to jej solennie, czując się zacnym opiekunem.

Trzeba było postarać się o zrobienie czegoś dla wypełnienia szkatułki „Jutro”. Zaczęła roznosić po całym mieście iluminowane pergaminy i ozdobne inicjały. Był to właśnie czas, gdy wynalazek druku zadał śmiertelny cios czarnobiałej kaligrafii w Holandii i Niemczech. Niektóre jednak egzemplarze drukowanych ksiąg zwykle ozdabiano Uuminowanymi inicjałami. Drukarze podali Małgorzacie wysokość wynagrodzenia za tego rodzaju pracę.

- Zastanowię się - powiedziała.

Usiadła nad książką rachunkową i wyliczyła, że godzina pracy przyniosłaby jej piątą część tego, co mogła zarobić przy balii i maglu. - Umarłabym z głodu - pomyślała. - Jakże toż? Więc sztuka i wiedza przynosi pięć razy mniej niż praca rąk?

Marcin, roznosząc kosze z czystą bielizną, bywał ugaszczany i popijał. Któregoś razu opowiedział całe dzieje swej pani. Dziewczęta zapamiętały całą historię i wyśmiewały się z Małgorzaty przy studni.

Wszystko, co przeszła dotąd, wydawało się jej zabawą w porównaniu z ciągłymi docinkami, na które bywała narażona, gdy przychodziły z wiaderkami po wodę. Wesoła gromadka nie dawała jej spokoju. Każda płeć ma własne formy okrucieństwa. Mężczyźni są groźniejsi i bardziej brutalni, lecz bezmyślne białogłowy, które niczego w życiu nie przeszły i nie czytały ksiąg, potrafią być okrutne (chyba że uczucia niewieście pomagają im opanować te złe instynkty), choć nie używają siły fizycznej. Ta raczej intelektualna niż moralna przywara stała się dzięki książkom, a zwłaszcza wzniosłym powieściom, mniej dotkliwa w naszych czasach. Trzy są bowiem tylko drogi do najwyższego wysiłku zrozumienia: Litość, Doświadczenie w smutku oraz Imaginacja, która pomaga nam współczuć z bólem nigdy nie zaznanym. W piętnastym wieku dziewczęta przy studni miały przed sobą tylko jedną drogę: Doświadczenie; ta zaś w szesnastym roku życia była prawie nieznaną. Młode plotkarki orzekły, że kochanek porzucił Małgorzatę, co uznały za zbrodnię (same jeszcze nie miały okazji, aby być przez kochanka porzucone). Nie potępiały Gerarda. Za jego wyimaginowaną zbrodnię obrzucały błotem ofiarę. Ciskały jej w twarz obelgi, częściej jednak obmawiały ją na

wszystkie strony zręcznie i z wytrwałością „którą oby... zastosowały w dziedzinie sztuki”, jak mawiał biedny Aguecheek.

Małgorzata była jednocześnie dzielna i tchórzliwa - dzielna, gdy musiała zwalczać przeciwności losu, gdy rozlała krew dla ratowania ukochanego. Miała również hart ducha. Nie posiadała jednak odwagi do walki. Była silną młodą kobietą, słusznego wzrostu, pełną i kształtną, gdyby jednak któraś z tych chuderlawych dziewcząt uderzyła ją w twarz, ręce biednej Małgorzaty opadłyby bezsilnie lub podniosły się do własnych oczu, a nie do oczu przeciwniczki. Nie mogła poradzić sobie z tyloma językami. Cóż by im zresztą rzekła?

Nie wiedziała o nich nic prócz tego, że wysłedziły jej troski i były nienawistne. Myślała tylko, że nigdy widać nie zaznały nieszczęścia, skoro były dla niej tak niewyrozumiałe.

Przyjmowała więc w milczeniu pogardliwe docinki, starała się tylko nie okazać, ile bólu ją to kosztuje.

Przyjmowała zadawane jej ciosy z dobrze udaną lodowatą wyniosłością, starczało jej na to siły ducha. Plotkarki mierzyły w posąg.

Pewnego dnia, kiedy zabrakło jej jednak sił, co zdarza się niekiedy kobietom w tym stanie, tuzin zapaśniczek zabawiał się jej kosztem tak umiejętnie, że zgnębionej dziewczynie zdawało się, iż cała pleć niewieścia jest przeciw niej; opuściła ją dzielność i lży w milczeniu zaczęły płynąć z oczu przy każdej następnej złośliwości.

Triumf mieszczek był bez granic, odprowadziły ją w pół drogi do domu, rzucając ostre jak szpilki uwagi.

Gdy już raz okazała słabość, trudno jej było powrócić do poprzedniej obojętności posągu. Stawała więc nieśmiało w bezpiecznej odległości, wtedy dopiero z wolna podchodziła, gdy wszystkie wiadra były pełne i młode prześladowczynie odeszły. Któregoś dnia czekała tak długo, że nie starczyło już wody. Nazajutrz musiała stawić czoła gromadzie dziewcząt lub pozbawić swój dom wody. Zbliżała się z wolna, z mniejszą jednak obawą, ponieważ ujrzała przy studni rozmawiającego z dziewczętami mężczyznę. Może zajmą się nim, a poza tym pohamują nikczemne języki, aby jeno nie zdradzić przed obcym ich prawdziwego charakteru. Zawiodło ją jednak słuszne rozumowanie. Nie mogły wszystkie flirtować z jednym mężczyzną, więc pozostałe zaczęły rozmowę już, gdy się zbliżała.

- Żadnych wieści z dalekich krajów, Żaklino?

- Dla mnie ani słowa, droga Marto. Mój chłopiec nie odchodzi ode mnie dalej niż mury miejskie.

- A mój nawet tam nie chodzi - rzuciła trzecia.

- Gdyby się wybrał do Italii, znalazłabym zaraz innego na miejsce głupca.

- Nie pójdzie tam dziewczyno. Tak daleko wędrują jeno chłopcy, którzy się znudzili tymi, co w Holandii mieszkają.

Zaskoczona i oburzona Małgorzata w obecności obcego mężczyzny znalazła tym razem odwagę do walki.

- Dosyć tych drwin. Nie popisujcie się podłością przed żołnierzem. Boże Wszechmogący, co wam złego zrobiłam? Czy powiedziałam choć jedno ostre słowo, za które obrzucacie mnie obelgami, dręcząc dziewczynę opuszczoną pośród tego okrutnego miasta! Szydzicie z mego nieszczęsnego położenia i z wygnania mego biednego chłopca, który poszedł wbrew swej woli! Gdybyście miały choć trochę ludzkiego serca, z pewnością współczułybyście nam obojgu, a wy od tylu dni dręczycie mnie, o dziewczyny o kamiennym sercu, o dusze bez litości!

Zdziwiły się tym niezwykłym oporem, a zanim ochłonęły, by się z nią ostatecznie rozprawić, Małgorzata upuściła wiadro na ziemię i, zarzuciwszy fartuch na głowę, stała zgnębiona. Nie na długo starczyło jej bojowego nastroju.

- Hejże! - zawołał żołnierz. - Co wam jest, niewiasto? Nie odpowiedziała. Nagle mała dziewczynka, która od dawna w cichości serca nienawidziła tamtych dużych dziewczyn, odezwała się cienkim głosikiem: - Dokuczają jej, zawsze jej tak dokuczają, nie może podejść do studni, tak się ich boi. To wstyd!

- Któż to z nią rozmawia? Ja na przykład nigdy.

- Ani ja. Nie zniżyłabym się do tego.

Mężczyzna ubawił się serdecznie, słuchając tego popisu godności i dumy.

- Chodź tu, kobieto - powiedział. - Nie opuszczaj chorągwi w walce z takim lichym przeciwnikiem. Przecie masz też język w buzi jako one.

- Niestety, zacny żołnierzu, jestem inaczej wychowana. Nie nauczono mnie plugawej mowy.

- Masz lepszą broń niżli ta. Czemu nie przerzucić ich sobie po dwie przez kolano i nie walić, dopóki nie zaczną wołać o litość? - radził żołnierz.

- Nie mogłabym krzywdzić ciała za winę ich okrutnych serc - odparła.

- To śmieję się z nich, kobieto. Cóż to! Dojrzała niewiasta nie rozumie, czemu one damulki miały językami! Jesteście postawną kobietą, a to chuchra. Samo w was zdrowie i świeżość, a ich oczy podbite obręczami, żyją bowiem na wiecznym bagnie. I w tym cała wasza zbrodnia. Chodźcie niewiasto, dajcie wasz cebrzyk i niech spróbują przeciw mnie mleć

językami, samą brodą tak je podrapię, że będą Matki Przenajświętszej wzywać. - Napełnił wiadro i podał je Małgorzacie do ręki. Szepnęła: - Dzięki wam, żołnierzu.

Klepnął ją po ramieniu.

- Odwagi, dzielna niewiasto - le diable est mort! Dziewczyna upuściła z ręki ciężkie wiadro wprost na stopę swego obrońcy. Zaklął straszliwie i zaczął skakać w kółko na jednej nodze, wołając:

- Żyję jeszcze, złodziej, złamał mi wielki palec.

Fartuszek odsłonił śliczną, zapłonioną z emocji twarzyczkę. Żołnierz ujrzał dwoje płonących oczu i załamane ręce dziewczyny.

- Nie, nie, to nic - powiedział dobrodusznie, źle rozumiejąc jej wzruszenie.

- Dionizy?

- Co? Ale - Ejże! Skąd wiecie, jak mi na imię? - zdziwił się kusznik.

- Dionizy z Burgundii? - pytała.

- Co u licha! - rzekł zdumiony. - Ja was nie znana, a wy mnie znacie!

- Z listu Gerarda. Kusza! Broda! Piękny! Le diable est mort!

- Na miecz Goliata! To chyba ona! Rude włosy, fiołkowe oczy, śliczne liczko. Ale wziąłem was za zamężną niewiastę, widząc...

- Wymieńcie moje imię - poprosiła go bez tchu.

- Małgorzata Brandt.

- Gerard? - Gdzie jest? Czy żyje? - pytała. Zdrow? Wraca? Wrócił? Czemu go tu nie ma? Czemuście go zostawili? Mówcie, błagam was, błagam na wszystko!

- Dobrze, dobrze - zgodził się Dionizy, przecie nie tutaj... Ale was teraz ciekawość roznosi, mesdames, co? Dziewczyno, trzy miesiące wędruję pieszo po całej Holandii, by cię znaleźć, a tyś tutaj. Jakżem rad! - Podrzucił czapkę do góry i uchwyciwszy obie ręczki Małgorzaty, ucałował je gorąco. - Moja piękna kompaneczko, nareszcie cię odnalazł! Wiedziałem, że mi się uda. Nikt cię już nie znieważy. Skręcę wam karki, jeśli choćby słowo piśniece, małe złościce. Mam dla ciebie piętnaście złotych dukatów, a nasz Gerard wróci już niedługo. Nie będą łzy płynęły z twoich pięknych oczek.

Ale jasne oczy nawet teraz były mokre. Dziewczyna z czułą wdzięcznością patrzyła przez łzy na przyjaciela, który jak z nieba spadł między jej wrogów - kompan Gerarda.

- Proszę cię, chodźmy do domu, dobry, zacny Dionizy, nie chcę mówić o nim przy tych... - Poszli razem, ścigani chórem docinków: - Złapała chłopca. Nareszcie złapała chłopca. Cha! Cha! Cha!

Małgorzata przyspieszyła kroku, ale Dionizy zdjął kuszę i udawał, że chce je wystrzelać. Rozbiegły się z piskiem na cztery strony świata.

ROZDZIAŁ LIII

Czytelnik wie naturalnie, ile dwoje mieli sobie do powiedzenia. Słodki to był, a zarazem gorzki dzień dla Małgorzaty, obdarzył ją bowiem prawdziwym przyjacielem i złymi wiadomościami. Pierwszy raz dowiedziała się bowiem, że Gerard pozostał sam na obcej ziemi. Nie wierzyła Dionizemu, że chłopiec wróci, zdążyłby już bowiem dotrzeć na miejsce.

Dionizy stanowił jej wielką pociechę. Nazywał ją „kompaneczką”, smutek rozpraszał wesołością i swą optymistyczną maksymą. Ona zaś otaczała go serdeczną opieką, kierowała nim swymi łagodnymi rączkami tak samo jak Marcinem, nie pozwalała zjeść ani jednego posiłku poza domem i zabraniała mu używać przekleństw.

- To przywara, Dionizy. Przykro słuchać, że tak piękny człowiek tak brzydko mówi. Przestań, bo się rozniewam. - Wobec tego Dionizy zachowywał się wzorowo, jego wrodzona uprzejmość zabawnie walczyła z nabytym grubiaństwem.

Ponieważ i dobre zdarzenia chodzą parami, inne osoby ubiegały się o przyjaźń dziewczyny. Małgorzata napisała do pani van Eyck, wyjaśniając z pokorą, że wie, iż utraciła jej łaski i będzie się trzymać z daleka, ale nigdy nie zapomni o dawnych dobrodziejstwach. Opowiedziała pokrótce ostatnie swe dzieje, walkę o utrzymanie rodziny i na zakończenie poprosiła, aby nie zdradzała nikomu miejsca jej pobytu - zwłaszcza rodzinie Gerarda. - „Nienawidzę ich. Oderwali go ode mnie. I nawet gdy odszedł, nie okazali ani odrobiny serca, a powinni byli tak postąpić, jeżeli choć trochę pożałowali swego okrucieństwa wobec syna”.

Pani van Eyck przeczytała list, który wprawił ją w zakłopotanie. Zwierzyła się wreszcie Reicht. Ta nie umiała milczeć i przekazała sekret Katarzynie.

- Taka jest na nas zagniewana? - odpowiedziała zacna kobieta. - Ukradła nam syna, a teraz nienawidzi całej rodziny za to, że nie rzuciliśmy się jej w ramiona. Mimo wszystko rada jestem, że żyje i mieszka nie dalej niż w Rotterdamie.

Księżniczka angielska, obecnie hrabina Charolais, podróżowała przez północne stany księstwa w towarzystwie swej pasierbicy, młodej dziedziczki księstwa, Marii Burgundzkiej. Stary książę, jeden wśród najbardziej kochających przepych książąt Europy, zgotował im wspaniałe przyjęcie. Grono rycerzy w olśniewających zbrojach i bogato strojnych dam eskortowało powóz księżniczki; minstrele, zonglerzy, bardowie, muzykanci, aktorzy i akrobaci otaczali orszak; w każdym mieście po drodze tańczono, bawiono się, urządzano

turnieje i popisy szermierki. Idzi, faworyt na dworze, w porę posiał wiadomość do Tergou, zapraszając całą rodzinę na widowisko w Rotterdamie.

Zdecydowali się urządzić sobie raz wakacje i powierzywszy sklep swej zamężnej córce, wyruszyli do stolicy. Dwie osoby z ich grona przybyły tu nie po to, by cieszyć się widokiem znamienitych osobistości; dla nich główną przynętą był mały Idzi. Po paru dniach ich pobytu w Rotterdamie Dionizy przypadkiem spotkał Katarzynę na ulicy; po serdecznym powitaniu kusznik podzielił się z nią radosną wieścią, że odnalazł „kompaneczkę”. Katarzyna ochłodziła jego zapał. Miała rację tłumacząc mu, że prędzej by ją odnalazł siedząc spokojnie w Tergou, niż włócząc się po całej Holandii.

- Cóż z tego, że się odnalazła teraz, gdy odwróciła od nas serca.

- Ach, nie dbajcie o to. Chodźcie ze mną do niej.

Nie, nie pójdzie do domu, w którym jej mile nie przyjmą. „Kogo nie proszą, tego na kiju wynoszą”. - Owszem, niech Dionizy pośredniczy i doprowadzi do porozumienia obie strony. Kusznik natychmiast śmiało i nader uroczyście podjął się owej misji. Pobiegł do Małgorzaty i oznajmił:

- Kompaneczko, spotkałem dziś twego przyjaciela.

- Zapewne przeglądałeś się w wodzie i samego siebie ujrzałeś...

- Nie, to niewiasta, która pragnie cię ujrzeć, Katarzyna, matka Gerarda.

- Onaż to? - spytała Małgorzata. Możesz rzec, że przychodzi za późno. Tęskniłam kiedyś do niej długo, ale trzymała się z dala w najcięższej dla mnie godzinie. Pozostańmy tak obce jak dotąd.

Dionizy próbował skłonić ją do zmiany decyzji. Schlebiał i przymilał się, jak umiał, ale dziewczyna twardniała i tylko coraz większe czuła rozgoryczenie. Gdy próbował ją skarcić, wybuchnęła histerycznym płaczem.

Przeraził go taki rezultat własnej elokwencji i niebacznym pozwolił wymóc na sobie uroczystą obietnicę, że nigdy nie powróci do tego tematu. Poszedł zawstydzony do Katarzyny i wyjaśnił, co zaszło. Wpadła w gniew i opowiedziała rodzinie, jak przyjęto jej dobrą wolę. Rozgniewali się również i wrogość rosła z dnia na dzień. Tylko mała Kasia próbowała nieśmiało bronić Małgorzaty.

Następnego dnia Małgorzata miała znowu gości. Nowo przybyły zastał obu wojaków w poniżającej niewoli; Marcin nurzał ręce po łokcie w mydlinach, Dionizy niezdarnie prasował, a Małgorzata plisowała krezy, śledząc jednak okiem dowódcy pracę nowozacigłych. Stary, czcigodnie na pierwszy rzut oka wyglądający człowiek wszedł do izby, przy bliższym jednak wejrzeniu widać było chytryść i przebiegłość na jego obliczu.

- Ach! - krzyknęła Małgorzata. Szybko odwróciła się plecami do gościa i ukryła twarz z nieodpartą odrazą. - Ten człowiek tutaj, ten człowiek!

- Nie obawiajcie się, panienko - powiedział Ghysbrecht. - Przychodzę z przyjacielską przysługą. Przywiozłem list z dalekich krajów.

- Proszę, nie szydźcie ze mnie, panie burmistrzu - odwróciła się powoli.

- Ależ nie, popatrzże - wyciągnął olbrzymi list. Małgorzata rzuciła okiem i chwyciła pergamin drżącymi dłońmi.

Oczy jej lśniły. Pismo było Gerarda.

- Och, dziękuję, panie, niech was Bóg pobłogosławi. Wybaczeni wszystko zło, które mi wyrządziliście - przycisnęła pismo do łona i wybiegła szybko z pokoju.

Gdy powróciła, Ghysbrecht już odszedł. Nie mógł jednak powstrzymać grymasu twarzy, którym okazał swą niechęć Marcinowi. Napawała się w samotności otrzymanym listem.

ROZDZIAŁ LIV

Małgorzata zeszła znowu na dół odmieniona, z wilgotnymi jeszcze, lecz spokojnymi oczyma. Wyraz goryczy i napięcia zniknął z jej twarzy.

- Dionizy - powiedziała łagodnie - dostałam polecenie. Mam przeczytać list mego ukochanego jego rodzinie.

- I zapewne tego nie uczynisz? - spytał.

- Owszem - odparła - uczynię.

- Widzę, że znalazłaś w liście coś, co zmięczyło twe serce dla nich.

- Ani trochę, Dionizy, ani odrobinę. Lecz choćbym nienawidziła ich jak trucizny, chcę być posłuszna memu miłemu. Jakże słodkie jest posłuszeństwo, Dionizy, a najbardziej słodkie wobec dalekiego ukochanego, który nie może mnie zmusić do słuchania, musi tylko zaufać mej miłości, że będę mu posłuszna. Gerardzie najdroższy, jakże łatwo byłoby mi nie spełnić twego życzenia - tak bardzo nie lubię twej rodziny - i słuszne mam po temu powody; ale teraz, choćbyś mi kazał stanąć nad brzegiem rozwścieczonego morza i tam odczytać rekinom twój list słodki, i tam bym poszła. Powiedz więc, Dionizy, jego matce, że otrzymałam list, i jeśli chce wraz z całą rodziną wysłuchać słów Gerarda, niech tylko ustalą czas: jestem ich sługą, przyjmę ich najlepiej, jak potrafię, i powitam najuprzejmiej, jak mogę.

Dionizy pobiegł z dobrą wiadomością do Katarzyny. Zastał rodzinę przy obiedzie i powiadomił, że nadszedł długi list od Gerarda. Wybuchła wrzawa radosna i Dionizy dodał:

„w dodatku serce jej zmięknęło, chce go wam sama przeczytać. Prosi, abyście ustalili dogodny wam termin”.

Cóż to? Myśli może, że nikt prócz niej nie umie czytać? - spytała Katarzyna. - Niech przyśle list, sami przeczytamy.

- Nie żądaj tego, matko - zaproponowała dobra Kasia - może nie chce się rozstać z tym pergaminem. Ona tak bardzo kocha Gerarda.

- Myśli może, że ukradniemy jej list?

Korneliusz szepnął, że Małgorzata chce przy pomocy listu wśliznąć się podstępnie do rodziny.

Dionizy rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Głupie słowa, ze złego idące serca - powiedział. - Kompaneczka moja nienawidzi was wszystkich jak trucizny. Proszę, nie zrozumcie tego źle, pani. Nie bronię jej, ale tak sprawa wygląda. Mimo niechęci wystarczyło jedno słowo Gerarda, aby zapragnęła odczytać list własnymi ślicznymi usteczkami, a głos ma jak miód słodki, tak że ucziwa to propozycja.

- Macie rację, zacny żołnierzu - zabrał głos ojciec rodziny. - Z naszej strony winien paść uprzejmy respons. Zamilknijcie zatem, białogłowy, ja odpowiem w imieniu rodziny. Rzeknijcie jej, że ojciec Gerarda, niepomny wszelkich nieporozumień, dziękuje za uprzejmość. Jeżeli zaś chce zasłużyć na podwójne dzięki, niech przyśle list mego syna przez twoje godne zaufania ręce. Przeczytam go rodzinie i wróci do jej rąk z całą pewnością jakem Elias Dierich Wilhelm Łukasz, wolny obywatel miasta Tergou tak jak moi przodkowie i szanujący swe słowo tak rzetelnie jak oni.

- Tak, a człowiek jeszcze lepszy niż jego słowa - zawołała Katarzyna. - Nigdy nie spotkałam zacniejszego.

- Cicho bądź, żono.

- Jesteście rozsądnym człowiekiem, Eliaszu, daj wam, Boże, sto lat, sto lat! - wykrzyknął Dionizy. - Kompaneczka ucieszy się, że może spełnić polecenie Gerarda i nie oglądać was wszystkich, których, ucziwszy uszy, nienawidzi jak zarazy. Chwała Bogu za tę odmianę, dziś jest pokorna jak jagniątko; posłuszeństwo słodsze od miodurzeczea zaiste nie zna ona smaku tego specjału, rzadko go bowiem jada. I choć śliczna jej główka, słodki jęczyczek, a także obrotny dowcip, taka jest groźna, gdy się jej sprzeciwić, że potrafi śmiertelnie przerazić nas, dzielnych żołnierzy, i raz krzycząc, drugi raz schlebając, uczyniła najpokorniejszych niewolników z dwu zacnych zawadiaków. Jam chłop do prasowania, ów zaś pierze.

- A co potem?

- Co potem? Jak brzdąc przyjdzie na świat, zasiądę przy kołyszce, a drugi kamrat będzie prał pieluchy i śliniaki. Tymczasem lecę po list zaraz. Pozwolicie mi zostać i posłuchać, nieprawdaż?

- Nie posądzajcie nas o czarną niewdzięczność - odparła Katarzyna.

Dionizy poszedł więc po list. Wrócił z nosem na kwintę. - Nie chce oddać go ani mnie, ani wam, ani nikomu na świecie.

- Wiedziałem, że nie zechce - powiedział Korneliusz.

- Cisza - rzekł Eliasz. - Pozwólcie mówić Dionizemu.

- Posłuchaj raz mnie - powiedziałem. - „Z jakiej racji?” - odrzeczę. - „Mówiłaś przecie, że posłuszeństwo to miód.” - „Głupie słowa - ona na to. - Słodko mi słuchać tylko Gerarda, nikogo innego. Któż powiedział, że słodycz tkwi w posłuszeństwie byle komu?” - W końcu zmięła trochę i dała mi liścik do was, mademoiselle. Proszę bardzo.

- Dla mnie? - rzekła mała Kasia czerwieniąc się.

- Podajcie! - rzekł Eliasz, rzucił okiem na pismo i powiedział prawie szeptem: - To słowa z listu. Słuchajcie.

„Ukochana moja, jeśli te zdania dojdą do twoich rąk, zbadaj nimi uczucia moich bliskich. Może już nieco skłonili ku mnie serca, wszak tak daleko odszedłem. Jeżeli tak jest, okażą serdeczność tobie, skoro nie mogą nic dla mnie uczynić, a jeśli dotąd trzymają się z dala od ciebie, nie mów lepiej nic, niech uważają mnie za zmarłego. Bądź posłuszna, proszę. Jeżeli nie uszanujesz mej woli, to chyba kochać przestałaś”.

Zapadła cisza, przepisane przez Małgorzatę słowa Gerarda wędrowały z rąk do rąk.

- Tak - rzekła Katarzyna - to co innego. Sądzę jednak, że ona powinna przyjść do nas, nie zaś my do niej.

- Cóż za różnica, matko?

- Poważna - rzekł Eliasz. - Powtórz, że za wielka nas gromada, abyśmy mogli nachodzić jej dom, proś do nas; im prędzej, tym lepiej.

Po wyjściu Dionizego Eliasz przyznał, że gorzka to dla niego pigułka. - Gdy dziewczyna przekroczy mój próg, wejdą tu wraz z nią wszystkie kłopoty i nieszczęścia, które przyniosła temu domowi. Cóż jednak mogę uczynić, małżonko. Musimy zapoznać się z nowinami od Gerarda. Widziałem to w twoich oczach i czułem w moim sercu. Nieposłuszny, lecz zawsze jeszcze kochany syn jest po jej stronie, a więc dziewczyna ma nad nami przewagę i poniżyła nas oto tak haniebnie, chytra, okrutna gadzina. Mniejsza o to jednak. Wysłuchamy listu i niech stąd odejdzie bez błogosławieństwa, tak jak nieproszona przyszła.

- Uspokój się - odparła Katarzyna. Wcale tu, moim zdaniem, nie przyjdzie - nuta żalu brzmiała wyraźnie w jej głosie.

Zjawił się wreszcie Ryszard, którego oczekiwali od dawna. Przybył z Amsterdamu poważny i godny, ubrany w bogaty mieszczański strój: w krezie i złotym łańcuchu na szyi; na głowie miał futrzany kołpak. Rodzina przyjęła go nie tylko z miłością, ale i z respektem, wznosił się bowiem o szczebel wyżej od swych rodziców, a stopnie takie w średniowiecznym społeczeństwie wykute były w sposób równie widoczny, jak kamienne schody ich budowli.

Wprowadzony z kolei w przedmiot narady rodzinnej okazał wyraźnie, choć nie uchybiając kurtuazji, że wszelkie pertraktacje z Małgorzatą Brandt uznaje za poniżające dla swej dumy.

- Rozumiem pokusę - wyrzekł - ale któż z nas nie przeżył, że pragnie się czasem czegoś, a postępuje przeciw swym pragnieniom?

Zmroziło to mocno starych ludzi. Mała Kasia pospieszyła z pomocą:

- Nie trap się, drogi bracie. Matka powiada, że ona nie przyjdzie.

- Byłoby to najlepsze wyjście, kochanie. Albowiem obawiam się, że jeśli będzie inaczej, wrócę z powrotem do Amsterdamu.

Właśnie Dionizy wsunął głowę przez uchylone drzwi i oznajmił:

- Przyjdzie tu, gdy na tarczy wielkiego zegara wybije trzecia godzina.

Spojrzeli po sobie w milczeniu.

ROZDZIAŁ LV

- Ryszardzie - odezwała się Katarzyna do syna - na miłość Bożą, nie pozwól, aby ta przekłeta dziewucha wodziła nas wszystkich za nos. Czyż nie dość jeszcze zepsuła nam krwi?

- Zaprawdę. Nie obawiajcie się, dobra matko. Niech przyjdzie, przeczyta nam list od biednego chłopca, którego opętała swą diabelską sztuką, i niech się stąd zabiera. Przyrzeknijcie, że nie okażecie jej żadnych względów poza przyzwoitą i umiarkowaną uprzejmością, nie możemy bowiem w naszym domu zachować się inaczej - i nie rzeknę już ani słowa. - Zawarłszy takie porozumienie, czekali na przeciwnika. Ona ze swej strony z równą niemal wrogością przygotowywała się do rozmowy.

Gdy Dionizy zawiadomił dziewczynę, że rodzice Gerarda nie przyjdą do niej, oczekują natomiast jej przyjścia, zacisnęła wargi i zwróciła uwagę, jak wszystko dla nich jest ważniejsze od miłości do syna.

- Dobrze - powiedziała. - Ja nie mam też wymówki i po cóż naśladować dumę mieszczan, dumę wszystkich nieuczonych ludzi. Zrobię to dla Gerarda, pójdę do nich, choć... Och, jakież budzą wstręt we mnie.

Tak więc biedny zacy Dionizy miał wprowadzić do domu kupca materiał wybuchowy.

Małgorzata stroiła się z takim samym uczuciem, jak rycerz do boju - on, aby odparowywać ciosy, ona - spojrzenia, które mogłyby gardzić jej ubóstwem lub szydzić z dziwaczności. Wdziała kabacik z ciemnoniebieskiego sukna, spódniczkę i pończoszki z tego samego materiału, lecz błyszczące, i koloru czerwonego wina. Nie było na niej ani cala filtra oznaczającego wówczas pretensje do wyższego stanu. Śnieżnej białości mankiety zdobiły kiście rąk, a oryginalnie plisowane wyłogi płócienne biegły od dołu kurteczki aż do samej góry. Kreza nie owijała szyi, tworzyła tylko ramy, była bowiem upięta w karo, a nie w krąg. Włosy nad czołem wymykały się dwiema falami; uczesanie takie w sto lat później spopularyzowała Maria królowa szkocka. Zamiast srebrnej siatki, której nie uchodziło jej nosić w obecnym stanie, okryła głowę maleńkim, ciasno przylegającym kapturkiem z ciemnobłękitnej tkaniny zdobnej srebrnym haftem. Buciki były czerwone; ale czerwona spódniczka i pończoszki przygotowywały już widza na silne wrażenie; ciżemki uwydatniały łuk podbicia i kształtną stopę.

Piękność umiała zadbać o siebie w tamtych czasach tak samo jak dzisiaj.

Kazała nieco poczekać nieprzyjaciółom, choć na wielkiej tarczy zegara była już trzecia.

Wyszła wreszcie w towarzystwie „kompana”. W połowie drogi zatrzymała się i powiedziała żałośnie:

- Dionizy.

- Co, mój wodzu - spytał.

- Muszę wrócić do domu. - Zostawiliście coś?

- Tak.

- Co takiego?

- Odwagę. Och, och, och!

- Nie, nie! Bądź dzielna, wodzu. Stanę przy twym boku.

- Zostaniesz cały czas tuż przy mnie, gdy tam będę?

Dionizy obiecał i dziewczyna, choć niechętnie, ruszyła dalej.

Tymczasem rodzina Gerarda zebrała się już. w komplecie, czekając na nią z dziwnie mieszanym uczuciem. Czekali niecierpliwi, udręczeni, zaciekawieni, płonący uczuciem do

syna i niechęcią do dziewczyny, która przychodziła, by zaspokoić te uczucia. Wreszcie byli ciekawi, jak wygląda owa Małgorzata, czym oczarowała Gerarda i spowodowała tyle kłopotów.

Wreszcie Dionizy ukazał się, na progu i szepnął:

- Kompaneczka jest tu ze mną.

- Niech wejdzie do środka - rzekł, Eliasz. - Nie otwierajcie ust. Ani mru, mru... Tylko ja będę z nią rozmawiał.

Wszystkie oczy w milczeniu zwróciły się ku drzwiom.

Cichy szmer dobiegł ich z zewnątrz - odróżniali bas Dionizego i miękki, słodki głos niewieści.

Nagle zapadła cisza, drzwi uchyliły się z wolna i Małgorzata Brandt w stroju opisanym już uprzednio, blada, ale spokojna i piękna, stanęła na progu, patrząc śmiało przed siebie.

Wszyscy prócz Kasi powstali i patrzyli na nią bez słowa.

- Spocznijcie, pani - powiedział poważnie Eliasz i wskazał jej krzesło specjalnie ustawione dla niej w pewnej od nich odległości.

Skłoniła głowę i przeszła przez komnatę. Stan jej rzucił się wtedy wszystkim w oczy; zdradzała go nie tylko figura, ale nawet pewna ociężałość.

Nienawiść szarpnęła sercem Korneliusza i Sybrandta na ten widok. Ryszard zaś pomyślał, że ciąża szkodzi jej urodzie.

Kobiety widok ten nieco rozczulił.

Wyjęła list zza stanika, ucałowała, jakby była sama, i natychmiast przygotowała się do czytania z miną dającą do zrozumienia, że wie, iż tylko po to tu przyszła.

Zaczynając spostrzegła, że posadzili ją na osobności jak trędowatą. Spojrzała na Dionizego i pospiesznym ruchem ręki przywołała go do siebie.

Podszedł posłusznie, jakby usłyszał komendę: „Marsz!”, i stanął przy jej boku jak wartownik; ta zbytnia gorliwość zdradziła jednak zebranym, że dziewczyna wezwała go do siebie. Małgorzata zmieszała się i zaczerwieniła. Miękkim, lecz jasnym głosem zaczęła czytać słowa swego Gerarda, ich Gerarda, przekazując je stęsknionej rodzinie tak czule, żarliwie i wzruszająco, że cała dusza zdawała się obecna w każdym bezcennym dźwięku, jakby same niebiosy przemawiały ustami niewiasty.

„Małgorzato moja, jestem pewny, że twe umiłowane oczy ujrzały już Dionizego, mego najdroższego przyjaciela. Musiał cię już odszukać i opowiedzieć w jakich to nieszczęsnych i niespodziewanych okolicznościach zostaliśmy rozdzieleni. Zaczynam więc

od tego wielce bolesnego dnia. Jakże pragnąłbym usłyszeć o dalszych przygodach zacnego, wiernego biedaka, ale nie mogę! Modlę się za niego dniem i nocą, zaraz po tobie, najdroższa. Tak stałego i kochającego przyjaciela nawet Dawid nie miał w Jonatanie. Bądź dla niego dobra, zrób to dla twego biednego Gerarda.”

Usłyszawszy zupełnie niespodzianie te słowa, Dionizy z jękiem oparł głowę o wysokie krzesło Małgorzaty.

Dziewczyna odwróciła się szybko i uściśliła mu dłoń.

Tak więc w ciągu dalszej lektury ukochana Gerarda i jego przyjaciel trzymali się za ręce.

„Ruszyłem w dalszą drogę półprzytomny jak w złym śnie; oto nadszedł szlachcic z orszakiem sług, wszyscy konno jechali i omal nie zostałem stratowany. Wielmoża ściągnął cugle na skraju wzgórza i przysłał zbrojnych, rozkazawszy mnie obrabować. Obdarli mnie dość grzecznie, wypróżnili sakiewkę do ostatniego miedziaka i pokłusowali wesoło dalej. Powlokłem się w drogę otępiały, osamotniony.”

Wszyscy westchnęli ciężko, Dionizy zaklął.

„Owładnęła mną dziwna słabość, ległem na śniegu i usnąłem. Nie powinienem był tak postąpić, zwłaszcza że w okolicy roiło się od wilków. Gdybym kochał cię tak, jak na to zasługujesz, okazałbym więcej męstwa. Ale, najśłodsza moja dziewczyno, naszała mnie opuszczonego jakaś senność, jakieś otępienie, co było silniejsze od natury. Przeto zasnąłem, lecz Bóg okazał nam obojgu więcej dobroci niż ja tobie. Powinienem był się już z tego snu nie obudzić, wszyscy tak powiadają. Spałem godzinę, może dwie, nie dłużej jednak, gdy poczułem, iż jakaś ręka gwałtownie mnie szarpie. Zbudziłem się do moich trosk. Stała nade mną służebna dziewczyna w świątecznych szatach - «Szalony - powiada gniewna - spać na śniegu, pod nosem wilków?

Życie ci się sprzykrzyło, choć masz jeszcze mleko pod nosem? Chodź - powiedziała łagodniej - wstawaj jak chłopak grzecznym. - Podniosłem się. - Jesteś bogaty czy biedny? - Spojrzałem na nią zdumiony. - Chyba łatwo odpowiedzieć na to - rzekłem. Powtórzyła: Bogatyś czy biedny?- Krzyknąłem tak głośno, że odskoczyła przestraszona: Czym bogaty, czy hołysz? Gdybyś mnie spytała przed godziną, rzekłbym, że bogacz. Ale teraz jestem takim nędzarzem, że biedniejszego nie nosi ziemia. Przed godziną byłem bogaty w przyjaźń, złoto, nadzieję i młodość, lecz Bastard z Burgundii zabrał mi przemocą przyjaciela, inny szlachcic zrabował mi kiesę i nie mogę już iść dalej do Rzymu ani wrócić do tej, którą zostawiłem w Holandii. Otom najbiedniejszy z biednych.

Nieszczęsny! -. rzekła dziewczyna. - Inna rzecz, że gdybyś był bogaczem, mógłbyś położyć się tu z powrotem, nie miałabym bowiem z ciebie żadnego pożytku i tuszę, że odszedłbyś rychło z tego świata równie goły jak wtedy, gdyś się na nim pojawił. Będąc jednak biedakiem, jesteś naszym człowiekiem.!) Poszedłem, bo mi kazała, a również i z tej przyczyny, że nie wiedział, dokąd idę. Zaprowadziła mnie do położonego niedaleko pięknego domu, do jadalni obitej czernią, w której na stole zastawiono liczne dania, ale jeden jeno talerz i jedno krzesło. Siadaj tu - szepnęła. Jakże, sam?- spytałem. Sam? A któż z nas, myślisz, jadłby z tobą z tych półmisków. Czyż godzi się rabować trupy? Zapytała następnie, skąd jestem rodem. Z Tergou - odparłem. A ona zapytała: Gdy umrze pan możny w waszym kraju, czyż nie zastawiacie obiadu jak zwykle, aż go pochowają, i nie częstujecie tym jadłem jakiegoś biedaka? Powiedziałem, że nie ma takiego zwyczaju w mym kraju, a ona zawstydziała się za nas. My zatem jesteśmy lepszymi chrześcijanami. Przeto zgodziłem się zasiąść do stołu, ale niewielką miałem ochotę na mięso. Dobre dziewczę siadło obok mnie i nalało wina; gdym go skosztował, poczułem skurcz serca na myśl, że nie ma Dionizego, który by pił wraz ze mną. Tak kochał zacne wino oraz niewiasty - dobre, złe i obojętnie jakie. Wyśmienite mocne wino pocieszyło moje strapione serce i pierwszy raz zrozumiałem, czemu ludzie w nieszczęściu szukają pociechy w trunku. Dziewczyna kazała mi jeść z każdego dania. Ominięcie któregoś dania ściąga nieszczęście. Nie ma tu nic nad to, co podawaliśmy naszemu panu na codzienny obiad. Widać dobry musiał mieć żołądek - rzekłem. Tak, chłopcze, a i serce dobre. W każdym razie wszyscy, tak mówimy od czasu, gdy zmarł. Gdy żył, nie słyszałam na ten temat ni słowa. Jadłem więc jak ptak, dziobiąc z każdego półmiska. Dziewczyna słysząc westchnienia i widząc, że jadło staje mi w gardle, ulitowała się i próbowała dodać mi otuchy: Będziesz jeszcze wieszerał i nocował w tym domu - rzekła. Poszła do zarządcy domu, a ów wyznaczył mi wygodne, porządne łóżce. Opowiedziałem mu wszystko pytając, czy prawo pomogłoby mi odzyskać kiesę. Prawo?rzekł. - Nie ma w Burgundii prawa dla biedaków. Pewnie obrabował cię kuzyn naszej dziedziczki. Znam tego gagatka. Trzeba wnieść sprawę przed oblicze pani na zamku. Jest bardzo młoda i prędzej każe cię powiesić za oszczerstwa rzucone na jej kuzyna, który jest szlachcicem i pięknym kawalerem, niż jemu oddać twoją własność. Jeszcze pośród miejskich przywilejów biedak może czasem ujrzeć oblicze sprawiedliwości, ale poza murami, wśród wielkich panów i dam - nigdy. Rzekłem tedy: Wolę cicho siedzieć obrabowany, niż szukać sprawiedliwości i znaleźć szubienicę. Wszyscy oni okazali mi nazajutrz wiele dobroci, a dziewczyna ofiarowała mi pieniądze ze swej skromnej zapłaty, by pomóc mi dojść do Renu.”

- Wraca do domu! Wraca do domu! - krzyknął Dionizy przerywając lektorce. Małgorzata gestem wyrzutu potrząsnęła głową w kierunku żołnierza.

- Proszę całą zacną kompanię o wybaczenie - powiedział dwornie.

„Silna to była pokusa; ale moja ochota oparła się temu, aby przyjąć pomoc od biednej służącej. Nie, nie - rzekłem. Nie macie racji - powiedziała - duma wasza jest nie na miejscu; biedni ludzie winni pomagać sobie wzajem. Bo któż na świecie im pomoże? Rzekłem: Zgodziłbym się, gdybym mógł wyświadczyć wam również jakąś przysługę, nie przyjmę jednak podarunku, i tak już ugościliście mnie aż nazbyt hojnie. Mógłbym może list napisać? Nie, miły jest w domu, przy mnie - odparła. Lub narysować portret i zapracować w ten sposób na pieniądze? Potrafiłbyś, rzeczywiście? - spytała. Odrzekłem, że chętnie spróbuję, a strój jej świetnie będzie wyglądał na obrazie. Nabrała chęci, bym wyrysował jej konterfekt, który podarowałyby swemu miłemu. Ustawiłem ją w dobrym świetle i skoro zrobiłem dwa szkice, z których jeden ci posyłam, pokolorowałem go w wolnej chwili. Drugi sporządziłem w wielkim pośpiechu i niedbale nasmarowałem zaiste, niech mi Niebo wybaczy, alem niewiele miał czasu. Biedacy nie widzieli lepszego, byli wielce dumni i uszczęśliwieni, oboje ucałowali mnie wedle ich tamecznego obyczaju; służący był właśnie jej ukochanym. Szczęść Boże - wołali. I podążyłem w stronę Renu”.

Małgorzata przerwała na chwilę i wręczyła Dionizemu kolorowy rysunek do pokazania wokoło. Niewiasty bacznie oglądały strój, który różnił się niektórymi szczegółami od ubrań holenderskich służących. Włosy ujmował ciasno przylegający lniany czepek; żółty trójkąt chusteczki przewiązywał głowę i zasłaniał uszy, odkrywając czoło. Końce chusteczki krzyżowały się na piersiach. Dziewczyna miała na sobie czerwoną suknię z długimi rękawami, wysoko podpiętą z przodu, ukazującą zieloną spódnicę, czerwone pończochy i wielką czerwoną kiesę ze skóry, zwisającą w dół. Żółte skórzane buciki o niskich cholewkach i kwadratowych nosach, nieczęste jeszcze w owych czasach, wzmocnione były paskiem na podbiciu, co nie stanowiło rzadkości i w prostackiej formie zapowiadało niechybnie mające się później pojawić diamentowe sprzączki.

Małgorzata czytała dalej:

„Ach, jakże na każdym kroku brakło mi Dionizego! Często siadywałem na drodze, głośno biadając. Pewnego popołudnia zdarzyło mi się sięść na skrzyżowaniu dróg, oparłem na rękę utrudzoną głowę i z ciężkim sercem myślałem o tobie, biedna najdroższa, i o mym utraconym przyjacielu, o małym domku w Tergou, gdzie kochano mnie niegdyś, a teraz znienawidzono”.

Katarzyna: - Niestety! że też tak myśli!

Eliasz: - Zamilknij, małżonko.

„Wzdychałem często i głośno. I gdym tak wzdychał, nadszedł ktoś z dołu wiodącą drogą, ćwierkając jak ptaszek. Ach, ćwir, ćwir - zawołałem z goryczą. - Nie utraciłeś ukochanej ani przyjaciela, ani ogniska rodzinnego w domu ojca, uśmiechu matki i ostatniego grosza. A gdy śpiewał dalej radośnie, skoczyłem na równe nogi i chciałem uciec w gniewie od tego drażniącego wesela. Zanim jednak odszedłem, spojrzałem w dół ścieżki, co mogło tak ucieszyć człowieka na tym pełnym udręki świecie; i patrzcie! śpiewak był garbatym kaleką, oko miał przewiązane krwawą opaską, brakło mu obu nóg po kolana.”

- He! he! he! he! he! - zarechotał Sybrandt.

Oczy Małgorzaty błysnęły gniewem, zaczęła składać list.

- Nie, dziewczynopowiedział Eliasz. - Nie zwracaj na niego uwagi. Ach, ty grubiański kundlu, spróbuj raz jeszcze, a wyrzucę cię za drzwi.

- Z czego to szydzisz, Sybrandcie - wtrąciła się łagodniej nieco Katarzyna. - Czyż nasza Kasia nie jest również upośledzona? A najbardziej z nas wszystkich zadowolona z życia i śpiewa jak drozd, gdy tylko ból pofolguje! Ale ja zachowuję się równie jak ty karygodnie. Czytaj, proszę, dalej i przerwij nasze głędzenie, dziewczyno, tym, co godniejsze słuchania.

„Tak przeto - powiedziałem - azali to możliwe? I zgromiłem siebie: Gerardzie, synu Eliasza, czyż masz prawo biadać nad swym losem, młodym i zdrowym będąc; tu oto wlecze się o kulach strzęp ludzki i sławi Bożą dobroć, śpiewając jak drozd”.

Katarzyna: - Widzicie?

Eliasz: - Cyt, kobieto, cyt!

„A kiedy mnie spostrzegł, przestał wyśpiewywać i przykuśtykał bliżej, jęcząc: Litości, dobry panie, litości, na miłość boską!) A jęk ów był tak żalony jak zawodzeziie wiatru. Niestety, biedaku - rzekłem - miłosierdzie mam w sercu, ale pustkę w sakiewce, jestem równie biednym jako i ty. - Nie uwierzył i chcąc wzbudzić litość, odwinął rękaw, ukazał ropiejącą ranę na ramieniu i rzekł: Mało, żem nieszczęsny kaleka, grozi mi, że stracę oko na dodatek, przyjrzyj się jeno! Spojrzałem, jęknąłem z żalu nad nim i, by się wytłumaczyć, opowiedziałem, jak obrabowano mnie do ostatniego miedziaka. Co usłyszawszy, w jednej chwili przestał skomleć i rzekł silnym, męskim głosem: Zabiorę przeto resztę. Ruszże się, młodziku, pociągnij za ten rzemień, nie bój się, ciągnij! - Pociągnąłem i para krzepkich nóg pojawiła się spoza pleców, połowa jego garbu stopniała, a rana oka sięgała tylko tak głęboko jak opaska”.

Wszyscy słuchacze Małgorzaty chórem jęknęli: - Och!

„Żebrak, ujrzawszy moje zdumienie, parsknął mi w nos śmiechem i orzekł, że nie warto oszukiwać takiego jak ja dudka, i ofiarował mi przeto swą protekcję. Powiedział, że moje oblicze jest prorocze. Co z niego można odczytać? - spytałem. Że, Matko Boska! jej posiadacz zdechnie z głodu w tym złodziejskim kraju - odparł. Podróż uczy młodego. Dawniej, odwróciwszy się plecami do tego oszukańca, zmykałbym jak od zarazy, teraz słuchałem cierpliwie, usiłując pozbierać okruchy dobrej rady. I słusznie uczyniłem: natura bowiem i pełne przygód życie nauczyły nieszczęsnego łajdaka przebiegłości; posiadał wiedzę szczególnego rodzaju, a ja zaiste byłem dzieckiem w porównaniu z nim. Gdy skończył polajanki, rzekł: Powinieneś opuścić Francję i skierować się w stronę Niemiec, ale nie myśl o powrocie do Holandii. Wędruj prosto na Augsburg i Norymbergę, tam raj dla rzemieślników. Stamtąd, jeśli chcesz, do Wenecji. Nigdy nie zechcesz zamieszkać w Italii, zakosztowawszy niemieckich miast. Jeden jest jedno rzetelny kraj w Europie - to Niemcy; a jako że jesteś rzetelnym człkiem, jam zaś wagabunda, Niemcy to kraj stworzony dla nas obydwu. Poprosiłem, żeby mi wyjaśnił, jakim sposobem ten sam kraj może nadawać się dla uczciwych ludzi i niecnych? Ach, ty żółtodzióbie - odrzekł. - Ponieważ w zacnym kraju mniej łajdaków, którzy szarpią ludzi uczciwych, i więcej uczciwych ludzi, których mogą szarpać łajdacy. Miałeś szczęście, żeś, będąc uczciwym, trafił na oszusta przyjaznego. Zostań moim kompanem - powiedział. - Idę do Norymbergi. Dojdziemy tam z wyładowanymi sakwami. Nauczę cię co to culdebois, culdejatte, jak żebrać, śpiewać i klepać pacierze, jak robić obrzęki, malować takie rany i wrzody na ciele, że sam czart by się na nich nie poznał.)”
Odpowiedziałem, że wolałbym umrzeć, niż ściągnąć taką hańbę na siebie i rodzinę.”

Elias: - Dobry chłopiec! dobry chłopiec!

„Cóż to za hańba zostać żebrakiem? Wielce dawne to i najczcigodniejsze z rzemiosł. Czyż inaczej postępowali święci, mnisi, biskupi i królowie, gdy pragnęli zasłużyć na łaskę Niebios? A co rzekniesz o umyciu nóg żebrakom, owym ulubieńcom świętych? Święci mieli swój rozum! - powiedział. I wyciągnął nogę przed siebie. Przyjrzyj się tej, mył ją największy z żyjących dziś królów, Ludwik Francuski, w ostatni Wielki Czwartek. A już dzień później, w piątek, strażnik w naszej wiosce zakuł ją w dyby. Odparłem przetoj że moje nogi, jeśli Bóg pozwoli, pójdą bezpieczną drogą uczciwości, omijając tak wysokie zaszczyty i tak wielką hańbę. Odparł, że jeśli nie mam dość dowcipu, by żebrać, wybaczy mi mój upór. Będę pracował pod jego kierunkiem, on będzie głową, ja rękami. Stał jak sędzia na kopczyku piasku i wypytywał mnie dokładnie, co mógłbym robić. Zacząłem od tego, że jestem silny i chętny. Ba - odparł - to i wół potrafi. Co możesz zrobić, czego Pan Wół nie zdoła? Umieć pisać; otrzymałem nagrodę za tę sztukę. Czy dasz radę pisać tak szybko jak drukarze? -

zadrwił. - Co jeszcze? Mógłbym malować. To już lepiej. - Miałem ochotę włosy rwać z głowy, słuchając jego słów i myśląc, że oto wybrał się do Rzymu, by pisać. Gram trochę na psalterionie. To dobrze. Czy potrafisz opowiadać? A jakże, znam wiele historii. Najmuję cię od tej chwili. Co mam robić - pytam. - Byle żadnego szachrajstwa. Panie Nieskalany - powiada. - Masz u mnie wikt przez całą drogę, znajdę ci tam robotę. Ja wezmę połowę tego, co zarobisz, ni grosza więcej. Zgoda - rzekłem i podałem mu rękę. Teraz, sługo mój, będziemy obiadować. Nie musisz stać za mym krzesłem z dwóch powodów: po pierwsze nie mam krzesła, po drugie więcej cenię koleżeństwo nad stan. Wyciągnął z sakwy mięso, drób i pieczywo, z tuzin gatunków korzeni zawiniętych w lniane gałganki i królewskie wino. Nigdy nie ucztowałem wykwintniej niż wówczas z sakwy żebraka, mego obecnego pana. Gdyśmy zacie podjedli, chciałem ruszać w dalszą drogę. Powiedział jednak: Nie godzi się na służbie poganiać panów i to tuż po posiłku, gdy ciało wymaga odpoczynku, umysł zaś skłania się ku rozmyślaniu. Ległem na plecach, patrzyłem spokojnie w niebo i zastanawiałem się, czy są żebracy na tamtym świecie. Odpowiedziałem, że znam jednego imieniem Łazarz. Czy potrafi lepiej ode mnie robić kadłubek? - zapytał z odrobiną zazdrości. O nie - odrzekłem - Łazarz, choć żebrak, był uczciwy, żywił się okruszami ze stołu bogacza i psy lizały jego rany. Sługo - powiada na to - wykryłem w tobie brzydką wadę: kłamiesz bez pomiarkowania. Gdy dudek bierze się do łgania, tyle to warte, co igraszki z diablím ogonem. Proszę Boga, byś się lepszym okazał w malowaniu niż strojeniu figlów, inaczej obiad mój poszedł na marne. Żebracy nie jedzą okruszyn, jeno spijają śmietanę, psy zaś nie liżą naszych ran, bo są sporządzone za pomocą jaskru, gorczycy, trutki na szczury lub gryzących kwasów - a tego wszystkiego nie psy, lecz nawet świnié nie cierpią. Robię swoje rany wedle własnej recepty, ale żaden pies nie liźnie ich po raz drugi. Ani chybi, kiepskim zrobił interes. Boję się, żeś nie tylko żółtodziób, ale i łgarz.

Nie raczyłem nawet odpowiedzieć na te kłamstwa, którymi oskarżałby niebiańską nawet niewinność jako fałsz za to jeno, że nie była jednej z nim myśli. Wstał i ruszyliśmy w drogę, by stanąć na placu, gdzie ledwie w odległości stajania od siebie były dwie niewielkie gospody, tuż przy drodze położone. Stać! - rzekł mój pan. - Oba szyldy spłowiąły do szczętu, tym lepiej dla nas. Wejdz do środka. Unikaj gospodarza, oczaruj żonę, zachwalaj pod niebiosa ich gospodę, ganiąc jeno co nieco szyld i rzeknij, iż odmalujesz go za bezcen. Wszedłem więc, powiedziałem niewieście, że jestem malarzem i chciałbym tanio odnowić jej wywieszkę; odprawiła mnie jednak niechętnie. Wracam do pana. Zrzedzi: Palce masz jeno, a język gdzie? Zły zrobiłem interes! Chodź ze mną i słuchaj, jak trzeba niewolić czapką i papką. Wysoki parkan oddzielał obie gospody. Mój pan ukrył się na chwilę za płotem i

wyszedł zmieniony w uczciwego kupca. Weszliśmy razem do dużej gospody i usłyszałem, jak zachwala ją tak gorąco, aż właścicielka spłonęła rumieńcem. Widzę tu jednak - dodaje - jedną tylko maleńką usterkę, godła na szyldzie macie spłowiałe. Rzeknijcie słowo, a za jednego srebrnego franka uczeń mój, najzdolniejszy, jaki kiedykolwiek u mnie terminował, odnowi je tak, że będą błyszcząły. Niewiasta się wahała, ale hultaj powiedział jej, że właśnie ukończył pracę w sąsiedniej gospodzie, która teraz lśni jak gwiaździsty firmament. Słyszysz, małżonku?- zawołała.- 'Trzy Żaby' odmalowały swe godła na szyldzie. Czyż pozwolimy, aby zaćmiły nasze Cztery Jeże. Malowałem tedy, a pan mój stał obok jak lord, rzucając światło rady i mrugając, abym nie zwracał na nie uwagi. Zarobiłem w ten sposób srebrnego franka. Ruszyliśmy z powrotem pod 'Trzy Żaby (po drodze przebrał mnie i przypiął brodę), gdzie naopowiadał pochlebstw o Trzech Żabach i o tym, jak przyozdobił 'Cztery Jeże'. Trzy biedne naiwne żabki wskoczyły w zastawione sieci, a ja zarobiłem drugiego srebrnego franka. Po wyjściu odszukał swe szczudła, wysłał mnie naprzód drogą, a sam pokazał drukowane rany (tak właśnie je zwał) i wszystkie kalectwa pod 'Czterema Jeżami', za co obdarzono go żywnością i pieniędzmi. Chodź, dzielimy się po równymi) - powiada. Dałem mu franka. Dobrym zrobił interes, mistrz z ciebie w rysunku, jeno potrzebujesz zbyt wiele czasu. Wyjaśniłem mu, że uczciwy rzemieślnik nie może pracować i dobrze, i szybko. To rób szybko - rzecze. Powiedział, że będzie mnie zwał Dziubaskiem, a ja mogę go nazywać Kuternogą, ponieważ poznałem go przy tej właśnie metodzie.

W następnym mieście mój pan Kuternoga kupił psalterion i zasiadł znowu na skraju drogi jak ten, który niegdyś sądził Marsjasza i Apollina, szukających próżnej chwały. Zagrałem na próbę. Nie najgorzej, jesteś muzykalny, Dziubasku - rzucił łaskawie. - Teraz nastrój własne struny. Zaśpiewałem słodką melodię, której nauczyli mnie zacni mnisi. I wówczas przypomniał sobie biedny Dziubasek, niegdyś Gerard, o dzieciństwie, o miłym domu i łzy napłynęły mu do oczu. Gdy podniosłem głowę, ujrzałem twarz mego pana; wyglądał jak wyrostek, któremu złożono skórę lub pijący najpaskudniejsze lekarstwo. Rany boskie, skończ to zawodzenie, bo mnie brzuch rozboli powiada - żaden chłop nie wyciągnie z kabzy złamanego grosza, mleko skiśnie w piersiach matek, bydło skoczy do rzeki, by jeno tego nie słyszeć. Łobuzie przewrotny, na tom ci kupił piękny, nowiutki psalterion, żeby rozmyślać o śmierci? Są przecie pieśni, co radują serce i napełniają kieskę minstrela. Zaśpiewał taką bluźnierczą i w dodatku sprośną stancę, zem odskoczył na bezpieczną odległość, by piorun, który weń trafi, nie zniszczył naszego psalterionu. Skoro jednak z powodu zimy piorun nie uderzył, rzekłem: (Miłosierny jest Pan nasz. Gdybym sam dzierżył piorun w dłoni, byłaby to ostatnia twoja sprośność, łajdaku o plugawym języku. O co ci

chodzi, Dziubasku - zapytał.- Alem zły zrobił interes! Masz przewrotne serce dogmatyka!))
Poradziłem mu tedy aby dmuchał we własną kaszę i nie mieszał się do mnie, nigdy bowiem sprośnymi pieśniami nie zhańbię mojej rodziny. Przy pierwszym tedy ognisku, co je rozpalimy przy drodze - powiada zgryźliwie - kładź swój instrument na podpałkę, choć strawę na nim ugotujemy, bo twoje:

Ludkowie, ponure nasze twarze pościmy, oczyścić chcąc sumienia przez nos miauczenie grzech wymaże wśród jęków niech płyną Boskie pienia nawet na to się nie zda. Tyle samo co wędrować przez Lotaryngię, wołając: Mulleygrubs, Mulleygrubs, kto kupi mą Mulleygrubs Żli na siebie obaj szliśmy dalej. Nagle przyszła mi pewna myśl do głowy i poprosiłem, by zanucił raz jeszcze którąś ze swych nieskromnych przyśpiewek. Rozchmurzył się i począł wyśpiewywać sprośności jak słowik. Zatkaną palcem uszy: Bez słów; samą melodię! Bacz, Małgorzato, jak wielka jest chytrłość Złego: z najpodlejszą treścią najwdzięczniejsze piosnki łączymy.”

Katarzyna: - Święta to prawda!

Sybrandt: - Skąd wiecie, matko?

Korneliusz: - He, he, he!...

Elias: - Cisza, niespokojne nicponie, dajcie mi słuchać chłopca. On od was mądrzejszy, mędrszy nad swe lata.

„Cóż to znowu za błazeństwa? - zapytał mój pan, lecz mimo to usłuchał i nauczyłem się trzech spośród jego melodii, nie pozwoliłem jednak, aby Kuternoga odgadł, com zamyślał. Koniec wieńczy dzieło - powiada przysłowie. Tymczasem zrobiła się noc, blisko było miasteczko i każdy ruszył do innej oberży. Mój pan nie chciał rozstać się ze swymi lachmanami i ranami aż do rana, ja zaś nie miałem ochoty wejść do gospody w kompanii obdartusa. Mieliśmy zatem spotkać się o brzasku na drodze. Mieszkivaliśmy więc osobno, spotykaliśmy się rankiem, rozstawali wieczorem za miastem. Gdym budził się o północy i rozważałem, dobre myśli przychodziły mi do głowy, a serce wnet jasno pojmowało. Przypomniałem sobie, żeś ty, Małgorzato, sprzeciwiała się zabraniamu kieski burmistrza. To kradzież - rzekłaś - jakkolwiek chciałbyś to nazwać. Alem chciał być mądrzejszy niż lepsi ode mnie; dobro, co trafiło do mnie z kradzieży, inni mi ukradli. Lekko przyszło, lekko poszło. Powiedziałem wtedy sobie: Niebiosa nie okrutne są, lecz sprawiedliwe - i ślub złożyłem, że gdy jeno zdołam, odeślę burmistrzowi wszystko co do szylinga. I wyruszyłem tego ranka smutny, lecz pełen nadziei. Sumienie moje było lżejsze, gdy kieska przepadła. Pan mój stał o kulach przy rogatce. Oświadczyłem mu, że wolę inne przebrania. Żebracy nie mogą wybredzać - odparł. Po niedługim czasie prosił, bym go rozwiązał, albowiem poczuł się

marnie. W głowie mu się kręciło. Powiedziałem mu, że nie może być zdrow, wykoszlawiając naturę. Nie odpowiedział, wyglądał jednak przestraszony, ręką podpierał głowę. Niebawem jęknął, upadł na ziemię i wił się w okrutnej męce. Przeraziłem się i nie wiedziałem, co uczynić; chciałem go podnieść, ale było z nim coraz gorzej; straszliwie zgrzytał zębami, toczył pianę z ust; ciało wyginał w łuk, wstrząsało nim do góry i w dół. Odprawiłem egzorcyzmy, ale jeszcze gorzej mu się zrobiło. W niedalekim rowie było trochę wody, niezbyt czystej; ale skoro biedaczysko walczył ze śmiercią, napełniłem kapelusz i przybiegłem pędem, by cucić go wodą. Tymczasem mój pan w nos mi się roześmiał. No, Dziubasku, nie zapomniałem jeszcze swego zawodu, jak widać po twojej bladej gębie. Stałem, trzymając ociekający wodą kapelusz, i patrzyłem szeroko otwartymi oczami. Czyżby to udawanie? Dlaczego nie? - odrzekł. - Prawdziwy napad choroby to rzecz straszliwa, ale gdzie mu tam równać się z moim! Sztuką udoskonala naturę. Ależ patrzajże, jeszcze cieknie ci krew z nosa - zauważyłem. Wielkie rzeczy, podrapałem słomką nozdrza. Toczyłeś pianę z ust. Mały kawałek mydła robi masę piany - wyciągnął z ust kruszynę wielkości fasolki. - Podziękuj, Dziubasku, swojej dobrej gwiazdzie, co przyprowadziła cię do godnego mistrza. Co dzień nowa nauka. Jutro wyuczymy się jeszcze culdebois i innej wiedzy. Dziś zawdzięczasz mi księcia opętanych i wszelkich innych fajnych towarzyszy. Dumny, zapomniał o wczorajszej sprzeczce, rozgadał się szeroko o żebrakach i o mnie, który dotąd sądziłem, że żebrak to żebrak i na tym koniec; wymienił nazwy i jakości co najmniej trzydziestu gatunków mistrzowskich i zręcznych żebraków we Francji, Niemczech i Anglii - trzech doń należących prowincjach; tak bowiem ubogi a pyszny łajdak zwie owe trzy królestwa, gdzie - sądzę - dyby były dlań tronem. Blisko już następnego miasteczka ktoś pozostawił taczki i poszedł na obiad. Obwieś rzecz: Zwinę się w kłębek i wejdę na taczki. Powiesz biednego starego tatę i tak przy mym kalectwie a twojej pobożności obedrzemy durniów z grosiwa. Odmówiłem. Zgodziłem się pracować dla niego, ale nie przyłożę ręki do żebraniny. A popychanie taczek z 'proszącym' to nie praca? - pyta. - I rzuć jeszcze tamten mały kamień. Czekał, przybrudzę go nieco i przysięgam, że to kawałek świętego grobu, a ty wiesz go wraz ze mną z Jeruzalem". Ja na to: Może to i praca, może nawet ciężka - wieźć takie dwa łgarstwa, człeka i kamień - ale nieuczciwa. To zabawa z czarcim ogonem, jak mówiłeś. Poza tym, panie mój, jak następnym razem będziesz mnie kusił do łotrstwa, nie mów do mnie o mym biednym starym ojcu. Przypomniałeś mi o mym prawdziwym rodzicu, najuczciwszym człowieku w Holandii. W niezgodzie jesteśmy teraz, niestety. Choć go obraziłem, wstydu nie ściągnę nań nigdy. Droga Małgorzato, gdy łotr ów rzekł twój stary, biedny tato, zdało mi się, iż nóż przebił me serce. Dobrze - rzekł ponuro mój pan - wiem, że zły interes zrobił. Zatrzymał się

i popatrzył na przydrożne drzewo, mówiąc: Przeczytaj, co na nim napisane. Przyglądam się i nic tam nie widzę jeno wyrysowany długi czworobok. Mówię mu to. Dużo pożytku z twej mnisiej uczoności - rzecze. Nieco dalej znów posłał mnie, bym czytał na murze. Tam znów małe kółko wyskrobane gwoździem lub końcem noża na kamieniu, w kółku dwie kropki. Mówię mu to. A on: Dziubasku, ten prostokąt to ostrzeżenie. Jakiś dobry włóczęga, co mijał to miasto udając się na zachód, pozostawił je dla nas. Znaczy to: niebezpiecznie. Koło z dwiema kropkami wrył inny z naszego bractwa, by uprzedzić, że ten, co pisał - może Roluś Krępak, może Trybuch lub Wnykarz - został tu capnięty za proszenie i siedział dwa miesiące w ciupie. Ponosił go zapał. Co tu gadać o twych zakichanych książkach, co wejda w sakwy. Ja trzy księgi mam: Francję, Anglię i Niemcy - jednym wszędzie pisane językiem, który rozumieją bracia moi we wszystkich krajach; i to nazywam uczonością. Skoro tu biją za rany i więżą za kalectwo - hyc! do mej przebieralnio - skoczył za płot i powrócił zamożny. Mijaliśmy niedużą mieścinę. Usiadłem na pagórku i tak jak uczeń golibrody ostrzy brzytwę na kamieniu, pierwszy raz spróbowałem psalterionu w tej osadzie, obawiając się wielkich miast. Nastroiłem instrument, delikatnie trącając struny dwoma drewnianymi młoteczkami, i zaśpiewałem głośno i czysto, jak czynią tamtejsi minstrele:

Qui veut ouir qui veut savoir głuństwo jakieś, nie pomnę co. Otoczyli mnie gromadą wieśniacy - mężczyźni i niewiasty; przestałem tedy śpiewać i opowiedziałem im przy wtórze psalterionu krótką, lecz nader wesołą opowieść z Żywotów Świętych, które są mą podręczną książką i zbiorem uciesznych opowieści. A kiedym skończył, uderzyłem w struny i zagwizdałem jedną z diabelskich melodyjek Kuternogi, przygrywając sobie na psalterionie w dodatku. Wiesz, że Niebiosy obdarzyły mnie rzadkim kunsztem dźwięcznego i donośnego świstu. Gwizdałem wesoło i głośno tę żywą piosneczkę, uderzając wolniej w struny, gdy melodia płynęła żwawo, a lekkim rytmem wtórując poważniejszej. Czasem dobywałem wysokiego i drżącego dźwięku jak skowronek w powietrzu - ludzie mało mnie nie zjedli z zachwytu. Gdy rozejrzałem się wokół, ujrzałem, niestety! mego pana, który dał upust swym skłonnościom i ustawił na ziemi kapelusz, do którego sypano miedziaki. Sądziłem, iż rzeczą okrutną jest gwizdem wyłudzać chleb z kieszeni biedaków, przerwałem tedy i umknąłem, choć nie mogłem uciec chyżo, bo dum chłopów i niewiast ścisłał mnie rozczulony mocno, zionąc czosnkiem. (Cóż, panie mój - rzekłem - taką robotę nazywam dzieleniem czarta na dwoje i zabranie sobie jego lepszej połowy. On na to: Dziubasku, dobry zrobiłem interes. Potem kazał mi poczekać na miejscu, sam bowiem idzie do Ziemi Świętej. Skoczył przez niski murek na cmentarz, gdzie grabarz w ową chwilę kopał grób. Mój pan targował się z nim przez chwilę i wrócił, dzierząc kość palcową. Dopiero po obiedzie dowiedziałem się, czemu

zwał cmentarz Ziemią Świętą. Malowałem właśnie godła na szyldzie małej gospody, a on siedział przy mnie nader cichy i spokojny, statecznie przycinając i polerując kości. Zapytałem go, czy słodka jest uczciwa praca? Jak woda kryniczna - zadrwił. Co robisz? spytałem. Kości, by zagrać z tobą. Lub też, uczciwszy uszy, kciuk świętego Antoniego i mały palec świętego Marcina dla pobożnych. Wagabunda! Teraz wiesz, słodka Małgorzato, jak wygląda nasze życie w czasie wędrówki w stronę Renu. Dwie moje umiejętności, które najmniej cenilem i na które najmniej liczyłem, by mogły dać mi chleb, mile wszędzie przyjmowano. Jestem zbyt ubogi, aby obawiać się rabusiów, lecz zdolny utrzymać w drodze nas obu, pana i sługę, albowiem wieczorami często malowałem portrety oberżysty i jego damy. Przeto wychodziłem z gospody bogatszy, niżem do niej wchodził, co rzadko komu się zdarza. Pan mój gardził jednak takim życiem bez odmiany. Lubię wzloty i upadki - oświadczył. I nie brakowało mu ich na pewno. Jednego dnia uzbierał więcej srebra niż ja w trzech dniach; innego, jeśli wierzyć jego gadaniu, zamiast miedziaków, co znaczy grosze, cały dzień obrywał kopniaki. Nawet wówczas w duchu pogardzał moją biedną, akuratną duszyczką, lekceważył moje sztuki, zachwalając swoją własną: udawanie. Ale czasami tracił kontenans. Przechodząc przez miasto Aix, napotkaliśmy żebraka, który szedł przywiązany za rękę do wózka, a za nim kroczył kat, biczując nagie, skrwawione plecy włóczęgi. Ów potężny drab nie okazywał najmniejszej skruchy, ja zaś jęczałem przy każdym uderzeniu, a pan mój spuścił nisko głowę. Wcześniej czy później, Dziubasku - rzekł. - Wcześniej czy później... Patrząc na jego strapioną twarz zrozumiałem, co ma na myśli. W innym, położonym nad dużą rzeką mieście, nazwa uleciała mi z pamięci, podchodząc do mostu przystanął drżący. Co się stało? - spytałem. Czyś ślepy - powiada. - Tu czynią sprawiedliwość. Przeto potrzebował jeno łodzi, aby na niej przepłynąć rzekę, ale, jak mówi przysłowie, wpadł z deszczu pod rynnę, przewoźnik natychmiast bowiem powiedział, w czym rzecz: skazano mężczyznę i kobietę za kradzież szklanych okien z domów; mężczyznę powieszono o świcie, a gałganicę mają topić. Och, biada mi! Właśnie zrzucono ją z mostu i wpadła niedaleko od nas w wodę. Ach, Małgorzato, ten plusk śmierć zwiastujący! Jeszcze teraz dźwięczy mi w uszach. Ale miało stać się coś jeszcze gorszego. Mimo iż była skrępowana, wypłynęła na powierzchnię i krzyknęła: Ratunku! Ratunku! Słyszac głos niewieści, co pomocy wzywa, zapomniałem o wszystkim, omal nie skoczyłem do wody, i na pewno bym to zrobił, ale wioślarz i Kuternoga wzięli mnie pomiędzy siebie, a za chwilę pacholek kata, który czekał w łodzi, zaczął zakrzywionym drążkiem o jej długie włosy, pchnął na głębinę i skończył życie nieszczęsnej. Och! gdybyż święci szybko odpowiadali na nasze wołanie ratunku. Biedny Kuternoga jęczał, ja szlochałem i biłem się w piersi: O Panie, z czegoż stworzyłeś serca ludzkie?" Małgorzata przerwała

czytanie, a łzy płynęły jej po policzkach. Gerard, płacząc w Lotaryngii, zmusił ją do płaczu w Rotterdamie. Mile dzielące ją od ukochanego nie więcej dla niej znaczyły niż rozmiar pokoju.

. Eliasz, wzruszony urywkami listu i kobiecym urokiem lektorki, powiedział dość łagodnie: - Odpocznij, dziewczeczko. Zdaje mi się, że ktoś z was znalazłby stołeczek, aby mogła oprzeć nogi. Jej czas już blisko.

- Chętnie zrobiłabym dla niej o wiele więcej, gdybym tylko mogła się odważyć - powiedziała Katarzyna. - Masz tu, Korneliuszu - wyciągnęła własny mały drewniany podnózek i zacny młody człowiek, który nienawidzą Małgorzaty dziś więcej niż kiedykolwiek, musiał wziąć stołeczek i wsunąć jej ostrożnie pod nogi.

- Bardzo jesteście dobra, pani - szepnęła. - Zaraz będę czytać dalej, jeno tym mogę się wam odwdzięczyć.

„Widząc, iż mój pan szary jak popiół i srodze przejęty, miałem nadzieję, że to okropne wydarzenie w porę go ostrzeże, i starałem się sprowadzić go ze złej drogi, rozprawiając o grzesznikach i nieuchronnym ich końcu! Za późno - rzecz - za późno! - i zgrzytnął zębami. Odrzekłem na to, iż za późno jest umiłowanym słówkiem szatana, który lubi podsuwać je skruszonym grzesznikom.

Grzeszniku, nie toń w rozpacz, wszak Bóg ci wszystko wybaczy.

Za późno - powtórzył, zaciął zęby i twarz wykrzywił, jakby zmija kasały go w serce. Lecz, ukochana moja, były to myśli niestałe jak płynąca woda. Jeszcze nim opuściliśmy miasto, śpiewał wesoło. Za bramą grodu inny opryszek wisiał na gałęzi niewysokiego drzewa, może jard nad ziemią. To przerwało śpiew włóczęgi, ale gdy uszliśmy następane stajanie, udał, że zgubił swój różaniec i zawrócił klusem z niegodziwym zamysłem, jak się o tym dowiesz. Szedłem powoli naprzód, często przystając, on zaś nadbiegł kuśtykając o jednej nodze, i to przewiązanej. Zapytałem go, jak tego dokonał, bo rzeczywiście robota była mistrzowska. To moja tajemnica. Jeśli chcesz ją poznać, musisz wstąpić do bractwa. Przeszliśmy właśnie wąską uliczkę; przy wejściu wykrył znów napis na kamieniu, mówiący żebrakom znakiem małych widełek, że tędy należy się kierować. To o tym domu - powiedział. - Nie odchodź daleko. Wszedł do wnętrza i wyszedł z groszem, żywnością i winem. Klepnął się dumnie po swej jedynej nodze: To ona, noga, mój parobek, załatwiła dziś sprawę. Potem rozwiązał opaskę i zadowolony ukazał mi dziurę w łydce, do której mogłabyś włożyć rękę. Gdybym nie znał jego sztuczek, ta noga skłoniłaby mnie do oddania ostatniego grosza. Znowu mijaliśmy jakieś gospodarstwo. Skierował się w tę stronę. Stałem na drodze dumając, czy nie uciec i nie porzucić go, nie narażając się na wstyd przed sobą. Jeszczem nie zdecydował, gdy przy wtórze ogromnego hałasu wypadł na drogę mój pan, a kmieć wraz z parobkami okładał go

kijem. Kuternoga uciekał ku mnie krzycząc i kulejąc, albowiem wieśniacy nie żalowali razów. Czekwały go zresztą gorsze jeszcze kłopoty. Jakiś złośliwy drab spuścił z łańcucha ogromnego jak młody osioł psa, który podbiegł, warcząc, za włóczęgą i, dopadłszy go, zbił natychmiast z nóg. Widząc, że śmierć, do której był tak nie przygotowany, grozi nieszczęsnemu, łajdakowi, wyciągnąłem sztylet i z krzykiem skoczyłem na ratunek. Zanim zdołałem się zbliżyć, olbrzymi pies urwał żebrakowi sztuczną nogę i pobiegł warcząc na swe legowisko. Kuternoga rozplatał węzeł i gnał z rozwianym włosiem, opędzając się przed nie istniejącymi psami, kręcił kulami młynka w przód i w tył jak oszalały wiatrak. Uciekł aż do drogi. Szedłem za nim bez pośpiechu i zastałem go obiadującego. Przekłęte brzechuny! - powiada. I nic innego nie słyszę podczas obiadu jeno: Przekłęte brzechuny.

Stwierdziłem, że życzylbym sobie wiedzieć, kim są, nim będę je przeklinać. Brzechuny? To znaczy psy. Nawet tego nie wiess? Alem kiepski zrobił interes. No dobrze, dobrze, jutro będziemy w Niemczech. Ludzie tam Wielce radzi są muzyce i nie prześladują żebraków, jeżeli nie są przy tym oszustami, wtedy topią nas bez litości, czarty przekłęte! Doszliśmy do Strasburga. Patrzałem na Ren z sercem pełnym tęsknoty. Nurt tak był szybki! Zdało mi się, iż płynię by otulić Sevenbergen swymi miękkimi falami. Kawałek drewna i wiosło mogłyby mnie bez trudu ponieść ku tobie, śpiąc nawet płynąłbymw stronę domu. Bolesna to była pokusa. Pomyślałem jednak, że rodzina przyjmie mnie niezyczliwie, wyszydzą sąsiedzi, gdy wrócę nie, jak pragnąłem, zwycięski, jeno taki jak teraz: pobity i okryty niesławą, która spadnie również na ciebie - i powstrzymałem swą chęć powrotu; wzdychając i spoglądając poza siebie na Ren kochany, odwróciłem zasmuconą twarz i z ciężkim sercem skierowałem kroki ku Augsburgowi”

- Biada mi, pani, biada! Wybaczcie mi, dobry panie Eliaszu! Nie mogę nigdy czytać tego ustępu bez odpoczynku. Tracę oddech. Niestety! Czemuż nie posłuchał głosu serca? Nie dość jeszcze przeszedł niebezpieczeństw, czy zbyt mało zaznał smutków? Biada mi, biada nieszczęsnej!

List wypuściwszy z ręki, opadła na poręcz krzesła jak złamany kwiat.

Zastukało coś po podłodze, to mała Kasia z zarumienioną buzią, płonącymi oczami, przykuśtykała o kulach, pragnąc ją pocieszyć.

- Wody, matko - zawołała. - Boję się, że zemdleje.

- Nie, nie, nie obawiaj się o mnie - szepnęła cicho Małgorzata. - Nie chcę sprawić kłopotu. Twoja dobroć już pokrzepi me serce, słodka panienko Kasiu. Jeżeli się ty troszczysz o mnie, Niebiosa nie mogą odmówić opieki.

Katarzyna: - Słyszysz, małżonku?

Eliasz: - Tak, żono, słyszę i wyciągam wnioski.

Kasia powróciła na miejsce, a Małgorzata czytała dalej,

„Niemcy bardziej niż Francuzi lubią mieć godła na szyldach. Miałem dość roboty każdego dnia. Podczas gdy malowałem, mój pan mnie opuszczał, zrzucił ubiór, przyoblekał się w łachmany i kalectwa i ruszał skubać gęsi, jak zwał swe zajęcie. Co uczyniwszy, wracał, żądał połowy mego zarobku, świdrując niespokojnymi oczyma pytał, czy potrafiłbym być takim nędznikiem, by dzielić dochody na trzy części, miast na dwie. Ażem zagroził mu wreszcie, że może na dodatek oberwać po łbie za swą podejrzliwość, brał więc odtąd należność, udając, że mi ufa, choć rozbiegane oczy kłam mu zadawały.

Pokłóciliśmy się zaraz na początku w Niemczech. Widziałem, że od żony więziennego klucznika kupił czaszkę i nader gorliwie ją polerował. Medytowałem, jak może nosić to memento i nie żałować za grzechy, mając przed oczyma kres doczesnej wędrówki? Aliści przyłapałem go, jak sprzedawał ją jakiejś niewieście, wmawiając jej, że - to głowa świętego Barnaby, dodając bajeczkę, która oszukałaby nawet Hebrajczyka. Wyrwałem czaszkę z ich rąk i wrzuciłem do rowu. Ach ty bezbożny łajdaku! - krzyknąłem. - Chcesz jako głowę świętego sprzedać czaszkę zmarłego złodziejaszka, twego brata? Umknął przede mną. Ale głupia baba. podreptała do rowu, z szacunkiem otarła fartuchem czaszkę Barnaby czy Barabasza z kurzu i podbiegła z nią do domu. Powiedziałem sobie: Non vult anser velli, sed populus vult decipi.”

Katarzyna:- Oto piękna łacina.

Eliasz: - Co to znaczy?

Katarzyna: - Tego nie wiem, ale poznaję łacinę, czyż to nie wystarcza? Gerard jest perłą wśród mego potomstwa.

„Powiedziałem mu wtedy: Zabieraj swój psalterion i tu się rozdzielmy, boś zbrodzień prawdziwy z piekła rodem. Wówczas, o dziwo, mój pan padł na kolana i błagał, abym się ulitował i nie odpędzał go od siebie. Cóż stanie się ze mną? Tak bardzo umiłował uczciwość! Ty kochasz uczciwość? - pytam. Tak - powiada - nie żeby tak postępować, broń Boże i wszyscy święci, ale miło patrzeć na to. Cóż to za miła rzecz spojrzeć na uczciwość! Dobry Dziubasku - uświerkłybys z głodu, gdyby nie ja. Nie kop precz drabiny, na której siedzisz. Zwiesz to sprawiedliwym? Poskrom swój gniew. Miej litość nade mną! Muszę mieć kamrata, a jakże bym mógł znieść kompanię takiego jak ja sam po tak uczciwym chłopcu jako ty? Mógłby mi przecie gardło poderznąć, aby zrabować grosze zaszyte w trzosie. Mam tego niewiele, niewiele... Z tobą wędruję, którądy chcę, a z jakimś łajdakiem nie miałbym odwagi

zapuścić się w wąską uliczkę. Wybacz mi. Teraz już wiem, gdzie cię boli, będę omijał to miejsce, skubiąc jeno świeckie gąski. Zgoda - odparłem.

Przykład działał na niego. Obiecał być uczciwym człkiem aż do Norymbergi. A to jeszcze daleka droga. Widząc, że jest tak pokorny, powiedziałem: Zrzuc te łachmany i ochędóż się jak należy, łatwiej mi będzie zapomnieć, kim jesteś.

Tak uczynił. Zasiadliśmy tedy razem, aby uczcić zgodę. Nadszedł właśnie czcigodny pielgrzym w kapeluszu przybranym wieńcem muszelek z Ziemi Świętej i z wielkim różańcem u pasa, o paciorkach niczym kacze jaja, w sandałach zamiast trzewików na nogach. Opierał się, znużony, na długiej lasce i ofiarował nam kupno muszelek na sztuki. Mój pan nie chciał. Chcąc zachęcić go dobrym przykładem, wziąłem jedną, dałem za nią dwa grosze biednemu pielgrzymowi, on zaś mnie pobłogosławił. Zaledwie odszedł, usłyszeliśmy dzikie krzyki i ujrzeliśmy żalony widok - mężczyznę wiodącego na łańcuchu oszalałą kobietę, odzianą w łachmany i wyjąca wilczym głosem. Gdy zbliżyli się do nas, nieszczęsna jęła drzeć na sobie łachmany. Mężczyzna prosił o jałmużnę i opowiedział swe straszne dzieje. Szalona była jego żoną, on zaś nie mógł pracować na swym polu i zostawić jej w domu, gdyż niechybnie podpaliłaby obejście. Nie mógł też jej wyleczyć bez pomocy świętych Pańskich, ofiarował tedy sześć funtów wosku świętemu Antoniemu, aby zechciał wrócić nieszczęsnej zdrowie, i teraz musi żebrac u miłosiernych ludzi o pieniądze. Niewiasta słuchała nas czujnie i nagle rzuciła się na mnie swymi długimi szponami. Zmartwiałem ze strachu - ze swą płonąca twarzą, wywróconymi oczami i paznokciami jak ptasie szpony była podobna do diabła. Mężczyzna pociągnął łańcuch i zaczął tak okrutnie smagać ją za to biczem, że krzyknąłem: Daruj jej, daruj! Nie wie, co czyni - i dałem mu grosz. Gdy odeszli, powiedziałem: Nie wiem doprawdy, które z nich dwojga bardziej godne litości. Pan mój roześmiał mi się w twarz. Nie lituj się zbyt łatwo, Dziubasku - powiada. - Gromisz swego biednego pana ubogiego, dobrego i prawie z kośćmi pocziwego i rozdajesz jałmużny szybałom Co to znaczy? - spytałem.

Szybał to oszust, który udaje szaleństwo. Ona należy do naszego bractwa, ta oszukanica, i zgrabnie, przyznać muszę, udawała opętana. Czerwieniłem się za nią i za ciebie. Albo i to; dałeś dwa grosze za muszelkę z Ziemi Świętej, choć nie przyniesiono jej z dalsza niż z Normandii. Sam zbierałem je tuzinami na tym wybrzeżu i sprzedawałem pielgrzymom fałszywym i prawdziwym, i takim jak ty żółtodzióbom. Jakżeż? - spytałem. - Więc tamten czcigodny pielgrzym?...

Także nasz! - krzyknął Kuternoga. - Jeden z naszych. We Francji zwą ich coquillarts, a tu calmierers. Pomstujesz na mnie za sprzedaż fałszywej relikwii, a trwonisz zarobek na oszukalników, którzy tym handlują. Powiadam ci, Dziubasku, nie ma już ani jednej

prawdziwej relikwii na całej ziemi. Święci pomarli przed tysiącami lat, ich kości w proch się rozpadły; ale handel relikwiami trwa od niedawna. Czterdzieści tysięcy włóczęgów w Europie żyje ze sprzedaży szczątków czterdziestu czy pięćdziesięciu ciał. Och, jakie to widome kłamstwo! Drzazg 'prawdziwego' Krzyża starczy, by wybudować katedrę w Kolonii. Czemuż by biedny Kuternoga nie miał w tym tłumie zarobić grosika. Jesteś przekłęty tyran, a nie sługa, pozbawiając swego pana należnego mu udziału wśród takich... synów pielgrzymów zwykłych i takich, co z Ziemi Świętej wracają, i dominikanów, franciszkanów i braci od św, Krzyża, albowiem oni wszyscy są z naszego bractwa, tyle jeno, że to mistrze, a my praktykanci w chytróści. Taki bowiem miał język wymowny i długi. Dość niecnego mędrkowania - odparłem - i powiedz lepiej, co za kompania tu nadciąga. Cyganie - krzyknął. - Tak, tak, to pewnie reszta bandy. Nigdy oczy twe, Małgorzato, nie oglądały tak pstrokatego tłumu. Na czele szedł drab z chorągwią na lancy ze stalowym ostrzem, uzbrojony w wielki długi miecz, odziany w welwetowy kubrak i skórzane spodnie, jakich nigdy jeszcze nie widziałem na żadnym śmiertelniku. Nad jego hrabskim kołpakiem wesoło powiewały pióra, na plecach niósł pęk bitego drobiu, a sądzę, że łajdak nie zdobył go uczciwą drogą. Niewiasty i dzieci jechały na dwu nędznych koniach, po bokach ich dźwięczało jak skórzany bęben, bowiem dzwoniły o nie kotły i kociołki. Dalej uzbrojony chłop jechał na koniu zaprzężonym do wozu pełnego kobiet i dzieci; w wozie usadowił się, tyłem w kierunku jazdy, wesoły, leniwy drab z piką w ręku, opierając dobrze obute nogi na wiadrze z wodą święconą. Obok świeżo okocona kotka siedziała wśród kocząt mrucząc i mrużyła ślepią. Na plecach kawalerajadącego wierzchem na owym koniu pociągowym sterczał okrągły tłumok, z którego wyzierał kogut i piał z zapalem, biedny zawadiaka, dumny, jako inni, ze swych świetnych piór, mający zaś po temu większe prawo, jako że były to jego własne pióra. Inna niewiasta, z niemowlęciem, jechała na ośle; jeszcze inna biedaczka ledwie się wlokła, tak blisko była rozwiązania, a trzymała dwoje dzieci za ręce, usiłując bezradnie pomóc im w drodze. A dziecięta owe wprost ucieszne były. Niektóre z nich kłusowały na kijkach z końskimi głowami i tak brykały i dokazywały, że w końcu owych małych, ustałych do cna i płaczących jeźdźców zabierano do wozów i uspokajano kułakiem. Inny, poważniejszy dzieciak cały tonął w męskim kapeluszu z piórami; szedł pogrążony w egipskich ciemnościach, a dziewczuszka wiodła go za rękę. Jeszcze inny niósł olbrzymi rondel na plecach i potężny, na trzy stopy wielki gliniany gar na głowie i ramionach, który pochłaniał go całego, tak że również szedł po ciemku; prowadziła go jednak ukochana, równie jak on sam na trzy stopy wysoka. Gdy przeszli i naśmialiśmy się do woli, powiedziałem: Mimo wszystko litość bierze dla każdego z

tej jarmarcznej bandy, zwłaszcza dla biednej kobiety tak bliskiej połogu, która ledwie się wlec może, a jeszcze, biedactwo, pomaga słabszym w drodze.”

Katarzyna: - Nie, nie, Małgorzato. Bądź dzielna, dziewczyno. Nie jesteś przecież Cyganką.

Kasia: - Nie, matko, nie w tym rzecz. Sądzę, że pomyślała o ojcu. I, kochanie, po cóż wprowadzasz ją w pomieszanie swymi uwagami?

Ryszard: - Tego samego jestem mniemania.

„Wyśmiał mnie znowu. Zwą się oni tu boltreger, a ty marnujesz litość, perły rzucając przed wieprze. Kłamiesz - rzekłem. Czas pokaże, poczekaj, aż rozbiją obóz - odparł. Zjadłszy posiłek wędrowaliśmy dalej i napotkaliśmy ich obóz rozbity na gromadzkim wygonie obok drogi, pomiędzy dwoma wielkimi drzewami. Rozpalili ogromne ognisko pod kotłem; z jednego z drzew, pochylonego nad ogniem, zwisało koźlę przywiązane na łańcuchu do rozwidlonej gałęzi; mały pędrak wspiał się na konar i obracał w porę łańcuch, aby uchronić mięso od spalenia. Wesoły drab z piórami na kołpaku nożem dzielił owcę, jeszcze inny na pieńku odrąbywał jej nogę, a kobieta kończyła dumny żywot koguta, ukręcając mu łeb. Pod drugim drzewem czterech drabów grało w karty, klócili się, klnąc bez przerwy. Jeden z owych sprośnych oszukałników miał muszelki na kapeluszu i był moim czcigodnym pielgrzymem. Niewiasta zaś, młoda i urodziwa, wystrojona jak motyl, reperowała pracowicie stos brudnych łachmanów. Kuternoga rzekł: To właśnie owa oszukałnica. Przyjrzałem się z niedowierzaniem, popatrzyłem raz jeszcze, i prawdziwie tak było. U jej stóp siedział mężczyzna, który niedawno ją biczował. Sądzę jednak, że dobrze wiedział, gdzie uderzyć, źle by na tym wyszedł, srodze bowiem nim pomiatała. Musiał nawlekać jej igłę, co czynił bardzo pokornie. Tak więc jak szydło z worka wyszła na jaw cała odgrywana farsa i Kuternoga pouczył mnie, że tak było zawsze w obozie z szybałkami i ich mężami. Niewiasty tylko na krótką chwilę pozbywają się swej władzy. A poza tym rządzą, strojne w błyskotki, mężczyzna zaś nie śmie się ani trochę sprzeciwić takiej <

Współczułem niewieście, że w takiej chwili jest w tłumie, ale mnie ofuknął: Mógłbym raczej litować się nad królowymi i księżniczkami domów panujących, które prawo skazuje na publiczne stękanie. Muszą jęczeć pośród szlachty i dworaków, więc się ze wstydu i żalu, są bowiem córami zacnych matek, te zaś Cyganki tyle mają wstydu co wilki litości, a zając odwagi. Ach, Dziubasku, znowu wykryłem w tobie pożałowania godną wadę - trwonisz litość, I dlatego pewnie jej skąpisz dla twego biednego i dobrego pana, który powolny jest ci w dzień i w nocy. Podeszliśmy bliżej; mój żebrak rozmawiał w jakimś dziwnym hebrajskim narzeczu, z którego nie rozumiałem ani słowa. Biedni włóczędzy przyjęli nas

grzecznie i niczego nie odmawiali. Do tego, co posiadali, odnosili się wedle maksymy: lekko przyszło, lekko poszło. Gdy ruszyliśmy dalej, mój pan rzekł: Oto twa pierwsza lekcja, dziś nocujemy w Hansburgu. Pójdiesz ze mną do herszta bandy i zapoznam cię z całym naszym bractwem. Ujrzysz żebraków lossners, dutzers, schleppers, gickisseś, schwanfelders, których w Anglii nazywamy Trzęsiportek, suntveggers, schwiegers, joners, sesseldeggers, gensscherers, a we Francji marcandiers czyli rifodes, veranerins, stabulers. Jest wśród nich niewielu cudzoziemców takich jak my, pietres, francmitonx, połissons, mańgreux, traters, zawadiaki, biczownicy, dmnmerars, glymmerars, jarkmen, patricos, swadders, autem morts, chodzące morts”.

Dosyć! - krzyknąłem, przerywając mu - cieszysz się jak diabeł wyliczający swą szatańską progeniturę. Zapiszę sobie na tabliczce wszystkich owych nikczemników i ich przekłete imiona, wiedza jest bowiem zawsze wiedzą. Ale nie pójdę do nich dobrowolnie żywi ani umarli. - I dodałem: Po cóż zresztą, skoro posiadam takiego jak ty towarzysza, w którego ciele doskonale się mieszczą wszyscy łajdacy tego świata!

Myślałem, że go tym zgnębię, tymczasem oblicze zapłonęło mu dumą, skłonił się nisko, położywszy dłoń na sercu. Choć dowcip masz marny, dobry Dziubasku, to manieri zacne. Dobry zrobiłem interes. Udał się tedy sam do rotbossa, ja zaś stanąłem w przyzwoitej gospodzie i tam przy świeczce naszkicowałem konterfekt córki oberzysty. Zaś rano wyszedłem bogatszy o trzy grosze, ale nie mogłem znaleźć mego pana. Wędrowałem dalej powoli, aż tu nagle nadszedł od zachodu, przeklinając brzechuny. Czemuż to? Albowiem potrafi omamić durniów, ale nie psy. Namówiłem go wreszcie, aby przestał kłać i jęczeć, a opowiedział mi swe przygody. Tak tedy zaczął: Usiadłem sobie pod bramą tamtego klasztoru, okryty ranami, które pokazywałem przechodniom. O, Dziubasku, były to najpiękniejsze rany, jakie kiedykolwiek w życiu widziałeś, i miedziaki sypały się jak grad do mego kapelusza. Niebawem mnisi wracali do domu z jakiejś procesji, wybiegły im naprzeciw psy klasztorne, przekłete psiska. Co mówisz, wpadły i pogryzły cię, biedaku? - spytałem. Gorzej, drogi Dziubasku - odpalił. - Gdyby mnie pokąsały, zarobiłbym jeszcze więcej grosiwa. Ale durne to, mniemam, jeszcze szczeniaki, wpadły na mnie, gdy spokojnie siedziałem, obaliły i dawaj lizać rany, zupełnie tak jak opowiadałeś mi kiedyś, podły łajdaku, o psiakach, które liżą w niebie rany owego łążęgi, żebraka z dawnych czasów. Nie, nie - zaprzeczyłem - nigdy nie opowiadałem podobnych rzeczy. Wytłumacz mi, proszę, co ci to szkodziło, jeżeli nie pogryzły, jeno dla zabawy lizały? Co szkodziło, głupcze? - odparł. - Rany zniknęły. Jak to możliwe? - zdziwiłem się. Jak możliwe? A jak mogło być inaczej? - wyjaśnił. - Właśnie je nałożyłem. Czy uważasz mnie za durnia, żebym wyżerał sobie dziury w ciele trutką na

szczury? Nic podobnego, jestem bowiem artystą malarzem jako mój sługa i nałożyłem sobie rany ze świńskiej krwi, żytniej mąki i kleju. Przeto gdy ludzie ujrzeni, że rany znikają pod ozorami szczeniaków, jęli ryczeć ze śmiechu, a jam poczuł stryczek albo worek nad głową. Podskoczyłem więc, krzycząc: ‘cud, cud! Nawet psy z tego świętego zakonu są święte i uzdrawiają. Ojcowie zacni - krzyczałem. - Czyj to dziś dzień? Świętego Izydora - powiedział, któryś. Święty Izydor - wołam niby w uniesieniu. - Przecie to mój patron, teraz rozumiem!’ Prostaczkowie przełknęli gładko mój cud jak przekłete brzechuny me rany. Ale mnisi wciągnęli mnie do środka, zatrzasnęli bramę i zaczęli się naradzać. Mam jednakże dobre ucho i dosłyszałem, jak jeden z nich rzekł: Caret miraculo monasterium, co jest żargonem greckim, mniemam, bo w każdym razie nie jest to żadna żebracza gwara. Wreszcie nakazali świeckim braciszkom przetrzepać mnie i wyprowadzili boczną drogą na gościniec i grozili, że jeśli pokażę się z powrotem w mieście, wydadzą mnie władzy miasta i utopią za jawne szalbierstwo. ‘Skorzystaj teraz z łaski Kościoła - rzekli - i popraw swe życie. Naprzód więc, Dziubasku, nie jestem bowiem pewny życia blisko tego miasta. Idąc rozcierał sobie ramiona. Rany boskie, ależ ci braciszkwie tego mi nakładli. Ciekaw jestem, co znaczy tamto w mnisim żargonie. Wy tłumaczyłem mu, że znaczy: Klasztor potrzebuje cudu, lecz zastosowanie owych słów było dla mnie niejasne.

Niejasne - krzyknął. - Takie to niejasne jak słońce w południe. Znaczy, że zrobią cud, mój cud, i zbiorą ziarno, którym posiał. Stąd chłosta na plecy dobroczyńcy; dlatego precz wygnali człeka, który wymyślił ich przekłety cud, pozbyli się go przy pomocy kija i grózb. O, łajdaki, oszusty! Do twarzy ci - ja na to - z oburzeniem na przebiegłość. Widzisz, Dziubasku - odpowiada - ja mamie jeno prostaczków, a ci mnisi potrafią oskubać z piór skrzydła Lucyfera. Cały czas użalał się teraz po drodze, że nie chował się w klasztorze tak jak jego sługa. O ileż więcej korzyści potrafiłby z tego wyciągnąć; I klął na psiska. Jeśli chodzi o tych mnichów, jest przecie ktoś ponad nimi. Na pewno jest Ktoś w Niebiosach - odrzekłem - ale co masz na myśli? Zażąda on pewnego dnia rachunku od golonych łbów. I od onych szachrajów - odparłem. O pierwszej po południu miałem wymalować szyld, przeto mój pan wysmarował gębę, udając chorego na żółtaczkę, i poszedł na żebrzy; do miasta. Przy pomocy pokornego języka i szafranowej gęby napelnił szybko kapelusz. Wszystkie miasta jednakże mają swych uprawnionych żebraków, a jeden z nich był starym ulubieńcem mieszczan, siadywał stale przy kruchcie największego tamtejszego kościoła pod wezwaniem świętego Marcina. Był niewidomy, zwano go Ślepy Hans. Spozstrzegł, jak Kuternoga zgarnia miedziaki po drugiej stronie ulicy, poznał w nim szalbierza po jego sztuczkach i doniósł strażnikom. I oto ujrzałem swego pana w rękach pachółków, wiedzionego na rozprawę do ratusza. Poszedłem za nimi

wraz z gromadą ludzi. Nie był ani trochę zmieszany. Nie zbił go z tropu uroczysty ceremoniał sprawiedliwości ani pamięć o własnych występkach. Wielkim głosem żądał doprowadzenia swego oskarżyciela. Odezwał się chłopak ślepego Hansa, lecz osaczony przez mego pana jękał się, wahał, przyznał, iż niczego sam nie widział, powtórzył jeno dowódcy straży miejskiej słowa ślepego Hansa. Jest to zatem świadectwo pośrednie - rzekł mój pan. - Przyjrzyjcie się, oto stoi Nieszczęście spotwarzone przez Zawisć. Stań tu przede mną, ślepa Zawisć, i daj folgę swoim kłamstwom. Ślepy Hans musiał tedy wbrew swej woli przyjść na przesłuchanie. Pan mój tak go przycisnął pytaniami, tak zmęczył i dokuczył, tyle razy w kółko pytając, w jaki sposób ów ślepy człek mógł widzieć wszystko, co się działo, i to, co się stało po drugiej stronie ulicy? Czemuż to, jeżeli nie mógł widzieć, przyszedł tu wznosząc dłoń krzywoprzysięzcy, zniesławiając nieszczęśliwego przybysza? Wreszcie ów oskarżyciel wydał jęk głośny i nie chciał już rzec ni słowa.

Radny miasta rzekł: Zaiste, godnyś nagany, Hansie; więcej żeś rzucił błota podejrzeń na siebie niżli na niego. Tu jednak ozwał się burmistrz, wspaniały grubas, który, jak mi się wydaje, mózg też miał nieco otłuszczony, zganił go i rzekł: Hansa znamy od wielu lat; tak dawno uchodzi on za ślepcę, że to już wszystko jedno. Wracaj do swej kruchty, dobry Hansie, i niech ten obcy hukaj wyniesie się z miasta, w którym nie jesteśmy spragnieni widoku bólu i chłosty Pan mój tedy mrugnął ku mnie; lecz teraz jednak wstał z ławy urząd nik miejski w urzędowych szatach i złotym łańcuchu - godność niezbyt przez nas ceniona, przez niektórych nawet wzgardzona, w Niemczech jednak i Francji wielce szanowana - kat. I rzecze: Jeszcze chwilę, proszę. Sprawdźmy wpierw, czemu oskarżony nosi takie długie włosy i tak nisko je szesuje na boki. Podszedł do Kuternogi, uniósł mu włosy i, patrzcie ludzie! brakowało górnego rąbka uszu! Co to znaczy, hultaju? - spytał burmistrz. Pan mój wyjaśnił niedbale, że nie może już sobie przypomnieć, życie bowiem nie szczędziło mu ciosów i strat. Gdy biedak utracił nogę, czcigodni panowie, nie baczy na takie błahostki. Skoro spostrzegł, iż to wyjaśnienie nie zdało się na nic, Kuternoga wymienił dwie sławne bitwy, w których jako człowiek rzetelny przeciw zdrajcom i buntownikom walcząc, utracił po pół ucha. Ale kat pokazał, że oba cięcia wykonano jednakowo i w tym samym czasie. To nie partacka żołnierska robota, zacni panowie, jeno naszego rzemiosła - powiedział. Wobec tego burmistrz zawyrokował: Obecne zarzuty przeciw tobie nie zostały dowiedzione, lecz choć dziś niewinny, byłeś winien w przeszłości, jak świadczą o tym twe uszy. Skazuję cię zatem na miesiąc więzienia, zapłatę jednego florena na nowe sukiennice, co je budują, oraz osmaganie i wygnanie z miasta, a usługę tę wynagrodzisz katu. Wszyscy rajcy zatwierdzili ów wyrok i oto powlekli mego pana do więzienia. Wyraz udręki w jego oczach zranił me serce. Próbowałem

zamienić słów parę, ale strażnik nie zezwolił. Błądząc wokół więzienia usłyszałem gwizd i ujrzałem Kuternogę w wąskim oknie dwadzieścia stóp nad ziemią. Podszedłem bliżej i więzień zapytał, co tu robisz? Odpowiedziałem, że przykro mi odejść z miasta bez pożegnania. Wydawał się wielce zdziwiony, za chwilę jednak jego podejrzliwość jeszcze się zwiększyła, miałem bowiem jeszcze jedną sprawę. Ale nie powiedziałem wszystkiego: psalterion. A cóż z nim? Nie był mój, należy do ciebie. Chciałbym ci zań zapłacić. Rzuć mi zatem talara - powiedział. Przeliczyłem pieniądze. Było tego talar i dwa grosze. Podzieliwszy talar, rzuciłem mu należność częściami; trzy razy. Gdy miał już wszystko w ręku, powiedział łagodnie: Hej, Dziubasku! Tak, panie - odpowiedziałem. Biedny łajdaczyzna był głęboko wzruszony: (Myślałem, że szydzisz ze mnie. Ach, Dziubasku, Dziubasku, gdybym się przekonał, że świat jest taki jak ty” zaczynając życie, lepszy bym z mego dowcipu zrobił użytek i nie siedziałbym dziś tutaj. Niecałego talara dałem za to brzdąkadełko - rzucił mi z powrotem część pieniędzy, nie chcąc już oszukiwać, nagle - uczciwy - niestety za późno. Wzdychając ciężko powiedział: Boże prowadź, na pożegnanie. Tak oto mój pan, który wiele razy wystawiał na próbę ludzką sprawiedliwość, teraz sam niesprawiedliwości doznał. Obcięte uszy nie świadczymy jedynie o winie, lecz o ciężkiej za winę karze. Skoro tak, rachunek był wyrównany, jednakże teraz z powodu owej kary ukarano go ponownie. Był co prawda niebezpiecznym łotrem, pomógł mi jednak w życiu, zrobił ze mnie człowieka. Dzięki jego sprytowi szedłem w dalszą drogę z psalterionem i pędzlem, co większą miało wartość niż tamta ukradziona kiesa. Zapas złota musiałby się wyczerpać z czasem, tak jak wysycha woda w największym korycie, a przyrządy muzyczne i malarskie podobne są małemu źródłu.”

Ryszard: - Jakże rozsądne są uwagi tego chłopca, a przecie pędrakiem był, kiedy go po raz ostatni widziałem. Wybaczcie mi, pani, raczcie, proszę czytać dalej.

„Szedłem więc dalej sam, prawdę mówiąc z lżejszym sercem, bo o ile uczciwy Dionizy miłą tworzył aurę podróży, o tyle biedny kulas ją zatruwał. Następnego dnia, kiedy mijałem wielkie domostwo, na rozhukanych rumakach wypadli stamtąd jeźdźcy: szlachcic w bogatym stroju w asyście dwóch pacholków. Otoczyli mnie i szlachcic kazał stanąć. Mogłem śmiać się jeno w duchu z tego, parę szelągów stanowiło cały mój dobytek. Zrzucaj kaftan i kubrak - padło dalsze polecenie. Odeszła mnie ochota do śmiechu. Pomyślcie, łaskawy panie - rzekłem. - Zima przecie. Jakże przeżyję, biedaczyna, wędrując bez odzienia. Z ust mi tę myśl wyjąłeś - odparł i rzucił swój barwny, bogato futrem przybrany kaftan, potem kubrak i podał mi je. Pacholek objaśnił, że to za pokutę. Jego wielmożność miał przykry wypadek: zdarzyło mu się zabić kuzyna przy kielichu. Wszystko, aż do obuwia, zamienił ze mną, wystrojonego jak papugę posadził na swego konia i ruszył przy mym boku w znoszonym

odzieniu i z mým psalterionem na plecach. Teraz, zacny młodzieńcze, jesteś hrabią Detstein - rzekł - ja zaś byłym hrabią, a twym sługą. Zagraj uczciwie swą rolę i pomóż mi zbawić duszę krwią skalaną. Bądź wyniosły i porywczy jak każdy szlachcic, a ja postaram się być tak pokornym, jak jeno potrafię. Odparłem, że zrobię, co w mej mocy, aby udawać pana. Ale jak mam go zwać? Rozkazał nazywać go po prostu sługą. Mniemał - że to najciężej go udręczy. Jechaliśmy długo w milczeniu, albowiem rozważałem tę dziwną odmianę losu, co z pachółka u żebraka pana hrabiego ze mnie uczyniła. Łamałem sobie nadto głowę, jak by to zagrać pana, nie narażając się na przebicie szablą, jak ów nieboszczyk, kuzyn hrabiego. Nie ufałem pokorze mego zawadiaki, wiedziałem bowiem, że niemieccy panowie są pyszni jak Lucyfer, a porywczy jak płomień. A co do pachółków - to między sobą chytrze się uśmiechali widząc w takowym poniżeniu swego pana.”

- Ach, co to?

Gwałtowne uderzenie wygięło u drzwi zasuwę, która jednak nie puściła. Drugi cios - i drzwi odskoczyły do wewnątrz, a do izby wpadł Idzi strojny w złoto. Wylądował na podłodze i został uściskany; dowiedziawszy się, czym są zajęci, ryknął, iż woli słuchać Gerarda niż plotek.

Sybrandt wskazał mu małe krzeselko.

Idzi okazał, jak ceni ową dworność, wysadzając Sybrandta z ogromnego krzesła, na którym sam teraz rozsiadł się wspaniały i lśniący od przepychu. Sybrandt musiał wcisnąć się w krzeselko zbyt małe dla wspaniałego karła i Małgorzato podjęła lekturę. Ponieważ w tej części listu opisywano miejscowości, które moi czytelnicy na pewno znają, a jeżeli nie - zawsze mogą je znaleźć w tuzinie dobrze znanych książek, poczynawszy od Münstera do Murraya, opuszczam tę topografię i spieszę do następnego fragmentu, w którym Gerard zamienia swój list w diariusz. Opowieść Gerarda poprzedzającą dziennik można streścić w ten sposób:

Niewiele początkowo mówił do swych nowych towarzyszy, słuchał raczej, starając się poznać ich charaktery. Jego szlachecki sługa ani też słudzy sługi nie umieli czytać i pisać, toteż napawał ich szacunkiem, często zaglądając do owych zapisanych kartek. Jedna zapiska Gerarda brzmiała: *Le peu que sont les hommes.*

Odkrył bowiem, że najbardziej grubiańscy oberżyści proch by przed nim teraz zmiatali, nikt nie domyślał się syna sukiennika w hrabiowskich szatach ani pana w odzieniu minstrela. Zdumiało go to widać niezmiernie, bo rozwijał ten temat z młodzieńczym patosem i naiwnością. W jednej gospodzie proszony pokornie, aby ofiarował jej godło, zgodził się wyniośle, ale potem sam je wymalował ku zdumieniu gospodarza, który dziwił się, że hrabia

się poniżej, biorąc pędzel do ręki. Prawdziwy hrabia stał z szyderczą miną obok i trzymał garnek z farbą, fałszywy zaś malował na szyldzie trzy czerwone śledzie na czymś w rodzaju maltańskiego krzyża, utworzonego z dwóch miar łokciowych.

Początkowo plebejscy słudzy hrabiego zachowywali się zuchwale, gdy jednak zauważył to szlachcic, zapomniał, za co pokutę odbywał, i wyciągnął miecz, chcąc poobcinać im uszy wraz z głowami. Gerard wmieszał się i obronił pacholków, ostro karcąc hrabiego. Wreszcie nastąpiło już między nimi porozumienie: szlachetniejszy umysł uzyskał należny sobie posłuch i pozycję. Słabo jednak wszedł w rolę barbarzyńskiego szlachcica owych czasów, albowiem serce nie pozwalało mu okazywać ani tyranii, ani chłodu; byli dlań trzema ludzkimi istotami. Starł się ich uczynić szczęśliwymi od siebie; zabawiał opowiastkami i pieśniami. Hen Pokutnik i Ska tańczyli pod melodie gwizdane przez Gerarda i dźwięki psalterionu. Dla własnej zresztą wygody Gerard zarządził, aby konno jechali na zmianę. Posuwali się więc szybko przez kraj, pokonując przeciętnie piętnaście mil dziennie.

Diariusz

„1 stycznia zauważyłem powitanie dwojga młodych ludzi. Chłopak spotkał dziewczynę, ucałował swą dłoń i wyciągnął ją ku niej. Dziewczę podało mu dłoń z uśmiechem. I patrzcie! znajomość już była zawarta i gwarzyli jak starzy przyjaciele. Nigdy dotąd nie widziałem tak wdzięcznego i delikatnego pozdrowienia. Oboje młodzi pochodzili wszak ze skromnej warstwy.

Ujrzawszy nadchodzącą następną dziewczę, powiedziałem memu słudzehrabiemu: Ugnij swoją dumę dla dalszej pokuty. Podejdz do dziewczyny urodzonej wśród biedoty; ucałuj swą dłoń zabójcy, podaj rękę dziewczynie i zabawiaj ją rozmową, jak umiesz najlepiej. Mój szlachecki sługa odrzekł pokornie: Będę posłuszny memu panu.

Ściągnęliśmy wodze i patrzaliśmy, jak podszedł do niej, przesłał całusa. Przyjęła ten gest uśmiechem i była dlań niezmiernie miła, jak zresztą i on wobec niej. Nagle całą gromadką nadeszły jej towarzyszki. Tym razem kazałem hrabiemu, by zdjął przed nimi czapkę jak przed cesarzowymi. Uczynił i to; Patrzajcie! dziewczęta wyprostowały się sztywno jak kołki, nie poruszyły się ani nie przemówiły.”

Dionizy: - Aj, aj, aj! Przepraszam zaczął kompanię.

„Nie zdziwiłem się, albowiem już kiedyś okazały niezadowolenie biednemu Dionizemu. Przez cały dzień wypróbował obyczaje dziewcząt niemieckich. Zawsze zachowywały się tak samo. Gdy odkrywasz przed nimi głowę, sztywnieją jak posąg: dystans za dystans. Ale podejść do nich z godziwą swobodą, z wiejskim co prawda, ale wdzięcznym zwyczajem przesiania dłonią całusa - a nie odmówią w zamian ani podania rączki, ani

zawarcia uczciwej znajomości. Żalność przepęniała me serce na myśl, że nie ma Dionizego, aby mógł sobie paplać z nimi, on, który tak lubi niewiasty.”

(- Tak lubisz niewiasty, Dionizy?) Lektorka szeroko otworzyła wielkie, fiołkowe oczy, patrząc ze zdziwieniem na przyjaciela.

Dionizy: - Hm! On tak twierdzi, kompaneczko. Na hełm Hannibala, to ich wina, nie moja. Białołowy chcą mieć taki słodki głos, białą skórę, włosy jasne jak słoneczne promienie, błękitne oczy i - Małgorzata (zaczyna szybko czytać): „Skorzystałem właśnie z ich łaskowości. Zapytałem, w jaki sposób potrafią wyhodować róże na Boże Narodzenie. Musisz bowiem wiedzieć, droga Małgorzato, że w całych Niemczech dziewczęta, niższego stanu noszą jako ozdoby na głowie jedynie wieniec z róż (zwany tu „kranz”), który otacza ich włosy jak laur czoło Cezara. Ludzie z wyższych sfer gardzą takim strojem, ale sądzę, że w twoich oczach, jak również dla mnie jako malarza, piękniejszy jest niż wspaniałe, lecz niezgrabne i sztuczne przybranie głowy, modne obecnie. Wieniec zdobi włosy i nie zakrywa tego boskiego przybrania, jakie boska umiejętność przystosowała do każdej głowy.

Miłe dziewczęta, gdy wypytałem je bliżej, opowiedziały, że pączki różane ścina się latem i układa w wielkim glinianym garnku w takim porządku: najpierw warstwa soli, potem rząd pączków, a z wierzchu znowu sypią sól i znów warstwę pączków ułożonych w odwrotnym kierunku. Powiadają bowiem, że gdy pąki kwiatów dotkną się wzajem, umierają. I tak dalej: pąki, sól warstwami. Każdy garnek szczelnie przykryty zalepiają i przechowują w chłodnej piwnicy. W sobotę wieczór pan domu lub pani, jeśli pana nie stało, otwiera garnek i dzieli różane pączki między wszystkie niewiasty, wyższego czy niższego stanu, bez uprzedzenia, a potem zamyka garnek na nowo. Te kobiety, które pragną z pączków mieć róże w pełni rozkwitłe, zanurzają je na krótko w ciepłej wodzie lub wstawiają do pieca i głaszczą delikatnie miękką szczoteczką zwilżoną reńskim winem i pobudzają nią pąki, by otworzyły płatki. Niektóre perfumują kwiaty wodą różaną, bowiem woń róż ulotniła się latem i tylko ich piękne ciała leżą bez duszy w glinianym grobie, czekając zmartwychwstania. Czasem do wianków z pączków róż dodają złoconą gałkę muszkatu, ale to mi się nie podoba. Bowiem złoto, piękne samo w sobie, obok róż jest jeno żółtą gliną. Widok tych dziewcząt cieszy oczy: jasnowłose główki kwitnące różami na drogach i obok pagórków pokrytych śniegiem. Piękno zimy z chwałą lata złączone. Cóż bowiem czystsze od zimowych lili, zwanych śniegiem, cóż tak pięknego jak róże? Miałabyś ich rysunek, gdyby nie tutejsze przesady. Dzieweczka w niedzielnym stroju, we wdzięcznej pozie, wsparta o węgiel chaty, której niski dach ugiął się pod śniegiem - mająca na główce ów kranz, zdawała się letnim kwiatem wyrastać z zimowej gleby. Ściągnąłem wodze, chwyciłem ołówki i pędzel, aby naszkicować ją dla ciebie.

Głuptaska, bojąc się złych oczu czy uroków, zakryła obiema rękami twarz i uciekła zdjeta strachem. Ostatecznie ludzie tu nie są bardziej przesądni od ludzi w Sevenbergen, gdzie uważali twego ojca za czarodzieja. Jednakże w tej chwili korzystam nawet trochę z ciemnoty. Wpierw bowiem, gdy tylko zasiadłem do diariusza, nie mogłem ułożyć myśli ni słowa, tak ścigał mnie i ogłuszał wrzask rozmaitych rzemieślników, wybuchy ich ochryplego śmiechu z dowcipów któregoś z owych błaznów pstro odzianych, których tak wielu na drogach niemieckich. Jakież smutny to dowcip, który szuka pomocy w spiczastych czapkach z uszami, w żółtozielonym kostiumie. Prawdziwy dowcip - mniemam - w umyśle się rodzi. Spotkaliśmy w Burgundii poczciwą dziewczynę, trochę swobodną na mój gust, służebną dziewczę w gospodzie, która owijała sobie koło palca wszystkich owych głupków uciesznych dzięki brutalnej sile.

Znowuż zbaczam! A przeto pragnąc pozbyć się owych ryków wieśniaczych i nierozumnych krotochwil, maczałem palec w szklance i rysowałem na stole wielki krąg wodą, na co wieśniacy patrzyli spode łba jak mysz na kota; w owym kręgu zakreślałem drugi, mniejszy. Prostaczkowie milczeli; ja zaś obok owych kabalistycznych kręgów uroczyście kładłem na stole ową na pergaminie umowę, którą miałem jeszcze z domu. Prostaczkowie wstrzymywali oddech. Wtedy spoglądałem ponuro i powoli mruczałem: Videamus - quam diu tu fictus morio - vosque veri stulti - audebitis - in hac aula morari, strepitantes ita - et olentes - ut dulcissime nequeam miser scribere.

Drzeli jako liście osiki, wymykali się na palcach jeden za drugim, potem pospołu, w popłochu popychając się, i zostawałem sam. Zaś najbardziej ze wszystkich strachał się błazen: nigdy żartowniś rzetelniej nie zasługiwał na ośle uszy. I tak pozbawiałem własnych słabostek tych, którzy wpierw pozbawiali mnie moich, ze wszystkich bowiem wrogów wędrownika najbardziej obawiam się dwóch bliźniaczych potworów: pana Hałasu i pana Smrodu. Święci i męczennicy, darujcie mi tę zrzędność. Przeto piszę ci te słowa w spokoju błogim i opowiadam te pospolite zdarzenia, niewarte inkaustu, jak również, że cię kocham, o czym mówić nie trzeba, dobrze bowiem wiesz o tym, Małgorzato ukochana! Patrząc na te róże latem wyrosłe, a zimą rozkwitłe, widzę obraz naszego wiernego afektu; zrodził się w szczęściu i uśmiechu, przeciwności zaś wnet przydały mu bólu i zwarzyły goryczą. Ale miłość nasza nie utraciła ni listeczka. Bogu niech będą dzięki, kwitnie nienaruszona i piękna jak niegdyś, ostała się przed niechęcią, szyderstwem, więzieniem i wygnaniem jak te słodkie kwiaty niemieckie wśród śniegów zimowych kwitnące.

2 stycznia. Sługa mój hrabia, widząc, że jestem ciekaw, zawiódł mnie do stajni księcia panującego nad tą okolicą.

W pierwszym podwórku była końska łaźnia, którą przyozdabiały dwadzieścia dwie kolumny z wrytymi książęcymi herbami. Obok izba końskiego lekarza, a tak zaopatrzona, że mógłby jej pozazdrościć niejeden bogaty aptekarz. Stajnię zbudowano w kształt foremnego kwadratu. Przy trzech ścianach stoi pełno koni wyhodowanych przez wszelkie nacje. Każdy rumak ma przed sobą szklaną szybę, można na niej zasuwac zieloną zasłonę, gdy przyjdzie ochota. Na linii ogonów - grube, drewniane słupy z mosiężnymi okuciami. Stąd obróciwszy rurę, poi się zwierzęta wodą, tu też są schowki na szczotki i ścierki. Drabiny na paszę są wszystkie żelazne, a żłoby lśnią miedzią. Każdy koń jest okryty szkarłatnym czaprakiem, a uprzęż i siodło wiszą nad rumakiem gotowym natychmiast do galopu. Było tam nie mniej niż dwieście koni, w tym dwanaście hodowanych w dalekich krajach. Wróciliśmy zachwyceni do naszej gospody, a tam dwaj biedacypacholowie zauważyli ze smutkiem: Czemuż to urodziliśmy się jako dwunożne stworzenia? Jeden zaś ze stajennych, grzeczny i obdarzony przeze mnie napiwkami, stał oto w drzwiach i zapraszał nas do wejścia. Zastaliśmy tam jego z żoną i dziećmi w różnym wieku, od pięciu do osiemnastu lat. Żyli i spali wszyscy w jednej izbie, co wielce zgubną jest rzeczą dla zdrowia i nader nieobyčajną. Spytałem mego sługi, czy zna owego księcia? Tak - odrzekł - pił z nim często w marmurowej komnacie nad stajnią. Za stół służy tam skała wielce wymyślnie podrobiona, na której cyplach wiszą naczynia do napitków, a na najbardziej sterczącym wierzchołku stoi posąg jeźdźca z brązu, trzymającego dzban z winem; ten, co siadywał blisko, miał z niego czerpać. Pięknie - powiadam. - Zajmijmy się twą pokutą. Szepnij do ucha księciu, że Pan Bóg dał mu ludzi darmo, nie wziął za nich ceny jak za konie. Poproś go, aby zajrzał do chat przytulonych do bram końskiego pałacu i zastanowił się, czy uczciwie jest dawać koniom domy, a swoim ludziom stajnię. Odparł, że będzie to ciężka obraza. Ja na to: Musisz uczynić to delikatnie i wybrać czas odpowiedni. Obiecał, że tak uczyni. W dalszej drodze usłyszeliśmy żalosne krzyki, Jakoweś wielkie nieszczęście dotknęło biedaków: cóż to być może? - spytałem. Podjechawszy bliżej ujrzeliliśmy ucztę weselną, goście szli w tan, jedli i pili smutni i milczący, wołając od czasu do czasu głośno i smutno: Seyte frolich! Weselmy się! 3 stycznia. Wczoraj między Norymbergą a Augsburgiem rozstałem się z hrabią. Oddałem memu panu, a byłemu słudze, szaty, przywdziałem zaś swoje. Darował mi konia, pięć sztuk złota i rzekł, że pozostaje jeszcze mym dłużnikiem, albowiem pokutę miał przy mnie lekką a pożyteczną. Najbardziej jednak miłe słowa były: Pojąłem, że piękniej miłość niż strach wzbudzać. Tak mnie wychwalał, że rumienię się, pisząc o tym, i chciałbym, byś mogła odczytać jego słowa innym wszakże niż moje piórem przekazane. Pacholowie także uściskali mi dłoń serdecznie i życzyli szczęścia. Jechałem szybko, lecz dotarłem do Augsburga po zamknięciu bram, co nie znaczyło wiele,

albowiem ów Augsburg czarownym jest miastem. Za drobną opłatą poprowadzono mnie długo okrężną drogą do sławnej bramy zwanej Einlasse. Stało tu dwóch wartowników jak posągi. Rzekłem, kim jestem i po co przybywam. Pozwolili pukać. Zakołatałem, a żelazna brama otwarła się ze zgrzytem i szczękaniem łańcucha, choć widać nie było ani ręki, ani łańcucha. Ten, który ciągnął ukryty łańcuch, siedział schowany z drugiego końca za bramą; gdy wjechałem do środka, brama się ze szczęką zatrzasnęła. Znalazłem się wewnątrz wielkiej budowli przy wjeździe na most, który przejechałem, i zbliżyłem się do budki strażnika, gdzie ktoś raz jeszcze zapytał mnie o imię i cel przybycia, a potem uderzył w dzwon i wielka krata, która tarasowała drogę, podniosła się z wolna. Poruszało ją koło u góry niewidoczną ręką obracane. Za kratą była jeszcze jedna ciężka brama dębowa, okuta stalą. Uchyliła się i wjechałem do ciemnej jak noc sieni. Czekałem tam chwilę, drżąc z niepokoju, póki za następnymi drzwiami nie ukazał się mały oświetlony przedsionek. Ruszyłem dalej i wówczas z sufitu opadła na łańcuszku cynowa czarka. Wrzuciłem do niej dwa szelągi i uniosła się znowu do góry. Następne grube drzwi otwarły się skrzypiąc i wjechałem do środka. Brama zamknęła się wreszcie za mną z ogłuszającym hałasem i oto ujrzałem się w mieście Augsburgu. Stałem Pod Trzema Murzynami w oberży liczącej ponad sto lat. Tego samego ranka, chcąc stałym mym sposobem oglądania zapoznać się z miastem, wyszedłem na najwyższą wieżę, jaką potrafiłem znaleźć, i starałem się obejrzeć budowę i granice miasta. U stóp mając tarczę zegara, oglądałem to miasto piękne. Całe ulice utworzone z pałaców i kościołów, wszystkie kryte miedzią lśniącą jak złoto. Fasady kamieniczek barwione i wesoło malowane, a wszędzie w oknach szkła bardzo przezroczyste i rzadkiej połyskliwości. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem wielkie miasto. Nie posiadałem się z zachwytu jak kogut na drabinie i gdy wreszcie zeszedłem na dół, zaprowadzono mnie do strażnicy i wzięto za szpiega. Cały bowiem czas, gdy oddawałem się oglądaniu miasta, strażnik mnie śledził. Burmistrz przyjął mnie grzecznie i wysłuchawszy mego opowiadania, ostro ofuknął strażników. Nie mogliście go sami przesłuchać, a jeszcze lepiej, czytając z twarzy? Psujecie jeno sławę grodu u cudzoziemców. Powiedział mi, iż chwalebna jest moja ciekawość; widząc zaś, że jestem rzemieślnik, i dociekliwy, polecił swemu skrybie zaprowadzić mnie do cechów. Niech Bóg pobłogosławi miasto, w którym rządzi burmistrz na miarę Salomona!

5 stycznia. Droga Małgorzato, szlachetny to gród i prawdziwa macierz sztuk. Umieją tu ryc w drzewie i kości słoniowej, a praca to koronkowa jak sieć pajęcza; malują na szkłe a śpiewają anielskie melodie. Już tu nie piszą ksiąg, gdyż miasto szczęściu posiada drukarzy. Ofiarowano mi jednak sowite wynagrodzenie za staranne przepisywanie rachunków pewnego potężnego i bogatego kupca Fuggera, który posiada wiele statków, choć jeszcze ojciec jego

był ubogim tkaczem. Pracując jednak w tutejszym handlu niczym w prawdziwym ogrodzie, ludzie rosą jak grzyby. Pan Fugger odkupił mego konia, nie targując się o cenę, co nie mogłoby się zdarzyć w Holandii. Ach, Małgorzato, jak grzeczne i braterskie panują tu stosunki pomiędzy rzemieślnikami wszelkich cechów, jak dobrzy są dla mnie! Poznałem tu, moim zdaniem, ich cechy charakteru - równość, szczerłość i dobroć. Są to ludzie może nieco porywczy, ale nie mściwi. Każdy rzemieślnik nosi miecz. Nawet tkacz siedzi z przypasaną bronią przy warsztacie, a wszyscy Niemcy przy lada okazji broni dobywają, ale nie ma zdrady: najpierw wyzwanie, potem losowanie i dopiero walka. Nie wolno atakować pchnięciem, lecz tylko bić płazem. Albowiem jeżeli w takiej walce ktoś uderzy i zrani przeciwnika, zwą to schelemstucke, zbrodnią, i niewiasty oraz mężczyźni odwracają się od sprawcy, a sędziowie nawet ciężko karzą pchnięcie, pobłażając płazowaniu. Stąd spotyka się w Niemczech wielu mężczyzn z pokiereszowanymi twarzami, co najmniej trzech na pięciu, we Francji zaś rzadziej wypada niż co trzeci. W rzemiośle żaden inny mieszczanin im nie dorówna. Fontanny na każdej ulicy biją strumieniami do nieba, w ogrodach są podobne drzewom, a z każdej gałązki, gdy się człek do niej zbliży i dotknie, tryska woda i skrapia gości ku wielkiej uciesze gospodarzy. Wyrabiają wielkie armaty z taką łatwością jak nasi ludzie podkowy końskie, i czynią to od osiemdziesięciu lat. Tkają wszelkiego rodzaju materie i płótna, prawie tak wyborne jak nasze, czego gdzie indziej w Europie próżno by szukać. Tam i Pani Prasa Drukarska - sroga nieprzyjaciółka twego biednego Gerarda, ale dobroczynna dla innych - trzusi się w dzień i w nocy, rozsiewając zacne słowa jak siewca w polu ziarno, ja zaś, biedny i nieudolny, mogę zasiewać je jeno w taki sposób, jaki widziałem niegdyś we Francji, gdzie białogłowy ziarna ryżu wtykają w bruzdę jedno po drugim, Zważ jeszcze dwa przykłady przedziwnej zręczności w rzemiośle. Do zadawania śmierci groźnym przestępcom służy tu figura niewiasty na siedem stóp wysokiej, którą nazywają junfrau. Chwyta ona nieszczęsnego łotra żelaznymi ramionami, otwiera się, wciąga skazańca do wewnątrz i tam przeszywa go na wylot dwoma rodzajami ostrzy. Druga nowość jest ta, że we wszystkich wielkich domach rożen jest obracany nie przez kuchcika, lecz przez dym. A jakże, może się dziwisz, i myślisz, że młamca, lecz oto ci chytry Niemcy wstawiają do komina mały wiatraczek, dym przepycha się przezeń z oporem, obraca go, a od młynka po ścianie idzie drut i obraca rożen na kółkach; co ujrzawszy, chylę głowę przed augsburczykami, którzy potrafią ujarzmić jegomościa tak ciemnego i subtelnego jak pan Dym i rozkazać mu piec panią Pularde.

Dzisiaj, to znaczy 8 stycznia, wraz z trzema tamtejszymi rzemieślnikami malowałem talię kart. Pilnie były potrzebne dla senatora. Przypadły mi kara. Moja królowa miała oczy jak

fiołki wiosenne, ciemnozłote włosy i czarodziejski uśmiech. Na jej widok moi kamraci objęli mnie serdecznie za szyję i nazwali mistrzem. O, zacni towarzysze! Żadnej zazdrości pomiędzy towarzyszami pracy, ni śladu kosych spojrzeń w stronę cudzoziemca: zatrzymali mnie w swojej kompanii także w niedzielę po nabożeństwie. A kupiec zapłacił mi tak hojnie, że wstydziłem się przyjąć wynagrodzenie. Wróciłem do gospody i próbowałem wymalować damę karo dla biednego Gerarda, ale już nie darzyła się tak, jak poprzednio. Szczęście nie przychodzi na zamówienie. Szczęśliwy bogacz, który tę kartę posiada! O fe fe! Szczęsny Gerard, który w przyszłości będzie miał damę karo i wspólny z nią dom w Augsburgu.

9 stycznia. Wraz z moimi towarzyszami i niejakim Witem Stwoszem, który rzeźbi w drzewie, oraz Hafhaglem z cechu złotników, ich żonami i dziewczętami udaliśmy się do kuzyna Hamagla, senatora tego wolnego miasta, i tam ujrzeliśmy zdumiewającą kadź do wina. Zbudowano ją na wrągach jak statek. Osiemnaście miesięcy trwała jej robota i teraz właśnie skończyli. Podłużna kadź mieści sto pięćdziesiąt wielkich beczek, więc nie stoi, jeno leży, nie można na nią wspiąć się inaczej jeno po drabinie; przystawiono w tym celu dwie, po trzydzieści szczebli. Zasiadliśmy wokół tego przedziwnego olbrzyma i piliśmy z niego reńskie, rozlewane za pomocą zmyślniej pompki; dziewczęta przyczepiły do kadzi swe wieńce z róż, płasaliśmy dokoła. Senator tańczył także na grzbiecie olbrzyma, ale po wypiciu tyłu szklanicy wina stracił równowagę i spadł, nie wypuszczając szklanicy z dłoni, pośrodku nas, a złamał jednak rękę i nogę. Tak marny był tym razem koniec naszych ucieszeń.

10 stycznia. Ruszyliśmy dziś do Wenecji w całej kompanii kupieckiej, wśród nich jest także ów człek, co pragnął mnie mieć jako swego skrybę. Zawarliśmy teraz umowę: będę wieczorami pisał listy, które on mi podyktuje, i cokolwiek innego by sobie życzył, on zaś zadba o mój wikt i da mieszkanie w czasie podróży. Ciągniemy liczną gromadą, wielu pośród nas zbrojnych, a i żołnierze towarzyszą nam w dodatku, nie obawiamy się przeto zbójców, których wielu grasuje ponoć na granicach Italii. Wszakże jeśli, jak przypuszczam, zastanę w Wenecji prasy drukarskie, nie pojedę do Rzymu, bo człek nie może mierzyć się z żelazem. Imprimit una dies quantum non scribitur anno. Zresztą, droga moja, coś mówi mi do ucha, że ja i ty dokonamy dni naszych w Augsburgu, skąd odchodząc, pozostawiam mu to, co mogę uczynić: błogosławieństwo.

12 stycznia. Pan darzy mnie wielce afektem i teraz każe mi siadać wraz z nim do kolaski. Dobry, poważny mąż, przez wszystkich szanowany, lecz niepokieszony w smutku po stracie ukochanej córki; lubi mój psalterion: nie płóche śpiewki, lecz świątobliwe pieśni, na które żebrak tak się wykrzywił. Co człowiek to inne upodobanie. Jednak, skulony jestem oto

w dzień w kolasce, wieczorem zajęty listami kupca, przeto mój dziennik nie posuwa się naprzód.

14 stycznia. Gdy nie dotrzymuję towarzystwa zacnemu kupcowi, staram się przebywać w kompanii Italczyków, do Italii bowiem podążam, a nie jestem zbyt biegły w ich języku. Ludzie to grzeczni, delikatni, mięso delikatnie i czysto jedzą, nie pchają lewej ręki do półmiska. Powiadają, że Wenecja jest ogrodem Lombardii, Lombardia ogrodem Italii, Italia - świata.

16 stycznia. Ciężkie i strome drogi, dziewczęta góralskie tak wysoko przepasane - od pasa po pachy ledwie szerokość dłoni. Najbrzydszy chyba z dotąd widzianych strojów.

18 stycznia. Śmierć czai się pośród kwitnącego życia. Och, Małgorzato ukochana, już myślałem, że cię utraciłem. Oto żalony i zbolący opiszę ci przygody, które, przeczytane w romancach, przyjęłabyś za nieprawdopodobne. Sam się jeszcze dziwię, że żyję i mogę pisać do ciebie. Bogu dziękując i świętym Pańskim, uwiadamiam cię o tym, co przydarzyło się twemu Gerardowi.

Zmęczyłem się wczoraj jazdą w zamkniętej kolasce i powolnym krokiem muła, poszedłem tedy pieszo naprzód. A będąc, sam nie wiem, czemu, prawdziwie pełen nadziei i odwagi, co - jak słyszałem - często się zdarza ludziom nad przepaścią zmartwienia, mniemałem, że bujam w powietrzu. Szybko wyprzedziłem całą karawanę i niebawem znalazłem się na skrzyżowaniu dróg, wybrałem szerszą, gdy trzeba było pójść węższą. Wędrując tak dobre pół godziny, zrozumiałem błąd, zawróciłem i sądząc, że moi towarzysze dawno już tędy przeszli, spieszyłem dzielnie naprzód, nie mogąc jednak ich dogonić. Nic dziwnego, jak wnet się dowiesz. Zacząłem się tedy niepokoić, pobiegłem, ale droga była pusta, nie było tych, których szukałem. Z wolna zapadła noc, budził się dziki zwierz, a ja oplakiwałem swe, głupie pomysły i także głód czułem. Księżyc wzeszedł czysty i niezmiernie jasny. Niebawem trochę na uboczu ujrzałem wysoki wiatrak i pomyślałem: Może młynarz ulituje się nade mną. Za młynem szarzał stóg siana, dalej piętrzyły się dokoła stosy baryłek i nie było w nich niestety mąki, ale w jednej czy dwu znalazłem smołę, a reszta zawierała wódkę: brantwein i schiedam; poznałem je natychmiast, widywałem bowiem takie same w Holandii. Zapukałem do drzwi młyna, lecz nikt się nie odezwał. Pchnąłem zasuwę, drzwi otwały się do wnętrza. Wszedłem ochoczo do środka, bo noc była pogodna, lecz zimna, szron pokrył wysokie jawory. Wewnątrz był piec, lecz wygasły. Rozpaliłem ogień garścią siana i drewnem, biorąc szczapy ze stosu na dworze. Sam nie wiem, kiedy usnąłem, ale spałem, sądząc, niedługo. Obudził mnie hałas, dokoła ujrzałem z tuzin mężczyzn o dzikich twarzach, długich czarnych włosach i czarnych lśniących oczach,”

Katarzyna: - O mój biedny chłopczyzna! Tylko spojrzę na jakiego czarnucha, a już się boję!

„Poprosiłem o wybaczenie, jak umiałem, językiem Italczyków, pomagając sobie rękoma. Uśmiechnęli się szyderczo. Zgubiłem mych towarzyszy.)). Znowu szyderczy uśmiech. Zgłodniałem. Chichotali dalej i rozmawiali w nie znanym mi języku. Wreszcie jeden z nich podał mi kawałek chleba i cienki dzban - jak przypuszczałem - wina, które jednak okazało się czystą wódką. Skrzywiłem się, poprosiłem o wodę; dzikie draby wybuchnęły na to straszliwym śmiechem. Pomyślałem o ucieczce i zerknąłem w stronę drzwi, były jednak zaryglowane dwiema ogromnymi żelaznymi sztabami. Teraz dopiero, jedząc chleb, spostrzegłem żelazne okucia i strażę. Krew zastygła mi w żyłach, choć nie mógłbym ci powiedzieć, dlaczego; gdybyś zobaczyła te dzikie twarze, tępe i bezlitosne! Żułem powoli chleb, by nie zauważyli, że się boję, ale przelykałem i zatrzymywałem go w sobie z trudem. Wtem zaświtało mi w głowie pytanie, czy nie ma sposobu ucieczki. Mówię sobie: Nie wypuszczą mnie, gdyż to przemytnicy lub zbójcy. Udałem senność i, wyjmując dwa szelągi, rzekłem: Proszę was na miłość Boską, dobrzy ludzie, pozwólcie mi udać się na spoczynek i zasnąć, omdleвам bowiem ze znużenia po podróży. Skinęli głowami i zaśmiali się okropnym śmiechem. Kazali jednemu zapalić latarnię i żeby mnie poprowadził. Szliśmy kręconymi schodami ciągle w górę, nie napotykając okien. Drewniane ściany miały wąskie otwory jak mury barbakanu, do tego samego, jak sądzę, celu przeznaczone. Zerkałem przez owe szczeliny na niebo i zastanawiałem się, czy ujrzę jeszcze słońce. Zaprowadził mnie na strych młyna. Była tam izdebka. Snopek słomy leżał w kącie, na podłodze poniewierały się puste beczułki, pod ścianą stało składane łóżko. Wskazał je ręką i zeszedł ciężkimi krokami na dół, zabierając światło. Księżyc świecił jasno przez duże okno. Wyjrzałem, lecz było tak wysoko, że nawet skrzydła wiatraka w najwyższym położeniu sięgały o parę stóp niżej od mego okna. Obracały się wolno i spokojnie, albowiem powiew wiatru był lekki jak oddech. Drzewa zdawały się stąd srebrnymi cackami - dziełami anielskich rzemieślników. Straciłem wszelką nadzieję ucieczki. Teraz jednak, gdy nie widziałem dzikich twarzy, mój strach wydawał mi się śmieszny. Nawet jeżeli byli złymi ludźmi, po cóż mieliby mnie krzywdzić? Aby uniknąć mimo wszystko zaskoczenia, chciałem postawić łóżko pod drzwiami. Starłem się je przesunąć, ale nie mogłem. Ruchome było u wezgłowia, lecz przymocowane żelaznymi uchwytami do podłogi. Rzuciłem więc psalterion na łóżko i ległem na słomie pod drzwiami, abym musiał się obudzić przy ich otwarciu. Miecz ukryłem tuż pod ręką. Pomodliłem się za nas oboje i zamknąłem oczy. Na dole trwała uczta i wesołość przy kielichu. Napęliło mnie to otuchą. Pomyślałem: co z oczu, to i z serca. Za godzinę dobra schiedamska wódka sprawi, że

w ogóle tu o mnie zapomną. Przeto uspokoiłem się i starałem zasnąć, ale przeszkadzały mi wesołe hałasy na dole. Wreszcie jednak sen mnie zmorzył, choć nie wiem, jak długo spałem. Zerwałem się nagle. Hałas na dole ustał, przeto zbudziła mnie nagła cisza, i ledwie się przebudziłem, w tej samej chwili łóżko runęło z głośnym hukiem, podtrzymywane tylko na nogach. Podłoga się zapadła i usłyszałem, jak psalterion leci i roztrzaskuje się na kawałki głęboko, głęboko pod samą podłogą młyna. Wpadł do studni. Tak byłoby ze mną, gdybym leżał na jego miejscu”.

Małgorzata zadrżała i ukryła twarz w rękach, szybko jednak wróciła do lektury.

„Leżałem wpierw chwilę zdrętwiały ze zdumienia. Następnie zdjęła mnie zgroza, podniosłem się, ale stałem jak wrośnięty w ziemię, drżąc od stóp do głów. Wreszcie zajrzałem do przerażającej jamy i włosy zjeżyły mi się na głowie. Później, pamiętam, wrócił mi spokój i postanowiłem umrzeć z mieczem w dłoni. Wiedziałem już bowiem, że nie może żyć człowiek, który poznał ich krwawą tajemnicę. Rzekłem sobie: żegnaj, biedna Małgorzato! Wyjąłem z zanadrza, gdzie ją zawsze chowam, naszą ślubną umowę i całowałem ją raz po raz. Przypiąłem ją z powrotem do koszuli, niech idzie ze mną do grobu. Pomyślałem: tu koniec naszej miłości i nadziei!”

Eliasz:- Słyszycie? Ich ślubna umowa? Niech odpocznie chwilę! Ale ani słowa. Nie chcę słuchać pogwarek. Mój biedny chłopiec.

W czasie dość długiej przerwy Katarzyna pochyliła się nieco i zręcznie przełożyła coś ze swych kolan pod fartuch siedzącej obok córki.

„Myślałem teraz o wszystkim, co przeżyliśmy razem, żegnałem się z tymi pięknymi godzinami, zamęt mając w głowie. Przypomniałem sobie, jak nauczyłaś mnie kiedyś w Sevenbergen splatać liny ze słomy. Pamiętasz? Chwila wspomnienia przywiodła mi na pamięć jeszcze raz ten dzień szczęśliwy i krzyknąłem głośno: Małgorzata wskazuje mi sposób ratunku nawet tutaj. Obudziłem się z letargu! Chwyciłem słomę i gorliwie skręcałem, tak jak niegdyś mnie uczyłaś, ale palce mi drżały i robota szła niesporo. Kiedym pracował, usłyszałem nagle otwieranie drzwi na dole. Straszna to była chwila. Jeszcze splatając linę, podszedłem do okna i spojrzałem w dół na wiejkie skrzydła wiatraka, podchodzące z wolna do góry, potem obracające się spokojnie w dół, i pomyślałem: wirują tylko w czasie wiatru, czy mógłby jednak żywy człowiek dosiąść takiego rumaka, jeśli nawet wiatrak porusza się nie szybko, lecz powoli? Lepiej jednakże - powiedziałem sobie - zaufać skrzydłom i Bogu niż złym ludziom. Pomodliłem się do Tego, któremu wiatr nawet jest posłuszny. Droga Małgorzato, przymocowałem linę i zsunąłem się po niej ostrożnie w dół, nie spuszczać oczu z olbrzymiej śmigi wiatraka, która szła właśnie ku górze, i przygotowałem się do skoku.

Oślabło jednak we mnie serce, pomyślałem, że nie jestem dość blisko. Skrzydło przeszło, straszne, obok. Czekałem na następne, których było trzy. Po chwili jedno zbliżyło się jakby wolniej od poprzednich. Odbijając się lekko stopą od ściany, z głośnym wołaniem Małgorzato! uchwyciłem z całej mocy drewniane opierzenie skrzydła i w tejże chwili popłynąłem w powietrze.”

Idzi: - Dobra robota! dobra robota!

„Prawie nie czułem ruchu, tylko gwiazdy zdały się obracać na niebie, ziemia podchodziła coraz bliżej, gdy zaś oszroniona trawa była już całkiem blisko, skoczyłem i potoczyłem się jak wyrzucony z katapulty. Straciłem oddech, zdało mi się, że połamałem wszystkie kości. Wstałem, lecz upadłem z powrotem w męczarni. Mogłem oprzeć się jeno na jednej nodze.”

Katarzyna: - O moje dziecko, złamał nogę, mój chłopiec złamał nogę.

„Przyległem jęcząc, gdy nagle dobiegł hałas podobny do grzmotu: mordercy biegli po schodach. Stary młyn chybotął pod naporem ich nóg. Musieli spostrzec, że nie wpadł w ich krwawą pułapkę i pędzili, by mnie zgładzić. Nie czułem strachu, Małgorzato, ponieważ straciłem już nadzieję. Nie byłem zdolny ani biec, ani się ukryć, tak pustynne i dzikie było to miejsce, taki jasny księżyc. Miotła mną męka i chęć odwetu, bardziej byłem podobny do zranionego dzikiego zwierza niż do twego Gerarda. Oparłszy się na rękojeści miecza, poskakałem dokoła; szybki jak błyskawica albo zemsta, zebrałem wielką kupę ziarna i drewna pod drzwiami młyna, wbiłem sztylet w beczkę przemyconej wódki, rzuciłem ją na stos, skrzesalem ognia mym krzesiwem i podpaliłem. Płomień sprowadzi ludzi poczciwych i znajdą moje martwe ciało - powiedziałem sobie. - Ach, tchórze, mordercy, szatany! - farzyczałem. - Myśleliście, że sam będę umierał? Przy każdym słowie dziurawiłem następną beczkę. Ach, Małgorzato, ogień podsycany wódką zdumiał mnie; strzelił do góry, opalił mi włosy, piął się z sykiem po ścianie młyna, gnał jak błyskawica. Krzyczałem i śmiałem się, przebiłem więcej beczulek, nawet te ze smołą, i rzucałem je w ogień. Płomień ryczał jak lew nad trupem, głosy słyhać było od wewnątrz ze szczytu młyna, łomotały stopy biegnących w dół. Stałem tak blisko, jak jeno pozwalał mi okrutny ogień, wznosząc do ciosu miecz, bo mordować i zginać. Odskoczyła zerwana zasowa. Zajęła się beczka smoły. Drzwi się otwarły, ale nikt nie wyszedł, gdyż ogień runął na nich jak śmierć i pierwszy, z którym chciałem walczyć, leżał na ziemi szerniały i pokurczony jak liść. Straszliwy jęk, a potem wieczne milczenie. Słyhać było jeszcze tupot nóg, ale mniej licznych. Słyszałem, jak mieczem wyrębują sobie małe przejście przez drewniane ściany młyna, nie mieli jednak dość czasu: ogień szedł im po piętach, wybuchał każdym otworem na zewnątrz, dym wychodził

blękitnymi smugami ze wszystkich szpar w jasnym blasku księżyca. Kulejąc, cofnąłem się szarpany bólem i wściekłością. Ujrzałem białe twarze w oknie na górze. Dostrzegli mnie. Rzucali przekleństwa. Kląłem również, wywijając nagim mieczem. Schodźcie w dół tą drogą co ja - wołałem. - Skaczcie po jednym, zginiecie od tej stali! Jedni klęli w odpowiedzi, a inni płakali. Albowiem miałem nad nimi śmiertelną przewagę. Bez wątpienia, z osmoloną twarzą i wściekły jak diabeł, wyglądałem niczym szatan. Płomień huczał we wnętrzu, piął się do góry jak w piecu do komina. Cały wiatrak zapłonął. Ogień już świecił przez ściany. Promieniste języki tryskały przez wszystkie szczeliny sypiąc iskry, płaty ognia spadały w nocną ciemność. Jeden z morderców skoczył na skrzydło tak jak ja, ale w pośpiechu chybił i spadł mi u stóp, jak piłka odbiwszy się od twardej ziemi; nie przemówił już ani nie drgnął. Inni skomleli jak niewiasty. Słyszając tę rozpacz, poczułem litość dla nich i nadzieję ocalenia dla siebie.

Płomienie przegryzały ściany, fontanny wielkich iskier opadały jak płaty ognistego śniegu, śmigi zajmowały się jedna po drugiej. Stałem się na powrót człowiekiem i, wsparty na mieczu, począłem Chwiejnym krokiem odchodzić od widoku mej zemsty; z wielkim bólem ciała i trudem dowlokłem się do drogi. Drzewa pokryte szronem wyglądały teraz w czerwonym blasku ognia jak stożki ze złotego filigranu i delikatnej pajęczej koronki. O jakże były piękne, droga Małgorzato!

Jeden z nieszczęsnych zbrodniarzy, zaplątawszy się w płonące skrzydło, wiatraka, wirował z wrzaskiem, w niewłaściwej chwili odczepił się i wyrzucony został wysoko w górę jak kamień z katapulty. Potem runął z tępym łoskotem na ziemię. Za chwilę huk donośny wstrząsnął powietrzem: to zwałił się wiatrak na swego niszczyciela, snopy iskier buchnęły w powietrze, śmigi runęły na płonące zgliszczca.

Znowu tysiące iskier trysnęły, a ziemię pokryły zwęglone kawały drewna i szczątki ludzkie.

Błagałem Boga o wybaczenie na klęczkach, odwróciwszy się plecami do pogorzeliska, wtem ujrzałem światła na drodze - jakże upragnione! Była to kompania jadąca w moją stronę, oddalona najwyżej o dwa stajania. Biegłem, kulejąc, ku nim. Nimem kawałek ujść zdołał, usłyszałem, że ktoś pędzi za mną. Odwróciłem się. Jeden ze zbójców ocalał. Któż zgadnie, jak mu się to udało! Miecz lśnił w świetle księżyca.- Czułem, że duchy wszystkich umarłych zbójców obsiadły to lśniące ostrze. Na cierpienia nie zważając, postawiłem chorą nogą na ziemi i pobiegłem w stronę pochodni, jęcząc z bólu i wzywając pomocy. Lecz cóż uczynić mogłem? Dogonił mnie. Zmusił, bym odwrócił się i walczył. Od Dionizego posiadałem sztukę władania mieczem. Obróciłem się. Stal zadźwięczała w zwarciu. Szaty zbójcy cuchnęły spalenizną. Ciąłem wartko w górę giętką dłonią, krew buchnęła z kiści, ręka

zwisła, broń wypadła z trzymającej ją dłoni, z brzękiem uderzywszy o ziemię. Wzniósłem miecz do góry, gotów go zarębać, jeżeli schyli się po broń. Stał i przeklinał; sięgnął lewą ręką po sztylet. Zasłoniłem się ostrzem i czekałem spokojnie, by skończyć walkę. Za plecami usłyszałem donośny krzyk zacnej kompanii. Zbójca się zerwał. Plunął na mnie rozwścieczony, zgrzytnął zębami i uciekł, miotając bluźnierstwa. Odwróciłem się i ujrzałem pochodnie o krok. I patrzcie! Wszystko zaczęło tańczyć dokoła, unosić się w górę i w dół, jak mi się zdawało, za chwilę była jeno ciemność. Miałem...”

- Ach! - dało się słyszeć.

Katarzyna: - Ratunku, pomocy! wody! Mężczyźni, usuńcie się!

Małgorzata zemdląła.

ROZDZIAŁ LVI

Gdy przyszła do siebie, leżała z głową wspartą na ramieniu Katarzyny, a członkowie rodziny (ci dobrym obdarzeni sercem), do której wdarła się niczym wróg, stali kręgiem, starając się w prosty domowy sposób dodać jej odwagi. Szczególnie Idzi grzmiącym głosem przekładał dziewczynie, że nie powinna się tak przejmować.

- Gerard był zdrow i cały - mówił - inaczej nie mógłby napisać listu, który jest najdłuższy ze wszystkich znanych dotąd na świecie oraz - jak mniemam - najpiękniejszy, najbardziej wzruszający i najdrobniejszymi spisany literami.

- Tak, dobry panie Idzi - westchnęła Małgorzata - był zdrow i cały. Ale czy mogę wiedzieć, co mu się potem przydarzyło? O, czemuż opuścił Holandię i poszedł między dzikich jak lwy cudzoziemców? Czemuż nie zmusiłam go, aby mnie porzucił, zamiast rozłączyć go z rodziną? Wybaczcie mi, pani matko!

Delikatnie uwolniwszy się z objęć Katarzyny, chciała zejść z krzesła i uklęknąć, co po krótkim zmaganiu z silniejszą od niej matką skończyło się ponownym uściskiem. Małgorzata podała list Eliaszowi z cichutką, słodką prośbą:

- Teraz już mogę wam go oddać z mych rąk. Nie mam zaiste sił, by czytać dalej i pozbawić się mej pociechy - rzekła, otaczając drugim ramieniem szyję Katarzyny.

- Czytaj ty, Ryszardzie - rzekł Eliasz. - Młodsze ode mnie masz oczy.

Ryszard wziął list. - Patrzcie - rzekł - jeszcze nie widział takich liter. Pisane cieniutko jak ostrzem igły i jednocześnie czytelne. Czemuż chłopak nie siedzi w moim kantorze w Amsterdamie zamiast wałęsać się gdzie indziej.

„Gdy przyszedłem do siebie, siedziałem w kolasce, a zacny kupiec trzymał mnie za rękę. Plotłem, sam nie wiem co, na chwilę się wzdrygnąłem. Przyłożył róg z winem do mych ust.”

Katarzyna: - Boże, pobłogosław mu! Boże, pobłogosław!

Eliasz: - Cisza!

„Opowiedziałem, co się zdarzyło. Chciał obejrzeć mą nogę. Była boleśnie skręcona i silnie spuchnięta w kostce. Pozrywały mi się wszystkie tasiemki, odzież miałem w nieładzie. Powiedziałem: Będę teraz jeno ciężarem wam, panie, nie mam już czym przygrywać, mój psalterion strzaskany. Zdjął mnie żal nad rozbitym instrumentem, towarzyszem długiej, pełnej trudów wędrówki. Ale pan pogłaskał mnie po policzku i zakazał się martwić; ułożył mą nogę na poduszce i doglądał mnie jak dobry ojciec.

19 stycznia. Siedzę cały dzień w kolasce, ponieważ posuwamy się spieszenie, w nocy zaś dobry, zacny kupiec posyła mnie do łóżka i nie pozwala pracować. Jakie to dziwne! Ile razy napotkam ludzi podobnych szatanom, tylekroć wnet potem Bóg zsyła na mą drogę jakiegoś zacnego przyjaciela lub niewiastę, bym nie odwrócił się od rodzaju ludzkiego. O, Małgorzato, jak przedziwnie rozmaici ludzie żyją na świecie, i o ile jestem starszy teraz niż trzy miesiące temu! Pomyśl, oto zacny pan Fugger kupił mi nowy psalterion!

Katarzyna: - Eliasz, małżonku mój, jeśli ten kupiec znajdzie się kiedyś w naszych stronach, kupimy u niego sto łokci sukna bez żadnych targów. Eliasz: - Tak też będzie, masz moje słowo.

Gdy Ryszard gotował się do czytania, Kasia spojrzała na matkę i zarumieniona wyciągnęła spod fartucha robótkę i zaczęła szyć, spuszczać główkę może nieco niżej, niż to miała w zwyczaju. Katarzyna również wyjęła robotę z kieszeni i wzięła się do igły, słuchając czytania Ryszarda. Obie te łagodne i skryte kobiety po raz pierwszy teraz pokazały dziecinne czapeczki, w dodatku prawie już gotowe, co miało swą wymowę. Kształtem i delikatnością przypominały małe kapturki mnichów.

„20 stycznia. W kolasce leżąc nic prawie nie widziałem, na postojach jednak nagle ujrzałem równiny Lombardii. O Małgorzato, to ziemia mlekiem i miodem płynąca: faliste równiny, piękne rzeki, wesołe łąki, rozkoszne sady i kwitnące ogrody. Choć to zima, cieplej niż w naszej ukochanej Holandii w pełni lata, z radości skacze serce podróżnego i twarz promienieje na widok życzliwej i uśmiechniętej ziemi. Dokoła winnice, cedry, oliwki, mnóstwo bydła, trzy kozy spotkasz na jedną owcę. Woły pociągowe okryte białymi derkami wyglądają jak obrazki na tle ciemnozielonych drzew oliwnych, ludzie zaś, szczególnie

niewiasty, noszą kapelusze z cienkiej słomki, zdobne kwiatami i liśćmi, pięknie wykonanymi z jedwabiu tkanego srebrem.

Przeprawialiśmy się dziś zgrabnie przez rzekę promem na łańcuchach. Na brzegu stał kołowrót, a obracał nim jeden człowiek i przeciągnął na drugi brzeg całą naszą grupę. Wielce podziwiałem, cudzoziemcem będąc, to urządzenie. Kilkoro tutejszych wieśniaków przeprowaiało się wraz z nami. Gdy jedna ze starych kobiet zaczęła przyglądać się młodej dziewczynie, ta zakryła twarz ręką i zasłoniła krucyfiksem jak rycerz mieczem na turnieju, złych oczu się lękając.

25 stycznia. Szczęśliwie przybyłem do Wenecji. Zobaczyłem plac, którego dziwne, urzekające piękno znasz dobrze z opisów naszych marynarzy. Pamiętasz, jak Piotr zwykł był opowiadać o nim? Siedzieliśmy wówczas przy stole, trzymając się za ręce, a on ciągle gwarzył o tym otoczonym morzem, niepowtarzalnym mieście, zbudowanym na kształt łuku, o wielkim kanale i pałacach na palach, o wodnych ulicach pełnych złożonych gondoli, o tym targowym placu narodów - orbis, non urbis forum - placu Świętego Marka? O posągu z bezcennymi klejnotami zamiast oczu, o lwie strzegącym jego bramy? Ja jednak, leżąc zboląły przy oknie, nie mogłem jeszcze dojrzeć żadnego z tych cudów.

Widzę stąd tylko nudną ulicę, nieźle wybrukowaną, i zwykłe domy z oknami, w których zamiast szyb jest przetłuszczony papier i płótno, co prostacko wygląda. Widzę przechodniów i ich przesadne stroje i gesty. Przeto, aby nie utracić - codziennym zwyczajem - pociechy poszeptania z tobą, w głąb swej duszy zaglądam, plon zabierając z ziarna wiedzy dojrzałego w podróży. Kocham cię tak bardzo, że nie cieszy mnie żaden skarb, jeżeli nie mogę go z tobą podzielić, a jakież skarb posiada wartość i trwałość taką jak wiedza? Tak więc na przykład ja, hrabia herbu Ból Nogi, poznałem, że każdy naród posiada właściwą sobie mądrość i właściwe sobie szaleństwo. Myślę, że gdyby jakiś wielki król lub diuk był tak jak ja wędrował i mógł widzieć na własne oczy, chciałby zrywać kwiaty i pozbierać nasiona wszelkich narodów, by, wróciwszy do siebie, poprowadzić własny lud na wzgórze. Mądrości. Północni Niemcy są grubiańscy, lecz szczerzy i uczciwi, południowi uprzejmi i również uczciwi. Wadą, która plami ich wszystkich, jest pijaństwo zakorzenione tak wielce, że nie lubią ludzi trzeźwych, a nawet nimi gardzą. Takie mają przysłowie Kanstu niecht sauffen und fressen so kanstu kienem hem wol dienen.

W Anglii tylko prostacy tak tego piją; ludzie wyższego stanu uważają nadużycie trunku za karygodne, piją swe zdrowie, jeden czy dwa kielichy z dworności, nie zaś z łakomstwa, a wino dosładzają. Niemcy nie mają zwyczaju weselić się przy kielichu ani uprzejmego dyskursu nie prowadzą. Siedzą przy trunku smutni, wołając: Seyte frolich!

Najlepszą ich pijacką zabawą jest kurlemurlehuff. Dotykają zręcznie szkła, brody i stołu w odpowiedniej kolejności, gwizdzą przy tym i trzaskają palcami w tak ciekawy sposób palce układając, że jest to zaiste trud herkulesowy, a dla spoglądającego zabawny i wesoły.

Pijacy u nich za poradą niemieckich lekarzy śpią z kamykami w ustach. Tak bowiem jak należy uchylić pokrywkę na kipiącym garnku, tak przez półotwarte usta uchodzi wewnętrzna gorączka z tych ludzkich beczek na wino. Wielu jednak mimo to nagle umiera z pijaństwa, co starają się ukryć, nazwać jakąś inną, niewinną chorobą. Nałóg ten bardziej płynie z obyczaju niż z samej natury, albowiem ich niewiasty przychodzą do kompanii pijaków, zostają z nimi niedługo, ledwie dotykają kubków z winem, prawdziwie bardzo są wstrzemięźliwe w jedzeniu i piciu. Ze wszystkich białogłów najskromniejsze i najbardziej cnotliwe, wierne małżonki i przyjaciółki swych towarzyszy życia. Daleko wyżej stoją od naszych holenderskich dziewcząt, które jako panny pytają o wszystko mężczyzn, a zameżne posługują się swą wiedzą, aby im przewodzić. Niedaleko naszego domu w Tergou mieszka pewna niewiasta; gdy wstępujesz tam, pytając o jej męża, odpowiada: Nie ma go w domu. Prosił mnie o pozwolenie wyjścia na dzisiejsze popołudnie i zgodziłam się na to.

Katarzyna: - Święta prawda, święta prawda! To Beck Hulse, żona Jonaha. Tak bywa, gdy niewiasta poślubi młodego chłopca.

„Na Południu, w kraju wina, szlachta przepija majątki do ostatniego grosza. Inaczej na Północy, piwem bowiem łatwiej opić się, tak że brzuch pęknie, niż strwonić majątek. Niemcy skorzy są do kłótni, lecz to wina trunku, nie usposobienia, nie ma w nich jednak zajadłości. Gdy po pijanemu wpakują się w kiepski interes kupiecki, wycofują się zeń, gdy trzeźwieją.

Okna utrzymują w czystości, człowieka sądzą po szatach. Wszelkie owoce, ziarno czy ziele rosnące przy drodze zbierają i jedzą. Gdy to zobaczy właściciel, powie: Na zdrowie, dobry człowieku. Ale gdy zerwiesz winne grono, życie narażasz. Nie należy zjadać tego, co Niebiosa stworzyły do picia.

Francuzi mówią swym językiem piękniej, ale serca ich nie tak szczerze. Słodkie słówka mają na zawołanie. Nazywają to payer en blanche”.

Dionizy: - des coguins! Cha, cha!

„Jednakże pełni są dworności - tak, tak, nawet mają ją we krwi. Powiadają zwykle: bądźcie łaskawi usiąść. Zaś takie małe grzeczne słówka wskazują, w którą stronę wiatr wieje. Również w gospodach, jeśli chcesz wyjść na chwilę, a nie stracić miejsca siedzącego, wystarczy tylko przewiesić serwetkę przez poręcz, a żaden Francuz ani Francuzka nie zajmie ci krzesła, zatrzyma je dla ciebie.”

Katarzyna: - To mi się podoba! To są obyczaje! Widzę, że Francja to kraj dla mnie!

Dionizy wstał i położył dwornie dłoń na piersi.

„Używają jednak dla zabawy także słów, które nie mają nic wspólnego z grzecznością, a są nieprzystojne. Le diable t'emporte! Allez au diable! i tym podobnych. Sądzę jednak, że nie życzą nikomu niczego tak okropnego, że jest to tylko zwyczaj. Piją z umiarem, wino mieszają z wodą, tańczą i śpiewają przy kielichu, stanowią wyśmienitą do zabawy kompanię. Osobliwe, że nigdy nie napiją się z cudzego kielicha. Na wojnie Anglicy górują nad nimi w polu. Ale Francuzi są lepsi w zdobywaniu i obronie grodów; świadczy o tym Orlean, gdzie osaczyli oblegających, rozbili w puch swymi dwakroć i trzykroć liczniejnymi kolubrynymi, świadczą o tym także inne oblężenia. Schlebują swym kobietom bardziej niż inne narody, a jednocześnie je lekceważą. Niewiasta nie może być ich władcą. Wieszają często przestępczynie zamiast przyzwoicie je topić, jak to inne nacje czynią. Sprzęty w ich oberżach są orzechowe, a w Niemczech tylko z drewna sosnowego. Okna francuskie marne. Dolna drewniana połowa do otwierania, górna oszklona, lecz nieruchoma, tak że służąca nie może wspiąć się i czyścić szyb. Niemieckie okna są całe oszklone i ruchome, błyszczą z daleka i z bliska jak diamenty. We Francji wiele domów w ogóle nie ma szyb w oknach. Widziałem też raz Francuza, jak przeszedł obok kościoła, nie zdejmując czapki. Nie byłem świadkiem tego nigdy w Holandii, Niemczech czy Italii. W wielu oberżach pokazują podróżnemu prześcieradła, aby go upewnić, że są czyste, i grzeją je przy ogniu - zwyczaj to chwalebny. Przyjmują cudzoziemca uprzejmie jak gościa, najczęściej oskubują przy rachunku, a bywa, że i gardło poderzną. Tłumaczą się, narzekają na prawo twarde i tyrańskie. Prawdziwie to prawo i u nas miesza się do każdego drobiazgu.

We Francji ludzie szacowni stroją się w domu w kapelusze i futra, zaś wychodzą zeń ubrani lżej. W Niemczech przeciwnie, wdziewają kapelusze i futrem podbite opończe do wyjścia, w domach siedzą z gołymi głowami, w lekkim odzieniu, a koło pieca.

We francuskich towarzystwach nie mieszają kobiet razem z mężczyznami, jak to czynimy my w Holandii.

Dokoła kaznodziei niewiasty siedzą w rzędach na piętrach, mężczyźni stoją za nimi. Uprawiają zboże, len i wino. Trzy mury spotkasz tu na jednego konia i liczne stada czarnych jak węgiel owiec. W Niemczech są czerwone ślimaki. Prawdę ci mówię. Francuzi kochają minstrelki, lecz wymyślają sami żarty i na swój sposób się bawią. Niemcy mają czeredy stałych błaznów w uszatyh czapkach, którzy rozśmieszają ich udawaniem szaleństwa; przykre to i budzi litość, a nie śmiech. W tej sprawie osobliwie sądzą, że ów bardziej lekkomyślny naród więcej przejawia rozsądku od poważnych Niemców. A jakiego ty jesteś zdania? Niestety! Nie chcesz mi teraz odpowiedzieć.

W Niemczech prawo w pomniejszych przewinieniach niezwykle jest rozsądne i sprawiedliwe. Prawo wobec złoczyńców bardzo krwawe. We Francji jeszcze bardziej krwawe i nieco okrutniej tam stosowane. Kary łamania kołem i na stosie palenie są tu powszechne. Za rządów obecnego króla masami topią ludzi w rzece zwanej Sekwaną, nad którą leży miasto Paryż. Ale i Anglicy są równie skorzy do wieszania i topienia przy byle przewinieniu, tak przynajmniej opowiadają podróżni. Wreszcie wiernie stwierdzam, jeżeli uda ci się spotkać Francuza o prawdziwie zacnym sercu, jest on człowiekiem tak doskonałej wartości, jakiego nosić może nasza ziemia. Takim człowiekiem jest mój Dionizy mimo plugawego języka.”

Dionizy: - Plugawego języka! Czy tak tam napisane, panie Ryszardzie?

Ryszard: - Nie inaczej, popatrzcie sami.

Dionizy: - (Przyglądając się z powagą listowi) Tak bym tego nie odczytał.

Ryszard: - Jakże więc?

Dionizy - Hm, hm! raczej na odwrót. Zawsze to kłopotliwe odczytać coś z onych czarnych bazgrołów, które ludzie umówili się uważać za słowa. Tuszę, że wy, uczeni, po prostu zgadujecie, czcigodny panie. Mój plugawy język! Pierwszy raz w życiu słyszę coś podobnego. Co wy na to, mesdames}

Niewiasty jednak nie skorzystały z podsunętej im okazji, nie słysząc było głośnych i ogólnych zaprzeczeń. Małgorzata poczerwieniała i nie rzekła ani słowa, pozostałe dwie, uśmiechając się, rzekłbyś, chytrze, pochyliły głowy nad robotą. Dionizy długo i starannie przyglądał się ich minom, wynik tych badań był tak zadowolający, że odwrócił się od nich i tonem urażonej, lecz wyrozumiałej niewinności poprosił Ryszarda o dalszą lekturę.

„Italczyki są narodem subtelnym i pełnym oglądy. Nie sądzą człeka po szatach, lecz baczą na wymowę i gesty. Pan Kruk nie może tu w żaden sposób udawać szlachetnego Sokoła, tak jak to robiłem w Niemczech, przebrany za mego szlachetnego sługę. Najmędrsi pośród wszystkich narodów są pod względem szczególnej wstrzeźliwości w jedzeniu i picciu, a najgłupszy ze wszystkich, w tym mianowicie, że na swej granicy rewidują cudzoziemców i nie pozwalają im wwozić pieniędzy. Powinni by raczej ich zachęcać do tego, jako i inne nacje czynią, a zabraniać wywozu. Poza tym wenejanki przy pomocy słońca i sztuki zmieniają kolor włosów z czarnego na żółty, chcąc być mądrzejsze od Tego, Kto je stworzył.

Do miast italskich nie przybywaj bez świadectwa zdrowia, choć nie ma obecnie żadnej zarazy w Europie. Szykana ta prowadzi jedynie do zdzierstwa. Oberżyci płaszczą się i schlebiają, i szachrują, a W wiejskich okolicach - mordują.

Za specjalną opłatą dadzą ci jednakże czyste prześcieradło. Bardzo delikatnie jadają, brzydzą się sięganiem ręką do półmiska, raczej pomagają sobie skórką chleba. Opowiadają nawet, że jakowyś kardynał w Rzymie uzbraja gości w mały dwuzębny sztylecik, którym przytrzymuje się mięso lewą ręką podczas krajania go nożem. Wydaje mi się jednak, że i to po to, by być mądrzejszym od Tego, który stworzył rękę ludzką tak giętą i chwytąną.”

Eliasz: - Zgadzasz się z tobą, synu.

„Świerzb jest tu częsty i bardzo dokuczliwy. Maść na tę dolegliwość, unguento per la rognia, krzykiem oznajmują w Wenecji na każdym rogu. Z mego okna widziałem, jak mały urwis sprzedawał ją trzem różnym damom w sukniach jedwabnych z ogonami i dwóm rycerzom strojnym w aksamity.”

Katarzyna: - Italia! - moja dziewczeczko, radzę ci, myj się co niedziela w balii, a wtedy możesz we czwartek bez uchybienia sięgnąć ręką do półmiska.

„Chleb mają biały jak śnieg. Potrawy psują dodatkiem sera. Sól za to - o przewrotności - czarna, nie kłamię. W handlu weneccjanie są mistrzami zarówno na ziemi, jak na morzu, i mądrze zarządzają swymi posiadłościami. Jedną tylko widzę przywarę, tę samą, o jaką niegdyś uczony mnich oskarżał republikę Platona; niewiasty tutejsze mianowicie zachęca się do sprzedanej frywolności i do płacenia podatków państwu, które nie kontentuje się korzyścią z handlu jedwabiem, korzeniami i innymi bogatymi i uczciwymi towarami, lecz i występkiem handlować musi! Dwadzieścia tysięcy nierządnic żyje w Wenecji, Candii i dokoła cieszą się pobłażaniem, obsypywane są honorami za ściąganie cudzoziemców do miasta. Wiele z nich mieszka w książęcych, lecz należących do nich samych, pałacach.

Wydaje mi się, że rządzący signori weneccy zapominają, jak król Dawid powiedział: (Jeżeli pan strzeże miasta, niepotrzebny mu strażnik. Tak samo w religii obracają się jak wiatr zawieje: raz popierają papieża, raz Turka, ale zawsze modlą się do boga kupców zwanego mamoną. Czyż taki kwiat nadgniły będzie rozkwitał do końca świata? Skoro już mówimy o kwiatach, nie można zaprzeczyć, że niewielu jest takich zręcznych ogrodników jak tutejsi w hodowli róż i goździków tak że kwitną one cały rok, w porze ku temu niestosownej. Latem ścinają część pączków różanych i nie podlewają ich.

Dopiero zimą okopują zniechęcone do życia rośliny, przycinają i tak dzięki wielkiej sztuce hodują słodko pachnące róże, które wynoszą w. styczniu na rynek. Nauczyli się tej sztuki od pewnej krowy, która obgryzła latem pąki róż i krzaki wypuściły świeże pędy na Gody. Niewiasty zasiadają na katedrach w uczelniach, u Świętego Piotra uczyła pewna Niemkini. W Italii także można podziwiać przemyślne fontanny i figury poruszane za pomocą wody, które naśladują żywe. A następnym miastem słynącym tą sztuką jest Augsburg, gdzie

potrafią zaprząć Dym, plugawego parobka, w służbę zacnego pana Roźna, który obraca śrubą panią Pularde. Ale na większą pochwałę zasługują miasta; są takie dwa w Europie, które gardząc płochymi fontannami, prowadzą wodę rurami do drzwi każdego mieszczanina, tak że napelnia on swe naczynia jeno kurek przekręcając. Jednym jest Londyn, tak w wodę zaopatrywany od kilku lat rurami z odległego o milę Paddingtonu, drugim - piękne miasto Lubeka. Okrutni Anglicy, słyszałem również, mądrzy są w tym, iż nie chcą się dzielić ziemią i stadami z wilkami, których to maruderów prawie całkowicie w góry wygnali. Jednak ani we Francji, ani w Niemczech czy Italii po zachodzie słońca podróżny nie jest pewny życia z przyczyny tych włóczęgów. Słyszę też, że cała Wenecja nie posiada szyb w oknach, wszędzie jeno używa się przetłuszczonego płótna i papieru, prócz tego mają barbarzyńskie judasze i drewniane okiennice. Tchórzliwego mordercę nazywają tu oddzielnym człowiekiem, a ladacnicę ('grzeczną osobą, co oznacza, iż najgorsze przywary mężczyzny i niewiasty są cnotami. Dziękuję Bogu, iż w naszej małej Holandii zbrodniarz może być uznany zbrodniarzem, a ladacznica - ladacnicą aż do dnia sądu ostatecznego, a potem lakierujcie plugawe grzechy jedwabnymi słowy, jeśli potraficie!'")

Eliasz: (z westchnieniem) - Powinien był zostać księdzem. Za przeproszeniem ciebie, moje biedne dziecko!

„Dość już, marny skrybo, zmęczonyś chorą nogą, nie możesz zobaczyć piękności Wenecji, przeto pióro twe chodzi w kółko jak muł w kieracie.

26 stycznia. Ukochana, muszę się streszczać i opisać ci tylko część tego, co widziałem, bo dzisiejszego dnia kończy się mój dziennik. Tej nocy odpłynie do ciebie, a ja nieszczęsny nie popłynę z nim! Jutro innym okrętem jadę do Rzymu.

Droga Małgorzato, wynająłem dziś lektykę i zaniecono mnie do kościoła Świętego Marka. Na zewnątrz, w kierunku, rynku, ciągnie się piękna kolumnada, a nad nią cztery sławne konie, wykute w brązie przez starożytnych Rzymian. Wydaje się, że pędzą przed siebie i przy następnym kroku skoczą w dół na widza. W kościele jest sześćset kolumn z marmuru, porfitu i ofitu. Wewnątrz skarby większe niż w St.Denis, Loreto czy Toledo. Oto dzban wysadzany klejnotami, подарowany seniorii przez Króla Persów, oto waza książęca lśniaca od drogich kamieni, a w koronie osadzono diament i chryzolit wielkości migdała; dwie złote korony i dwanaście złotych wysadzanych klejnotami pasów z Konstantynopola, item ogromnej wielkości szafir, item olbrzymi diament, dar króla Francji, item precudowny karbunkuł, item trzy rogi jednorożca. Cóż to wszystko jednak znaczy w porównaniu ze świętymi relikwiami?

Małgorzato ukochana, widziałem skrzynię z brązu, która zawiera ciało świętego Marka Ewangelisty. Widziałem na własne oczy, oglądałem pierścień i Ewangelię spisana ręką świętego, i wszystkie trudy mej podróży wydały mi się błahe; kimże bowiem jestem, abym dostał łaski oglądania takich rzeczy? Droga Małgorzato, święte ciało zostało przywiezione z Aleksandrii przez kupców w 810 roku i nie tak czczone wówczas jak teraz. Od 829 roku, gdy zbudowano ten kościół, aż do roku 1094 zapomniane było nawet miejsce, w którym złożono szczątki. Tedy świętobliwi księża pościli i modlili się wiele dni szukając prawdy, i oto Ewangelista przełamał o północy marmury i stanął przed nimi. Padli na ziemię, rano odnaleźli szparę, przez którą wyłoniło się święte ciało, i zaglądając przez nią do podziemia ujrzeli, gdzie spoczywa. Wyjęli te zwłoki i umieścili w skrzyni ponad ołtarzem, pieczołowicie ułożyli na miejsce płytę z cudowną szparą (sam ją widziałem), która ziać będzie otworem na pamiątkę do końca świata.

Następnie pokazano mi krzesło Najśw. Dziewicy - z kamienia - i jej obraz malowany przez świętego Łukasza, bardzo poczerniały, tak że rysów prawie nie widać. W czasie suszy obnoszą ten obraz w procesji, sprowadza bowiem deszcz. Tego wolałbym nie oglądać. Item: dwa głązy marmuru splamionego krwią Jana Chrzciciela; item kawałek prawdziwego Krzyża i słupa, do którego Chrystus był przywiązany; item skałą uderzona przez Mojżesza, mokra do dnia dzisiejszego; kamień, na którym siedział Chrystus, gdy kazał w mieście Tyr; niektórzy jednak mówią, że to patriarcha Jakub wspierał oń głowę. Jestem tego samego zdania, ponieważ Pan nasz nigdy w Tyrze nie kazał.

Gdym odszedł stamtąd, pokazali mi państwowy dzieciniec dla potomstwa swoich ulubienic, cór Koryntu. W zewnętrznej ścianie znajduje się szeroki otwór i jeżeli przywiezione dziecko jest jeszcze tak drobne, że potrafi prześliznąć się tamtędy żywe, wpada do siatki, a wówczas państwo się nim opiekuje. Jeżeli jednak jest już za duże, matki muszą zabrać je z powrotem do domu, a przebywając z nimi są prawdopodobnie: mali cori mali ovum. Wychodząc z kościoła ujrzeliśmy ludzi niosących umarłego z obnażoną twarzą i stopami. Pierwszy raz zetknąłem się z tym weneckim obyczajem, i na pewno nigdy nie znajdzie się na ziemi miasto, które chciałoby być jego naśladowcą, ani tego, co z kolei opiszę. Na wielkiej płycie z porfiru, na piazza złożono trzy upiorne głowy gnijące i zatruwające powietrze, i podczas ich upalnego lata mogące brać pomstę siejąc zarazę. Byli to zdrajcy stanu i ponieważ wyznaczono na każdą głowę wysoką cenę - po dwa tysiące dukatów - zostali pomordowani przez przyjaciół, którzy przynieśli głowy na płytę, sprzedawszy w ten sposób cudzą krew i własne sumienie. Żadne inne państwo nie kupuje tak wielu głów i żadne nie płaci nawet połowy ceny za ten ponury towar. Ale najwięcej podziwiałem, że naprzeciwno

pałacu księcia ustawiono wspaniałą szubienicę z alabastru, przeznaczoną wyraźnie do wieszania władcy za najmniejszą zdradę państwa; stoi tam ona w zasięgu jego wzroku, szepcząc swe memento mori. Zastanowiłem się i uznałem tych signori za swych mistrzów, albowiem nie pozwalają nikomu, nawet swemu suwerenowi, wyżej stawiać siebie niż dobro ogółu.

Tuż obok na murze robotnicy kończyli właśnie pracę nad kamiennym pomnikiem, który na rozkaz signorii miał uwiecznić tragiczny i potworny czyn popełniony ubiegłego roku. Na cokole wyglądało to jednak całkiem niewinnie: dwóch szlachetnie urodzonych szepce do siebie, obok zaś dwóch innych stoi z mieczami przy boku. Wszyscy czterej byli braćmi. Dwóch uknuło spisek przeciwko pozostałym - postanowili ich otruć i w ten sposób podzielić majątek na połowę zamiast na ćwiartki. Na wspólnym bankiecie ci dwaj zatruli wino, gdy jednocześnie druga para nasyciła jadem marcepan z tak wyśmienitym skutkiem, że tego samego popołudnia czterech dzielnych ludzi czołgało się wokół stołu w agonii, przeklinając jeden drugiego i siebie samych. Tak nędznie skończyli, ziemia zaś, dla której zatracili swe nieśmiertelne dusze, przeszła na własność innej rodziny. I słusznie, nie mogła bowiem wpaść w gorsze ręce.

O niezastąpiona mądrości w przysłowiach! Jak mądrze wskazują one wady każdej nacji czy też poszczególnych osób:

Quand Italie sera sans poison, Et France sans trahisoti, Et l'Angleterre sans guerre, Lors sera le monde sans terre”.

Ryszard przetłumaczył to Katarzynie:

Gdy w Italii zanikną jady, Gdy we Francji ustaną zdrady, Gdy angielskie ustaną wojny, Ziemi nie stanie w świecie spokojnym. i czytał dalej:

„Zawiedli mnie potem na nabrzeże i nagle spostrzegłem maszt ustrojony girlandą amarantowych kwiatów. Nieście mnie tam - rzekłem i opowiedziałem przewodnikowi o zwyczaju naszych holenderskich marynarzy, którzy zdobią maszt kwiatami, gdy starają się o pannę. Często szydziłem z tego mówiąc, że uważają gruchanie za sprawę ważną dla całego świata. Teraz jednak tak daleko od Rotterdamu bukiet na szczycie masztu wzbudził w moim sercu nadzieję spotkania z rodakiem. Zanieśli mnie więc tam i, o Małgorzato! na rufie tego holenderskiego statku widniało wielkimi literami: RYSZARD ELIASSOEN, AMSTERDAM.

Postawcie lektykę na ziemi - powiedziałem. - Stawiajcie, na miłość Matki Boskiej. Usiadłem na brzegu i patrzałem, nie wierząc prawie oczom, patrzałem i niebawem zacząłem tak płakać, że nie widziałem już liter. Jakżeż rozdarły mnie biednemu serce same te litery w obcym kraju! Drogi, dobry Ryszard! Dobry kochany brat Ryszard! Często siadywałem mu na

kolanach, a on nosił mnie na barana. Wiele razy obdarzał mnie pocałunkami, nigdy ni jednym ostrym słowem nie ozwał się do mnie. A teraz było jego imię na należącym doń statku, wraz z nim przyplęnęła jego poważna twarz, poważna, lecz dobra i łagodna... Szlochałem rozpaczliwie i głośno krzychałem: (Czemuż to, czemu nie ma tu brata mego Ryszarda, czemu widzę tylko jego imię? Mówiłem po holendersku, ponieważ serce me zbyt było przepełnione, abym mógł znieść obce języki, i...”

Eliasz: - Ryszardzie, chłopcze, czytaj dalej. Czyż można zatrzymać się w takim miejscu!

Ryszard: - Ojczy, łatwo powiedzieć - mówię to z całym szacunkiem dla ciebie - czytaj dalej! Czy myślicie, że nie jestem człowiekiem z krwi i kości? Zmartwienie chłopca i jego miłość braterska spadły na mnie tak nagle, tak przeszyły me serce, że nie mogę dalej czytać; zabij mnie, jeśli dam radę dojrzeć choć słowo, pismo jest tak drobne...

Dionizy. - Courage, zacny panie Ryszardzie! Odpocznijcie chwilę. Nie tylko wy jeden macie łzy w oczach. Ach, mały kamracie! Oby Bóg cię tu sprowadził, a ja raczej bym znalazł się w Wenecji.

Ryszard: - Biedny kędzierzawy chłopczyzna, cóż uczynił, że wygnaliśmy go tak daleko?

- I ja pragnęłabym dowiedzieć się tego - rzekła ostro Katarzyna i jęła szlochać, kiwając się pod zarzuconym na głowę fartuchem.

- Dobre panie, zacni przyjaciele - powiedziała drżąca Małgorzata - pozwólcie mi opowiedzieć zakończenie listu. Szyper, usłyszawszy, jak Gerard użalał się po holendersku, podszedł do niego i przemówił chcąc go pocieszyć; po chwili nasz Gerard zdołał wyjaśnić, iż bratem jest czcigodnego pana Ryszarda. Zacny szyper na tę wieść ofiarował mu swe usługi.

Ryszard: - Tak, tak, szyper! Pan Ryszard rzeczony stawi się na twym weselu, i to z zasobną kieszką w dodatku.

Małgorzata: - O, panie, szyper opowiedział Gerardowi, że jego małżonka ma pożeglować jeszcze tej nocy do Rotterdamu, i kochany Gerard musiał wrócić do domu, aby skończyć list i przynieść go na statek. Reszta to już tylko jego biedne, drogie słowa miłości do mnie, które, wybaczenie, wstydziłabym się usłyszeć czytane na głos. Na końcu jest jeszcze parę wierszy, które przysłałam pannie Kasi, a teraz zabrzmiałyby szorstko i niewdzięcznie.

Słowa dziewczyny, a tyleż samo błagalny ton głosu przekonały Ryszarda; odparł, że nie będzie czytał dalej na głos, rzucił tylko okiem na koniec listu dla własnej braterskiej satysfakcji. Małgorzata poczerwieniała, wyglądała na zakłopotaną, nie odezwała się jednak.

- Eliasz - powiedziała Katarzyna, ciągle jeszcze pochlipując - powiedz mi na miłość Matki Najświętszej, jak nasz biedny chłopiec wyżyje w tym okropnym Rzymie. Poszedł tam, aby zarobić na sobie pisaniem, a oto własne jego słowa świadczą, że pisanie na nic mu się nie zda: umarłby w czasie swej wędrówki z głodu, gdyby nie pędzel i psalterion. Biada mi, biada!

- Anoodrzekł Eliaszpozostaje mu zawsze pędzel i muzyka. A poza tym: ile ludu, tyle gustów. Pisanie, choć nie popłaca w innych krajach, może być poszukiwane w Rzymie.

- Ojcze - rzekła mała Kasia. - Czy pozwolicie mi wtrącić słowo do twej z matką rozmowy?

- Jak najchętniej, serduszko.

- Sądzę, że malarstwo i muzyka więcej znaczą niż pisanie, na odległość jednak pismo z niczym się nie da porównać. Patrzcie, jaki zachwyty zapisany papier tu teraz wzbudził. Dotarł aż do tego pokoju w Rotterdamie i wzruszył nasze serca. Ach, Gerardzie, drogi Gerardzie, wydaje mi się, że duch twój przyfrunął do domu na skrzydłach. Ach, ojcze kochany, czemuż nie jesteśmy tu wszyscy razem, tak jak być powinniśmy?

- Nie obawiaj się, Kasiu - odparł Eliasz - Ryszard i ja nie odpłacimy chłopcu niewdzięcznością. Napiżemy do niego list i wyślemy przez umyślnego do Rzymu wraz z pieniędzmi, i polecimy mu natychmiast powrócić do domu.

Korneliusz i Sybrandt wymienili ponure spojrzenia.

- Ach ojcze, a tymczasem?

- Jak to „tymczasem”?

- Kochany ojcze, matko droga, czymże możemy uradować serce nieobecnego brata, jeżeli nie opieką nad jego biedną dziewczyną? Niemalę przed nią troski...

- Racja! - odparł Eliasz. - Ale jestem starszy i do mnie te sprawy należą. - Zwrócił się z powagą do Małgorzaty: - Czy odpowiesz na me pytanie, piękna panienko?

- Jeśli potrafię, panie - szepnęła załamującym się głosem Małgorzata.

- Co to za kontrakt ślubny, o którym pisze Gerard?

- Nasz kontrakt ślubny, panie. Jego i mój. Czy nie wiecie, że jesteśmy zaręczeni?

- W obecności świadków?

- Naturalnie. Byli nimi mój biedny ojciec i Marcin Wittenhaagen.

- Pierwszy raz o tym słyszę. Jakże dokument ten znalazł się w jego rękach? Powinien być u ciebie.

- Niestety, tym cięższa moja zgryzota, ale wierzyłam mu zawsze, a on rzekł, że nosić ów papier na sercu byłoby mu pocieszeniem.

- Bardzo nierozsądne z ciebie dziewczę - rzekł Eliasz.

- Zaiste, niegdyś byłam taka, panie. Biedą jednak uczy rozumu.

- Roztropna to odpowiedź. W każdym razie mądrze czy głupio, jesteś uczciwą. Okazałbym ci od początku więcej respektu, alem myślał po prawdzie, żeś jego kochanką.

- Broń mnie, Panie Boże! Dionizy, zdaje mi się, że już czas na nas. Poproszę o mój list, panie.

- Zaczekajże, zaczeka!) Nie bądź w gorącej wodzie kąpana. Muszę zauważyć, małżonko, że jej do twarzy z rumieńcem.

- Bardziej niż tobie, któryś ją zawstydził, mój mężu.

- Spokojnie, spokojnie, żono. Nikt mi nie zarzuci niesprawiedliwości, jestem jeno nieco powolny.

Tu Ryszard wtrącił się do rozmowy. - Jak to się stało, pani, że przelaliście krew dla naszego Gerarda?

- Nie, panie. Choć może pragnęłabym tego.

- Nie, nie. On powiada, że tak było. Powiedzcie nam teraz prawdę - proszę.

- Nie wiem, niestety - rzekła Małgorzata - o czym myślicie, panie. Lepiej, abyście nie wierzyli we wszystko, co mój biedny chłopiec o mnie pisze. Miłość go zaślepiła.

- Zdrajczyń! - krzyknął Dionizy. - Nie pozwalajcie jej mydlić wam oczu, panie Ryszardzie! - Stary Marcin powiedział minie mrugając na mnie, kompaneczko; jestem ślepy jak miłość. - Marcin tedy rzekł mi, że zraniła ramię, rozlała krew, wysmarowała sobie pięty, aby idące tropem ogary odwrócić od ściganego przez nie jej chłopca.

- Jeśli tak zrobiłam, była to moja krew i przelałam ją dla własnego dobra - powiedziała hardo Małgorzata. - Wówczas Katarzyna chwyciła ją w ramiona i dziewczyna zapłakała na łonie tej, która również przelałaby krew dla ratowania Gerarda w niebezpieczeństwie.

Eliasz podniósł się z fotela. - Małżonko - rzekł uroczyście - postawisz przy naszym stole na czas posiłków krzesło, a na stole jeszcze jeden talerz i nóż dla Małgorzaty i Piotra. Niech przychodzą, kiedy zechcą, i pozostaną z nami, jak długo sobie życzą. Nikt nie ma odtąd zajmować miejsca po mojej lewej ręce. Ci, którzy będą mili dla niej, będą mili i dla mnie. Jestem panem we własnym domu i narzeczona mego syna jest w nim mile widziana.

Katarzyna wybiegła przygotować wieczerzę. Eliasz i Ryszard zasiedli do pisania listu, który miał sprowadzić Gerarda do domu. Ryszard obiecał, że jeszcze w tym tygodniu list dotrze przez morze do Rzymu. Sybrandt i Korneliusz wymienili ponure spojrzenia i wymknęli się z domu. Małgorzata widząc, że Idzi siedzi w głębokiej zadumie (rozwój umysłowy Karła postąpił naprzód milowymi krokami), poleciła mu przynieść jej list.

- Słyszeliście tylko połowę, zacny panie Idzi - powiedziała. - Czy mam odczytać wam resztę?

- Będę bardzo zobowiązany - wrzasnął dworzanin. Podsunęła mu swój stołek - poniżył się do skorzystania z tak niedużego sprzętu, ciekawość przemogła pychę - i Małgorzata cichutko szeptała mu początek listu wprost do ucha, żeby nie przeszkadzać Eliaszowi i Ryszardowi. Pochyliła się do przodu i przytuliła swą śliczną twarzyczkę do maski Idziego - dziwny ten kontrast wart był uwagi i dzieła malarza. Tak ją zastała Katarzyna; matka zapalała gorącym uczuciem dla dziewczyny i wymieniła z Kasią wymowne spojrzenia.

Dziewczynka uśmiechnęła się i szła dalej, przykrywając rzęsami oczy.

- Natychmiast ściągnąć go do domu - ryknął Idzi. - Ja z niego zrobię człowieka. Potrafię coś niecoś zdziałać u diuka.

- Tylko słuchajcie - powiedziała na pół drwiąco, ale z dumą Katarzyna.

- Słyszymy - rzekł Ryszard. - Nie można go nie słyszeć, gdy mówi.

Sybrandt: - Który pierwszy do niego dotrze? Korneliusz (ponuro:) - Któż to wie?

ROZDZIAŁ LVII

Około dwóch miesięcy przed tą sceną w domu Eliasza mieszkańcy małej morskiej osady między Neapolem a Rzymem wylegli tłumnie na brzeg morza poglądając na statek, który zmagął się z gwałtownym wichrem spychającym go na brzeg.

Chwilami zdawało się, że pokona niebezpieczeństwo; wtedy wśród widzów wznosiły się głośne okrzyki zachęty; chwilami znowu sztorm i morze spychały statek wyraźnie coraz bliżej i gapiowie nie mogli się oprzeć uczuciu cichej satysfakcji, do której nawet sami przed sobą nie chcieliby się przyznać.

Non quia vexari quemquam est iutunda voluptas Sed quibus ipse malis careas quiacemere suave est.

A biedny stateczek, choć nieuczenie zbudowany do żeglugi, posiada! konstrukcję wyśmienitą dla przybijania do brzegu dzięki swej przesadnej rufie, chwytającej wiatr, i swemu kształtowi przypominającemu odwrócony, zdeformowany kapelusz. Dla ludzi na wybrzeżu ta druzgotana i kołysząca się drewniana łupina zdawała się być żywą istotą, walczącą o życie ostatkiem tchu. Gdyby jednak mogli znaleźć się na pokładzie, ujrzeliby, że żaglowiec ma nie jedno, lecz wiele bijących serc i nie jedną, lecz liczne natury, uwydatniające się w tej strasznej godzinie.

Marynarze pędzili dziko po pokładzie, manipulując linami, jak który uważał za stosowne, klnąc i modląc się na przemian.

Pasażerowie tłoczyli się dokoła masztu; niektórzy siedzieli, niektórzy klęczeli, jeszcze inni leżeli wyczerpani, czepiając się burt, gdy statek zataczał się i przechylał na potężnych falach. Jeden urodziwy młodzieniec, którego poblądłe jak popiół lica i zaciśnięte wargi wskazywały, jaką ciężką walkę przerażenie toczy w jego duszy z godnością, stał nieco na uboczu, trzymając się mocno want i drgając przy każdym uderzeniu fali. Był to nieszczęsny Gerard.

Tymczasem modły i ślubowania wzbijały się ku niebiosom z drżących ust tłumu na śródokręciu; słuchając ich można by sądzić, że tyle jest bogów, ile modlących się tam mężczyzn i kobiet. Żeglarze jednakże pokładali ufność w jednej tylko bogini. Zmieniali tylko jej imiona, zwąc ją „Królową Nieba”, „Gwiazdą Morza”, „Panią Świata”, „Portem Tonących”. Ale wśród ludzi z lądu szalał politeizm. Nawet ci, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności zwracali się do tego samego bóstwa, nie zwracali się doń w tej samej wersji. Angielski kupiec ślubował stos złota Matce Boskiej z Walsingham. Kupiec wenecki obiecywał naszyjnik z czterech funtów srebra Matce Boskiej Loretańskiej, a toskański szlachcic dziesięć funtów woskowych świec Matce Boskiej z Rawenny; podobnie z szalonym zamiłowaniem do różnorodności ślubowali nie po prostu na Krzyż, lecz na Krzyż w tym czy innym współczesnym mieście.

Nagle gwałtowniejszy niż zwykle podmuch wiatru uderzył w żagiel, puściły przegniłe wanty, płótno pękło z głośnym trzaskiem i poszło z wiatrem. Stawało się coraz mniejsze i mniejsze, coraz bardziej czarne, aż sfrunęło w morze o pół mili od statku jak kartka papieru; zanim sternik zdołał odwrócić statek, fala zalała pokład i przemoczyła biedaków do kości, dając im przedsmak chłodu śmierci.

Wtedy ktoś głośno ślubował, że wstąpi do kartuzów, jeśli święty Tomasz ocali mu życie. Inny przyrzekał pielgrzymkę do Compostelli boso i z odkrytą głową we włosiennicy na gołym ciele, jeśli ocali go święty Jakub. Jeszcze inni wzywali Tomasza, Dominika, Dionizego i nade wszystko Katarzynę z Sieny.

Dwaj pomniejsi kupcy neapolitańscy stali drżący.

Jeden z nich wołała całe gardło: - Przysięgam świętemu Krzysztofowi w Paryżu ufundować posąg z wosku tyle co on ważący - jeżeli uda mi się wylądować bezpiecznie.

Drugi szturchnął go, mówiąc: - Bracie, bracie, miarkuj się, pomyśl, co obiecujesz! Gdybyś wyprzedził całe swe mienie na publicznym przetargu, jeszcze nie kupiłbyś tyle wosku, ile tamten waży!

- Zamilcz, głupcze - odparł krzykacz. I szepnął: - Myślisz, że mówię poważnie? Niech no jeno znajdę się cało na lądzie, nie dam ani łójówki.

Niektórzy podróżni leżeli krzyżem i modlili się do morza: „O morze najmiłoścowsze! O najlaskawsze! Dobroczynne morze! O piękne morze! Okaż nam swą łaskę i dobroć, zachowaj nas w tej godzinie grozy!”

Ludzie szlochali i jęczeli zdjęci zwierzęcym strachem za każdym razem, gdy nieszczęsny statek się przechylał lub kołysał silniej niż zwykle - a był już tylko igraszką potężnych fal.

Rzymianka z niższej warstwy siedziała z dzieckiem przy piersi na pół obnażonej, cicha wśród wyjącego tłumu, o bladej jak popiół twarzy, lecz ze spokojnymi oczami. Poruszała wargami w bezgłośnej modlitwie, nie płakała jednak, nie zawodziła ani też nie targowała się z bogami. Gdy się wydawało, że statek rzeczywiście pograża się pod stopami, i brodaci mężczyźni skowytali, ona całowała dziecko - i to wszystko. Siedziała cierpliwie i pieściła maleństwo, czemuż by miało utracić jedyną radość, którą je mogła obdarzyć; moribundo Tak właśnie, moim zdaniem, Starożytność zasiadła między tymi ludźmi średniowiecza. Szesnaście wieków nie splamiło starej rzymskiej krwi w jej żyłach; instynkt rasy, o której może nawet nie słyszała, nauczył ją umierać z należytą godnością.

Olbrzymi mnich stał na rufie rozstawiwszy szeroko nogi, w pozie kolosa rodezyjskiego, nie tyle może lekceważąc, ile raczej ignorując niebezpieczeństwo. Odmawiał donośnym, nie załamującym się głosem wersety z psalmów i wzywał podróżnych do spowiedzi. Niektórzy padli na kolana, a on słuchał ich wyznań, kładł dłonie na ramionach penitentów i rozgrzeszał, jakby znajdował się w wygodnej zakrystii, a nie na tonącym statku. Gerard szedł ku niemu coraz silniej popychany przez instynkt, który pcha ludzi chwiejnych ku niezłomnym. Zaiste bowiem odwaga bohaterów stawiających czoła fizycznym przeciwnostwom błędnie wobec tego potężnego mnicha i jego potężniejszej ód ciała duchowej mocy. Tak więc nawet tutaj znalazło się dwoje ludzi, którzy obronili godność naszej rasy - delikatna, lecz bohaterska niewiasta i mnich uzbrojony przez religię przeciw śmiertelnemu niebezpieczeństwu.

Po stracie żagla majtkowie ścięli bezużyteczny maszt na wysokości stopy nad pokładem. Runął do wody wraz ze strzępami żagla. Wydawało się, że to odciąży nieco statek.

Teraz jednak kadłub bez pomocy żagla nie mógł już utrzymać się na morzu. Fale raz po raz waliły w rufę, straszliwe ciosy podobniejsze były uderzeniom skały niż wody.

Kapitan porzucił ster i blady jak śmierć zjawił się na śródokręciu.

- Ulżyjcie ciężaru - krzyknął - wyrzucicie za burtę wszystko albo zatoniemy, nie wyzyskawszy tej ostatniej słabej szansy uratowania życia. - Podczas gdy żeglarze wykonywali jego rozkaz, on blady i otoczony pobladłymi twarzami ludzi dopytujących się o swój los przemówił do nich, jak można sobie wyobrazić, zupełnie inaczej niż angielski szyper w niebezpieczeństwie.

- Przyjaciele - powiedział - ostatniej nocy, gdy morze było zupełnie spokojne, zbyt spokojne, niestety! kula ognista zbliżyła się do statku. Dwie takie kule przynoszą szczęście, nic wtedy nie zatopi statku w podróży. My marynarze zwiemy te płonące kule Kastorem i Polluksem. Jeżeli jednak Kastor przychodzi bez Polluksa lub Polluks bez Kastora, statek musi zginąć. Tak więc przygotujcie się na śmierć jak dobrzy chrześcijanie.

Podróżni przyjęli te słowa przeciągłym jękiem.

Dopytywali się z drżeniem, ile pozostało im czasu. Kapitan odrzekł: - Może jeszcze wytrzyma pół godziny lub i to nie. Ani chwili dłużej, przecieka jak sito. Żywo, mężczyźni, ulżyjcie ciężaru.

Biedni pasażerowie chwyтали wszystko, co znajdowało się na pokładzie, i wyrzucali za burtę. Porwali właśnie ciężki wór; leżał na nim starzec złożony morską chorobą. Wyciągnęli bagaż spod niego. Coś zaszczekało. Dwóch ludzi powlokło worek na bok. Stary wstał i z nieludzkim krzykiem rzucił się na swą własność. - Święty Mojżeszu! Co czynicie? To wszystko, co posiadam, owoc całej mej podróży - srebrne lichtarze, srebrne talerze, brosze, kolczyki.

- Puszczaj, siwy łotrze - krzyczeli inni - mamy tu wszyscy stracić życie dla twego złodziejskiego towaru?

- Wrzucić go razem z nim - wrzasnął ktoś. - To przez tego Hebrajczyka muszą tonąć chrześcijanie. - Wyrwali mu worek i wyrzucili przez burtę Ciężar wpadł z pluskiem w fale. Właściciel krzyknął rozpaczliwie. Wiatr rozwiewał jego białe włosy, człowiek chciał skoczyć za swym skarbem i uczyniłby to, gdyby worek utrzymał się na falach. Zatonął jednak i przepadł na zawsze. Starzec zataczał się po pokładzie, rwał włosy z głowy, przeklinał podróżnych, statek, morze i wszystkie moce niebieskie i piekielne. Kapitan krzyknął znowu:

- Oto kościół na horyzoncie. Steruj w tę stronę, bracie. A wy, przyjaciele, wzywajcie pomocy od tego świętego, jakiegokolwiek jest jego imię. Sterowali więc w kierunku kościoła i modlili się do nieznanego, którego imieniem był nazwany. Szalejące morze runęło na rufę statku, strzaskało ster i zalało pokład.

Przesądni, zdziczali ze strachu ludzie otoczyli ciasnym kręgiem Gerarda.

- To on jest winien - krzyczeli. - Nie prosił żadnego świętego o ratunek. To poganin. Poganin, na pokładzie.

- Nie mówcie takich rzeczy, drodzy przyjaciele - rzekł Gerard, szcękając zębami z zimna i przerażenia. - Chyba raczej ci, co leżą tu modląc się do morza, mogą być poganami zwani. Ja czczę świętych, przyjaciele - ale nie śmiem teraz modlić się do nich, nie ma na to czasu (och!). Cóż mi pomoże Dominik, Tomasz czy Katarzyna. To już święty Piotr siedzi najbliżej tronu Boga; a mimo to, jeżeli pomodłę się do niego, mogę utonąć, zanim zdąży wstawić się za mną do Boga. Och! och! och! Muszę zwrócić się prosto do Tego, który stworzył morze, świętych i mnie także. Ojczy nasz, któryś jest w niebie, zbaw te biedne dusze i mnie, którzy błagamy o życie! O słodki Jezu, litościwy Jezu, który chodziłeś po jeziorze Genezaret, gdy Piotr tonął, i płakałeś nad Łazarzem, gdy oczy apostołów pozostały suche - ocal nieszczęsnego Gerarda, uczyn to dla Małgorzaty!

W tym momencie marynarze przygotowywali się do opuszczenia tonącego statku w małej łódeczce, którą nawet w tamtych czasach miał z sobą statek. Egoiści pobiegli pędem ku łodzi i trzydzieści dusz zdołało się na nią wepchnąć. Pozostało trzech zupełnie nieprzytomnych i dwóch sparaliżowanych ze strachu. Ci ostatni siedzieli jak sterta mokrych łachmanów na pokładzie, szaleńcy zaś biegali tam i z powrotem; widzieli, że trzydziestu egoistów opuszcza statek, ale nie próbowali się do nich przyłączyć, chodzili w kółko, załamując ręce. Pozostał jeszcze ktoś na klęczkach pogrążony w modłach przed drewnianym naturalnej wielkości posągami Panny Marii, który żeglarze z szacunkiem zdjęli z masztu. Pływał on teraz po pokładzie, morską woda spychała go ku odpływnikom, a nieszczęsny rozbitek posuwał się na kolanach wczepiony rękami w statwę, która była igraszka fal. Został jeszcze Żyd porażony rozpaczą, nie trwogą. Nie poddałby się tak nikczemnemu uczuciu. Siedział w kucki, oplakując utracony worek i, gdy zalewały go fale, groził pięściami morzu, przeklinał nazarejczyków, ich bogów, ich diabły, ich statki i ich wody raz na zawsze. Olbrzymi zaś dominikanin, wypowiedawszy dusze na całym statku, stał spokojnie, obcując z własnym duchem. Rzymianka siedziała poblada, przyciskając coraz mocniej dziecko do łona, w miarę jak zbliżała się śmierć.

W Gerardzie na ten widok obudziła się dzielność.

- Popatrzcie jeno! - powiedział. - Zabrali łódź i zostawili biedną niewiastę z dzieckiem na zgubę.

Serce zmusiło umysł do pracy.

- Muszę przy Bożej pomocy ocalić cię, niewiasto. - Pobiegł szukać beczki lub deski, aby mogła popłynąć na niej. Nie znalazł nic odpowiedniego.

Nagle spostrzegł drewniany posąg Najśw. Dziewicy. Chwyił go w ramiona i nie słuchając jęków cziciela płaczącego jak dziecko, któremu odebrano zabawkę, pobiegł ze swym łupem do rzymianki.

- Chodź tu, niewiasto! - krzyczał - przywiążę cię do tego posągu wraz z dzieckiem. Srodze go już co prawda stoczyły robaki, ale jeszcze powinien się nadać.

Spojrzała wielkimi ciemnymi oczami i wyrzekła tylko te słowa:

- A ty?

Chłopiec odparł z wielkodusznością i czułością w głosie:

- Jestem mężczyzną i nie mam dziecka pod opieką.

- Ach! - westchnęła kobieta; słowa Gerarda zdawały się budzić pragnienie życia na jej twarzy. Chłopiec przysunął do niej posąg. Nadzieja życia poruszyła ją, odebrała odrobinę heroicznego spokoju. Dreszcz wstrząsnął jej ciałem, ale oczy pozostały spokojne.

Statek zanurzył się tak głęboko w wodę, że Gerard, używszy wiosła jak dźwigni, mógł zepchnąć posąg na fale.

- Chodź, póki jeszcze czas - powiedział.

Spojrzała na niego swymi ogromnymi rzymskimi oczami, teraz wilgotnymi.

- Biedny młodzieńcze! Boże, przebacz mi! Moje dziecko! Chłopak zepchnął ją na fale i przytrzymał wiosłem, aby nie rozbiła się o statek.

Ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu, głęboki, dźwięczny głos zabrzmiał mu tuż przy uchu:

- To pięknie. A teraz chodź ze mną.

Był to olbrzymi mnich.

Gerard odwrócił się, mnich postąpił dwa kroki naprzód i chwycił się złamanego masztu. Gerard instynktownie uczynił to samo. Z ogromnym wysiłkiem wyrwali i wynieśli resztę masztu.

- Rzućmy na fale i skoczmy za nim - rzekł mnich. Rzucili, jeden z oszalałych rozbitków pobiegł za nimi, skoczył pierwszy do wody i uchwycił za jeden koniec belki. Gerard trzymał za drugi koniec, mnich za środek.

Sytuacja była straszna. Maszt unosił się i zanurzał przy każdej fali, kopał jak rozbrykany koń, a bryzgi wody bezlitośnie smagały ich twarze i oślepiały, grożąc strąceniem z belki.

Nagle dobiegł ich ostry, długi łoskot. Morze ostatecznie rozbiło statek. Nie poruszał się już, rozbitków więc rzuciło z przerażającą siłą na wrak. Głowa ich towarzysza ze straszliwym trzaskiem uderzyła w górną część złamanego steru. Cios zmiażdżył czaszkę jak

młot kowalski miazdzy orzech kokosowy. Człowiek zatonął, pozostawiając jako jedyny ślad czerwoną smugę na wodzie - biały strzęp na ostrzu połamanego steru i krzyk śmiertelny, który brzmiał w ich uszach, gdy fale niosły maszt pod osłoną czarnego kadłuba. Mnich odmówił po łacinie krótko pacierz za duszę nieszczęsnego i spokojnie zajął jego miejsce. Płynęli *ὄπεχ θανα τοιο*, w pewnej chwili nic nie widzieli i zdawało się, że są na dnie kotliny gór wodnych; a w następnym momencie dostrzegli brzeg i tłum cisnących się tam ludzi, którzy usiłowali dodać im odwagi, wymachując rękami w dziki, właściwy Italczykom sposób. Czarna łódź płynęła wywrócona do góry dnem, między nią zaś a rozbitkami walczyła z falami kobieta, to unosząc się do góry, to spadając w dół, podobnie jak oni. Znalazła gdzieś wiosło i teraz, przyciskając silnie dziecko lewym ramieniem, dzielnie wiosłowała prawym.

Dłuższy już czas miotano tak nimi na falach, lecz oto nagle mnich powiedział spokojnie: - Dotknąłem dna.

- To niemożliwe, ojcze - odparł Gerard. - Jesteśmy więcej niż sto jardów od brzegu. Proszę, bardzo proszę, nie opuszczaj naszego wiernego masztu.

- Rozsądnie przemawiasz, synu - rzekł mnich. - Wiesz jednak, że pracuję dla sprawy świętego Kościoła i nie powinienem tracić czasu unosząc się na falach, gdy mogę kroczyć pieszo, pełniąc dlań służbę. Znowu poczułem dno palcami stóp. Oto wyższość noszenia sandałów nad butami. Znowu - tym razem piasek. Jesteś mniejszej postawy ode mnie: trzymaj się masztu. Ja idę.

Puścił maszt i wyciągając swe potężne ramiona ruszył przed siebie. Gerard skierował się za nim. Mnich stał jak wieża, opierając się przytłaczającym go falom, przy każdym ich uderzeniu zamykał usta i pochylał głowę do tyłu, a chwilami całkiem zniknął pod wodą; wynurzał się potem i parł dzielnie do przodu. Doszli wreszcie blisko brzegu; ale teraz napór cofających się wód nie pozwalał im wyjść na ląd. Wtedy tubylcy wysłali potężnie zbudowanych rybaków w morze, którzy zbudowali potrójny łańcuch, trzymając długie drągi, i w ten sposób wyciągnęli rozbitków z morza.

Mnich otrząsnął się z wody, udzielił krótkiego, ojcowskiego błogosławieństwa tubylcom i powędrował do Rzymu, wzrok utkwivszy w ziemię, jak tego wymagała jego reguła. Nie zatrzymał się. Nie rzucił ani jednego spojrzenia na morze, które omal go nie pochłonęło, nie miało jednak siły skrzywdzić go bez woli Pana.

Podczas gdy mnich kroczy samotnie w stronę Rzymu nie oglądając się za siebie, ja, nie będąc sługą świętego Kościoła, przystanę na chwilę, aby rzec, że byliśmy wraz z czytelnikiem o krok od tego olbrzyma, lecz ominęliśmy go tym razem. Teraz możemy oczekiwać, że los nas z nim zetknie. Gerard kurczowo obiema rękami chwycił się brzegu.

Rybacy zanieśli go w pobliże wielkiego ogniska i z prawie nie spotykaną na Półmocy delikatnością pozostawili samego, aby się osuszył. Wtedy chłopiec wyjął zza pazuchy pergamin, następnie wysuszył go starannie. Gdy zrobił to, co uważał za słuszne, dopiero wówczas zgodził się przebrać w ubranie rybaka, a swoje pozostawić przy ogniu, i wrócił na brzeg. O tym, co ujrzał, możemy opowiedzieć pokrótce.

Kapitan wytrwał przy statku. Powodowało nim nie tyle męstwo, ile przekonanie, że nie można się sprzeciwić Kastorowi czy też Polluksowi, który przywędrował doń w postaci ognistej kuli.

Mimo to morze, strzaskawszy statek, zmiotło rufę, kapitana i wszystko, lecz wyniosło go żywego i całego na brzeg. Gerard walnie przyczynił się do wyciągnięcia go z wody. Niepocieszony Hebrajczyk wypłynął na innym fragmencie statku i ledwie dotknął stopą lądu, zaofiarował nagrodę za odnalezienie worka, co wywołało niewiele współczucia, a trochę wesołości. Jeszcze dwóch innych rozbitków uratowało się na resztkach wraka. Wylądowało także trzydziestu egoistów, nie razem jednak, lecz pojedynczo. Żaden z nich już nie żył prócz jednego, który oddychał, gdy ratownicy z najlepszymi intencjami nieśli go do ogniska. Tam zaś i on opuścił ten doczesny padół.

Gdy Gerard stał na brzegu, patrząc ze zmieszonym uczuciem zgrozy i ciekawości na swych dawnych towarzyszy podróży, których fale wyniosły na piasek, poczuł nagle lekką dłoń na ramieniu. Odwrócił się. To rzymianka pragnęła wyrazić mu po kobiecemu wdzięczność. Ujęła delikatnie dłoń chłopca, podniosła ją powoli do ust i ucałowała. Uczyniła to jednak z taką godnością, że nikt nie miał wątpliwości co do zasług tej dłoni, którą w ten sposób uczczono. Potem z płonąca twarzą i wilgotnymi oczami podniosła dziecko do góry, aby ucałowało człowieka, który uratował mu życie.

Gerard lubił dzieci, ucałował więc kilkakroć małego rozbitka. Nie wyrzekł słowa; zbyt był wzruszony. Niewiasta także milczała, wymowne były tylko jej oczy, płonące policzki i szlachetny, antyczny gest, tak poważny i wzniosły. Miała chyba rację. Słowa nie potrafią wyrazić wdzięczności. To starożytna matrona rzymska składała z całego serca dzięki współczesnemu człowiekowi.

Następnego dnia po południu Gerard - dwa razy starszy po roku, po trzykroć bardziej świadomy ludzkich spraw, już nie chłopiec, lecz mężczyzna, który w obronie własnej rozlał krew i otarł się o śmierć na morzu i lądzie - dotarł do Wiecznego Miasta; post tot naufragia tutus.